



*Karina.*

*Piankowna*

**Z MIŁOŚCI**

**DO PRAWDY**

  
fabryka słów

# Narina Piankówna

## Z MIŁOŚCI DO PRAWDY

Auto zmija!

**T**ak. Śledcza Seraży Królewskiej miasta Illemy, stolicy Erolu, Rinnelis Tyen jest wyjątkową zmiją. Zawsze działa w sposób absolutnie poprawny, nigdy nie narusza litery prawa, nigdy nikomu nie pobbąza. Pomiedzy wymogami moralności i prawa, Tyen bez wahania wybiera prawo.

Niektóрым wydaje się, że nie jest żywym człowiekiem, lecz jakimś potwornym mechanizmem bez żadnych emocji. Atrakcyjnym i uroczym mechanizmem.

*Wirtualny morderca córce księcia Aynela.  
Ciało znalezione w ogrodzie jego wili.  
Obok narzędzie zbrodni i potencjalny  
zabójca. Nie wiadomo, skąd się tam wziął.  
Podejrzany oparcie nie chce mówić.  
Za prośbę. Za oczywiste.  
Ktoś się za bardzo postarał.*

**T**ylko psychopata albo samobójca  
mógłby wchodzić w drogę Tyen. Zatem!

fabrykaslow.com.pl

2024 978-83-7574-294-7



9 788375 742947

Wydawnictwo

fabryka



Pracowni



Partner

mediów



SCIENCE FICTION

students.pl



*Karina Piankowska*

# Z MIŁOŚCI DO PRAWDY

tłumaczyła  
Ewa Skórska

**fabryka słów**

Lublin 2011



**I** proszę nie świdrować mnie wzrokiem, to panu w niczym nie pomoże - zauważyłam z nutką ironii i uśmiechnęłam się. Ci, którzy mnie znali, powiedzieliby, że to niedobry uśmiech.

Smagły, czarnowłosa mężczyzna siedzący naprzeciwko nie przestawał spopielać mnie wzrokiem. Cóż, kajdany na nadgarstkach zapewne nie sprzyjały optymizmowi i serdeczności. Jednak stan ducha mojego rozmówcy niewiele mnie obchodził. To znaczy obchodził, ale w całkiem inny sposób - usilnie próbowałam wyprowadzić go z równowagi, choć na razie bez powodzenia.

- Powtarzam pytanie - podjęłam swój monolog; mężczyzna całkowicie ignorował moje próby nakłonienia go do rozmowy, nie zaszczycając mnie nawet jednym słowem. - Co robił pan trzeciego maja tego roku przed willą Jego Eksceleencji księcia Ayrela?

Nadal milczy. Skoro nie chce po dobroci, to może ze chce inaczej...

- Ośmielę się przypomnieć, że w moich kompetencjach leży możliwość zastosowania innych metod przesłuchania. - Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu.

Mężczyzna przybladł - lekko, ale wystarczająco, by dać mi nadzieję na złamanie go. Nie tacy jak on z płaczem przyznawali się do wszystkich popełnionych przestępstw, poczynając od kradzieży konfitur z kredensu mamy. To tylko za pierwszym razem wydaje się, że przesłuchiwany jest twardy jak wieko trumny swojej kariery, w rzeczywistości można rozwiązać język każdemu uparciuchowi, trzeba tylko wiedzieć jak. A tortury wcale nie są ostatnim argumentem...

- Mówienie prawdy leży w pańskim interesie - naciśkałam dalej, ciągle z tym samym drapieżnym uśmiechem.

- Można by pomyśleć, że mi to w czymś pomoże - odparł mężczyzna sarkastycznie, patrząc na mnie wyzywająco.

A jednak, udało się! Skoro już raz się odezwał, wyciągnięcie z niego wszystkich informacji było tylko kwestią czasu. Gdy w monolicie uporu przesłuchiwanego pojawi się choćby najmniejsza szczelina, można z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć, kiedy przemieni się on w stertę gruzu.

- Może pan liczyć na rozprawę sądową oraz na to, że sąd potraktuje pana łagodnie, uwzględniając pańską współpracę w czasie śledztwa - zauważyłam aksamitnym głosem, z najbardziej życzliwym wyrazem twarzy, na jaki było mnie stać. Zwykle właśnie ta łagodna życzliwość towarzysząca dalekiej od serdeczności rozmowie doprowadza do spazmów i wyznań, bardzo pomagając mi w mojej niełatwej pracy.

- Można by pomyśleć, że mógłbym liczyć na jakąkolwiek pobłażliwość w waszym sądzie.

- Zapomina pan, że równie dobrze mógłby pan nie dożyć rozprawy. - Uśmiechnęłam się jeszcze łagodniej,

z przyjemnością dostrzegając, że mój rozmówca drgnął. - O, chyba nie pomyślał pan, że służy prawa byłoby zdolni do zamordowania podejrzanego?! - zapytałam z udanym oburzeniem. - Wystarczy, że umieścimy pana w celi ogólnej... Biorąc pod uwagę okoliczności pańskiej sprawy i pańską przynależność rasową... Myślę, że sam potrafi pan ocenić, jak długo przeżyje pan w towarzystwie innych przestępców. Zwłaszcza z kajdanami na rękach.

Mężczyzna zagryzł wargi i popatrzył na mnie dzikim, zaszczutym wzrokiem, jak wilk, który wpadł w sidła. Nawet jeśli był świetny w walce wręcz, w kajdanach nie zdołał odeprzeć kilkunastu krwiożerczych morderców. Jednocześnie przygotowałam się do rzucenia zaklęcia ogłuszającego w razie najmniejszej oznaki niebezpieczeństwa. Nie pozwalałam sobie na luksus osłabienia czujności - gdyby więzień się na mnie rzucił, kajdany raczej nie przeszkodziłyby mu w zabiciu mnie. Chwała bogom, sama potrafiłam zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo. Grunt, żeby przesłuchiwany nie zdołał wyczuć twojego strachu, w przeciwnym razie nie wyjdiesz z sali przesłuchań żywy, nawet jeśli jesteś kilkakrotnie silniejszy od przestępcy. Zaszczute zwierzęta są wyjątkowo niebezpieczne.

Nie zaatakował mnie. Spuścił głowę, z trudem uspokajając oddech.

- Potwór - rzucił krótko.

Zabawne. A przede wszystkim - przewidywalne. Takie banały nie wyprowadzą mnie z równowagi.

- Rozumiem, że nie chce pan współpracować? - uściśliłam na wszelki wypadek, chociaż bez większych nadziei. Przesłuchiwany najwyraźniej jeszcze nie dojrzał odpowiednio. Twardy orzech do zgryzienia, będę musiała jeszcze

długo się z nim męczyć. Za to jaką satysfakcję daje pojedynek z godnym przeciwnikiem!

- Nie sądzę, by chciała pani usłyszeć to, co mogę powiedzieć - rzekł bezbarwnym tonem.

- Czyli nie powinnam liczyć na zeznania?

- Nie.

No cóż, jestem cierpliwa, mogę jeszcze poczekać...

- Wyprowadzić! - poleciłam, podnosząc głos. Strażnicy zjawili się natychmiast, dobrze wiedzieli, że nie znoszę nawet chwili zwłoki.

Przesłuchiwany z lodowatą obojętnością wstał ze stołka i bez słowa pozwolił się wyprowadzić. I znów nie udało mi się go złamać! Ale teraz, gdy już raz przemówił, nie zdoła dłużej milczeć jak głaz, a to dawało nadzieję.

Gdy tylko za moim klientem zamknęły się drzwi, odczłmęłam z ulgą i przeciągnęłam się. To jednak męczące zajęcie - przez pięć godzin z rzędu udawać szyderczo-zyczliwą uwagę. Krócej nie można, inaczej nie przyniesie to efektów. Poza tym sala przesłuchań nie była zbyt komfortowym miejscem. Z jednej strony to dobrze, można jeszcze i tym sposobem poszarpać nerwy zatrzymanemu, ale z drugiej śledczy też doświadcza wszystkich „uroków” tego miejsca. A niewielkie, mroczne pomieszczenia z zatęchłym powietrzem nie są szczytem moich marzeń.

Czyli co my tu mamy? Bardzo niejasna sytuacja... Ciało średniej córki księcia Ayrela znaleziono w ogrodzie jego willi. Obok narzędzie zbrodni i potencjalny zabójca, mężczyzna kahe, który nie wiadomo skąd się tam wziął. Dziewczyna miała wycięte serce, co jest jednym z kilku rodzajów rytualnych zabójstw przyjętych u południowych ludzi. No i jeszcze ten drań, podejrzany, który uparcie nie chce mówić. Nie chce nawet podać swojego imienia - co nie

tylko spowalnia śledztwo, ale wyjątkowo działa mi na nerwy. Oczywiście mogłabym przekazać sprawę do sądu nawet w takiej postaci, co nieludziowi zagwarantowałoby szubienicę. Mogłabym również pozwolić zabójcom wynajętym przez pogrążonego w żalu ojca dopaść kahe w więzieniu, ale to popsułoby mi reputację. Poszlaki są zbyt mgliste, żeby nie powiedzieć wątpliwe. To prawda, że narzędziem zbrodni był sztylet roboty tych przeklętych południowców kahe; prawda, że mężczyzna stał nad ciałem, a morderstwo popełniono zgodnie z tradycjami tychże kahe, ale na broni nie znaleziono odcisku aury mężczyzny, chociaż eksperci wychodzili ze skóry i niemalże odtańczyli nad tym nieszczęsnym sztyletem szamański taniec. Możliwe, że podejrzany użył magii i dlatego na broni nie zachowały się żadne ślady, możliwe też, że jego kontakt z narzędziem zbrodni był zbyt krótki... I każdy bystrzejszy przysięgły uczepi się tego „możliwe” obiema rękami. Oczywiście, biorąc pod uwagę pozycję zamordowanej i rasową przynależność podejrzanego, nie należało się spodziewać wyroku uniewinniającego, można za to przewidywać próbę kompromitacji mnie jako śledczego. A przecież nie chcę, żeby reputacja, na którą pracowałam latami, wyparowała w ciągu jednego dnia z powodu tej nieszczęsnej sprawy! A to znaczy, że będę musiała dowiedzieć się, kim jest ów pechowy kahe, skąd się wziął, co łączyło go z ofiarą i wreszcie jaki był motyw zabójstwa. Kahe to wprawdzie nieludzie, ale to jeszcze nie powód, by dorosły mężczyzna w pełni władz umysłowych przeniknął do stolicy ludzkiego państwa, gdzie na jego pobratymców patrzą spode łba, zabił córkę jednego z najbardziej wpływowych arystokratów i na dobitkę dał się aresztować.



Dobrze, do demonów z tym wszystkim, mój dzień pracy dobiegł końca. Odmelduję się u szefa i idę do domu spać. Ten przeklęty nieludź zupełnie mnie wykończył...



Szef Wydziału Śledczych Straży Królewskiej pięknego miasta Illeny, stolicy Erolu, był znużony rozmową z kolejnym petentem, który raczej żądał, niż prosił. Z jednej strony rozumiał rozpacz ojca po stracie córki, ale to było czysto prywatne współczucie, które nie miało nic wspólnego z piastowanym stanowiskiem. Jako szef Wydziału Śledczych Iten Gross był wściekły, że próbowano wywierać na niego nacisk. Nikt nie ma prawa ingerować w wymiar sprawiedliwości, nieważne, czy to książę, czy żebrak. Prawo istnieje dopóty, dopóki karze się tego, kto je łamie - jednak książę Ayrel był innego zdania. Domagał się trywialnej krwawej zemsty, która została oficjalnie zabroniona edyktem królewskim już trzysta siedem lat temu. Próby wyjaśnienia tego szlachcicowi jak dotąd spełzały na niczym. Zresztą laro Gross nie spodziewał się niczego innego.

Widząc, że nie zdoła przemówić petentowi do rozumu, szef wydziału postanowił uciec się do środków ostatecznych. Użyć broni największego kalibru.

- Czcigodny laro Ayrelu - przerwał strumień oskarżeń i gróźb arystokraty - równie dobrze może pan nic nie mówić, to nie ma żadnego sensu. Nie mam prawa wtrącać się do pracy śledczego zajmującego się pańską sprawą. Swoje uwagi powinien pan skierować nie do mnie.

- Dobrze - westchnął książę, rosły mężczyzna o siwych włosach okalających rasową twarz. - Kto prowadzi tę sprawę?

Widząc, że nie mówią mu „nie”, poczuł się znacznie pewniej. Zadarł podbródek jeszcze wyżej, najwyraźniej przekonany, że z szeregowym śledczym poradzi sobie bez większego wysiłku.

Na okrągłej twarzy naczelnika wydziału rozpląnął się zjadliwy uśmiech. Od piętnastu lat zajmował to stanowisko i potrafił przewidzieć ewentualny nacisk ze strony wpływowych krewnych ofiary - właśnie dlatego powierzył prowadzenie sprawy osobie, która umiała odeprzeć napór rozszalałej szlachty. Czasem Grossowi wydawało się, że ten śledczy wytrzymałby nawet nacisk bogów.

- Myślę, że lare Rinnelis Tyen nie odmówi wysłuchania pana - rzekł Gross z pobłażliwym uśmiechem. Nie miał zamiaru rozczarowywać arystokraty.

Rinnelis Tyen była wyjątkową żmiją - tak brzmiała opinia każdego, kto miał okazję rozmawiać z nią choćby dziesięć minut. Wręcz niewiarygodne, że taka mieszanka upor, niezachwianego przekonania o własnej racji, lodowatej obojętności i sadyzmu może się pomieścić w istocie płci żeńskiej, która niedawno skończyła dwadzieścia lat. A wszystkie te cechy były uzupełnione idealną znajomością prawa i potężnym darem magicznym.

Laro Gross był absolutnie pewien: jeśli ta jędra przeżyje, zajdzie bardzo wysoko, dlatego wołał nie psuć sobie z nią stosunków - ta świadomość bynajmniej nie budziła w nim sympatii do Rinnelis Tyen. Czasem naczelnik miał dojmującą ochotę wystać swoją podwładną do miejsca, z którego powinna wrócić w zamkniętej trumnie, ale wiedział, że próba realizacji tego zamysłu byłaby bardzo nierozsądna. Lare Tyen miała dar wychodzenia cało z najgorszych opresji, a potem zawsze rozliczała się z tymi, którzy jej te opresje zgotowali. Gdyby laro Gross był aż takim idiotą, żeby

narazić się Rinnelis Tyen, to w zamkniętej trumnie pochowałiby jego, a droga Tyen wygłosiłaby wzruszającą przemowę nad jego grobem. Żmija zawsze wszystko robiła bardzo akuratanie i naczelnik mógł być pewien, że nikt nigdy niczego by jej nie udowodnił.

- A oto i sama lare Tyen. - Gross uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiwając głową w stronę drzwi, do których ktoś właśnie zastukał. Żmija słyszała również z tego, że przestrzegała etykiety z przerażającą bezwzględnością.

- Proszę wejść.

Rinnelis nie zrobiła na księciu większego wrażenia, co było do przewidzenia - na pierwszy rzut oka wcale nie wyglądała na groźniejszą od najgroźniejszej żmii. Była dziewczyną średniego wzrostu, o dużych zielono-szarych oczach, które wydawały się naiwne i uczciwe, miała ładną owalną twarz o delikatnych rysach, małych ustach i odrobinę za długim nosie. Jednak od jakiegoś czasu w jej oczach Gross zaczął zauważać zimny i przerażający błysk.

- To ona zajmuje się sprawą zabójstwa mojej córki? - zapytał książę Ayrel z miażdżącą pogardą, ignorując przybyłą lare i demonstracyjnie patrząc na Grossa.

„Nie należało tego robić, Ekscelencjo” - uśmiechnął się w duchu laro Gross. Mimo całej wrogości do tej żmii Tyen naczelnik z dużą przyjemnością używał jej jako psa łańcuchowego, którym można poszczuć męczących petentów.

- Tak, Wasza Ekscelencjo - spokojnie odezwała się dziewczyna. - Jestem śledczym zajmującym się zabójstwem lare Ayrel.

- Moim zdaniem, nie jest pani odpowiednią osobą - rzekł książę lodowatym tonem.

- Moim zdaniem, nie ma pan prawa rozkazywać śledczym - sparowała Rinnelis z tą samą firmową obojętnością, poprawiając fioletowy płaszcz tak starannie, jakby od tego zależała jej dalsza kariera.

Cała ta sytuacja podobała się naczelnikowi coraz bardziej.

- Jak śmiesz, ty żałosna... - Szlachcica, i tak już wprowadzonego z równowagi śmiercią córki, ogarnęła pasja.

- Pańskie zachowanie może zostać potraktowane jako obraza funkcjonariusza na służbie - przerwała księciu lare Tyen, podchodząc bliżej. Tak, oto, kto się nie ugnie przed arystokracją...

Księżę cofnął się odruchowo.

- Nie życzę sobie, żeby ona zajmowała się tą sprawą! - wybuchł arystokrata, cofając się powoli.

- Nawet sam król nie ma prawa odsunąć mnie od śledztwa. Przypuszczam, że jest pan świadomy faktu, że próba wywarcia nacisku na organa prowadzące śledztwo podlega karze? - Rinnelis spokojnie dobijała księcia. - Rzecz jasna, może pan złożyć skargę na jakość mojej pracy.

Lare Tyen była równie obojętna i wyprana z emocji jak marmurowy posąg sprawiedliwości na placu Głównym.

Skargę, akurat! Pisanie skarg na Rinnelis Tyen było zupełnie beznadziejną sprawą - zawsze działała w sposób absolutnie poprawny, nigdy nie naruszała litery prawa, nigdy nikomu nie pobiła. Tam, gdzie należało dokonać wyboru między wymogami moralności i prawa, lare Tyen bez wahania wybierała prawo. Nawet gdy miała absolutną pewność, że naruszenie prawa zadośćuczyni zwykłej ludzkiej sprawiedliwości i nikt się o niczym nie dowie, lare

nigdy nie łamała prawa. Czasem wydawało się, że nie jest żywym człowiekiem, lecz jakimś potwornym mechanizmem, który wykonuje swoje zadania, nie odczuwając żadnych emocji. Ewentualna komisja kontrolna nie znajdzie nic, do czego można by się było przyczepić, zaś brak lęku przed możliwymi tego świata to dla sługi prawa raczej zaleta niż wada, prawda? Tak czy inaczej, Jego Ekscelencja nic tu nie wskóra.

- Chcę, żeby ten łajdak zawisł! - Ekscelencja Ayrel spróbował tym razem z innej beczki.

- Jeśli wina kahe zostanie udowodniona, to bez wątplenia zostanie on powieszony - odparła spokojnie Rinnelis.

- Co?! - zawołał Ayrel, wymachując rękami ozdobionymi ciężkimi pierścieniami. - Wina?! Dowiedziona? Został pojmany nad ciałem mojej córki, z bronią w ręku!!!

Dziewczyna pokręciła głową.

- W jego rękach nie było broni, to wiadomo na pewno.

- Jest mordercą!!!

- Nie wolno nazywać nikogo winnym przed udowodnieniem jego winy.

Tak, rozmowa z tym ożywionym „Zbiorem praw królestwa Erol” nie była łatwa.

- Uniewinnia go pani? - Szlachcic wpadł w furję, żyłka na jego skroni wybrzuszyła się, twarz poczerwieniała.

- Uniewinnić, jak również skazać może wyłącznie sąd królewski. Śledczy jedynie przedstawia sądowi uzyskane informacje.

- Zamordował moją córkę! Uduszę go własnymi rękami!!!

- Wówczas zostanie pan skazany za zabójstwo. Biorąc pod uwagę pańską pozycję i pochodzenie, najprawdopodobniej nie zostanie pan stracony, lecz skazany na dożywotnie więzienie.

Ta informacja wyraźnie ostudziła zapal księcia. Westchnął ciężko i spuścił głowę.

- Mogę zapłacić... - wielmoża podjął ostatnią próbę przemówienia do nieugiętej dziewczyny. Obecność świadka przy próbie wręczenia łapówki zupełnie nie spieszyła zrozpaczonego ojca.

- Informuję pana, że proponując mi pieniądze, popełnia pan przestępstwo podlegające karze więzienia do lat pięciu - żmija nie omieszkała osadzić rozpedzonego szlachcica.

- Więc czego pani chce?! - nie wytrzymał książę.

- Każdy śledczy pragnie tylko jednego: żeby sprawiedliwość zatriumfowała. Dlatego właśnie pracujemy bez wytchnienia.

Czyżby...? Należałoby raczej powiedzieć, że jeszcze nikt nie zdołał odkryć, jaką kość trzeba by rzucić temu psu łańcuchowemu, żeby zechciał zrozumieć ludzką mowę. Chociaż, szczerze powiedziawszy, nieprzekupność Rinnelis była im bardzo na rękę. Kahe oczywiście zostanie powieszony, ale zgodnie z prawem i żaden z południowych Domów nie będzie mógł twierdzić, że ich pobratymca skazano wyłącznie z powodu nienawiści do rasy kahe. To znaczy, że nikt z wysoko postawionych nie będzie obwiniał wydziału ani zarzucał mu niekompetencji, a co za tym idzie, nie będzie problemów z premiami - żadna ze spraw, które prowadzili podwładni laro Grossa, nie mogła spowodować problemów. Jeśli nawet Tyen nie wydobędzie z nieludzia przyznania się do winy, to na pewno wykopie spod ziemi

niepodważalne jej dowody. Żmija była najlepszą z najlepszych w swoim fachu, co należało bezstronnie przyznać.

- Mogę obiecać panu jedno: winny śmierci pańskiej córki zostanie znaleziony i oddany pod sąd - lare Tyen zlitowała się nieco nad arystokratą.

Księżę przygarbił się, najwyraźniej uważał, że kara wymierzona przez sąd nie zdoła zaspokoić jego pragnienia zemsty.

- To najlepszy z moich śledczych, Ekscelencjo - rzekł laro Gross, chcąc nieco ulżyć cierpieniom nieszczęsnego ojca. - Lare Tyen nie ma na swoim koncie ani jednej nierozwiązanej sprawy.

- Wierzę - rzucił mężczyzna z cichą nienawiścią i pospiesznie opuścił gabinet naczelnika, ze złością trzaskając drzwiami.

Lare śledcza z nikłym zainteresowaniem popatrzyła za nim, pogrążona w swoich myślach.

Gdyby zabójcą był człowiek, laro Gross bez zastanowienia pomógłby krewnym zamordowanej i przestępca nie dożyłby dnia rozprawy, ale, niestety, podejrzanym był kahe, a to groziło poważnymi komplikacjami.

- Naprawdę nie ma żadnych dowodów przeciwko temu łajdakowi? - zapytał naczelnik.

- Żadnych bezpośrednich - pokręciła głową Rinnelis, wdychając.

- A narzędzie zbrodni? - stropił się Gross.

- Tak jak powiedziałam Jego Ekscelencji, na broni nie ma śladów kahe. - Lare Tyen wzruszyła ramionami.

- Został ujęty nad ciałem ofiary!

- To można by objaśnić na tysiąc sposobów - sparowała śledcza, krzywiąc się z irytacją. Jednak chwilę potem opanowała się i jej twarz znowu przybrała obojętny wyraz.

- A który z nich wybrał kahe?  
- Żadnego - odpowiedziała żmija, mrużąc oczy. -  
Milczy. Nie chce podać nawet swojego imienia.

No, no, no... Znalazł się ktoś, kto nie zaczął gadać przy Tyen? Na jej przesłuchaniach ludzie szlochają, skręcając się ze strachu! Ona jest w stanie w ciągu jednej doby wydobyć zeznania z kamienia!

- Beznadziejny przypadek? - zapytał Gross, wzdrygając się w głębi ducha.

Lare Tyen wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Laro Gross wzdrygnął się znowu.

- Dlaczego? Już go nadłamałam, za tydzień wszystko wyśpiewa. Nawet to, czego nie może wiedzieć... - dodała z tym samym uśmiechem.

Ten, kto nie znał dobrze tej suki, mógłby pomyśleć, że wyciąga zeznania torturami, w dodatku z ludzi niewinnych. Gdybyż tak było... Niestety, Rinnelis Tyen nie uciekała się do tortur, wołała naciskać na psychikę. Gdy zaś zyskała pewność, że podejrzany nie popełnił zarzucanego mu czynu, bez mrugnięcia okiem wypuszczała go ze swoich łap, grzecznie przepraszając.

- Coś się pani nie podoba w tej sprawie? - odważył się spytać laro Gross.

- Owszem. - Tyen skinęła głową z tak nieobecną miną, że stało się jasne: nie ma zamiaru dzielić się swoimi wątpliwościami. Jak zawsze zresztą. Rozkazywać jej się nie dało, a grożenie było bezsensowne i niebezpieczne.



Tak jak przypuszczałam, krewni zamordowanej próbowali wyjaśnić mi, jak powinnam pracować. No, no...



Naczelnik świetnie wiedział, komu powierzyć tę sprawę, żeby jakakolwiek próba nacisku została skazana na niepowodzenie. Gross mnie nie znosił i chyba się bał, co nie przeszkadzało mu wykorzystywać mnie z korzyścią dla ogółu zainteresowanych. W efekcie wszyscy, nie wyłączając mnie, byli zadowoleni - dlatego nie miałam pretensji do laro naczelnika. Dopóki nie robił mi świństw, jego opinia na temat mojej skromnej osoby była mi obojętna. Znacznie bardziej interesowało mnie rozwiązanie sprawy tego zabójstwa. Jeśli podejrzany nie chce się ugiąć, trzeba poszukać świadków. Raczej nie znajdą się świadkowie zabójstwa, ale chyba ktoś powinien wiedzieć, po co kahe pchał się do ogrodu księcia? Ale równie dobrze mogłam zastanowić się nad tym jutro, mój dzień pracy dobiegł końca, mogłam więc z czystym sumieniem wrócić do domu i wreszcie się wyśpać.

Wynajmowałam mieszkanie w centrum miasta, niedaleko naszego wydziału, w dość cichym miejscu. Właściwie mogłabym mieszkać u rodziców, ale oni mieli dom pod miastem i miałabym daleko do pracy. Poza tym od dzieciństwa dążyłam do niezależności, dlatego gdy zaczęłam zarabiać wystarczająco dużo, przenieśliam się bliżej wydziału i rozkoszowałam absolutnym spokojem i wolnością. Mieszkał ze mną tylko kot - taktowny zwierzak, nienarzucający mi się zbyt. Zawarliśmy pakt o neutralności, którego nie naruszała żadna ze stron. Ja kocura karmiłam, a on informował mnie o nieproszonych gościach i na miarę swoich kocich sił pomagał mi pozbywać się owych gości.

Tym razem Kerri powitał mnie na ganku domu, w którym wynajmowałam mieszkanie. Kot ze złością łypał żółtymi oczami - najwyraźniej goście byli nie tylko nieproszeni, ale również niebezpieczni.

- Dziękuję - powiedziałam samymi wargami.

„Że też ty zawsze musisz się w coś wpakować!” - wy-  
czytałam w złośliwych ślepiach z wąskimi źrenicami.

Być może rozmawianie z własnym kotem to jakiś szcze-  
gólny rodzaj obłędu, ale fakt pozostaje faktem: ostrzeżenia  
mojego pupila nie raz ratowały mi życie. Przy moim stylu  
pracy nie sposób żyć spokojnie i bezpiecznie, a Kerriego  
ciężko nazwać zwykłym zwierzątkiem domowym.

Aktywowałam parę amuletów obronnych i przygotowa-  
łam kilka zaklęć bojowych, które miały ewentualnie prze-  
konać przybyłych o tym, że jestem zbyt niebezpieczna, by  
paść ich ofiarą. Władam magią w wystarczającym stopniu,  
żeby być pewną własnych sił.

Do drzwi swojego mieszkania szłam bezgłośnie kro-  
kiem, którego nauczono mnie w Akademii Państwowej.  
Mogłabym nawet podkraść się do elfa, oczywiście pod wa-  
runkiem, że ten nie spodziewałby się ataku. Do czujnego  
nieludzia nie da się podejść niezauważenie bez użycia spe-  
cjalnych zaklęć...

Pchnęłam drzwi falą mocy. Proste i efektowne, ponadto  
zmniejsza szanse spotkania z bełtem, gdyby ktoś ośmielił  
się mierzyć do mnie z kuszy w moim własnym mieszkaniu.  
Tym razem jednak nikt nie próbował mnie zastrzelić i to  
wzbudziło mój niepokój. Jeśli napastnik nie ucieka się do  
najprostszego sposobu usunięcia cię z tego świata, to zna-  
czy, że szykuje coś bardziej wymyślnego.

Zastygłam w otwartych drzwiach. Żadnych obcych  
dźwięków, a przecież Kerri nie siedziałby na progu bez  
powodu. Zaklęcie szukające zerwało się z moich rąk niemal  
bez udziału umysłu - odpowiedź przyszła natychmiast: gość  
był jeden, nieludź i do tego mag, ale poradzę sobie. Dosko-  
nale.

Zaraz zatańczymy.

Weszłam zdecydowanym, szybkim krokiem; korytarz był pusty, ruszyłam dalej; na przybysza natknęłam się w pokoju gościnnym.

Był wysoki, czarnowłosy, smagły. Miał regularne rysy twarzy, ale kości policzkowe zbyt wysokie i osobliwy kształt oczu.

Kahe.

Hm, dość niewygodny układ. Bronią posługiwałam się słabo. Zresztą kobieta nie jest stworzona do używania zabójczego metalu - w każdym razie normalna ludzka kobieta nie jest do tego stworzona. A mężczyzna kahe sam z siebie jest bronią doskonałą, ukształtowaną przez samych bogów. Żeby mnie zabić, nie potrzebuje niczego prócz własnych rąk. Ja ze swoimi zakłęciami przeciwko magowi i wojownikowi w jednej osobie. Mogę nie dać rady.

Ale to jeszcze nie powód, żeby się poddać! Zbyt wielu zapłaciło za beztroskę, uważając mnie za bezbronną.

Ubrany był w ludzki strój, czarne włosy spiął w ogon. Liliowe oczy o dziwnym kształcie, choć nie po elfiemu migdałowe, można by w pierwszej chwili uznać za ludzkie, jednak kto raz je ujrzał, ten już nigdy z niczym ich nie pomyli.

Kahe patrzył na mnie uważnie, ale nie robił żadnych gwałtownych ruchów. Ja też nie. Najlepiej byłoby powstrzymać się od walki, a już na pewno nie powinnam atakować jako pierwsza.

Milczenie, które zawisło w powietrzu, wydawało się wręcz namacalne - dla kahe pewnie ciężkie i dławiące, dla mnie było naturalne. Praca śledczego każdego może nauczyć opanowania i spokoju.

- Dijes Rinnelis Tyen? - nie wytrzymał gość. Głos go zdradził: kahe był strasznie zdenerwowany i czuł się niepewnie w moim towarzystwie.

- Lare Rinnelis Tyen - poprawiłam go. - Nie wiem, czy w stosunku do mnie może mieć zastosowanie zwrot, którego kahe używają między sobą.

- Ee, oczywiście... proszę o wybaczenie, lare... - teraz w głosie przybysza zadźwięczało stropienie. - Czy mogę z panią porozmawiać?

Prośba zabrzmiała dziwnie nieśmiało w ustach wojownika, który mógłby mnie pokonać bez większego trudu.

- Proszę spróbować - odparłam obojętnie, nie mając zamiaru ułatwiać mu zadania. Teraz mogłam pozwolić sobie na szczyptę beczelności.

- Lare Tyen, chciałbym porozmawiać z panią na temat mojego rodaka... - powiedział speszony kahe.

Udałam, że nie rozumiem, o kim mowa, ale w mojej głowie rozległo się pstryknięcie. Być może zdołam poznać choćby pochodzenie podejrzanego. To miłe...

- Nie wiem, o czym tu mówić. - Wzruszyłam ramionami, nakładając maskę uprzejmości. Trafił mi się nie byle kto, zapewne świadek! - Nie mam zaszczytu znać ani pana, ani tym bardziej pańskiego pobratymca.

- Jest oskarżony o zabójstwo lare Ayrel... - sprecyzował gość, spuszczać wzrok i czerwieniejąc. Na jego ciemnej skórze rumieniec nie rzucał się w oczy, ale dało się go zauważyć.

- Jest PODEJRZANY o zabójstwo lare Ayrel - odparłam.

- Dla nieczłowieka w waszym kraju oznacza to jedno i to samo, lare - uśmiechnął się gorzko kahe. - Śmierć. Ale

z tego, co słyszałem o pani, lare Tyen, wywnioskowałem, że sprawiedliwość nie jest pani obojętna...

- I czego pan ode mnie oczekuje? - zapytałam spokojnie. Sprawiedliwość? Ciekawe, gdzie mógł usłyszeć o mnie coś tak nedorzecznego?

- Niech pani znajdzie prawdziwego zabójcę, lare - wypalił mężczyzna, patrząc na mnie z szaleńczą nadzieją.

- A jeśli to wasz pobratymiec okaże się zabójcą?

Zapanowała cisza; nadzieję w oczach kahe zastąpiła rozpacz.

- Nie. On nie mógł zabić - rzekł z przekonaniem, które - mogłabym przysiąc - miało maskować dręczące go wątpliwości.

- Kahe to urodzeni wojownicy - zaoponowałam.

- To prawda, lare. - Skinął głową. - Ale co innego zwyciężyć w walce równego sobie, a co innego zabić słabszego. Ludzie nie są dla nas zdobyczą, lare.

- Jeśli pański krewny jest niewinny, to przyrzekam, że nic mu się nie stanie. Nie pozwolę, by niewinny odpowiadał za czyn, którego nie popełnił. Czy to pana satysfakcjonuje? - spytałam sucho, wbijając w kahe lodowate spojrzenie.

Ten westchnął ciężko, ale mimo wszystko skinął głową.

- Oczywiście, że tak, lare Tyen, nie śmiałem na to liczyć... Nie wiem, jak mógłbym się pani odwdziżyć...

- A ja wiem. - Uśmiechnęłam się drapieźnie.

Mężczyzna spieszył się, popatrzył na mnie podejrzliwie. Aha, skoro wie o mojej nieprzekupności, to znaczy, że dobrze się przygotował przed wizytą u mnie.

- Rzecz w tym, że pański krewny przejawia zdumiewający upór. Nie chce odpowiadać na żadne pytania, nie

znam nawet jego imienia. Ale wydaje mi się, że pan mógłby zaspokoić moją ciekawość, prawda?

Nieludź rozjaśnił się. Albo moja prośba dała mu pewność, że nie planuję go oszukać i faktycznie mam zamiar znaleźć mordercę, a nie zwalić winę na pierwszego lepszego, albo mężczyzna po prostu nie miał pieniędzy na łapówkę.

- Oczywiście, lare, odpowiem na wszystkie pani pytania! - zapewnił kahe, jak dla mnie, trochę zbyt szybko.

Ofiara, oceniałam przybysza. Być może w walce jest rzeczywiście niewiarygodnie silny, ale w czasie przesłuchania byłby bardziej bezradny niż ślepy kociak. Nie to co jego krewny, który w kontaktach ze mną wybrał jedyną słuszną taktykę. Nie zdołam nic wyciągnąć z człowieka (czy nieludzia) wyłącznie wtedy, gdy przesłuchiwany milczy. Proste i efektywne. A z tego kahe nawet nie trzeba niczego wyciągać, sam z radością wypapla wszystko, nie wyłączając tajemnic swojego Domu.

- Wobec tego niech się pan przedstawi, proszę - zaczęłam.

- Taellon Aen z Domu Erris - odpowiedział posłusznie.

- Aen z Domu Erris? - powtórzyłam, pozwalając sobie na okazanie zdumienia. Albo mającę, albo ta historia jest znacznie bardziej zaplątana, niż mi się zdawało.

- Tak, lare - skinął głową Taellon, patrząc na mnie szczerym spojrzeniem. Ha, rzeczywiście mówił prawdę. Gdyby skłamał, wyczułabym to.

- Panujący ród najsilniejszego Domu kahe? - sprecyzowałam, myśląc, że może źle usłyszałam.

- Tak, lare.

Na bogów i demony! Coś mi się wydaje, że tym razem będę miała okazję poprowadzić naprawdę ciekawą sprawę.

- Imię pańskiego krewnego?
- Riencharn Aen z Domu Erris. To mój wuj, lare.

Dwóch szlachetnie urodzonych kahe na ziemiach ludzi. Incognito. Niepojęte...

- Jest od pana starszy?
- Tak, lare, o dwieście siedemdziesiąt lat. To mój opiekun.

- A ile pan ma lat? - zapytałam. Informacji nigdy za wiele.

- Sto trzydzieści cztery - wyznał kahe stropiony.

Małolat, który został sam, bez opieki dorosłych. To dlatego przyszedł właśnie do mnie! Inny kahe, dorosły i doświadczony, nigdy by się na to nie odważył, ale ktoś, kto myśli jak nastolatek... Wiecznie żyjący bardzo starali się ukryć fakt, że dorastają kilkakrotnie dłużej niż ludzie, a ludzie i tak się o tym dowiedzieli, chociaż nie wszyscy.

- Przyjechał pan razem z laro Riencharnem? - spytałam, chcąc ostatecznie wyjaśnić sytuację.

- Tak, przyjechaliśmy razem. Nie był zbyt zadowolony, ale mimo wszystko pozwolił mi jechać ze sobą.

A to ciekawe! Albo Riencharn jest kompletnym durniem, albo...

- Czy laro Riencharn wspominał panu o celu swojej wizyty w Illenie?

- Nie, powiedział, że to wyłącznie jego sprawa i ja nie muszę tego wiedzieć - rzekł Taellon z pewnym rozdrażnieniem. Widocznie starszy krewny niezbyt taktownie dał siostrzeńcowi do zrozumienia, żeby ten nie pchał się tam, gdzie go nie proszą.

- Czy w jego zachowaniu było coś niezwykłego?
- Wuj był trochę podenerwowany, poza tym nie uważałem nic szczególnego. Wydaje mi się, że nie spodziewał się żadnych kłopotów.
- A skąd pan wie, komu powierzono sprawę pańskiego krewnego? - spytałam zaciekawiona.
- Ee... podsłuchałem pod oknami waszego wydziału - wyznał nieładź, czerwieniejąc. - Dużo o pani mówiono...

Coraz lepiej... Jak się okazuje, posiadanie dobrego słuchu jest czasem szalenie przydatne.

Gdy dowiedziałam się od młodego kahe wszystkiego, co uważałam za potrzebne, wpadłam w wyśmienity humor. Może wreszcie uda mi się dobrać odpowiedni klucz do tego opornego kahe. Myślę, że gdy laro Riencharn usłyszy z moich ust swoje imię, będzie bardzo, ale to bardzo zdumiony. A przecież w moich rękach jest nie tylko imię, prawda?

Można będzie spróbować przycisnąć kahe, używając do tego siostrzeńca... którego należałoby umieścić w bezpiecznym miejscu w celu uniknięcia niepotrzebnych kłopotów. Jeszcze mi tylko brakuje tłumaczenia się z trupa zamordowanego nieładź.



Ludzie nie potrafią nic, ale więzienia robią doskonałe: wilgotne, zatęchłe i wstrętne. I jeszcze świetnie kształcą swoich śledczych, wyciągając z nich wszelkie ludzkie uczucia - nie ma w nich ani współczucia, ani zrozumienia, nic, co czyniłoby żywą istotę rozumną.

Gdy Riencharn po raz pierwszy zobaczył młodą dijes prowadzącą jego sprawę, pomyślał: może jednak będzie



dobrze? Dijes Tyen była uprzejma i życzliwa, choć w zdumiewający sposób przypominała kobrę z zaciekawieniem oglądającą mysz, która z głupoty weszła jej w drogę. Jego, kahe, dijes traktowała jak przedmiot, jak swoją ofiarę. Nie istniała dla niej teraźniejszość i przyszłość, interesowała ją jedynie przeszłość, i to wyłącznie w aspekcie zdobycia odpowiednich informacji. Z rąk dijes Tyen nie można się było wyrwać, podobnie jak nie można było wyrwać się ze szponów samej śmierci.

Głuptas Taellon został gdzieś w tym mieście, sam jeden, zagubiony - a za chwilę zacznie się nagonka na wszystkich kahe. Riencharn znał ludzi i mógłby przysiąc: będą zabijać jego pobratymców dziesiątkami, bez sądu i śledztwa. Całkiem możliwe, że jego siostrzeniec również padnie ofiarą ludzkiej wściekłości...

Przyprowadzili go na kolejne przesłuchanie do tej samej sali bez okien, gdzie czekała na niego ta sama dijes Tyen w tym samym fioletowym płaszczu. Wyglądała identycznie jak przy ich pierwszym spotkaniu i miała ten sam uśmiech: doskonale uprzejmy i absolutnie martwy.

„Największa suka rodzaju ludzkiego” - pomyślał kahe, przygotowując się na wielogodzinne tortury, które za każdym razem szykowała mu śledcza.

Z elegancją i precyzją wytrawnego szermierza uderzała we wszystkie jego czułe punkty, z rzeczowym zainteresowaniem obserwując reakcje. Za każdym razem ciosy stawały się bardziej celne i coraz trudniej było mu zachować opamiętanie. Dijes Tyen znała się na swoim fachu. Co miała dla niego dzisiaj?

- Dzień dobry, Iaro Riencharnie Aenie - powitała go swoim dyżurnym uśmiechem.

Kahe poczuł się tak, jakby jednym ciosem wybito mu powietrze z płuc. Skąd wiedziała? Czyżby jednak złamali jego blokadę telepatii? Albo... albo znaleźli kogoś, kto mógł podać im jego imię.

Przemiła dijes śledcza oczywiście spostrzegła jego strach i ta reakcja na jej słowa sprawiła jej wyraźną przyjemność.

- Myślę, laro Aenie, że możemy kontynuować naszą rozmowę? - Rinnelis uśmiechnęła się, patrząc na niego ciężkim wzrokiem.

Co ona wie? I przede wszystkim - od kogo?! Na Przodków... Tylko nie ten małeletni głuptas! Gdybyż tylko Taelonowi wystarczyło rozumu, żeby szybko wynieść się z miasta...

Przed nosem kahe zakołysał się srebrny medalion w kształcie kruka z rozłożonymi skrzydłami. Ozdoba, którą ma każdy członek rodu. Nie należał do Riencharna, jego medalion był nieco większy, a wzór na skrzydłach symbolu ich Domu - odmienny. Ten kruk należał do jego siostrzeńca...

Mężczyzna rzucił się na dijes, zanim zdążył pojąć, co robi. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł tak straszliwej, morderczej wściekłości. Zabić gadzinę! Wprawdzie nie mógł użyć zaklęć, zadbali o to magowie Straży, ale na pewno zdoła skrócić jej kark! Kahe poruszają się szybciej niż ludzie, żmija nie zdąży nawet niczego zrozumieć.

A jednak człowieczka zdążyła uchylić się przed jego błyskawicznym atakiem! Zdążyła! Wstrząśnięty zawahał się na sekundę i właśnie z tej sekundy skorzystała dijes - błyskawicznie znalazła się za jego plecami i ogłuszyła go. Nie, nie magią - stołkiem, na którym kahe zwykle siedział w czasie przesłuchań. Stołek okazał się mniej solidny niż

głowa mężczyzny, ale wystarczył jeden cios, żeby przed oczami południowca wszystko popłynęło, a w uszach rozległo się nieprzyjemne dzwonięcie. A potem skrępowało go zakłęcie paralizujące.

- No i czemu pan tak, laro Aenie...? - zapytała człowieczka z udawanym żalem, patrząc swoimi zimnymi szarzielonymi oczami prosto w oczy Riencharna.

A kahe spoglądał na nią z dziką nienawiścią, dając do zrozumienia, że przy pierwszej okazji z najwyższą przyjemnością odeśle dijes Tyen do Białej Pani.

- Nie należy zachowywać się w tak nieprzemysłany sposób... Chyba nie chciałby pan, żeby coś złego stało się pańskiemu siostrzeńcowi?

Ani w głosie, ani w spojrzeniu dziewczyny nie było triumfu - dijes po prostu informowała swoją ofiarę. I chyba właśnie to sprawiło, że kahe wzdrygnął się z przerażenia.

Ta człowieczka nie czuła do niego nic, żadnych osobistych uczuć, żadnej nienawiści czy wrogości. Ona jedynie wykonywała swoją pracę. Pewnie zabiłaby go z równie życzliwym wyrazem twarzy. To było... straszne.



Stałam nad kahe... i milczałam. Zdołałam wygłosić tylko zawczasu przygotowane zdania, potem głos odmówił mi posłuszeństwa. Zawsze myślałam, że moje nerwy są z najlepszej stali, ale gdy znalazłam się twarzą w twarz z rozwścieczonym nieludziem, poczułam przerażenie. Czegoś takiego nie doświadczyłam jeszcze nigdy w życiu... A przecież nie mogłam pozwolić, by zauważył mój strach, gdyż wtedy cała moja praca poszłaby na marne i śledztwo można by uznać za zakończone.

Na twarzy leżącego na podłodze Riencharna Aena spoza osłupienia powoli wyłaniało się przerażenie, jakby zobaczył samą boginię śmierci. Z ulgą zrozumiałam, że wygrałam tę rundę.

- Myślę, że potrzebuje pan czasu na zastanowienie, laro Aenie. - Uśmiechnęłam się odruchowo i niespiesznie opuściłam salę przesłuchań. Chwała bogom, struny głosowe mnie nie zawiodły i mój głos brzmiał tak samo jak zwykle.

Dopiero gdy znalazłam się po drugiej stronie grubych drzwi, bezsilnie osunęłam się na podłogę, czując, że drzę jak w febrze. Objęłam się rękami i przez dwadzieścia minut siedziałam oparta plecami o drzwi, szlochając. W tym momencie nie miałam najmniejszych pretensji do strażnika, który opuścił posterunek - jeszcze by tego brakowało, żeby ktoś zobaczył mnie w tak godnym pożałowania stanie.

O bogowie... Oczywiście spodziewałam się takiej reakcji kahe i przygotowałam się odpowiednio, podkreślając swoje reakcje przy pomocy czarów i eliksirów. Właściwie nie było realnego zagrożenia... Ale, na bogów, jakie to było straszne... To się właśnie nazywa zajrzeć śmierci w oczy. Moja śmierć miała liliowe oczy o nieuchwytnie nieludzkim kształcie.



Riencharn Aen siedział na podłodze w sali przesłuchań, oparty plecami o drzwi. Przegrał. Przegrał ostatecznie i nieodwracalnie. Wszystko i wszystkich. Już nie mogło być gorzej. Dopadli również jego siostrzeńca, a przecież chłopak nie jest niczemu winien prócz tego, że jest do niego

zbyt mocno przywiązany! Tael jest za młody, nie może umrzeć... Dlatego on, Riencharn, będzie musiał opowiedzieć ludziom o wszystkim. Kahe był pewien, że śmiertelnicy nie ograniczą się jedynie do sprawy zabójstwa księżniczki, że będą chcieli wyciągnąć z niego również tajemnice Domu Erris i choć słynął ze swojej siły woli i opanowania, będzie musiał opowiedzieć o wszystkim... Strach pomyśleć, jaki los czekałby Taela, gdyby Riencharn odmówił spełnienia żądań ludzi! Zresztą z chłopaka wycisną wszystko, co się tylko da. Przedtem Riencharnowi groziła tylko śmierć, teraz jeszcze hańba. Po policzkach kahe płynęły łzy poniżenia i rozpacz, których nie potrafił powstrzymać.



**P**owracającego wartownika powitała rozdrażniona lare Tyen, która lodowatym tonem udzieliła mu nagany za opuszczenie posterunku i zagroziła złożeniem raportu. Na mojej twarzy nie było nawet cienia strachu, który trząśł mną jeszcze dziesięć minut temu - wyglądałam dokładnie tak, jak zwykle. To dodało mi pewności siebie, sprawiło, że poczułam się lepiej.

Zresztą wyprowadzany przez strażnika kahe również wyglądał na opanowanego. Nawet czarne włosy miał przygładzone. Jak mógł po ciosie w głowę i upadku tak dobrze wyglądać? No tak, przecież to nieludz...

- Spotkamy się jutro, laro. - Uśmiechnęłam się do przechodzącego obok mnie więźnia. Ten wzdrygnął się i popatrzył na mnie jak dziecko na głodnego wampira.

Doskonale. Ryzyko było duże, ale gra warta świeczki. Teraz czcigodny laro Aen powie mi wszystko, co chcę wiedzieć, a może nawet więcej.

Strażnik zauważył strach mojego klienta i rzucił mi załknięte spojrzenie. I tak wszyscy odnosili się do mnie z respektem, a teraz, gdy zobaczyli, do jakiego stanu

doprowadziłam wyniosłego, nieustraszonego kahe, zaczął się jękać na mój widok.

Jednak laro Gross nie powinien wiedzieć, kogo tu mamy - wówczas nie oparłby się pokusie zasłużenia się wyżej stojącym i od razu doniósłby komu trzeba. Kahe z rządzącego rodu Domu Erris to bardzo łakomy kęsek, Jego Wysockość na pewno nie omieszkałby nacisnąć południowców. A ja nie zamierzam pozwolić, by ktokolwiek ingerował w moje śledztwo, nawet sam król, nawet w imię interesów państwa! Chcę sama doprowadzić tę sprawę do końca.



W domu czekały na mnie dwie głodne istoty: kot i mała kahe. Ten ostatni również musiał jeść, a surowa ryba mu nie wystarczy. Umieję i lubię gotować, ale po ekstremalnej rozmowie z wujaszkiem tego przemiłego młodzieńca byłam zupełnie wyczerpana. Jednak nie chciałam oddawać kuchni w ręce istoty płci męskiej - mogłoby się to okazać większą klęską niż najazd orków. Zaciśnięłam zęby i mimo wszystko przygotowałam kolację... to znaczy obiad. Przy okazji oddałam rodzinną ozdobę prawowitemu właścicielowi - laro Taellon powierzył mi medalion z bólem w sercu i tylko dlatego, że powiedziałam, iż wymaga tego dobro laro Riencharna.

Chłopak bardzo martwił się o swojego wuja i co chwila pytał, jak on się czuje. Plotłam w natchnieniu, że laro Riencharn czuje się dobrze, że tęskni za swoim siostrzeńcem i ma nadzieję, że cała ta historia zostanie wkrótce wyjaśniona. No przecież mu nie opowiem, że udało mi się doprowadzić jego wujka do szału! Ani o tym, że najpierw on omal

nie skręcił mi karku, a potem ja mu groziłam. Myślę, że laro Taellon by tego nie zrozumiał.

- Czemu nie powie pani swojemu zwierzchnictwu, kim jest mój wujek? Może wtedy potraktowaliby go z większym szacunkiem? - podsunął nieśmiało kahe.

Właśnie kroiliśmy pomidory i mimo swego słynnego opanowania omal nie przejechałam ostrzem po palcu.

- Laro Taellonie, czy pan rozumie, co pan mówi? - zapytałam młodszego kahe z łagodną ironią.

- Tak... - skinął głową Taellon. Zrozumiał, że nie aprobuję jego sugestii, ale jeszcze nie wiedział dlaczego. - A o co chodzi?

- Laro Taellonie, czy pamięta pan, do jakiego Domu macie zaszczyt należeć? - spytałam.

- Tak...

- I wie pan, jaki wpływ posiada wasz Dom?

- Tak - potwierdził, nadal nie rozumiejąc.

- W takim razie proszę spróbować sobie wyobrazić, co mógłby zrobić nasz król, gdyby w jego rękach znalazł się przedstawiciel waszego Domu, w dodatku noszący czerń.

- Ale... - spieszył się nieludź, do którego zaczęło chyba coś docierać.

- Niech pan nie zapomina, laro: ludzie niezbyt życzliwie odnoszą się do waszej rasy, musimy postępować odpowiednio delikatnie.

- Ależ, lare, przecież pani... - próbował zaprotestować kahe.

- Ja jestem przypadkiem szczególnym, dla mnie prawo jest ważniejsze niż triumf czyichś tam interesów, laro Aenie. Dlatego nie spieszę zawiadomić zwierzchników o tym, kto znalazł się w rękach Straży. I dlatego nie



przekazałam jeszcze sprawy pańskiego wuja do sądu. Nie chcę, żeby powieszono go tylko dlatego, że jest idealnym kozłem ofiarnym, potrzebuję prawdziwego przestępcy. Proszę nie myśleć, laro Aenie, że jestem uosobieniem dobroci i pomagam panu z miłości do wszystkiego, co żyje.

- Wcale tak nie myślałem, lare Tyen - zapewnił mnie kahe, ale z jego smętnej miny wywnioskowałam, że dokładnie tak myślał. Zdumiewająca naiwność w tym wieku... Ja, już mając dziesięć lat, wiedziałam, że nikt nie robi niczego z miłości do bliźniego, a jeśli już ktoś komuś pomaga, to wyłącznie z wyrachowania. Inaczej się nie zdarza. Chociaż czasem człowiek bardzo by chciał...

Taellon jadł aż mu się uszy trzęsły, zapominając o manierach, musiał być naprawdę głodny. Patrzyłam na to ze skrywaną przyjemnością. Swoją drogą, nakarmienie mężczyzny sprawia ogromną satysfakcję - od razu czujesz się mistrzem sztuki kulinarnej. Kobiety są pod tym względem zupełnie bezużyteczne - obsesyjnie przejęte nadwagą, jedzą mało i niechętnie albo z kwaśną miną: „Zjadłabym, ale mi nie wolno”. Mężczyźni są zwykle dalecy od takich rozterek, jedzą ze smakiem i tyle, ile dusza zapagnie. Miłe.

- Lare Tyen, jest pani doświadczoną śledczą, proszę mi powiedzieć, jak pani myśli, czy mój wujek jest winny? - Gdy tylko kahe zaspokoił głód, od razu zaczął gadać, nie trzeba było być jasnowidzem, by domyślić się, co będzie tematem rozmowy.

Zamknęłam oczy i zaczęłam w myślach gromadzić fakty i własne przemyślenia o starszym nieludziu, jego reakcje, mimikę, gesty. Język ciała rozmówcy może ci dużo powiedzieć, nawet o tym, co ów chciałby ukryć. Teraz w mojej

głowie zaczął pracować sprawdzony mechanizm, powstały jeszcze w czasie studiów w akademii. Żadnych emocji, żadnych pierwszych wrażeń, na to wszystko nie ma w śledztwie miejsca, należy zająć się wyłącznie faktami.

Taellon milczał, patrząc na mnie z nabożną czcią.

- Prawdopodobieństwo jest bardzo niewielkie - wygłosiłam werdykt. - Pański krewny nie ma instynktu zabójcy.

Chociaż o mało nie skręcił mi karku.

- Chwała Przodkom! - odetchnął nieludź.

- Nie powiedziałam, że na pewno tego nie zrobił - zaznaczyłam, patrząc na chłopaka ze zdumieniem.

- Ale powiedziała pani, że prawdopodobieństwo jest niewielkie, a ja wierzę swojemu wujowi... i pani, lare Tyen!

Tego mi tylko brakowało...



Następnego ranka dijes Tyen znów uszczęśliwiła Riencharna rozmową. Dziewczyna wyglądała dokładnie tak samo, jak zwykle: spokojna, kpiąco-życzliwa i uprzedzająco grzeczna. Tylko teraz w jej oczach lśnił triumf. Nic dziwnego, dijes miała w ręku wszystkie atuty, a Riencharn stał na góry przegranej pozycji. Jednak najważniejsze, żeby Taellowi nic się nie stało. Chłopak musi żyć, musi!

- Myślę, laro Aenie, że mamy dziś interesujący temat do rozmowy. - Człowieczka uśmiechnęła się promiennie. Nic dziwnego, dijes Rinnelis zdołała wreszcie złamać opór kahe.

Riencharn milczał ponuro, rozumiejąc, że wszystko, co powie, będzie dowodzić jego bezsilności, a tego nie chciał.

- Mam to rozumieć jako kolejną odmowę współpracy? - sprecyzowała śledcza, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- Niech pani pyta, dijes - poddał się kahe, rozumiejąc, że to koniec.

- Wolałabym zwrot „lare” - odparła dziewczyna, siadając naprzeciwko Riencharna w głębokim, wygodnym fotelu. Mężczyznę uparcie sadzała na stołku, na którym można było najwyżej balansować, na pewno nie siedzieć. Kahe rozumiał, że to jeden z najprostszych sposobów wyprowadzenia przesłuchiwanego z równowagi. Dziecinny, ale, o dziwo, skuteczny. Dijes z zasady nie stosowała nieskutecznych środków nacisku.

- Dobrze, lare - poprawił się Riencharn, postanawiając, że w myślach i tak będzie nazywał ją „dijes”. Zwracać się do niej „lare” oznaczałoby nie doceniać groźnego przeciwnika.

Rinnelis skinęła głową, a w jej oczach zapaliły się znane już kahe drapieżne ogniki, świadczące o tym, że zabawa w kotka i myszkę znów się zaczęła. A on, niestety, w tej grze nie był kotem.

- Skoro jest pan dzisiaj w tak dobrym nastroju... - Dijes uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Riencharn był akurat w wyjątkowo podłym nastroju, ale w jego sytuacji nie było mowy o stanowczym „nie”. Gdyby Tael nie znalazł się w rękach Straży, ze starszego kahe nie wyciągnęliby ani słowa! Ale mieli go i Riencharn był gotów opowiedzieć wszystko tej ludzkiej dziewczynie, siedzącej naprzeciwko niego z drapieżnym uśmiechem na ustach.



Kahe patrzył na mnie tak, jakbym stała obok otwartej żelaznej dziewicy i szerokim gestem zapraszała go do wejścia. Rzecz jasna, nie zamierzałam torturować czcigodnego laro Aena. Tortury to środek ostateczny, po który sięga się wyłącznie wtedy, gdy nie ma już innego wyjścia. Ponadto uciekanie się do tortur to brak profesjonalizmu, a ja nie chałturzę i nie lubię, gdy robią to inni.

Ale zdaje się, że laro Aen wołałby tortury... A może byłoby mu łatwiej, gdyby ktoś na jego oczach torturował siostrzeńca? Wtedy być może nie czułby się takim nieudacznikiem i zdrajcą. Wnioskując z jego zaszczutego wzroku, nieludź raczej nie był zachwycony faktem, że jakaś ludzka kobieta rzuciła go na kolana, a teraz jeszcze przygląda się efektowi, zastanawiając się, jak wyciągnąć z tej sytuacji maksimum korzyści.

- A więc, laro, zaczniemy od pańskiego pełnego imienia, daty i miejsca urodzenia - powiedziałam łagodnie. Dalsze pytania spływały z moich ust automatycznie. To było jedynie wstępne przesłuchanie, rozgrzewka, teraz tylko sprawdzałam reakcje przesłuchiwanego, gotowość do współpracy i szczerść. Ważne były nie tyle same pytania, co szybka, niespodziewana zmiana tematu. Jak uczyli nas w akademii, gdy rozmówca ostatecznie straci grunt pod nogami, można liczyć na naprawdę szczerą odpowiedź.

Laro Riencharn długo się opierał, ale po dwóch godzinach nieprzerwanego ostrzału poddał się i otworzył, wprowadzie niechętnie i tylko odrobinę, ale umiejętnemu śledczemu wystarczyło to w zupełności. Wzmocniłam nacisk, a on patrzył na mnie jak na bestię. Udałam, że tego nie

widzę, i jeszcze przez półtorej godziny kontynuowałam przesłuchanie, nawet nie próbując wnikać w to, co mówił, ale jak mówił. Rzecz jasna, uzyskiwane informacje nie marnowały się: na podstawie w kącie pomieszczenia równomier- nie drgał na razie jeszcze przezroczysty kryształ rejestrujący każde wypowiedziane słowo. Nigdy nie gardziłam tymi wszystkimi urządzeniami ułatwiającymi życie śledczym. Co prawda specjaliści starej daty wolą, żeby zeznania notował sekretarz, ale ja uważam, że obecność osoby postronnej pozbawia śledczego przewagi i pozwala podejrzanemu zachować równowagę psychiczną, dlatego uparcie nie wpuszczałam nikogo do sali przesłuchań. Poza tym czasem muszę załatwiać przesłuchania wstecz, żeby nic nie przesączyło się gdzie nie trzeba... Rzecz jasna, zrodziło to mnóstwo plotek, jak to żywcem kroję przesłuchiwanym na kawałki. I nawet to, że żaden mój podejrzanym nigdy nie zniknął w czasie śledztwa (co kardynalnie różniło mnie od innych śled- czych), nie pomogło mi odzyskać dobrego imienia. Zresztą niespecjalnie mi na tym zależało: reputacja najbardziej przerażającego pracownika Wydziału Śledczych dawała pewne przywileje.

Gdy zegar na korytarzu dyskretnie wybił trzecią po po- łudniu, zlitowałam się i zezwoliłam strażnikom odprowa- dzić kahe do jego celi. Na twarzy nieludzia odmalowała się ulga przemieszana z poczuciem nieuchronności. Ulga, że dzisiejsze przesłuchanie dobiegło końca, nieuchronności - bo nie gorzej ode mnie rozumiał, że to dopiero początek.

Zamknęłam oczy, wyprostowałam nogi i rozkosznie przeciągnęłam się w fotelu, który chociaż najwygodniejszy, jaki zdołałam wyciągnąć od laro naczelnika, mimo wszystko

źle wpływał na mój piąty punkt oparcia. Byłam zadowolona, dzień nie został zmarnowany, chociaż w moim spektaklu czuło się wyraźny posmak chałtury. Gdyby nie zjawił się u mnie krewny podejrzanego, ten uparty nieludź nie powiedziałaby nic, choćbym kroić go na kawałki. Teraz gdy już opór Iaro Riencharna został złamany, zrozumiałam, że prawdopodobnie żaden inny sposób by nie zadziałał. To było upokarzające... Czułam się tak, jakby zmieszano mnie z błotem. Trafiłam na podejrzanego, którego mimo całego swojego opanowania, zimnej krwi i intelektu nie mogłabym złamać bez pomocy z zewnątrz... Jak to możliwe? Większość życia strawiłam na to, żeby stać się najlepszą z najlepszych, żeby moje imię wymawiano jedynie szeptem, uprzednio spluwając przez ramię, a tu zjawił się Riencharn Aen, niechby nawet po trzykroć z Domu Erris, i wyrzucił moje życie do góry nogami!

Może właśnie dlatego moje uczucia w stosunku do tego kahe dziwnie przypominały nienawiść.



O dziwo, dijes śledcza nie próbowała wyciągnąć z niego tajemnic Domu Erris. Zdaje się, że miała gdzieś zarówno Dom ze wszystkimi jego sekretami, jak i odwieczny konflikt pomiędzy ludźmi i kahe. Zamiast tego dziewczyna wypytywała go o jakieś bzdury w rodzaju: „Ile miał pan lat, gdy po raz pierwszy dosiadł pan konia?” oraz „Jak nazywa się pański dziadek ze strony matki?”, przy czym zadawała te pytania rzeczowym tonem, z poważną miną. Pytania zahaczające o sprawy Domu padały rzadko, pytania dotyczące śledztwa - jeszcze rzadziej. Riencharn pomyślałby, że zwariował albo że dijes Rinnelis zwariowała, lecz wewnętrzny

głos podpowiadał mu, że w tym szaleństwie jest metoda, tylko on nie potrafi jej dostrzec. Tak czy inaczej, pod koniec przesłuchania Riencharn czuł się wyczerpany jak po wielogodzinnym treningu z ciężkim mieczem, zaś dijes Tyen wyglądała równie świeżo i radośnie jak na początku ich zajmującej rozmowy. Ten fakt zepsuł Riencharnowi humor. Do tego śledcza nie chciała rozmawiać z nim o losie siostrzeńca, a wszystkie żądania dotyczące spotkania z Taelem natrafiały na uprzejmy, ale twardy jak kamienny mur uśmiech. Dziewczyna była uparta jak wół. Kiedyś Riencharn miał okazję zobaczyć, jak próbowano zmusić do ciągnięcia wozu potężne rogate bydło, które uznało, że ma dosyć pracy. Wół był nieugięty, ale i tak nie mógł się równać z dijes Rinnelis.

„Na Przodków! Jaka kobieta mogła nosić w swoim łonie coś takiego?!” - zawył kahe w myślach, gdy znalazł się w swojej celi i utkwił wzrok w okienku pod sufitem. Ta żalonna dziura w ścianie, w dodatku zasłonięta toporną, acz mocną kratą, nie była miłym widokiem, a jednak stanowiła jedyną szansę ujrzenia choćby skrawka nieba... To był jedyny kontakt Riencharna ze światem, od kiedy to zamknięto go w tej prymitywnej celi z legowiskiem ze starej słomy i dziurą w kącie, która miała zastąpić toaletę.

„A to żmija!”

Nie zdając sobie z tego sprawy, kahe określił dijes tym samym mianem, jakie nadawali jej wszyscy, którzy się z nią stykali.

Nie umiając zrozumieć, skąd brał się strach, drzenie i wstręt odczuwany na widok Rinnelis Tyen, znajomi tej czarującej dziewczyny nazywali ją „Żmija”. Fakt, że była raczej kobrą niż grzechotnikiem, nie czynił jej ani lepszą, ani mniej jadowitą.

Nigdy przedtem kahe nie stykał się z podobnymi kobietami i doprawdy wcale go to nie martwiło. Idealna kobieta, zdaniem Riencharna Aena, powinna być krucha, czuła i subtelna. Ubrana w fioletową togę dijes Rinnelis, z kodeksem zamiast serca i lodowatym umysłem zamiast uczuć, stanowiła uosobienie jego najgorszych koszmarów. Riencharn zaczynał myśleć, że nawet na widok Białej Pani nie odczuwałby takiego strachu jak na widok uśmiechniętej Rinnelis Tyen. Być może, gdyby dijes była jakąś maskarą z piekła rodem, byłoby mu łatwiej, ale ta młoda dziewczyna z długim kasztanowym warkoczem, sympatyczną twarzą i oczami, w których lśniła stal... Dijes Tyen budziła w nim autentyczne przerażenie.

„Czego ona ode mnie chce? - pomyślał ze zmęczeniem. - Przyznania się do winy? Jeśli tego zażąda, to przyznam się nawet do przygotowania zamachu na ich króla. Dla Taela pójdę nie tylko na to i nie sądzę, by dijes tego nie rozumiała... Ale ona wypytywała mnie o jakieś zupełnie nieznaczące fakty. Po co? Zapewne miała w tym jakiś cel... Ciekawe, jaką śmierć ludzie zadają różnoplemieńcom? Pewnie ich wieszają, jak prostaków... Hańba dla noszącego czerni. A Taela pewnie zostawią przy życiu jako gwarancję lojalności Domu. Wyobrażam sobie, jaki to będzie cios dla przywódcy, gdy dowie się o całą historię...”

Na samym dniu duszy kahe tlił się jeszcze słaby płomyk nadziei, że to wszystko skończy się nie tak tragicznie, jak sobie wyobrażał. Przecież nie bez powodu dijes nie zażądała od niego przyznania się do winy w trakcie poprzedniej zajmującej „dyskusji”, po której Riencharna wciąż jeszcze bolała głowa: stołek był twardy, a cios dijes Tyen mocny.



„Pomyśleć tylko, że załatwiła mnie człowieczka! - skostatował ze wstydem. - To prawda, że nie mogłem użyć magii i miałem skute ręce... ale przecież coś takiego jest z gruntu niemożliwe! Zareagowała zbyt szybko jak na śmiertelnika!”

A potem spłynęło na niego olśnienie... Dijes Rinnelis po prostu przyspieszyła swoje reakcje - i to wszystko! Istnieją setki sposobów spotęgowania swoich umiejętności na krótki czas. To znaczy, że ta scena, która wzbudziła w nim takie przerażenie, była starannie zaaranżowanym i doskonale odegranym spektaklem, w którym kahe był widzem i jednocześnie jednym z aktorów. Hm, dziwne, że doświadczony śledczy pozwolił sobie na improwizację.

„Od początku mnie prowokowała, zmuszała do utraty kontroli nad sobą - myślał kahe z mieszaniną zdumienia i szacunku. - Widać uznała, że to jedyny sposób skłonienia mnie do współpracy. Cóż, miała rację... A potem w jej ręce wpadł Tael i dijes Tyen postanowiła za jednym zamachem zmusić mnie do mówienia i rozwalić te ściany, którymi otoczyłem swoją świadomość. Ryzykowne zagranie, przecież mogłem rzucić jej się do gardła i nikt nie zdążyłby przyjść z pomocą... A ja się dziwiłem jej wyzywającemu spokojowi na widok rozwścieczonego kahe. Przecież jej właśnie chodziło o tę wściekłość!”

Riencharn po raz pierwszy docenił swojego przeciwnika i doszedł do wniosku, że nie chciałby z nią walczyć, nawet na równych prawach. Dijes nie brakowało inteligencji i zimnej krwi, podobnie jak zwykłego okrucieństwa - ta człowieczka była naprawdę niebezpieczna.

Tylko czego ona od niego chce...?



Do późnej nocy siedziałam w gabinecie, przesłuchiwałam nagranie i robiłam notatki na kawałku pergaminu. Niestety, nie mogłam robić tego w domu - wówczas laro Taellon straciłby wszelkie złudzenia i mógłby popełnić jakieś głupstwo. A chłopak nadal był mi potrzebny i nie chciałam, by znalazł się w rękach mojego naczelnika, nie mówiąc już o tym, że stanowił gwarancję poprawnego zachowania laro Riencharna... Lepiej mieć młodszego niełudzian pod osobistą kontrolą. Pozostając w błogiej nieświadomości co do moich intencji, nie będzie się szarpał i oszczędzi mi wysiłku.

Starszy kahe był naprawdę ciekawą postacią: jawny lider, którego wpływ polega nie tylko na uroku, wyraźnie wiedzący, po co istotnie rozumnej rozum, i potrafiący go odpowiednio wykorzystać. Do tego dochodzi opanowanie i siła woli oraz fakt bycia magiem, i to nie byle jakim. Taak... Nie chciałabym, żeby laro Riencharn stał się moim osobistym wrogiem. Ale z drugiej strony nie ma skłonności do agresji, nie ma i już. I chyba nie jest wybuchowy. Prawdziwy wzór idealnego mężczyzny - tyle że mnie chciało się płakać na jego widok. Prawdopodobieństwo, że niełudzian jest moim „klientem”, spadało w sposób zastraszający, a to znaczyło, że przez dwa tygodnie męczyłam się na próżno. Choć teraz było jeszcze za wcześnie na takie wnioski... Może przegapiłam coś w moim podejrzanym, jakiś rys, który sprawiłby, że ujrzałabym jego osobowość w zupełnie innym świetle?

Tak czy inaczej, najwyższa pora poszukać innych wariantów.

Do domu szłam w tym samym nastroju co do pracy - czekały tam na mnie dwie istoty, które należało nakarmić. Kerri przynajmniej będzie milczał, za to siostrzeniec mojego podejrzanego znów zacznie dopytywać się o wujaszka,

który, zdaje się, skrócił mi życie o dobre kilka lat. Kontakty z kimś takim jak laro Riencharn nie mijają bez śladu. Najpierw zdręczał mnie swoim milczeniem, a potem jego atak omal nie zrobił ze mnie jąkały. Wprawdzie sprowokowałam go do tego wybuchu, ale efekt doprowadził mnie niemal do ataku serca - delikatnie mówiąc. Wynikiem znajomości ze starszym laro Aenem będzie zapewne rozstrój nerwowy.

Pomyślałam, że jeśli jeszcze kiedyś spróbują mi wcisnąć śledztwo, w którym podejrzanym jest nieludz, pójdę na urlop bezpłatny. Chociaż zapewne jednak tego nie zrobię: perspektywa rozwiązania kolejnej sprawy jest zbyt kusząca.

Przez cały czas mojej pracy w Wydziale Śledczych naczelnik próbował poznać moje słabości i namiętności, ale jego wysiłki spęzły na niczym. Laro Gross nie zdołał pojąć, że największą namiętnością mojego życia jest praca. Że nic nie daje mi takiej satysfakcji jak rozwiązanie sprawy. No, może poza doprowadzaniem otoczenia do pasji.

Przelotnie zarejestrowałam, że zaraz po wyjściu z biura przyczepił się do mnie ogon. No cóż, skoro idzie za mną jakiś typ, to niech sobie idzie. Mnie bez różnicy, a jeśli jemu sprawia to przyjemność... Ciekawe, swoją drogą, kto czuje takie niezdrowe zainteresowanie moją skromną osobą, że postanowił dowiedzieć się, dokąd chodzę w czasie wolnym od pracy? Laro Gross? A może nieutulony w żalu laro Ayrel? Nie, naczelnik nie marnowałby ani swoich pieniędzy (jeśli śledził mnie w ramach inicjatywy prywatnej), ani państwowych (jeśli jednak doprowadził do wszczęcia śledztwa służbowego). On i tak wie, że jeśli schodzę z trasy dom - praca - dom, to wyłącznie z niewinnych powodów w rodzaju zrobienia zakupów. Księżę natomiast nie zadowoliliby się obserwacją, raczej wysłałby najemnych zabójców - o

ile dobrze rozumiałam jego osobowość.

To znaczy, że zainteresowałam kogoś innego... Znako-  
micie. Mimo stosowanych od lat metod śledczych jeszcze  
nigdy nie spotkał mnie taki zaszczyt, a to znaczy, że powo-  
dem zainteresowania jestem nie ja, lecz sprawa, którą mi  
powierzono. Byłoby to nawet logiczne, gdyby laro Taellon  
nie przysięgał, że on i jego wujek przybyli tu incognito, a  
coś takiego u kahe (w odróżnieniu od ludzi) oznacza, że  
naprawdę nikt o nich nie wie. I nie przypuszczałam, żeby  
zwykły kahe, niechby nawet morderca księżęcej córki (a  
zadbałam o to, żeby zwykli obywatele nie mieli o niczym  
pojęcia), zdołał wzbudzić takie zainteresowanie.

Wychodziło na to, że jednak dla kogoś fakt przybycia do  
naszego kraju laro Riencharna nie był tajemnicą.

A może to tylko postępująca paranoja...?

Tak czy inaczej, na miejsce dotarłam spokojnie; za-  
mknęłam drzwi i odetchnęłam z ulgą. Po tym jak laro Tael-  
lon przeniknął do mojego mieszkania, aktywowałam  
wszystkie zaklęcia ochronne, spoczywające do tej pory w  
uśpieniu. Teraz już nikt nie zdołałby ani wejść do domu bez  
mojej wiedzy, ani z niego wyjść - przynajmniej przez dwie  
doby, bo tyle zajęłoby mu rozprawienie się z wymyślną  
ochroną magiczną, którą tworzyłam przez siedem miesięcy,  
tak na wszelki wypadek.

Dzięki temu, wychodząc rano, miałam absolutną pew-  
ność, że laro Taellon nie zdoła się ulotnić z domu i nikt też  
nie da rady do niego przeniknąć. Ochrona gwarantowała  
również, że ci, którzy chcieliby poznać szczegóły mojego  
życia osobistego za pomocą magii, nie zauważą obecności  
obcego w mieszkaniu.

Odgłos zamykanych drzwi przywołał jednocześnie kota i  
kahe, którzy popatrzyli na mnie z tym samym zaskoczonym

wyrazem twarzy. Nic dziwnego, pewnie nie mogli zrozumieć, dlaczego tak starannie zamykam drzwi na wszystkie zamki, robiąc przy tym jakieś wymyślne gesty - a wszystko to z rzeczowym, obojętnym wyrazem twarzy, który zwykle pojawiał się na moim obliczu przy patroszeniu kury. Laro Taellon miał okazję obserwować mnie w kuchni i powinien pamiętać ten grymas.

- Miau? - zwrócił się do mnie kot.

- Nie, na razie wszystko w porządku - odpowiedziałam na miauknięcie kota i pytające spojrzenie kahe.

Nieludź popatrzył na mnie zaskoczony, ale nic nie powiedział.

- Wydarzyło się coś dziwnego? - zapytałam, zdejmując skrywający fioletową szatę płaszcz. Był szary, niepozorny i pozwalał zlać się z tłumem.

Nie czekając na odpowiedź, poszłam do pokoju i z westchnieniem ulgi usiadłam na fotelu. O bogowie, jaka byłam zmęczona...

- Chyba tak... - skinął głową chłopak, patrząc na mnie z zakłopotaniem. - Ktoś próbował otworzyć drzwi. Najpierw wytrychem, potem magią. Nie udało mu się.

- Nic dziwnego. - Uśmiechnęłam się triumfalnie. - To nie jakiś tam bank, do mojego mieszkania nie można tak po prostu wejść.

- Ani z niego wyjść - sprecyzował z urazą kahe.

- Owszem - nie zapierałam się. - Ale to wyłącznie dla pańskiego dobra, laro.

Nie miałam zamiaru się tłumaczyć, ani tym bardziej niczego wyjaśniać. Młodszy Nieludź był dla mnie tylko środkiem, kluczem do swojego wujaszka, a klucz powinien leżeć zawsze w tym samym miejscu, żeby, brońcie bogowie, nie wpadł w niepowołane ręce. Opinia klucza oczywiście nikogo nie interesowała, podobnie jak jego oburzenie.

Prócz tego nie miałam już siły podtrzymywać iluzji. Nie miałam zamiaru wtajemniczać go w moje plany co do niego, a na wypadek gdyby kahe chciał aktywnie wyrazić swoje niezadowolenie, wplotłam w aurę nieлюдzika kilka zaklęć, które pomogą mu odzyskać zdrowy rozsądek w trybie przyspieszonym.

- Lare, tego już za wiele! - zawołał urażony chłopak.
- Ja tak nie uważam, laro Taellonie. - Wzruszyłam ramionami. - I lepiej będzie, jak pan zje kolację i pójdzie spać.
- Ja... - zaczął kahe z oburzeniem.
- Nie jest pan głodny? - przerwałam mu.
- Jestem!
- Doskonale. Wobec tego nakryję do stołu - powiedziałam, idąc do kuchni i w ten sposób kończąc rozmowę. - Kerri!

Kot posłusznie podreptał za mną. Pewne szczegóły mojego życia osobistego powinny pozostać tajemnicą.

Na przykład to, że Kerri był moim strażnikiem, magicznie zmienionym zwierzęciem. Oczywiście normalny strażnik powinien zostać pozbawiony wolnej woli i spełniać wyłącznie pragnienia swojego pana, a Kerri był istotą wredną i niezależną. Myślę, że to kolejny żarcik mojej niesamowitej ma - to właśnie ona uszczęśliwiła mnie takim pomocnikiem. Moja mama miała skomplikowany, pełen sprzeczności charakter i wołałam być jak najdalej od jego przejawów. Nie pogodziła się jednak z tym, że jej jedyna córka będzie mieszkać w wielkim mieście sama i kiedy dwa lata temu składałam kolejną wizytę w domu rodziców, wcisnęła mi miauczący tobołek. Ja i Kerri nie przypadliśmy sobie do gustu, ale ma była nieugięta i musieliśmy pogodzić się z rodzicielską samowolą. Co prawda po tym jak dzięki pomocy swojego pupila zdołałam uniknąć szeregu

nieprzyjemności, doceniłam zarówno Kerriego, jak i mądrość matki, która nie przemieniła mojego strażnika w bezmózgie narzędzie.

- Pokaż! - poprosiłam kota i nadstawiłam rękę. Kot od razu się na nie wgramolił. Strażnik dotknął głową mojego czoła i do mojej świadomości zaczęły płynąć obrazy.

Początkowo nie mogłam przyzwycząić się do takiej wymiany myśli - koty widzą inaczej, z inną częstotliwością, w innych barwach, a także z innej wysokości niż człowiek. W końcu jednak przywykłam i mogłam bez problemu odbierać informacje przekazywane przez Kerriego.

Nigdy wcześniej nie widziałam tego typu, który odważył się włamywać do mojego mieszkania, ale jeśli kiedyś się spotkamy, to łajdakowi na długo odechce się podnosić rękę na cudzą własność. W przeciwnym razie nie nazywam się Rinnelis Tyen.

A więc jeden człowiek próbował dostać się do mojego mieszkania, a drugi mnie śledził. Ciekawe, czy ewentualnie miał za zadanie nie pozwolić mi dotrzeć do mieszkania, żeby jego wspólnik zdążył zdobyć to, co go interesowało? Chociaż nie należało wykluczyć możliwości, że ci dwaj pracowali całkiem niezależnie od siebie. Mało prawdopodobne oczywiście, ale możliwe.

To śledztwo musiało być naprawdę bardzo interesujące, i to dla wielu osób, a to mogło nieprzyjemnie odbić się na moim zdrowiu. Zresztą przecież w każdej chwili mogłam zrezygnować z tej sprawy... Sęk w tym, że nie chcę. Chciałam sama dotrzeć do prawdy, w przeciwnym razie straciłabym nieoficjalny tytuł najlepszego śledczego, z którego byłam bardzo dumna.

Cóż, jutro trzeba poważnie wziąć się do laro Aena. Przypuszczam, że nie zdąży ochłonąć po dzisiejszej rozmowie i kontakt z nim będzie czystą przyjemnością. Rzecz

jasna, zadowolenie laro Riencharna nie było warunkiem koniecznym.

Świadomość, że przez cały czas balansuję na krawędzi, budziła jedynie satysfakcję. Bywałam już w gorszych opałach i za każdym razem wychodziłam z nich cało. Poza tym lubiłam niebezpieczne sytuacje, wtedy czułam, że żyję i że muszę pracować na granicy swoich możliwości. Tak, stanowczo lubiłam niebezpieczeństwa.

- Lare Rinnelis, ja muszę zobaczyć się z wujem! - Taellon postanowił nie ustępować.

Z trudem powstrzymałam westchnienie, a Kerri prychnął znacząco.

- Obawiam się, laro, że to niemożliwe. - Uśmiechnęłam się. - W zaistniałej sytuacji...

- Nie ma pani prawa ograniczać mojej swobody! - zawołał z oburzeniem kahe, zaciskając pięści.

- Myli się pan, laro. - Wyszczrzyłam zęby w promiennym uśmiechu. - Mam takie prawo. Mam również inne prawa jako śledczy prowadzący sprawę pańskiego krewnego. Dlatego proszę zachowywać się odpowiednio i nie przeszkadzać mi w wykonywaniu mojej pracy.

- Pani... - stropił się nieludź, patrząc na mnie oczami rozszerzonymi od urazy i zaskoczenia. - Jak pani może?! A tak pani ufałam!!!

- Błagam, tylko bez hysterii. - Wzruszyłam pogardliwie ramionami. - Zawołam pana, gdy nakryję do stołu.

Chłopak wybiegł z kuchni.

Poczułam satysfakcję, jak po dobrze wykonanej pracy. Już dawno ktoś powinien był pozbawić laro Taellona złudzeń w kwestii otaczającego go świata, dzięki temu chłopak pożyje znacznie dłużej. Zresztą nie lubiłam, gdy ktoś uważał mnie za anioła; na szczęście rzadko kto popełniał tak fatalny błąd.



Dalsze udawanie świętej niewinności miałyby swoje plusy - młodszy laro Aen nie plątałby mi się pod nogami, ale byłam już zmęczona odgrywaniem przedstawienia przed tak niewdzięcznym widzem. Nie szkodzi, tam, gdzie nie działa oszustwo, sprawdza się siła.

- Miau - wygłosił Kerri swoją niepochlebną opinię na temat zachowania kahe.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - powiedziałam spokojnie. - Dzieciak. Ale z wiekiem to mija.



Taellon był przerażony. Jak mógł tak głupio, tak idiotycznie wpaść! Nie wiedział jeszcze, czego dijes Rinnelis od niego chce, ale na pewno nie było to nic dobrego. No bo dlaczego zamykała go w mieszkaniu? Po co on w ogóle przyszedł do tej człowieczki! Na co liczył? Na pomoc? No, to teraz ma za swoje! Nawet nie wiadomo, czy wujek w ogóle jeszcze żyje... Najprawdopodobniej dijes Rinnelis bezczelnie kłamała... I co się teraz stanie z nim samym? Wujek miał rację: nie wolno wierzyć ludziom. Ale ona tak dobrze udawała! Uśmiechała się, zapewniała, że wszystko będzie w porządku... I ten jej kot...

Zwierzak śledczej od razu mu się nie spodobał, było w nim coś nienormalnego. Gdy Kerri patrzył na kahe swoimi złotymi oczami, Taellon czuł irracjonalny strach, którego nie potrafił zwalczyć. Teraz podobnie czuł się w obecności dijes Rinnelis.

Po półgodzinie niewesołych rozmyślań i prób pokonania zaklęć ochronnych nałożonych na mieszkanie kahe pogodził się z tym, co nieuchronne. Nie udało mu się znaleźć sposobu na wypłatanie się z tej sytuacji, ani też złamać osłon

magicznych. Dijes Rinnelis okazała się wybitnym magiem, w odróżnieniu od Taellona. Śledczym też pewnie była dobrym, skoro powierzono jej tak ważną sprawę...

Kahe czuł całkowitą bezsilność. A dijes Rinnelis nadal miło się uśmiechała, jak w czasie ich pierwszej rozmowy. Tylko teraz na dnie jej oczu czaił się drapieżny wyraz.



Młodszy kahe uparcie grzebał w moich zaklęciach ochronnych. Jednak magii uczył się chyba pod przymusem i niechętnie, bo jego poczynania były co najmniej nieporadne. Dawno nie widziałam czegoś równie niezdarneho... Z wysiłkiem skrywałam złośliwy uśmiech. Niech mój gość czymś się zajmie, przynajmniej nie będzie przeszkadzał.

Tarłam marchewkę i szkicowałam w myślach plan jutrzejszego przesłuchania laro Riencharna. Biorąc pod uwagę stan kahe i atut w postaci jego siostrzeńca, nie przewidywałam żadnych komplikacji, ale to jeszcze nie powód, żeby iść na żywioł. Gdybym zechciała, mogłabym wyciągnąć z niego nawet przyznanie się do winy. Wystarczyłoby wspomnieć, że los laro Taellona zależy od zachowania laro Riencharna, a starszy kahe nie tylko przyznałby się do wszystkich grzechów, ale również doniósł na cały Dom Erris. Ciekawe, swoją drogą, czy tylko tych dwóch łączą tak mocne więzy rodzinne, czy wszyscy kahe darzą swoich krewnych równie silnymi uczuciami? Gdybym nie miała w ręku laro Taellona, szanse nakłonienia laro Riencharna do rozmowy byłyby bliskie zeru. Poniżające...

Laro Taellon jadł zdumiewająco niechętnie, patrząc na mnie tak, jakby stanowił następne danie w tej kolacji.

Głupota. Ja osobiście nie traciłam apetytu nawet po dwóch zamachach w ciągu jednego dnia. Co prawda zamiast herbaty musiałam napić się waleriany, ale ogólnie byłam w formie.

- Czy mój wujek jeszcze żyje?... - zapytał mnie kahe tragicznym tonem, gdy już rozmazał równą warstwą warzywne ragoût po całym swoim talerzu.

- Mogę przysiąc na wszystko, że żyje. - Wzruszyłam ramionami, biorąc dokładkę.

- Czy wasze przysięgi w ogóle są coś warte? - zapytał patetycznie laro Taellon.

Postanowiłam zignorować to pytanie, nieludź próbował sprowadzić rozmowę na niewłaściwe tory. Gdy rozmówca zaczynał wplatać w wypowiedź swoje przeżycia, czułam się nieswojo i usiłowałam zmienić temat. Jeśli chcesz pracować jako śledczy i pozostać przy stosunkowo zdrowych zmysłach (nie spotkałam w pracy jeszcze nikogo przy absolutnie zdrowych zmysłach), musisz wytłumić emocje, czy ci się to podoba czy nie. Już na drugim roku przestałam błędnie widzieć trupów, bez względu na to, w jakim były stanie. A nie zemdlałam nigdy. Myślę, że przyjęli mnie do Straży właśnie z powodu opanowania.

Kahe zrozumiał, że nie zwracam na niego uwagi, okłapał i opuścił pole walki ze świadomością porażki. Z przyjemnością dokończyłam kolację w towarzystwie Kerriego, rozmyślając nad śledztwem. Rozmowę z laro Riencharnem miałam z grubsza opracowaną, jego reakcja na moje pytania była mniej więcej przewidywalna, za to kwestia, kto prócz niego mógł pragnąć śmierci lare Ayrel, pozostawała otwarta. Nie podobało mi się to, stwierdziłam, że powinnam przyjrzeć się bliżej otoczeniu ofiary. Nie wierzę, żeby młoda dziewczyna nie miała jakiejś bliskiej przyjaciółki,

wtajemniczonej w perypetie życiowe księżniczki bardziej niż ukochany ojciec. Zresztą z laro Ayrelem również należało porozmawiać.



- Bardzo jestem ciekaw, dlaczego ta sprawa w ogóle trafiła do tej śledczej? - wyszczał ze złością laro Ayrel, zaciskając dłonie na poręczach fotela tak mocno, że pobladły mu kostki.

Księżna Eliza popatrzyła na męża. Nie uroniła ani jednej łzy, od chwili gdy jej córkę znaleziono w ogrodzie z wyciętym sercem. W oczach kobiety płonęła żądza zemsty.

Za to księżniczki Talia i Tessa nie wypuszczały z rąk chusteczek, na których nie było już ani kawałka suchego miejsca. Siostry szczerze kochały Sofię i jej śmierć była dla nich strasznym ciosem.

- Ta zarozumiała dziewucha w ogóle nie chciała mnie słuchać! - żalił się dalej książę. - Wyraźnie nie zamierza doprowadzić do tego, żeby zabójca naszej córki poniósł zasłużoną karę!

- Próbowałaś złożyć na nią skargę? - spytała cicho lara Eliza.

- To nie ma sensu, nic nie można jej zarzucić. Żadnego błędu, nadużycia, żadnego odstępstwa od litery prawa. Pozostawiono jej całkowitą swobodę działania.

- A więc może ma rację? - zasugerowała księżna. - Może ten kahe faktycznie jest niewinny? Lare Tyen nie ma żadnego powodu, żeby chronić tego nieładzia. Skoro nie przekazuje sprawy do sądu, może nie ma niezbędnych dowodów?

Dziewczęta ostupiały.

- O czym ty mówisz, mamó? Ten łajdak zabił Sofię, a ty go bronisz?!

- Ten kahe również jest czyimś synem i jeśli zostanie niewinnie skazany, to ktoś będzie opłakiwał go tak, jak my opłakujemy naszą dziewczynkę. Chcę, żeby w rękach organów sprawiedliwości znalazł się prawdziwy zabójca, a nie przypadkowa ofiara. Nie ma sensu przeszkadzać śledczej, niech spokojnie wykonuje swoją pracę.

- Jak uważasz, Elizo... - Księżę spuścił głowę. - Jak uważasz...



O drugiej w nocy pojęłam, że żadnego przesłuchania nie będzie - byłam całkowicie nieprzygotowana do kolejnego pojedynku z laro Aenem. Rozmyślałam i analizowałam wszystko, aż minęła dawno północ, a brak snu zawsze odbijał się negatywnie na mojej pracy. W tym stanie nie powinnam spotykać się z kahe, mogłabym utracić z takim trudem zdobytą przewagę. Nawet rzucony na kolana laro Riencharn nie będzie bezbronną owieczką. Mogłam się założyć, że będzie próbował się wykręcić.

Lepiej zająć się świadkami, to na pewno będzie łatwiejsze niż rozmowa z upartym niełudziem. Jednak z drugiej strony uwolniony od mojego towarzystwa laro Aen mógłby za bardzo się odprężyć, co wróżyło nieprzyjemności... No ale nie mogłam pozwolić, żeby „oblężenie” kahe odbiło się negatywnie na zdobywaniu informacji od świadków. Nowe wiadomości były mi potrzebne jak powietrze.

Postanowione. Jutro odwiedzę pogrążoną w żalu rodzinę Ayrel, a laro Aen zaczeka jeden dzień, nic mu nie będzie. Zresztą po rozmowie z krewnymi zamordowanej zajrę

do laro Riencharna, żeby życzyć mu dobrej nocy. Niech się zbyt nie odpręża w czasie mojej nieobecności.

Zasnęłam z dużym trudem o trzeciej nad ranem, a we śnie prześladowały mnie liliowe oczy, w których płonęła mordercza furia. Takie koszmary nie dręczyły mnie nawet w przeddzień egzaminu państwowego...



Gdy o zwykłej porze nikt nie uszczęśliwił Riencharna swoją uwagą, kahe poczuł się nieswojo. Przywykł już do życia w ciągłym napięciu, w każdej chwili spodziewał się kolejnego ciosu. Dijes Tyen nie brakowało ani uporów, ani bezwzględności. A teraz śledcza zniknęła, nie raczyła zawezwać swej nieszczęsnej ofiary. Kahe miotał się po celi, czując niebezpieczny przyływ sił, które zawsze go opuszczały po rozmowach z „przeziłą” dijes Rinnelis. I teraz ta siła pchała Riencharna do czynów niebezpiecznych oraz głupich.

„Chociaż dlaczego głupich? - uśmiechnął się złośliwie mężczyzna. - Jeśli dobrze wszystko przemyśle, mogą się okazać jedynie niebezpieczne... I tylko dla mnie. Nie ma idealnych więzień, są tylko głupi i leniwi więźniowie”.

Dochodząc do tego wniosku, kahe zaczął się intensywnie zastanawiać nad ewentualną ucieczką. Strumień myśli Riencharna zakłócała jedynie pamięć o niebezpieczeństwie, które groziło jego siostrzeńcowi, znajdującemu się w mocy tej żmii o szarozielonych oczach.

Będzie musiał włączyć do swojego planu dijes śledczą, choć pewnie wcale jej to nie ucieszy i spróbuje skomplikować mu życie, albo nawet go pozbawić. A może wyjdzie

jeszcze inaczej? Kahe zwykle orientował się w planach dijes Tyen po długich rozmyślaniach i kiedy było już za późno.

Przy bliższych oględzinach okazało się, że zakłęcia nałożone na celę i na samego Riencharna nie odznaczały się subtelną czy wymyślną. Zwykła chałtura, której autorem był pewnie jakiś dyżurny, senny magik. Nie wiadomo dlaczego dijes Rinnelis tego nie sprawdziła. Śledcza nie przyłożyła swojej szczupłej (choć bynajmniej nie delikatnej) dłoni do tego „arcydzieła” myśli magicznej - to było jasne od pierwszej chwili oględzin czarodziejskich pęt. Człowieczka była zbyt pedantyczna i upierdliwa, by zaprezentować taką lekceważącą bez troskę.

Przez cały czas ścisłych kontaktów z tym drapieźnikiem w ludzkim ciele kahe był tak zgnębiony i wykończony, że aż dotąd nie zauważył rzeczy oczywistej: ucieczka z tego przeklętego więzienia nie powinna być trudna. Największym niebezpieczeństwem była ta dziewczyna. Jedna żałona ludzka dziewczyna...

Riencharn skarcił sam siebie. Rinnelis Tyen mogła być wszystkim, ale nie żalosną dziewczyną. Zrobił szybko kilka gestów przed twarzą - znak odwracający zło. Podobno odganiał złe duchy i przodków należących do obcych Domów. Riencharn nie wiedział, czy ten stary, sprawdzony w przypadku kahe sposób jest w stanie odpędzić ludzkich śledczych, ale szczerze wierzył, że pozwoli mu uniknąć w najbliższym czasie spotkania z niezapomnianą dijes Rinnelis.

Żeby się stąd wyrwać, potrzebował czasu i wiary w siebie. Niestety, gdy dijes śledcza przypomni sobie o swoim jeńcu, ten od razu straci jedno i drugie.



**W**illi księcia Ayrela przyjęto mnie chłodno - to było zrozumiałe i niczego innego się nie spodziewałam. Nawet się ucieszyłam, że nie będę musiała naprędce przerażać swoich planów.

Najpierw metodycznie wyciągnęłam wszystko ze zrozpaczonego ojca, a potem wzięłam się do matki. Gdy podczas rozmowy siostry Sofii próbowały mdleć, bezwzględnie podsuwałam każdej z nich pod nos sole trzeźwiące i z ukrytą satysfakcją przyglądałam się młodym arystokratkom stojącym pośrodku pokoju z wytrzeszczonymi oczami i głupimi minami. Nie znosiłam słabości i jeśli mogłam, nie pozwalałam na nią ludziom w moim otoczeniu. W szczególności nie cierpiałam omdlewających dziewczynek, nie znosiłam ich całą swoją duszą śledczego. Pewnie dlatego, że my, służący prawu pracownicy Straży, nie mogliśmy sobie pozwolić na taki luksus.

W każdym razie nasze kochane zwierzchnictwo było absolutnie przekonane, że śledczy nie potrzebują ani jedzenia, ani snu, ani wolnych dni. W pewnym momencie doszło do tego, że wszyscy śledczy razem wyjaśnili przełożonym



- i to bardzo przekonująco - że są normalnymi ludźmi. To był jeden jedyny raz, gdy uznałam za konieczne wystąpić wspólnym frontem ze swoimi kolegami. Rzecz jasna, wybuchł skandal, ale za to podnieśli nam pensję i skrócili dzień pracy do normalnych rozmiarów.

Od rodziny zamordowanej nie dowiedziałam się właściwie niczego nowego, a o możliwych kontaktach z Iaro Riencharnem żaden z czcigodnych krewnych nawet nie chciał słyszeć - dobrze wychowane księżniczki nie utrzymują stosunków z jakimiś tam podejrzanymi nieлюдźmi. Doskonale, ale co w takim razie robią owe księżniczki nocą w ogrodzie? Tego nikt nie umiał mi wyjaśnić. A przecież Iare Sofia nie wyszła po prostu na przechadzkę, prawda? Możliwe, że na początek należałoby porozmawiać z Iaro Riencharnem, sęk w tym, że nie mogłam być pewna szczerości kahe.

Jednym słowem, dzień nie przyniósł nic nowego. Nie chodziło już nawet o to, że uzyskałam niewiele informacji - nie uzyskałam żadnych informacji! Właściwie powinienam się tego spodziewać, rodzina zwykle wie najmniej. Najbliżsi, wydawalioby się, ludzie nie podejrzewają, jak wiele szkieletów mogą znaleźć w szafach swoich krewnych. A w jakiej szafie Iare Sofia trzymała szkielet o głębokich lilio- wych oczach, tego nie wiedział absolutnie nikt.

Westchnęłam ze zmęczeniem i już miałam wstać z za ciężkiego dębowego stołu (który wzbudził we mnie gorzki żal, że przeciętnego śledczego nigdy nie będzie stać na taki mebel), gdy ktoś nieśmiało zastukał do drzwi. Gospodarze raczej nie pukaliby do drzwi we własnym domu, zresztą arystokraci nawet nie umieli pukać w taki sposób.

- Proszę - powiedziałam półgłosem.

Najpierw lękliwie, ale i z zaciekawieniem zajrzało do pokoju jedno oko, potem pojawiła się okrągła buzia z zadartym noskiem, a w końcu zobaczyłam w całej okazałości dziewczynę, mniej więcej siedemnastoletnią.

- Dzień dobry, lare Tyen... - wymamrotała. Sądząc ze stroju, była to jakaś służąca.

Zaczynało się robić ciekawie...

- Dzień dobry - odpowiedziałam, przyglądając jej się nieruchomym wzrokiem węża.

Służąca przełknęła nerwowo ślinę, zrobiła krok do tyłu, ale potem, zaciskając oczy, runęła desperacko do przodu, zatraskując za sobą drzwi, aż od futryny po tynku pobiegło małe pęknięcie.

- Ja... ja chciałam pani coś opowiedzieć, lare Tyen - wykrztusiła dziewczyna z trudem.

- Słucham uważnie - powiedziałam z łagodnym uśmiechem, wskazując krzesło.

Mój świadek przycupnął na siedzisku, spuszczać głowę, nerwowo mnąc fałdę sukienki i nie wiedząc, co zrobić z drżącymi rękami.

- Na początek niech się pani przedstawi - poprosiłam, okazując nietypowe dla mnie miłosierdzie.

- Jestem Poletta, służąca lare Sofii - wymamrotała dziewczyna, chlipiąc. - Ja... niech pani wypuści laro Riencharna, proszę!

Zdołałam zapanować nad twarzą, chociaż źrenice na pewno rozszerzyły mi się ze zdumienia. Oto związek między zamordowaną dziewczyną i kahe! Oto coś, o czym nie wiedzieli jej krewni!

- Przepraszam, ale o kim pani mówi? - Uniosłam nieco brwi.

- O kahe, którego oskarżacie o zamordowanie mojej pani! On jest niewinny, nie mógł zabić lare Sofii, on ją kochał!

- Słucham?!

Znieruchomiałam, wpatrując się w Polettę ze zdumieniem. Miałam ogromną nadzieję, że moja twarz pozostała obojętna, jak przystało na śledczego. Spodziewałam się wszystkiego, ale nie romansu w duchu pradawnych legend!

- Jest pani pewna? - zdołałam wykrztusić po minucie ciszy.

- Tak! - Dziewczyna entuzjastycznie pokiwała głową.

- Przysięgam na bogów, że laro Riencharn kochał moją panią!

Taak...

- I lare Sofia oczywiście nie wspomniała rodzicom o tym mezaliansie... - powiedziałam przeciągle, bardziej do siebie niż do dziewczyny.

- Nie - przyznała Poletta. - Ale laro Riencharn nie jest mezaliansem, on przecież...

- Cii! Nie znasz ani imienia, ani pochodzenia kahe, w którym kochała się twoja pani!

Miałam nadzieję, że służąca jest wystarczająco bystra, w końcu starczyło jej rozumu, żeby nie wygadać się o uczuciu swojej pani ani za jej życia, ani po śmierci.

- Tak, lare śledcza - zgodziła się z niepewnym uśmiechem Poletta. - Nie znam imienia kahe, z którym spotykała się moja pani...

Zrozumiała, pomyślałam z zadowoleniem. Choć raz trafił mi się rozgarnięty świadek.

- Kiedy się poznali? - przeszłam do rzeczy.

- Pół roku temu, gdy książkę z całą rodziną pojechał do swojego majątku.

Aha. A majątek Ayrelów znajdował się dokładnie przy południowej granicy Erolu, gdzie jest niemal tak wielu kahe jak na ich własnych ziemiach i pojawienie się jednego czy dwóch nie ludzi nikogo nie dziwiło.

- Laro Rie... Kahe i moja pani poznali się na jesiennym karnawale. Lare Sofia zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Przez cały następny tydzień mówiła wyłącznie o nim. A potem kahe zaczął ją odwiedzać.

- Gdzie się widywali?

- W zamkowym ogrodzie, lare. Nie wiem, jak laro się tam dostawał... a potem... potem wchodził również do komnat lare Sofii, ale nikt nigdy go nie zauważył - dodała speszona służąca.

Czyli czcigodny laro Riencharn miał bezpośredni dostęp do ciała młodej księżniczki. Jak miło.

- I tamtej nocy, gdy... - Poletta chlipnęła i ukryła twarz w białej chusteczce. - Mieli razem uciec, lare Sofia wysłała kahe list!

Hm...

- Jesteś pewna? - spytałam.

- Sama pakowałam jej rzeczy! Lare Sofia stale do niego pisała, odkąd wróciliśmy do stolicy! Chcieli wziąć ślub!

Zabawne. Jeśli to rzeczywiście był nieszczęsny romans, a nie kryminał, to kahe pożałuje, że mnie poznał. To będzie moja zemsta. Już nie miał czego ukrywać za ślubami milczenia! Rozważałam wszelkie opcje, ale nie taką, że laro Riencharn był zakochany w księżniczce Sofii!

- Czy w razie potrzeby powtórzy to pani w sądzie? - zapytałam na wszelki wypadek.

- Oczywiście, lare! - przytaknęła służąca.

- Dziękuję, możesz odejść - zakończyłam rozmowę.

Jak miło. Naprawdę szalenie... O, teraz już laro Aen nie uwolni się ode mnie! Wyrwę mu wątrobę i wyrócę go na lewą stronę! Zmarnowałam na niego dwa tygodnie! Tyle sił nadaremnie! Tyle nerwów!

Dawno już nie czułam takiej złości. Miałam ochotę coś rozwalić, może nawet czyjaś czarnowłosą głowę, ale po kilku głębokich oddechach uspokoiłam się. Teraz przynajmniej uzyskałam konkretne informacje i jeśli podejrzany je potwierdzi, będę mogła z czystym sumieniem szukać innego pretendenta do roli mordercy księżniczki Sofii. Trzeba będzie umieścić Riencharna w jakimś bezpiecznym miejscu, żeby znalazł się z dala od moich kolegów, za to w zasięgu moich rąk. Na pewno nie należało go teraz wypuszczać, jego plany na najbliższą przyszłość pewnie są dość konkretne... Jeśli tym razem Straż znów schwytałaby go na gorącym uczynku, to na pewno nie oddaliby go mnie, a inny śledczy pozna jego status społeczny. Wtedy z czystym sumieniem oskarżą mnie o zdradę państwa, a jakoś nie mam ochoty skończyć na szubienicy. I dlatego muszę zadbać o to, by laro Aen nie obciążył swojego sumienia grzechem zabójstwa.

Zebrałam swoje rzeczy, podziękowałam czcigodnemu wielmoży za pomoc i opuściłam dom Ayrelów. Drzwi zamknięto za mną z wyraźną ulgą. Normalna reakcja na przedstawicieli prawa: nie ma na świecie takich ludzi czy nieludzi, którzy uważaliby się za absolutnie niewinnych, jeśli nie wobec prawa, to wobec siebie. A skoro jest zbrodnia, to powinna być i kara, dlatego na tych, którzy są władni karać przestępców, zawsze spogląda się z nabożnym strachem. Tym bardziej jeśli śledczy zasłynął już jako uosobienie nieodwracalnej kary, na jego widok wszyscy starają się wcisnąć w najciemniejszy kąt - żeby tylko nie rzucać się

w oczy groźnemu stróżowi prawa. Stworzyłam postać idealnego śledczego i teraz tylko dbałam o to, żeby nikt nie zwątpił ani na chwilę w to, że kryje się za nią ktoś inny niż stalowa lare Tyen. Chociaż przecież właśnie jestem stalową Rinnelis Tyen, która nie boi się ani bogów, ani demonów i uwzględnia jedynie prawa działające na terytorium królestwa Erol.

Była już piąta po południu, a głowę ścisnął mi tępy ból - w ten nienachalny sposób ciało informowało mnie, że na dzisiaj wystarczy i że pragnie przyjąć pozycję horyzontalną. Jednak oprócz zmęczenia czułam również ciekawość. Jaką minę robi ten nieładź, gdy zrozumie, jak dużo wiem o jego życiu i powodach przebywania w stolicy? Tego właśnie chciałam: zmiażdżyć go, rozmazać na podłodze i z przyjemnością obserwować, jak to, co niegdyś było hartem ducha i siłą woli, rozsypuje się w proch. Chyba naprawdę nienawidziłam tego kahe, skoro tak bardzo chciałam go zniszczyć...

Wartownicy przy wejściu nie zdziwili się, że przyszłam tak późno; zdarzało się już, że pojawiałam się w środku nocy, gdy wpadałam na jakiś pomysł, którego realizacja nie mogła czekać do rana.

Przed pokojem przesłuchań oczywiście nie było żywego ducha. Inni śledczy nie zwracali uwagi na to, że wartownicy łamią dyscyplinę, a mnie nikt się tu dzisiaj nie spodziewał. To znaczy, że pora pokazać tym próżniakom, kto tu jest szefem, wtedy można będzie liczyć na jakiś miesiąc znośnej pracy.

Czekałam na strażników jakiś kwadrans, ale nikt się nie zjawiał. Powoli zaczęło się we mnie gotować, uznałam, że nie mam aż tyle czasu, żeby marnować go na bezsensowne czekanie, a porozmawiać z laro Riencharnem mogę również

dobrze w jego celi, skoro wiem, gdzie przebywa. O, te żałosne obiboki gorzko pożałują lekceważenia swoich obowiązków. Wiele mogą wybaczyć, ale nie takie olewactwo! Generalnie niełatwo wyprowadzić mnie z równowagi, ale jeśli już komuś się to udało, nie znałam litości. Dla nikogo. A teraz byłam po prostu wściekła.

Na demony! Jeszcze nikt nie potraktował mnie z takim brakiem szacunku! W mojej piersi rosła złość, której ofiarą miał paść laro Riencharn, choć to nie on ją spowodował.

Gdy pojawiłam się w polu widzenia dwóch wartowników pilnujących wejścia do pomieszczenia dla zatrzymanych, popatrzyli na mnie jakoś dziwnie i zgodnie złączyli włócznie, zagrządzając mi przejście. Tłumiąc pragnienie użycia magii, zapytałam sucho:

- Co. To. Ma. Znaczyć?

Dzielni strażnicy pobledli. Jeśli zwykle wykazywałam nadzwyczajne opanowanie i spokój, to gdy zaczynałam mówić takim tonem, wszyscy spodziewali się katastrofy.

- Lare Tyen, nie powinno pani tu być - wykrztusił wreszcie jeden z nieszczeńników.

Zmierzyłam go lodowatym spojrzeniem i bez słowa ruszyłam do wejścia. Jak będzie trzeba, to rozniosę te włócznie razem ze strażnikami, którzy ośmielili się zagrozić mi drogę.

- Lare Tyen... ale naprawdę pani nie może! To rozkaz laro Grossa! - zawołał wystraszony drugi strażnik.

- Przebywa tu mój podejrzany - powiedziałam łagodnie, dziwiąc się sykowi w swoim głosie. - I nikt nie ma prawa zabronić mi wejścia do jego celi!

Strażnicy skulili się, ale nie mieli zamiaru się poddawać. Ja również.

- My nie... - wyjęczał pierwszy.

- W jakiej trumnie chcecie być pochowani, otwartej czy zamkniętej? - moja cierpliwość wyczerpała się w końcu do reszty.

- My...

- W zamkniętej - skonstatowałam sucho i błyskawicznie wysunęłam przed siebie rękę. Obie „przeszkody” runęły na podłogę z nieprzyjemnie brzęczącym dźwiękiem. Miałam nadzieję, że gdy się ockną, będą mogli obejrzeć odciski kolczug na swojej skórze. Chamstwo powinno zostać ukarane.

I wtedy w piersi zakłął mnie nagły niepokój. Co takiego się tam działo, że tak uparcie nie chcieli mnie przepuścić?! Na bogów i demony... Tylko nie to!

Skoczyłam do drzwi, za którymi powinien być kahe. W mojej głowie huczały wściekłość i strach. Cela nie była zamknięta...

Gdy z ogłuszającym łoskotem otworzyłam drzwi, na twarzach wszystkich przebywających w „apartamencie” laro Riencharna pojawiły się sprzeczne emocje. Kahe - ze sznurem na szyi - popatrzył na mnie jak na rodzoną matkę po latach rozłąki, typ, który dusił nieлюдzia, spojrział na mnie z zaskoczeniem i obawą, strażnik przytrzymujący kahe - z przerażeniem. Pechowego zabójcę w przystępie wściekłości uderzyłam jednym z zakłęb torturujących, wyróżniających się długością. Zasłużył sobie. Strażnik próbował udawać element ściany i sądząc z jego zaszczutego spojrzenia, zazdrościł dusicielowi, który tarzał się po podłodze, skomlać.

- Pętla - powiedziałam z czarującym uśmiechem. - Mam nadzieję, że decydując się na udział w tak niebezpiecznym zadaniu jak mordowanie mojego podopiecznego, zatroszczył się pan o spisanie testamentu?

- N-n-n... - spróbował wykrztusić strażnik.



- Nie? Cóż, obawiam się, że to już pański problem.

Kahe zdążył już zrzucić sznur, pocierał szyję i oddychał tak łapczywie, jakby się nie spodziewał, że będzie mu jeszcze kiedykolwiek dane rozkoszować się tym nieskomplikowanym procesem.

Strażnika, który miał czelność zostać pomocnikiem kata, jedynie sparaliżowałam, żeby nie musieć tłumaczyć się z nieusankcjonowanego użycia magii w stosunku do pracowników Straży. Potem uznałam, że należy poświęcić nieco uwagi na wpół uduszonemu Riencharnowi. Siedział oparty o ścianę i patrzył na mnie z dziwnym, niezrozumiałym wyrazem twarzy.



- Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek to powiem, ale cieszę się, że panią widzę, lare Rinnelis - powiedział kahe ochryple, z ogromnym trudem, czując, jak strasznie boli go szyja. Ale ten ból był naprawdę cudowny, ponieważ przypominał mu, że jeszcze żyje.

- Wyobrażam sobie - uśmiechnęła się ze zrozumieniem człowieczka, oglądając celę jak dowódca pole bitwy, na którym odniósł kolejne zwycięstwo. Dziewczyna była już spokojna i skupiona, jakby to nie ona chciała kilka minut temu rozwalić cały budynek. Jak się okazuje, dijes Tyen miała jednak emocje.

- Tarn! - człowieczka podniosła głos, wpatrując się w niewidocznego dla kahe rozmówcę. - Potrzebuję cię. I weź ze sobą ze dwóch chłopaków, takich sprytniejszych. Tak, będzie mi potrzebny papier herbowy, atrament i pióro. Tak, raport. Nie, jeszcze żyje, ale postaram się, żeby ten stan nie trwał długo.

Powiedziała to sucho i rzeczowo, ale w jej głosie zadźwięczała nutka niezadowolenia.

- I wezwij Lera. Wiem, że skończył już pracę, ale powiedz, że bardzo go proszę, żeby przyszedł. Oczywiście, że się rozliczymy. Czekam.

Co to za zakłęcie pozwalające kontaktować się na odległość tak, jakby rozmówca stał tuż przed tobą? Kahe nie wiedział, a te delikatne drgania rzeczywistości, które towarzyszyły rozmowie, niczego mu nie wyjaśniły.

„Kiedy ci nikczemni śmiertelnicy zdołali przewyższyć w sztuce magii nas, kahe, Naród Słowa?” - pomyślał zirytowany Riencharn, zerkając spode łba na dijes śledczą, zwracającą na niego tyleż uwagi co na skutego czarami strażnika, który codziennie przynosił mu jedzenie, a dziś próbował go zabić.

Ciekawe, dlaczego dijes Rinnelis postanowiła go odwiedzić, na dodatek w celi? Zabójcy byli przekonani, że śledcza dzisiaj nie przyjdzie. A dijes Tyen jednak się zjawiła, i to w samą porę - jeszcze chwila i kahe mógłby się zająć najwyżej nekromanta. Jakąż to nowinę chciała mu przekazać, skoro przyszła do pracy tak późno? Nie miała chyba zamiaru rozmawiać o pogodzie?

Zresztą bez względu na to, jakimi informacjami śledcza chciała podzielić się ze swoją nieszczęsną ofiarą, teraz zmieniła plany.

- Risz! - W celi znienacka pojawił się rosty mężczyzna, również ubrany w fioletowy strój, ale nie w pelerynę, lecz w kolet i spodnie. Mężczyzna byłby nawet przystojny, gdyby nie uśmiezek, który bardziej pasował do błazna niż do członka Straży. - Co się stało?

Dijes w milczeniu wskazała ręką kahe, który jeszcze nie doszedł do siebie, i nieprzytomnego dusiciela.

- Mój podejrzany omal nie został uduszony - powiedziała dijes Tyen. - Z polecenia Iaro Grossa. Tarn, sporządź, proszę cię, protokół. Złożę raport.

- Rozumiem, że Gross może się pożegnać ze swoim stanowiskiem? - zapytał ze śmiechem ten, którego Tyen nazwała Tarnem.

- Owszem - skinęła głową Rinnelis. - Nie zostawię tak tego. Wtrącił się do mojego śledztwa! Urządził zamach na mojego jedyne podejrzanego! Gdyby demony nie przyniosły mnie dzisiaj do pracy, jutro miałabym świeżego trupa!

- Dobrze zrozumiałem, że Ler jest ci potrzebny w celu zaświadczenia o próbie zabójstwa?

- Tak, i niech twoi chłopcy przypilnują mojego nie-ludzia, bo obawiam się, że Iaro Gross nie zrezygnuje tak łatwo.

- Ten nie-ludź jest ci aż tak drogi? - zaśmiał się człowiek, zerkając ironicznie na zasępionego kahe.

- Oczywiście. Jako przypomnienie o nieskazitelności mojej kariery - odparła Tyen, ignorując aluzję.

- Niepotrzebnie stary wmieszał się do twoich spraw. Co on, zwariował? Przecież tylko psychopata albo samobójca mógłby się wtrącać do twojego śledztwa!

- Zależy, ile ci zapłacą... - powiedziała powoli śledcza, spoglądając na Riencharna, który w tym momencie zapragnął zapaść się pod ziemię. Czemu ci ludzie patrzyli na niego jak na krowę prowadzoną na rzeź?

- I to za niego ktoś miałby tyle zapłacić? - rzekł Tarn z niedowierzaniem.

- Właśnie...



Tak. Za kahe mogli naprawdę dużo zapłacić... Tylko na razie jeszcze nie wiedziałam dlaczego. Może z powodu wysokiej pozycji ofiary, a może z racji szlacheckiego pochodzenia zleceniodawcy, który pragnął jak najszybszej śmierci nieludzia?

- Witaj, radości moja! - Ler, nasz alchemik i ekspert, cmoknął mnie w policzek, omal nie doprowadzając oziępiałego Riencharna do utraty przytomności. - Co to za hałas? Kogo biją?

Ler miał dziwną właściwość zapełniania całej przestrzeni, jaką miał do dyspozycji, i to mimo dość przeciętnej postury. Zwykła twarz, szare oczy, kartoflowaty nos, duże uszy, duże usta - jednym słowem, żaden przystojniak. Ponieważ jednak ten niepozorny wygląd uzupełniał cały ocean cesaru, intelektu i poczucia humoru, alchemik nigdy nie narzekał na brak kobiecej uwagi.

Nie na darmo wezwałam właśnie Tarna i Lera: byli jedynymi ludźmi, którym absolutnie ufałam, wiedziałam, że nie zdradzą mnie za żadne pieniądze, i to wcale nie z powodu strachu przed moją zemstą. Chodziliśmy razem do szkoły, a potem razem studiowaliśmy w akademii. Ci dwaj osławiali mnie własną pierśią, gdy byłam jeszcze zwyczajną Risz, a nie groźną lare Rinnelis Tyen. Nasza przyjaźń przetrwała lata nauki i teraz uzupełniona była współpracą korzystną dla obu stron, przy obopólnej przyjemności.

- Gdyby to była zwykła bójka, Risz by nas nie wezwała. Z bójką sama by sobie poradziła - prychnął kpiąco Tarn.

- Mam tutaj próbę zabójstwa, Ler - wyjaśniłam.
- Ciebie chcieli zabić? - zdumiał się mój przyjaciel.
- Jego - wskazałam kahe, który udawał, że to wszystko zupełnie go nie dotyczy.

Ler od razu rzucił się do osłupiałego nieładzia, obmacując go, mierząc i dyktując jednemu z chłopaków Tarna brudnopis swojej ekspertyzy.

- No, no, nieźle go dusili, profesjonalnie! - oznajmił radośnie alchemik. - Trucizny nie użyli pewnie dlatego, że tylko demony wiedzą jak trucizna podziałałaby na kahe. I kto go aż tak lubi? Przecież ty nie zabawiasz się w wolnych chwilach wysyłaniem na tamten świat swoich podejrzanych.

Dokładnie tak. Wszyscy moi podejrzani zawsze dożywali do rozprawy, nawet jeśli zupełnie sobie tego nie życzyli. Nie miałam ochoty służyć plotek, że niesolidnie wykonuję swoją pracę; zbyt wysoko ceniłam swoją reputację śledczego.

Tarn starannie pisał na kartce „pożegnanie” laro Grossa. Stary lis miał tyle na sumieniu, że gdyby ktoś chciał przedwcześnie zakończyć jego karierę, nie miałby większych problemów. Jednak dotąd naczelnik był zbyt wygodny dla swoich podwładnych, żeby ci zaczęli poważnie pod nim kopać. Tym razem jednak popełnił niewybaczalny błąd - wtrącił się do mojego śledztwa, a to już wróżyło poważne kłopoty. Nie obchodziło mnie ani to, dlaczego zdecydował się na tak ryzykowne posunięcie, ani to, czym mu grozili, ani to, ile obiecali mu za zabicie mojego podejrzanego. Laro Gross zniknie z Wydziału Śledczych. I już.

- Masz wszystko? - spytałam Lera. - Mogę to usunąć? - wskazałam purpurowy ślad na szyi kahe.

- A pewnie, Risz. Rób sobie ze swoim nieładziem, co chcesz. - Alchemik rozpląnął się w dwuznacznym uśmiechu.

- Z ogromną przyjemnością - odpowiedziałam tym samym tonem, siadając obok osłupiałego kahe. Nieszczęsny

mężczyzna, który jednego dnia przeżył tyle wstrząsów, wyglądał jak chłopiec zagubiony w lesie. Powoli sunęłam ręką po jego szyi, a gdy upewniłam się, że purpurowy pas zniknął, uznałam, że poświęciłam dziś laro Riencharnowi aż nadto uwagi.

- Tarn, poproś swoich chłopców, niech przypilnują celi - zamiauczałam błagalnie. - Ten kahe jest mi potrzebny żywy!

Nieludź wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Widocznie mój ton zupełnie nie pasował do straszliwej Rinnelis Tyen, jaką znał.

- Dobrze, ale jesteś nam winna obiad! - zawołał od razu Tarn, przywykły do zapłaty za swoje usługi. Nie pochwalałam tego, ale byłam zdania, że to, w jaki sposób mój przyjaciel zarabia na życie, nie dotyczy mnie dopóty, dopóki nie wpływa na moją pracę i moje życie. Zwykle rozliczałam się z nim, przygotowując porządny posiłek, i oboje byliśmy zadowoleni.

- Zgoda. A ty zrób, co możesz. I sprawdź ostatnie kontakty laro Grossa. Bardzo chciałabym wiedzieć, kto w tym mieście jest taki hojny...

- Idź do domu, Risz, poradzimy sobie bez ciebie. - Ler objął mnie ramieniem, popychając do wyjścia. - Nie próbuj pobić rekordu pracowitości chociaż raz po prostu odpocznij.

Nie chciałam wracać do domu. Tam też siedział kahe, tylko młody, głupi i nudny. Nie miałam ochoty oglądać jeszcze jednej nie ludzkiej gęby. Chciałam spać... Ale musiałam jeszcze nakarmić Kerriego i pewnie laro Taellona też. A „muszę” od dawna stało u mnie ponad „chcę”.

- No dobra, chłopaki, to idę... - Uśmiechnęłam się ze zmęczeniem. Po prostu uśmiechnęłam, nie wyszczerzyłam.



Riencharn czuł się okropnie. Wprawdzie po bólu nie został nawet ślad, ale cała reszta... Teraz mógł dokładnie powiedzieć, jak czują się ci, których sprzedawano jako niewolników. Na niego, Riencharna Aena, wojownika i maga, patrzyli jak na rzecz, przedmiot należący do Rinnelis Tyen. Co za poniżenie! Sama dijes śledcza wpadła we wściekłość, widząc, że ktoś śmiał się wtrącić do jej spraw, spróbował wyciągnąć rękę po jej własność.

A dzień tak dobrze się zaczął... Zbadanie zaklęć zajęło mu demonicznie dużo czasu, ale w końcu znalazł słabe ogniwo i ze złośliwym uśmiechem zaczął je rozwalać. Nie wiedział, co za mądrała nakładał zaklęcia, które skrupowały go magią, ale nie pozwalały jedynie na użycie siły magicznej poza swoim ciałem... A przecież czary kahe były umieszczone w nim samym! Riencharn skomentował zdolności ludzkiego maga krótkim słowem „idiota” i z przyjemnością zaczął przygotowania do ucieczki.

I wtedy właśnie do jego celi wpadł wartownik wraz z jakimś podejrzanym typem. Gdyby chodziło o przesłuchanie, przyszedłoby po niego dwóch strażników - zresztą tych, którzy zwykle prowadzili go do czarującej dijes Tyen, kahe doskonale pamiętał. Do umysłu Riencharna zakradły się straszliwe podejrzenia, które sprawdziły się całkowicie, gdy zarzucono mu sznur na szyję.

W pierwszej chwili ostłupiały kahe pomyślał, że dijes śledcza ma dość tracenia na niego czasu...

Riencharn nie miał ochoty pozwolić się udusić, ale gdy spróbował się bronić, wartownik unieruchomił go. Kahe już zdążył pożegnać się w myślach ze wszystkimi swoimi licznymi krewnymi i samym życiem, gdy na prog, niczym

anioł zemsty, stanęła dijes Rinnelis. Bardzo zła dijes Rinnelis.

Groźna człowieczka za jednym zamachem rozwiązała wszystkie jego problemy, a kahe starczyło przytomności umysłu, by spróbować określić granice rezerw magicznych śledczej.

„I ludzkie dziecię wywyższy się ponad Naród Słowa...” - strofy pradawnego prorocstwa wypłynęły ze świadomości Riencharna. Nie, nie dotyczyło ono konkretnie dijes Rinnelis, ale magiczna siła dziewczyny mimo wszystko zrobiła na nim duże wrażenie; śledcza przesunęła się w górę w rankingu osobistych wrogów Riencharna Aena. Kahe nie lubili magii ludzi - dlatego że działała ona szybciej niż magia południowców, przywiązanych do Słowa, czyli używających magii werbalnej. Chociaż czary kahe były subtelniejsze i bardziej precyzyjne, pod względem elegancji przypominające czary elfów, to łom topornej ludzkiej magii robił swoje i niełatwo było go zablokować. Śmiertelnicy byli zwierzętami, i to zwierzętami stadnymi, niebezpiecznymi ze względu na liczebność oraz siłę, jaką dysponuje każde stado. Nawet stado baranów.

„Nie wszyscy... Sofia... Ona była inna...” - poprawił się natychmiast kahe. Pamięć Sofii Ayrel była dla niego niemalże święta. Ta dziewczyna zawsze przywodziła Riencharnowi na myśl kwiat aelanni, serca zakochanych, który kwitł na stepach Południa w pierwszym miesiącu wiosny. Sofia była równie krucha i piękna, bladła przy niej nawet olśniewająca uroda elfek, którą Riencharn nie raz miał okazję podziwiać. Drugiej takiej kobiety jak Sofia nie było na tej ziemi... Była za to dijes Rinnelis, która trzymała go mocno w swoich szponach. Prawdziwa żmija, ratujcie Przodkowie przed tą straszną człowieczką! Ale to nic,



jeszcze trochę i odpłaci tej suce za wszystko! Ale przede wszystkim uratuje Taela.

Jak temu chłopakowi udało się wpaść w ręce dijes, w dodatku tak szybko? Należało mu się porządne lanie: nie tylko wpadł, ale jeszcze naraził na niebezpieczeństwo interesy Domu! Jak można być tak bezmyślnym!

„To nic, jeszcze wszystko można naprawić. Jutro odyskam wolność, a dijes Rinnelis skończy z klingą w sercu!

Po zastanowieniu kahe uznał, że lepiej będzie podciąć człowieczce gardło - obecność serca w jej przypadku była bardzo wrażliwa. Tak czy inaczej, gadzina musi umrzeć, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak dużo wie o nim i o Taelu. Ponadto zabójstwo Rinnelis Tyen miało dać Riencharnowi spokój i satysfakcję - przez cały czas kontaktów ze śledczą kahe marzył, żeby upuścić jej krwi. Tacy jak dijes Rinnelis w ogóle nie powinni hańbić ziemi swoim istnieniem.

Kahe nie czuł wdzięczności, że dijes go uratowała - dla człowieczki zamach na jego życie nie był próbą zabójstwa, lecz odebrania jej prawowitej własności. I właśnie za to niedoszli zabójcy ponieśli karę. Tak, wchodzenie w drogę dijes Tyen to niebezpieczna rozrywka, ale Riencharn pocieszał się, że przy jego bogatym i różnorodnym doświadczeniu zdoła rozprawić się z tą nędzną dwudziestoparoletnią dziewczynką.



Kahe nie rozmawiał ze mną, zerkał tylko podejrzliwie na Kerriego, który na moją prośbę nie spuszczał oka z laro Taellona. Rzecz jasna, młodszy nieludź zaczął patrzeć na mojego kota z tą samą „miłością” co na mnie i chyba

z trudem powstrzymywał się od wykonania gestu odstrasza-  
jącego zło. Uśmiechnęłam się smętnie i poszłam robić kola-  
cję. Właśnie dlatego wolałam mieszkać sama: nikt nie stoi  
mi nad głową, nie żąda uwagi i jedzenia, nie przeszkadza  
pracować... Och, żeby tak wreszcie zakończyć tę sprawę i  
pozbyć się laro Taellona, który zdążył mi już obrzydnąć ze  
swoim marudzeniem i żądaniem.

Przygotowując jedzenie, zastanawiałam się, kto tak wła-  
ściwie chciał załatwić mojego podejrzanego. A przede  
wszystkim: komu wystarczyło pieniędzy do przełamania  
zabobnego strachu, jaki budziłam w większości tych,  
którzy mieli nieszczęście się ze mną stykać? Nie wierzę,  
żeby laro Gross, decydując się pomóc nieznanemu boga-  
czowi w realizacji jego kaprysu, ograniczył się do symbo-  
licznej sumy. Za coś takiego bierze się dużo.

Będę musiała porozmawiać z laro Itenem na temat prze-  
kupstwa i przekraczania kompetencji służbowych...



- Proszę o wybaczenie, laro... - Naczelnik Wydziału  
Śledczych zgiął się w pokłonie. - Skąd mogłem wiedzieć, że  
ta gadzina wróci do pracy! Teraz kahe jest chroniony przez  
podwładnych Tarna Reysa, a oni mi nie podlegają!

- Reysa? - powtórzył sucho rozmówca Grossa.

- Tak, laro. To stary przyjaciel Tyen, nie sposób go  
przekupić, a jego ludzie to najlepsi pracownicy Straży i  
podlegają tylko jemu. Zajmują się dochodzeniami w spra-  
wach wewnętrznych...

- To znaczy, że już wkrótce wezmą się za pana?

- Tak, laro. - Gross wydał krótki szloch. - Ta suka  
złożyła na mnie raport i spisała protokół o próbie zabójstwa

kahe. Teraz się ode mnie nie odczepią! Jeszcze, nie dajcie bogowie, powierzą moją sprawę Tyen, a ona rozwiązałaby język nawet umarłemu... Laro...?!

- Miejmy nadzieję, że to jej się jednak nie uda - prychnął tamten, patrząc, jak laro Iten powoli osuwa się na podłogę. - A jeśli chodzi o Tarna Reysa, to jeszcze się zastanowię...



Do pracy spóźniłam się całe pół godziny, co nie zdarzało mi się nigdy. Ale do tej pory nie miałam w domu roztrzęsionego kahe... Jak się okazało, nim niełudz zwalił mi się na głowę, byłam prawie absolutnie szczęśliwa. Laro Taellon zapragnął wczoraj wyrazić swoją opinię o mnie i moim zachowaniu i robił to przez bite trzy godziny, nie milknąc nawet na pięć minut. A potem zaczął tłuc naczynia. Z zemsty zmusiłam go do odtworzenia ich, czepiając się każdego uchybienia w czarach. Kerri przyglądał się tej scenie z wyraźną wzdrganiem, acz z bezpiecznej odległości, prychnając przy szczególnie głośnych okrzykach kahe. Po tym wszystkim bezczelny niełudz oznajmił, że jest zmuszony zastosować wobec mnie siłę. Z dużym trudem powstrzymałam się od śmiechu i odpowiedziałam, że jeśli ośmieli się to zrobić, odbije się to nie tylko na nim samym, ale również na jego wujku, który i tak ma sporo problemów. Mimo to młody kahe próbował skrzywić mi kark, nie okazał się jednak godnym przeciwnikiem - co zrozumiał dopiero po ataku dzikiego bólu na podłódze w kuchni. Nie dość, że zachował się jak idiota, wchodząc na mój teren, to jeszcze nie rozumiał, jak powinien teraz postępować. Laro Riencharn był znacznie ciekawszym przeciwnikiem. Okazał się nawet zbyt

dobry dla pewnego ludzkiego śledczego i wzbudzał we mnie uzasadnione obawy. Jednak bez względu na to, kim był ten kahe, z mojego chwytu, silniejszego niż chwyt buldoga, i tak się nie wyrwie. Byłam gotowa użyć wszelkich środków, nawet niezbyt uczciwych, żeby nieudź do końca swojego długiego życia pamiętał, jak owinęłam go sobie wokół palca i upokorzyłam. Jednak moja ambicja mogła na tym ucierpieć...

Leżałam w łóżku, wpatrując się w ciemność nocy. Ludzkie oczy nie potrafiły nic dojrzeć, za to kahe czy elfy widzą w nocy równie dobrze jak koty. Zresztą nieudzie w ogóle zostali stworzeni przez kogoś tam na górze (albo na dole, mniejsza z tym) jako istoty bardziej doskonałe niż my, śmiertelnicy. Niektórzy mówią, że w nas, ludziach, ukryty jest ogromny potencjał i gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy zetrzeć w pył każdą inną rasę... O, to na pewno, ale nie dlatego, że jesteśmy lepsi, po prostu jest nas więcej i szybciej się rozmnażamy. Elfy można by zlikwidować w jednej porządnej wojnie, którą ludzie nie tylko przeżyją, ale w krótkim czasie z entuzjazmem zaczną szykować się do kolejnej krwawej łaźni. Ludzkich państw było ponad dwadzieścia, a Pierworodzeni mieścili się w jednym królestwie leśnego typu, zaś kahe byli rozsypani na całym południowym stepie. Kahe nigdy nie stworzyli państw i pewnie już nie stworzą. Mieli za to przestarzały system rodowy: byli podzieleni na Domy, do których należeli zarówno wielmoże, jak i biedni chłopci. Domy przypominały elfie klany, ale w nich więzy rodzinne łączą tylko w jednej gałęzi - status kahe można określić według gałęzi, do której należy. Domy stale walczą ze sobą o władzę, a teraz, jeśli tylko nic mi nie umknęło, największy wpływ miał właśnie Dom Erris, do którego należał mój podejrzany i jego siostrzeniec. Obaj

nosili czerń, a to znaczyło, że należeli do najznamienitszej, najstarszej gałęzi kahe.

Kahe w ogóle mieli specyficzny stosunek do kolorów, które uzewnętrzniały stopień ich znamienitości; noszenie cudzego koloru nie było dobrze widziane. Jak te nieszczęsne kobiety kahe mogły przez całe życie nosić suknie w jednym i tym samym kolorze? Nie miałam pojęcia, ja bym tak nie potrafiła. Ponadto nieludzie owijają piękniejszą połowę swojej rasy w tkaninę od stóp do głów, żeby, nie dajcie Przodkowie, jakiś obcy nie zobaczył kawałka obnażonego ciała. Nie wiem, jak chłopki mogą pracować w takiej ilości szmat, ale fakt pozostawał faktem. Chociaż tak właściwie co mnie obchodziły zwyczaje kahe...? A jednak pewne, wydawałoby się, bezużyteczne informacje chyba rzeczywiście mogłyby mi pomóc... Na przykład fakt zawierania małżeństw z ludźmi. Zdaje się, że nie było to zabronione, w każdym razie w Domu Erris patrzono przez palce na takie mieszane związki - w końcu założycielką Domu była dziewczyna, która uciekła z własnego wesela z elfim minstrelem.

W wieku trzynastu lat, będąc naiwną i romantyczną nastolatką, skrupulatnie gromadziłam wszelkie informacje o kahe, jakie tylko mogłam zdobyć. Ach, ten Naród Słowa... Co drugi to bohater, co trzeci minstrel... Wtedy byłam jeszcze młoda i głupia. A potem dowiedziałam się o kahe wielu innych rzeczy, nie tylko z legend. Że prowadzimy z nimi wojnę ciągnącą się od setek lat, że nimi gardzimy, że spotkanie jednego człowieka z patrolem nieludzi zwykle źle się kończy... I obok wizerunku minstrela pojawiło się słowo „wróg”.

Nie uważałam, że ludzie z zasady byli lepsi od nieludzi, ale z ludźmi łączyła mnie przynależność rasowa, to samo

stado, a to znaczyło, że mogli liczyć na moją pobłażliwość przy całej swojej krzyczącej niedoskonałości, przejawiającej się absolutnie we wszystkim, poczynając od emocji, a kończąc na siedzibach. A ja... ja właśnie próbowałam stać się doskonałością. Uparcie, rok po roku dążyłam do tego niedosiętego celu - człowiek z definicji nie może być idealny. Ale ja lubiłam zadania z dopiskiem „nierozwiązywalne”. Bo przecież im trudniej osiągnąć cel, tym większą satysfakcję daje zwycięstwo...



**J**uż od świtu Riencharn z niecierpliwością czekał na spotkanie z dijes Rinnelis. Czekał na nią tak, jak młody zakochany czeka na swoją dziewczynę, aczkolwiek jego były zupełnie przeciwne. Dzisiaj kahe miał zamiar nie tylko odzyskać wolność, ale uratować także swojego siostrzeńca. Zabójstwo wstrętnej człowieczki również znajdowało się na liście spraw do załatwienia, co sprawiało Riencharnowi ogromną, z niczym nieporównywalną przyjemność.

W zasadzie już w tej chwili kahe mógłby uciec z celi i zapewnić Straży trochę rozrywki, ale wyrwanie się stąd z dijes śledczą pod pachą było znacznie bardziej kuszące, ponadto ułatwiłoby mu uwolnienie Taela. Człowieczka stanie się jego przepustką, tarczą i kluczem do drzwi, za którymi trzymają jego siostrzeńca. A potem zimny trup Rinnelis Tyen wyląduje w jakimś rynsztoku. Idealne miejsce pochówku dla tej gadziny w ciele ludzkiej kobiety.

W ciągu swojego długiego życia Riencharn Aen jeszcze nigdy nikogo tak nie nienawdził jak śledczej Rinnelis Tyen, a w jego nienawiści była spora doza zabobonnego

strachu. W porównaniu z innymi rasami ludzie byli dla południowca prymitywnymi zwierzętami, niebezpiecznymi, ale przewidywalnymi, podczas gdy dijes Rinnelis zawsze stanowiła zaskoczenie - i to dość nieprzyjemne. Jej umysł był precyzyjny niczym mechanizmy krasnoludów, nie psuł się i nie szwankował, nie miał przestojów. To było niemożliwe i właśnie dlatego takie straszne. Wydawało się, że w ciele ludzkiej kobiety bogowie umieścili ostry jak brzytwa umysł starego elfa, który już dawno przestał interesować się tym, co wychodziło poza ramy sprawdzonych przekonań. To było nieprawdłowe, nienaturalne i oznaczało, że dijes Tyen należy zniszczyć.

Riencharnowi dwukrotnie przynosili jedzenie surowi, niewzruszeni strażnicy, zupełnie niepodobni do tych, którzy pilnowali go poprzednio. Widocznie byli to właśnie ludzie owego Tarna, przyjaciela dijes Tyen. Dziwne, że Żmija w ogóle ma jakichś przyjaciół - jak ktokolwiek mógł z nią wytrzymać?! W odróżnieniu od zwykłych strażników ci wzbudzali zrozumiały lęk: byli skoncentrowani i emanowali pewnością siebie. Ale jeśli zrobi wszystko jak należy, to te młokosy nie zdołają przeszkodzić mu w ucieczce...

- Wychodź, nieludziu! - polecił strażnik. Riencharn spokojnie, leniwie wstał, patrząc pogardliwie na człowieka. Ten nie zwrócił uwagi na miny podejrzanego i spokojnie rozpoczął zwykłą rewizję.

„Głupi ludzie... Moją bronią jestem ja sam!” - pomyślał Riencharn, kryjąc złośliwą radość pod cieniem rzęs.

Poprowadzono go tymi samymi korytarzami, w których światło kopnących pochodni daremnie próbowało rozproszyc gęstniejący półmrok. Nie było tu ani jednego okna - widocznie w ten nieskomplikowany sposób ludzie postanowili utrudnić więźniom ucieczkę.



Te dziesięć minut, gdy kahe i jego konwojent szli do sali przesłuchań, wydały się Riencharnowi najdłuższymi minutami jego życia. Mężczyzna drżał z niecierpliwości, usiłując zarazem nie przykuwać uwagi strażników. Jeszcze, ucho-  
wajcie Przodkowie, zaczną coś podejrzewać i wyślą jakiegoś maga, żeby sprawdził czary blokujące. I wtedy to już  
cześć pieśni...

Gdy wreszcie ukazały się te przeklęte, długo wyczeki-  
wane drzwi, Riencharn pomyślał, że idąc tu, stracił kilka lat  
życia - jeśli tylko nieśmiertelna istota jest w stanie stracić  
część swojej życiowej drogi z powodu zszarganych przez  
człowieczkę nerwów.

- Dzień dobry, laro Riencharnie. - Dijes śledcza wy-  
szczyrzyła się w swoim zwykłym uśmiechu, uprzejmie  
wskazując mu taboret. Rzecz jasna, nie ten sam, który roz-  
biła na jego głowie, ale pewnie równie mało wygodny. Rin-  
nelis Tyen doskonale wiedziała, jak wypracować sobie  
przewagę nad przesłuchiwanym, i nie miała zamiaru ustę-  
pować ani na jotę.

- Witam, lare - odrzekł kahe ponuro. Nie potrafił na-  
zwać tego dnia dobrym. Miał przed sobą Rinnelis Tyen, a  
już sam fakt jej egzystencji redukował do zera pozytywne  
rzeczy na tym grzesznym świecie.

- Sądzę, laro, że mamy sobie wiele do powiedzenia,  
prawda? - powiedziała łagodnie śledcza, siadając w fotelu  
naprzeciwko.

„Dobrze, jeszcze odrobinę... no, odwróć się... proszę,  
dijes Rinnelis...”

Narzucenie na dziewczynę kilku „łańcuchów” było kwe-  
stią sekundy - Riencharn przygotowywał te zaklęcia całą  
noc. Żmija po prostu nie zdążyła zareagować, refleks czło-  
wieka, niepodkreśnany ziołami, nie mógł się równać z szyb-  
kością południowców.

- A teraz rzeczywiście porozmawiamy, moja droga dijes - rzekł kahe, szczerząc się jak wampir i jednym ruchem zrzucając kajdany. Przy użyciu magii pozbycie się tych „ozdób” było banalnie łatwe.

A potem zastygł stropiony, patrząc na niewzruszoną twarz Rinnelis. Człowieczka nie wyglądała nawet na zdziwioną.

„Do demonów z nią!” - pomyślał kahe, zdejmując z pasa śledczej cienki sztylet. Był to obowiązkowy dodatek do uniformu pracownika Straży, zupełnie nieprzydatny w walce, co najwyżej można nim było kogoś skaleczyć. Jednak Riencharn wołał nie kusić losu. Zbyt wiele miał do stracenia, by dawać lare Tyen choćby najmniejszą szansę.

- Chyba nie ma pani nic przeciwko wspólnemu spacerowi, dijes? - spytał ironicznie, unosząc brew.

- Czy mi się wydaje, czy mówiłam, że zwrot „dijes” jest zupełnie nieodpowiedni? - spytała dziewczyna, patrząc kahe prosto w oczy.

Spojrzenie Rinnelis Tyen było spokojne, obojętne, bez śladu strachu, głos brzmiał tak samo równo jak zawsze. Albo Żmija zupełnie się nie bała, albo była utalentowaną aktorką.

- Czy pani nie rozumie, że tym razem pani przegrała? Śledcza uśmiechnęła się pobłaźliwie i odparła:

- O, laro Riencharnie, to pan jeszcze po prostu nie wszystko rozumie.

- Na przykład?

- O tym porozmawiamy później, a na razie jestem do pańskiej dyspozycji.

„Najwyraźniej coś wymyśliła... Musiałem coś przegapić, jakiś sposób, który pozwoli jej się wyplątać... Do demonów,

tylko jak go odkryć?! Dlaczego ja, kahe, który skończył czterysta lat, nie mogę odgadnąć zamiarów żalösnej człowieczki?!”

W tym momencie pomysł ucieczki nie wydawał się już Riencharnowi tak dobry. Kahe w duchu ogarnął lęk, nie miał pojęcia, czym może mu zagrozić dijes Rinnelis i jak to się odbije na losie Taellona. Ale było już za późno na wycofanie się... Zresztą szlachetnie urodzony południowiec nie wycofałby się z powodu lepkiego strachu przed ludzką dziewczyną, patrzącą na niego zimnymi oczami żmii, które teraz nabrały złocistego odcienia, jak oczy prawdziwego gada.

Tłumiąc ciężkie westchnienie, kahe wstał i podał rękę dijes Rinnelis, która przyjęła ją bez wahania. Dopiero chwilę później mężczyzna zdał sobie sprawę ze swojego gestu.

- Przyjemnie mieć do czynienia z dobrze wychowanymi nieлюдźmi - zauważyła człowieczka. - Jak rozumiem, pragnie się pan spotkać z laro Taellonem?

- Zgadza się - skinął głową mężczyzna, pospiesznie próbując wypracować jakąś linię postępowania, która pomogłaby mu wyjść z tego wszystkiego z twarzą. Oczywiście nikt prócz dijes Rinnelis nie dowiedziałby się o jego potencjalnej wpadce, a sama człowieczka już wkrótce wyruszy na spotkanie z Przodkami, jednak Riencharn nie zdołałby odzyskać szacunku do samego siebie. - Liczę na pani rozsądek, dijes - rzekł kahe, uśmiechając się z przymusem i biorąc dziewczynę pod rękę. Nie był to udany uśmiech; Żmija również była tego zdania. Wzięła z wieszaka szary płaszcz, w którym kahe nigdy jej nie widział, i przewiesiła go w zgięciu ramienia.

„Gadzina!”

- Cóż, laro, zdrowy rozsądek nie jest moją mocną stroną, za to nikt nigdy nie zarzucił mi głupoty - odparła dijes Tyen, unosząc lekko kąciki warg.

Zabrzmiało to jak ukryte wyzwanie, Riencharn spiął się, ale człowieczka nie robiła żadnych gwałtownych ruchów. Przestraszyła się? Raczej nie... Jeśli ta zmięja z zimną krwią sprowokowała go do wybuchu, ryzykując swoje życie, to znaczy, że stłumienie instynktu samozachowawczego nie jest dla niej problemem. Czyli po prostu czeka na odpowiedni moment, żeby mu odpłacić. Gdyby jeszcze wiedział, co ona planuje...

Odprowadzany osłupiałym spojrzeniem wartowników Riencharn opuścił salę przesłuchań pod rękę z dijes Tyen. Śledcza rozdrażnionym gestem powstrzymała ochronę, która już do niej biegła. Twarz dziewczyny pozostała absolutnie niewzruszona.

- Mam pani powiedzieć, dokąd iść? - zwrócił się kahe do swojego jeńca.

- Oczywiście, że nie, laro - pokręciła głową dziewczyna, uśmiechając się lekko. Z jakiegoś powodu uśmiech ten wyglądał naprawdę przerażająco, ale Riencharn miał mocne nerwy.

Kilka minut później kahe miał okazję się przekonać, że w biurze Straży jednak były okna, choć zbyt małe jak na jego potrzeby. Można było przez nie najwyżej podziwiać plac Fontannowy, po którym chodziły leniwe, tłuste gołębie, latające pewnie tylko w snach. Kahe nie lubił gołębi - uważał je za głupie, tępe ptaki. Co innego kruk, opiekun Domu, który potrafił przechodzić ze świata zmarłych do świata żywych. Czarny, majestatyczny ptak, uosobienie nieodwracalności fatum. Głupi ludzie sądzili, że kruki przynoszą nieszczęście, zapominając, że zwiastun nigdy nie jest przyczyną, on jedynie uprzedza o tym, co ma się stać.

Śmiertelnicy lubili gołębie, uważając je za uosobienie miłości i pokory... Kahe uważał to za idiotyczne, tak bezczelny ptak zwyczajnie nie mógł być symbolem pokory.

- Dokąd mnie pani prowadzi, dijes? - opamiętał się Riencharn, gdy znaleźli się przy wyjściu z budynku.

Dziewczyna odwróciła się do niego, unosząc brwi ze zdumieniem.

- Odniosłam wrażenie, że chce się pan zobaczyć ze swoim siostrzeńcem? A może zmienił pan zdanie i pragnie porozmawiać z moim naczelnikiem, laro Grossem?

Riencharn nie mógł zrozumieć, co się dzieje.

- Nie, ale...

- A więc właśnie udajemy się do laro Taellona - dijes pozwoliła sobie na nieco złośliwości, patrząc na swojego byłego jeńca bez cienia strachu czy niepewności.

Riencharn pogodził się z tym, że nie uda mu się wyprowadzić tej żmii z równowagi.

- Niech pani prowadzi, dijes.

- Risz!!! - rozległ się przejmujący krzyk z tyłu. Kahe wzdrygnął się - ten głos należał do Lera - eksperta, przyjaciela Rinnelis Tyen.

„To koniec. Po prostu koniec. Zdążyłbym jeszcze ją zabić, ale podniosą alarm i przeżyję najwyżej trzy minuty... Przodkowie, czym wam zawiniłem?!”

- Co się stało, Ler? - spytała nieco stropiona śledcza, odwracając się do swojego przyjaciela. Kahe, który próbował ją przytrzymać, dostał łokciem między zębra.

- Risz, Gross nie żyje - oznajmił chłopak wstrząśnięty. - Właśnie skończyłem sekcję zwłok.

- I...? - powiedziała zaskoczona dziewczyna. Na jej twarzy pojawił się wyraz świadczący o złych przeczuciach.

- Oficjalna wersja to atak serca...

- No, no... I to przy zupełnie zdrowym sercu... - prychnęła dijes Rinnelis. - A nieoficjalna?

- „Łza Smoka”, Risz. Na dwieście procent użyto właśnie jej. A przecież dochodzenie wszczęto dopiero wczoraj! Co za zbieg okoliczności...

- Sprawnie działają - westchnęła śledcza.

- Nie da się ukryć... A ten co tu robi? - zainteresował się przelotnie Ler, kiwając głową w stronę kahe, który przestał rozumieć, co się dzieje, i nie wiedział, jak ma się zachować.

- A... wszystko w porządku - opędziła się dziewczyna. - A to, o co cię prosiłam?

- Wybacz, że tak długo - powiedział speszony alchemik, wyjmując z torby jakąś teczkę. - Masz tu absolutnie wszystko. Przy okazji, znów się okazało, że masz rację. Gratulacje.

- Czy kiedyś wątpiłeś w siłę mojego intelektu? - uśmiechnęła się krzywo Tyen.

- Nie. Ale uważaj, Risz, dobrze? Bo ten gość zbyt szybko i zbyt łatwo wysyła ludzi na tamten świat. Wiem, że jesteś najgroźniejsza i w ogóle, ale nie ryzykuj niepotrzebnie... I jeszcze ten kahe... Odeślij go jak najdalej, przecież na pewno chce cię załatwić w ramach poprawy sytuacji międzynarodowej.

- Wszystko jest pod kontrolą - prychnęła człowieczka. - Mnie tak łatwo nie zabije. No dobra, to na razie... A Tarn nie miał nic dla mnie?

- Prosił, żeby ci powiedzieć, że sprawa jest bezna dziejna. Nie sposób ustalić, z kim Gross kontaktował się ostatnio.

- Przykre - westchnęła dijes Rinnelis. - To znaczy, że nie zorganizował obserwacji Grossa po zamachu na kahe?

- Nie, wiesz przecież... Postanowienie sądu i tak dalej... - mruknął niepewnie Ler.
- No dobra, nieważne. Trzymaj się, Ler.
- Wszystkiego dobrego, Risz.



Moje zdumienie nie miało granic. Nie, nie chodziło o to, że laro Riencharn mimo wszystko odważył się na ucieczkę i zabrał mnie ze sobą w charakterze zakładnika. To akurat było do przewidzenia, dziwiło mnie raczej, że zdecydował się na to dopiero teraz.

Zastanowiło mnie to, że tak szybko zlikwidowali laro Grossa, w dodatku używając „Łzy Smoka” - trucizny niewiarygodnie rzadkiej i drogiej, która działała błyskawicznie, nie zostawiając żadnych punktów zaczepienia. Za jedną porcję tej trucizny musiałabym oddać swoją roczną pensję. Taak... Człowiek, który chce zlikwidować laro Aena, musi być bajecznie bogaty, skoro w ciągu jednej doby pozbył się sum potrzebnych zarówno na przekupienie Grossa, jak i na usunięcie go.

Szkoda, że Tarn tak nie w porę przypomniał sobie o procedurze prowadzenia obserwacji. Mógłby nie udawać nieprzekupnego strażnika, przecież wiem, że czasem zabawia się śledzeniem i rewizją z pominięciem postanowień sądu.

Od rozmyślań o nieznanym przestępcy oderwały mnie podejrzliwe spojrzenia, jakie rzucano na mnie i na kahe. Brudny oberwaniec kroczący ulicą pod rękę z kobietą w pelerynie śledczej robił niemałe wrażenie. Przez chwilę przyglądałam się mojemu towarzyszowi (który zerkał na mnie nerwowo, spodziewając się jakiegoś podstępu), a

potem narzuciłam na niego swój płaszcz, usiłując nie myśleć o tym, że później będę musiała go prać. Laro Riencharn popatrzył na mnie zdumiony, ale widocznie uznał, że tak faktycznie będzie lepiej, bo bez słowa zaakceptował i płaszcz, i fakt mojej dobroczynności.

Tę część garderoby zabrałam, na wypadek gdyby nie-ludź zdobył gdzieś broń (mojego kindżału nie liczyłam) i chciał ją na mnie wypróbować. Nie miałam zamiaru umierać. Pracując w Straży, nauczyłam się, że płaszcz jest niezastąpiony, gdy chcesz, żeby czyjś nóż nie znalazł sobie przytulnego miejsca między twoimi żebrami, ale zaplątał się w fałdach ubrania. Zawsze można go rzucić przeciwnikowi w twarz, zyskać kilka sekund i przejść do ataku.

Z moich obserwacji wynikało, że bronią laro Aena był tylko on sam i jego magia, więc mogłam poświęcić płaszcz, jakoś sobie poradzę bez niego. Poza tym moje plany i zamiary nie-ludzia pokrywały się: on chciał odnaleźć siostrzeńca, ja chciałam wrócić do domu. W zasadzie, żeby wyrównać siły z kahe, nie musiałam wchodzić na swój teren, w końcu nie byłam aż tak beztroaska, by zostawiać podejrzanego naszym „specjalistom”, którzy nie byli w stanie narzucić porządnej iluzji. Kahe nigdy nie byli zbyt dobrzy w ludzkiej magii, woleli grzebać się w swojej, pierwotnej i werbalnej - pewnie dlatego laro Riencharn nie znalazł w swojej aurze rozszczepionych elementów standardowego zaklęcia posłuszeństwa czwartego stopnia, prostego i pewnego w użyciu jak siekiera. Na myśl o tym, że jednak przechytryłam nie-ludzia, na mojej twarzy pojawił się nikły uśmiech. Kahe wyraźnie się zdenerwował - i słusznie, od dobrodusznych uśmiechów odwykłam w wieku piętnastu lat.

- Przepraszam, ale dokąd mnie pani prowadzi, dijes?  
- laro Aen próbował mimo wszystko wyjaśnić sytuację.



Zwrot „dijes” nadal działał mi na nerwy, obawiałam się jednak, że kahe, całkowicie przekonany o swej przewadze (choć może miał jednak jakieś drobne wątpliwości), nie spełni mojej prośby i nie przestanie tak do mnie mówić. Urodziłam się jako człowiek i planowałam umrzeć jako człowiek, dlatego życzyłam sobie, by zwracano się do mnie „lare”, nie inaczej.

- Już to powiedziałam, laro - zauważyłam. - Chciał się pan widzieć z laro Taellonem i właśnie do niego idziemy.

- Ależ miejskie więzienie jest w przeciwnym kierunku! - wybuchnął kahe.

Chyba zaczęły mu puszczać nerwy. Po raz kolejny ucieszyłam się, że nadal budzę w otoczeniu przerażenie.

- A czy kiedykolwiek wspomniałam, że laro Taellon przebywa w więzieniu? - zainteresowałam się uprzejmie, wypracowanym ruchem unosząc brwi w lekkim zdumieniu.

- To gdzie on jest?! - krzyknął kahe, ale pozwolił się dalej prowadzić.

- Cierpliwości, laro. - Uśmiechnęłam się. - Czy nie tę właśnie cnotę zalecał kruk Domowi Erris?

Wspomnienie świętego dla Domu Erris ptaka nieco uspokoiło Riencharna, choć w jego oczach nadal lśnił z trudem powstrzymany gniew i pragnienie mordy. Którego ofiarą byłabym ja.

Przez całe swoje samodzielne życie balansowałam na ostrzu noża, gwizdząc na zwyczaje śledczych, na konieczność chylenia głowy przed zwierzchnictwem, milczenia, gdy trzeba, mówienia tego, co należy. Świadomie prowokowałam potężne nieprzyjemności, wiedząc, że w każdej chwili mogę zostać starta w pył, i zdążyłam już zżyć się z myślą, że przy takim stylu pracy długo nie pożyję.

I mogłam powiedzieć jedno: bliżej własnej śmierci niż teraz, gdy szłam ulicą pod rękę z Iaro Aenem, byłam tylko wtedy, gdy tenże Iaro rzucił się na mnie w sali przesłuchań. Moją krew burzył przedsmak poważnej rozgrywki, niszczący obrzydłą rutynę i nudę. Czułam, że naprawdę żyję tylko wtedy, gdy zanurzałam się w następnym śledztwie albo gdy ktoś po raz kolejny dochodził do wniosku, że bez głowy będę wyglądać znacznie lepiej.

I tym razem pragnienie przeżycia równało się pragnieniu wygrania po raz kolejny, chociaż... Mimo wszystko miałam jeszcze instynkt samozachowawczy, dlatego dalszą drogę przebyłam w milczeniu, nie prowokując kahe do uduszenia mnie na miejscu. Ten ze stoickim spokojem powstrzymał się od zamordowania mnie - pewnie tylko dlatego, że beze mnie nie znalazłby siostrzeńca. Zawsze wierzyłam w siłę intelektu południowców.

Rzecz jasna, ogon towarzyszył nam od samego biura...



Dijes Rinnelis postanowiła zamilknąć dokładnie w tej chwili, w której kahe przygotował się mentalnie, by wysłać ją na tamten świat. Zimna, wyrachowana, przebiegła suka! Nawet się nie przestraszyła! To złościło go najbardziej. Co prawda przez wściekłość przebijała się paniczna myśl: a jeśli dijes śledcza przewidziała ewentualność jego ucieczki i ma na tę okazję od dawna przygotowany plan?! Co robić? Dokąd uciec, żeby nie tylko samemu odczepić się od tej zmi, ale jeszcze wyciągnąć tego głupca Taella? Próba udowodnienia, że jest silniejszy od tej przeklętej dziewczyny, że potrafi sobie z nią poradzić, runęła z hukiem, grzebiąc pewność siebie kahe.

A dijes Rinnelis spokojnie szła przed nim, rozcinając tłum niczym nóż; ludzie odskakiwali od jej fioletowej szaty jak wampir od krzyża. Śledczych obawiano się z zasady, nikt nie chciał nawinąć się pod rękę ludziom posiadającym władzę, gdy ci są w złym humorze. Ponadto sług prawa serdecznie nie lubiano, co było zupełnie naturalne - śledczy zwykle nie odmawiali sobie ziemskich przyjemności i nie raz wykorzystywali swój status służbowy do poprawy budżetu oraz sprawiania kłopotów bliźnim. Zdaje się, że z całego Wydziału Śledczych absolutnie czysta była jedynie Rinnelis Tyen, chociaż ludzie odnosili się do niej tak samo jak do innych strażników - Tyen była niezrozumiała, a co za tym idzie - jeszcze straszniejsza. Za plecami Rinnelis rozlegały się przekleństwa, ale tak ciche, że słyszał je tylko Riencharn. Gdyby dotarły do uszu Tyen, na pewno nie omieszkałyby wyjaśnić delikwentowi, jakie konsekwencje pociąga za sobą obraza śledczego w czasie pełnienia obowiązków służbowych, a potem z typową dla siebie obojętnością zorganizowałyby mu te konsekwencje.

Dziesięć minut później Rinnelis skręciła z zatłoczonej ulicy na ciche podwórko, gdzie było wejście do jednej z licznych kamienic czynszowych, przynoszących stolicy więcej zysku niż kopalnia złota na prowincji.

„Śledczym musi się nieźle powodzić...” - pomyślał kahe, próbując sobie wyobrazić, ile trzeba co miesiąc płacić za szczęście mieszkania w centrum Illeny w porządnym domu. Oczywiście Riencharn, jako noszący czerń członek najbardziej wpływowego Domu, nigdy nie zastanawiał się nad tym, ile wydaje. Jednak miał całkiem nieźle pojęcie o tym, jak wyglądają ceny i zarobki w większości ludzkich państw.

- Dzień dobry, moja miła! - zaskrzypiała siedząca na ławeczce staruszka w kolorowej chustce, uśmiechając się bezzębnyimi ustami.

- Dzień dobry, lara Irean - skinęła głową dziewczyna.  
- Jak zdrowie?

„To niby ona ma być MIŁA?” - osłupiał kahe, gdy zrozumiał, że stara kobieta zwracała się do stojącej obok niego Żmii.

- Wszystko dobrze, Rinnelis. Wcześniej dzisiaj wracasz... A powiedz no, kim jest ten przemiły młody człowiek? Czyżbyś jednak zaczęła myśleć o zamążpójściu? - uśmiechnęła się chytrze staruszka, patrząc to na stropionego kahe, to na trzepocącą rzesami Tyen.

- Nie, lara. To nie jest żaden miły młody człowiek. To zły, czterechsetletni kahe, w dodatku podejrzany w mojej obecnej sprawie - oznajmiła Żmija z najbardziej niewinną miną, na jaką było ją stać. - Nie myślę o małżeństwie, lara Irean. Dopiero zaczynam żyć.

- A o rodzicach myślisz? Oni na pewno chcieliby mieć wnuki, a ty ciągle w pracy! - nie poddawała się stara dija.

W pozie Tyen kahe wyczuł znużenie i rozdrażnienie.

- Rodzice zgadzają się poczekać - odparła z westchnieniem dziewczyna, spokojnie mijając staruszkę i podchodząc do drzwi.

Riencharnowi nie pozostawało nic innego, jak pójść za dijes śledczą, czując na sobie podejrzliwe spojrzenie dija Irean, która, zdaje się, nie uwierzyła, że kahe znalazł się tu z powodów służbowych, a nie w celu zdeprawowania miłej i niewinnej dijes Rinnelis. Co za brednie!

Kahe szedł w odległości metra za dijes Rinnelis, żeby zdążyć zareagować, gdyby śledcza chciała zrobić jakieś

głupstwo. Zresztą w razie czego na pewno zdoła skrócić jej kark... Wprawdzie jak do tej pory Żmija była zdumiewająco grzeczna, ale to wcale nie znaczyło, że nie może zaatakować w każdej chwili.

- Dokąd mnie pani przyprowadziła? - zapytał groźnie.

- Niestety, do własnego domu - wzruszyła ramionami dziewczyna. Zrobiła kilka skomplikowanych gestów przed drzwiami, a potem wsunęła klucz do zamka.

Kahe po raz kolejny tego dnia poczuł, jak ogarnia go złe przeczucie.

- Nie sądzę, żeby wizyta mężczyzny w domu samotnej kobiety dobrze wpłynęła na jej reputację - zauważył złośliwie Riencharn. - A ja nigdy nie pozwoliłbym sobie skompromitować młodej dijes. Chcę jedynie zobaczyć mojego siostrzeńca.

Żmija zmierzyła go taksującym spojrzeniem i odparła uprzejmie:

- Laro, nie przypuszczam, by na tym świecie było coś, co mogłoby zepsuć reputację śledczej ze stażem... Zresztą nie jest pan pierwszym mężczyzną, który odwiedza moje mieszkanie.

Nim kahe zdążył wymyślić ciętą ripostę, dziewczyna rzuciła mimochodem:

- Pański siostrzeniec jest właśnie tutaj, laro Aenie.

Chyba jeszcze nigdy Riencharn nie był tak zdumiony.

Korzystając z jego zmieszania, dijes Tyen spokojnie weszła do mieszkania i powiesiła klucz na haczyku wbitym w ścianę obok wielkiego lustra.

- Niech pan wejdzie, laro. Proszę mi wybaczyć, że nie zachęcam, by czuł się pan jak u siebie w domu -

uśmiechnęła się uprzejmie dijes śledcza, a w jej oczach pojawił się błysk.

„Co tym razem?” - zdenerwował się znowu kahe, ale mimo wszystko poszedł za człowieczka. Przecież tam miał być jego siostrzeniec... a razem z nim być może pułapka.



- Lare! Nareszcie pani wróciła! - rozległo się z pokoju. - Twierdzą stanowczo, że mimo wszystko musi pani... - zaczął laro Taellon, który chyba długo szykował ten monolog, a teraz zamilkł stropiony, widząc obok siebie swego krewnego.

- Tael?! - zawołał mój podejrzany i znieruchomiał z otwartymi ustami. Oczy kahe były teraz niemal idealnie okrągłe, najwyraźniej laro Riencharn do końca nie wierzył, że jego siostrzeniec, cały i zdrowy, przebywa u niego w domu, a nie w celi tortur.

- Wujek?! - zawołał wstrząśnięty laro Taellon. Jego twarz wyglądała jak odbicie twarzy starszego niełudzka. Młodszy kahe już się pogodził z tym, że jest potworem bez serca, i nastawił na to, że musi mnie skłonić - w dowolny sposób - do oddania mu jego bezcennego wujaszka. Teraz powoli do niego docierało, że musi zrewidować swoje plany. Zdaje się, że to go zdeorientowało.

Sądząc po oburzonej minie wuja i pełnym pokory spojrzeniu siostrzeńca, obaj niełudzkie mieli sobie sporo do powiedzenia. Najlepiej bez świadków. Uznałam, że wyjątkowo mogę okazać trochę taktu, absolutnie niepasującego do śledczego, i poszłam do kuchni przygotować obiad, a przy okazji przejrzeć zawartość teczek, którą

wręczył mi Ler. Miałam już niejakię pojęcie o tym, co w niej znajdę, ale moje niepoparte faktami podejrzenia nie były warte funta kłaków nawet dla mnie, a co dopiero dla sądu.

Odruchowo zdjęłam z teczki magiczną pieczęć, dostrojona do mnie, rozsypałam tasiemki zawiązane w kokieteryjną kokardkę i pogrzażyłam się w pasjonującej lekturze. W tle rozlegały się przekleństwa niełudzi.

Muszę przyznać, że ta rodzinna dyskusja wzbudziła moje żywe zainteresowanie, chociaż KAHEILY znałam raczej słabo. Wprawdzie rozmowa zaczęła się od banalnego: „Co ty tu robisz?”, ale dziesięć minut później przeszła na sprawy osobiste i rozjarzyła się takimi epitetami, że nawet nie wszystko rozumiejąc, czerwieniłam się speszona.

W teczce rzeczywiście znalazło się potwierdzenie wszystkich moich domysłów, a nawet coś więcej. Teraz było już jasne, że cały ten czas, który poświęciłam laro Riencharnowi, był najzupełniej stracony. Co prawda już wcześniej miałam pewne podejrzenia co do niewinności niełudzia, a jednak fakt, że to nie on zamordował lare Ayrel, rozczarował mnie. Z przyjemnością popatrzyłabym, jak wieszają Riencharna Aena, jednak zbyt wysoko ceniłam swoją reputację profesjonalisty. Poza tym niełatwo pozbyć się wpojonych od dzieciństwa zasad moralnych. A to znaczy, że kahe mimo wszystko przeżyje. Szkoda...

Ponieważ moi goście nadal rozmawiali ze sobą w przedpokoju podniesionymi głosami, postanowiłam nie opuszczać stosunkowo bezpiecznej kuchni. Nie chciałam, żeby liczni wrogowie ucieszyli się z mojego przedwczesnego zgonu, a w tej chwili laro Riencharn mógłby mnie zabić po

prostu z nadmiaru emocji. Bronić można się przed tym, co znasz albo co jesteś w stanie przewidzieć, a przewidzieć można tylko czyny rozumne, do jakich nie należy morderstwo czy ciężkie obrażenia ciała zadane w afekcie. Tak spontaniczne działania można przewidzieć wyłącznie wtedy, gdy samemu się je sprowokuje - tak jak to robiłam wcześniej ze starszym kahe. W tej chwili nie miałam kontroli nad sytuacją i uznałam, że lepiej nie wychylać się z kuchni bez potrzeby. Poza tym i tak miałam zamiar coś ugotować.

Wkrótce dołączył do mnie zjeżony i zły Kerri, wyraźnie niezadowolony z pojawienia się jeszcze jednego nieлюдzia, w dodatku zachowującego się tak gwałtownie.

Ja i kot popatrzyliśmy na siebie ze zrozumieniem.

Nałożyłam sobie na talerz duszone mięso z makaronem; mój strażnik również otrzymał swoją porcję i pałaszował ją, mrucząc z zadowolenia.

- Długo tu nie pobędą - obiecałam Kerriemu, siadając do stołu.

W każdym razie taką miałam nadzieję. Niespodziewanie krzyki mężczyzn ucichły, po czym w drzwiach kuchni pojawił się speszony laro Taellon.

- Lare Rinnelis, czy zostało coś dla nas? - wyjęczał młodszy kahe, spoglądając na mnie błagalnie. Jego wuj stał z tyłu; widziałam, że też jest głodny, ale duma nie pozwala mu przyznać się wobec wroga do słabości.

- Siadajcie. - Uśmiechnęłam się skąpo. Pomyślałam, że mój idealnie uprzejmy wyraz twarzy zaraz popęka i posypie się jak stary tynk.

Laro Taellon natychmiast skorzystał z zaproszenia. Laro Riencharn wahał się jeszcze, jednak jego węch, bardziej wyczulony niż ludzki, nie pozwalał mu zignorować



zapachu jedzenia. Nie sędzę, żeby w kwestii żywienia aresztantów w naszym wydziale coś się diametralnie zmieniło w ciągu ostatnich dwóch tygodni, na pewno jakość dań nadal pozostawiała wiele do życzenia.

- I w dodatku tu jadłeś! - wytknął z naganą starszy nieludź, patrząc z oburzeniem na siostrzeńca.

- A co, miałem umrzeć z głodu?! - najeżył się od razu Taellon.

- Lepiej umrzeć z głodu, niż przyjąć jedzenie z rąk wroga!

- Rozumiem, że panu nie nakładać? - zwróciłam się do laro Riencharna. Ten przełknął ślinę, zerknął na talerz, wciągnął zapach mięsa... Jednym słowem, wyglądał żałośnie.

- Niech pani nakłada, lare Rinnelis. - Chłopak machnął ręką na rozterki wuja. - On potrafi długo się tak męczyć.

- Szkoda. Wystygłe mięso to przykry widok...

- Ma pani absolutną słuszność, lare - przyznał Taelon i zabrał się z zapalem do jedzenia.

Szczerze zachwycałam się jego wspaniałym apetytem. Laro Riencharn przeciwnie, jadł ukradkiem, starając się, żebym nie zauważyła, a jego mina wyraźnie sugerowała, że spodziewał się w każdym kęsie strychniny. Cóż za brak manier! Pozwalałam swoim wrogom nasycić się widokiem gospodyni konsumującej potrawę, którą rzekomo sama zatrula. Cóż, na truciznach znałam się doskonale i zawsze wiedziałam, co trzeba zastosować, żeby nie wybrać się przedwcześnie na tamten świat. Co prawda tylko dopóty, dopóki nie widzieli, że jednak żyję i cieszę się stosunkowo dobrym zdrowiem.

Po kolacji młodszy nieludź zapragnął zaspokoić również głód informacji i spytał dobrodusznie:

- Proszę mi powiedzieć, lare, skąd wziął się tutaj mój wujek, skoro powiedziała pani wyraźnie, że nie zamierza ani organizować tego spotkania, ani mi pomagać?

- O, wuj był bardzo kategoryczny w swoim pragnieniu zobaczenia się z panem. - Uniosłam kąciki warg. - I potrafił znaleźć argumenty, które skłoniły mnie do spełnienia jego prośby.

Chłopak popatrzył na mój uśmiech, potem na złego i speszonego wuja i roześmiał się.

- A tak naprawdę?

- Pański wujek porwał mnie, zagroził śmiercią, zmusił do wyprowadzenia go z aresztu i zażądał, żebym zaprowadziła go do pana. - Wzruszyłam ramionami, odchylając się na oparcie krzesła. Byłam najedzona i generalnie zadowolona z życia.

- A czy on wie...? - Zapewne laro Taellon chciał zapytać, czy jego wujek został poinformowany, że moje mieszkanie jest chronione przed wtargnięciem obcych, że nie można go opuścić, a także stawiać w nim oporu. Już miałam odpowiedzieć, gdy do drzwi wejściowych ktoś załomotał i rozległ się znajomy okrzyk: „Otwierać, straż miejska!”. Laro Riencharn stropił się i dzięki temu zdążyłam pierwsza podejść do drzwi, do których tak gorliwie dobijali się moi współpracownicy. Kahe szybko ochłonął i znalazł się obok mnie, zanim strażnicy wdarli się do mieszkania, ale zbyt późno, by przeszkodzić mi otworzyć drzwi.

- Dzień dobry, laroje - powitałam kolegów moim najbardziej niewinnym tonem. - Czemu zawdzięczam waszą wizytę?

Za moimi plecami zastygł wstrząśnięty kahe, który już przygotował się na śmierć i nie rozumiał, czemu nie pozwałam strażnikom go zabić.

- Wszystko w porządku, laro Rinnelis? - spytał zbity z tropu oficer, którego twarz niejasno sobie przypomiinałam. Najwidoczniej przybyli uratować mnie przed złym nieludziem i chyba nie mogli zrozumieć, dlaczego nie wyglądam na ofiarę.

- W jak najlepszym, laro oficerze. - Pozwoliłam, by przez moją twarz przemknął cień zdumienia. - A co się miało stać?

Strażnicy popatrzyli na siebie wstrząśnięci, nie rozumiejąc, co się dzieje. Kahe, stojący za mną z miną skazańca, bynajmniej nie sprzyjał wyjaśnieniu sytuacji.

- Ale... zostaliśmy poinformowani, że podejrzany panią porwał?

- Że co mi zrobić? - Oburzone zdumienie wyszło mi nawet lepiej niż zwykle.

Strażnicy również byli zdania, że porwanie mnie, nawet jeśli jest teoretycznie możliwe, byłoby szkodliwe dla zdrowia i życia.

- W takim razie dlaczego tu przebywa?

Laro Riencharn spał się. A myślałam, że ma mocniejsze nerwy...

- Laro Dielran z Domu Trejt przebywa w moim domu, ponieważ nie ciąży już na nim oskarżenie, jednak dobro śledztwa wymaga, żeby został i pomógł wyjaśnić pewne okoliczności. - Wzruszyłam ramionami. Dielran to dość popularne imię i w Domu Trejt na pewno był jakiś kahe, który tak się nazywał. - W chwili obecnej ten czcigodny laro znalazł się w dość trudnej sytuacji i uznałam, że powinienam okazać mu gościnność.

- Że co?! - zawołali jednocześnie strażnicy i kahe, niespodziewający się podobnego zwrotu akcji.

- Zdjęłam oskarżenie z laro Dielrana. Mamy niezbite dowody jego niewinności w sprawie zabójstwa lare Sofii

Ayrel - oznajmiłam dobitnie, patrząc na przybyłych z kryształyczną uczciwością w oczach.

- Czyli wszystko w porządku? - uściślił oficer na wszelki wypadek.

- W absolutnym - zapewniłam go.

- Ale... on pani nie zmusił... że się tak wyrażę? - mężczyzna zerknął na kahe, który znajdował się w stanie absolutnego osłupienia.

- Laroje, jestem we własnym domu. Naprawdę myślicie, że można zmusić do czegokolwiek śledczego znajdującego się na własnym terytorium? Zapewniam was, że nie tylko nie może mi zagrozić, ale nawet kichnąć bez mojego pozwolenia.

Ta informacja całkowicie uspokoiła strażników. Uznali, że spełnili swój służbowy obowiązek, i opuścili moje mieszkanie.

- Wszystkiego dobrego, lare, przepraszam, że panią niepokoiłiśmy - skłonił się oficer.

- Wszystkiego dobrego, laroje. - Uśmiechnęłam się i zamknęłam drzwi, nim laro Riencharn zdążył wybiec za strażnikami.



Po raz pierwszy w życiu Riencharn pojął w całej rozciągłości znaczenie słowa „wpadka” - mogło służyć za podpis pod portretem Rinnelis Tyen, uśmiechającej się z miną najedzonej kotki. Stała przy drzwiach ze złożonymi na piersi rękami i spoglądała na niego zaciekawionym, pytającym wzrokiem. To była całkowita klęska... A przecież czuł... czuł, że w tym wszystkim jest jakiś podstęp, kiedy tylko wszedł do tego niedużego, przytulnego mieszkanca - przytulnego,

choć mieszkała w nim żmija. Oto skutek niechęci do poznawania ludzkich zakłęb! Gdy wreszcie zadał sobie trud zbadania magicznego tła domu, pojął, że nie zdoła się stąd wy dostać, jeśli sama gospodyni nie zechce go wypuścić.

- I po co te kłamstwa, że pani nie porywałem i że zdejmuję pani ze mnie oskarżenie? - zapytał ze zmęczeniem Riencharn, przygotowany na wszystko prócz tego, co za chwilę miał usłyszeć.

- Zwykła mówić prawdę, laro, i nie zamierzam dla pana zmieniać swoich przyzwyczajeb - odparła spokojnie dziewczyna.

- Ale... jak to?

- Przykro mi, laro Riencharnie, ale pańska próba ucieczki była bardziej niż przewidywalna. I oczywiście mogłabym nie dopuścić do popełnienia tego jakże nierozważnego czynu. Gdybym tylko chciała.

Należało się tego spodziewać...

- A oskarżenia?

- Rzeczywiście jest pan od nich wolny. Gdyby przejawiał pan cień zdrowego rozsądku, poinformowałabym pana o tym jeszcze w wydziale - wyszczerzyła zęby dijes Rinnelis.

„Potwór - pomyślał po raz kolejny kahe. - I po co był jej potrzebny ten idiotyczny spektakl z porwaniem?”

- To znaczy, że jestem wolny? - uściślił Riencharn ze znużeniem.

- Przykro mi, laro, ale nie. Aż do zakończenia dochodzenia musi pan przebywać pod nadzorem.

- Ale dlaczego?! - zawył kahe.

- Ponieważ raczej nie powierzą mi nowej sprawy, w której będzie pan figurował jako podejrzany - uśmiechnęła się dziewczyna.

- Słucham? - nie zrozumiał kahe.

- Krwawa zemsta jest zabroniona na terytorium królestwa Erol i równa się banalnemu morderstwu, plus okoliczności obciążające. Nawet jeżeli zdoła pan dopaść zabójcę lare Sofii, w co bardzo wątpię, biorąc pod uwagę możliwości tego ostatniego, to ani pan, ani pański siostrzeniec nie zdołacie opuścić granic naszego państwa. A ja nie życzę sobie, żeby władze poznały pańskie prawdziwe imię. To by się źle odbiło na mojej karierze - wyjaśniła spokojnie dijes śledcza.

- Nie rozumie pani... - zaczął kahe.

- Niestety, rzeczywiście nie rozumiem. I nie mam zamiaru wnikać w pańskie przeżycia duchowe - ucięła dijes Tyen uprzedzająco grzecznym tonem.

Mężczyzna z trudem stłumił w sobie pragnienie uduszenia jej gołymi rękami. Zresztą i tak nic by z tego nie wyszło.

- Będzie pani następną na liście ludzi, których zabiję. Zaraz po mordercy Sofii.

- Schlebia mi pan - uśmiechnęła się dziewczyna. - Pomówię z laro Ayrelem. Sądzę, że pozwoli panu wziąć udział w pogrzebie lare Sofii.

Na coś takiego Riencharn nawet nie śmiał liczyć. Pożegnać się z nią... ale... przecież nawet o to nie prosił... Jak miał to rozumieć?

- Czy słyszała pani, co powiedziałem? - zapytał kahe z naciskiem, w nadziei, że człowieczce po prostu szwankuje słuch.

- Oczywiście, laro. - Skinęła głową, patrząc na niego ze spokojną zadumą, bez swojego nieodzownego uśmiechu.

- Chcę panią zabić!

- Nie pan pierwszy i nie ostatni, laro. - Śledcza wzruszyła ramionami. - Niestety, wśród pragnących mojej

śmierci jest zbyt mało godnych przeciwników. Miło mi, że stawia mnie pan tak wysoko na liście swoich wrogów.

- Zwariowała pani? - spytał mężczyzna. Była to jedyna wiarygodna hipoteza.

- Nie sądzę, laro - pokręciła głową dijes Rinnelis. - Raczej jestem aż nazbyt rozsądna. Czasem to męczące.

- Lare... a więc pani jednak... - wtrącił się do rozmowy uszczęśliwiony Tael, w którego oczach płonęło ślepe oddanie.

- I znowu znalazł się pan we władzy swoich iluzji - westchnęła dijes. - To z mojej strony żadna filantropia, laro Taellonie. Po prostu znalazłam dowód, że pański wuj nie ma nic wspólnego ze śmiercią lare Ayrel, a to znaczy, że nie jest dla mnie interesujący w charakterze podejrzanego.

- Czy to znaczy, że interesuje panią wyłącznie sprawa, którą pani prowadzi? - uśmiechnął się z goryczą starszy kahe.

- Oczywiście, laro. I nie uwierzę, że przy pańskiej inteligencji nie zrozumiał pan tego wcześniej.

- Komplement z ust dijes Rinnelis Tyen... Czy powinienem czuć się pochlebiony? - zapytał złośliwie kahe, spoglądając na śledczą ciężkim wzrokiem.

- Nigdy nie prawię komplementów - prychnęła Rinnelis Tyen. - To było jedynie stwierdzenie faktu.

- Jest pani potworem... - oświadczył po raz kolejny Riencharn Aen.

- Tak, słyszałam już o tym - skinęła głową dziewczyna. Z jej twarzy zeszała maska uprzejmości, ale teraz Żmija wcale nie wyglądała lepiej, przeciwnie, obojętna i pozbawiona emocji twarz pozwalała w pełni ocenić zagrożenie, jakie niosła ze sobą dijes śledcza.

„Tę rundę przegrałem...” - pomyślał kahe. Ale przynajmniej nie groziła mu szubienica, a i z Taelem było wszystko w porządku...



Po tej ważkiej, niemal serdecznej rozmowie z Riencharnem Aenem opuściłam plac boju i poszłam sprzątać w kuchni. Zasadniczo cechowała mnie kliniczna wręcz skłonność do bałaganu, ale gdy zaczęłam mieszkać sama, odkryłam, że nic tak dobrze mnie nie uspokaja jak sprzątanie. Naturalnie, jeśli nie towarzyszą temu okrzyki krewnych, którzy chociaż najlepsi i najdrożsi, znakomicie potrafią grać na nerwach.

Zmywając naczynia, zastanawiałam się, gdzie umieścić nieuludzi tak, żeby byli pod ręką, a jednocześnie nie przeszkadzali mi i nie wpadli w łapy moich drogich kolegów. Nie miałam zamiaru trzymać na własnym terytorium dwóch kahe, starczył jeden, by wprawić mnie w stan ciągłego rozdrażnienia. Nie lubię, gdy ktoś siedzi mi na głowie, a ci dwaj bezczelnie ingerowali w moją przestrzeń osobistą. Nikt nie powinien zbliżać się do mnie bardziej niż na trzy metry, to był mój własny nietykalny teren, a kahe bezceremonialnie przekraczali tę granicę, żeby wygłaszać zarzuty. Żeby jeszcze coś im to dawało! Jedyne, co osiągali, to moje rozdrażnienie, którego i tak nie okazywałam nigdy i nikomu. Wolałam, by otaczający mnie ludzie nie znali ani moich prawdziwych uczuć, ani kierujących mną motywów - będąc wielką niewiadomą, stawiałam się praktycznie nietykalna. Lubiłam ryzyko, ale nie byłam jeszcze gotowa na śmierć, dlatego wolałam stanowić nieodgadnioną, a co za tym idzie - żywą zagadkę.



Wiedziałam, że nie mogę spuszczać z oka laro Riencharna - od razu ruszyłby na poszukiwanie mordercy księżniczki Sofii, pragnąc odwetu. Znałam zwyczajnie kahe i nie miałam żadnych wątpliwości co do zamiarów starszego nieludzia. Powiedzmy, że dochodzenie w sprawie zabójstwa ukochanej Riencharn mógłby pozostawić miejscowym władzom, ostatecznie Sofia nie była jeszcze ani jego żoną, ani narzeczoną. Jednak morderstwa dziecka własnej krwi południowiec nie wybaczy nigdy - w takim wypadku tradycja jest dla kahe ważniejsza niż zdrowy rozsądek. Że też morderca musiał zabić kobietę spodziewającą się dziecka laro Riencharna! Gdyby było inaczej, już dawno odesłałabym nieludzia do ojczyzny - przekonałabym laro Riencharna, że świetnie poradzą sobie bez niego, zwłaszcza że przebywając na terytorium Erolu, naraża na niebezpieczeństwo również swojego siostrzeńca.

No cóż, za to z drugiej strony teraz miałam absolutną pewność, że kahe był niewinny, i mogłam spokojnie zacząć szukać zabójcy.

Niepokoili mnie tylko jedno: uparta myśl, że przegapiłam coś bardzo, bardzo ważnego.



5  
ROZDZIAŁ

**J**uż nic nie rozumiem - pożalił się siostrzeńcowi Riencharn, gdy zostali sami w salonie. Dijes Rinnelis hałasowała naczyniami w kuchni i można było mieć nadzieję, że nie usłyszeli ich rozmowy.

- Przynajmniej jedno jest pewne: nie powieszą cię za zabójstwo, którego nie popełniłeś - Tael usiłował znaleźć plusy zaistniałej sytuacji. Zawsze cechował go optymizm, za to Riencharn przez całe życie był zajadłym realistą i nie miał zamiaru się zmieniać.

- Jeśli tylko ta zmija się nie rozmyśli - prychnął.

- Nie rozmyśli - pokręcił głową Taellon. - Jako obiekt śledztwa nie jesteś już dla niej interesujący. Ona potrzebuje prawdziwego zabójcy.

- I skąd ta pewność?

Młodszy przymknął oczy, zastanawiając się, w końcu powiedział:

- O ile udało mi się poznać czcigodną lare, nie ma dla niej nic ważniejszego od pracy. Wystarczy, że opuścisz przestrzeń jej działań służbowych, a przestaniesz dla niej istnieć.

- To znaczy, że już dla niej nie istnieję?! - obruszył się Riencharn, ale szybko ochłonął. Mimo wszystko zawsze to lepiej znajdować się poza sferą zainteresowań drogiej dijes Rinnelis. W ten sposób łatwiej zachować zdrowie psychiczne i fizyczne.

- Jeszcze istniejesz, skoro nie chce się ciebie pozbyć.

- Nie chce, żebym dopadł zabójcę...

- Nic dziwnego, to przecież jej śledztwo. Ponadto wyobraź sobie, co by się stało, gdyby ktoś się dowiedział, że miała w rękach kahe z rodu Aen i pozwoliła mu uciec?

Taak, za coś takiego dijes Tyen raczej nie dostałaby orderu. Rzeczywiście przy strażnikach nazwała go innym imieniem, pewnie pierwszym, które jej przyszło do głowy, ale nawet pasującym. Od razu pojawiało się pytanie: jakim cudem ludzki śledczy mógł naprędce wymyślić imię kahe niebudzące żadnych podejrzeń? Riencharnowi nie chciało się wierzyć, że życie i obyczaje południowców stanowiły pasję dijes Rinnelis. Czyli ta „przemiła” osóbką rzeczywiście była specjalistą wysokiej klasy.

Uświadamiając sobie profesjonalizm człowieczki, Riencharn zrobił kwaśną minę. Na widok wykrzywionej twarzy wuja Tael zaczął cicho chichotać.

- Widzisz w tym coś zabawnego? - sposępniał kahe, spoglądając z dezaprobatą na młodszego krewnego, który teraz już rżał jak koń. Bardzo nieodpowiednie zachowanie dla kahe ze starszej gałęzi Domu Erris.

- Nienawidzisz jej i boisz się? - uśmiechnął się od ucha do ucha niepoważny siostrzeniec.

- Co?! Co za bzdury! - Zirytowany Riencharn pokręcił głową. - Przecież to jedynie żalosna człowieczka! Ludzie nie zastępują na to, żeby marnować na nich emocje!

- A ta kobieta, o której zabójstwo cię oskarżali, dijes Sofia? - Tael popatrzył starszemu krewnemu prosto w oczy.

- Nie uważałeś jej za niegodną swoich uczuć, prawda?

- Sofia... - w głosie starszego kahe zadźwięczała gorzyc i czułość. - Sofia to co innego...

- Tak czy inaczej, dijes Rinnelis boisz się i nienawidzisz - upierał się siostrzeniec.

- Założmy, że masz rację... - przyznał niechętnie Riencharn.

- Ale dlaczego? Jesteś od niej starszy, a ona jest kobietą, w dodatku ludzką...

- Dlatego, że nie potrafię przewidzieć jej działań! Po fakcie jestem w stanie zrozumieć, co próbowała osiągnąć i jakimi metodami, ale nie potrafię wcześniej wyczuć, jak się zachowa! Mam wrażenie, że ona w ogóle nie ma uczuć, dlatego tak ciężko wyobrazić sobie, co ta źmija robi chwilę później! Gdy ktoś kieruje się wyłącznie rozumem, nie okazując nawet cienia emocji, staje się zupełnie nieprzewidywalny! Za to ona jest w stanie przewidzieć moje poczynania i reakcje na kilka dni naprzód! - zawołał rozdrażniony kahe.

O, tak... to wychodziło Żmii po mistrzowsku! Ta umiejętność jasnowidzenia budziła w kahe niemal zabobonny strach.

- Za to mi płacą, laroje - rozległo się tuż obok.

Na widok dijes Riencharn zapragnął schować się pod stół i już tam pozostać. Oczywiście szybko stłumił ten odruch i zauważył ironicznie:

- Ludzie umieją dobrze wydawać swoje pieniądze.

- Miło mi słyszeć, laro Riencharnie, że dostrzegł pan w naszej rasie choć jedną zaletę - uśmiechnęła się dziewczyna, siadając w fotelu. Człowieczka wyglądała na

zmęczoną: ciemne kręgi pod oczami, obwisłe ramiona, matowa, blada cera wyraźnie świadczyły o tym, że ostatnie dni nie były łatwe dla dijes śledczej.

- O tak, nie można odmówić ludzkiej rasie inteligencji - powiedział przeciągle Riencharn.

- Pochlebia mi to - skinęła głową Rinnelis. - A teraz muszę was zostawić, laroje. Przez najbliższe kilka godzin nie będę w stanie poświęcić wam uwagi. Nie sądzę jednak, że was to zmartwi. Ośmielę się tylko przypomnieć, że nie powinniście podejmować prób opuszczenia mojej skromnej siedziby. Poza tym możecie czuć się jak u siebie w domu - oznajmiła dijes i zniknęła za drzwiami, które zapewne prowadziły do jej pokoju.

Następny kwadrans obaj kahe spędzili w skupionym milczeniu, czekając, aż pani domu zaśnie. Albo uda, że zasnęła. Riencharn zauważył na parapecie niebieskawoszarego kota, który uważnie obserwował gości - nazbyt podejrzliwe jak na zwykle zwierzątko domowe... Zresztą dijes Rinnelis nie wyglądała na miłośniczkę zwierząt i raczej nie trzymałaby kota wyłącznie dla towarzystwa.

- Co to za stworzenie? - Riencharn skinął głową w stronę zwierzaka, który błyskał ślepiami.

- To Kerri - machnął ręką jego siostrzeniec. - Demony wiedzą co to za kot, mam wrażenie, że nas szpieguje. Dijes Rinnelis nie trzymałaby przecież zwierzęcia z powodów czysto emocjonalnych.

- Chyba że oswojoną zmiję - przytaknęła Riencharn, wstając i podchodząc do kota. Ten popatrzył na niego czujnie, lecz nie poruszył się.

Kahe wygłosił kilka słów starego jak świat „zaklęcia poznania” i uśmiechnął się zadowolony.

- To strażnik dijes śledczej. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o czymś takim?

Zdumiony Tael wytrzeszczył oczy.

- Przecież strasznie trudno je stworzyć!

- Widocznie nasza czarująca dijes jest znacznie bardziej utalentowana, niż sądziłem... Albo jest wystarczająco zamożna i wpływowa, by pozwolić sobie na nabycie tak pożytecznego stworzenia.



Kładąc się do łóżka, nie omieszkalam zabezpieczyć pokoju przed wizytą nocnych gości. Nie sądziłam, by któryś z nie-ludzi zapragnął ubarwić moją samotność, jednak laro Riencharn mógłby próbować udusić mnie poduszką. Dlatego wolałam zawczasu zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo, skoro w moim domu przebywało dwóch rozdrażnionych obcych.

Pogrążyłam się w rozmyślaniach o śledztwie. No cóż, znalazłam się w punkcie wyjścia: nie miałam podejrzanego. Oczywiście zakładałam, że kahe raczej nie jest mordercą, a ja jako śledczy powinnam się o tym jedynie upewnić, jednak świadomość, że zmarnowałam tyle czasu, zupełnie mnie nie cieszyła.

Ponadto nie miałam pojęcia, jaki powinnam obrać kierunek. Kto jeszcze prócz kahe mógłby pragnąć śmierci lare Sofii, istoty kruchej i delikatnej? Po rozmowie ze służącą przyszło mi do głowy, że księżniczka zdradziła swojego południowego kochanka i przypląciła to życiem - kahe wycinają serce za zdradę. Mówi się u nich: „Opadły liść nie powróci na gałąź. Po co zdrajcy serce?”. Okrutny zwyczaj, ale sprawiedliwy... Ale ojcem dziecka, które dziewczyna

nosiła w swoim łonie, był właśnie kahe - Ler nie mógł się pomylić! Poza tym to by wyjaśniało, dlaczego zdołano pojmać laro Riencharna - Aen był w szoku z powodu śmierci ukochanej i nienarodzonego potomka. Kahe bardzo wysoko cenią więzy rodzinne, szczególnie estymą otaczając dzieci, więc reakcja nieludzia była całkowicie zrozumiała. No i teraz, gdy wyszedł na jaw stan księżniczki Sofii, już nikt nie oskarżyłby Riencharna Aena o morderstwo - żaden z Narodu Słowa nie podniósłby ręki na własne dziecko, tego nie zakwestionuje nawet sąd.

No dobrze, ale co w takim razie z prawdziwym zabójcą? Komu lare Sofia mogła zaszkodzić tak bardzo, że zdecydował się ją zamordować? Nie ulegało wątpliwości: chodziło mu o to, żeby zabić dziewczynę właśnie wtedy, gdy miała się spotkać z laro Riencharnem. A spotkanie zostało wyznaczone wcześniej! To znaczy, że dziewczyna wyszła do ogrodu, potem została zamordowana, a następnie zjawił się kahe. Morderca nie włamywał się do willi, było na niej tyle czarów ochronnych, że nawet mucha nie przeleciałaby niezauważona, o grabieży w ogóle nie ma mowy. To znaczy, że przestępca przyszedł wyłącznie po to, żeby zamordować córkę księcia. Ale wtedy musiałby wiedzieć, o której godzinie lare Sofia wyjdzie - przecież dobrze urodzone panienki nie przechadzają się po ogrodzie każdej nocy... Z drugiej strony dziewczyna nie afiszowała się ze swoim uczuciem do kahe; właściwie nikt o nim nie wiedział prócz zaufanej służącej, która pomagała swojej pani spotykać się z nieludziem. To znaczyło, że albo Poletta się wygadała, albo lare Sofia zwierzyła się komuś jeszcze i ten ktoś jest zamieszany w morderstwo. Tak czy inaczej, należało jeszcze raz odwiedzić Ayrelów i porozmawiać z pogrążoną w żalu rodziną,

może coś się wyjaśni... I trzeba koniecznie pójść na pogrzeb. Po pierwsze, będę mogła poznać bliżej tych, którzy mieli wstęp do domu Ayrelów, a po drugie...

Co „po drugie”, zastanowię się jutro, jak będę mniej zmęczona.

Wyciągnęłam się w pościeli, zamknęłam oczy i spróbowałam przekonać swój głupi organizm, że niezbędny mu jest zdrowy sen, który uparcie nie chciał przyjść. Najwidoczniej nadmiar adrenaliny spowodowany obecnością laro Riencharna nie pozwalał mi się odprężyć i wypocząć. Zrozumiałam nagle, że się go boję. No nie, to przecież niemożliwe! Odczuwałam wprawdzie abstrakcyjny lęk przed śmiercią (który niemal całkowicie udało mi się zagłuszyć), ale nigdy nie bałam się tego, który mógłby mi zadać tę śmierć! Zawsze gdy znajdowałam się w niebezpieczeństwie, ratował mnie właśnie brak strachu, dający mi możliwość racjonalnego działania. A teraz okazało się, że boję się kahe tak, jak mysz boi się obserwującej ją żmii. Niewiarygodne! Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że „Żmiją” nazywano właśnie mnie! Przywykłam do tego, że otaczający mnie ludzie i nieludzie są wobec mnie zupełnie bezradni. Całymi latami wytrawiałam z siebie uczucia, jako czynnik przeszkadzający w pracy. Intelpekt oczyszczony z emocji zawsze działał bez zarzutu. Byłam dużo silniejsza od innych i mogłam nie brać ich pod uwagę w swoich poczynaniach. A kahe po raz pierwszy od bardzo dawna okazał się na tyle godnym przeciwnikiem, że byłam zmuszona działać na granicy swoich możliwości, zarówno intelektualnych, jak i magicznych. Z jednej strony sprawiało mi to ogromną, z niczym nieporównywalną przyjemność, z drugiej - bałam się przegranej.



Chyba rzeczywiście go nienawidziłam. To dziwne, myślałam, że nie jestem już zdolna do tak silnych uczuć...



Zdaje się, że krzyczał we śnie. I chyba głośno: gdy otworzył oczy, zobaczył wystraszoną twarz siostrzeńca, który potrząsał jego ramieniem, oraz zaspane oczy dijes Rinnelis. Śledcza miała szlafrok narzucony na koszulę nocną, jej długie włosy, zwykle zaplecione w warkocz, były rozpuszczone i spoczywały na ramionach, a grzywka stała niemal pionowo. Ten komiczny widok pomógł Riencharnowi otrząsnąć się z nocnego koszmaru. Widząc, że na twarzy kahe pojawia się złośliwy uśmiech, śledcza prychnęła, odwróciła się na pięcie i zniknęła na powrót w swoim pokoju.

Od przerażenia przeżytego we śnie Riencharn przeszedł płynnie do niemal histerycznej wesołości. Widok zaspanej dijes Tyen poprawił mu humor i pomógł pozbyć się irracjonalnego strachu przed śledczą.

- Wujku, co ci się śniło? - spytał Taellon krewniaka, gdy ten doszedł już do siebie.

Starszy kahe tylko pokręcił głową. Nie śniło mu się nic szczególnego - jedynie ta chwila, w której ujrzał martwą Sofię leżącą na ziemi. W życiu kahe nie brakowało nieprzyjemnych czy strasznych wydarzeń, ale nic nigdy nie wzbudziło w nim takiej rozpaczyny jak widok ciała księżniczki Ayrel.

- Muszę się zemścić - powiedział ochryple Riencharn Aen. - Rozumiesz, Tael, muszę ją pomścić, a ta żmija pozabawia mnie nawet tej możliwości!

- Wujku, a może tak będzie lepiej? - zasugerował nieśmiało młodzieniec, patrząc na krewnego z nieszczęśliwą

miną. - Może nie ryzykować? Zabójca i tak nie ucieknie lare Rinnelis, a przecież nie ma nic straszniejszego od niej. To też będzie zemsta!

- Ona jest dijes - poprawił siostrzeńca kahe. - I to nie będzie zemsta. Nie pozwolę tej gadzinie dopaść mordercy przede mną.

Tael skrzywił się niezadowolony.

- Wujku, ja rozumiem, że lare Rinnelis ma ciężki charakter i bywa twarda, ale to jeszcze nie powód, żeby obrażać ją w jej własnym domu! W dodatku nie zrobiła nam nic złego, chociaż mogła...

- Ona mnie poniża! - oznajmił Riencharn z mocą.

„I w dodatku każe mnie i Taelowi spać na jednej kanapie, wąskiej i twardej, i teraz boli mnie całe ciało, jakbym od rana do wieczora nosił drwa!” - dodał w myślach z irytacją, choć oczywiście rozumiał, że siostrzeniec ma sporo racji.

Dijes śledcza rzeczywiście nie zrobiła im nic złego, wszystkie jej działania były racjonalne i podporządkowane interesom śledztwa. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że dijes Rinnelis rzeczywiście nie była zła - tak samo jak nie była dobra. Była doskonale obojętna wobec wszystkich i wszystkiego, i pewnie zabiłaby tak samo, jak prowadzi śledztwo - rozsądnie, z dystansem... On, Riencharn, jest faktycznie niewinny, a dijes śledcza potrzebuje rozwiązanej sprawy. Tylko tyle.

„Pora przywyknąć do towarzystwa tej dijes, skoro nie można się od niej uwolnić - rzekł w duchu, zamykając oczy. - I należy poszukać jasnych stron tej sytuacji... Po pierwsze, ja i Tael jesteśmy poza podejrzeniami i Żmija nikomu nas nie odda, z powodu własnych zasad i dla własnego bezpieczeństwa; po drugie, prędzej czy później dorwie mordercę, przy jej chłodnym umyśle i uporze to więcej niż pewne;

po trzecie, powiedziała, że może będę mógł uczestniczyć w pogrzebie...”



Wstałam niewybaczalnie wcześnie, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że w nocy obudził mnie dziki wrzask kahe, a zasypiam zwykle z trudem, gdyż zbyt dużo myśli pcha mi się do głowy, kiedy zamknę oczy.

Nieludzie jeszcze spali na kanapie, ale pomyślałam, że jeśli laro Taellon nadal będzie się tak rzucał we śnie, to Riencharm zawrze bliższą znajomość z twardą podłogą w salonie.

Nastąpiło to zresztą bardzo szybko (niestety, byłam w łazience i ominął mnie ten widok), a ja zyskałam wątpliwą przyjemność wzbogacenia swojego potocznego kaheili o kilka idiomów. O ile w języku wspólnym starszy laro Aen jeszcze nigdy przy mnie nie kłął, to w ojczystym bez skrupowania wspominał matkę, babkę i intymne cechy swojego rozmówcy, w dodatku z przerażającym entuzjazmem i zaskakującymi szczegółami. Pomyślałam nawet, że może poproszę nieludzia, żeby się pohamował, ponieważ jak na człowieka dość dobrze znam ich język... Ale uznałam, że lepiej nie informować przeciwnika o swoich atutach. Wprawdzie laro Riencharm nie był już podejrzanym, ale nadal pragnął wysłać mnie na tamten świat, więc lepiej nie przesadzać ze szczerością.

Hałas w pokoju oraz rozdrażnione burczenie moich „gości” poprawiły mi nieco nastrój, ale nie pomogły zwalczyć senności. Cieszyło mnie tylko to, że nieludzie nie zauważą, jak się czuję - umiałam doskonale zachować twarz.

Czasem mi się wydawało, że do stołecznego Wydziału Śledczych przyjęto mnie właśnie z powodu opanowania i zimnej krwi, których moi koledzy z akademii byli pozbawieni. Pamiętam, że brak tych cech spowodował, że ponad połowa przyszłych śledczych poległa w czasie próby, jaką urządzono nam w trakcie egzaminów. Jak się później okazało, właśnie ta próba miała decydujący wpływ na naszą dalszą karierę.

Na dzień przed egzaminem końcowym w naszym korpusie zainscenizowano morderstwo, jednocześnie uniemożliwiając nam opuszczenie miejsca zbrodni. Mieliśmy znaleźć winnego, którym teoretycznie był jeden z absolwentów - wtedy dopiero mieli nas wypuścić. Oczywiście nikt z nas nie wiedział, że mamy do czynienia ze staranną mistyfikacją, dlatego panika i histeria sięgnęły zenitu. W końcu mnie i kilku innym rozsądnym kolegom obrzydło przyglądanie się chaotycznej bieganinie i słuchanie zawodzeń, zjednoczyliśmy siły, w ciągu kilku godzin znaleźliśmy winnego i sami zdjęliśmy izolujące nas bariery magiczne. Zdrajcy, który pomagał wykładowcom w zorganizowaniu tego zamieszania (nazwanego później Wielkim Przekrętem), studencka brać spuściła niezły łomot, ale przynajmniej uszedł z życiem. Nasze zachowanie podczas tego spektaklu miało decydujący wpływ na oceny końcowe. Ukończyłam akademię z wynikiem celującym i dostałam przydział do stołecznego Wydziału Śledczych, co było niewiarygodnym szczęściem.

Z łazienki wyszłam uczesana i skoncentrowana, bez śladu senności. Za to kahe wyglądali żałośnie: rozczochrani, naburmuszeni i źli. Moje poczucie przewagi wzrosło w błyskawicznym tempie. Laro Riencharn spoglądał na mnie z jawną zawiścią. Kahe noszący czerń niemal od niemowlęctwa

przyzwyczajany jest do tego, że musi wyglądać bez zarzutu, zwłaszcza przy obcych. Chyba właśnie w tej chwili Riencharn uświadomił sobie, jak bardzo jest ode mnie zależny - i wyraźnie było widać, jak bardzo mu się to nie podoba.

- Co nas właściwie czeka, dijes? - zapytał sucho.

- Wydaje mi się, że już powiedziałam: oskarżenie o zabójstwo zostało z pana zdjęte - udałam zdumienie, w które kahe oczywiście nie uwierzył. Zresztą nie liczyłam na to, był zbyt inteligentny, by nie dotarło do niego, że emocje to dla mnie coś zupełnie nietypowego. Maskę uprzejmości wkładałam przy nieludziu raczej z przyzwyczajenia.

- I co dalej, dijes?

- Lare - poprawiłam go.

- Wolałbym nazywać panią „dijes” - zaproponował.

- Dlaczegoż to? - Uniosłam brwi.

- To nie pozwala mi zapomnieć, że jest pani godnym przeciwnikiem, dijes. - Riencharn uśmiechnął się krzywo.

- Wolałabym, żeby zmienił pan swoje podejście, laro Riencharnie - odparłam twardo. - Nie podoba mi się ten zwrot i proszę, żeby go pan nie używał. Czy zwyczaje kahe przewidują uwzględnienie prośby kobiety?

- Owszem. Jednak pani rola nie odpowiada tej, jaka przystoi kobiecie, więc mam prawo zwracać się do pani tak jak do mężczyzny. - Nieludź chytrze zmrużył oczy.

Oburzające. Tym bardziej że nie mogłam się do niczego przyczepić! Kahe rzeczywiście zrównują w prawach kobiety i mężczyznę przystępujących do pojedynku. Kobieta otrzymuje te same możliwości i prawa co mężczyzna, ale zarazem traci te przywileje, którymi tradycyjnie cieszą się przedstawicielki słabej płci (umownie słabej, gdyż niektórym kobietom kahe nie sposób zarzucić słabości).

To znaczyło, że Riencharn w naszym pojedynku intelektów zrównywał mnie ze swoimi rodaczkami. W pewnym stopniu nawet mi to pochlebiało...

Oczywiście mogłam się upierać, że zwyczajnie kahe mnie nie dotyczą, i zmusić przeciwnika do prowadzenia sporu wedle moich zasad, tylko po co?

- Czy mam to rozumieć jako kategoryczną odmowę?  
- upewniłam się.

- Tak, dijes. - Kahe skinął głową, patrząc mi prosto w oczy.

Zniżyć się do małostkowej zemsty? Nie, nie warto. Co by nie mówić, to właśnie w moim ręku spoczywała cała władza, więc mogłam pozwolić laro Riencharnowi na tę zabawę w wyniosłość, przynajmniej na razie.

- Dobrze, laro, w takim razie nie będę nalegać. - Wzruszyłam ramionami, nie okazując ani rozdrażnienia, ani urazy, których zresztą nie odczuwałam.

Kahe wydawał się zaskoczony, że nie kontynuuję tej bezsensownej sprzeczki, ale nie szukał nowego powodu do zaczepki. Zdumiony Taellon patrzył to na mnie, to na swojego wuja, nie rozumiejąc, w jakim celu urządziliśmy tę dziecięcą przekomarżankę. Cóż, młody kahe jeszcze nie wiedział, czym jest walka o wpływy... Wprawdzie powód był dość idiotyczny, ale nie zmieniało to istoty rzeczy.

- No dobrze, ale co zamierza pani z nami zrobić, dijes Rinnelis? - zapytał znowu Riencharn.

Nie ufał mi i nie krył tego. Nie było w tym niczego dziwnego, kahe miał wszelkie powody, by mi nie wierzyć.

- Nic, laro. - Wzruszyłam ramionami. - Do chwili zakończenia sprawy jedynie trochę ograniczę waszą swobodę,

nic więcej. Wyłącznie dla waszego dobra. Kiedy tylko morderca zostanie znaleziony, będziecie mogli spokojnie wrócić do domu.

- Myślę, że troszczy się pani nie tyle o nasze dobro, ile o to, żeby nikt nie przeszkadzał pani w prowadzeniu dochodzenia - poprawił zjadliwie mój rozmówca.

- Wolno panu patrzeć na problem ze swojego punktu widzenia, laro - nie spierałam się. - To przecież nie zmienia istoty rzeczy, prawda?

- To bezprawne!

- Moje działania nigdy nie wychodzą poza ramy prawa, laro. Jestem jedynym śledczym, który może pochwalić się czystym kontem w tej kwestii - odparłam z naciśnięciem. Była to czysta prawda i powód mej osobistej dumy.

- I co to pani dało? - uśmiechnął się południowiec, patrząc na mnie badawczo.

Co chciałby pan zobaczyć w moich oczach, laro Riencharnie? Raczej nie znajdzie pan tam nic godnego uwagi, zbyt dobrze ukrywam swoje tajemnice. I zbyt dobrze udaję tajemnice tam, gdzie jest pustka.

- Bardzo dużo, laro. - Uniosłam kąciki warg. - Choć pan zapewne powiedziałby, że raczej niewiele.

Kahe podrzucił głowę jak narowisty koń, ale nie kontynuował.

A ja poszłam do kuchni, żeby przygotować śniadanie. Zdaje się, że będę musiała zażądać od kahe zwrotu kosztów utrzymania. Obaj mieli znakomite apetyty, co poważnie odbijało się na moich zapasach artykułów spożywczych, topniejących w oczach. Tak, zanim wypuszczę obu nieludzi, wystawię im rachunek, który będzie zawierał również rekompensatę za straty moralne.

Rozmowa z dijes Rinnelis sprawiła Riencharnowi dużą przyjemność. Po raz kolejny upewnił się, że śledcza jest godnym przeciwnikiem i że starcie jej na proszek przyniesie ogromną satysfakcję - jeśli tylko czarująca dijes Tyen wcześniej nie zetrze na proszek jego.

„Na pewno by potrafiła!” - pomyślał kahe z niezrozumiałym zadowoleniem, bezczelnie ładując się do łazienki. Dosłownie w ostatniej chwili odepchnął siostrzeńca. Tael tylko prychnął i dla formalności parę razy wałnął pięścią w drzwi, co jego wuj z godnością zignorował.

Dwadzieścia minut później Riencharn Aen doszedł do wniosku, że nie ma na tym świecie nic przyjemniejszego od kąpieli, zwłaszcza po długim pobycie w więzieniu. Kahe zdierał z siebie brud niemal razem ze skórą, próbując uwolnić się od ohydneho odoru, który przywarł do niego w celi. Dla człowieka ten „zapaszek” był praktycznie niewyczuwalny, ale kahe niemal się dusił. Teraz gdy bieżące problemy nieco się oddaliły, Riencharn omal nie zwariował, zdając sobie sprawę, jak brudne jest jego ciało.

Gdy tylko Tael znów zaczął dobijać się do drzwi, głośno pytając, czyjego wuj nie zamierza się czasem utopić, kahe uznał, że wystarczy tych wodnych procedur. Na rzeczy, które nosił do tej pory, popatrzył z obrzydzeniem i po prostu owinął się ręcznikiem - Taellon wspomniał, że bagaż Riencharna jest tutaj, a w nim także ubranie na zmianę. Łachmany, w których siedział w więzieniu, należało jak najszybciej wyrzucić.

Wychodząc z łazienki w tym niekompletnym stroju, kahe miał nadzieję sprowokować dijes Rinnelis do jakiejś reakcji. Oczywiście prawdopodobieństwo, że śledcza okaże jakiegokolwiek emocje na widok niemal całkowicie nagiego mężczyzny, było znikome, ale należało przynajmniej



spróbować. Sama dijes nigdy nie przepuściła żadnej okazji do zagrania przeciwnikowi na nerwach i kahe pomyślał, że ma prawo się zrewanżować.

Riencharn przypomniał sobie, jak sto lat temu natknął się na wygłodzonego wampira. Widząc, że zamiast stosunkowo bezbronnej ofiary natrafił na rozżłoszczonego kahe, krwio pijca przez chwilę zastanawiał się, czy go zjeść, czy jednak dać sobie spokój. A ponieważ był to stary i doświadczony wampir, zrezygnował z ataku. Wyraz twarzy dijes na widok Riencharna do złudzenia przypominał minę tamtego wampira. Kahe poczuł się nawet urażony: w kategoriach jego rasy był przystojny i liczył na odzew choćby odlegle przypominający reakcję kobiety na widok atrakcyjnego mężczyzny. Jednak błysk zainteresowania w oczach Rinnelis Tyen był raczej naukowy. A może nawet gastronomiczny...



Spełniło się marzenie wszystkich moich sąsiadek po sześćdziesiątce: w moim domu pojawił się nagi mężczyzna! Tylko czemu ten fakt nie wprawił mnie w szampański humor? Ręcznik ledwie się trzymał, usiłując zsunąć się z bioder, a gdy poinformowałam o tym laro Riencharna, ten zrejterował w poszukiwaniu ubrania, ściskając nieszczęsną tkaninę w garści niczym ostatnią deskę ratunku. Przyjrzałam się demonstrowanemu męskiemu ciału. Cóż mogłam powiedzieć... Laro Aen robił wrażenie. Oczywiście nie zewnątrznie. To znaczy kahe to dość przystojna rasa, ale niewiele różniąca się od ludzi; do subtelnego piękna elfów czy elegancji przemieńców było im daleko. Znacznie bardziej niż rzeźba mięśni zaintrygował mnie wymyślny deseń blizn na

skórze kahe. Widząc niektóre z nich, uznałam, że postąpiłam bardzo nierozsądnie, robiąc sobie z niego wroga.

Blizny Riencharna Aena dużo mówiły o jego przeszłości. Na przykład tę ciągnącą się od lewego ramienia w dół najwyraźniej pozostawił elfi NALLIE - obustronna, lekka klinga, zwykle używana przez strażników granicy. Pasek blizny był cienki, ledwie widoczny, ale klinga musiała wejść głęboko w ciało. Po co laro Riencharn szturmował elfie posterunki? A poszarpaną szramę nad kolaniem musiał zostawić jatagan orków. Stepowi lubią ząbkowane ostrza, wtedy rana gorzej się goi, a pamięć o takiej bliznie jest bardzo długa. Na prawym przedramieniu widniał ślad po zawarciu bliskiej znajomości z przemieńcem: zapewne laro akurat tą ręką osłonił gardło. Po krótkich oględzinach mogłam śmiało powiedzieć, że kahe zdążył zapoznać się z bronią wszystkich ras zamieszkujących nasz świat. Z pobratymcami również się ścierał, o czym świadczyła podwójna szrama po chaezrach - tradycyjnych wygiętych mieczach kahe.

Chaezry stanowiły dla kahe coś więcej niż broń, były świadectwem mistrzostwa wojownika. Aby zdobyć te klin-gi, trenują przez wiele lat, osiągając najwyższy poziom techniki walki. Miałam kiedyś okazję oglądać pokazową walkę dwóch południowców uzbrojonych w parzyste mie-cze - wrażeń starczy mi do końca życia. Jednocześnie zyskałam absolutną pewność, że nie ma lepszego sposobu popełnienia samobójstwa niż walka z kahe na miecze.

Pod moim badawczym spojrzeniem laro Riencharn stracił rezon, chociaż starannie to ukrywał. Może udałoby mu się wyprowadzić mnie z równowagi, gdybym nie była śledczym ze sporym stażem albo gdybym mniej znała się na ludziach i nieludziach. Stropiony kahe wyglądał dość

zabawnie. A przecież najwyraźniej chodziło mu o to, żeby to mnie speszyć... Litości! Typowo męskie podejście do problemu. Niestety, żeby wywołać rumieniec u pracownika Straży, należałoby zademonstrować coś bardziej ekstrawaganckiego niż nagi mężczyzna. Już na drugim roku studiów przyszlých śledczych ganiano na zajęcia do kostnicy trzy razy w tygodniu, żeby pokazać studentom, jak wyglądają rany cięte i klute albo jakie ślady zostawia uduszenie i złamanie kręgow szyjnych. Rzecz jasna, nikt nie zawracał sobie głowy zasłanianiem trupów od pasa w dół. Zresztą wtedy mieliśmy już za sobą dwa lata wykładów z anatomii.

- Dijes, czy mogłaby się pani odwrócić? - zapytał kahe, który w końcu znalazł swoje ubranie i nie bardzo wiedział, co teraz począć - przez cały czas przyglądałam mu się intensywnie.

- Czemu? Nie czuję się skrępowana. - Wzruszyłam ramionami. Ludzie często nazywali mnie sadystką...

Nieludź uznał widocznie, że dyskutowanie ze mną nie ma sensu, bo wycofał się do kuchni, zostawiając mnie sam na sam z moją złośliwą radością.

W myślach pogratulowałam sobie tego niewielkiego, ale miłego zwycięstwa, po czym uznałam, że czas odwiedzić rodzinę Ayrelów i uzyskać dla Riencharna Aena pozwolenie na uczestnictwo w pogrzebie. Oczywiście nie robiłam tego z pobudek altruistycznych. Altruizm był mi z gruntu obcy, po prostu chciałam, żeby obecnego na pogrzebie kahe zobaczyło jak najwięcej ludzi... Było mi to wręcz niezbędne do życia.

Laro Taellon doprowadził się wreszcie do porządku i opuścił łazienkę. Moja zadowolona mina oraz fakt, że wuj starannie omija mnie wzrokiem, chyba go zaskoczyły. Młodszy kahe patrzył teraz na laro Riencharna z jawną

złośliwością. Oczywiście młodzieniec nie miał pojęcia, na czym polegała istota naszego starcia, ale wystarczył mu sam widok stropionego i rozdrażnionego wuja. Wszyscy nastolatki są tacy sami: radość sprawia im sam fakt, że dochodzący ideał, nudna piła i uosobienie zasad moralnych właśnie został rozłożony na łopatki przez kogoś zupełnie niepozornego.

- Tael, przestań! - syknął oburzony Riencharn.

Taellon oczywiście nie miał zamiaru zaprzestać droczenia się ze swoim starszym krewnym, natomiast Riencharn uznał, że kłótnia ze mną byłaby raczej nierozsądna, więc wyładował całe swoje niezadowolenie na siostrzeńcu. Oczywiście „dyskusja” prowadzona była w kaheily...

Obaj uspokoili się dopiero wtedy, gdy zaprosiłam ich na śniadanie. Kahe najwyraźniej przywykli już, że odpowiadają za ich wyżywienie, nawet laro Riencharn nie wyglądał już tak, jakby kradł każdy kęs.

- Wspomniała pani, że będę mógł uczestniczyć w pogrzebie Sofii... - odezwał się starszy nieludź, zerkając na mnie spoje łba. Dobrze wiedział, jakie ze mnie ziółko, dlatego wersję, że robię coś z dobroci serca, odrzucał jako niemożliwą nawet teoretycznie.

- Dzisiaj porozmawiam z laro Ayrelem, laro Riencharnie - oznajmiłam. - I mam nadzieję, że zdołam go przekonać.

Taellon milczał, udając, że wcale nie słucha naszej rozmowy, ale płonące uszy go zdradzały.

- Po co to pani, dijies? - Riencharn zadał jednak dręczące go pytanie, próbując dojrzeć szczerłość w moich oczach. Co za głupota...

- Sądzę, laro, że nie muszę wyjawiać swoich motywów - ucięłam z uprzejmym uśmiechem, demonstracyjnie ignorując oburzenie mojego rozmówcy. - Zresztą dlaczego

miałyby pana obchodzić moje cele? Mogę tylko zapewnić, że nie mają one nic wspólnego z panem i pańskim siostrzeńcem. Jak tylko znajdę zabójcę, odzyskacie wolność i będziecie mogli wrócić do domu.

Rzecz jasna, ten, wydawałoby się, idealny układ kahe nie odpowiadał, o czym wyraźnie świadczyło ciężkie, badawcze spojrzenie, jakim mnie obrzucił. No tak, przecież na liście jego śmiertelnych wrogów figurowałam pod numerem drugim, zaraz po zabójcy Sofii Ayrel. Chyba powinnam stworzyć jakiś plan awaryjny, na wypadek gdyby czcigodny laro postanowił jednak zatrzymać się w Erolu i mnie zlikwidować. Nie mogłam sobie pozwolić na śmierć; umrzeć oznaczałoby przegrać, a ja nie zamierzałam przegrywać nigdy i z nikim.



Dijes Rinnelis wspaniale gotowała i to pozwalało Riencharnowi choć częściowo pogodzić się z tym, że spożywa posiłki w domu wroga. Ciągle nie rozumiał, czemu tak jej zależało na jego obecności na pogrzebie? Dijes śledcza i miłosierdzie pasowały do siebie jak lodowata woda i gorący płomień. Coś musiało się za tym kryć... Coś, czego kahe nie potrafił zrozumieć.

- Dijes, czy mogłaby mi pani coś kupić? - zapytał ostrożnie kahe, z góry nastawiony na odmowę.

Dziewczyna skinęła głową i spojrzała na niego pytająco.

- Potrzebny mi biały strój - wykrztusił, czując, jak gardło zaciska mu się zdradziecko.

Kahe nie lubili bieli. Białe szaty noszono jedynie na pogrzebach, a potem palono - nawet przechowywanie ubrań w kolorze żałoby miało przynosić pecha. Słowa „muszę

zamówić biały strój” oznaczały ni mniej, ni więcej, tylko „niedługo umrę”... Ludzie nie mieli pojęcia o takich subtelnościach i Riencharn rozumiał, że będzie musiał wyjaśnić dijes Tyen, skąd to nagle pragnienie odnowienia garderoby. A tak bardzo nie chciał budzić bólu...

- Dobrze - powiedziała dijes Rinnelis, przymykając powieki i nie zadając żadnych pytań. Okazało się, że miała długie rzęsy, co dostrzegano się dopiero wtedy, gdy nie było widać zimnego blasku szarozielonych oczu.

Po śniadaniu, które upłynęło w zadziwiająco dobrej atmosferze (choć Riencharn nadal był trochę zawstydzony własnym pomysłem z ręcznikiem), dijes śledcza udała się do swojego pokoju, skąd wyszła już w stroju służbowym. Człowieczka wyjaśniła szczegółowo, gdzie jej goście mają szukać jedzenia, gdyby zgłodnieli, spytała o rozmiar ubrania dla Riencharna, wzięła od niego pieniądze i opuściła mieszkanie, uprzednio szepcząc coś na ucho swojemu strażnikowi.

Gdy dijes Rinnelis wyszła, kahe odetchnął z ulgą.

- Wujku Rien... - odezwał się siostrzeniec kilka minut później.

- Tak, Taelu? - Riencharn był przygotowany na najgorsze.

- Wiesz, że dziwnie się zachowujesz?...

„Wiem, Taelu, wiem” - przyznał w duchu starszy kahe. Ale nie powiedział tego głośno.



**L**ista zadań śledczego na dzień dzisiejszy: przesłuchać świadków, wymyślić przynajmniej dwie wersje zabójstwa, wstąpić do pracy i złożyć raport pełniącemu obowiązki naczelnika (przedtem dowiedzieć się, kto nim został), kupić jedzenie, kupić ubranie dla kahe.

Oczywiście od razu zaczęli mi towarzyszyć dyskretni obserwatorzy. Co za idiotyzm, przecież skoro już ich zauważyłam, to mogłabym się od nich uwolnić w każdej chwili. Miałam jednak nadzieję, że moje ogony zrobią coś głupiego - może to podrzuciłoby mi jakieś punkty zaczepienia, których tak strasznie mi brakowało.

Dzisiaj postanowiłam nie zasłaniać fioletowej szaty płaszczem, gdyż to bardzo ułatwiało chodzenie po zatłoczonej ulicy i wykluczało też możliwość, że przypadkiem zniknę z oczu śledzącym mnie typom. Lepiej żeby wiedzieli, co robię i dokąd idę, teraz było mi to nawet na rękę. Wprawdzie mogło się to dla mnie źle skończyć, ale za to jakże ubarwiało egzystencję.

Gdy stanęłam przed rezydencją rodziny Ayrelów, z małoduszną przyjemnością patrzyłam, jak odźwierny podbiegł

otworzyć bramę na sam widok mojego stroju, nie pytając nawet o imię, a następnie przekazał mnie lokajowi, który towarzyszył mi aż do jednego z gabinetów. W mojej skorupie obojętności pojawiła się delikatna, acz miła rysa. Pochodziłam z rodziny mieszczańskiej. Moja ma była wprawdzie magiem i wykładowcą w jednej z licznych szkół czarodziejstwa, ale to nie wyniosło naszego rodu na wyżyny. Nigdy nie rozpaczałam, że nie urodziłam się szlachcianką, chciałam dojść do wszystkiego o własnych siłach. Jednak na widok wyniosłej służby księcia chodzącej wokół mnie na paluszkach poczułam niekłamane zadowolenie, choć zdawałam sobie sprawę, że ten podszyty lękiem szacunek adresowany jest nie do mnie samej - Rinnelis Tyen - lecz do stanowiska śledczego.

- Co chciała mi pani powiedzieć, lare Tyen? - spytał zdławionym głosem książę, pojawiając się za moimi plecami. Odwróciłam się. Ależ schudł od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatnio! Wyglądał teraz jak własny trup.

- Sądziłam, że chciałby się pan dowiedzieć z pierwszej ręki, że zatrzymany kahe jest niewinny. To pewna i sprawdzona informacja - oznajmiłam sucho, czekając na reakcję księcia. Od niej miała zależeć moja dalsza linia postępowania.

Zbladł, zacisnął pięści, ale szybko się opanował.

- Jest pani tego absolutnie pewna, lare śledcza? - głos laro Ayrela brzmiał równo i pewnie.

- Absolutnie, laro Ayrelu. Kahe nie mógł tego zrobić.

- A dowody? - zażądał twardo książę.

Odetchnęłam głęboko i oznajmiłam:

- Lare Sofia i kahe mieli romans. Pańska córka spodziewała się jego dziecka.



- C-co? - Księżę osłupiał. - To niemożliwe! Moja córka i ten... Wiedziałbym o tym!!! - wytoczył ostatni argument.

Na jego twarzy malowało się nie tylko zdumienie i gniew, ale także zrozumienie. Tak właśnie przypuszczałam: w zachowaniu lare Sofii musiało być coś podejrzanego, tylko jej ojciec nie przywiązywał do tego znaczenia.

- To absolutnie pewna wiadomość, laro. - Skinęłam głową, przygotowana na kolejny wybuch. - Nasi eksperci się nie mylą. Sekcję zwłok pańskiej córki przeprowadzał najlepszy specjalista. Widzi pan, księżę, rodzice nie zawsze znają tajemnice swoich dzieci.

- Ale to jeszcze nie znaczy, że jej nie zabił... - wykrztusił stropiony. Jeszcze kilka minut temu wszystko było dla niego jasne i proste: zły kahe z wrodzonej podłości i nienawiści do rasy ludzkiej zamordował bestialsko jego córkę. Niestety, w rzeczywistości jedynie znikomy procent przestępstw popełnia się z tego powodu.

- Nie zna pan zwyczajów południowców - westchnęłam. Księżę nie miał pojęcia o tradycjach kahe ani o tym, jak ściśle ich przestrzegają, ja natomiast wiedziałam o tym doskonale. - Żaden z nich nigdy nie zabiłby swojego dziecka, laro, a pańska córka naprawdę spodziewała się potomka kahe. Proszę mi wierzyć, wszystko wskazuje na to, że kahe nie miał żadnych powodów, by zabić pańską córkę, zwłaszcza w taki sposób. Południowcy wycinają serce za zdradę, a o jakiej zdradzie może tu być mowa, skoro tamtej nocy księżniczka planowała uciec ze swoim ukochanym?

Zapanowała cisza. Księżę świdrował mnie wzrokiem. Było mu znacznie łatwiej uwierzyć w to, że córka mogła potajemnie spotykać się z kahe, niż w to, że zdecydowała się z nim uciec. Jeśli jednak wziąć pod uwagę pozycję

społeczną Riencharna, to księżniczka nie poniosłaby żadnych strat w kwestii materialnej.

- To... prawda?

- Tak, są na to dowody, laro Ayrelu. A teraz chciałybym usłyszeć pańskie życzenia. Czego pan chce, laro? Żeby skazano pierwszego lepszego mężczyznę, w przybliżeniu pasującego do roli mordercy pańskiej córki? Czy to zaspokoi pańskie pragnienie zemsty?

Było to niebezpieczne zagranie. Nie wiedziałam, jak księżę zareaguje na takie pytanie, miałam tylko nadzieję, że zadziała wrodzona szlachetność, którą nie bez powodu przypisuje się arystokratom.

- Oczywiście, że nie, lare. - Mężczyzna potrząsnął głową, choć było widać, że ta odpowiedź przysłała mu z trudem. - Nie chcę, żeby prawdziwy zabójca pozostał bezkarny.

- To znaczy, że mogę liczyć na pańską współpracę, laro Ayrelu? - zapytałam, docierając do głównego punktu rozmowy.

Księżę zmrużył podejrzliwie oczy i popatrzył na mnie z lekkim zdumieniem. W jego spojrzeniu przemknął cień szacunku, co zwiększało moje szanse na sukces.

- Czego pani chce?

- Cóż... kahe uniżenie prosi o możliwość pożegnania się z lare Sofią - powiedziałam łagodnie.

- Kahe? Ależ... ależ to niewyobrażalne! Jakiś żałosny nieludź... - Arystokrata zapłonął gniewem.

Uśmiechnęłam się w duchu, gotowa do rozbicia argumentów laro Ayrela w pył.

- Laro, zapewniam pana, że pod względem urodzenia kahe w pełni panu dorównuje. Ale mówię to w zaufaniu, mam nadzieję, że mogę liczyć na pańską dyskrecję i że pozostanie to w ramach naszej prywatnej rozmowy...

- To znaczy...
- To znaczy, że pańska córka nie zhańbiła swojego rodu związkiem z kimś nisko urodzonym. Prócz tego kahe tak samo cierpi z powodu śmierci lare Sofii jak pan i uważam, że nie będzie to żadne uchybienie, jeśli pozwoli mu pan pożegnać się z ukochaną i dzieckiem... Ponadto... - zawiesiłam głos.
- Ponadto...?
- Sądzę, że komuś nie spodoba się fakt, że kahe znalazł się poza podejrzeniami i przebywa na wolności, nie sądzi pan?
- Myśli pani, że zabójca zjawi się na pogrzebie? - zdumiał się książę. - Ależ tam będą jedynie nasi krewni!
- Nawet jeśli zabójcy tam nie będzie, plotki szybko do niego dotrą. Czy istnieje coś, laro Ayrelu, co rozchodzi się szybciej niż plotki?
- Nie, lare Rinnelis - zgodził się ze mną książę. - Dobrze, kahe może przyjść.
- Dziękuję, laro. - Skłoniłam się lekko. - Wszystkiego dobrego.

Znakomicie. Wszystko poszło znacznie lepiej, niż się spodziewałam. Osiągnęłam to, czego chciałam, jednocześnie spełniając obietnicę złożoną laro Riencharnowi. I teraz jest moim dłużnikiem. A biorąc pod uwagę to, jak kahe traktują swoje długi... Postaram się wyciągnąć z tego maksimum korzyści.

Właściwie kierowałam się wyłącznie przecuciem. Całkiem możliwe, że na prawdziwym zabójcy uwolnienie laro Riencharna nie zrobi żadnego wrażenia, jednak kobieca intuicja, nierzadko pewniejsza od logiki, podpowiadała mi, że postępuję prawidłowo. Zwykle działałam dopiero wtedy, gdy przeanalizowałam już wszystkie możliwe warianty

rozwiązania problemu, jednak gdy w równaniu pojawiało się zbyt wiele niewiadomych, chcąc nie chcąc musiałam posługiwać się metodą prób i błędów, do której prędzej czy później uciekał się każdy.

Opuściłam gościnny dom Ayrelów i rozejrzałam się spokojnie. Zauważyłam, że ogon nadal mi towarzyszył, i powoli ruszyłam do gmachu wydziału przez najbardziej odludne ulice, demonstracyjnie nie odwracając się nawet wtedy, gdy kroki moich obserwatorów słyszałam całkiem niedaleko za plecami.

A jednak coś tu nie pasowało, tylko nie mogłam zrozumieć co... Po skreśleniu laro Riencharna Aena z listy podejrzanych nie miałam nikogo, kto mógłby pragnąć śmierci tej nieszczęśliwej dziewczyny. Czy nie lepiej byłoby ją po prostu porwać? A może lare Sofia dowiedziała się o czymś, czego nie powinna wiedzieć? Nie, młode arystokratki mają zwykle niewielkie szanse wplątania się w jakieś ciemne historie, zbyt wiele oczu ich pilnuje. Ale z drugiej strony ta jakoś zdołała znaleźć sobie kochanka kahe, prawda?

- Dzień dobry, lare Tyen - usłyszałam z tyłu kpiący głos.

Doskonale, więc nie na próżno szłam właśnie tędy. A już zaczynałam się bać, że te typy okażą się przesadnie ostrożne... Szkoda tylko, że oznajmili mi o swojej obecności wtedy, gdy już zaczęłam łapać nić, która być może mogła mnie doprowadzić do rozwiązania zagadki morderstwa lare Sofii.

- Dzień dobry, laroje - odpowiedziałam tym samym tonem, świetnie wiedząc, że za moimi plecami stoi pięciu mężczyzn. Moje impulsy szukające były niezawodne. Czterech wojowników i jeden mag z niezłym potencjałem.

Ciekawy układ, ale raczej szanowni laroje nie poradzą sobie bez wsparcia kuszników na dachu. A kusznicy... Kuszników nie było. To miłe.

- Czy nie zechciałaby pani poświęcić nam chwili uwagi? - kontynuował w tym samym duchu „rzecznik” napastników.

Odwrociłam się powoli i zmierzyłam przybyłych obojętnym wzrokiem. Byli jednakowo ubrani, na twarze mieli naciągnięte kaptury. Dość dziwny sposób na stanie się niewidzialnym w słoneczny wiosenny dzień, ale przecież nie ja będę im robiła wykłady z zasad maskowania.

- Macie dokładnie dziesięć minut, laroje - odpowiedziałam. - Zaczynajcie.

- Co sądzi pani o zrewidowaniu swojej polityki prowadzenia śledztwa, lare Tyen?

No proszę, nie przemawiał mag, tylko wojownik! Można w nim wyczuć domieszkę krwi orków, co znaczyło, że będzie miał szybsze reakcje niż zwykły człowiek. Uzbrojony był w krótki miecz - rozsądne rozwiązanie w wąskim zaułku - i co najmniej trzy ukryte sztylety. Mag wyglądał na Ziemię, to dla mnie korzystny układ - Ogień, jako żywioł bardziej mobilny, mógł zwrócić całą moc Ziemi przeciwko jej nosicielowi. Trzech pozostałych wojowników było ludźmi czystej krwi, co bardzo obniżało ich szanse. Jedna szabla, krótki jatagan, dwa krótkie miecze... Oburęczny wojownik mógł stanowić problem, ale pozostali to blotki, mieli tylko odwrócić moją uwagę.

No dobrze, zatańczymy...

- Niestety, laroje, mam twarde zasady i nie zamierzam ich rewidować. - Uśmiechnęłam się, niepostrzeżenie szykując parę zaklęć ofensywnych i jedną „tarczę”, na

wypadek gdyby któryś z nich zdołał podejść na odległość ciosu.

- Nawet gdyby miało to być dla pani bardzo korzystne? - zasugerował mój rozmówca.

- ZWŁASZCZA gdyby miało być korzystne. - Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

- Myślę, lare, że pani upór może ściągnąć niebezpieczeństwo na panią i na tych laroje, którzy czasowo przebywają w pani domu. Chyba nie chciałyby pani tego?

Czyżby próba uderzenia w mój rzekomo słaby punkt? Och, jestem wstrząśnięta. Naprawdę, wstrząśnięta do głębi duszy. Co za brak finezji! Jak można w tak toporny sposób wyjawiać posiadane informacje! Mnie za coś takiego zwolniliby z pracy.

- Niedostateczny, laro - oznajmiłam lodowato, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

- O czym pani mówi? - stropił się lekko.

- Za takie przesłuchanie ćwiczebne otrzymałby pan niedostateczny - wyjaśniłam łaskawie. - Wykorzystanie niesprawdzonych danych, nieumiejętny nacisk na rozmówcę, wygłaszanie bezpodstawnych założeń... Zdaje się, że usunięto pana z akademii na trzecim roku, mam rację?

Odpowiedzią było zdumione milczenie.

Niestety, mój wywód nie był oparty na analizie uzyskanych informacji, logika w ogóle nie miała tu nic do rzeczy: po prostu miałam znakomitą pamięć i głos tego mężczyzny był mi dobrze znany. Studiował rok wyżej i sływał z wybitnych zdolności, niestety, neutralizowanych klinicznym lenistwem i brakiem umiejętności pracy nad sobą. Wyrzucono go z akademii z takim hukiem, że omawialiśmy to wydarzenie jeszcze kilka miesięcy po fakcie.

- Rzeczywiście jest pani bystra, lare - powiedział z mimowolnym szacunkiem mój prawie kolega po fachu. - Dlaczego w takim razie miałyby pani nie posłuchać dobrej rady? Niech kahe nadal pozostanie zabójcą lare Ayrel. Tak będzie prościej dla wszystkich.

- Nie będzie - odparłam. - Kahe jest niewinny i nie odpowie za przestępstwo, którego nie popełnił. Proszę przekazać pańskiemu niewątpliwie czcigodnemu najemcy, że sznur dla niego już robią. Nieważne, czy jest bogaty, wpływowy i znamienity, dla mnie pozostaje zwykłym przestępcą.

- A co stanie się z panią, lare, gdy wyjdzie na jaw, że ukrywa pani w domu dwóch kahe z rodu Aen? - wyszczał mój przeciwnik. Jego dłoń już sięgała do rękojeści miecza. Reszta najemników również nie miała zamiaru rozejść się w pokój. Zaryzykować i walczyć z nimi? Marna sprawa, choć nie katastrofa... Nie miałam jednak ochoty tracić czasu na takie bzdury. Lepiej się wycofać...

- W moim domu nie ma kahe Aenów. - Uśmiechnęłam się ironicznie. - Skąd takie wiadomości? Gości u mnie jedynie kahe z domu Trejt, a więc wasze groźby nie mają sensu. A teraz pozwolicie, że was opuszczę, laroje... - Skinęłam uprzejmie głową, błyskawicznie znikając w wirze teleportu. Takie zakończenie rozmowy zapewne nie spodobało się moim oponentom: w ostatniej chwili zdążyłam dostrzec, jak w moją stronę lecą sztylet i kamienny młot, ale nie zdołały już mnie dosięgnąć. Znalazłam się we własnym biurze.

Taak... Cała ta sytuacja zaczynała mnie nawet bawić. Nigdy nie przypuszczałam, że ktoś będzie na tyle głupi i beczelny, by mi otwarcie grozić! Te żałosne typy zapewne miały mnie śmiertelnie wystraszyć - nie mieli na to żadnych

szans... choć oczywiście mogli stanowić realne zagrożenie.

Przede wszystkim wszłam do swojego gabinetu. Musiałam zastanowić się nad sytuacją, a potem zorientować w nowym układzie sił w wydziale. Mawia się, że nowa miotła zawsze dobrze zamiata, i jest to prawda stara jak świat. Koniecznie powinnam się dowiedzieć, kto pretenduje na stanowisko po nieboszczyku laro Grossie, a przede wszystkim kto teraz pełni jego obowiązki. Oczywiście do mojej pracy nikt nie miał prawa się wtrącać, ale może zechce spróbować? Należało być przygotowanym na wszystko...

Na biurku czekała na mnie jak zwykle sterta poczty, której nie miałam zamiaru przeglądać - nie było żadnego magicznego znaku sugerującego, że z jakimś listem powinnam się niezwłocznie zapoznać, a całą resztę mogłam spokojnie zignorować.

Gabinet stanowił jakby filię mojego mieszkania: ten sam porządek, surowy wystrój i cisza, osiągnięta dzięki zaklęciom i materiałom izolacyjnym. W razie konieczności mogłam aktywować potężny system obrony magicznej i pod jej osłoną spokojnie przeczekać nawet najazd orków. Chyba właśnie dlatego koledzy woleli nie zaglądać do mojego gabinetu, kontaktując się ze mną na neutralnym gruncie. Pewnie myśleli, że z tego pokoiku może być ciężko wyjść... Skądinąd bardzo rozsądne stanowisko.

Ta idiotyczna próba zastraszenia zdenerwowała mnie. To było jakieś takie... niepoważne. Człowiek, który zamordował lare Ayrel tuż pod nosem kahe, który błyskawicznie, nie zostawiając po sobie żadnych śladów, rozprawił się z laro Grosse, nie urządzałby takiej farsy w nadziei, że załatwi mnie banda nieudaczników. Nie wierzę! Najprawdopodobniej te typy miały ze sobą jakiś amulet, który miał



zbadać mój potencjał magiczny. Tak, chyba właśnie o to chodziło. Jednak żeby ta magiczna zabawka zadziałała, należałoby aktywować w jej obecności co najmniej trzy zaklęcia. Ja użyłam tylko jednego - teleportacji. To znaczyło, że taktyczny odwrót faktycznie mógł być dla mnie najrozsądniejszym wyjściem.

Czyli rozpoczęło się polowanie na Rinnelis Tyen... No cóż, nieznany mi wielmoża jedynie tracił czas. Nie byłam przecież wilkiem, który prędzej czy później, doprowadzony do ostateczności, zaatakuje prześladowców. Ja byłam zimnokrwistą żmiją: zasyczę i zniknę w trawie na widok niebezpieczeństwa, a potem z teje trawy ukąszę prześladowcę w nogę. A tego nieznanego złoczyńcę i tak dopadnę - nie lubiłam, gdy ktoś organizował mi nieprzyjemne rozrywki i pchał się w nie swoje sprawy. Znajdę zabójcę i oddam go katu.

No dobrze, ale komu mogło zależeć na śmierci lare Sofii? - zastanowiłam się po raz kolejny, siadając przy biurku.

Może powinnam wziąć pod uwagę wysoką pozycję rodziny książęcej? Nie, to chyba nie to... Pod względem politycznym trzy córki to najbezpieczniejszy układ, jaki tylko można sobie wyobrazić. Korzystniejsze w tym wypadku byłoby raczej zamordowanie samego księcia, a potem zmuszenie córek do małżeństwa, albo w innej wersji porwanie jej i szantażowanie ojca. Nie ma chyba na świecie rzeczy bardziej bezużytecznej niż martwa księżniczka, a przecież wiadomo, że za każdym zabójstwem politycznym stoją jak najbardziej racjonalne motywy. Poza tym wpływy Ayrelów polegały raczej na niegdysiejszych zasługach. Wprawdzie mieli pewne prawa do tronu, ale były one znikome i wszyscy świetnie o tym wiedzieli. Ponadto Ayrel nie miał

syna, a to wykluczało możliwość zapoczątkowania nowej dynastii.

Jeśli chodzi o władzę, w Erolu zawsze panował zamęt. Kaeringowie wprawdzie wytrzymali próbę czasu i poddani uznali ich za stabilną, prawowitą dynastię, jednak wszystkich królów cechowała niesamowita płodność, zaś ich potomków - wstrząsająca żywotność. W efekcie przez kilkaset lat rządów Kaeringów pojawiło się kilkadziesiąt rodów książęcych, blisko spokrewnionych z dynastią królewską, które w odpowiedniej chwili mogły próbować przejąć tron.

Obecny monarcha był dość młody i jeszcze nie zdążył się ożenić, co stworzyło dość dwuznaczną sytuację w kwestii dziedziczenia tronu. Gdyby Jego Wysokość Henryk z jakiegoś powodu umarł, rozpętałaby się niezła kołomyja... Oczywiście istniały wyraźne wytyczne, kto i w jakiej kolejności dziedziczy tron w przypadku bezdzietnej śmierci panującego, ale to jeszcze nie powód, żeby ktoś nie próbował wepchnąć się bez kolejki. Chętnych na pewno by nie zabrakło.

Nie lubiłam polityki i starałam się trzymać od niej z daleka. Polityka nie uznaje istnienia żadnych praw, co dla mnie, jako śledczego, było niedopuszczalne. Podczas walki o władzę zapomina się nie tylko o prawie i sprawiedliwości, ale również o moralności i innych temu podobnych drobiazgach, niszcząc przeciwników na wszelkie sposoby, nie licząc się z niczym prócz ostatecznego celu. To mnie przynębiało.

W wydziale mawiają, że gdybym miała odpowiednie pochodzenie, wcześniej czy później na pewno zdobyłabym koronę - uważają mnie za intrygantkę pierwszej wody. Brednie! Tego rodzaju rozrywki uważałam za zbyt małostkowe i nawet gdybym była szlachetnie urodzona, nie

traciłabym na nie czasu i sił. Władza może przynieść jedynie przelotne zadowolenie - status śledczego i tak daje spore możliwości manipulowania ludźmi. Początkowo sprawia to satysfakcję, ale potem staje się jedynie męczącą rutyną.

Tak, lare Sofii nie zamordowano z powodów politycznych... Albo straciłam swój węch śledczego, albo morderstwo księżniczki w ogóle nie miało żadnego motywu! I co z tym fantem zrobić?

Taak...

Interesująca łamigłówka, w której kahe stanowił element z jednej strony bezużyteczny, z drugiej - niepozwalający na znalezienie rozwiązania przez sam fakt swojego istnienia. Zwykła ofiara, która znalazła się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej... No nie, co ja plotę? Skąd wówczas wzięłyby się tam kr'iis, ten nieszczęsny rytualny sztylet? Nie można go przecież kupić na pierwszym lepszym straganie, zresztą niespodziewane pojawienie się kahe na pewno wprowadziłoby zamieszanie w plany mordercy. A były najwyraźniej ściśle powiązane ze zjawieniem się nieludzia. Riencharna zwyczajnie wrobiono. Podsunięcie wygodnego kozła ofiarnego - idealny sposób na uniknięcie kary. Gdyby nieboszczyk laro Gross nie powierzył tej sprawy mnie, zabójca osiągnąłby swój cel. Pewnie nie podejrzewał, biedak, że przyjdzie mu się zmierzyć z kimś takim jak ja.

Pojawiało się również inne pytanie: czy działały tu dwie osoby, zleceniodawca i wykonawca, czy też ów nieznany mi osobnik działał sam? Zdecydował się unurzać ręce we krwi, następnie poprawił sytuację materialną Grossa, a potem go otruił... Bardzo możliwe, że tak właśnie było, skoro morderca nie aktywował zaklęć ochronnych domu. O ile dobrze pamiętałam, tego rodzaju czary nie tylko nie

pozwalają dostać się do domu, ale także informują o wszystkich, którzy się do niego zbliżyli. Daen, który pisał protokół, był bystrzakiem, a takie zaklęcia to jego konik, więc jeśli nie napisał, że zaklęcia kogoś zarejestrowały, to znaczy, że nie zarejestrowały. Ale mimo wszystko należało z nim porozmawiać.



Daen Staut był sympatycznym chłopakiem, mimo że pracował w Straży. Zawsze uważał, że praca nie przeszkadza nikomu być porządnym człowiekiem i to, że jesteś śledczym, nie oznaczało, że musisz być łajdakiem. Oczywiście pod warunkiem, że nie nazywasz się Rinnelis Tyen.

Kiedy właśnie lare Tyen weszła po obiedzie do jego gabinetu, Staut pomyślał, że ten ciepły, słoneczny dzień wcale nie jest taki znowu ładny. Rinnelis Tyen zawsze kojarzyła mu się z przejmującym chłodem starego grobowca, do którego nie wszedłby nikt o zdrowych zmysłach. Rzecz jasna, Daen nie miał zamiaru informować śledczej o swoim mało pochlebnym stosunku - chciał żyć długo i szczęśliwie, ciesząc się dobrym zdrowiem oraz posiadaniem wszystkich części ciała. Teoretycznie Tyen nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy, nigdy nawet nie okazywała zdenerwowania, ale Daen mimo wszystko wolał nie sprawdzać, czy lare Rinnelis ma jednak jakieś emocje. Zwłaszcza negatywne. Lepiej już skłonić do tego najgorszego wroga, a samemu wyjechać służbowo do elfów. Albo do przemieńców. Albo do najgłębszej kopalni krasnoludów - byle jak najdalej od lare Tyen.

- Dzień dobry, laro Daenie. - Tyen wykrzywiła usta w uśmiechu. - Nie przeszkadzam?

„No jasne, że przeszkadzasz!” - zawył w myślach Daen.

- Oczywiście, że nie, lare Tyen - wykrztusił z wysiłkiem. - Jak mógłbym pani pomóc?

- Mogę usiąść? - spytała lare śledcza.

„Idioto! - skłął się w myślach Staut. - Należało od razu zaproponować, żeby usiadła! Przecież wiesz, jak nie znosi niegrzeczności traktowania! Bogowie, żeby tylko udało się wyjść z tego cało...”

- Naturalnie, niech pani siada, lare. Czym mogę służyć?

„Czego ty chcesz, zmijo jedna? Mów szybciej i wracaj na swoje bagna!”

- Zdaje się, że to pan oglądał miejsce zbrodni i spisał protokół w sprawie lare Ayrel? - zapytała śledcza, patrząc badawczo w oczy swojemu rozmówcy.

- Tak, lare. Coś nie tak? - Daen zeszytniał.

„Co zrobiłem źle, gadzino? Przyszłaś mnie zawiadomić, że to mój ostatni dzień w wydziale?!”

- Oczywiście, że nie. - Tyen pokręciła głową. - Jest pan wspaniałym śledczym i nie mam żadnych zastrzeżeń do pańskiej pracy. Po prostu chciałam zapytać o pewne szczegóły, pod warunkiem, że znajdzie pan dla mnie chwilę czasu.

- Dla pani zawsze mam czas, lare Rinnelis - odparł Daen. Nie był to jedynie zwrot kurtuazyjny. Zapewne w całej Straży nie znalazłby się człowiek, który śmiałby odmówić Rinnelis Tyen. Mówiono, że nie jest mściwa ani pamiętliwa, jeśli tylko ktoś nie próbuje wtrącać się do jej pracy. Wszyscy to powtarzali, ale nikt tak naprawdę w to nie wierzył. Ludzie woleli chodzić na paluszkach, prawie nie oddychając, żeby tylko, nie dajcie bogowie, Żmija sobie czegoś nie pomyślała.

- Dziękuję, laro Daenie. - Tyen uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Zdaje się, że świetnie się pan zna na zaklęciach ochronnych, prawda?

Staut skinął głową nie bez dumy. Tak jest, był jednym z najlepszych specjalistów w tej dziedzinie magii.

- Czy mógłby mi pan szczegółowo opowiedzieć o zaklęciach ochronnych, które wykorzystano w domu księcia Ayrela? - zapytała rzeczowo śledcza, bezceremonialnie biorąc kawałek pergaminu i pióro z jego własnego biurka. Staut pomyślał przelotnie, że mógłby się oburzyć, ale uznał, że lepiej nie ryzykować dla takiego głupstwa.

Przypomnienie sobie wszystkich szczegółów ochrony magicznej w domu Ayrelów nie było trudne: zaklęcia nałożył mistrz w swoim fachu, właśnie dlatego od razu zwróciły uwagę śledczego. Nawet został pół godziny dłużej, żeby je uważnie zbadać. Nic więc dziwnego, że teraz bez trudu zdołał odtworzyć w pamięci wszystkie szczegóły. Owszem, w system ochronny wpleciono czary śledzące, rejestrujące przemieszczanie się domowników wewnątrz domu i w jego pobliżu, jednak zaklęcia zarejestrowały jedynie, że lare Sofia wyszła z domu, nie zauważając pojawienia się kahe w ogrodzie.

- A jak zostały nastrojone? - spytała lare Rinnelis. - Za „swoich” uważały tylko gospodarzy domu?

- Nie, również kilka innych osób, w tym zaufane służki - odparł śledczy, rozumiejąc, do czego zmierza Tyen. - Ale nie brałem listy osób mających dostęp do domu Ayrelów, uznałem to za niepotrzebne...

- A szkoooda... - powiedziała Żmija przeciągle, a jej oczy zaszyły mgiełką zamyślenia.

„Bogowie, żeby tylko nie wysmażyła raportu!” - modlił się gorączkowo Daen.

- Dziękuję za pomoc, laro. - Żmija skinęła Stautowi głową, wstając z fotela i opuszczając gabinet z niesłychanym jak na nią pośpiechem. Zwykle lare śledcza poruszała się raczej statecznie.

„Chyba się udało” - uspokoił się Daen i wrócił do układania pasjansa, który na widok lare Tyen przykrył dokumentami.



Wybiegłam z pokoju Stauta i energicznie ruszyłam tam, gdzie siedzieli kurierzy, gdy nie mieli nic do roboty. Teoretycznie pracy dla kurierów nigdy nie brakuje, ale ci tutaj z takim powodzeniem migali się od swoich obowiązków, że niemal cały czas kisnęli w biurze. A ja właśnie miałam zamiar przynajmniej jednego z nich zmusić do pracy.

Napotykanie na korytarzu współpracownicy patrzyli za mną z zaskoczeniem i dezaprobatą. Przywykli do tego, że poruszam się spokojnie, nie wpadając na kolegów śledczych. Niejednego zawiódł refleks i nie zdążył odskoczyć na bok.

Gdy otworzyłam drzwi, na których wisiała na jednym gwoździu tabliczka z napisem: „Służba kurierska”, w pokoju zaległa raptowna cisza, którą zakłócił jedynie spazmatyczny kaszel (ktoś zakrztusił się na mój widok) i trzask rozbitej szklanki.

Człowiek, którego potrzebowałam, na szczęście znajdował się tam, gdzie spodziewałam się go zobaczyć.

- Laro Entrelu, mam dla pana zadanie - oznajmiłam łagodnie, przygotowana na rozpaczliwy opór ze strony swojej ofiary.

- Ależ, lare śledcza...! - wyjęczał od razu rudy obwieś z zadartym nosem. - Właśnie jemy obiad!

- Obiad skończył się dwie godziny i dwanaście minut temu - zauważyłam chłodno i powoli podeszłam do kuriera z wyjątkowo złośliwym uśmiechem. - Ponadto pracuje pan w Straży już dwa lata i powinien pan wiedzieć, że nasza służba nie zna takich pojęć, jak „obiad”, „urlop” czy „koniec dnia pracy”.

- Ale, lare Rinnelis...! - wyjęczał chłopak, spoglądając ze smutkiem na napoczętą butelkę czerwonego wina, której nikt nawet nie miał zamiaru przede mną ukrywać.

- Za dziesięć minut w moim gabinecie - wyskando-  
wałam twardo, uznając, że wystarczy tej łagodności.

- Tak jest, lare! - powiedział szybko Entrel, rozumie-  
jąc, że jeśli zacznie się targować, zmuszę go, żeby poszedł ze mną od razu.

Entrel był znanym w naszym wydziale hultajem, na którego spoglądano podejrzliwie, jak na eksperymentalny specyfik w kolbie, który nagle zaczął dymić. Rudzielec przyszedł do Straży zaraz po tym, jak zwinął sprzed nosa szefa pewnej bandy znaczną sumę pieniędzy i nie wiedział, gdzie ma się ukryć przed rozwścieczonymi przestępcami domagającymi się swojej własności. Długów Entrel nie oddawał z zasady, a jeśli kredytodawcy byli zbyt natrętni, po prostu się ich pozbywał. Przyszły kurier naszej służby planował rozwiązać swoje sprawy przy pomocy Straży, jednak moi koledzy nie byli prostaczkami, którzy z radością przejmą cudze problemy, i rudy cwaniak musiał odpracować udzieloną mu pomoc. Po dwóch miesiącach pracy w Straży Entrel zadomowił się u nas i na równi z innymi kurierami kłócił się ze zwierzchnictwem, obijał na potęgę i zniknął radośnie nie wiadomo gdzie, kiedy tylko był potrzebny. Jednak z całego tabunu pracowników służby kurierskiej Entrel



wyróżniał się lotnym umysłem i umiejętnością trzymania języka za zębami, które to cechy były mi bardzo na rękę.

Rudy nicpoń zjawiał się u mnie dokładnie dziesięć minut później, odęty i niezadowolony, ale gotów wykonać moje rozkazy. Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że to właśnie ja w swoim czasie zdążyłam uprzedzić go o przybyciu owych miłych kredytodawców, z powodu których Entrel zaczął pracować w Straży. Nic osobistego, po prostu już wtedy było jasne, że będziemy mieli pociechę z tego chłopaka. Entrel zawsze pamiętał o wyświadczonych mu przysługach i starał się odwdziżyć. Oczywiście pod warunkiem, że nie chodziło o pieniądze.

- Czego pani sobie życzy, lare? - zapytał kurier dość uprzejmie, z pokorą przyjmując fakt, że psuję mu taki miły dzień. Zresztą świetnie wiedział, że nie oderwałabym go bez powodu od tak ważnej sprawy jak spożywanie napojów alkoholowych w miejscu pracy.

- Pójdzie pan do willi księcia Ayrela i weźmie od niego całą dokumentację dotyczącą magicznej ochrony domu - oznajmiłam, a wówczas w szarych oczach chłopaka pojawił się błysk zrozumienia. - Najlepiej, żeby pańska wizyta oraz jej cel pozostały tajemnicą. Mogą pana śledzić, być może spróbują przejąć materiały - dodałam, nie chcąc, by Entrel łudził się, że to łatwe i bezpieczne zadanie. - I w żadnym wypadku nie powinien pan zaglądać do papierów, które udostępni panu Jego Ekscelencja.

- Sprawy zaszły aż tak daleko, lare Rinnelis? - zapytał kurier, patrząc na mnie zaskakująco poważnie i czujnie.

- Na to wygląda. - Wzruszyłam ramionami. - Napiszę list do laro Ayrela i dam panu zezwolenie na otrzymanie niezbędnych amuletów. Tego listu również nie powinien pan czytać, we własnym dobrze pojętym interesie.

Szybko sporządziłam odpowiednie notki.

- Czyli sprawa jest poważna - podsumował chłopak, biorąc kartki z moją bazgraniną. - Zrobię wszystko jak trzeba, lare, może pani być spokojna.

- Szczerze powiedziawszy, na to właśnie liczę. - Uśmiechnęłam się w stronę opuszczającego moje terytorium Entrela. Nie raczył się pożegnać, jak zawsze, chociaż wiedział, że drażnią mnie takie odstępstwa od zasad dobrego wychowania. Zresztą czego innego można się po nim spodziewać... Za to precyzyjnie wykonywał rozkazy i nigdy by mnie nie zdradził - zbyt wiele o nim wiedziałam, zbyt często osłaniałam go, jeśli popełnił jakieś głupstwo. Obojętna korzyść daje więcej powodów do zaufania niż takie pojęcia, jak „miłość” czy „przyjaźń”.

Szacowałam, że powinien wrócić mniej więcej za godzinę, więc najlepiej wykorzystać ten czas na zebranie ostatnich plotek z wydziału - a nikt nie zna ich lepiej niż sekretarka naczelnika, całkiem dorzeczną dziewczyną, której można zaufać.

Po raz kolejny spłoszyłam współpracowników, idąc prosto do dawnego gabinetu laro Grossa na pierwszym piętrze. Oczywiście Estela - ładna, miłutka blondynka - siedziała na swoim miejscu przy masywnym dębowym biurku, które ponoć stało tu od ponad stu lat. Estela zdecydowanie obalała wszelkie stereotypy na temat blondynek i sekretarek - była piękna, mądra i do tego jeszcze umiała pracować. Czasem nawet się zastanawiałam, czy nie powinnam jej zazdrościć, ale szybko przypominałam sobie, że ja jestem jeszcze mądrzejsza, i błyskawicznie się uspokajałam.

- Dzień dobry, lare Estelo - przywitałam się uprzejmie, przyglądając się z zainteresowaniem dziewczynie, która uważnie przeglądała jakieś papiery. Zawsze podziwiałam ludzi posiadających cechy, których mnie brakowało.

Sekretarka wyglądała tak idealnie, że gdybym była zwykłą kobietą, spłynęłabym jadem. Na szczęście stosunkowo obojętnie podchodziłam do kwestii fryzury, makijażu i ubrania. Stosunkowo - ponieważ uważałam, że to nie mój wygląd powinien robić wrażenie na otaczających mnie ludziach.

- Dzień dobry, lare Rinnelis - uśmiechnęła się Estela, odruchowo trzepocząc długimi rzęsami. Jednak natychmiast się opamiętała i usunęła z twarzy minę, którą zwykle wprowadzała mężczyzn w stan niekontrolowanej euforii.

- Służbowo? - spytała, choć świetnie wiedziała, że nie. Gdy przychodziłam służbowo, mówiłam o tym od razu.

- Nie, lare, po prostu wpadłam na chwilę...

- Czyli herbatka - uznała Estela, której nasze rozmowy sprawiały niekłamana przyjemność. Była niegłupią dziewczyną i umiała docenić rozmowę z drugą inteligentną kobietą, która nie patrzyła na nią wilkiem tylko dlatego, że była ładniejsza.

Przeniosłyśmy się do stojącego w kącie stoliczka, przy którym stały dwa wygodne fotele przeznaczone dla gości. Sekretarka błyskawicznie przyniosła gorącą herbatę i talerzyk z ciastem.

Wciągnęłam aromat herbaty i z przyjemnością skonstatowałam:

- Zielona jaśminowa!

- Trzymam specjalnie dla pani, lare Rinnelis. Pamiętam, że nie lubi pani kawy - uśmiechnęła się sekretarka.

- To nieprawda - zaprotestowałam. - Lubię kawę, ale musi być dobrze zaparzona. A to, co pije się u nas w wydziale... Spożywanie czegoś takiego jest poniżej mojej godności.

Popatrzyłyśmy na siebie ze zrozumieniem. Obie świetnie wiedziałyśmy, jaką trucizną przywożą nam w słoikach z kłamliwym napisem „kawa”.

- Rozumiem, że chce się pani ode mnie czegoś dowiedzieć? - uśmiechnęła się Estela.

- Nie czegoś... chcę się dowiedzieć wszystkiego - poprawiłam. - Widzi pani, moja obecna sprawa jest dość skomplikowana i przez kilka ostatnich dni nie miałam czasu śledzić wydarzeń w wydziale.

- Tak, wszyscy mówią o nieludziu, który podobno panią porwał - powiedziała Estela z zadowoleniem. - Czy ten nieszczęśnik jeszcze żyje?

- Na razie tak - odparłam, usiłując się nie krzywić. Nie spodziewałam się, że kahe jednak zdoła zepsuć mi reputację. Będą teraz plotkować, że porwał mnie jakiś nieszczęsny nieludź... No dobrze, nie jakiś tam, a dość silny... No, no, dług kahe wobec mnie szybko rośnie.

- Cieszę się, że pozostaje pani wierna swoim zasadom, lare Rinnelis.

- Moje zasady są niezłomne.

Czego bardzo żałuję, pomyślałam z rezygnacją. Może gdybym zlikwidowała tego południowca, poczułabym ulgę?

- Myślę, że zainteresuje panią to, że pełniącym obowiązki naczelnika został Stefan Rou? - zapytała Estela z nutką złośliwości.

O bogowie... Już lepsza wojna z orkami, głód, epidemia i cały Dom Erris w moim mieszkaniu niż Stefan Rou w roli szefa. Nie ma nic gorszego niż zadufany idiota na takim stanowisku. A ten jest w dodatku święcie przekonany o potędze swojego umysłu i hojnie dzieli się z otoczeniem swą wielką mądrością. Na pewno będzie próbował mnie uczyć, jak się prowadzi śledztwo, i to niechybnie w formie

ultimatum. Gross przynajmniej wiedział, że w sprawach służbowych lepiej ze mną nie zadzierać.

- Widzę, że się pani cieszy, lare Rinnelis - uśmiechnęła się sekretarka.

- O, tak. Jestem zachwycona... - Odchyliłam się na oparcie fotela, w myślach szykując się do walki z obecnym naczelnikiem.

- Laro Stefan już o panią pytał, ale za każdym razem nie było pani w pracy. Groził, że obniży pani pensję za nieusprawiedliwioną nieobecność.

- A może planuje zrobić coś jeszcze? - westchnęłam.  
- Na przykład rozwiązać Wydział Śledczych albo zmusić wszystkich naszych pracowników do przepisywania świętych ksiąg?

- Niewykluczone. - Dziewczyna wzruszyła ramionami.

To wszystko byłoby nawet zabawne, gdyby nie było tak tragiczne.

- Co za koszmar - powiedziałam. - Zdaje się, że w najbliższym czasie lepiej nie pojawiać się w tych murach.

- Ucieka pani z pola walki, lare Rinnelis?

- Niestety, lare Estelo... Siły przeciwnika są przeważające, więc wycofuję się strategicznie do własnego domu. Jeśli to nie kłopot, proszę przesłać wszystkie moje dokumenty do mojego mieszkania. Myślę, że tam zdołam pracować znacznie bardziej efektywnie.

Sekretarka popierała mnie w całej pełni, wyznała nawet w tajemnicy, że planuje albo doprowadzić do usunięcia obecnego naczelnika, albo poszukać sobie innego miejsca pracy. Świetnie ją rozumiałam, szkoda tylko, że ja nie miałam dokąd pójść ze stołecznego Wydziału Śledczych. To była moja ukochana praca, dążyłam do niej przez całe

swoje świadome życie. I nic nie zmusi mnie do odejścia. Nawet naczelnik z oznakami ociężałości umysłowej.

Estela szczerze podzieliła się ze mną wszystkimi plotkami, które krążyły nie tylko w naszym wydziale, ale i w całej Straży, a ja w ramach rewanżu wystraszyłam jej wszystkich petentów, czym zasłużyłam na gorącą wdzięczność i jeszcze jedną filiżankę herbaty. W końcu uznałam, że Entrel powinien już wrócić, więc pożegnałam się serdecznie z lare Estela i po raz kolejny przemknęłam przez korytarze wydziału jak niewielki tajfun.

Budynek, w którym mieścił się Wydział Śledczych, stanowczo nie był perłą architektury - nie wpisywał się w moje wyobrażenia o pięknie, nawet gdy byłam w przychylnym nastroju. Dwupiętrowy gmach sprawiał wrażenie, jakby zbudowano go z myślą o odpieraniu szturmu. Miał grube ściany, małe, zakratowane okienka, przez które człowiek nie mógłby się przecisnąć nawet przy najszczerszych chęciach. Krążyły plotki, że posiadał też co najmniej trzy przejścia podziemne, z których jedno prowadziło poza granice miasta, a inne do samych komnat królewskich. Nie mam pojęcia, czy któryś z poprzednich monarchów darzył tak ogromnym sentymentem jakiegoś śledczego, że zapewnił mu dostęp do własnej sypialni, czy też może któryś z moich kolegów był na tyle przewidujący, że zorganizował sobie komfortową możliwość zamordowania króla. Wąskie, ciemne i wilgotne korytarze biura niewiele różniły się od tej części budynku, w której trzymano aresztantów. Ci, którzy mieli wątpliwe szczęście znaleźć się w celi, byli absolutnie przekonani, że nasze kazamaty zbudowano specjalnie po to, by znęcać się nad biednymi aresztantami; więźniowie nie mieli pojęcia, że niemal w całym wydziale panowały bardzo

podobne warunki. Przejścia były tak wąskie, że mijający się w nich ludzie ocierali się o siebie ramionami. Gdyby wziąć pod uwagę potencjalną wrażą inwazję, wszystkie te niewygody były absolutnie uzasadnione, jednak ta świadomość nie czyniła ich mniej dotkliwymi.

Entrel stał pod drzwiami mojego gabinetu, ściskając coś w rękach - z powodu zakłęb ochronnych nie mógł wejść do środka. Roztrzęsiony i niespokojny, rudzielec zerkał na boki zaszczytym wzrokiem.

- Wie pani, lare Rinnelis... - powiedział głucho chłopak, usiłując na mnie nie patrzeć. - Przepraszam, ale więcej dla pani nie będę pracował. Może mnie pani oddać, komu pani chce.

Czegoś takiego jeszcze od niego nie słyszałam.

- Nie ma pani pojęcia, co się działo... Gonili mnie aż do wydziału, jak psy lisa... Gdyby nie amulety, już byłoby po mnie! - zawołał ze szczerym oburzeniem i rzucił wyzywająco: - Wystawiła mnie pani!

No nie, ta histeria była zupełnie niepotrzebna.

- Nie ma pan racji - powiedziałam spokojnie. - Gdybym pana wrobiła, już byłby pan martwy. Proszę nie zapominać, komu zawdzięcza pan amulety. Po prostu ze wszystkich kurierów tylko panu mogę zaufać, zaś wiadomości, które pan dostarczył, mają ogromne znaczenie dla śledztwa...

- Czyli mogę liczyć, że wystara się pani dla mnie o urlop? - Drań błyskawicznie doszedł do siebie i teraz patrzył na mnie krystalicznie uczciwym wzrokiem.

- Myślę, że tak, laro... - zdecydowałam się pójść na ustępstwa. - Wejdźmy do mojego gabinetu, to bardziej odpowiednie miejsce do rozmowy niż korytarz.

Entrel rozluźnił się - w końcu mój gabinet to wyjątkowo bezpieczne miejsce. Bardziej bezpieczne było chyba tylko moje mieszkanie.

Kurier z trudem rozwarł palce, kładąc teczkę na stół.

- Lare, ma pani coś do picia? - zapytał żałośnie, padając na kanapę.

Popatrzyłam na niego z dezaprobatą, ale uznałam, że faktycznie powinien się odprężyć, i podeszłam do regału, gdzie za książkami trzymałam alkohol, specjalnie na takie nieprzewidziane okazje. Zastanowiłam się chwilę i uznałam, że najbardziej odpowiednia będzie nalewka ziołowa. Nalałam jej szczerdnie do szklanki i podałam mu.

- Nigdy nie podejrzewałbym pani o miłosierdzie. - Entrel uśmiechnął się krzywo, biorąc z namaszczeniem nalewkę z moich rąk.

- I słusznie, bo miłosierdzie nigdy mi nie groziło - odparłam. - To czysto racjonalne podejście do problemu. Nie mam ochoty wysłuchiwać pańskich hysterii, laro.

- A ja nie chcę psuć pani humoru swoim załamaniem nerwowym. Proszę mi wybaczyć brak opanowania, lare Tyen. Po prostu się wystraszyłem...

Skinęłam głową, dając do zrozumienia, że usprawiedliwienie zostało przyjęte.

- A teraz proszę opowiedzieć ze szczegółami, co się działo - zażądałam sucho.

Entrel wziął się w garść i zaczął mówić:

- Przyczepili się do mnie, jak tylko wyszedłem z wydziału. Najwidoczniej zdążyli pogrzebać w pani życiorysie, skoro wiedzieli, że jestem pani człowiekiem. Dlaczego nie wysłała pani kogoś innego?



- Sprawdziliby każdego kuriera, który wyszedł z wydziału, a tylko pan był na tyle bystry i opanowany, żeby im uciec i dostarczyć mi dokumenty - odparłam.

- Rozumiem, że pani by tak zwyczajnie nie wypuścili?

- Dobrze pan rozumie.

- Leżli za mną dyskretnie, można nawet powiedzieć: uprzejmie - ciągnął Entrel. - Co prawda kilka przecznic przed willą Ayrelów próbowali mi wyjaśnić, że lepiej zrobię, jak pójdę sobie gdzie indziej. Było ich trzech, kombinacja prosta do bólu: przeciętny mag, połamał sobie zęby na amulecie ochronnym, niezły bojownik z krótkim mieczem, chyba kiedyś służył w Straży, i kusznik na dachu. Celne miał oko, drań! - zaklął ze złością chłopak. - Chyba upewnili się, że idę właśnie do Ayrelów, a nie z jakimś lewym zadaniem, i chcieli załatwić sprawę pokojowo.

- Pańskie działania?

- Posłałem ich - uśmiechnął się chłopak - do pani, lare.

- Oryginalne. - Uśmiechnęłam się leciutko.

- O tak, oni również to docenili.

- A wtedy...?

- Próbowali zastosować skuteczniejsze metody przekonywania.

- Rozumiem, że pan uciekł?

- Oczywiście, lare Rinnelis, moje zadanie nie polegało na walce z nimi - odparł kurier z urazą.

- Bardzo rozsądne stanowisko - pozwoliłam sobie na skąpą pochwałę.

- Jakoś udało mi się dostać do domu. Książę nie robił problemów, wyglądało na to, że gotów był przekazać pani wszystko, czego pani zażąda. Czym zasłużyła pani na takie zaufanie, jeśli to nie tajemnica?

- Uczciwością i nieprzekupnością! - prychnęłam.

- Oczywiście - wyszczerzył się Entrel. - A potem zaczęła się prawdziwa zabawa. W drodze powrotnej ścigali mnie już na serio. Naliczyłem dwunastu, ale mógłbym przysiąc, że było ich więcej. To nie była przypadkowa zbierani-  
na, ale zgrana grupa. Działali według schematu „wiatr w trzcinach”. Wie pani, co to takiego, lare Rinnelis? - spytał ponuro, patrząc na mnie z niechęcią.

- Wiem. - Skinęłam głową.

W czasie nauki w akademii z maniackim uporem zdobywałam wszelkie możliwe wiadomości i z zapałem wzięłam się do studiowania współczesnych metod wywiadowczych, które wydawały mi się wyjątkowo różnorodne. Były wśród nich również schematy różnych przejęć, wykorzystywane przez tajnych agentów. „Wiatru w trzcinach” używano do odnalezienia człowieka ukrywającego się w tłumie. Śmierć obiektu pogoni jest w takim układzie wliczona w koszty. Nie potrzebowali Entrela żywego.

- Uciekłem, używając amuletu błyskawicznego przeniesienia. Trzymałem go do ostatniej chwili, wiedziałem, że w końcu przycisną mnie na poważnie. Myślę, że teraz jesteśmy kwita, lare Tyen. Nie chcę już być z panią powiązany.

- Pomyślę o tym - odparłam krótko. - Jest pan wolny, urlop postaram się załatwić. Mam nadzieję, że nie przejawiał pan zbytnej ciekawości?

- Dziękuję pięknie, chcę żyć długo i szczęśliwie - wyszczerzył się.

Czyli niczego nie czytał.

Gdy kurier wyszedł z gabinetu, pomyślałam z żalem, że mimo wszystko będę musiała dać mu spokój. Odpracował

swój dług z nawiązką. Gdybym chciała go dalej wykorzystać, musiałabym naciskać, i to mocno, a to na pewno odbiłoby się na wynikach pracy. No i nie mogłabym mu więcej ufać. Pewnie, że szkoda, ale wszystko ma swoją cenę.

Wzięłam do ręki dostarczone papiery. Mogłam pójść po nie sama, ale... Zajęliby się mną w drodze do willi Ayrelów. Wieść o mojej rozmowie z Iaro Stautem na pewno dotarła już do zainteresowanych. Z jednej strony czekały mnie poważne problemy, z drugiej - jeśli mój przeciwnik aż tak szaleje, to znaczy, że idę słuszną drogą. Poza tym łatwiej poradzić sobie z kimś, kto silnie reaguje na każdy bodziec, niż z człowiekiem, który rzadko, za to precyzyjnie zadaje pojedyncze ciosy. Mówiąc prościej, im bardziej miotał się nieznanymi mi zabójcami, tym głębiej wchodził w niego mój haczyk. To nic, że ryba, na którą poluję, jest większa ode mnie i ma ogromne zęby, nie z takimi już sobie radziłam.

Na eleganckim pergaminie, odlegle znajomym charakterem pisma z nadmierną ilością zawijasów i innych elementów dekoracyjnych, spisano pokaźną listę zakłęb. Przeczytałam ją i doszłam do wniosku, że pomysł zakradnięcia się do domu Ayrelów od razu można odrzucić jako niewykonalny.

Znalazłam również listę jedenastu osób, które, przy obecnych ustawieniach, zakłębia uważały za „swoich” - nie widziały ich nawet zakłębia śledzące. Ciekawe... Nawet bardzo ciekawe. W każdym razie było nad czym pracować.



**R**iencharn krążył po pokoju niczym tygrys po klatce.

Miał ogromną ochotę coś zniszczyć, ale obawiał się, że lare Rinnelis może niewłaściwie odebrać takie podejście do swoich rzeczy. Od kilku godzin ktoś wytrwale próbował przełamać ochronę mieszkania śledczej, przy czym robił to niepokojąco umiejętnie. Zaklęcia lare Tyen przejęły cechy swojej pani: z oślim uporem opierały się próbom włamania i sądząc po dobiegających zza drzwi przekleństwach, od czasu do czasu aktywowały elementy atakujące.

„Na demony! Kiedy dijes Rinnelis wreszcie wróci?! - myślał kahe niespokojnie. - Nie mam nawet broni! Tael przyniósł tu moje miecze, ale zamknęła je w swoim pokoju, a tam trudniej się dostać niż do naszego rodzowego skarbcza - drzwi aż się skrzą od magii!”

Teleport otworzył się błyskawicznie. Jeszcze przed chwilą Riencharn był w pokoju sam (Tael kręcił się po kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, próbując w ten sposób odwrócić swoją uwagę od tego, co działo się za drzwiami wyjściowymi), a teraz ze zdumieniem patrzył na wstającą z fotela dijes śledczą. Rinnelis Tyen zacisnęła

usta i kahe zaniepokoił się. Co mogło aż tak rozżłościć dziewczynę - bo ten grymas można było odebrać jako złość, o ile Żmija w ogóle mogła czuć coś takiego?

„Ale z jakiej niby racji miałbym dbać o jej dobre samopoczucie?! - przywołał się do porządku. - Nie zabije mnie przecież, do licha! A może jednak...?”

Człowieczka błyskawicznie podeszła do drzwi prowadzących na korytarz. Jej plecy były nienaturalnie proste, a wąskie dłonie zaciśnięte w pięści. Sądząc z postawy, dijes Rinnelis miała niejakię pojęcie o walce, ale chyba nie planowała rozdawać kuksańców między typów, którzy ośmielili się włamywać do jej domu? Już raczej spali ich na miejscu.

- Co wy tu robicie, laroje? - do uszu Riencharna dobiegł chłodny, spokojny głos dijes Tyen. Tak spokojny, że kahe zapragnął uciec jak najdalej od tej strasznej kobiety.

Odpowiedź, której kahe nie dosłyszał, najwyraźniej nie spodobała się śledczej - chwilę później nieproszeni goście zaczęli wrzeszczeć i raczej nie były to okrzyki radości. Kroki powracającej do salonu Rinnelis Tyen brzmiały niespodziewanie ciężko. Dziewczyna popatrzyła na kahe spode łba, jak głodny zwierzołak w pierwszą noc pełni księżyca. Riencharn wytrzymał mężnie ten pojedynek spojrzeń, myśląc jednocześnie, że człowieczka przypomina mu strunę gitary, którą ktoś naciągnął do granic możliwości: wystarczy dotyk palca i pęknie z ogłuszającym brzękiem.

- Coś się stało, dijes? - odważył się spytać.

- Nic takiego, z czym nie mogłabym sobie poradzić, laro. - Śledcza wzruszyła ramionami, powoli dochodząc do siebie. Choć możliwe, że tylko udawała.

„Czyli jest źle - uznał Riencharn. - Jeśli ktoś silny uznajmia takim tonem, że wszystko w porządku, to, znaczy, że pora spisać testament”.

- Wydaje mi się, że powinna pani wypuścić mnie i Taela - zauważył. - Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

- Gdy komuś coś się wydaje, laro, to powinien odwiedzić uzdrowiciela i porozmawiać z nim o rozstroju nerwowym - powiedziała złośliwie dijes, przymykając oczy. - A spokojniej może być tylko w trumnie.

Po tym oznajmieniu człowieczka zamilkła na długo. Zastygła nieruchomo z opuszczonymi powiekami, zupełnie jakby zasnęła na stojąco. Kahe pomyślał, że mógłby teraz walnąć ją czymś ciężkim w skroń. Jeden cios i Rinnelis Tyen uspokoi się na wieki.

„No i co ja wtedy zrobię? - spytał sam siebie. - Riencharnie Aenie, pomyśl logicznie, co stanie się z tobą i Taelem, jeśli ją teraz zabijesz? Jesteś pewien, że zdołasz wy dostać się z ludzkiego królestwa? No właśnie...”

Kahe stłumił ciężkie westchnienie, wstał i poszedł do kuchni, gdzie ciągle jeszcze hałasował jego siostrzeniec. Tael nie odważył się wyjrzeć na korytarz, gdy dijes Rinnelis rozprawiała się z włamywaczami. Ciekawe, czy poradziłyby sobie z tymi typami, gdyby nie była u siebie w domu, gdzie demony wiedzą ile jest różnych artefaktów i amuletów?

- Cieszę się, że jest pan rozsądny, laro Riencharnie - usłyszał głos dziewczyny.

Zaklął w myślach. Wiedziała, że on się zastanawia, czy ją zabić, czy nie, i nawet nie drgnęła. Prowokowała go, próbowała zmusić do zrobienia jakiegoś głupstwa, a teraz z satysfakcją informuje go, że przeszedł przygotowaną przez nią próbę. „Suka!” To ostatnie słowo mimowolnie wypowiedział głośno. Dijes śledcza podziękowała za komplement, a w

jej głosie słysząc było ton rozbawienia. Riencharn nie zdołał wymyślić godnej odpowiedzi. Zresztą czy w ogóle warto było odpowiadać...?

Taellon w kuchni pochłonięty był jedzeniem kanapki i symulowaniem głuchoty.

- Daruj sobie to udawanie, i tak ci nie wychodzi - skrzywił się starszy kahe. - Ona również ciebie widzi na wylot, możesz się nie wysilać.

- A może ja trenuję? - nabzdyczył się chłopak, usiłując ukryć przed wujem swoją dziecięcą urazę. Riencharn Aen jako wujek był całkiem w porządku, ale jako opiekun potrafił doprowadzić do szału. Nie dbał o to, czy rani uczucia swojego ucznia, czy nie - mało tego, uderzał w najczulsze punkty, bezwzględnie wytykając słabości i niedoskonałości, nie przyjmując do wiadomości żadnych usprawiedliwień.

- Trenujesz nie tak, jak należy, i nie to, co trzeba - uciął chłodno Riencharn. - To nie jest czas ani miejsce, żeby bawić się w głupie gierki, Taelu. Cała sytuacja jest bardzo poważna i będę zdziwiony, jeśli wyjdziemy z tego cało.

- A czyja to wina?! Dałeś się zrobić, i to z powodu ludzkiej kobiety!

- Od początku chciałem zostawić cię w domu, ale ty rzycałeś jak jeleń na rykowisku, że chcesz zobaczyć królestwo ludzi! I nie waż się mówić do mnie takim tonem!

- Trzeba było mnie zmusić, żebym został! - krzyknął Tael, gotów rzucić się na wuja z pięściami. Powstrzymywała go tylko tłukąca się na krawędzi świadomości myśl, że Riencharn jest od niego silniejszy i że nic dobrego z tego nie wyniknie. - I dlaczego podnosisz na mnie głos z powodu jakiejś tam człowieczki?!

Starszy kahe zrozumiał, że jeszcze chwila, a pobije swojego siostrzeńca. Do krwi. Żeby smarkacz zrozumiał... Chociaż, co on tam może rozumieć, przecież to nie on ją kochał. Ale należało nauczyć go rozumu!

Wojownicze plany Riencharna spełzły na niczym - w kuchni pojawiła się oburzona dijes Tyen.

- Czy moglibyście się uspokoić, laroje? - zasyczała jak rozzłoszczona żmija. Teraz już nie było w niej ani śladu zmęczenia, jedynie lodowata wściekłość na obu kahe, którzy od razu poczuli wstyd za tę idiotyczną kłótnię. - I na przyszłość proszę, żebyście odłożyli tego rodzaju dyskusje do czasu, gdy opuścicie moje mieszkanie - dodała, świdrując wzrokiem to jednego, to drugiego.

„Na co ona sobie pozwala?!” - oburzył się w myślach Riencharn Aen, ale odrzekł pokornie, obiecując sobie, że w odpowiedniej chwili przypomni gadzinie również to poniżenie:

- Naturalnie, dijes Rinnelis, nie pozwolimy sobie więcej na taki brak opanowania. Prosimy o wybaczenie.

- Jutro otrzyma pan biały strój - oznajmiła sucho śledcza. - Pogrzeb pojutrze. Laro Ayrel zgodził się, by wziął pan w nim udział.

Kahe poczuł przyływ zadowolenia, ale natychmiast przypomniał sobie, że dijes Tyen nie robi niczego z dobroci serca - nie warto dziękować jej za to, że wykorzysta go do swoich celów jako narzędzie.

- Może się pan nie trudzić udawaniem wdzięczności, laro Riencharnie - zauważyła miękko dziewczyna, jakby czytając w myślach swojego jeńca. - Ani pan, ani ja nie potrzebujemy tej farsy.

- Ma pani rację, dijes - przyznał kahe z ledwie uchwytną ulgą.



Człowieczka nie zaszczyciła go odpowiedzią. Odwróciła się i zniknęła za drzwiami swojej sypialni. Mężczyzna mógłby przysiąc, że od razu zamknęła się na klucz.

- Zdaje się, że nie zamierza nas nakarmić - stwierdził ze smutkiem Taellon.

- Myślę, że jakoś sobie poradzimy - wzruszył ramionami Riencharn. - Mam nadzieję, że dijes Rinnelis nie zabije nas za to, że porządzimy się trochę w jej kuchni.

- Zabić nie zabije. Tylko zadreczy gadaniem...



Nie chciało mi się jeść. W ogóle nic mi się nie chciało, co najwyżej wyrzucić dwóch nieładzi za drzwi, jak szkodne koty. Powstrzymywała mnie tylko świadomość, że potrzebowałam ich aż do zakończenia śledztwa, oraz fakt, że zupełnie nie miałam na to sił. Bogowie, jaka jestem tym wszystkim zmęczona...

Zdroworozsądkowo uznałam, że jutro nie powinnam iść do pracy. Skoro dzisiaj próbowano mi delikatnie zasugerować, że moje postępowanie jest niesłuszne, jutro wezmą się do przekonywania znacznie energiczniej. I obawiałam się, że po mojej dzisiejszej akcji przeciwnik znajdzie znacznie silniejsze argumenty, które w pewnych okolicznościach mogą spowodować nawet zejście śmiertelne. Moje. Ten wariant absolutnie mi nie odpowiadał, musiałam mieć plan awaryjny. No i te uparte próby dostania się do mojego mieszkania... Jasne, że niełatwo przebić się przez magiczną ochronę, ale przy wykazaniu pewnego uporów... Chyba lepiej będzie stąd zniknąć, zanim się do nas dobiorą. Jednak w podwórku na pewno czają się już zabójcy, a zwykłe zakłęcie przemieszczenia można wysledzić. Chyba że... A może

jednak nie warto? Bogowie, zlitujcie się, chyba nie zwario-  
wałam na tyle, żeby z własnej woli pchać się smokowi w  
paszczę...? Ale z drugiej strony nie widzę innej możliwo-  
ści... Tam będę bezpieczna, w każdym razie na tyle, na ile w  
ogóle to możliwe w tej sytuacji. Tylko czy kahe się na to  
zgodzą? Zostawić ich tu nie można, a tam... ale innego wyj-  
ścia nie ma.

Czyli postanowione.

- Laroje, bądźcie tak dobrzy i zabierzcie swoje rzeczy  
z mojego pokoju! - zakomenderowałam, wychodząc ze  
swojego azyłu. Zmęczenie oddaliło się, zapewniając na  
odchodnym, że wkrótce powróci.

Nieludzie oczywiście nic nie zrozumieli i patrzyli na  
mnie w oczekiwaniu na dalszy ciąg, ale nie miałam zamiaru  
wtajemniczać ich w swoje plany. Kahe jeszcze przez chwilę  
wymieniali zaskoczone spojrzenia, a w końcu poszli zabrać  
z mojej sypialni swoją broń. Jak ci dwaj dorwą się do  
ostrych przedmiotów, być może zechcą mi pokazać, kto jest  
silniejszy... Możliwe, że popełniłam błąd.

- Co pani planuje, dijies? - laro Riencharn próbował  
wyciągnąć ze mnie jakiegokolwiek informacje, gładząc czule i  
niemal obwąchując swoje chaezry. Kahe zawsze mieli  
szczególny stosunek do swojej broni, a już do chaezrów,  
których nie otrzymuje się ot tak sobie, żywili cześć naboż-  
ną.

Laro Riencharn mimo wszystko nie rzucił się na mnie z  
obnażonymi mieczami. Albo był przekonany o mojej bez-  
sprzecznej przewadze (oto triumf kobiecego umysłu nad  
brutalną męską siłą!), albo uznał, że na razie mu się to nie  
opłaci. Taellon w ogóle nie uważał za konieczne mnie nie-  
nawidzić. Wolał bawić się kosztem swojego wuja, z za-  
chwytem obserwując, jak go gnębię, i ukradkiem złośliwie  
chichocząc. Osobiście uważałam, że to głupie i niskie, ale

nie miałam zamiaru zajmować się wychowaniem młodego kahe.

- Możemy odejść, dijes? - Laro Riencharn wiedział, że nie wypuściłabym ich ze swoich szponów ot tak.

- Oczywiście, że nie. Uważam jedynie, że nie należy tu zostawać, i dlatego przenoszę się w inne miejsce, a was, laroje, zabieram ze sobą.

- A jeśli się nie zgodzimy? - zapytał zgryźliwie starszy z Aenów, a jego dłonie zacisnęły się na rękojęściach chaezrów.

- Wówczas będę zmuszona nalegać. - Rozciągnęłam usta w firmowym uśmiechu.

No i co ty na to, nieludziu? Nadal myślisz, że jesteś silniejszy ode mnie tylko dlatego, że masz w ręku dwa kawałki żelaza? Nie radzę mnie nie doceniać...

Ten pojedynek spojrzeń wygrałam na całej linii. Cóż, miałam za sobą lata praktyki. Ponadto co innego, gdy oczy przeciwnika są zimne i ciemne jak jesienna rzeka, a co innego, gdy można w nich czytać jak w otwartej księdze. Laro Aen nie nauczył się jeszcze mnie czytać, dlatego ciągle nie był pewien stosunku naszych sił.

- Nadal nie chce się pan przychylić do prośby kobiety? - powiedziałam z nikłym zadowoleniem (laro Riencharn zrozumiał, jego krewniak nie), wpatrując się w swojego przeciwnika tak, by poczuł niemal fizyczny nacisk.

- Chyba już ustaliliśmy, że w tej sytuacji nie jest pani dla mnie kobietą, dijes - wybrnął kahe, choć widać było, że przyszło mu to z trudem. - Jest pani tai'ine, niekobietą, więc proszę nie próbować wykorzystywać przewagi, której pani nie posiada.

- Bez względu na to, czy jestem dla pana tai'ine, czy inie, idziecie ze mną - oznajmiłam chłodno, aktywując

zakłęcie posłuszeństwa. - Chce pan protestować przeciwko mojej decyzji, laro Riencharnie?

Kahe chciał coś powiedzieć, ale ku swojemu ogromnemu zdumieniu poczuł, że nie może.

- Nie należy mnie nie doceniać, laro. Z bronią czy bez, nie może pan nic poradzić na to, że jestem silniejsza - rzuciłam, zdając sobie sprawę, że kłamię w żywe oczy. Nie byłam silniejsza, po prostu myślałam szybciej i potrafiłam przewidywać cudze działania, co dawało mi pewną przewagę.

Przymusowe unieruchomienie było dla laro Aena niemiłą niespodzianką.

- Wuju...? - Laro Taellon wyraźnie nie zrozumiał, dlaczego jego krewny zastygł i milczy. Młodzieniec chciał poklepać starszego krewniaka po policzkach, ale natknął się na gniewne spojrzenie laro Riencharna i uznał, że chciałby jeszcze pożyć.

- Czyli przychylił się pan do prośby słabej, bezbronnej dziewczyny? - Uniosłam kpiąco brwi, pozwalając kahe odezwać się.

- Przepraszam, nie doceniłem pani - wysyczał. - Nie popełnię więcej tego błędu.

- Od razu poderżnie mi pan gardło? - zasugerowałam.

- Spróbuję! - wykrztusił ochryple.

- Wezmę to pod uwagę. - Wzruszyłam ramionami. - A teraz, laroje, weźcie swoje rzeczy i przejdźcie do przedpokoju! - zakomenderowałam, z przyjemnością rejestrując szybkość, z jaką wykonano mój rozkaz. Myślę, że w świadomości każdej kobiety zachowały się echa czasów, gdy mężczyźni byli nam posłuszni. Minęły stulecia, zmieniła się sytuacja polityczna, ale pragnienie władzy pozostało.

Przed opuszczeniem mieszkania starannie zebrałam swoje dokumenty i amulety i wzięłam na ręce Kerriego, który od razu przeniósł się na moje ramię. Resztę potrzebnych mi rzeczy otrzymam tam, dokąd się wybierałam. Niby mnie tam ciągnęło, a iść mi się nie chciało... zwłaszcza z dodatkiem w postaci dwóch żarłocznych nie ludzi, z których jeden po raz kolejny obiecał mnie zabić.

- Mam nadzieję, że jesteście gotowi, laroje? - upewniłam się na wszelki wypadek, choć wyglądało na to, że kahe zebrali wszystkie swoje bagaże.

- Tak, dijes - skinął głową Riencharn, obrzucając mnie morderczym spojrzeniem. - A dokąd się udajemy?

- Dowiecie się na miejscu - odparłam, przesuując ręką nad powierzchnią lustra w przedpokoju. Szklana tafla zmarszczyła się, przestała odbijać moją postać, za to w ramach pojawił się niewielki pokój z ogniem w kominku.

- Zapraszam, laroje. - Wskazałam lustro.

- Niezły portal - zauważył Riencharn, wysyłając przodem siostrzeńca. Chyba przez ostatnie dni laro Taellon poważnie dopiekł swojemu wujowi, skoro ten tak otwarcie ryzykował jego życie. Widząc, że młodzieniec szczęśliwie znalazł się po drugiej stronie zwierciadła, laro Riencharn śmiało zrobił krok do przodu. Ja przeszłam jako ostatnia, kilkoma gestami zamykając za sobą przejście.

- Rinnelis Tyen! - powiedział złośliwie ostry kobiecy głos, gdy tylko znalazłam się po drugiej stronie portalu. - Jednak zdecydowałaś się pokazać swoje jasne oblicze niegodnym śmiertelnikom!

- Przepraszam, mamó - powiedziałam cicho.



Gdy Riencharn Aen usłyszał z ust dijes Rinnelis błagalne „mamo”, poczuł się tak, jakby świat walił mu się na głowę. Oczywiście wiedział, że teoretycznie Żmija musiała mieć matkę, ale co innego przypuszczać, że gdzieś tam istnieje jakaś dija Tyen, która urodziła dijes śledczą, a co innego zobaczyć ową dija na własne oczy. Przy matce dijes Rinnelis od razu przestała być groźna.

- Ma, byłam zajęta, mam strasznie dużo pracy... - dziewczyna płatała się w usprawiedliwieniach. Kot błyskawicznie zeskoczył na podłogę, znikając nie wiadomo gdzie, jakby nie chciał być świadkiem rodzinnej kłótni.

- Zawsze tak mówisz! - odparła gniewnie kobieta, pojawiając się znienacka przed kahe i śledczą.

Trzeba przyznać, że dija Tyen robiła wrażenie. Postawna jasnowłosa kobieta wyglądała na osobę, która zdoła każdego powstrzymać i wszędzie wejść, a jak już wejdzie... Teraz jej ciężki wzrok spoczął na córce, a na jej twarzy odmalował się wyraz pod tytułem: „Czemu wracasz po północy, w dodatku w takim stanie?!”.  
Dijes Rinnelis tylko przymrużyła oczy, przygotowana na najgorsze.

- Przez trzy miesiące nawet nie zajrzałaś, a teraz wpadasz tu nagle, w dodatku z dwoma mężczyznami! Mam nadzieję, że przynajmniej jeden z nich jest twoim przyszłym mężem!!

- Nie, mam - pokręciła głową Żmija. - Chciałabym zostawić ich tu na kilka dni. Sama też chciałabym pomieszkać. Niedługo zaczną szturmować moje mieszkanie...

- Znów się w coś wpakowałaś? - spytała dija, spoglądając na córkę z niezadowoleniem.

- Ee... tak, mam - potwierdziła dijes śledcza, usiłując stopić się z tapetą w pokoju.

- A co z tymi tu?
- Z nimi sytuacja jest dużo bardziej skomplikowana.
- Przedstaw nas i idź się przebrać - poleciła władczo dija Tyen i popatrzyła wyczekująco na kahe.

- Mamo, to laro Riencharn Aen z Domu Erris i jego siostrzeniec Taellon Aen z Domu Erris. Laroje, pozwólcie, że przedstawię wam moją mamę, lara Tianę Tyen - powiedziała od razu Rinnelis i nawet próbowała wykonać coś na kształt reweransu. Kiepsko jej to wyszło.

- Doskonale. Ja zajmę się twoimi gośćmi, a ty idź się przebrać, szybko! Dobrze jeszcze, że nie zjawiłaś się tu w tych swoich fioletowych łachach! - wymruczała dija Tiana i zwróciła się do gości: - Podczas gdy ten dopust bogów będzie doprowadzać się do porządku, ja postaram się was nakarmić, laroje. Taki wstrząs jak kontakty służbowe z moją córką należy koniecznie zająć, a jeszcze lepiej - zapić.

- Ma pani absolutną rację - westchnął Riencharn, spoglądając na dija Tyen ze szczerą sympatią.

- Bardzo zszarpała wam nerwy? - spytała dobrodusznie dija Tiana po kilku minutach, stawiając przed gośćmi pełne talerze.

- To niewłaściwe słowo, dija - odparł kahe, czując, że już lubi tę kobietę. Za to, że tak doskonale rozumie, jaka to męka wpaść w ręce dijes Rinnelis Tyen.

- Ma pan dzieci, laro Riencharnie? - przystąpiła do ataku dija Tiana, kręcąc się wokół stołu.

- Nie, nie jestem żonaty - uśmiechnął się z goryczą mężczyzna. Zakłuło go w sercu, ale postanowił nie dopuszczać do siebie rozpaczy.

- Wobec tego nie zrozumie mnie pan. To takie straszne mieć dorosłą córkę... Czasem chciałabym ją schować pod spódnicę, żeby czegoś nie nawyprawiała, a tu już

nie można, już dorosła. Że też musiała zostać śledczą! A takie z niej było dobre dziecko! Żadnych problemów, zawsze lubiła czytać, nawet wiersze pisała, a potem wstąpiła do akademii i przystała do tych fioletowych potworów! Córka śledczy! Wrogowi nie życzę! - zwierzała się gościom dija Tyen, wzdychając od czasu do czasu. - Co to za praca, zupełnie nieodpowiednia dla dziewczyny!

- Ale podobno Rinnelis jest wspaniąłą śledczą... - Taellon spróbował nieśmiało stanąć w obronie dijes Tyen.

- To prawda, że nieźle sobie radzi... - prychnęła matka Żmii. - Tak już z nią jest: jak się za coś weźmie, robi to perfekcyjnie. Ale jako człowiek czasem mnie przeraża...

- Mnie również - przyznał Riencharn. „Tylko nie czasem, a stale” - dodał w myślach.

- I kto ją weźmie za męża? - spytała retorycznie gospodyni, taksując wzrokiem kahe. Starszy skrzywił się, gotów do odparcia ataku kobiety, która najwyraźniej miała nadzieję na pozbycie się zleżalego towaru.

- Mamo! Zostaw laroje w spokoju! - Dijes Rinnelis zjawiała się w samą porę. - Laro Riencharn jest w żałobie, a laro Taellon według kryteriów kahe jest jeszcze niepełnoletni. Przestań mnie swatać wszystkim jak leci! I tak nic z tego nie wyjdzie!

Na widok swojego osobistego demona Riencharn otworzył usta ze zdumienia, potem zacisnął powieki, potem się uszczypnął - jednak widmo dijes Tyen w jasnoniebieskiej zwiewnej sukience, z włosami zebranymi w koński ogon, nie zniknęło. Dla dijes śledczej pokazanie się obcym w stroju domowym było równie niezwykle jak dla kahe oglądanie jej w takiej kreacji. Człowieczka wyglądała na speszoną, ale mimo to bez wahania podeszła do stołu.



- Trzeba cię w końcu za kogoś wydać, skoro sama do tej pory się o to nie zatroszczyłaś - prychnęła dija Tiana. - A teraz opowiadaj!

- Ależ, mammo... - jęknęła błagalnie dijes śledcza. - Nie przy nich...

- Czyżby jeden z tych laroje był podejrzany? - spięła się lekko kobieta, zerkając podejrzliwie na kahe.

- Oczywiście, że nie, wówczas nie siedzieliby tutaj. Po prostu jednego z tych czcigodnych laroje, laro Riencharna, chcą wysłać na tamten świat nie mniej, a może nawet bardziej niż mnie.

- A cóż takiego zrobił laro Riencharn? - Kobieta uniosła brwi.

- Urodził się jako Aen - wzruszyła ramionami dijes śledcza. - Tylko tyle. Przy okazji, laro Riencharnie, jakie są pańskie stosunki z krewnymi?

- Słucham?! - zdumiał się kahe.

- Widzi pan, zabójstwo lare Sofii jest tak bezsensowne, że mimo woli przychodzi mi na myśl, że jej śmierć była nie celem, lecz środkiem.

- Zabójstwo z zazdrości? - zasugerowała dija Tyen.

- Mammo... Arystokraci nie działają w ten sposób. Poza tym należałoby raczej zabić konkurenta, a potem przejąć dziewczynę - oznajmiła mentorskim tonem dijes Tyen. - A na zabójstwo w afekcie to nie wygląda. Wszystko zostało skalkulowane na zimno...

- Wie pani już, kim jest zabójca?! - Podekscytowany Tael omal nie podskoczył na krześle.

- Jeszcze nie, laro Taellonie - pokręciła głową śledcza, wzdychając z niezadowoleniem. - Ale jestem blisko. Dlatego właśnie spytałam pańskiego wuja, czy któryś z krewnych mógłby pragnąć jego śmierci i aktywnie do niej dążyć.

- Co takiego?! - Riencharn zakrztusił się zupą i popatrzył na człowieczkę tak, jakby zobaczył mówiącą żabę.

- Laro Riencharnie, jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś zarzucał coś poprawności mojej wymowy... - powiedziała dijes Tyen. Spojrzenie dziewczyny było ciężkie i drwiące zarazem. Wydawałoby się to niemożliwe, jednak dijes Tyen była zdolna nie do takich rzeczy.

- To po prostu niemożliwe... - zaczął kahe, ale mu przerwano.

- To rzetelny fakt, czy może wyraz pańskiej wiary? - prychnęła śledcza, obrzucając Riencharna wzgardliwym spojrzeniem.

„Słusznie - osadził się w myślach. - W moim wieku pora zapomnieć o naiwności, która bardziej przystoi Taelowi. Zmiję interesują fakty, a nie przemyślenia. I to również jest prawidłowe”.

- Kahe nie mają zwyczaju angażować śmiertelników do rozwiązywania swoich problemów - rzekł Riencharn. - Oczywiście mogliby spróbować mnie zabić, ale raczej na własnym terenie i własnymi rękami. Zresztą w moim Domu nie mam teraz wrogów, a przynajmniej nie takich, którzy porwałiby się na coś takiego...

- To znaczy, że jest pan prawą ręką przywódcy Domu? - dijes Tyen nie tyle spytała, co upewniła się co do swoich podejrzeń.

- Hm... - kahe zawahał się z odpowiedzią. - W zasadzie ma pani rację, dijes Tyen.

- Risz, wystaw tych nie ludzi za drzwi! - zawołała oburzona dija Tyen. - Tylko nam tu wielkiej polityki brakowało! Zetrą cię na proszek, jeśli wpakujesz się w tę sprawę!

„Cóż, dija Tiana ma rację - pomyślał Riencharn. - Problem jednak w tym, że...”

- Za późno, mammo, już się wpakowałam. - Dziewczyna spuściła oczy, kuląc się pod posępnym wzrokiem swojej rodzicielki. - Mammo, przecież jestem śledczą, do demonów!

- Za mało cię biliśmy w dzieciństwie - skonstatowała jej matka. - Co ty wyprawiasz, głupia dziewczyno?! Co zrobisz, jak zaczną ci grozić, naciskać?!

Tael zaśmiał się nerwowo.

- Mammo!! - wrzasnęła dijes Rinnelis. - Pracuję w Straży nie pierwszy rok i próbowano mnie zabić kilkanaście razy! Zawsze sobie radziłam i teraz też sobie poradzę! Jestem najlepszym śledczym w tym przeklętym mieście i mam zamiar nim pozostać!!

Krzycząca Rinnelis Tyen to było niewiarygodne, feeryczne zjawisko. Doskonale opanowana, zimna dijes śledcza przemieniła się w dziewczynkę, którą dusiła matczyzna troska. Riencharnowi zachciało się płakać: oto okazało się, że w kozi róg zapędziło go ludzkie dziecko, które zapragnęło pobawić się w groźnego śledczego. A on nie tylko uwierzył w jej groźne miny, ale jeszcze śmiertelnie się przeraził! I co gorsza, nadal się bał...

- I po co w ogóle związałaś się z tą Strażą?! - zawołała dija Tiana.

- Mammo, jak zapewne pamiętasz, jestem pełnoletnia - powiedziała bardzo łagodnie dijes śledcza (obaj kahe skrzywili się, znali ten ton, którym dijes zwykle wygłaszała groźby). - Lubię swoją pracę, świetnie sobie w niej radzę i zarabiam wystarczająco dużo, żeby nie zależeć finansowo od ciebie i ojca. Dlatego bądź tak dobra i nie traktuj mnie jak dziecko, zwłaszcza przy obcych - wysyczała, patrząc na matkę z rozdrażnieniem.

Dija Tiana prychnęła, ale nie drażniła już córki.

„Na Przodków, nawet nie chcę sobie wyobrażać, co stanie się ze mną i Taelem, jeśli nasza kochana dijes Rinnelis postanowi odzyskać utracony szacunek...” - pomyślał Riencharn.

- To znaczy uważa pan, że pańscy południowi krewni nie mają z tym nic wspólnego? - sprecyzowała już całkiem spokojnie dziewczyna, patrząc na niego bacznie.

- Absolutnie! - zapewnił zdecydowanie kahe.

- A ilu ludzi, pańskim zdaniem, wie o przeznaczeniu kr'iisa?

- Pojęcia nie mam - skrzywił się. - Do czego pani zmierza, dijes?

Dziewczyna zaśmiała się cicho, na jej twarzy malowała się absolutna wyższość.

- Laro Riencharnie, o tym, że kahe za zdradę wycinają serce, wiedzą wszyscy, ale o tym, że robi się to nie pierwszą lepszą klingą, tylko właśnie kr'iisem, słyszało niewielu ludzi, a jeszcze mniej wie to na pewno.

- Proszę mi wybaczyć, dijes, ale nie mam pojęcia, w jakim stopniu ludzie interesują się tradycjami mojego narodu.

- Przepraszam za mój brak taktu, laro. Rzecz w tym, że rytualnego zabójstwa dokonano w sposób tak idealny, że jestem zmuszona założyć udział w morderstwie jakiegoś kahe. Moim zdaniem, a jak pan wie, rzadko się mylę, człowiek nie byłby w stanie dokonać rytualnego mordy kahe z tak jubilerską precyzją.

- Ale przecież pani jest człowiekiem, a jednak wie pani o tym... - zauważył niepewnie Riencharn, czując, że dijes śledcza po raz kolejny ma rację.

- Nic dziwnego, Risz wie o kahe wszystko, czego tylko można się dowiedzieć. Od dzieciństwa ma fioła na

punkcie waszego narodu, nawet mówi swobodnie w kaheily  
- wyjaśniła z uśmiezkiem dija Tiana.

„Co takiego?!”

- Mamo! - jęknęła dziewczyna, kryjąc twarz w dłoniach. - Kto cię prosił, żebyś się wtrącała?

„Ładne hobby jak na ludzkiego śledczego... To dlatego nie oburzała się, gdy grałem według zasad mojego narodu! Po prostu zna zwyczaję kahe równie dobrze jak ja...”

- Bardzo nam to schlebia, że okazuje pani tyle uwagi naszym tradycjom, dijes Rinnelis - uśmiechnął się złośliwie południowiec, zadowolony z choćby tak niewielkiej możliwości odegrania się na śledczej.

- To prawda, że interesowałam się waszymi zwyczajami, laro, ale było to dość dawno. Wiadomości, jakie wówczas zdobyłam, nie ulotniły się i uważam, że wykorzystanie ich teraz jest jak najbardziej celowe - odparowała człowieczka.

- *Ashta, tai'ine* - Riencharn uznał zasługi dijes Rinnelis.

- Nie potrzebuję pańskiej aprobaty, laro Riencharnie - odparła Tyen chłodno, przygryzając wargę. - Proszę mi powiedzieć, czy o tym, dokąd i po co się pan udaje, wiedział ktoś z pańskich krewnych?

- Tylko przywódca Domu, a on... Jest moim pradziadem i bardzo mnie ceni, prócz tego jestem potrzebny Domowi Erris...

Prawdopodobnie w pewnym momencie swojego życia dijes Rinnelis również cierpiała na słabość zwaną romantyzmem - to jedyny powód, dla którego przedstawiciel rasy ludzi mógł pasjonować się zwyczajami kahe. Dla śmiertelników Naród Słowa był jedną z pięknych legend, jeśli tylko oddziały południowców nie atakowały granic ludzkiego państwa. Oczywiście kahe nie byli pięknymi, subtelnymi

elfami, wyglądającymi, jakby wkroczyli do tego marnego świata prosto z cudownej pieśni. Południowcy sami tworzyli pieśni - wspanialsze niż przepojone smutkiem melodie Pierworodzonych. Ludzie mówili, że pieśni kahe mogą zaczarować każdego. Było w tym trochę racji, łatwiej zahipnotyzować kogoś, wykorzystując właśnie magię werbalną, a jeśli jeszcze wzbudzi się odpowiednie emocje...

- Czyli uważa pani, że do zabójstwa Sofii przyłożyli rękę inni kahe? - podsumował niechętnie Riencharn.

- Niestety, laro, takie wnioski nasuwają się same - odpowiedziała obojętnie dijes śledcza, wracając do obiadu i przerywając rozmowę. Dijos Rinnelis wycofała się z godnością, co jednak nie zmieniało faktu, że tym razem to ona przegrała. Oczywiście, gdyby nie ingerencja dija Tiany, dijes śledcza znów wdeptałaby Riencharna w ziemię - ta świadomość zatruwała jego triumf.



Moja niewiarygodna mama jak zawsze musiała się wtrącić. Niby nic, ale teraz w oczach kahe lśniła czysta złośliwość, a ja utraciłam przewagę... Wiedziałam, że tak się stanie, byłam na to przygotowana, a mimo to trafiał mnie szlag. Za to teraz moja ma nie wykręci się od opieki nad tymi dwoma. W końcu niemalże rozwaliła mi śledztwo.

Laro Riencharn mrużył oczy jak najedzony kot, zerkając pobłaźliwie to na mnie, to na swojego siostrzeńca. Rozmawiał głównie z moją matką (ja uparcie milczałam), ignorując próby Taellona wtrącenia się do rozmowy. Pewnie w ten sposób odpłacał chłopakowi za wcześniejsze kpiny.

- Mamo - zwróciłam się do mojej niezrównanej rodzicielki, gdy rozmówcy umilkli na chwilę - nie ma nas tutaj i nigdy nie było. Nie znasz żadnych Aenów, nie znałaś i nie poznasz.

Powiedziałam to tylko na wszelki wypadek, mama i tak wiedziała, że cała sprawa jest bardzo poważna. Umiała zachować tajemnicę, choć z sadystyczną przyjemnością zdradzała obcym moje słabostki, jak na przykład teraz tym nieszczęsnym kahe. Co to za pomysł, żeby im o wszystkim opowiadać...

I jeszcze samo śledztwo... Okazuje się, że lare Sofia była tylko środkiem, a nie celem, choć osobiście bardzo chciałam, żeby było inaczej. Gdy już starannie usunęłam nieludzia ze schematu przestępstwa jako niepasujący element, okazało się, że to właśnie on był rdzeniem wydarzeń - ni mniej, ni więcej. Nie znosiłam polityki, ale zdaje się, że to, w co się właśnie wplątałam, to była wielopoziomowa intryga. Nigdy przedtem nie miałam do czynienia z czymś takim, ale w akademii wykładano nam politologię i przedmiot o niewymawialnej nazwie, który wszyscy nazywali „teorią intrygi”. Egzaminy zdałam celująco, dlatego miałam niejakie pojęcie o tym obrzydlistwie. W zasadzie należało do razu założyć, że celem jest właśnie laro Riencharm, ale przecież nikt prócz lare Ayrel i jej służącej nie wiedział, że nieludź przyjdzie do ogrodu tej nocy... To znaczy, że jednak ktoś jeszcze musiał wiedzieć o przybyciu do naszego kraju szlachetnie urodzonego kahe i odpowiednio się na to przygotował, a do przecieku doszło właśnie tu, w Illenie. Z jakiegoś powodu komuś zależało na tym, żeby kahe został oskarżony, a potem skazany. Nie zwyczajnie zamordowany, ale właśnie stracony. Niby skutek ten sam: Riencharm Aen zostanie nieboszczykiem, ale będzie znacząca różnica...

Gdyby niełudz zginął w jakimś ciemnym zaułku, to fakt jego śmierci nie zostałby rozgłoszony, a gdyby nawet ktoś się o tym dowiedział, nikt nie umiałby wskazać mordercy. Oprócz tego, skoro kahe przybył do Erolu potajemnie, nasz kraj nie poniósłby żadnej odpowiedzialności za jego śmierć. Ale gdyby laro Aen został powieszony za morderstwo... O, wówczas jego śmierć odbiłaby się szerokim echem. W każdym razie wszystko na to wskazywało.

To znaczyło, że nieznanemu organizatorowi tego przedsięwzięcia chciał podnieść wokół potencjalnej śmierci Riencharna jak najwięcej szumu... żeby... żeby dotarło to do Domu Erris?

Przekleństwo dziewięciu demonów! Chyba zaczynam czuć swąd przypalanej zmijowej skóry...

Zatopiona w rozmyślaniach nawet nie zauważyłam, że na mojej twarzy pojawił się ten drapieżnie obojętny wyraz, którego tak nie lubili moi rodzice i tak obawiali się współpracownicy. Mama i kahe zamilkli czujnie, wymieniając znaczące spojrzenia i zerkając na mnie z niepokojem.

- No i co, wymyśliłaś coś, Risz? - spytała moja ma.

- Chyba tak... - Wzruszyłam ramionami, usiłując ukryć mieszankę satysfakcji i niepokojem. - Ale jeszcze do końca tego nie rozgryzłam. Idę popracować, przypilnuj ich, proszę...

- Idź - zezwoliła niechętnie. - Nigdzie ci nie zginą.

Obaj kahe skrzywili się ironicznie. Po prostu nie znali mojej niezrównanej mamy. Od niej nie da się tak łatwo uciec, wiedziałam to z własnego doświadczenia. Ponadto dorównywała niełudziom siłą, a może nawet ich przewyższała. To właśnie ona uczyła mnie magii bojowej - pod tym względem akademia dała mi niewiele. Tam robiono ze mnie



śledczego, nie kładąc szczególnego nacisku ani na szermierkę (nigdy tego nie lubiłam i do dziś nie umiem wymachiwać żelastwem), ani na magię obronną. Uczono nas myśleć, gromadzić i analizować fakty, zauważać najdrobniejsze punkty zaczepienia, których zwykły człowiek by nie dostrzegł. Bardzo słusznie, przecież śledczy nie ma obowiązku sam zatrzymywać podejrzanych ani w ogóle używać siły - jego praca polega na myśleniu. Ale to byłby wariant idealny, w rzeczywistości śledczy musi umieć wszystko i do tego nie dać się zabić.

Odruchowo zebrałam naczynia, pocałowałam mamę z policzek i poszłam na piętro, gdzie był mój stary pokój, którego rodzice do tej pory nie przerobili. Nie mieszkam z nimi, ale mój pokój pozostał moim pokojem i są w nim tylko moje rzeczy. Na półkach stoją świece, które planowałam zapalić, żeby uczcić jakieś wielkie wydarzenie, jednak w moim życiu uparcie nie chciało się wydarzyć nic wielkiego i świece pozostały nietknięte. Gdzieś w głębi szafy za domowymi sukienkami kryła się gitara, której nie brałam do ręki demony wiedzą jak długo. Zresztą może to i dobrze, bo grałam raczej przeciętnie. Pewnie już się zupełnie rozstroiła... Trzeba będzie naciągnąć struny, nienastrojony instrument to coś okropnego. Swoją drogą, to właśnie z powodu zainteresowania zwyczajami kahe zaczęłam znać się nad gitarą, jednocześnie zgłębiając podstawy magii werbalnej i możliwości obrony przed nią.

Magia słowa jest dość nieprzyjemna i skomplikowana, ponieważ dotyka i maga, i człowieka, na którego skierowane są zaklęcia. Studiując magię południowców, zrozumiałam wiele rzeczy. Po pierwsze to, że język jest nieważny, w ludzkim efekt będzie równie dobry co w kaheily; po drugie, najważniejsze to czuć, co mówisz, do ostatniego słowa,

do najmniejszej zmiany intonacji; po trzecie, należy wierzyć w to, co się robi, bo właśnie autosugestia zmusza moc do podporządkowania się twojej woli. Pamiętam, jak załatwiałam kiedyś groźnego maga kahe (niech będą przekłete wyjazdy służbowe na południowe granice!), wmawiając mu, że wierszyki, które z takim patosem deklamuje, wywołują u mnie wyłącznie ziewanie. W rzeczywistości prawie wywracało mnie na drugą stronę, ale gdy nieludź zaczął wątpić w siebie, cały negatywny efekt jego czarów spełził na niczym. Wówczas ja zadeklamowałam mu co nieco ze swojej wczesnej twórczości...

Miałam jeszcze kilka atutów w fioletowym rękawie służbowej szaty, niech sobie laro Riencharn nie myśli...

Dobrze, spróbujmy się zastanowić, co my tu mamy, z braku faktów wykorzystując również domysły... Otóż mamy wspaniałą akcję wrobienia znanego nieludzia za pomocą morderstwa córki księcia Ayrela. Lare Sofię usuwamy z równania... chociaż nie, na razie umieszczamy ją poza nawiasem. Komuś zależało, żeby kahe zszedł z tego świata, i to za sprawą wyroku sądu królewskiego, czyli tak, żeby o tym przykrym wydarzeniu dowiedzieli się wszyscy, włączając Dom Erris w pełnym składzie. Co spowodowałyby śmierć laro Riencharna? Rzecz jasna, potężny skandal polityczny, po którym zdjęci słusznym gniewem kahe zaatakowałyby nasze nieszczęsne państwo. Południowcy nie znoszą, gdy ktoś zabija ich pobratymców, uważając, że kahe mogą zabijać tylko kahe, a wszyscy inni próbujący podnieść rękę na południowych nieludzi stają się wrogami całej ich rasy. Laro Riencharn miał rację, było mało prawdopodobne, żeby jakiś kahe zdecydował się na współpracę z ludźmi. Ale jedynie oficjalnie, co znaczyło, że żaden z przywódców Domów nie sankcjonował takich posunięć, ale przecież nie

wszyscy kahe należą do Domów, no i w ogóle, różnie to w życiu bywa...

Wróćmy do naszych trupów. Co otrzymujemy w razie napaści wszystkich południowców? Tak jest, panikę, nabór rekrutów, przerzucenie większości sił na granice... Czyli ktoś chce usunąć główne siły z centrum kraju. Po co? Po co ktoś miałby narażać państwo na inwazję urodzonych wojowników, skoro nie wiadomo, czy potem, gdy już cel zostanie osiągnięty, zdoła ich odeprzeć? Albo posunęłam się za daleko w swoich spekulacjach, albo mimo wszystko część Domów postanowiła pogwałcić własne tradycje. Przecież jeśli Erol pozostanie zaatakowany przez wszystkie Domy, nie zostanie po nim nawet wspomnienie! Do tej pory ratował nas fakt, że Nieludzie nie mają jednolitego państwa, że wolą żyć oddzielnie, skupieni w Domach, stale rywalizujących ze sobą o władzę. Przy takiej niestabilności politycznej nie ma się głowy do atakowania sąsiadów, bo wtedy łatwo utracić własne terytorium.

Załóżmy, że mój przeciwnik zaproponował coś niewiarygodnie kuszącego kilku Domom, coś, co zmusiłoby je do zlekceważenia tradycji i solidarności. Musiałoby to być co najmniej pięć Domów, a jeszcze lepiej - siedem. Dom Erris pozostawał oczywiście poza dyskusją, ale kto był jego głównym wrogiem w walce o przywództwo? No, wysił mózg, lare śledcza, chyba twoje wiadomości z politologii jeszcze nie zapełniały...? Dom Torres! Z tego, co pamiętałam, miał siedem pomniejszych Domów wasalnych. Dom wasalny zależy od Domu suwerena politycznie i gospodarczo, a to znaczy, że nie może wystąpić przeciwko niemu. Czyli można by założyć, że część Domów otwarcie przejdzie na stronę ludzi albo po prostu zachowa neutralność, a to znacznie osłabi kahe. Trzydzieści dwa Domy to nie

trzydzieści dziewięć, poza tym gdy kilka odmówi walki, może to podziałać demoralizująco na resztę nieludzi. W efekcie my poniesiemy ogromne straty, ale zwyciężymy, zaś Dom Erris będzie musiał zapomnieć o swojej przywódczej roli. Wówczas na szczycie znajdzie się Dom Torres. Rzecz jasna, były to tylko moje teorie, ale wydawały się całkiem prawdopodobne.

No dobrze, wiadomo, co z tego będą mieli ci kahe, którzy zdecydują się poprzeć ludzi w tej awanturze, ale jaki człowiek wymyślił tę intrygę i co spodziewa się zdobyć? Czyżby to dzieło króla? Nie, na pewno nie. On wolałby żywego zakładnika, czyli próbowałby porwać laro Riencharna, a nie rzucać go na pastwę śledczym. Każda ingerencja w naszą pracę mogłaby od razu spowodować niewielką wojnę domową.

Po tym jak dziad obecnego monarchy uznał, że ponad nim są tylko bogowie, i zaczął usuwać niewygodne postaci ze sceny politycznej, ludzie zaczęli się denerwować. W końcu zaatakowali pałac i omal nie usunęli króla. Ten rozsądnie uznał, że do demonów z władzą absolutną, i wykupił się ograniczeniem swojej monarszej samowoli. Wtedy właśnie śledczy i sąd otrzymali pełną autonomię. Ojciec panującego obecnie króla próbował rozszerzyć sobie przywileje, ale naród zrobił się bardzo nerwowy i przy pierwszej wzmiance o restauracji monarchii absolutnej, odzyskaniu prawa karania i ułaskawiania poddanych bez śledztwa i sądu wybuchło nowe powstanie, które swoim rozmachem niemal przewyższyło pierwsze. Obecny władca, Jego Wysokość Henryk, postanowił uczyć się na błędach przodków i nie eksperymentować niepotrzebnie. Mądre posunięcie.

Jednym słowem, nasz król wolałby porwać laro Aena bez zbędnego hałasu, nie wciągając w to Straży. Zresztą

po co miałyby osłabiać własny kraj? A przecież po przemarszu kahe przez nasze ziemie ludność zostanie zredukowana co najmniej o jedną dziesiątą, a jaka część kraju zmieni się w wypalone pustkowie, to nawet wołałam nie myśleć. Nie, król potrzebował pokoju z południowcami. Może to i pokój obłudny i kruchy, kiedy to przy każdej okazji plujesz ukradkiem sąsiadowi do jego kielicha z winem, ale zawsze jakiś pokój.

A gdyby założyć, że istnieje jeszcze jeden pretendent do korony, wystarczająco inteligentny, żeby skonstruować tę globalną intrygę, wystarczająco nikczemny, żeby dokonać dowolnej zbrodni w imię realizacji swoich planów, i dostatecznie wpływowy, aby zrealizować swoje zamysły? Na liście przyniesionej przez Entrela nie brakowało takich osobistości... Było ich co najmniej czterech. Czyli krąg podejrzanych się zawężał. Należałoby zapytać Polettę, czy przypadkiem jej zmarła pani nie wtajemniczyła w swoje plany kogoś jeszcze. A może sama Poletta przypadkiem się wygadała? Przecież zabójca musiał skądś wiedzieć o przybyciu Aenów?

Poczułam, jak budzi się we mnie łowiecki zapach. Nie znosiłam polityki, nie miałam zamiaru się do niej wtrącać, jednak problem polegał na tym, że to moje śledztwo i nie zrezygnuję z niego, nikt prócz mnie nie doprowadzi go do końca. To znaczy, że musiałam działać dalej. Dla zasady. Z uporą.



**Z**daje się, że dijes Rinnelis nie ma zamiaru jeść kolacji?

- zauważył Riencharn, gdy na kolejną propozycję zejścia na dół śledcza odpowiedziała niewyraźnie, ale na pewno negatywnie.

- A, nic jej nie będzie - machnęła ręką dija Tiana. - Z Risz tak zawsze. Jak się czymś zajmie, to jej za uszy nie oderwiesz. Cóż począć, tak została wychowana. - Wzruszyła ramionami.

O swojej córce dija Tiana mówiła z dziwną mieszaniną dumy i goryczy, rzadko spotykaną u rodziców. Zwykle ludzie albo są dumni ze swoich dzieci, albo nie...

- Kocha pani swoją córkę, dija? - zapytał kahe niespodziewanie dla samego siebie, nie rozumiejąc, po co właściwie to robi.

- Oczywiście - uśmiechnęła się kobieta. - To przecież moje dziecko, jak mogłabym jej nie kochać?

- No... - zawahał się Riencharn, zerkając kątem oka na siostrzeńca. - U nas mówi się, że aby twoi krewni mogli być z ciebie dumni, powinienes przynosić pożytek swojemu Domowi.

- A jeśli nie wychodzi, to co, takiego dziecka nie kochają? - zdumiała się dija Tyen.

„To nie do końca tak - pomyślał kahe. - Ale coś w tym rodzaju...”

Taellon był tego najlepszym przykładem. Chłopak nie miał żadnych szczególnych uzdolnień, nie był ani wyjątkowym wojownikiem, ani silnym magiem, nic nie wyróżniało go spośród innych kahe. Był absolutnie przeciętny pod względem intelektualnym i fizycznym, nie był dumą Domu i dlatego oddano go na naukę Riencharnowi.

- Risz jest trudna, ma okropny charakter, niewyparzony język i gwizdże na wszystko, co nie dotyczy jej pracy, ale to moja córka - ciągnęła dija. - W dodatku przecież to ja ją tak wychowałam, więc głupio byłoby skarżyć się na efekty własnej pracy.

- Mmm... Dijes Rinnelis jest dość... oryginalna... - wykrztusił Riencharn, nie chcąc wyjść na grubianina. Rozmowa z matką na temat jej dziecka to niebezpieczne zajęcie, nigdy nie wiesz, kiedy polecą w ciebie ciężkie przedmioty.

- Mówienie rzeczy neutralnych zamiast obelg to pewnie skutek dobrego wychowania? - spytała matka dijes śledczej.

„No, teraz już wiem, po kim Żmija odziedziczyła złośliwość” - pomyślał Riencharn.

Rozmowa o dijes śledczej nie sprawiała kahe przyjemności, ale z drugiej strony potrzebował jak najwięcej informacji na jej temat, a dija Tyen z przyjemnością mówiła o córce. Widocznie potrzebowała takiej rozmowy, a Riencharn zjawił się jak na zawołanie. Kahe polubił matkę dijes Rinnelis - przypominała mu dija Ejsanę, jego babkę, również bardzo prostolinijną i natrętnie troszczącą się o swoich bliskich.

Taela włączono do rozmowy, choć jak zauważył Riencharn, dija Tyen traktowała go jak najmłodszego w towarzystwie. Początkowo rozbawiło to Riencharna - jego siostrzeniec był przecież kilkakrotnie starszy od gospodyni - ale potem uznał, że dija ma rację. Dijes Tyen bez większego wysiłku owinęła sobie Taellona wokół palca, a kahe nie miał najmniejszych wątpliwości, że matka pod wieloma względami przewyższa córkę.

- Niech się pan nie gniewa na Risz, laro Riencharnie. To dobra dziewczyna, tylko bardzo zasadnicza, a to do niczego dobrego nie prowadzi... To prawda, że ma ciężki charakter, ale nie jest zła... I nic panu nie zrobi, skoro jest pan niewinny.

- A może i zrobię... - odezwała się dijes śledcza, która właśnie się zjawiała. Nie wyglądała dobrze: miała zamglony wzrok, głos lunatyczki i przejawiała ogólne podobieństwo do świeżo ekshumowanego zombie. - Mamo, zaparz mi kawy, dobrze? - poprosiła cicho, opadając ciężko na krzesło.

- Kawy? Przecież nie lubisz.

- Ogólnie lubię, nie cierpię tylko tego, co ty parzysz - przyznała dijes Rinnelis. - Ale chciałam popracować w nocy, a już prawie zasypiam.

- Czekaj, czekaj, doigrasz się! - burknęła kłótliwie dija Tyen.

- Mhm... - dziewczyna nie spierała się.

- Wymyśliłaś coś? - zapytała kobieta, stawiając zaparzac na magicznym ogniu.

- Tak. Mamy jeszcze te dokumenty z genealogią rodzin szlacheckich?

- A niby co się z nimi miało stać...? Tylko ty z nich korzystasz. Są na piętrze. No i kto zamordował tę niewinną dziewczynę?



- Mamo, ona nie była niewinną dziewczyną - wyjaśniła Rinnelis Tyen, uśmiechając się parszywie i zerkając na Riencharna tak, że ten zaczerwienił się jak chłopiec.

- A co to za różnica? - skrzywiła się dija Tiana. - Wiesz już, kto to zrobił?

- Mam podejrzanych - oznajmiła Rinnelis z triumfalnym uśmiechem. - Na razie siedmiu, ale jeszcze pogrzebię w dokumentach. Liczę na to, że uda mi się potwierdzić moje podejrzenia.

- Podzieli się pani swoimi przemyśleniami, dijes? - spytał Riencharn.

- A niby z jakiej racji? - śledcza od razu się najeżyła.

- Chociażby z takiej, że Sofia była moją ukochaną... - powiedział kahe, patrząc wyczekująco na człowieczkę.

- Pozwolę sobie zauważyć, że szczegóły pańskiego życia osobistego nie dotyczą mnie w najmniejszym stopniu - odparła dziewczyna ze złośliwym uśmiechem.

Riencharn poczuł, że w tym wszystkim coś jest nie w porządku, nie wiedział tylko, na czym polega ta nieprawidłowość. A gdy już zrozumiał, omal nie spadł z krzesła.

Dijes śledcza go nie znosiła. Już wcześniej podejrzewał, że jej uczucia dalekie są od pozytywnych, ale co innego podejrzewać, a co innego wiedzieć na pewno. Do tej pory nie miał pojęcia, co dzieje się w głowie człowieczki - teraz rozumiał.

Na twarzy dijes Tyen malowała się taka wrogość, że Riencharn nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Lodowata maska, z którą człowieczka nie rozstawała się do tej pory, zniknęła. Nie był jeszcze pewien, czy cieszy się, że poznał wreszcie prawdziwy stosunek Rinnelis Tyen do siebie, czy też nie.

- Risz, nie atakuj tak biednego laro Riencharna - wstawiła się za kahe dija Tiana. - I tak mu niełatwo, jest w żałobie, w obcym kraju, a ty jeszcze...

- Co ja? - spytała dijes śledcza łagodnym głosem, w którym pobrzmiwała delikatna groźba. Podobnym sykiem żmija ostrzega, że gapowaty dwunożny ośmielił się postawić stopę obok jej bezcennego ogona.

- Na mnie ten ton nie działa, lare śledcza! - prychnęła kobieta, osadzając córkę. - Zachowaj go dla swoich przestępców. A dla laroje mogłabyś być miłsza, w końcu to nie podejrzani, tylko świadkowie, prawda? Przestań udawać drapieżnika!

Zdaniem Riencharna, dijes nie musiała niczego udawać, i tak była doskonałym potworem.

- Mamo, ja ci nie tłumaczę, jak powinnaś uczyć dzieci zaklęć, więc proszę cię, daruj sobie rady w kwestii prowadzenia dochodzenia. I tak nie jest mi łatwo - sparowała dziewczyna.

- To jeszcze nie powód, żeby dręczyć innych - odbiła cios matka.

- Czyli co, kahe, których widzisz po raz pierwszy w życiu, są ci drożsi od rodzonej córki?! - obraziła się człowieczka, patrząc na kahe z taką wrogością, że Riencharn zapragnął schować się pod stół. Gdy obok jego głowy przeleciał talerz, uznał, że być może należało sobie pozwolić na tę wstydliwą słabość. Żywiolowe przebłytki magii zawsze wróżą nieprzyjemności.

Dijes Rinnelis skrzywiła się niezadowolona i popatrzyła oskarżycielsko na resztki talerza.

- Jesteś zmęczona i nie kontrolujesz własnej siły - westchnęła dija Tiana. - Wyśpij się jak człowiek, bo przebywanie w twoim towarzystwie stanie się niebezpieczne.

Skoro już latają talerze, to niedaleko do samozapłonu przedmiotów.

- Masz rację, mamó - przyznała człowieczka z niespodziewaną pokorą. - Chyba faktycznie powinnam się wreszcie wyspać. Dobrej nocy, mamó, laroje... - Rinnelis pożegnała się ze wszystkimi obecnymi.

- Dobrej nocy, Risz.

- Nie życzę pani miłych snów, dijes Rinnelis - rzucił Riencharn za odchodzącą dziewczyną. Nie było to w najlepszym tonie, ale poprawiło mu humor.

- Nie życzy mi pan wiecznego odpoczywania, a to już coś - odparła śledcza zjadliwie, nie zaszczycając mężczyzny spojrzeniem.

Pięć minut upłynęło w napiętym milczeniu, które w końcu przerwała matka dijes Tyen.

- Rozumiem, laro Riencharnie, że planuje pan zabić moją córkę? - zapytała tak rzeczowym tonem, jakby pytała o to, jaki mamy dziś dzień.

- W zasadzie tak - wyznał.

- W każdym razie poprzysiągł lare, że zabije ją od razu, jak tylko rozprawi się z mordercą lare Sofii - naskarżył na wuja Taellon, zerkając na dija Tianę.

Kobieta przez dłuższą chwilę patrzyła to na Taela, to na starszego kahe, a potem roześmiała się. Takiej reakcji się nie spodziewali.

- Mogę pana zapewnić, że jeszcze nie raz pożałuje pan swojej obietnicy, laro Riencharnie - zauważyła ironicznie dija. - W przeciwnym razie nie znam mojej córki.

- Przeraza mnie pani - westchnął kahe, zastanawiając się, co takiego mogłaby mu zrobić dijes Rinnelis, skoro nie jest już podejrzanym, a Żmija nie wysyła na szubienicę niewinnych.

- Risz ma bogatą wyobraźnię - powiedziała znacząco dija Tyen, zerkając na schody, po których niedawno weszła na górę jej córka. - Poza tym to psychiczna sadystka, lubi siłą swojego intelektu mieszać innych z błotem. I strasznie się mści, gdy ktoś ośmieli się być mądrzejszy od niej.

- Miałem już nieszczęście doświadczyć tych cech pani córki na sobie... - wyznał kahe.

- Współczuję.

- Mogło być gorzej. - Wzruszył ramionami. - Gdyby na miejscu dijes był inny śledczy, już dawno bym wisiał. W pewnym sensie dijes Rinnelis jest moim dobroczyńcą.

- I mimo to chce ją pan zabić? - zdumiała się lekko dija.

- Tak! - wypalił kahe, który nagle poczuł się jak kompletny idiota. - W końcu nie zrobiła tego ze współczucia dla mnie!

- To wszystko jest bardzo skomplikowane, lare - wtrącił się Tael, patrząc w bok. - Myślę, że wujek i lare Rinnelis faktycznie się nienawidzą... Ale wuj mimo wszystko ceni pani córkę i to, co dla niego zrobiła.

Siostrzeniec miał absolutną rację. Riencharn rzeczywiście wysoko cenił dijes śledczą - niedoceniecie wroga bywa bardzo niebezpieczne. Za to wszystko, co człowieczka zrobiła dla niego, mógł jej zapewnić lekką śmierć - ale zginąć musi, bo nie jest godna życia. Niegdyś Riencharn należał do oddziału niszczącego nieumarłych, którzy ośmielili się zjawić na ziemiach południowców. Te stwory miały czelność udawać żywych! To było obrzydliwe. Dijos Rinnelis była dokładnie taka sama - ona nie żyła, ona tylko udawała, że żyje.



Byłam zmęczona, potwornie zmęczona... Nie powinnam pozwalać sobie na takie rozluźnienie w obecności nie ludzi, może się to skończyć tym, że obudzę się na tamtym świecie. A nie przypuszczam, by czekało mnie tam coś przyjemnego. Ostatecznie nie wyróżniałam się pobożnością.

W domu mogłam sobie pozwolić na luksus uwolnienia się od fioletowej szaty, mogłam naprawdę odpocząć. Mamie nie ludzie i tak nic nie zrobią, choćby dlatego, że ją polubili. Ani laro Riencharn, ani Taellon nawet nie próbowali ukrywać, że moja matka przypadła im do gustu. A ma... Wprawdzie nie aprobeje mojej pracy, mojego zachowania i stosunku do życia, ale przypilnuje tę niebezpieczną parkę i nie pozwoli starszemu nie ludzowi na zamordowanie jedynej córki - nawet jeśli po cichu przyznaje, że jej córka istotnie jest żmija.

A kawa mamy rzeczywiście była straszna... Ja zwykle parzę z cynamonem i dodaję śmietankę, a ten gorzki jak piołun napitek nadawał się tylko do odpędzenia nadciągającej senności. Będę mogła spokojnie zająć się studiowaniem genealogii arystokracji Erolu.

Lista, na której umieściłam siedem rodzin, leżała w moim pokoju, ale nawet obudzona w środku nocy mogłabym wymienić z pamięci wszystkie umieszczone na niej osoby w porządku alfabetycznym; bez trudu odnajdę w bibliotece odpowiednie tomy. Trochę poszperam, potem kilka godzin snu, a potem, zalana kawą po same uszy (nic innego nie pomoże mi utrzymać pozycji pionowej), pójdę do pracy udawać żywego trupa. Kusząca perspektywa... Przez chwilę zrobiło mi się żal tych moich kolegów, którzy jutro będą mieli „szczęście” mnie oglądać.

Nasza domowa biblioteka była kiedyś niewielkim pokojem - dopóki nie zaczęłam pasjonować się czytaniem i nie nauczyłam się rozsuwać przestrzeni. Od tamtej chwili mniej więcej co trzy miesiące rodzice byli zmuszeni kupować nowy regał, a biblioteka powiększała się o dwa - trzy metry kwadratowe. Co zrobić, byłam mołem książkowym, więc wydatki na literaturę pochłaniały sporą część domowego budżetu. Początkowo rodzice byli zadowoleni, potem spanikowali, ale wtedy było już za późno, od książek nie dało się mnie oderwać żadnym ludzkim sposobem. Czasem mama żaliła się, że to właśnie książki mnie zepsuły.

Książki z genealogią wielmożów można było dostać niemal w każdej księgarni - ich splątanych stosunków rodzinnych uczniowie uczyli się na lekcjach historii. A jeśli chodzi o krewnych króla, to, zdaniem naszych nauczycieli, powinien znać je każdy szanujący się poddany królestwa Erol. Innymi słowy, sprawdzenie, kto mógłby pretendować do wygodnego fotela z czerwonym aksamitnym obiciem, nie było trudne. Jednak sama możliwość nie była jeszcze dowodem przestępczych zamiarów, a bez poważnych dowodów do ludzi z taką genealogią lepiej nie podchodzić na odległość lotu strzały.

Victor Teynnor, książę Arris; Artur Moss, markiz Rie-non; Ashley Winsset, książę Eylion; Terence Jayberry, książę Veylin; Edmund Alyen, książę Delyan; Aleksander Invor, książę Across; Valentin Twindale, książę Marlow.

Najbardziej znamienici, najbardziej wpływowi, kwiat arystokracji... I jeden z nich wysłał na tamten świat swoją krewną w imię jakichś celów - w takim czy innym stopniu księżniczka Ayrel była spokrewniona z tymi wszystkimi ludźmi. Czy to znaczy, że władza okazała się cenniejsza niż życie? Zabawna logika. Za to prawo jest skuteczniejsze niż

moralność. I tego będziemy się trzymać.

Studiowałam skomplikowane powiązania rodzinne przez całą noc, co uzmysłowiłam sobie dopiero wtedy, gdy pierwszy promień słońca padł na kartę kolejnego tomu, sprawiając, że płomień świecy zbladł wstydliwie. Zastanowiłam się, czy w domu są zapałki, którymi mogłabym podeprzeć bezczelnie opadające powieki. Za to usta mi się nie zamykały - miałam wrażenie, że wywichnę sobie szczękę przy kolejnym ziewnięciu.

No i demony wzięły moje plany wyspania się...

- Risz, śniadanie! - usłyszałam niezadowolony głos mamy od strony mojej sypialni. Naiwna...

- Idę! - zawołałam, zbierając swoje zwłoki z fotela i nakazując im przyjęcie pozycji pionowej. Nie powiem, żebym odniosła spektakularny sukces, ale mimo wszystko stałam na nogach, choć nieco chwiejnie.

Mama, nie znajdując mnie w sypialni, od razu zjawiła się w bibliotece.

- Bogowie miłosierni! - Klasnęła w ręce. - Jak ty wyglądasz, somnambuliczko! Laro Riencharnie, niech pan na nią popatrzy!

A ten tu czego...? Kahe również pojawił się w drzwiach. Najpierw osłupiały zamrugał, potem cofnął się, robiąc znak odganiający złe uroki. W końcu przyjrzał mi się uważniej i zaczął się śmiać, najpierw cicho, potem na cały głos. Pragnienie starcia nieludzia na proszek rosło we mnie z każdą chwilą. Chyba musiało się to odbić w moich oczach, bo laro Riencharn błyskawicznie zamilkł. W samą porę, byłam o włos od zlekceważenia dochodzenia oraz własnej reputacji i zrobienia mu czegoś karalnego.

- Rinnelis Tyen, wyglądasz jak nieświeży trup podniesiony z grobu przez nekromantę. A ja, jako jasny mag,

odsylam cię z powrotem do grobu! - wygłosiła ma, patrząc na mnie z dezaprobatą.

- Co? - nie rozumiałam. Po bezsennej nocy mój mózg odmawiał współpracy. Zresztą w normalnym stanie również zdarzało mi się nie rozumieć żartów mamy.

- Marsz do łóżka, blada zwłoko! Żebyś mi spała do obiadu, bo inaczej się przewrócisz! Przykro na ciebie patrzeć!



Gdy dijes Rinnelis szła chwiejnie do swojej sypialni, Riencharn nadal walczył z histerycznym śmiechem. Widok bladej dziewczynki z ciemnymi kręgami pod oczami był naprawdę bardzo zabawny. Co prawda w pewnej chwili kahe pomyślał, że dziewczyna gotowa go zabić, i uznał, że lepiej będzie pohamować rozbawienie. Gdy dijes poszła spać, a jej matka zeszała na dół, Riencharn bezszelestnie zakradł się do biblioteki, żeby przejrzeć zostawione przez dijes notatki. Nie miał zamiaru ich zabierać, gdyż wtedy czekałaby go długa i nieprzyjemna rozmowa ze śledczą - niezbyt kusząca perspektywa. Kahe nie chciał dać dijes Tyen najmniejszego powodu do niepokoju, wołał, żeby poczuła się bezpiecznie. A gdy już się rozluźni... Riencharn trzykrotnie przeczytał kartkę, pokrytą ku jego zdumieniu niezbyt równym, pół-dziecinny charakterem pisma, a potem przebiegł wzrokiem i inne pozostawione na stole zapiski.

Jak można się było spodziewać, mózg Rinnelis Tyen działał bez zarzutu - wskazywały na to notatki. Dogłębnie przeanalizowała wszystkie więzi rodzinne wszystkich podejrzanych, pokrótce naszkicowała strefy wpływów i metodycznie wyliczyła szanse na przejście tronu.



„Chyba faktycznie jest w stanie wykryć zabójcę - uznał męczyzna z pewną dozą satysfakcji. - Przyjemnie jest mieć godnego przeciwnika. Będę się musiał bardzo postarać, żeby ją przechytryć...”

Kahe ułożył wszystkie papiery na swoich miejscach i opuścił bibliotekę. Od razu za drzwiami natknął się na siostrzeńca, który patrzył na wuja spode łba.

- Co takiego? - spytał Riencharn z rozdrażnieniem.
- Czemu grzebałeś w papierach, lare? - zapytał z wyrzutem Tael, krzyżując ręce na piersi.
- Masz coś przeciwko temu?
- To... to... wulgarne!!! - wybuchnął Taellon.

W pierwszej chwili Riencharn osłupiał, a potem wpadł w złość. Wulgarne, coś podobnego! Głupi, naiwny chłopak! Znalazł sobie moment na myślenie o takich sprawach!

- Idioto! - wysyczał. - Po pierwsze, nie wrzeszcz na cały dom! Po drugie, jeśli myślisz, że dajesz Tyen doceni twój poryw, to muszę cię rozczarować: ona nie operuje takimi pojęciami, jak „szlachetność” i „prawość”, ponieważ nie wpisują się one w koncepcję śledztwa. Dlatego siedź cicho i rób, co mówię, jeśli chcesz, żebyśmy wyszli z tego cało!

- Ale lare Rinnelis... ona... - wystękał Tael.
- To żmija, zimnokrwisty drapieżnik, który zniszczy cię bez zastanowienia, jeśli uzna to za konieczne! Nie doszukuj się w niej zalet, bo ich tam nie ma i być nie może! Obaj jesteśmy jej najzupełniej obojętni, więc nie twórz idiotycznych iluzji! Zrozumiałeś?!
- Ale wuju... - próbował zaprotestować Tael.
- Jeśli chcesz żyć, milcz i rób, co mówię - wysyczał Riencharn, spopielaając siostrzeńca wzrokiem.

„Głupi smarkacz! - zaklął w duchu. - Ale to mój siostrzeniec, odpowiadam za niego i muszę go z tego wyciągnąć... Jakże mi to obrzydło...”



„Rinnelis!”

Bogowie, przecież ja śpię... nie chcę o niczym wiedzieć, o niczym...

„Rinnelis Tyen! Obudź się! Mam ważne nowiny!!!”

- Tarn? - wymruczałam sennie, rozklejając powieki. - Co się stało?

Chyba zaklęcia łączności nie są zbyt dobre...

Kerri, który ułożył się na mojej piersi, prychnął niezadowolony i wysunął pazury.

„Twojego rudego kuriera znaleziono martwego! Sądząc z tego, co z niego zostało, komuś bardzo zależało na tym, żeby wyciągnąć z niego informacje!”

- C-co? - osłupiałam.

„Jakiś czas temu wysłałaś go z zadaniem, tak?”

- Tak... - potwierdziłam.

„Co on mógł wiedzieć?”

- Nic. Zadbałam o to, żeby nic nie wiedział. Zabroniłam mu czytać dokumenty i dorzuciłam wybiórcze zaklęcie zapomnienia, które zaczyna działać po jakimś czasie, zapobiegając wyciekowi informacji - powiedziałam, zastanawiając się, jak odczepić się od przyjaciela.

„Czyli zabezpieczyłaś się?” - zapytał Tarn dziwnym głosem.

- Oczywiście - odparłam, tłumiąc ziewnięcie. - Myślisz, że byłabym na tyle głupia, żeby dopuścić do przecieku?

„W takim razie, niech cię demony rozerwą, dlaczego nie użyłaś swojego wspaniałego intelektu do ochrony swojego człowieka?!”

Hm... O co mu chodzi?

- Tarn, to już nie był mój człowiek - odpowiedziałam z lekkim zdumieniem. - Entrel oświadczył, że jesteśmy kwita i że mam nie spodziewać się po nim pomocy. Jego problemy nie były już moimi problemami, nie miałam obowiązku martwić się o jego bezpieczeństwo. Powiedz mi lepiej, czego się dowiedziałeś w kwestii działalności zmarłego laro Grossa?

Tarn zaklął przez zęby i przerwał połączenie. Też sobie znalazł powód do urządzania scen! Myślałby kto, że Entrel to pierwszy współpracownik Straży, który zginął śmiercią tragiczną! Bogowie, przez tę idiotyczną rozmowę znów będę niewyspana, teraz już nie uda mi się zasnąć, nawet nie ma co próbować...

Swoją drogą, szybko zajęli się Entrelem. A przecież nie był głupi i potrafił się o siebie zatroszczyć. Powinnam sprawdzić, czy przełamali ochronę w moim domu, mogły tam zostać jakieś rzeczy, za pomocą których można by mi zaszkodzić... Włosy na grzebieniu w łazience albo używane ubranie... Portalu w lustrze nie zdołają wykryć, reaguje na krew moją i mamy, dla wszystkich innych to tylko kawałek szkła. Nikt się nie dowie, jak zdołałam zniknąć z mieszkania, zabierając ze sobą dwóch kahe. Czyli włamanie do mieszkania nie oznaczałoby jeszcze kompletnej katastrofy...

- Risz? Nie śpisz już? - zawołała z kuchni mama. No tak, izolacja w naszym domu była beznadziejna...

- Tak, mamo, zaraz zejść.

- Pospiesz się, ja i twoi goście prawie skończyliśmy śniadanie.

„Moi goście...” Niewiarygodne. Tak samo mama nazywała Tarna i Lera, gdy ci mieszkali tutaj w czasie wakacji. O, jakie plotki krążyły wtedy wśród sąsiadów, do tej pory śmiech mnie ogarnia na samo wspomnienie... Czy to moja wina, że i w szkole, i w akademii miałam lepsze kontakty z chłopakami niż z dziewczynami? Nie interesowałam się ani modą, ani kosmetykami, w tej kwestii nic nie dało się ze mnie wycisnąć. Za to znałam się na magii i fechtunku (choć z bronią zawsze wyglądałam żałośnie); moje zainteresowania zdeterminowały krąg moich znajomych.

Z niezadowoleniem spozrzałam w lustro, mruknęłam: „Niektórzy wyglądają jeszcze gorzej” i zaczęłam grzebać w szafie w poszukiwaniu czegoś wygodnego, czystego i niepogniecionego. Prawdziwe wyzwanie... W moim mieszkaniu nie mogłam sobie pozwolić na erupcję niechlujstwa i bałaganiarstwa, za to w domu rodziców mój pokój był ostoją bałaganu. Nie było innego wyjścia, musiałam na chybił trafił wyciągnąć jakieś rzeczy z którejs z stert.

W efekcie zeszałam pięć minut później ubrana w domowe spodnie, których nie miałam na sobie z pięć lat, i koszulę, której wyblakły zielonkawy kolor wspaniale harmonizował z moją cerą. Na mój widok laro Taellon zakrzuszył się, a laro Riencharn próbował ukryć wredny uśmieszek. Mama z kolei zagroziła mi, że zaraz zajmie się porządkowaniem mojej szafy, dobrze wiedząc, że zamach na moją prywatność doprowadzi mnie do stanu bliskiego hysterii.

- Mogłabyś się porządnie ubrać, w końcu mamy gości... - westchnęła, gdy już wymogła na mnie obietnicę zrobienia porządku.

Prychnęłam wzgardliwie, dając do zrozumienia, że obecność podobnych gości nie jest niczym godnym

uwagi, dopóki zachowują się przyzwoicie i nie wtrącają do moich spraw.

- Mamo, chciałam cię prosić, żebyś w najbliższym czasie nie opuszczała domu... i byłoby dobrze, gdyby tata był tutaj przez cały czas - powiedziałam, przybierając poważny ton.

- Co się stało? - zaniepokoiła się matka, patrząc na mnie uważnie.

- Kuriera, którego wysłałam po dokumenty, znaleziono martwego, a jeszcze wcześniej zamordowano laro Grossa. Zdaje się, że mój przestępca nie jest zbyt humanitarny, i nie zdziwiłabym się, gdyby starał się dobrać również do was.

- Znakomicie, jak zwykle udało ci się zapewnić kłopoty wszystkim. A Tarn i Ler?

- Sami się o siebie zatroszczą. - Wzruszyłam ramionami. - Tym bardziej że do samego śledztwa ich nie wciągałam, więc morderca nie powinien się nimi interesować.

Obaj kahe zastygli w napięciu, usiłując nie uronić ani słowa.

- Ma pani kłopoty, dijes Rinnelis? - zapytał laro Riencharn.

- Niestety tak - odparłam, starając się ani nie dramatyzować, ani nie bagatelizować problemu. To, że nieludź zorientuje się w pewnych aspektach śledztwa, nikomu nie zaszkodzi. - Zdaje się, że ma pan licznych konkurentów, laro Riencharnie. - Uśmiechnęłam się krzywo.

- O czym pani mówi, dijes? - osłupiał mężczyzna.

- Nie tylko pan pragnie mojej krwi, a pańscy rywale będą mieli znacznie więcej okazji, by mnie zlikwidować.

- Ale ja jestem bliżej, prawda? - powiedział kahe, patrząc na mnie krwiożerczo. - To znaczy, że to jednak ja mam większe możliwości, co mnie bardzo cieszy.

Laro Taellon i mama przysłuchiwali się naszej „serdecznej” rozmowie z przerażeniem.

- Zapewniam pana, że dołożę wszelkich starań, by panu w tym przeszkodzić - powiedziałam spokojnie, z przyjemnością czując, że ani ton, ani wyraz twarzy nie zdradził nerwowości, która obudziła się we mnie po ostatnich wydarzeniach. Mówiąc prościej, cicho skomlące poczucie zagrożenia, między innymi z powodu bliskości laro Riencharna.

- To nieistotne, dijies Rinnelis. Obiecałem, że to właśnie ja panią zabiję, i może pani umrzeć tylko z mojej ręki - zapewnił mnie kahe tonem sytego drapieżnika.

Zdławiłam lęk i odpowiedziałam promiennym uśmiechem.

- Proszę próbować, laro.

Mama była blada, młodszy nieludź gapił się w swój talerz.

- A więc mówicie poważnie... - wykrztusiła moja rodzicielka, patrząc to na mnie, to na kahe.

- Naturalnie. - Skinęłam głową. Skąd mamie przyszła do głowy myśl, że się wygłupiamy?

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedziała posępnie.

- Oczywiście - odparłam z nutką wyższości, chociaż nie do końca rozumiałam, co się właściwie dzieje. I to mnie... denerwowało...? Drażniło...? A może jednak przerażało?

Och, nienawidziłam tego okropnego, pewnego siebie kahe! Rozbijał moje życie na drobne kawałki, a potem przyglądał się temu z przyjemnością! I zdaje się, że w dodatku się go boję...



Okazało się, że nawet w idiotycznym stroju, z twarzą zielonkawą ze zmęczenia człowieczka mogła wyglądać groźnie i przekonująco. Co za zmija! Nawet gdy Riencharn wygłosił ponowną obietnicę wysłania jej na tamten świat, na twarzy dijes nie drgnął żaden mięsień, a w oczach pozostał ten sam obojętnie skoncentrowany wyraz, który budził w kahe wściekłość i poczucie przegranej.

„Przekleństwo! I tak ją zabiję! Żyję znacznie dłużej niż ona! Jestem kahe! I w końcu jestem mężczyzną!”

Riencharn ze złością uświadomił sobie, że dijes Tyen mimo wszystko zdołała wytrącić go z równowagi.

A człowieczka patrzyła na niego nieprzeniknionymi jak jesienne wody oczami i wydawało się, że widzi Riencharna na wylot, ze wszystkimi jego lękami i cierpieniem.

Gdy już dijes Rinnelis nacieszyła się zakłopotaniem i bezradnością mężczyzny, oznajmiła, że musi się oddalić w sprawach służbowych. Poszła na górę i dziesięć minut później zjawiła się w kuchni uczesana, gotowa do wyjścia, choć nieco błada i bez swojej fioletowej szaty.

- Miłego dnia, dijes Rinnelis - rzucił kahe, z trudem zmuszając się do uśmiechu.

- Ma pan poczucie humoru, laro Riencharnie - odparła człowieczka, aktywizując portal, przez który nie tak dawno całą trójką przeszli do domu dija Tyen.

- Uważaj na siebie, córko - powiedziała na pożegnanie dija Tiana. - Jeśli cię tam zabiją...

- Wszystko będzie w porządku, mamó. - Dijes śledcza machnęła ręką, rozciągając usta w łobuzerskim uśmiechu nastoletniej chuliganki, która planuje zakraść się do cudzego sadu po jabłka. - Przecież nie po raz pierwszy się coś pakuję.

Na ramię dijes Rinnelis niespodziewanie wskoczył kot, ocierając się o policzek swojej pani i świdrując Riencharna pogardliwym spojrzeniem.



Temporalne zamrożenie to jednak znakomity środek przeciwko włamaniu. Moje mieszkanie wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy opuszczałam je przez portal - czas zaczął płynąć normalnie dopiero wraz z moim przybyciem. Jednak nikt nie zdołał sforsować barier ochronnych, choć zdeformowane linie zakłęcz wskazywały na to, że aktywnie usiłowano to zrobić. Odruchowo zarejestrowałam charakterystyczne cechy działania przestępców, planując dopaść ich po zakończeniu dochodzenia. Nie miałam zamiaru puszczać płazem takiego zuchwalstwa.

Pół godziny zajęło mi odnowienie i wzmocnienie ochrony mieszkania; potem włożyłam fioletową szatę służbową i od razu poczułam się z powrotem w swojej skórze i na swoim miejscu. Kerri prychnął z aprobatą - miał rację, w tym stroju wyglądałam bardziej przekonująco.

No dobrze, czyli muszę załatwić sprawę laro Riencharna, pokazać się w pracy i poznać okoliczności śmierci Entrela... A potem się zobaczy. Zdaje się, że moje spokojne, zrównoważone życie powoli, acz nieuchronnie przemienia się w kompletny burdel, a w dodatku grozi mi śmierć.

Przede wszystkim teleportowałam się do krawca, żeby zamówić strój żałobny dla laro Riencharna. Stary mistrz Paul potrafiłby uszyć chyba wszystko, od królewskiego płaszcza poczynając, a kończąc na habicie mnicha.



Ubierałam się u niego od trzech lat, to znaczy od chwili, gdy zaczęłam pracować w Straży - właśnie u niego zama-  
wiałam swój uniform. Wyjaśniłam teraz staremu krawcowi, czego potrzebuję, ten zastanawiał się przez chwilę i obiecał  
zrealizować zamówienie w ciągu jednego dnia, a następnie przysłać szatę do wydziału.

Od krawca od razu przeniosłam się do biura. Po dwóch magicznych podróżach z rzędu czułam się jak cytryna nie  
tyle wyciśnięta, co przepuszczona przez maszynkę do mię-  
sa. Teleportacja jest zaklęciem złożonym i bardzo energo-  
chłonnym, więc gdy znalazłam się w swoim gabinecie, od  
razu opadłam na fotel i wyjęłam z szuflady biurka czekola-  
dę, którą trzymałam tam właśnie na takie okazje. Co prawda  
od czasu do czasu pożerałam ją mimo braku sytuacji kry-  
tycznej - jeszcze by się zepsuła...

Zdaje się, że przez najbliższe dwie godziny teleportacja  
będzie mi równie niedostępna co powszechne uwielbienie.  
Całkowite wyczerpanie sił magicznych. Będę musiała przez  
jakiś czas posiedzieć w pracy, odpocząć, a potem przenieść  
się do domu - powrót na własnych nogach równałby się  
samobójstwu.

Gdy już zjadłam połowę tabliczki czekolady, ktoś zapu-  
kał do drzwi. No i kogo tu demony przyniosły? Przecież  
nikt nie widział, jak wchodziłam do budynku... To znaczy-  
ło, że mój gość ma dostęp do artefaktów śledzących prze-  
mieszczanie się pracowników.

- Wchodź, Ler - powiedziałam, pstrykając palcami.  
Tak naprawdę gest był nieistotnym elementem zezwolenia  
na wejście, jednak przyzwyczajenie jest drugą naturą czło-  
wieka, a zwyczaj pstrykania pozostał mi z czasów, gdy  
lubiłam efektowne gesty.

- Risz, nie wiesz, co ugryzło Tarna? - zapytał z roz-  
drażnieniem mój przyjaciel, pochylając się nad moim

biurkiem. Z przykrością pomyślałam, że czekolada, którą ukrywam pod blatem, zaraz zacznie się topić. Ale gdybym próbowała otworzyć szufladę, zdradzi mnie skrzywienie. No dlaczego nie zjadłam całej czekolady przed wypuszczeniem gościa?

- A co? - spytałam obojętnie.

- Dostarczono mi ciało twojego Entrela. Przykry widok...

Zaczynało być interesująco.

- Bardzo przykry?

- Mogłabyś go rozpoznać wyłącznie za pomocą odpowiednich zakłęb - uśmiechnął się krzywo ekspert. - Istnieje podejrzenie, że w ten oryginalny sposób próbowano dać ci do zrozumienia, jaka przyszłość cię czeka.

- Skąd taki pomysł? - zdumiałam się pokazowo.

- Obok ciała znaleziono liścik - oznajmił Ler uprzejmie. - Lare śledcza, będzie pani wyglądać podobnie.

Jakże obcesowo i nieoryginalnie. I prymitywnie. Sądzieli, że bez liściku się nie domyślę?

- Tarn nie wspomniał o liście... - westchnęłam.

- Rozumiem, że naszego przyjaciela rozzłościła twoja reakcja na wydarzenia. A raczej brak takowej, mam rację?

No i koniec, czekolada się roztapia... Za chwilę całą dłoń będę miała w lepkiej słodyczy.

- A co, miałam posypać sobie głowę popiołem, lamentować i bić się w piersi?! - prychnęłam sarkastycznie. - Nie ponoszę odpowiedzialności za cudzą głupotę. Ponadto Entrel sam zrezygnował z pracy ze mną. A więc...

- Okazuje się, że nie jesteś obrończynią uciśnionych - powiedział Ler w tonie obawy i szacunku.

- A kto jest? - spytałam retorycznie. - Pokaż mi takie relikty, a ja przyniosę ci bukietek.

- Żmija - uśmiechnął się Ler.
- Owszem. - Skrzywiłam usta w swoim firmowym uśmiechu.

Ler tym różnił się od Tarna, że nie żądał ode mnie rzeczy niemożliwych i nie narzucał mi swoich wyobrażeń. Tarn zaś usilnie próbował wykorzystać ze mnie cechy, które mu się nie podobały, i oburzał się, gdy odmawiałam zmian. Nie mógł się pogodzić z faktem, że ja to ja, ze wszystkimi swoimi wadami i zaletami, których nie zamierzałam się pozbyć nawet dla bliskiego przyjaciela.

- Mogłabyś podtrzymać niewinne złudzenia Tarna - westchnął Ler z wyrzutem. - Teraz przez miesiąc nie będzie się odzywał.

- Dobrze mu to robi.

Do licha! To była moja ulubiona czekolada, mleczna z cynamonem! Dokładnie tak - była. Teraz będzie ją można jeść wyłącznie z zamkniętymi oczami, żeby nie pojawiały się niewłaściwe skojarzenia.

- Wiesz, czasem naprawdę przeginasz. Pomyśl o tym - zaproponował spokojnie Ler.

- Na pewno. W wolnej chwili. A teraz powiedz mi, jak wyglądało ciało nieboszczyka Entrela. Rozumiem, że było tam coś interesującego?



- Co pan robi, laro Riencharnie? - rozległo się za plecami kahe, gdy ten metodycznie przełamywał ochronę domu rodziny Tyen, siedząc w salonie w wygodnym fotelu, z bez troską miną.

Dija Tiana... Jakież był głupi, gdy myślał, że wszystkie cechy dijes Rinnelis są nabyte.

- O czym pani mówi, dija? - zapytał, udając, że nie rozumie. Był dyplomata, i to dyplomata z dużym stażem, a to znaczy, że umiał przekonująco kłamać, zachowując uczciwy wyraz twarzy.

- Laro, czy moje dziecko nie uprzedziło pana, kto uczył ją sztuki magicznej? - spytała kobieta, mrużąc oczy w jakże znajomy sposób. Nie padła żadna groźba pod adresem kahe, ale atmosfera w pokoju zgęstniała.

- Nie miałem przyjemności rozmawiać z dijes o sprawach prywatnych. - Riencharn nadal udawał, że nie rozumie, w czym rzecz, choć nie miało to żadnego sensu.

- W takim razie pozwolę sobie poinformować pana: nauczycielem mojej córki byłam ja. Niech pan wyciągnie z tego wnioski, laro Riencharnie.

Do demonów... Zdaje się, że dijes Tyen nie tylko wrodziła się w swoją czcigodną matkę, ale udoskonaliła odziedziczone cechy.

- Dija, po co to pani? - powiedział południowiec niemal błagalnie.

- Obiecałam córce, że nie opuścicie mojego domu, i zwykłam dotrzymywać obietnic. Ponadto pańska ucieczka będzie oznaczać dla Risz poważne kłopoty, a ja życzę mojej córce wszystkiego najlepszego.

- A co pani robi, jeśli użyję siły? - powiedział łagodnie kahe, kuląc się w duchu. W czasie tej krótkiej rozmowy odkrył zbyt wiele wspólnego między dija Tianą i jej córką.

- Będę zmuszona odpowiedzieć panu tym samym - oznajmiła kobieta, spoglądając spokojnie na gościa. Wydała się niewzruszona niczym płyta nagrobna, która spoczęła na możliwości ucieczki południowców.

- Chylę czoła, dija. Teraz mogę z absolutnym przekonaniem powiedzieć, kto dał waszemu państwu tak

wybitnego śledczego jak dijes Rinnelis Tyen - zauważył ironicznie Riencharn. - To całkowicie efekt pani wychowania, dija.

- Uznajmy, że to komplement, i chodźmy się napić herbaty. Pański siostrzeniec na pewno się denerwuje, podsłuchując pod drzwiami. Należy dbać o nerwy tego wrażliwego młodzieńca.

Hm... chyba znacznie łatwiej byłoby uciec z więzienia...

Tael faktycznie stał za drzwiami - otwierając je, Riencharn omal go nie uderzył.

Młodzieniec wyglądał na speszonego, ale uparcie twierdził, że po prostu przechodził obok i to, że klęczał przy dziurce od klucza, było dziełem przypadku. Riencharn patrzył na uczciwą, ale czerwoną jak burak twarz chłopaka z uczuciem wielkiego malarza, który nagle stwierdził, że namalował kicz: wstydzisz się, ale wiesz, że to twoje dzieło.

„Nigdy nie będzie z niego pożytku...” - pomyślał ze smutkiem, rzucił siostrzeńcowi miazdzące spojrzenie i powlókł się za dija Tianą.

Następnego dnia miał się odbyć pogrzeb, więc skoro nie zdołał uciec, to powinien poświęcić ten czas na żałobę i rozmyślania. Riencharn niemal o tym zapomniał, usiłując się wysliznąć ze splotów żmii Rinnelis. Okazuje się, że najlepsze lekarstwo na smutek to dobry wróg, który nie pozwala się rozluźnić. Chociaż jeden pożytek z dijes śledczej.



**S**iedziałam przy stole i odruchowo oblizywałam palce, próbując zmusić mózg do pracy. Mózg stawiał opór, dając do zrozumienia, że po chronicznym niewyspaniu i przemęczeniu żądanie od niego jakiegokolwiek działalności to szczyt drwin. Rozumiałam to, ale teraz pilnie potrzebny był mi mój intelekt w stanie gotowości bojowej. Niestety...

Ler wyszedł, zasypując mnie stertą mniej lub bardziej użytecznych informacji, dorzucił garść rad, z których większość nie nadawała się do niczego. Niegdyś, ulegając negatywnemu wpływowi przyjaciół, czyli mnie i Tarna, Ler próbował wstąpić do Wydziału Śledczych, ale już kursy przygotowawcze wykazały jego kompletną bezradność w zakresie wiązania oderwanych informacji w logiczną całość. Dlatego został ekspertem od trupów, trucizn i tym podobnych spraw, zazdroszcząc mnie i Tarnowi - stanowczym intelektualistom, prawdziwym śledczym. Chociaż akurat w kwestii wiedzy i profesjonalizmu alchemik mógłby nas schować do kieszeni... Gdyby było inaczej, śledczy tego przeklętego miasta nie ustawialiby się w kolejce,

żeby właśnie u Lera przeprowadzać ekspertyzy.

Sprawa Entrela wyglądała ciekawie. Ler przysięgał, że rudielca najpierw zamordowano, a dopiero potem okaleczono, pewnie z frustracji, że nie da się wycisnąć żadnych informacji z trupa. Na wszystkich pracowników Straży nałożono specjalne zaklęcia niepozwalające na żadne manipulacje nekromantom. Rozzłoszczeni mordercy spróbowali więc przynajmniej mnie wystraszyć. Dyletanci.

Przede mną leżał pakunek od krawca. Białe ubranie, kolor umarłych i rozpaczających za nimi. Przypominało o tym, jak kruche jest życie, i o tym, że za głupotę i słabość się płaci. Muszę przyznać, że krawiec się uwinął, jakby miał już pod ręką kilka takich rzeczy, albo, co bardziej prawdopodobne, z sympatii dla mnie użył pewnych charakterystycznych zaklęć wykorzystywanych przez mistrzów igły i nożyczek.

Niespodziewanie poczułam coś... jakby posmak krwi w ustach, niby nie bezpośrednia groźba, ale niejasny niepokój. Wstałam z fotela, podeszłam do sejfów i przyłożyłam do kółka pośrodku drzwiczek pierścień - jedyny, jaki nosiłam. Nie lubiłam niepotrzebnych ozdóbek na palcach i pierścionki mnie denerwowały. Ale ten był kluczem do mojego sejfów i musiałam go nosić. Jedynym znakiem szczególnym tego stalowego pudła były umieszczone w metalu zaklęcia, które można było zniszczyć jedynie razem z sejfem. Spoczywał w nim standardowy zestaw artefaktów na wszelkie życiowe okoliczności i najłżejszy miecz, jaki zdołałam znaleźć na rynku, krótki vi'irt krasnoludziej roboty.

Często używali ich kahe w czasie szturmowania miast, był niezastąpionym orężem, gdy ma się niewiele miejsca

do walki: krótka, nieco zagięta klinga, jednosieczna, z niewielką gardą i długą rękojeścią, pozwalającą na trzymanie broni dwiema rękami. Było to korzystne dla mnie, bo miecz ważył zbyt dużo, żebym mogła utrzymać go w jednej dłoni.

Szermierz był ze mnie marny, ale potrafiłam odeprzeć ciosy, nie robiąc sobie przy tym krzywdy. W powietrzu narastało dziwne napięcie i rozumiałam, że teraz będę musiała pomachać mieczem.

Szatę jednak zdejmę, w tym worku można się zaplatać, nawet zwyczajnie chodząc. Szkoda, że mam na sobie sukienkę, a nie spodnie, ale to nic... Zatańczymy.

Zawiesiłam na szyi artefakt przeniesienia, amulet blokujący wrogie zaklęcia aż do poziomu drugiego (droga rzecz), średnią tarczę chroniącą przed atakami fizycznymi, w razie gdyby ktoś chciał zająć mnie od tyłu, i jeszcze kilka drobniejszych, w tym ogniste zaklęcia ofensywne, poczynając od banalnej „ognistej kuli”, a kończąc na „feniksie”, który nie wymaga naprowadzenia i reaguje na najgroźniejszego przeciwnika. Z takim arsenałem teoretycznie można było przeдрzeć się wszędzie. W praktyce będzie znacznie trudniej...

Przygotowując się w duchu na najgorsze, wyszłam na korytarz, gdzie omal nie wpadł na mnie jeden z ochroniarzy. Próbował mi coś wyjaśnić, ale język mu się plątał, więc próbował na migi, a to z niewiadomego powodu wyglądało wyjątkowo wulgarnie. Chociaż być może tylko w ten sposób mógł opisać sytuację, jaka powstała w naszym wydziale. A potem dosłownie zza pleców strażnika wyskoczył jakiś rzezimieszek. Ucieszył się na mój widok, jakbym była diamentem wielkości kurzego jaja. Miał całkiem niezły miecz, nieco krótszy od mojego, ale zdążyłam zadać mu



cios w brzuch. Żadnej elegancji, zero stylu, za to skutecznie.

- Lare, jak pani...? - Oszołomiony strażnik patrzył to na mnie, to na mężczyznę przyciskającego dłoń do brzucha. Taak, dawno nie brałam udziału w takich akcjach, moi współpracownicy zdążyli zapomnieć, że Rinnelis Tyen potrafi nie tylko straszyć.

- Milcz - powiedziałam, dla pewności opuszczając miecz na odłoniętą szyję napastnika. Wolałam zostawić za sobą bezpieczną przestrzeń, żebym mogła spokojnie odwrócić się tyłem. I tym razem ścięłam mu głowę jednym ciosem...

Strażnik zbladł... Myślałby kto, że na jego oczach zamordowałam dziecko. Przecież nie miałam wyboru, prawda? Potem się pewnie upiję... Starczą mi zapewne cztery kieliszki wina - człowiekowi, który praktycznie nie pije, więcej nie trzeba. Tak, żeby niczego nie pamiętać aż do rana. Łatwo jest zabić - jedna chwila i wroga już nie ma. Jednak potem, gdy rozpamiętujesz, co się stało, nie myślisz o tym, że broniłeś własnego życia, widzisz szklane oczy i sztywniejące ciało. Kiedyś w czasie zatrzymania zabiłam podejrzanego. Rzucił się do ucieczki i przypadkiem wyskoczył na mnie, dziewczynę, która rozpaczliwie trzymała fason i nawet nie bardzo wiedziała, co ma właściwie robić. Ależ mnie wtedy wywróciło... myślałam, że mój żołądek znajdzie się na bruku razem ze zjedzonym obiadem.

- Co tu się dzieje? - spytałam pogardliwie, wskazując mieczem na skurczone pod ścianą ciało.

- Zaatakowano wydział, lare śledcza - odpowiedział strażnik, cofając się powoli.

- Słucham...? - Idiocyzm sytuacji docierał do mnie z opóźnieniem.

- Grupa nieznanych ludzi atakuje budynek, lare Tyen. W tej chwili próbujemy wyprzeć przestępców na zewnątrz. Znakomicie.

Zostać czy nie? Bardzo możliwe, że tę farsę urządzono wyłącznie po to, żeby wysłać mnie na tamten świat (choć bardzo możliwe, że zaczyna mi się rozwijać mania wielkości na spółkę z manią prześladowczą), wówczas lepiej byłoby zniknąć jak najszybciej. Tak czy inaczej, należało się wynosić.

Nie byłam żołnierzem, tylko śledczą, szermierkę opanowałam kiepsko, fizycznie byłam słabsza od większości mężczyzn, a moje siły magiczne jeszcze się całkowicie nie zregenerowały po dwóch teleportacjach. Czyli najpierw do mieszkania, stamtąd przez portal do domu rodziców, żeby nikt nie wyśledził przemieszczenia. Niestety, w walce wręcz intelekt staje się bezużyteczny, kombinowanie w takiej sytuacji to samobójstwo z założenia, znacznie lepiej działać instynktownie i według starannie wyuczonych odruchów. Chodzi tylko o to, żeby zabić, zanim zabiją ciebie. Dlatego weszłam do gabinetu, wzięłam zawiniątko z ubraniem dla kahe i aktywowałam artefakt przeniesienia, machając ręką strażnikowi na pożegnanie.

Ciekawe, jeśli ta idiotyczna dywersja została urządzona na moją cześć, to jak zareaguje zleceniodawca na moją haniebną ucieczkę z pola walki? Z drugiej strony czyżby ktoś naprawdę myślał, że będę strugać bohatera? Jestem śledczym i podobne wyczyny nie należą do moich obowiązków, nikt mi nie dopłaci za takie ryzyko. Chwalić bogów, nigdy nie byłam altruistką dążącą do tego, żeby oberwać po głowie.



Do mieszkania nikt się nie włamał, ale Kerri był zły, co oznaczało, że ktoś jednak próbował. Tym razem strażnik samodzielnie nawiązał łączność z moją świadomością, przekazując mi wszystkie sposoby, jakie wykorzystano, usiłując wdrzeć się na moje terytorium. Ich działania niepozbawione były elegancji, ale były zbyt aroganckie. Zapomnieli, że zaklęcia obronne można stosować razem z bojowymi. Jeśli jeszcze raz szarpną za nić czarów blokujących drzwi wejściowe, to aktywują „małe skrzydła ognia”. Co prawda nie jest to zaklęcie śmiercionośne, ale przy odrobinie szczęścia zuchwalcy zarobią poparzenia i utratę przytomności. A jeśli spróbują zamrozić zamek, uruchomi się delikatne zaklęcie paralizujące - jego działanie trwać będzie zaledwie dwadzieścia godzin. Ciekawe, czy nieproszeni goście docenią moje miłe niespodzianki?

Jeszcze raz popatrzyłam na regały z książkami i biurko. Nie miałam zwyczaju przechowywać dokumentów w domu, ale może jednak znalazł się tu jakiś strzęp papieru? Nie mogłam pozwolić, żeby jakiegokolwiek informacje dotyczące Straży trafiły w obce ręce.

Gdy miotalam się po mieszkaniu, kot chodził za mną krok w krok, mrużąc oczy z dezaprobatą i od czasu do czasu miauczał przeraźliwie, wyrażając opinię o moich zdolnościach umysłowych. Niespodziewanie za drzwiami ktoś wrzasnął, Kerri prychnął, a ja błyskawicznie skoczyłam po vi'irt, który zostawiłam na fotelu. Broń w ręku dała mi dziwną iluzję pewności siebie.

Podeszłam do drzwi, zastygłam i zaczęłam nasłuchiwać. Od strony klatki schodowej dobiegały ciche, żałosne jęki. Uśmiechnęłam się z zadowoleniem i otworzyłam drzwi, żeby wybawić nieszczęśników od męki w jeden

z najbardziej radykalnych sposobów. Vi'irt bardzo mi się przyda.

Nie czułam zdenerwowania. Zaklęcia zadziałały, a to znaczyło, że moi przeciwnicy nie nadawali się do walki. Na podłodze, tak jak się spodziewałam, leżeli dwaj pechowi włamywacze. Kerri zamruczał ostrzegawczo i dzięki temu zdążyłam wysunąć przed siebie miecz, na który nadział się jeden z typów. Jednocześnie aktywowała się tarcza i ochrona przed zaklęciami. Ta pierwsza odbiła lecący we mnie sztylet, w drugiej utknęło „gnicie” drugiego stopnia.

Nekromanta? Jak miło. Czyli nici z serdecznej rozmowy.

- Witam, lare Rinnelis. - Mój były kolega ze studiów rozplynął się w ohydny uśmiechu. - Poprzednim razem tak nagle nas pani opuściła...

- Mój czas jest zbyt cenny, żeby tracić go na takie śmieci jak wy - odpowiedziałam z uprzejmym uśmiechem, wyciągając klingę z nieszczęśnika. Runął na ziemię u moich stóp.

Pod przeciwległą ścianą spoczywała samotnie cuchnąca górka popiołu. Nie wszyscy napastnicy byli magami, a nekromanta najwyraźniej nie uznał za stosowne ochronić kolegów przed moimi zaklęciami. Filozofia tłumy - jeśli to nie ja zginę, to jest mi wszystko jedno. I co, taka hołota chciała mnie wziąć? Co za rozczarowanie.

- To nie było uprzejme, lare śledcza - wysyczał mój przeciwnik.

- Niestety, czasem trzeba poświęcić etykietę w imię tego, żeby nie zgrzeszyć przeciwko prawdzie - odparłam, mentalnie i fizycznie przygotowując się do poważnego

starcia, z którego być może nie wyjdę cało. Czułam przez skórę, że poza zasięgiem mego wzroku jest jeszcze co najmniej trzech napastników. Zapewne tak wyczuwa psy lisica otoczona w swojej norze. Musiałam szybko zdławić niepokój, żeby nie przeszkadzał umysłowi i ciału w efektywnej pracy.

- Jeszcze raz proponujemy, żeby postępowała pani rozsądnie i zakończyła to nikomu niepotrzebne śledztwo - mag znów zaczął swoją starą śpiewkę.

- A ja po raz kolejny muszę panu odmówić, laro - powiedziałam, szykując się do odparowania ataku. Jeśli któryś rzuci się na mnie z mieczem, to moje szanse spadną do zera. Musiałam się z tego jakoś wywinąć.

Za plecami miałam własne mieszkanie, na wylot prześiąknięte moją magią; mogłam po prostu wypompować energię ze zbudowanej przeze mnie ochrony. Pewnie, że szkoda tej całej wielkiej pracy, ale trupy są zwykle pozbawione nawet tak minimalnej przyjemności jak odczuwanie żalu - stanowczo wolałam pozostać żywa. Przez chwilę żałowałam, że nie należę do rasy kahe, u których nawet kobiety dobrze władają bronią. Ja musiałam zadowolić się jedynie magią.

- Ta decyzja jest w najwyższym stopniu nierozsądna, lare Rinnelis. Wygląda na to, że musimy zastosować wobec pani te same środki przekonywania co wobec pani kuriera.

- Chce pan przez to powiedzieć, że planujecie zbezcześcić zwłoki? - Uśmiechnęłam się szyderczo. - Szalenie mi przykro, laro, ale nadal żyję i na razie nie mam zamiaru odejść.

- Ten stan nie potrwa długo, zapewniam panią - uśmiechnął się niedouczonego śledczy, splatając palce w szczególny sposób.

Ohoho... „kopia”, czwarty stopień, Lód. Niezbyt udana. I nawet nie zwróciłabym na nią uwagi, gdyby jednocześnie nie wyciągnęły się w moją stronę „macki” drugiego stopnia. Do demonów! Zostanie tutaj to samobójstwo, poruszenie się - jeszcze większe. Doskonale. Nie lubiłam nekromantów. Bardzo nie lubiłam. Właśnie za takie zaklęcia, które bez większego trudu obejmują dużą przestrzeń, są bardzo ruchliwe i długotrwałe. Ochrona na nic się nie zda, większość energii pójdzie na blokadę „kopii”, a „macki” dorwą mnie bez większego wysiłku. Gdyby nekromanta użył zaklęcia trzeciego stopnia, mogłabym się nie martwić. Mój przeciwnik bardzo udanie dobrał kombinację zaklęć. Podejrzane... Czyżby ktoś zapoznał ich z moimi artefaktami i amuletami i wspomniał o tym, że właśnie poważnie nadwerżyłam zapasy mocy magicznej?

Gdybym była w pełni sił, pewnie nie zaryzykowałiby starcia, rozgoniłabym ich jak kociaki i wycofała się pod osłonę mieszkania. Czyli wiedzą, że korzystałam z teleportacji, a próba szturmu wydziału miała na celu jedynie wyciągnięcie mnie do domu, gdzie przygotowano pułapkę.

Jestem idiotką, cierpiącą na manię wielkości w końcowym stadium!

Dobrze, jeszcze zobaczymy, kto kogo, pomyślałam, gwałtownie wyciągając część energii z osłony mieszkania, żeby postawić mocną tarczę. Błyskawicznie wykorzystał to przywódca napastników, atakując mieczem. Udało mi się uchylić, chociaż ostrze przejechało mi po ramieniu. Zabolało... Ale rana nie była śmiertelna, a osłabnąć od utraty krwi nie zdążę, walka potrwa nie dłużej niż trzy minuty.

Zbyt wyrywnego niedouczonek bez zastanowienia chlasnęłam „ognistymi szponami”. Załedwie piąty stopień, a jeśli

chodzi o stratę energii, w ogóle drobiazg - ale gdy brzuch rozdiera ci pięć pasów ognia, nie robi ci większej różnicy, czy mag włożył w to zaklęcie dużo siły, czy nie. Wystawiłam przed siebie „ognistą ścianę” i skoczyłam do mieszkania, zatraskując przeciwnikom drzwi tuż przed nosem. Teraz przywódcę można było podnieść wyłącznie jako zombie... Ale od czego mieli nekromantę w oddziale?

No tak... Nie wiem, jak długo wytrzyma ochrona osłabiona przeze mnie, a przedtem próby włamania. Do demonów z elementami ofensywnymi, przerzucimy całą energię wyłącznie na ochronę... Załatwione. To da mi jeszcze pół godziny przewagi.

- Miao - powiedział rozdrażniony Kerri, skacząc mi na ramię.

Tym razem strażnik miał absolutną rację - należało wynieść się stąd jak najszybciej. Teraz nie miałam już głowy do konspiracji, chodziło o moje życie! Ale jak to, porzucić dom na pastwę tych nędznych opryszków?

Miałam pewien pomysł, jak pozbawić przeciwników satysfakcji ze złamania ochrony mieszkania. Poruszyłam ramionami, dając kotu do zrozumienia, że najlepiej zrobi, jak zeskoczy.

Poszłam do kuchni po nóż, a potem pod zdumionym spojrzeniem Kerriego nacięłam dłoń i zaczęłam własną krew rysować hektogram na podłodze. Gwiazda wyszła trochę krzywa, ale to nie miało znaczenia. Pozostało wymówić formułę wezwania i zlokalizować działanie zaklęcia. Potem złapać kota za skórę na karku, wcisnąć pod pachę zawiniątko z ubraniami, wziąć miecz i wyjść przez lustro, zanim zaklęcie się uaktywni.

Ciekawe, jak zareagują nieszczęśni włamywacze, gdy odkryją, że moje mieszkanie znajduje się w stanie

zamrożenia temporalnego, którego nie można zdjąć? Nie na darmo użyłam do zaklęcia własnej krwi! Jeśli go nie zdejmę osobiście, mój dom przez całe stulecia pozostanie poza nurtem czasu.



Riencharn siedział przy stole w kuchni i rozmyślał, że gdyby dija Tiana zaproponowała grę w „rozbieranego”, już byłby nagi. Tael tylko chrząkał, tłumiąc śmiech - mina wujka, przegrywającego partię za partią, była naprawdę komiczna. Starszy kahe miał ogromną ochotę kłąć, i to po ludzku, żeby wszyscy obecni pojęli całą głębię jego niezadowolonia, ale uznał to za niegodne noszącego czerń i tylko sapał rozdrażniony.

Gdy Riencharn był już o krok od kolejnej przegranej, podniósł się niespodziewany hałas, coś upadło i rozległo się niezadowolone prychnięcie.

- Risz wróciła - powiedział dije Tyen, który wrócił niedawno i również brał udział w grze. Był szczupłym, ciemnowłosym mężczyzną po czterdziestce. Obecność dwóch obcych nieludzi w swoim domu ojciec dijes Rinnelis przyjął ze stoickim spokojem, graniczącym z obojętnością. Skoro tu są, to znaczy, że tak ma być, kiedyś na pewno się wyniosą, a więc nie ma powodu do zdenerwowania.

- I zdaje się, że w nie najlepszym stanie - dodała dija Tiana, z westchnieniem wstając od stołu, żeby przywitać marnotrawną córkę, która właśnie wpadła do przytulnej kuchni.

Na Przodków, jak wyglądała teraz dijes śledcza! Błada, rozczochrana, oczy miała nienaturalnie rozszerzone, z trudem trzymała się na nogach, w rękę ściskając miecz. Po



fioletowej szacie nie zostało nawet wspomnienie! Prawy rękaw sukienki dziewczyny był rozcięty, materiał nasiąkał krwią.

Kerri wszedł za swoją panią z zawstydzoną miną.

- Wpadłaś - skonstatowała kobieta po dłuższej chwili zdumionego milczenia.

- Wszystko w porządku - odparła dijes Tyen i uściśliła: - Prawie w porządku. To tylko draśnięcie.

Dija Tiana, nie słuchając już córki, usadziła ją na krześle i rozpruła do końca rękaw, uważnie oglądając ranę.

Riencharn całkowicie zgadzał się z dijes Rinnelis: to było zwykłe draśnięcie, które należało po prostu opatrzyć, rana nie była głęboka. Jednak większość ludzkich kobiet na widok krwi mdleje malowniczo, a jeśli jest to w dodatku ich własna krew... Dijos Tyen opędzała się słabo przed wyrzutami matki i ze skupioną miną piła bardzo słodką herbatę, której nalał jej ojciec. Śledcza nie zdawała sobie sprawy, że właśnie w tej chwili jej notowania na liście osobistych wrogów Riencharna bardzo wzrosły.

- Coś ty tam narobiła? - zapytała córkę dija Tiana, kończąc opatrywać swoje wyrosnięte dziecko i usiłując ukryć, jak bardzo trzęsą jej się ręce.

- Mamo, jestem głupia - powiedziała z rezygnacją dijes śledcza, ze zmęczeniem przymykając oczy. - Naraziłam się idiotycznie i w dodatku pozwoliłam zranić... A, wiesz, że ktoś mnie zdradził?

Zapadła dłuższa chwila ciszy, podczas której wszyscy obecni usiłowali zamknąć otwarte ze zdumienia usta. Nawet kahe nie mogli pojąć, kto odważył się zaszkodzić dijes Tyen.

- Ktoś z wydziału? - spytała w końcu dija Tiana, unosząc brwi. - A co, nie wiedziałaś, że koledzy cię nie lubią?

To chyba naturalne, że próbują się na tobie odegrać na miarę swoich skromnych możliwości.

Dziewczyna poruszyła ręką, skrzywiła się z bólu i powiedziała:

- Chcieliby, ale są za ciency. Zdradził mnie ktoś z najbliższych przyjaciół, niestety. Ktoś, kto zna moje magiczne rezerwy i wie, jakie artefakty mam w swoim arsenale.

- W takim razie odnajdziesz go bez większego trudu: krąg twoich bliskich przyjaciół jest wyjątkowo wąski, Risz.

- Dija Tiana uśmiechnęła się gorzko, z niepokojem zerkając na córkę.

- Jak widać, niewystarczająco wąski, skoro teraz nie mogę zaufać nawet najbliższym - odparła dijes Rinnelis z syczącymi, „służbowymi” nutkami w głosie, prostując się i zaciskając wargi.

„Dijes Tyen będzie chciała się zemścić” - pomyślał Riencharn z niepokojem. Żył wystarczająco długo, by wiedzieć, że wściekłość często skrupia się nie na tym, kto ją spowodował, lecz na osobach, które akurat znajdują się pod ręką. A na ile kahe mógł się zorientować, dijes śledcza była właśnie w stanie lodowatej wściekłości.

Tael spojrział na wuja i ukradkiem przejechał palcem po szyi, pokazując, jaka przyszłość, jego zdaniem, czeka zdrajcę dijes. A raczej: jaki brak przyszłości. Riencharn dyskretnie skinął głową, przyznając siostrzeńcowi rację.

- I co masz zamiar zrobić z tym zdrajcą? - zapytał córkę beztrąsko dije Tyen.

- Nic - uśmiechnęła się smutnie dijes Rinnelis. - Jedynie dowiedzieć się, komu to było potrzebne oraz jak na tym skorzystał. Na pewno powiedział już wszystko, co mógł, czyli najlepszym rozwiązaniem będzie po prostu

zerwanie wszelkich kontaktów i niedopuszczenie do nowego przecieku informacji.

- I to wszystko? - zapytał zdumiony Taellon.

- Oczywiście, laro. Spodziewał się pan, że będę chciała go zabić? Nie, nie mam zamiaru tracić na takich ludzi ani sił, ani emocji - odparła dijės z godnością.

„Nieźle, zupełnie nieźle - pomyślał Riencharn. - Opanowanie i wytrzymałość godna kahe noszącego czerni”.

- A nie chciałabyś się od niego czegoś dowiedzieć? - zapytała ostrożnie dija Tiana.

Dijės śledcza wzruszyła ramionami.

- Najwyżej tego, ile obecnie płacą za zdradę przyjaciół. Mamo, jestem strasznie zmęczona, pójdę się umyć i spróbuję przespać. Laro Riencharnie, rzeczy, o które pan prosił, są w przedpokoju.

Dijės Tyen rzeczywiście była w nie najlepszej formie, ale to w żaden sposób nie wpłynęło ani na jej wyniosłą postawę, ani na spokojny ton głosu.

- Ucz się, Taelu - odezwał się Riencharn do siostrzeńca w kaheily, gdy człowieczka wyszła z kuchni. - Właśnie tak powinien się zachowywać kahe w sytuacji krytycznej.

- Ja miałbym się uczyć od lare Rinnelis?! - Młodzieniec był wstrząśnięty. - Przecież sam mówiłeś, że ona jest naszym wrogiem!

- Uczyc się można nawet od wroga - rzekł pouczająco Riencharn. - Zwłaszcza od godnego wroga.



Czułam się... okropnie. Zdradził mnie. Wystawił. A tak mu ufałam! Co gorsza, zupełnie nie wiedziałam, co mam z nim

teraz zrobić. No przecież nie będę się mściła, to i tak niczego nie zmieni. Nawet jeśli starannie rozdepczę odłamki rozbitego kubka, nikomu nie przyniesie to ulgi.

Ale musiałam z nim porozmawiać, to w końcu jakiś punkt zaczepienia, który być może doprowadzi mnie do nieznanego przestępcy. Chociaż niewykluczone, że zabójca lare Ayrel był na tyle inteligentny, żeby nie spotykać się osobiście ze swoimi informatorami. Zapewne tak właśnie było... ale pogadać nie zaszkodzi. Tylko najpierw muszę doprowadzić się do stanu, w którym będę się nadawać do pracy. Teraz nie jestem zdolna do niczego, nawet laro Riencharn popatrzył na mnie współczująco, gdy „triumfalnie” wróciłam. A wszystko dlatego, że pozwoliłam sobie na fanfaronadę, podczas gdy należało wycofać się po cichu.

Na demony... Połują na mnie zupełnie poważnie!

Na domiar złego z mej pamięci wyłoniły się twarze ludzi, których dzisiaj zabiłam. Przerazające... Gdy pozbawisz życia człowieka - nawet w obronie własnej lub czyjejś - potem, gdy już masz czas na refleksje, zaczynasz czuć się jak zbrodniarz. Miałam ochotę upić się i o wszystkim zapomnieć, ale następnego dnia był pogrzeb, a to znaczyło, że czekała mnie kolejna runda walki. Szkoda...

Tak naprawdę nie znosiłam alkoholu, nie piłam z zasady, najwyżej odrobinę białego wina dla smaku, ale w moim fachu prędzej czy później człowiek musi się napić, żeby oderwać się od problemów. W przeciwnym razie można by zwariować... Cóż, takie są uroki pracy śledczego.



- No i...? - zapytał chłodno, chociaż pokorne, przeprasające spojrzenia tego bałwana mówiły same za siebie:

tym razem również nie zdołał pozbyć się zuchwałej dziewczyny, ośmielającej się wtykać nos w nie swoje sprawy.

- Zdołała uciec, laro - powiedział tamten ze skruchą.

- Przecież zapewnialiście, że bez trudu zapędzicie ją w kozi róg! - wybuchnął wściekle.

- Kto mógł przypuszczać, że zdoła czerpać siłę z czarów ochronnych swojego mieszkania? A potem w ogóle zrobiła coś niewiarygodnego! Teraz nie możemy nie tylko tam wejść, ale nawet zbliżyć się do tego mieszkania! Zupełnie jakby go nie było!

- Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia, laro, ale nie ustajemy w próbach. Chyba trzeba będzie usunąć tę gadzinę w inny sposób. Ci idioci są zupełnie bezużyteczni, nawet kuriera nie zdołali pojmać żywego! Kretyni...

- Porozmawiajcie jeszcze raz z tamtym człowiekiem - polecił. - Skoro ma możliwość porozmawiania z nią w cztery oczy, niech z niej skorzysta.

- On odmawia, laro.

- Dlaczego? Dobrze mu zapłacę za głowę lare Tyen. Bardzo dobrze.

- On zna pańską hojność i mimo to... Myślę, że nie może jej zabić z powodu swoich zasad moralnych.

- To znaczy, że przekazanie nam informacji, które mogłyby pomóc ją usunąć, nie kłóciło się z jego zasadami, ale własnoręczne wysłanie jej na tamten świat już tak? Ładne zasady...



- No ileż można...? - spytał retorycznie Riencharn, krążąc po salonie.

Rodzice dijes Rinnelis i Taellon patrzyli na kahe ze źle ukrywaną kpina. Starszy kahe miał już na sobie biały strój, pochwy z chaezrami znajdowały się tam, gdzie powinny, czyli na plecach, a dijes śledczej ciągle nie było! Jak długo jeszcze miał na nią czekać?! Już dziesiąta, jak można spać tak długo?!

- Niech się pan uspokoi, laro Riencharnie - przekonywał go ojciec Żmii. - Risz nie znosi się spóźniać, zejdzie w samą porę, zobaczy pan. Lepiej jej nie popędzać, nie cierpi, gdy się ją budzi.

- No pewnie, wujku Rien! Zwłaszcza że lare będzie dziś potrzebować całej swojej siły. Nie wiadomo, co się wydarzy na pogrzebie - odezwał się Tael.

To prawda. Riencharn sądził, że dijes śledcza ma zamiar pokazać zabójcy tę samą sztuczkę, którą w swoim czasie zaprezentowała jemu, tyle że teraz zamiast medalionu wystąpi on sam.

Dijes Rinnelis zesza, w chwili gdy Riencharn poczuł, że jego cierpliwość się wyczerpała, i postanowił włamać się do sypialni dziewczyny, gwizdząc na ewentualne konsekwencje.

O dziwo, człowieczka wyglądała świeżo, bez śladu zmęczenia czy słabości. Spokojna i skoncentrowana dijes śledcza w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Nawet miała przy pasie ten żałosny sztylecik, który zwykle nosiła do stroju urzędowego, choć teraz nie miała na sobie fioletowej szaty, lecz czarną suknię. Riencharn przypomniał sobie, że czerń jest dla ludzi kolorem żałoby, tak jak biel dla kahe.

- Do twarzy pani w czerni - uśmiechnął się Riencharn, patrząc na dziewczynę. - Ale bardziej naturalnie wyglądałaby pani z vi'irtem w ręku.

Dijes Rinnelis zrozumiała wielopoziomowość tego przytyku i przyjęła wyzwanie.

- Niestety, laro, w czerni wyglądam zbyt blado, zaś miecz nie jest najlepszym przedmiotem w rękach ludzkiej kobiety.

Kahe uznał, że to całkiem niezła odpowiedź.

- Laro Riencharnie, przejdźmy do omówienia pewnych szczegółów - dziewczyna przeniosła rozmowę na służbowe tory.

- O czym chciałyby pani porozmawiać, dijes?

- Po pierwsze, proszę się ze mną nie kłócić i nie protestować, bez względu na to, co powiem - zażądała śledcza.  
- Wszystko, co powiem i zrobię w czasie pogrzebu, nie będzie przypadkowe, i dobrze będzie, jeśli zrozumie pan to już teraz.

- Kolejne działania śledcze? - Uśmiechnął się krzywo.

- Oczywiście.

No tak, a czego się spodziewał po tym śledczym do szpiku kości? Zapewne wszystko w jej życiu podporządkowane jest dochodzeniom.

- Nie sprawię pani kłopotu, dijes - obiecał kahe i dodał z drapieżnym uśmiechem: - Tym razem.

- Doskonale. Dziękuję za zrozumienie, laro Riencharnie. - Dijes Tyen skinęła lekko głową, przyjmując do wiadomości jego oświadczenie.

Kahe poczuł satysfakcję. Jak mówią Zasady Godnych, czyli *Pradawny traktat*, którego każdy kahe uczy się w młodości: „Wrogowie mówią o tobie więcej niż przyjaciele”. A dijes Tyen była wspaniałym wrogiem.



Długo zastanawiałam się nad tym, jak dostać się do willi Ayrelów. Zadanie było niełatwe i wymagało starannego przemyślenia. Po pierwsze, ja i kahe powinniśmy znaleźć się w domu księcia, omijając miejsca możliwych zasadzek, po drugie, musieliśmy zrobić to tak, żeby nikt nie odkrył, gdzie się ukrywamy. Było to zadanie trudne nawet dla mnie. Właśnie dlatego siedziałam w pokoju do ostatniej chwili - a nie z powodu strojenia się, jak przypuszczał mój ojciec. W końcu udało mi się znaleźć rozwiązanie problemu.

Większość magów przywykła do używania zwykłej teleportacji i jej różnych wariantów, zapominając o innych sposobach podróżowania, na przykład o lataniu. Mało kto pamiętał o „skrzydłach wiatru”. Nie byłam Powietrzem, ale mój żywioł nie był mu przeciwny, więc bez przeszkód mogłam użyć „skrzydeł”. Zaklęcie to umożliwia lot i zarazem powoduje rozdzielenie przestrzeni, pozwalając zredukować czas przelotu do minimum.

- Chodźmy na balkon, laro - powiedziałam roztrzęsionym tonem, przygotowując zaklęcie w myślach. Kahe przestrzegał paktu o nieagresji i poszedł za mną w milczeniu, a ja bez lęku kroczyłam przodem. Byłam pewna, że nasza umowa powstrzyma go od zaatakowania mnie. Mieściło się to w ogólnie przyjętych pojedynkowych obyczajach południowców, których nie wolno im było złamać nawet w przypadku pokusy rozwiązania wszystkich problemów jednym celnym ciosem.

- Nie przejdziemy przez pani miejskie mieszkanie? - wyraził zdumienie laro Riencharn, gdy „skrzydła wiatru” stały się widoczne w świecie fizycznym.

- Żałuję, ale moje mieszkanie jest teraz niedostępne - westchnęłam, podając kahe rękę. Musiał znać to zaklęcie,



bo powtórzył mój gest. Gdy nasze dłonie się złączyły, za jego plecami pojawiły się dwa przezroczyste srebrne skrzydła w strumieniu nieziemskiego światła; takie same powinny pojawić się również u mnie. Takie właśnie zaklęcia sprawiają, że niektóre dzikie plemiona biorą magów za mieszkańców nieba.

Mój wzrok padł na połyskujący w promieniach słońca symbol wiszący na piersi nieлюдzia - i omal nie odskoczyłam. Była to niewielka ozdoba w kształcie otwartej dłoni z oksydowanego srebra. Dłoń Śmierci. Moje szanse na zwycięstwo w pojedynku z laro Riencharnem spadły do zera. Taak... Na wtajemniczonych ludziach ten znak robił większe wrażenie niż „skrzydła wiatru” na dzikusach.

- Niech się pan przygotuje, laro Riencharnie, na dość niezwykle odczucia - uprzedziłam go, uspokajając się powoli.

Kahe skinał głową.

Na demony! Co mogłabym przeciwstawić Dłoni Śmierci? Przecież on... Żeby zdobyć taki tytuł, trzeba być nie tylko mistrzem szermierki! Żeby stać Dłonią Śmierci, trzeba przeżyć w walce, z której teoretycznie nie powinno się wrócić, i nie tylko przeżyć, ale jeszcze pozostać stosunkowo całym! Po takim doświadczeniu wojownik przestaje bać się własnej śmierci, pewnie z powodu silnego szoku. Ale jakim cudem nieładzie obniżają próg bólu niemal do zera, nie miałam pojęcia. Tak czy inaczej, gdy oddział kilkuset takich kahe wychodzi na pole bitwy, ich przeciwnikom można zaintonować Pieśń Przejścia. Podczas walki kahe zachowują się jak samobójcy - nieulekli i bezlitośni, a ginąc, zabierają ze sobą wszystkich wrogów, których tylko zdołają osiągnąć.

Gdyby w chwili zatrzymania laro Aen nie był w stanie szoku, Straż straciłaby wielu ludzi, a on na pewno zdołałby uciec. Ciekawe, czy człowiek, który zaplanował tę rozgrywkę, wiedział, że występuje przeciwko Dłoni Śmierci? Coś mi się wydaje, że nie.



Gdy dijes Rinnelis zobaczyła znak Dłoni Śmierci, praktycznie niczym nie zdradziła swojej reakcji. Nie wstrzymała oddechu, nie zadrżały jej ręce, nawet nie zbladła. Nie była jednak w stanie kontrolować źrenic - te rozszerzyły się i kahe zrozumiał: dijes nie tylko spostrzegła znak, ale rozumiała, co on oznacza.

Rzecz jasna, Riencharn włożył ów symbol nie po to, żeby zrobić wrażenie na dijes śledczej. Po prostu musiał jakoś usprawiedliwić brak symbolu Domu, a to był najprostszy sposób. Wielu z Dłoni Śmierci nie nosiło znaków rodu i Domu, uważając, że naznaczeni śmiercią należą przede wszystkim do Białej Pani, a więzy łączące Dłonie są ściślej-  
sze niż więzy pokrewieństwa. Riencharn był wprawdzie innego zdania, ale czemu nie miałby poudawać trochę dla dobra sprawy? Ponadto nikt się raczej nie ośmielił zadawać niepotrzebnych pytań Dłoni Śmierci z chaezrami na plecach. Z jakiegoś powodu ludzie uważali naznaczonych przez Białą Panią za szaleńców, ale w rzeczywistości Dłonie Śmierci są nawet zbyt rozsądni, praktyczni i potrafią prawidłowo ocenić zarówno swoje siły, jak i możliwości przeciwnika.

Wrażenie wywołane „skrzydłami wiatru” rzeczywiście było dość dziwne. Najpierw Riencharn poczuł się tak, jakby jego żołądek chciał się wybrać w samodzielną podróż,

potem jego ciało stało się nieważkie, a przed oczami pojawiła się mgiełka. Riencharn prosił Przodków, by okazało się, że dijes śledcza wie, co robi: teraz gdy jeszcze nie pomścił zabójstwa Sofii, gdy Taellon nadal był w niebezpieczeństwie, kahe po prostu nie miał prawa umierać, zwłaszcza z powodu takiej bzdury jak niewłaściwie zastosowane zaklęcie przemieszczenia.

Gdy znowu poczuł ciężar własnego ciała i twardy grunt pod nogami, zaryzykował otwarcie oczu - chyba tylko po to, żeby zobaczyć na twarzy dijes Tyen nieuchwytną złośliwość. W owej chwili Riencharn przeklinał się za to, że pragnął nauczyć się rozpoznawać nastroj człowieka. Teraz miał za swoje.

- Jesteśmy na miejscu, laro - oznajmiła dijes śledcza nieco kpiąco, wygładzając idealnie leżącą suknię. Ta demonstracyjna perfekcja zaczynała drażnić kahe, podobnie jak irytowałby go widok dziewczynki, która wystroiła się w maminią suknię i wymalowała po dorosłemu.

- Co pan na to, żebyśmy razem rozegrali niewielką partię? - Dijes Rinnelis zmrużyła oczy.

- Będzie to dla mnie zaszczyt - skinął głową Riencharn, biorąc człowieka pod rękę. Rozgrywka zapowiadała się interesująco, a Żmija, jakkolwiek by patrzeć, była wspaniałym partnerem.



Pojawienie się na pogrzebie Rinnelis Tyen i kahe, którego omal nie powieszono za zamordowanie młodej księżniczki, wprowadziło wszystkich obecnych w stan szoku - co najmniej. Powściągliwi i dobrze wychowani arystokraci nieudolnie próbowali zachować spokojny wyraz twarzy, ale niektórzy

zniżali się nawet do pokazywania palcem ekstrawaganckiej pary, która wkroczyła w progi domu Ayrelów. Nieludź był ubrany w wyzywająco biały strój, natomiast śledcza miała na sobie czarną suknię.

- Lare Rinnelis, laro... - powitał przybyłych księżę Ayrel.

- Dielran - przedstawił się kahe z lekkim ukłonem.

- Dziękuję, że zdecydowaliście się dzielić ból z moją rodziną - powiedział szlachcic z nienaganną uprzejmością, choć tak naprawdę demony go brały na widok kahe, który nie tylko miał czelność zjawić się w jego domu, ale w dodatku wystroił się na biało.

Lare śledcza nie mogła nie zauważyć nastroju laro Ayrela, choć księżę doskonale nad sobą panował.

- Proszę wybaczyć, że laro Dielran ma na sobie biały strój. Nosi żałobę po pańskiej córce zgodnie z tradycjami swojego narodu. Dla południowców kolorem śmierci jest właśnie biel - wyjaśniła dziewczyna z umiarkowanie smutną miną i spuściła oczy.

Laro Dielran wyglądał jak uosobienie współczucia, jednak błyski, które płonęły w oczach śledczej i kahe, wyraźnie świadczyły o tym, że tych dwoje przybyło do domu Ayrelów na polowanie. Zwierzyną miał być zabójca Sofii, co stanowiło niejaką pociechę.

- Laro Ayrelu, czy mogę porozmawiać z Polettą, służącą pańskiej zmarłej córki? - zwróciła się Tyen do wielmoży.

- Obawiam się, że to niemożliwe, lare. Ona nie żyje.

- Jak to się stało? Dlaczego nie powiadomiono Straży?

- Nieszczęśliwy wypadek. Spadła w nocy ze schodów. Poletta zawsze była bardzo niezgrabna...

Śledcza przygryzła wargę, kahe miał ponurą minę.

„Dwa drapieźniki - skonstatował książę. - Dwa duże, niebezpieczne drapieźniki, które wpadły na trop. Może to dobrze, przynajmniej zabójca Sofii dostanie to, na co zasłużył. Jak będzie trzeba, lare Tyen ściągnie go z tamtego świata, żeby wydobyć z niego zeznania”.

Pozostali goście, którzy przybyli, by wyrazić swoje kondolencje i pożegnać się z Sofią, traktowali kahe i Żmiję dość nieprzyjaźnie, co chwila rozlegał się czyjś rozdrażniony szept. Jednak Dielran i Rinnelis zdawali się nie dostrzegać spojrzeń spode łba i nie słyszeć szeptów. Książę doskonale rozumiał, że nie był to z ich strony wyraz wyższości czy pogardy, po prostu ta dziwna para była ponad takie drobiazgi.



Człowieczka szła obok Riencharna niczym uosobienie całej godności rasy ludzkiej. Kahe sądził kiedyś, że właśnie tej cechy śmiertelnikom brakuje, jednak na jedną dijes śledczą wystarczyło jej aż nadto. Rinnelis wyglądała wspaniale na tle arystokratów, wyraźnie wstrząśniętych i zdezorientowanych - zapewne częściowo z powodu znaku wiszącego na piersi Dłoni Śmierci.

- Szybko usunęli służącą - zauważyła cichym szepem dijes śledcza, przyglądając się obecnym z leciutkim uśmiechem, lecz czujnie.

- Planuje pani poznać prawdziwą przyczynę jej śmierci?

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Bez względu na to, kto pomógł służącej odejść z tego świata, na pewno nie zostawił żadnych śladów. Myślę, że opłacono innego sługę, którego wkrótce również usuną.

- Ma pani bardzo pesymistyczne podejście.

- Skądże, jedynie realistyczne. Przy okazji, miał pan absolutną rację, Iaro Riencharnie - powiedziała samymi wargami dijes Tyen, nadal z tym samym łagodnym uśmiechem na ustach.

- O czym pani mówi, dijes?
- O Dłoni Śmierci. Nikt się nie odważy zadawać panu niepotrzebnych pytań. A ten, kto bardzo chciałby to zrobić, nie wychyli się - dorzuciła dwuznacznie dziewczyna.  
„Czy ona czyta w myślach?!”
- A co jest przyczyną takiej ostrożności, dijes Rinnelis? - zapytał drwiąco kahe.
- Podobna reakcja wzbudziłaby moje podejrzenia.
- Jest pani dobra w swoim fachu, prawda?
- Zawsze staram się być najlepsza we wszystkim, co robię. I chyba już pan zrozumiał, że w dziedzinie dochodzenia odniosłam pewne sukcesy.
- Przysięgam, dijes, że gdybym nie miał okazji odczuć pani profesjonalizmu na własnej skórze, byłbym znacznie szczęśliwszy - zauważył sarkastycznie Riencharn.
- Pozwoli pan, że porozmawiamy o tym później, w bardziej sprzyjających okolicznościach. Teraz musimy poświęcić uwagę osobom postronnym - uśmiechnęła się człowieczka. - Ośmielę się przypomnieć, że dziś musimy zagrać w duecie.
- A więc zatańczymy... - Kahe uśmiechnął się nieprzyjemnie i spostrzegł, że oczy dijes śledczej rozszerzyły się ze zdumienia.

Riencharn zastanawiał się gorączkowo, co mogło do tego stopnia wzburzyć dijes Tyen, i uznał, że chodziło o jego ostatnie słowa. To dziwne, że lare Rinnelis, która tak dużo wiedziała o jego narodzie, nie знаła ulubionego powiedzonka Dłoni Śmierci.

Naznaczeni przez Białą Panią nie mówili „bić się” czy „walczyć”, tylko właśnie „tańczyć” - władanie mieczem również było sztuką, a spieranie się z tym stanowiskiem uważano za zupełnie niepotrzebne ryzyko. Dlatego gdy

Dłoń Śmierci zapraszała kogoś do tańca, brzmiało to co najmniej dwuznacznie. U ludzi śmierć łączy, nim zabierze człowieka ze sobą, u kahe tańczy.

- Wybaczcie mój brak taktu, laroje - zwrócił się do Riencharna i dijes Rinnelis młody wielmoża, który podszedł do nich z taką miną, jakby nie do końca rozumiał, czemu właściwie to zrobił. - Jestem Terence Jayberry, księżę Veylin, kuzyn zmarłej. A pani to zapewne Rinnelis Tyen, prowadząca śledztwo w sprawie zabójstwa mojej kuzynki?

Człowiek był dość młody i, w kategoriach śmiertelników, przystojny. Szczupły, o jasnych włosach i jasnych oczach, przypominał Riencharnowi Sofię, czym od razu zaskarbił sobie sympatię kahe. W odróżnieniu od pozostałych gości kuzyn Sofii miał na sobie mundur, jednak Riencharn nie potrafił określić jakiej formacji.

- Tak, laro, to ja - skinęła uprzejmie dijes Rinnelis.

Na jej twarzy od razu pojawił się wyraz smutku, nieco zakłócony myśliwskim zapałem, który płonął w jej oczach. - Czego pan sobie życzy?

Człowieczka zadała pytanie takim tonem i z taką miną, że każdy inny od razu zawstydziłby się swojego wścibstwa. Nieszczęsny młodzieniec, najwyraźniej niebędący uosobieniem zdecydowania, speszzył się już ostatecznie - otwierał i zamykał usta, nie potrafiąc udzielić rozsądnej odpowiedzi. Riencharn poczuł rozbawienie. On sam nawet w najgorszych chwilach nie zachowywał się tak żałośnie i nie reagował tak głupio na kolejny wyskok dijes śledczej.

Rinnelis Tyen milczała wyczekująco, dając do zrozumienia, że spodziewa się odpowiedzi na swoje pytanie.

- Ja... chciałbym się dowiedzieć, jak posuwa się śledztwo, lare - wykrztusił w końcu młody arystokrata,



który najwyraźniej marzył o tym, żeby wynieść się stąd jak najdalej.

Kahe zastanawiał się, czemu młodzieniec tak się denerwuje: czy z powodu samej człowieczki, czy może chodziło o Riencharna i emblemat Dłoni Śmierci, doskonale widoczny na śnieżnobiałym ubraniu?

- Co konkretnie pana interesuje? - Dijes Rinnelis uniosła brew, błyskawicznie przechodząc na służbowy ton.

Taka zmiana tonu zawsze wyprowadzała południowca z równowagi. Młody książę Veylin również nie pozostał obojętny na zmianę w zachowaniu dijes śledczej, ale na niego suchy i ostry ton podziałał inaczej. Człowiek od razu przestał się jąkać i spojrzał przytomniej.

- Dlaczego ten kahe jest na wolności? - spytał twardo kuzyn Sofii. - Przecież został pojmany przy ciele mojej kuzynki!

- Dotarłam do faktów niezbitcie świadczących o tym, że Iaro Dielran nie ma nic wspólnego z morderstwem pańskiej krewnej, Iaro Veylinie. A teraz w miarę możliwości pomaga w dochodzeniu - oświadczyła dijes Rinnelis, patrząc prosto w oczy młodego wielmoży, który znów poczuł się nieswojo.

Riencharn zrozumiał, że ten nieszczęsny chłopak jest jedynie ofiarą, myślą niezdolną stawić oporu żmii. Wzbudziło to w nim litość i pogardę. Kahe przywykł szanować jedynie równych sobie. Filozofia wojownika - szanujesz tego, kto może cię osłonić albo zabić w walce. Do równych sobie południowiec zaliczał Rinnelis Tyen, która zdołała złamać jego samego, chociaż uciekła się do oszustwa.

- Och... - powiedział wstrząśnięty Veylin, patrząc to na Rinnelis, to na Riencharna. Na tym wyczerpał się jego

zapas słów i dijes Tyen uprzejmie pożegnała się z księciem, ciągnąc kahe w stronę grupki mężczyzn w podeszłym wieku.

- Witam, laroje - powiedziała dijes tonem pełnym szacunku, gdy z niewinną miną dołączyła do panów oszomionych jej manewrem.

Nikt nie odważył się przegonić przybyszów - zerkali tylko na śledczą i kahe z lekką obawą. Rinnelis uśmiechała się leciutko, samymi kącikami warg. Mężczyźni myśleli zapewne, że jej uśmiech miał pokryć zakłopotanie, ale Riencharn mógłby przysiąc, że wyrażał złośliwą radość.

- E... miło nam panią widzieć... - wykrztusił z wysiłkiem pięćdziesięcioletni mężczyzna z czarną bródką, w której widniały srebrzyste nitki. - Lara...

- Lare - poprawiła człowieczka. - Lare Rinnelis Tyen, śledcza zajmująca się dochodzeniem w sprawie zabójstwa lare Ayrel.

Wszyscy obecni skrzywili się pobłaźliwie - wiedzieli, że żaden szanujący się arystokrata nie pracowałby w Straży, ponadto nazwisko śledczej wskazywało na to, że jest w najlepszym razie mieszczanką. Riencharn z trudem powstrzymał uśmiech i zerknął wyczekująco na człowieczkę. Żmija powinna wyczuć ten cień pogardy, a jeśli dobrze ją poznał, to ci, którzy ośmielili się postawić ją niżej siebie, za chwilę tego pożałują.

Żmija jest bardzo ambitna i nie daruje obelgi, niechby nawet zawołowanej.

- Niestety, w chwili obecnej śledztwo zabrnęło w ślepią uliczkę...

„Jasne, u niej by coś zabrnęło w ślepią uliczkę... Prędzej dijes Tyen rozniósłaby tę uliczkę w drobny mak...”

- ...i muszę zacząć ponownie gromadzić dane - uśmiechnęła się Żmija, drapieżnym wzrokiem obrzucając

posmutniałych szlachciców. - Rozumiem, laroje, że dość blisko znacie czcigodną rodzinę Ayrelów?

Odpowiedzią były potakujące pomruki, dijes zaś mówiła dalej:

- Dlatego lada dzień będziecie musieli, panowie, odwiedzić biuro Wydziału Śledczych. Jutro wyślę panom za wiadomienia - oznajmiła z niebezpiecznym entuzjazmem.

Rzecz jasna, nikt się nie palił do odwiedzenia siedziby śledczych, ale też nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno.

- Przedstawcie się, laroje - poprosiła dziewczyna suchym, oficjalnym tonem, materializując na dłoni znany już Riencharnowi kryształ rejestrujący dźwięki. Cała sytuacja zaczęła podejrzanie przypominać przesłuchanie i uchwycili to wszyscy obecni.

Nikt się nie ośmielił odmówić śledczej na służbie. Rin-nelis Tyen potrafiła wyglądać bardzo przekonująco, zupełnie jakby spłynęła na nią łaska prawa i porządku zarazem. Kahe zdenerwował się lekko, sądząc, że dijes śledcza posunęła się w swojej grze za daleko, jednak spostrzegł, że za udawanym zapałem w oczach Tyen widnieje zimny, dra-pieżny wyraz. Zrozumiał, że wszystko jest pod kontrolą.



Systematycznie pacyfikowałam miejscową faunę metodą banalnego nacisku psychologicznego. Trzeci rok, pierwszy semestr, kaszka z mleczkiem. Przedstawiciele arystokracji peszyli się, próbowali pozbyć się mnie pod różnymi pretekstami, ale ja wybrałam styl zachowania pod tytułem: „Cóż to, czyżby aluzja? Nie rozumiałam jej”. Wyprowadzili

mnie z równowagi i teraz muszą ponieść za to karę. Widziałam, że Iaro Riencharn początkowo zaniepokoił się, czy nie zapomniałam o celu naszej wizyty. Wszystko jednak przebiegało zgodnie z planem, więc odetchnął i pozwolił sobie na rozkoszowanie się sytuacją.

Kahe okazał się ważkim argumentem w dyskusji z możliwymi tego świata. Zwłaszcza kahe z dwoma chaczrami na plecach (nikt się nie odważył poprosić nie-ludzia, żeby zostawił broń na przechowanie u strażników posiadłości) oraz potyskującym znakiem Dłoni Śmierci na piersi. Nikt nie ośmielił się spierać ze mną w obecności Iaro Riencharna - pewnie wszyscy myśleli, że z byle powodu może zechcieć użyć swoich mieczy. Nic dziwnego, Dłonie Śmierci i tak są uważani za szaleńców, a tu jeszcze rozeszła się plotka o bliskich stosunkach łączących zmarłą i mojego byłego podejrzanego. Jednym słowem, widok nie-ludzia niepokoił wszystkich obecnych, a Iaro Riencharna najwyraźniej to bawiło.

Porozmawiałam ze wszystkimi podejrzanymi ze swojej listy. Wiedziałam, że Iaro Aen już dawno ją przeczytał - nie byłam na tyle naiwna, by myśleć, że oprze się pokusie zapoznania się z moimi wnioskami. Z powodu wyczerpania nie zadbałam o to, żeby ograniczyć wścibstwo kahe. Mój błąd. Wprawdzie moje niedbalstwo nie doprowadziło do wszechświatowej katastrofy, ale teraz będę musiała uważnie obserwować Iaro Riencharna, żeby w razie konieczności stłumić w zarodku wszelkie próby wtrącania się do moich planów. Niech się dzieje, co chce - muszę wygrać z tym południowcem!

Artur Moss, starszawy brodac, który próbował jakoś się znaleźć, gdy podeszłam do pierwszej grupy kwiatu szlachty królestwa, rozczarował mnie. Ten człowiek nie mógł mieć

nie wspólnego z kryminalistami, wystarczyło spojrzeć na jego poruszające się powoli i leniwie dłonie, na oczy błyszczące sytym zadowoleniem. On miał absolutnie wszystko i uważał, że nie ma sensu tracić sił na zdobywanie czegoś więcej. Tacy ludzie nie dokonują wielkich czynów ani nie popełniają wielkich przestępstw. Zupełnie nieprzyszłościowy typ. Nie lubię takich, przyprawiają mnie o ból zębów.

Edmund Alyen był z kolei opóźniony umysłowo, o czym wszyscy od dawna wiedzieli, choć bardzo starannie tego nie zauważali - jedwab i złoto mogą doskonale zastąpić intelekt i urodę, których młody człowiek z pozątką, chorobliwie obwisłą twarzą nie posiadał. Nie, to duże dziecko nie mogłoby nawet udawać władcy na tronie.

Veylin... Ten typ budził konkretne podejrzenia. Po pierwsze, był prawie w tym samym wieku co zmarła księżniczka, a to znaczyło, że mogło ich coś łączyć; po drugie, księżę Ayrel wspomniał, że ten młody człowiek jest częstym gościem w ich domu; po trzecie, jego wścibstwo... Ale z drugiej strony... Człowiek dwudziestoletni rzadko używa mózgu zgodnie z przeznaczeniem, raczej nie wdaje się w politykę. Zwykle młodzież w tym wieku bardziej interesuje się płcią przeciwną i jak to się mówi, używa życia. Choć oczywiście zdarzają się wyjątki.

Za to Victor Teynnor zrobił na mnie jak najlepsze wrażenie. Doświadczony, inteligentny drapieźnik tuż po trzydziestce, o mrocznej urodzie, doprowadzającej kobiety do utraty świadomości. Doskonale wiedział, czego chce od życia i jak to zdobyć, co od razu wzbudziło mój szacunek oraz wrażenie, że jesteśmy pokrewnymi duszami. Zapewne laro Teynnor poczuł to samo, bo spędziliśmy kilka minut na wspaniałej potyczce słownej. Ten człowiek mógłby bez trudu zaplanować zamach stanu i przeprowadzić go po

mistrzowsku. Inteligencja, elastyczność zasad, fantazja, żyłka awanturnicza... Tak, on na pewno zdołałby obalić obecnego monarchę. Do tego dochodził jego status doradcy króla i bliskiego przyjaciela rodziny królewskiej. A mimo to odniosłam silne wrażenie, że w tej chwili laro Victor nie ma nic wspólnego z żadnymi intrygami. Zapewne tak właśnie pies myśliwski odróżnia stary trop od świeżego. Nawet najbardziej wpływowy człowiek denerwuje się na widok śledczego, jeśli tylko ma coś na sumieniu.

Jeszcze jeden mężczyzna wydał mi się bardzo obiecujący w kwestii organizacji przewrotu. Valentin Twindale. W pewien nieuchwytny sposób przypominał mi zmarłego Entrela i nie chodziło tylko o kolor włosów - miał rudą czuprynę z kilkoma nitkami siwizny. Zdarza się, że człowiek bardzo przypomina jakieś zwierzę - a hrabia Marlow kojarzył mi się z doświadczonym lisem, który nie raz szturmował kurniki. Ten mężczyzna nawet teraz spoglądał na obecnych tak, jakby planował kogoś ograbić albo zdążył już sprzedać wszystkich obecnych handlarzom niewolników po cenie hurtowej. Myślę, że gdyby nie szlachetne urodzenie, laro Twindale byłby częstym gościem w naszym areszcie.

Książę Across zachował się wyjątkowo ciekawie: popatrzył na mnie i mojego towarzysza z jawnym wstrętem, po czym oznajmił, że „nie ma zamiaru rozmawiać z tą suką śledczą i jej kochankiem”. Ja i nieludź mimowolnie popatrzyliśmy na siebie z osłupieniem. Na twarzy kahe pojawił się wyraz źle skrywanego obrzydzenia, podejrzewam, że na mojej małowało się coś podobnego. Z drugiej strony to dość naturalne, że opinia publiczna uznała, iż kahe zdobył wolność poprzez łóżko młodej lare śledczej. Pomyślałam, że może jednak należałoby udusić laro Riencharna, który zdołał

zepsuć moją nienaganną reputację, ale widząc oburzenie kahe, odpędziłam tę myśl. Jemu najwyraźniej również nie odpowiadał status kochanka śledczej. To nieco poprawiło mi humor i śmierć kahe została odroczone.

Musiałam wyjaśnić laro Aleksandrowi Inworowi, że pracownicy Straży są sprawiedliwi i nieprzekupni, zaś obrażenie śledczego na służbie podlega karze więzienia do lat trzech. Jego Ekscelencja prychnął wzgardliwie, ale zaprzestał wygłaszania uwag na temat mojego życia osobistego, ja zaś z pewnym żalem skreśliłam go z listy podejrzanych. Do takiego chamstwa wobec przedstawicieli władzy są zdolni jedynie krystalicznie uczciwi ludzie. A szkoda.

Ashley Winsset nie zaszczycił zebranych swoją obecnością, co od razu mnie zaintrygowało i wzbudziło uzasadnione podejrzenia. Dlaczego wielmoża nie przyszedł? Był bliskim krewnym Ayrelów, siostrzeńcem lary Elizy. Czyżby to on był tym nieznanym, który wolał się ze mną nie spotykać? Trzeba będzie bliżej mu się przyjrzeć.



- Skończyła pani swoje sprawy, dijes? - spytał po cichu kahe.

- Tak, laro. - Skinęła głową twierdząco. - Myślę, że już się pan zorientował, że miałam przyjemność porozmawiać ze wszystkimi obecnymi tu podejrzany.

- Jednego nie było - zauważył Riencharn. Udawanie, że nie znał nazwisk podejrzanych, nie miało sensu.

- To prawda - przyznała dijes Tyen, przymykając oczy ze znużeniem. No tak, ręka człowieczki jeszcze się

nie zagoiła, a ludzie to istoty śmiesznie kruche, wystarczy małe draśnięcie i już słabną. - Ale w najbliższym czasie postaram się wynagrodzić laro Winssetowi ten brak uwagi - uśmiechnęła się dijes Rinnelis. - A teraz powinniśmy pożegnać się z gospodarzami i wyjść.

- Nie pojedziemy na cmentarz?

- Niestety, to zbyt niebezpieczne, laro - pokręciła głową dijes śledcza. - Istnieje spore prawdopodobieństwo, że zostalibyśmy tam już na zawsze.

- A co z pani kontaktami w Straży, dijes?

- O nich można zapomnieć. - Skrzywiła wargi, odwracając się pospiesznie. - Obawiam się, laro, że ze swoimi problemami będzie pan musiał radzić sobie sam, w celu uniknięcia jeszcze większych problemów.

- Pozwoli mi pani pożegnać się z Sofią?

- Oczywiście, laro. W tej chwili przy trumnie nie powinno być nikogo, wszyscy są w sali jadalnej. Myślę, że nikt nie będzie panu przeszkadzać.

Dijes taktownie nie poszła za nim. Zresztą Riencharn gotów był postawić swoje życie przeciwko miedzianemu groszowi, że człowieczka już dawno umieściła na nim znak magiczny.

Sofia wyglądała na pogrążoną we śnie i była jeszcze piękniejsza niż za życia. Uduchowiona twarz o nieregularnych, ale zdumiewająco ładnych rysach była piękna nawet mimo martwej bladoci.

- Znajdę go, bez względu na to, kim jest. Znajdę i zabiję - obiecał południowiec w kaheily. - Nie uniknie kary.

Słowa były obrzydliwie patetyczne, ale co innego mógł powiedzieć tej, która umarła dlatego, że on był tym, kim był? Przeprosiny brzmiałyby jeszcze bardziej głupio, poza tym kahe nie przeprasza, a błędy zmywają krwią, swoją



lub cudzą. Południowcy rodzili się i umierali jako wojownicy, tak było prościej. Riencharn wiedział: zemści się i ból minie, będzie mógł żyć normalnie i przynosić pożytek Domowi. A smutek... smutek powinien stać się światłem i sensem, który doda mu siłę, pozwoli oddychać i pójść dalej. Dłoń Śmierci jest przyzwyczajony do tego, że Biała Pani podchodzi bardzo blisko i zabiera to, co najdroższe.



W tym momencie laro Aen wydawał mi się niemal szalony: poszarzała twarz, spojrzenie utkwione w pustce, kurczowo zaciśnięte ręce. Ale Dłoń Śmierci z definicji nie może być normalny; kahe był szalony, chociaż nie rzucalo się to w oczy. I jeśli w najbliższym czasie nie policzy się z mordercą lare Ayrel, to pojawią się poważne problemy - w moim życiu. Jeśli szaleńcowi nie pozwoli się zaspokoić dręczącej go obsesji, będzie próbował zniszczyć to, co znajdzie się na jego drodze - na przykład skromną śledczą Rinnelis Tyen. Zresztą ja to jeszcze nic, od początku jestem przygotowana na taką ewentualność. Ale rodzice... Z całym szacunkiem dla mojej niezrównanej mamy, lecz nie sądzę, by zdołała poradzić sobie z Dłonią Śmierci stojącym na krawędzi szaleństwa. A tata... On w najmniejszym stopniu nie był wojownikiem i kahe załatwiłby go bez trudu. Krótko mówiąc, laro Riencharna i jego siostrzeńca należało jak najszybciej gdzieś przenieść. Ja ze swoim nędznym życiem mogę robić, co mi się podoba, ale nie wolno mi narażać rodziców. Już i tak wciągnęłam ich w tę historię, ale co innego zagrożenie z zewnątrz, a co innego oszalały nieludź w domu. To już naprawdę przesada...

Na demony! Co ja mam zrobić z laro Riencharnem i laro Taellonem? Zawsze miałam mało przyjaciół, a teraz mam ich jeszcze mniej. Zresztą czy mogłabym narazić Lera? To nie jest przeciwnik dla laroja Aenów, a jeśli nieznani mi złoczyńcy przyjdą po kahe, alchemik nie będzie miał najmniejszych szans przeżycia. Do wydziału tym bardziej ich nie zaprowadzę. Zdaje się, że miałam poważny problem i nie widziałam rozwiązania.

Kahe stał dłuższą chwilę przy otwartej trumnie, a potem wrócił do mnie. Tym razem wyglądał zupełnie normalnie, tylko źrenice miał rozszerzone, jakby nawdychał się jakichś narkotycznych oparów. Uznałam, że jego kondycja była do przyjęcia. Najważniejsze, że nie wszedł w stan ill-kass, cudownego szaleństwa, które podobno darowuje sama Śmierć. Teraz był prawie zupełnie normalny, a to znaczyło, że poprzednie reguły gry pozostawały w mocy: na razie jeszcze się mnie obawiał, uważał za silną, czyli jeszcze długo miał konstruować plan naszego przyszłego starcia, długo będzie czekał na odpowiednią, jego zdaniem, chwilę do ataku. Największa moja przewaga to strach kahe, a główny gwarant tego strachu - jego poczytalność. Zatem należało ze wszystkich sił podtrzymywać obraz nieustraszonego śledczego i nie pozwolić kahe pogрузić się w swojej rozpacz, bo wtedy... Nie, o tym lepiej nie myśleć - tego „wtedy” po prostu mogę nie doczekać.

Oczywiście najbardziej palącą kwestię stanowił teraz powrót do domu w taki sposób, żeby nie zdołano nas wysledzić. „Skrzydła wiatru” można było z góry odrzucić - ta sama sztuczka nie przejdzie dwa razy z rzędu. Niestety, będę musiała sięgnąć do tych wiadomości z dziedziny magii, które spokojnie odpuściłam sobie po ukończeniu akademii.

Taak... Najwyraźniej tracisz głowę, Rinnelis Tyen, skoro do tej pory nie pomyślałaś o powrocie. Czyżby to wpływ zmęczenia? Hańba i karygodna beztroska! Powinnam była zaplanować swoje działania na dziesięć posunięć naprzód. Nie zrobiłam tego. Teraz płaciłam za własne lenistwo.

W mojej pracy zwykle wykorzystuje się standardowe, ogólnie przyjęte zaklęcia. Magowie w Straży bardziej niż na swoim mistrzostwie polegają na przewadze liczebnej i sile. Śledczy generalnie wolą amulety, by nie obciążać zbyt ciężko mózgu, potrzebnego podczas śledztwa do prowadzenia zawiłych analiz.

Teleportacja oznaczała samobójstwo, wysledzą nas, zanim dotrzemy na miejsce. Co jeszcze? Można by spróbować „lustrzanej drogi” - rzadkiego zaklęcia, zdobytego dzięki bliskim kontaktom z pewnym wampirem. One lubią używać powierzchni odbijających, może w ten sposób próbując zrekompensować sobie bezużyteczność luster. Co prawda „lustrzana droga” powiązana jest z żywiołem Ziemi, ale jakoś temu podołam. Dobrze, że nie Woda - przeciwnemu żywiołowi nie dałabym rady nawet w szczytowej formie, a już teraz o takich eksperymentach nie mogło być mowy.

- Risz! - czyjś okrzyk wyrwał mnie z rozmyślań.

Tarn. No tak, on mógł się domyślić, że będę na pogrzebie. - Wszędzie cię szukałem!

Odwrociłam się i zobaczyłam szeroki, serdeczny uśmiech kolegi.

- Gdzie cię nosiło, nieszczęsna? I po jakiego demona ciągniesz za sobą tego kahe?! Ma wypisane na twarzy, że pragnie cię zabić w ciemnym zaułku!

Oglądałam Tarna z naukowym zainteresowaniem, mając nadzieję, że zauważę coś podejrzanego w jego wyglądzie

lub zachowaniu. Niestety! To nadal był mój dawny przyjaciel, który ukończył akademię razem ze mną i zawsze osłaniał mnie w razie potrzeby. Nie wyrosły mu ani rogi, ani skrzydła, ani żadne inne dodatki. Jakie to dziwne... Ten sam człowiek, tak dobrze mi znany, a teraz patrzę na niego zupełnie inaczej.

- On przynajmniej jest szczery co do swoich zamiarów. - Wzruszyłam ramionami, patrząc obojętnie w oczy Tarna.

Ten ściągnął brwi, jakby próbował zrozumieć powód tej nagłej zmiany w moim zachowaniu: z przyjacielskiej życzliwości do służbowej neutralności.

- Słońce, co z tobą? - zapytał ze zdumieniem, ale kącik jego ust drgnął zdradziecko, ujawniając niepokój.

- Tarn, to przecież ty zawsze mówiłeś o wielkiej sile mojego intelektu, prawda?

Tarn skinął głową.

- Czemu wobec tego traktujesz mnie jak idiotkę? - Uśmiechnęłam się serdecznie. - Czy naprawdę ty, który tak dobrze mnie znasz, mogłeś przypuszczać, że nie rozumiałam, kto przekazuje informacje o mnie?

Wstrząśnięty kahe otworzył usta, patrząc to na mnie, to na mojego byłego przyjaciela. Zdaje się, że nieludź nie potrafił pojąć, jakim cudem, praktycznie nie opuszczając domu rodziców, zdołałam dojść do takich wniosków.

Tarn nieco zbladł, ale zdołał utrzymać na twarzy maskę zdumienia. Może ktoś inny uwierzyłby w jego niewinność, ale ja sama zbyt dobrze i zbyt długo nosiłam rozmaite maski, żeby nie rozpoznać fałszu. Poza tym i tak byłam lepsza w udawaniu.

- Risz, chyba za bardzo wciągnęło cię to śledztwo - prychnął Tarn, uśmiechając się z wyrzutem. - Świetnie wiesz, że jesteś moją najbliższą przyjaciółką, znamy się

tyle lat! Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy coś takiego?!

- Chcesz wysłuchać całego łańcucha przemyśleń, które doprowadziły mnie do tak smutnych wniosków, czy ograniczysz się do zapewnienia, że wnioski faktycznie miały miejsce, że podparłam je wystarczającą ilością faktów dowodzących twojej winy i że każdy sąd przyjąłby je w charakterze dowodów? - spytałam sucho.

- Zwariowałaś! - rzucił ze złością ten bliski mi niegdyś człowiek. Większość takich związków w efekcie przynosi pustkę i rozczarowanie, wiedziałam o tym, a mimo to nadal nie potrafiłam do tego przywyknąć.

- Ile ci zapłacili, Tarn? - rzuciłam. - Jaka jest aktualna cena przyjaźni i sumienia zarazem? Chyba coś przegapiłam i jestem nie na czasie. Zawsze mi się zdawało, że te rzeczy są bezcenne.

Tarn znieruchomiał, jakby go zamrożono. Owszem, istnieją takie zaklęcia, lecz ja, niestety, ze swoim przywiązaniem do Ognia mogę najwyżej pomarzyć o ich zastosowaniu. W tej chwili miałam ochotę zrobić coś naprawdę strasznego temu dwulicowemu typowi, który ośmielał się mienić moim przyjacielem. Przyjaciele to w ogóle dziwna kategoria ludzi. Mówi się, że powinni wspierać się w każdej sytuacji, wybaczać sobie błędy, osłaniać się... A potem patrzysz swojemu przyjacielowi w oczy i doskonale wiesz, że teraz kłamie, a bardzo możliwe, że kłamał też o wiele wcześniej, tylko po prostu się tego nie dostrzegało, nie chciało widzieć, głupio i naiwnie nie pozwalało się pękniętemu kubkowi rozpaść na garść odłamków. Z laro Riencharnem rzeczywiście jest znacznie prościej - oboje znamy swoje zamiary, określiliśmy jasno reguły gry. To przynajmniej było uczciwe.

- Risz...

- Wystarczy - westchnęłam. - Dajmy temu spokój, męczy mnie ta farsa. Bądź tak dobry i powiedz, o co ci konkretnie chodzi. I tak mnie nie przekonasz do tego, w co już nie wierzę.

- Bo dla ciebie zawsze najważniejszy był cel! - zawołał Tarn z niespodziewaną złością. - Nie widzisz nic prócz swojego śledztwa! Nie jesteś już nawet człowiekiem, Rinnelis! Jesteś mechanizmem! Nie ma w tobie nic ludzkiego! Wysłałabyś na śmierć każdego, jeśli tylko pomogłoby ci to dopaść przestępcę!

- Być może. - Skinęłam głową. - Tylko że ja mimo całej swojej nieludzkości nigdy nikogo nie zdradziłam. Mógłbyś powiedzieć to samo o sobie? I nie udawaj, że postanowiłeś sprzedać mnie dopiero po śmierci Entrela. Pracowałeś dla zabójcy lare Ayrel znacznie wcześniej!

Tarn nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł obalić żadnego z moich oskarżeń.

- Nie złożę na ciebie raportu, Tarn. Przez pamięć o naszej dawnej przyjaźni. Ale nie dajcie bogowie, żebyś jeszcze raz wtrącił się do moich spraw - zetrę cię na proszek. Wiesz, że wystarczy mi na to sił, możliwości i fantazji.

- Grozisz mi? - zapytał niby hardo, ale jego głos drgnął, a twarz mu poszarzała. Boi się...? Dziwne...

- Brońcie bogowie, jedynie uprzedzam o możliwych konsekwencjach tego głupstwa, o którym na pewno pomyślałeś. - Wyszczrzyłam się w paskudnym uśmiechu.

- Sama jesteś sobie winna, Rinnelis Tyen! - rzucił mi w twarz.

- Oczywiście - przyznałam. - Powodem tego, co się stało, były wyłącznie moje błędy. Teraz je naprawię. Miłego dnia, laro Reys.

Nastała chwila milczenia.

- Nie masz zamiaru nic ze mną zrobić? - spytał nieufnie Tarn.

- Przecież powiedziałam, że nie złożę raportu.

- O, tak jakby raport był jedynym sposobem zemsty!

- Ja w odróżnieniu od większości moich kolegów zawsze działałam w ramach prawa, nawet jeśli chodzi o moje własne interesy.

Ani ja, ani mój były przyjaciel nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia. Co za farsa... Idiotyczna gra, która nie przyniosła nic prócz rozdrażnienia i rozczarowania. I ja pozwoliłam, żeby ktoś taki mnie oszukał?! Beztalencie niemające pojęcia o uczciwości i zasadach?! Ohyda.

Tarn wahał się, chyba bał się odejść i odwrócić do mnie plecami. Pewnie sądził, że zmienię zdanie i mimo wszystko spróbuję go zabić. I bardzo możliwe, że byłaby to dla mnie najrozsądniejsza rzecz... Ale nie zamierzałam rezygnować z własnych zasad. Zdradzenie drugiego człowieka to ciężkie przestępstwo, ale zdrada siebie - jeszcze cięższe.

Splotłam palce w geście ataku i przebiłam się do świadomości Tarna. Nigdy nie czytałam myśli bliskich mi ludzi, uważałam to za nieuczciwe. No i, szczerze mówiąc, bałam się dowiedzieć, co tak naprawdę o mnie myślą. A teraz było mi już wszystko jedno. Na pewno nie będzie gorzej, za to być może dowiem się, kto postarał się o wciągnięcie Tarna do tej imprezy. Nic osobistego - tylko praca. Teraz to już wyłącznie praca, nic więcej.

Niestety, nie udało mi się odfiltrować najbliższych myśli i miałam wątpliwą przyjemność poznać cudzą opinię o mojej skromnej osobie, ze szczegółami obciążonymi negatywnymi emocjami.

Następnie zanurzyłam się w pamięć Tarna, metodycznie odrzucając to wszystko, co nie dotyczyło interesującej mnie sprawy. Śladem, po którym szłam, było poczucie winy, słabiutkie, ale widoczne, zepchnięte tak głęboko, że nawet sam Tarn Reys o nim nie wiedział. To właśnie вина doprowadziła mnie do chwili spotkania z pośrednikiem i do każdego epizodu przekazywania informacji o mnie.

Czysta robota. Żadnego punktu zaczepienia. Tarn nawet nie miał pojęcia, dla kogo właściwie pracuje. Kontaktował się z Kulawym Nickiem, zwykle wynajmowanym przez dwudziestego pośrednika, więc nie dam rady wysledzić wszystkich ogniów.

Znowu mnie przechrzyli.

Tarn oczywiście poczuł ingerencję w świadomość, ale wyrzucenie mnie było równie łatwe jak odciążenie buldoga wczepionego w czyjaś nogę. Popatrzył tylko na mnie wściekle, odpowiedziałam zimnym spojrzeniem, a Tarn cofnął się i jakby skulił. Jeszcze przez minutę czy dwie próbował rywalizować ze mną w pojedynku spojrzeń, ale to ja miałam wszystkie asy, więc mógł się jedynie oddalić. Stropiony laro Riencharn przez cały ten czas milczał taktownie. Trzeba przyznać, że południowcy są jednak doskonale wychowani.

- A teraz, laro, znajdziemy odpowiednie miejsce i wyniesiemy się stąd, nie czekając na kolejne nieprzyjemne spotkanie.

- To był jeden z pani przyjaciół? - zapytał kahe z nutką ciekawości w głosie.

- Cóż począć, najwyraźniej nie znam się na ludziach - westchnęłam. - Ale nie przypuszczam, by interesowały pana moje problemy osobiste.

- Wroga należy dobrze poznać - odparował.



- Bardzo rozsądne - przyznałam. - Ale tak czy inaczej, nie ma pan żadnych szans.



- To się jeszcze okaże - odciął się Riencharn, chociaż w myślach przyznał rację dijes śledczej. Rzeczywiście nie miał szans przeciwko Żmii. To, co go uziemiało, jego największa słabość, siedziało teraz w domu dija Tiany, obrażone na swojego wuja - zaś dijes Rinnelis odrzucała wszystko, co jej przeszkadzało, z niezwykłą, przerażającą łatwością, jakby marności tego świata nie miały dla niej żadnego znaczenia.

Zresztą Riencharn nie miał teraz czasu na roztrząsanie własnej wrażliwości, były pilniejsze sprawy: w jaki sposób dijes Tyen planuje wydostać się z tej willi? Chyba człowieczka nie pozwoli sobie na takie głupstwo jak teleportacja, a powtórne użycie „skrzydeł wiatru” byłoby karygodną lekkomyślnością, żeby nie powiedzieć głupotą.

Dijes Rinnelis rozejrzała się czujnie, upewniła, że nikt ich nie obserwuje, wysłała nawet zakłęcie szukające, nie chcąc niepotrzebnie ryzykować. Następnie podeszła do wielkiego lustra wiszącego w holu i powoli przesunęła dłoń nad jego powierzchnią. Riencharn wyczuł delikatne wahania mocy i zrozumiał, że dijes śledcza prezentuje wysoki poziom zdolności magicznych: niewielu potrafiło tak „bezszelestnie” czarować.

- Rozumiem, że to są właśnie te drzwi, przez które opuścimy dom księcia? - nie tyle zapytał, co stwierdził kache.

- Jak zawsze jest pan zadziwiająco przenikliwy, laro - odrzekła dziewczyna, robiąc skomplikowany gest lewą ręką.

Zakłęcie było bardzo pracochłonne, ciemne i podejrzenie przypominało to, którym posługiwały się wampiry.

- „Lustrzana droga”? - upewnił się Riencharn.
- Owszem - przytaknęła dijes Tyen, nie okazując zdziwienia jego domyślnością. - Dość wygodny sposób poruszania się, często używany przez wyższe wampiry, nie zostawia żadnych śladów.
- A także bardzo energochłonny - dodał kahe.
- W mojej sytuacji nie mogę sobie pozwolić na ma-  
łostkowość - odparła i pstryknęła palcami, uruchamiając  
mechanizm zakłęcia.

Tafla lustra pokryła się zmarszczkami, a potem nieprzej-  
rzystą mgielką, przypominającą bielmo na oku. Powiało  
nieprzyjemną magią.

- Zapraszam, laro... - Dijes śledcza wskazała lustro.

Riencharn nie miał najmniejszej ochoty iść pierwszy, ale  
zdawał sobie sprawę, że raczej nie pozostawiono mu wybo-  
ru. Przechodząc przez lustro, natychmiast zrozumiał, dla-  
czego tego zakłęcia używają głównie wampiry: żadna żywa  
istota nie zdecydowałaby się z własnej woli na takie odczu-  
cia. Mężczyzna miał wrażenie, że coś wywraca go na lewą  
stronę i jednocześnie rozrywa na kawałki. Pociuszające było  
tylko to, że dijes Rinnelis zapewne czuła to samo. Jednak  
człowieczka, zjawiając się w domu rodziców kilka sekund  
po Riencharnie, w żaden sposób nie dała po sobie poznać,  
że jest niezadowolona z wybranego środka lokomocji.

- Wampiry nie są zbyt wymagające, jeśli chodzi o  
wygodę - zauważył Riencharn, choć obiecywał sobie, że nie  
okaże słabości w obecności dijes Tyen.

- Śledczy również. - Wzruszyła ramionami, kierując  
się do kuchni i pozostawiając swojego jeńca samemu sobie.

Od razu pojawili się rodzice dijes Rinnelis i zasępiiony Taellon, spoglądający nieprzyjaźnie na wuja.

- I jak poszło? - spytała dija Tiana.
- Na razie pusto - westchnęła dijes śledcza. - W dodatku usunęli jedyne go świadka... A obiad jest?
- Jest! - prychnęła jej matka. - Jesz za dwóch.
- Praca umysłowa pochłania mnóstwo energii, muszę ją zregenerować - odparła z godnością człowieczka. - Rodzonej córce żałujesz kromki chleba?
- Łatwiej cię ubierać, niż wyżywić - roześmiał się dije Herius. - Idź się przebrać i nie zapomnij umyć rąk, w końcu wracasz z pogrzebu.
- Dobrze, dobrze - opędziła się dijes Rinnelis, idąc do siebie. - Będę za pięć minut.

I rzeczywiście zjawiła się w kuchni pięć minut później, w domowym stroju, który sprawiał, że wyglądała na młodszą i mniej groźną. Riencharnowi to się nie podobało - budziło nieuzasadnione nadzieje. Już wolał, żeby Żmija działała mu na nerwy tym obrzydłym fioletowym kolorem, żeby syczała. To przynajmniej było uczciwe.

Tael był w okropnym humorze. Okazało się, że gdy po raz kolejny próbował podsłuchiwać, dija Tiana zmusiła go do zrobienia porządków na strychu, żeby nie nabijał sobie głowy głupstwami. Młodemu kahe ta reedukacja najwyraźniej się nie spodobała, ale dija Tyen była równie nieugięta jak jej nieznośna córka i potomek rodu Aen porządnie się napracował. Gdy dijes Rinnelis poznała powód niezadowolenia swojego drugiego podopiecznego, jedynie uśmiechnęła się złośliwie.

- Czy mi się zdaje, czy znów planujesz narażać się dla dobra śledztwa? - zapytała matka dijes Rinnelis, nalewając zupę na talerze. W jej głosie jednak nie wyczuwało się niepokoju.

- No, trochę... - wzdryła ramionami śledcza, z przyjemnością wdychając zapach jedzenia. - Nic nowego.

Riencharn popatrzył na dziewczkę, ściągając brwi.

- Głupota - zawyrokował dije Herius.

- A mam inne wyjście? Ten typ jest na tyle wpływowym, że zdołam go dorwać jedynie wtedy, gdy zostanie przyłapanym na gorącym uczynku, kiedy przystawi mi nóż do szyi.

- Możesz jeszcze rzucić to wszystko - zaproponowała dija Tiana, patrząc badawczo na córkę. Ta pokręciła głową zirytowana.

- Właśnie w tym rzecz, że nie mogę. Będą próbowali mnie zabić tak czy inaczej, za głęboko w tym siedzę, za dużo wiem. Muszą mnie usunąć. Poza tym dobrze wiesz, że nigdy nie porzucam rozpoczętej sprawy.

- A pani bezpieczeństwo? - wtrącił się do rozmowy Riencharn.

Zupełnie nie rozumiał, dlaczego dijes Rinnelis zachowuje się tak irracjonalnie, świadomie wystawiając się na cios.

- Istnieje coś ważniejszego od bezpieczeństwa, laro Riencharnie - odparła dziewczka z wyniosłym uśmiechem. - I myślę, że świetnie pan o tym wie. Gdyby było inaczej, już dawno wróciłby pan na ziemię Domu Erris.

- Ja jestem kahe - sparował Riencharn. - Dla nas tradycja znaczy więcej niż dla was prawo.

- A ja jestem Rinnelis Tyen - odparła dijes Rinnelis.

- Lubi pani być wyjątkowa, co? - zapytał kahe złośliwym tonem, mierząc ją wzrokiem.

- Nie ma pan nawet pojęcia, jak bardzo. - Uśmiechnęła się.



O tak, byłam bardzo ambitna i nie wstydziłam się tego. Straciłam mnóstwo sił oraz czasu na to, żeby stać się doskonałością w wybranych dziedzinach, i sądzę, że teraz mam prawo być z tego dumna.

- Nigdy nie należy ukrywać swoich zalet, w przeciwnym razie ich istnienie na zawsze pozostanie tajemnicą dla otoczenia. Skromność często mylona jest ze słabością lub nikczemnością, a więc należy tłumić ją w zarodku.

- Bardzo możliwe, że tak - laro Riencharn nie spierał się ze mną. Z roztargnieniem bawił się nożem stołowym.

Od razu poczułam niepokój. Ciekawe, co mógłby zrobić Dłoi Śmierci uzbrojony w srebrny sztuciec? Może nasi południowi goście powinni jeść rękami? Nie, to wyglądałoby idiotycznie. Ale rodzice... Nie, byłby to wyraźny przejaw słabości, a wtedy kahe mógłby zacząć działać. Na demony, jeszcze trochę i stanę się panikarą, kliniczną histeryczką.

- Często używa się pani w charakterze przynęty? - spytał nieludź w zamyśleniu.

- Rzadko. Wyłącznie w razie konieczności, laro.

- A więc nie jest pani zupełnie pozbawiona instynktu samozachowawczego.

- Zapewniam pana, laro Riencharnie, że Risz spróbuje naprawić to przeoczenie - westchnęła mama.

- Czemu? - zdumiał się Taellon.

- Naprawdę sądzi pan, że wyjawię wszystkie moje sekrety, laro? - Uśmiechnęłam się drwiąco.

Biedny nieludź speszył się i zerknął na wuja, widocznie licząc na wsparcie. Jednak laro Riencharn zajął się jedzeniem, nie zwracając uwagi na problemy siostrzeńca i wspinałomyślnie pozwalając mu wybrnąć samemu.

- Ee... no... ja nie jestem pani wrogiem... to tylko wujek... - zaplątał się młodszy kahe.

- O? W dodatku odżegnuje się pan od własnego krewnego? - zdumiałam się pokazowo. - Stąd już niedaleko do odcięcia się od własnego Domu!

- Niech pani przestanie - laro Riencharn postanowił jednak się wtrącić. - Tael nie ma z tym nic wspólnego i proszę nie mieszać do naszych spraw Domu Erris. To daliss, moja osobista zemsta, innym członkom Domu nic do tego.

- A więc tak to wygląda... - powiedziałam w zadumie. - Wysoko postawiony członek rodu Aen, pochłonięty swoją daliss, zapomina o interesach Domu i nie informuje przywódcy o prawdziwym celu swojej podróży...

Riencharn zacisnął pięści i zgrzytnął zębami, a ja pozwoliłam sobie na pobłażliwy uśmiech.

- Taki czyn nie przystoi dorosłemu mężczyźnie i jednemu z najbliższych pomocników przywódcy Domu.

- Dijes, jest pani dziś bezlitosna jak nigdy - westchnął oskarżycielsko.

- Nie bardziej niż zwykle. - Moja mama wzruszyła ramionami. - Po prostu pan, laro Riencharnie, za bardzo odkrył się dzisiaj przed Risz, a moja córka nigdy nie przepuściłaby tak wspaniałej okazji. Mam rację?

- Oczywiście - nie spierałam się. Przyznaję, że pod pewnymi względami byłam sadystką.

Teraz obiad przebiegał w pełnym napięcia milczeniu. Rodzice co chwila wymieniali spojrzenia, mama trącała mnie nogą pod stołem, aż musiałam z całych sił powstrzymać się, żeby nie powiedzieć, co o tym myślę. Czasem moi rodzice są po prostu nieznośni! Starszy kahe wpatrywał się w swój talerz z taką uwagą, jakby w maminym ragoût

ukryto największą tajemnicę wszechświata. Laro Taellon, zacerwieniony aż po korzonki włosów, jadł niechętnie i wyraźnie chciałby znaleźć się jak najdalej stąd.

Zdaje się, że tym razem szala zwycięstwa przechyliła się na moją stronę. Jeśli przeciwnik zaczyna wątpić w swoje siły, traci szansę na wygraną. Ja w tej chwili znałam wszystkie swoje słabości i możliwości, ponadto byłam absolutnie przekonana o słuszności własnych czynów. Stałam na twardym gruncie, a laro Riencharn miał pod stopami grząskie bagno.

Uśmiechnęłam się kącikami warg, rozumiejąc, że teraz Dłoń Śmierci nie był aż tak niebezpieczny, choć oczywiście stanowił zagrożenie. A skoro morale starszego nieлюдzia tak upadło, mogę spokojnie poświęcić się śledztwu.

Ciekawe, czy zębata ryba, którą właśnie próbowałam skusić błyską w fioletowej szacie, połknie haczyk? Mój przeciwnik i tak wiedział, kto ukrywa dwóch kahe, ale co innego wiedzieć, a co innego usłyszeć oficjalne zapewnienie śledczego o niewinności nieлюдzia. Podobny obrót wydarzeń nie mógł ucieszyć zabójcy, a już wcześniej byłam dla niego zadrą, o czym najlepiej świadczyły jego dotychczasowe działania. Cóż, po demonstracyjnym pokazaniu się w towarzystwie Dłoni Śmierci nie spodziewałam się niczego miłego - potrzebowałam jakiegokolwiek reakcji, dowolnego punktu zaczepienia. Byłam teraz bardziej wystawiona na ciosy niż kiedykolwiek. Nie wiedziałam, komu mogę teraz ufać w Straży. Przedtem liczyłam na Tarna, ale teraz... Okazało się, że był to z mojej strony kolejny naiwny i sentymentalny błąd. No cóż, głupotę niełatwo wyleczyć.

No dobrze, ale który to z nich? Veylin, Twindale, Winset...? Oczywiście równie dobrze mógłby to być

ktokolwiek inny, jeśli za bardzo dałam się ponieść fantazji i poszłam fałszywym tropem. W końcu nie jestem nieomylną boginią, bardzo możliwe, że ryłam ziemię w niewłaściwym miejscu... No nic, muszę tylko trochę poczekać. Bez względu na to, kim był zabójca, na wieść o oficjalnym ogłoszeniu niewinności laro Riencharna powinien się zdenerwować i popełnić błąd. Pozostawała jeszcze Poletta. Dziewczyna na pewno wiedziała coś ważnego i właśnie dlatego już nie żyła. Szkoda, wielka szkoda... Liczyłam na nią.

- Risz, jesteś z nami czy przebywasz na wyżynach dostępnych jedynie śledczym? - usłyszałam nad uchem głos ojca. Bardzo go kochałam, ale czasem był jeszcze bardziej nieznośny niż mama.

- O tak, byłam na wyżynach, z których właśnie bezceremonialnie mnie ściągnął - wymruczałam niezadowolona, spoglądając chmurnie na uśmiechniętego ojca.

- No i co, doznałaś objawienia? - wtrąciła mama.

- Właśnie mnie od niego oderwaliście. Pójdę trochę pomyśleć do siebie. Aha, mam, w najbliższych dniach lepiej nie wychodźcie z domu. Mówię poważnie.

- Doigrałaś się? - na poły spytała, na poły stwierdziła mama. W jej głosie nie słychać było krzty dramatyzmu.

- Nie było innego wyjścia. Tarn mnie zdradził i teraz mam minimum możliwości. Oprócz Lera nie mam w Straży nikogo zaufanego, ale on jest tylko rzeczoznawcą. Praktycznie zostałam sama.

- I nikomu nie mówiłaś o atakach na siebie... - przypomniał ojciec.

- A po co? Tarna nie chciałam niepotrzebnie straszyć, a gdybym opowiedziała o zamachach komuś innemu, zaraz przydzielono by mi sforę strażników, pilnujących mnie na każdym kroku pod pretekstem ochrony. Równie dobrze



mogę skończyć ze sobą bez pomocy z zewnątrz.

- Wypluj to! - zawołała mama.

Posłusznie odpukałam w stół i trzy razy splunęłam przez lewe ramię. Kahe przyglądali mi się ze zdziwieniem.

- To taki ludzki zwyczaj, ma odpędzić zło, które już zostało wypowiedziane na głos - wyjaśniłam im, wstając od stołu.

Kahe uśmiechnął się ironicznie, dając w ten sposób do zrozumienia, co myśli o naszych omenach. Uznałam, że nie będę w tej chwili przypominać mu o nie mniej, a czasem nawet bardziej głupich przesądach kahe. Jeszcze będę miała okazję go poniżyć.



- Ta gadzina rzuciła mi wyzwanie! - Był wściekły. - Miała czelność przyprowadzić tam tego kahe i jeszcze ogłosić jego niewinność! A wy mi mówicie, że ten idiota śledczy nie może do niej podejść!

Odpowiedzią było zakłopotane milczenie.

- Ależ, laro, od początku było mało prawdopodobne, że zdoła ją długo oszukiwać. W końcu Tyen osiągnęła swoją pozycję w Straży właśnie dzięki intelektowi...

- Nie interesują mnie zalety tej suki! Chcę pójść na jej pogrzeb, jasne?! Dostaliście się już do jej mieszkania?

- Nie, laro...

- A w ogóle coś działaliście?!

- Laro...

- Chcę, żebyście przynieśli mi głowę Tyen na srebrnym półmisku!

- Robimy, co w naszej mocy, laro, ale...



Tarn Reys czuł się parszywie. Myślał, że wypił wystarczająco dużo, żeby zapomnieć, ale pamięć usłużnie podsuwała mu ostatnią rozmowę z Rinnelis. Tarn, Ler i Risz, nierozłączna trójka od czasów szkoły, najlepsi we wszystkim, osłaniający się w każdej sytuacji. Razem wstąpili do akademii, a potem do Straży.

Teraz to już przeszłość.

Dobrze mówią, że Risz to żmija. Gwiżdże na niego, na Lera i w ogóle na każdego innego człowieka, pewnie już zapomniała, co to takiego uczucia i emocje. Bezдушny trup. Własnymi rękami zniszczyła ich przyjaźń, trwającą od trzynastu lat.

A kiedyś... Tarn pamiętał, jak pierwszy raz zobaczył przyszlą lare śledczą. Milczącą, niepewną siebie dziewczynę z wiecznie rozczochraną, śmieszną grzywką. Niedawno przenieśli ją do jego klasy. Mieli wtedy po dwanaście lat i Rinnelis nie wyróżniała się niczym szczególnym. Była zwykłą kujonką, zwiariowaną na punkcie książek i własnych ocen. Tak, już wtedy było jasne, że jest mądra, ale na nastolatkach cudzy intelekt rzadko robi wrażenie. Co innego uroda, bezczelność, wyszczekanie... Chociaż, jak się wkrótce okazało, Rinnelis umiała się odgryźć, tylko nie lubiła się tym popisywać. Wyglądała dość przeciętnie - ani piękność, ani potwór. Zwykła dziewczyna ze szczenięcym tłuszczkiem i umiarkowaną ilością pryszczu na chmurnej twarzy. Zawsze było jej obojętne, jak wygląda, liczyło się dla niej tylko osiągnięcie niezbyt zrozumiałych dla innych celów. Właśnie tym różniła się od pozostałych: umiejętnością stawiania sobie zadań i maniakałnym uporem w osiągnięciu celu. Za to właśnie Tarn ją szanował. Sam nie posiadał

takiej umiejętności; dla niego życie było niczym spływ górską rzeką: płyniesz tam, gdzie cię niesie prąd, grunt, żeby łódka się nie wywróciła. A Rinnelis najbardziej lubiła płynąć pod prąd.

Początkowo Tarn i Ler bronili milczącej i bezbronnej przyjaciółki, gdyż to sprawiało, że czuli się ważni. Bronili jej niczym dorośli mężczyźni! Wprawdzie takiej damie serca nikt nie poświęciłby wierszy i pieśni, ale przynajmniej była! Potem Rinnelis z istoty potrzebującej ochrony stała się „swojakiem”, w razie czego potrafiła nawet włączyć się do bójki. Zwykle używała magii, ale mogła też przysolic ucho. Dopiero potem nauczyła się osadzać każdego obojętnie zimnym spojrzeniem. Dopiero potem założyła swoją fioletową łuskę...

Poza tym mózg Risz pracował faktycznie lepiej niż u większości ludzi, potrafiła udzielić najbardziej sensownej rady. To właśnie Rinnelis jako pierwsza postanowiła pracować w Straży i oświadczyła przyjaciółom, że zostanie śledczą. Początkowo obaj w to nie uwierzyli. Piętnastoletnia dziewczyna z zabójczą powagą oznajmia o zamiarze pracy w Straży! Kupa śmiechu! „Przecież jesteś dziewczyną, po co ci Straż?! Możesz wykładać magię, jak twoja mama. Możesz skończyć uniwersytet i tam pracować. Po co zadawać się z przestępcami?” - mówili. Risz tylko zaciskała wargi, a po skończeniu szkoły wstąpiła do akademii. I oni poszli za nią - no jak to, dziewczyna, której swego czasu bronili przed chuliganami, postanowiła zostać śledczym, a oni nie?! I jako studenci stali się tak samo nierozłączni jak w szkole, chociaż później ich drogi się rozeszły. To było normalne. Rinnelis przyjęto do Wydziału Śledczych, Tarnowi przypadł w udziale Wydział Spraw Wewnętrznych Straży, Ler wybrał zawód biegłego. I wspaniale się uzupełniali.

A teraz z ich przyjaźni pozostał już tylko popiół, który rozwiewa wiatr.

„Żeby cię demony porwały, Rinnelis Tyen! To dla ciebie odpowiednie towarzystwo! Wszystko przez ciebie!”



Pod wieczór skontaktował się ze mną rozdrażniony Ler, który zażądał wyjaśnień, co się dzieje w tej filii szpitala dla psychicznie chorych, w którym przebywamy ja, on i Tarn. Ler to bystrzak, ale czasem nie od razu chwycił, co jest grane, a o zdradzie Tarna nawet ja dowiedziałam się niedawno.

- Ler, obawiam się, że zostaliśmy w naszej sali tylko we dwoje - wykrztusiłam, przeczekując kolejny wybuch niezadowolenia.

To był stary żart, który miał chyba tyle lat co nasza przyjaźń. Niby że siedzimy w wariatkowie, w tej samej sali, i mamy jedną i tę samą diagnozę. I co to znaczy? Że jesteśmy potęgą!

- Co takiego? - w pierwszej chwili Ler nie uwierzył.

- To, co słyszałeś - westchnęłam.

- Ale... może jednak się mylisz? - spytał z nadzieją. - Może po prostu nie wszystko zrozumiałaś?

- Ler, nie mam żadnych wątpliwości. Tarn mnie zdradził. Przez niego omal mnie nie zabili, nie sposób tego inaczej zrozumieć.

- To niemożliwe...

- Ja też tak myślałam.

- A on?

- Praktycznie się przyznał, ale oczywiście to ja jestem wszystkiemu winna - powiedziałam z goryczą.

- Wiedziałem, że jeśli wszystko trafi szlag, to przez tę jego miłość do pieniędzy i przekonanie o własnej słuszności - odpowiedział Ler. - I co masz zamiar zrobić?

- Z nim?

- Tak.

- W tej chwili nic. Ale jeśli jeszcze raz wsadzi nos w nie swoje sprawy, przemielę go na proszek i rozwieję na wietrze. W świetle prawa.

- Wie o tym?

- Powiedziałam mu.

- Jak zawsze nieźrównana.

- Na tym się opieram.

- Straszne to wszystko.

- Owszem.

Zamilkliśmy.

- Wiesz co, słońce, daj sobie z tym spokój - zażądał zdecydowanie Ler.

- O czym mówisz? - zapytałam zdumiona.

- Już ja cię znam, zaraz zaczniesz się biczować i w efekcie dojdiesz do wniosku, że to właśnie ty jesteś wszystkim winna, a Tarn wcale nie okazał się słabeuszem i bydlakiem. Masz swoje śledztwo, to się nim zajmij. Nie obciążaj się niepotrzebnie, i tak masz kupę problemów. Obiecujesz?

- Obiecuję - zgodziłam się, czując, że rozczarowanie i ból mijają, i łatwiej mi się oddycha.

- W razie czego wal do mnie jak w dym, bez tych twoich „ojej, to nie wypada”, jasne? - polecił mi groźnie Ler.

- Pewnie. Kocham cię.

- Ja ciebie też. Trzymaj się, Risz.

- Postaram się. Na razie.

- Powodzenia.

Leżałam na pościelonym łóżku i przewijałam w głowie rozmowę z przyjacielem. Ostatnim, jakiego miałam. Pozostali albo odsunęli się sami, albo zostali odsunięci przede mną. Dużo wymagam od siebie i innych (czasem mi się wydaje, że za dużo), nie znoszę półśrodków, kumpli, z którymi rozmawia się o niczym i rozstaje bez bólu, wiedząc, że równie dobrze można się bez nich obejść. Przyjaciel w moim wyobrażeniu niewiele różni się od rodziny, której bliskość automatycznie oznacza ochronę i pomoc w razie potrzeby. I podczas gdy ja starałam się sprostać własnym wysokim wymaganiom, otoczenie nie było gotowe na działania w tej samej skali. To może dziwne, ale potrafię wiele wybaczyć i do czasu mogę przymykać oczy. Mogę składać wszystko na karb okoliczności, wmawiać sobie, że to wina mojego okropnego charakteru, ale gdy cierpliwość mi się wyczerpie, następuje nieuniknione oddalenie. Z mojej inicjatywy. Próbę wytrzymali jedynie Ler i Tarn... A teraz został mi już tylko Ler.

No i do demonów z tym wszystkim. Dobrze powiedział Ler, nie ma co obarczać się winą za wszystko, moje nerwy nie są ze stali.



Dijes Tyen bardzo w porę postanowiła zatańczyć z Białą Panią - jeszcze trochę i Riencharn zacząłby działać na własne ryzyko. Tylko siostrzeniec powstrzymywał go przed popełnieniem zbyt pochopnych czynów. A teraz wystarczy być obok dijes śledczej, żeby dotrzeć do zabójcy. Niech go człowieczka szuka... Przynajmniej Riencharn będzie na bieżąco. W każdym razie taką miał nadzieję.

Leżał na łóżku w pokoju gościnnym, a obok niego sapał przez sen wyczerpany karnymi pracami Tael. Niestety, dija i dije Tyen nie mieli ani dodatkowego pokoju, ani dodatkowego łóżka, a Tael nie tylko rzucał się przez sen, ale i chrapał, co już było zupełnie nie do zniesienia. Jednym słowem, starszy kahe nie mógł zasnąć, za to miał mnóstwo czasu na rozmyślania. Cała ta sytuacja niezbyt go cieszyła, ale należało wykorzystać wszystko, co zesłał mu kruk.

Kahe nie potrafił samodzielnie odgadnąć, kogo dijes Rinnelis umieściła na liście podejrzanych. Najwyraźniej, gdyby zdecydował się pracować jako śledczy, czekałaby go sromotna klęska.



**S**iedziałam w swoim gabinecie w wydziale i piłam z dużego kubka napar, który miał mnie choć trochę uspokoić. Jeszcze niedawno nie zaryzykowałabym użycia takich środków: oprócz uspokojenia spowalniały reakcje, ale teraz podskakiwałam przy każdym głośniejszym dźwięku i ku własnemu zawstydzeniu byłam gotowa przyznać, że jestem na granicy hysterii. Nie mogłam sobie pozwolić na taki luksus jak waleriana, zapach zdradziłby mnie z kretesem, a to równałoby się przyznaniu do słabości. Ten napar mógł z powodzeniem udawać herbatę, a herbatek ziołowych było całe mnóstwo, więc raczej nikt nie zdoła przejrzeć mojego małego podstępu. Do mojego gabinetu jednak się włamano, nieznani mi przestępcy zdołali wpleść czary ofensywne w osnowę zaklęcia chroniącego sejf. Nie zdołałam odgadnąć, jaki poziom miało to draństwo, za to od razu stało się jasne, że wysłałoby mnie na tamten świat ze stuprocentową pewnością - zrozumiałam to, gdy tylko zaklęcie zadziało. Bogowie tylko wiedzą jakim cudem udało mi się błyskawicznie zasłonić „tarczą” o maksymalnej mocy. Krok ode mnie



podłoga szerniała i zwięgliła się. Zaciśnęłam zęby i nie wydałam ani jednego dźwięku, ale nogi się pode mną ugięły i padłam na kolana, nabijając sobie przepiękne siniaki. Gdy do gabinetu wbiegli spłoszeni współpracownicy, ja już spokojnie oglądałam sejf. Co prawda ręce nadal mi się trzęsły, ale szerokie rękawy szaty świetnie to maskowały.

Pracownicy wydawali okrzyki zdumienia, zadawali jakieś idiotyczne pytania, a mnie interesowało tylko jedno: kto wprowadził zamachowca do budynku? Przecież na pewno zadbał o to jeden (a może i niejeden?) z moich drogich kolegów.

Naturalnie laro Rou mimo chorych korzonków przykuśtykał jako jeden z pierwszych. Stary plotkarz pewnie do samej śmierci będzie podsłuchiwał przy dziurce od klucza. Jeśli przedtem nie załatwi go demencja.

- Co to za hałasy, lare Tyen? Jak pani śmie zachowywać się w ten sposób w miejscu pracy! - zawołał pełniący obowiązki naczelnika Wydziału Śledczych.

No, to była kropla, która przepełniła czarę - a ta przechylała się i nagromadzone rozdrażnienie chlusnęło lodowatą falą na wszystkich obecnych.

- Słucham?! - Wytrzeszczyłam oczy. - Ja zachowuję się nieodpowiednio w miejscu pracy?! - zasyczałam, tocząc zimnym spojrzeniem po wszystkich obecnych.

Ktoś wycofał się w panice, ktoś splunął przez ramię, jedynie laro Rou pozostał niewzruszony, choć podejrzewam, że po prostu nie rozpoznał jawnej groźby. Był na to za głupi.

- Cóż, laroje, jeśli ktoś jeszcze tego nie zrozumiał... - zawiesiłam teatralnie głos - to informuję, że właśnie dokonano na mnie zamachu. Żądam dochodzenia służbowego.

- I poprowadzi go pewnie laro Reys? - prychnął Daniel Jel, wyraźnie dając do zrozumienia, co sądzi o bezstronności mojego byłego przyjaciela.

- Nie upieram się przy kandydaturze laro Reysa. Jest mi obojętne, kto poprowadzi tę sprawę, ale ma zostać wszczęta. Natychmiast - dodałam, a w moim głosie zadźwięczała stal.

- A może po prostu się pani myli, lare Tyen? - wtrącił się laro Rou. - Zawsze miała pani skłonność do przesady.

Spojrzałam na zwęgloną podłogę z ironicznym uśmiechem.

- Tak jest, laro Rou, oczywiście, że jestem skłonna do przesady i właśnie z tego powodu złożyłam na pana raport naczelnikowi Straży. - Wyszczrzyłam się w swoim najuprzejmiejszym uśmiechu, jednocześnie zaciskając pięści.

Staruszek popatrzył na mnie z groźną powagą. Już od dawna wiedziałam, że inteligentny wyraz na twarzy głupca nie wróży niczego dobrego.

- To niezbyt dobry pomysł, lare, jeśli planuje pani nadal pracować w Wydziale Śledczych.

- Grozi mi pan? - zapytałam, nie mogąc powstrzymać szczerzej wesołości. - Śledczy, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat nie rozwiązał ani jednej sprawy, który oblał już trzy egzaminy potwierdzające kwalifikacje? Oczywiście słyszałam o przyjaźni z czasów akademii, ale w pana przypadku ta przyjaźń jest chyba wyjątkowo silna.

Laro Stefan poczerwieniał i zasapał jak rozdrażniony jeź, a moi koledzy zamilkli, patrząc na mnie z zaskoczeniem. No tak, pierwszy raz pozwoliłam sobie na publiczne okazanie niezadowolenia. Naturalnie podobne zachowanie

jeszcze nie narusza zasad przyzwoitości, nie jest równoznaczne z atakiem hysterii - w każdym razie dla zwykłych ludzi. Jednak w moim przypadku równało się wybuchowi wściekłości.

Kahe grali mi na nerwach, a moi rodzice wydatnie im w tym pomagali. Do tego wszystkiego należało dodać stałe poczucie zagrożenia i banalne przemęczenie. W efekcie byłam w okropnym humorze, kiepsko się kontrolowałam i stałam się nienaturalnie agresywna. Używając porównań moich współpracowników: przypominałam żmiję, której ktoś nadepnął na ogon - zła jak sto demonów i potencjalnie niebezpieczna dla dowolnego obiektu, wszystko jedno, żywego czy nie.

- To potwarz! - zawołał naczelnik.

- Czyżby? - spytałam, robiąc krok do przodu. Część obecnych natychmiast opuściła gabinet. Instykt samozachowawczy to jednak potęga... Dobrze, że na świecie jest jeszcze coś stałego. - W moich słowach nie było nic, co mogłoby uchybić pańskiej godności, laro Rou. Za to w pańskich działaniach każdy dopatrzyłby się ukrywania przestępstwa - oznajmiłam uprzejmie, zastanawiając się jednocześnie, czy dałoby się zabić tym żalosnym kawałkiem żelaza, będącym obowiązkowym dodatkiem do stroju śledczego.

No proszę, po raz pierwszy w życiu przysła mi do głowy myśl o zamordowaniu zwierzchnika. Myślę, że należałoby ustanowić w tym dniu święto.

- Może pan zainicjować dochodzenie służbowe sam, a może pan poczekać, aż zrobię to ja. W tym drugim przypadku cała sprawa nie uniknie rozgłosu. - Patrzyłam na laro Roua, czekając na jego decyzję. Naprawdę mogłam zniszczyć starszce karierę. Ludzie mogą mnie nie lubić, ale słuchają moich opinii.

Na szczęście dla siebie laro Stefan Rou potraktował moje słowa bardzo poważnie i złożył raport o tym, co się stało. Dokładnie przeczytałam wszystkie dokumenty w celu uniknięcia nieprzyjemnych niespodzianek. Laro Stefan wściekał się, ale ja zawsze umiałam postawić na swoim - w odróżnieniu od tego zadufanego starca. I teraz, gdy wszystkie procedury zostały zakończone, czułam nadciągające załamanie nerwowe - tak jak zwierzęta czują zbliżającą się burzę.

Trzeba będzie wziąć urlop. Potem. Jeśli dożyję.

W pokoju cuchnęło spalenizną. Dywan był kompletnie zniszczony, a o tym, że kiedyś istniał, świadczył jedynie smród spalonej wełny. Niemal cała podłoga nadawała się do wymiany. Za to biurko praktycznie nie ucierpiało. Jak się okazało, porządny dąb potrafi wiele wytrzymać.

Pora skończyć to śledztwo, w przeciwnym razie moi rodzice nie będą mieli nikogo, kto pomoże im na starość. Szkoda, że nie mają drugiego dziecka... Profesja śledczego nie wróży długiego życia, zbyt wielu ludzi pragnie usunąć nas z tego świata.

Gdy już wypiałam drugi kubek ziółek i zrozumiałam, że tak czy owak nie zdołam się uspokoić, a wypić więcej nie dam rady, ktoś zapukał do drzwi w sposób, którego nie znałam. Każdy pracujący w naszym wydziale wystukiwał swój własny, indywidualny rytm, więc przy odrobinie wysiłku można było rozpoznać, kto stoi za drzwiami.

- Proszę! - zawołałam, dezaktywując ochronę i posyłając swoją ostrożność do demonów. Mogłam teraz zetrzeć się z każdym, kto chciałby pozbawić mnie życia, nawet pragnęłam tego starcia - przynajmniej mogłabym rozładować napięcie.

Stukający skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Drzwi otworzyły się bezszelestnie i do pokoju wśliznął się

dziwny typ - jego wygląd od razu wzbudził we mnie pragnienie użycia potężnego zaklęcia bojowego. Fioletowy kolet, strój Wydziału Spraw Wewnętrznych, podziałął na mnie nieco uspokajająco, chociaż obecność uniformu jeszcze o niczym nie świadczyła, chociażby dlatego, że nieczęsto przyjmuje się do Straży przemieńców, a przede mną stał właśnie jeden z nich. Szczupły, poruszający się nieco zbyt płynnie, miał twarz o ostrych rysach, z wystającymi kośćmi policzkowymi. Poza tym każdy, kto posiadał dar magiczny, patrząc na przemienca, odnosił wrażenie, że na wygląd człowieka nakłada się jeszcze jedna postać, rozmyta i niejasna.

- Dzień dobry, lare Tyen - uśmiechnął się przemieniec.

Odruchowo zarejestrowałam, że uśmiech miał czarujący.

- Dzień dobry, laro... - zawiesiłam znacząco głos.

- Raen kae Oron - przedstawił się obcy z lekkim ukłonem.

Oron... Oron... chyba Ryś. Nic więcej nie zdołałam sobie przypomnieć. Zwierzolaki były poddanymi królestwa Erol od kilkuset lat, ale nieszczerze interesowałam się tym narodem.

- Zapoznałem się z raportem laro Roua i postanowiłem najpierw pomówić z panią, lare - rzekł laro Oron, przyglądając mi się badawczo.

- Jestem gotowa odpowiedzieć na wszystkie pańskie pytania - odparłam.

Laro Stefan szybko się uwinął. I jaka błyskawiczna reakcja na raport... Dziwne.

- Pozwoli pani, że usiądę, lare Tyen? Zapowiada się długa rozmowa - uśmiechnął się nieludź. (Bogowie, za co zsyłacie na mnie tylu nieludzi naraz?!)

- Proszę bardzo, laro - odparłam uprzejmie, czując przez skórę jakiś podstęp. Miałam ogromną ochotę wyrzucić obcego za drzwi, ale to nie byłoby rozsądne.

- Zastanawia mnie jedna rzecz... Że też starczyło pani śmiałości na ukrywanie Aenów? - zapytał śledczy ze szczerym zainteresowaniem. - Zwykle kobiety, zwłaszcza ludzkie, nie lubią tak ryzykować.

- O czym pan mówi? - Uniosłam brwi w udawanym zdumieniu.

- Co najdziwniejsze, nawet nie mógłbym zarzucić pani kłamstwa - przemieniec zignorował moje pytanie. - Przy okazji, czy pani wie, że zupełnie nie pachnie pani emocjami?

- Nie rozumiem... - Zarówno jego słowa, jak i pojawienie się w moim gabinecie były dla mnie autentycznym zaskoczeniem.

- Zwykle każda żywa istota zmienia swój zapach w zależności od emocji. My, przemienicy, mamy doskonały węch, potrafimy rozpoznać po zapachu dowolne uczucie: strach, gniew, zdenerwowanie, nawet zakochanie. A pani zapach to tylko zapach ciała... Innymi słowy, pachnie pani jak trup.

- To groźba? - spytałam drwiąco.

- Jedynie konstatacja faktu. - Mój rozmówca wzruszył ramionami. - Gdy człowiek kłamie, denerwuje się, a wtedy jego zapach ulega zmianie. Pani kłamie w żywe oczy i jednocześnie pachnie tak, jakby nie odczuwała pani niepokoj.

- Może dlatego, że mówię prawdę? - Zatrzepotałam niewinnie rękami. - A może dlatego, że jestem święcie przekonana o własnej słuszności?

- Bzdura. Zbyt dobrze zna pani kahe i jest pani zbyt wnikliwym śledczym, żeby nie podejrzewać, kogo ma

pani w ręku. Zdążyłem zapoznać się z pani biografią, lare. Ponadto ja również wiem o południowcach wystarczająco dużo, by mieć pewność, że tylko Aenowie mają liliowe oczy.

Pozwoliłam sobie na okazanie zdumienia.

- Nie wiedziała pani o tym? Niechże pani da spokój, lare Rinnelis, przecież wie pani o kahe wszystko, co tylko można i czego nie można... Liliowe oczy są oznaką nieczystej krwi. Założycielka Domu Erris, Ajlis, poślubiła elfa i wszyscy potomkowie po dziś dzień dziedziczą po nim kolor oczu.

- Pańska wiedza jest porażająca, laro, ale co to ma wspólnego z naszą sprawą?

Zdążyłam się już zorientować, co się dzieje, a teraz próbowałam ocenić, czym mi to może grozić.

- W czasie zatrzymania tworzy się opis wyglądu i obraz zostaje magicznie utrwalony. Pozwoliłem sobie przejawiać ciekawość - odrzekł laro Oron.

To wiele wyjaśniało. I wróżyło spore kłopoty.

- Przy okazji, czy pani wie, że stosowanie magicznych środków ochrony mieszkania jest nielegalne? - szeptem śledczy. - Moi ludzie ucierpieli.

Tu już pozwoliłam sobie na złośliwy uśmiech.

- Po pierwsze, podobne systemy ochrony są oficjalnie dozwolone już od miesiąca. Po drugie, mój system został zarejestrowany - zgodnie z ustawą administracyjną - natychmiast po jego stworzeniu. Po trzecie, wejść do mieszkania śledczego można wyłącznie za jego zgodą, nawet wtedy, gdy toczy się przeciwko niemu dochodzenie. Nie można tego zrobić bez wiedzy i obecności właściciela. Innymi słowy, stan zdrowia pańskich ludzi jest mi głęboko obojętny, nie mówiąc już o tym, że daje mi to poważny powód do złożenia protestu.

- Niesamowite! - prychnął laro Oron. - W dodatku cechuje panią wyjątkowa bezczelność, lare Tyen. Jestem zachwycony.

- Pochlebia mi pan. No dobrze, albo przedstawia mi pan zarzut, albo przestaje mnie pan próbować zastraszyć. Pańskie insynuacje i tak nie robią na mnie wrażenia.

- Nie mam zamiaru stawiać pani zarzutu, lare. Moje zadanie polega na znalezieniu tego, kto zorganizował zamach na panią. I zrozumiałem wystarczająco dużo, by z przekonaniem oświadczyć: pani działania nie pachną zdradą. Za to zabójstwo księżniczki pachnie przewrotem. Czy nie do takich wniosków pani doszła, lare Tyen?

Skinęłam krótko głowę, spoglądając na nieludzia z pewnym zainteresowaniem. Ten odpowiedział mi równie zaintrygowanym spojrzeniem.

- Bardzo starannie ochrania pani swoje terytorium, lare. Jako przemieniec doskonale to rozumiem - rzekł laro Raen. - Ponadto ja również nie chciałbym, żeby kahe wpadli w ręce władz.

- W kwestii moich motywów już sobie wszystko wyjaśniliśmy: chronię swoje terytorium. Jakie są pańskie?

- Widzi pani, wszyscy Aenowie są wrogami mojego klanu. - Mężczyzna uśmiechnął się dziwnie. - Na Riencharna Aena co najmniej trzech moich krewnych ma ten-hi. Wie pani, co to takiego?

- Obawiam się, że moja wiedza o zwyczajach przemieńców jest niezwykle skromna - wyznałam z niezadowoleniem. Nie znoszę, gdy czegoś nie wiem.

- No tak, pani specjalizacją są kahe - zauważył niewinnie laro Raen. - No więc, jeśli to pani pomoże, ten-hi niezwykle przypomina daliss. To osobista krwawa zemsta.



- To znaczy, że kilku pańskich pobratymców marzy o tym, żeby wgrzyźć się w gardło laro Riencharna, i to osobiście?

- Dokładnie tak. Dlatego chronimy swoich wrogów nie mniej niż przyjaciół: to hańba, gdy twój wróg zginie z cudzej ręki.

- Rozumiem, że chce pan zapewnić laro Riencharnowi bezpieczny powrót do domu, tym samym dając któremuś z pańskich krewnych możliwość zabicia go?

- Tak jest.

- Właśnie dlatego ludzie nigdy was nie rozumieją - westchnęłam. - Według mnie znacznie prościej byłoby pozwolić go powiesić.

- Ludzie generalnie są prymitywni.

- O, tak, za to wy, tacy wielcy i wyniosli, jesteście całkowicie od nas zależni - uciekłam się do ulubionego argumentu ludzkiej rasy w dyskusji z przemieńcami.

- Cóż, to kwestia dyskusyjna... - uśmiechnął się złośliwie laro Raen. Jego oczy błysnęły gniewem, a ręka mimowolnie sięgnęła do krótkiego miecza wiszącego na pasie.

- No dobrze, ale czemu w takim razie sam go pan nie zabije? - spytałam, uznając, że lepiej odpuścić sobie odwieczne tematy polityczne, zanim Ryś mnie zaatakuje.

- Lare Tyen, namawia mnie pani do zabójstwa? A co z pani słynną praworządnością?

- Nikogo do niczego nie namawiam - skrzywiłam się z rozdrażnieniem. - Po prostu chciałam zrozumieć.

- Ja mam do laro Aena jedynie sae-hi, więc zabijając go, obrażę tych, którzy mają ten-hi. A wolałbym nie obrażać swoich współplemieńców. Widzi pani, to pociąga za sobą poważne konsekwencje...

Dobrze wiedziałam, jakie konsekwencje może to za sobą pociągnąć. Z tego, co pamiętam, jeśli ktoś nie pozwoli kahe zrealizować daliss, zabijając jego obiekt zemsty, automatycznie sam staje się kolejnym obiektem. Dlatego właśnie kahe mają tak poważny stosunek do osobistej zemsty. Zapewne u przemieńców wyglądało to podobnie.

- Czemu w takim razie pańscy ludzie usiłovali dostać się do mojego mieszkania? - spytałam, chcąc zaspokoić ciekawość.

- Z powodu Taellona - uśmiechnął się spokojnie zwierzołak, ukazując wydłużone kły, które zawsze robiły na ludziach wrażenie. - Żeby odzyskać swojego siostrzeńca, kahe poszedłby nawet do demonów, a co dopiero do wrogów.

- Niezbyt to szlachetne - zauważyłam.

- Gdy w grę wchodzi krwawa zemsta, nie może być mowy o szlachetności.

- Nie oddam wam młodszego kahe - uprzedziłam Orona.

- Nie liczyłem na to. - Wzruszył ramionami. - I nie mam zamiaru prosić o coś, czego by pani nigdy nie zrobiła. Zgadzam się również na żywego laro Riencharna, który wynosi się do ziem Domu Erris z siostrzeńcem pod pachą. Najważniejsze, żeby moi krewni nie stracili obiektu zemsty.

- To mi odpowiada. Czy w takim razie mogę liczyć na pańską pomoc, laro Oronie? - spróbowałam zabezpieczyć sobie tyły.

- Oczywiście, lare Tyen. Będę panią chronił jako przedstawiciel Wydziału Spraw Wewnętrznych i dzielił się z panią informacjami. Myślę, że nawet po zakończeniu śledztwa będziemy sobie potrzebni.

Doskonale.

- Laro, jeśli to nie tajemnica, czemu właściwie przemieniec pracuje w Straży i jak wiele informacji przekazuje pan swojemu klanowi? - zapytałam, starając się wyglądać niewinnie.

- O, lare, pracuję w Straży dlatego, że uznałem to za korzystne dla mojego klanu. A jeśli chodzi o informacje... Nie jesteśmy dziećmi, a przemienicy uważani są za wiernych poddanych królestwa Erol.

Ha, czyli przekazuje wszystko.

- Ja ze swojej strony również jestem wierną poddaną królestwa i Jego Wysokości Henryka. - Uśmiechnęłam się.

- Nie żądam niczego niemożliwego. Ale chyba dwóch śledczych może trochę poplotkować w czasie wolnym od pracy? - laro Raen doskonale zrozumiał moje wątpliwości.

- Oczywiście.

Kae Oron to, rzecz jasna, wyrachowany sukinsyn, jak zresztą każdy normalny przemieniec, ale w tej chwili nasza współpraca rzeczywiście była mu na rękę. Teraz najważniejsze to nie przegapić chwili, w której uzna, że najwyższy czas wydać mnie zwierzchnictwu.



Zastanawiając się nad niedawną rozmową, zwierzołak doszedł do wniosku, że Rinnelis Tyen nawet mu się spodobała. Do tego stopnia, że podziękował wszystkim bogom za to, że wśród ludzi urodził się ktoś taki. Gdyby Tyen była Rysiem, prędzej czy później włączyłaby się do odwiecznej walki o władzę w klanie i starła z ulubionym kuzynem Rae-na, Trzecim Lordem Linchem kae Oronem, urodzonym

intrygantem. Pierwszego i Drugiego Lorda Linch nie zlikwidował tylko dlatego, że pierwszy był jego dziadem, a drugi ojcem, zaś więzy rodzinne łączące przemieńców są bardzo silne. Gdyby Rinnelis Tyen należała do rodu kae Oron... O, wtedy trafiłaby kosa na kamień.

Kuzyn był wyjątkowo przedsiębiorczy i to właśnie on wysłał Raena do królestwa ludzi, chcąc uzyskać jak najwięcej informacji o śmiertelnikach. Mało kto wiedział o tym, że krewniak miał globalne plany co do secesji ziem przemieńców od ludzkiego królestwa, przy czym realizował je delikatnie i z wyczuciem. Najprawdopodobniej za jakieś pół wieku kuzyn zdoła posłać do demonów cały ten Erol razem z jego królem. Raen kae Oron nie bez powodów pomagał krewnemu w zaspokojeniu ambicji i pociągu do separatyzmu. Ostatecznie Linch był inteligentny i nie naraziłby ani klanu, ani kuzyna, z którym dość często spędzał czas w różnych podejrzanych miejscach - rzecz jasna, incognito, żeby nie splamić honoru kae Oronów.

Właściwie należałoby opowiedzieć kochanemu (żeby go licho) krewniakowi o całej tej historii z kahe i Tyen... To właśnie Linch miał priorytetowe prawo do ten-hi wobec Riencharna, który niegdyś zabił w pojedynku jego brata. Zapewne prędzej czy później sam Linch i tak wysłałby na tamten świat wyrywnego braciszka, a kahe po prostu okazał się szybszy, lecz oczywiście nie wolno było wybaczyć obcemu zabójcy. Nie, zdaje się, że najlepiej będzie poinformować kuzyna po wszystkim, co pozwoli uniknąć nadmiernej aktywności ze strony Trzeciego Lorda.

Od przyjemnych myśli o krewnym Raen przeszedł płynnie do Rinnelis Tyen. Po zakończeniu śledztwa trzeba będzie coś z nią zrobić, nie wolno dopuścić do najmniejszego

wycieku informacji, że przemieńcy zaczęli przejawiać niezdrową aktywność polityczną. A więc drogą lare należy koniecznie wyeliminować z gry. Można by ją oczywiście zabić, ale raczej nie ma potrzeby uciekać się do tak radykalnych rozwiązań. Człowieczka była inteligentna, a intelekt należało chronić, cenić i w miarę możliwości wykorzystywać. Zabójstwo byłoby idiotycznym marnotrawstwem cennych zasobów. Można by usunąć Tyen ze Straży, ale to nie zredukuje ryzyka przecieku.

Rozwiązanie problemu Raen znalazł dość szybko - dziewczynę należy porwać i wydać za mąż za niezbyt ambitnego wielmożę, żeby lare Rinnelis została przywiązana do Rysiów i mogła pracować dla dobra klanu, a jednocześnie żeby jej działań nie ograniczała wola małżonka. Zły pomysł? Bardzo dobry! Dla mieszczańki rodowity przemieniec będzie świetną partią, a przecież każda kobieta od kołyski marzy o zamążpójściu. A jeśli nawet nie... Jedyne martwi nie mają pretensji, a Raen nie miał najmniejszej ochoty zabijać lare Tyen. Generalnie nie lubił zabijać, dlatego właśnie zgodził się wyjechać do królestwa ludzi, z dała od współplemieńców przelewających krew z taką obojętnością, jakby to była woda.

Uspokojony Raen kae Oron usiadł przy biurku, żeby napisać kolejny serdeczny list do kuzyna. Na razie bez żadnych informacji o lare śledczej.



Dwie godziny później pomyślałam, że chyba utopię się w ziółkach (wlałam w siebie kolejne trzy kubki), które kompletnie nie pomagały. Dodatkowo zdenerwowała mnie

kolejna wizyta laro Roua, który postanowił porozmawiać ze mną na temat prowadzonego właśnie dochodzenia służbowego. Oczywiście chodziło o to, że pełniący obowiązki naczelnika laro Stefan nie chciał pozwolić nikomu na grzebanie w brudach wydziału. Biorąc przykład ze swoich klientów, udawałam, że nic nie rozumiem. Laro Stefan na przemian groził mi i obiecywał obsypać dobrodziejstwami (zarówno jedno, jak i drugie było mało prawdopodobne), ale ja uparcie udawałam naiwną idiotkę. Robiłam to tak dobrze, że zbiłam z pantałyku mojego rozmówcę, który mając konkretne wyobrażenie o moich zdolnościach umysłowych, nie mógł zmusić mnie do zmiany zachowania. Nie znosiłam przeciętniaków niemających pojęcia o sztuce szermierki słownej. Uważałam, że to jeszcze jeden z przejawów słabości, a ja nie znoszę ludzi bezradnych i głupich, którzy nie stanowili interesującego materiału badawczego.

Musiałam w końcu uciszyć laro Stefana banalnymi groźbami: że porozmawiam na temat jego dziwnego zachowania z prowadzącym dochodzenie kae Oronem. Słyszając o przemienńcu, wredny staruch skrzywił się, jakby dostał ataku korzonków, i pospiesznie wycofał do swojej nory. A ja zostałam sama, zastanawiając się, co mam teraz począć. W końcu postanowiłam wrócić do domu, pod opiekę ma. I tak miałam zszarpane nerwy po tym idiotycznym poranku, a w domu przynajmniej się prześpię.



Dijes Rinnelis wróciła wyjątkowo wcześniej, roztrzęsiona i spięta. Na chłodne powitanie dziewczyna odpowiedziała

skinieniem głowy i poszła do kuchni, nie poświęcając kahe więcej uwagi. Ten prychnął oburzony, ale nie miał zamiaru się narzucać. Po co mu wątpliwa przyjemność złośliwej rozmowy ze Żmiją w ten piękny letni dzień? Za to Tael na widok skwaszonej dijes rozjaśnił się cały i podreptał za nią do kuchni, pewnie po to, żeby podzielić się niezapomnianymi wrażeniami ze sprzątania szopy. Innymi słowy, poszedł się poskarżyć Tyen, skoro u wuja nie znalazł należącego współczucia.

- Laro Riencharnie - dobiegło z kuchni - nie zechciałby pan do nas dołączyć? Jeśli to nie kłopot, oczywiście.

Żmija chyba znowu była w formie. Ciekawe, czego chce od niego tym razem?

- Oczywiście, że to nie kłopot, dijes Tyen - odparł uprzejmie.

„Zupełnie jakbym mógł robić w tym domu coś, w czym nie należy mi przeszkadzać” - skrzywił się z irytacją Riencharn, wchodząc do kuchni.

- Życzy sobie pani czegoś ode mnie, dijes? - zapytał grzecznie człowieczkę, rozwaloną na krześle i żującą kanapkę. Naprzeciwko niej usadowił się Taellon, w skupieniu pijący gorącą herbatę.

- O, drobiazg. Chciałam się tylko dowiedzieć, ile osób w rodzie Oron ma wobec pana ten-hi - rzekła dijes Rinnelis ze swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

Kahe oparł się o futrynę, czując, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Po co jej to? Co tu mają do rzeczy jego stosunki z klanem Rysia? A może...

- Widzi pan, miałam dziś niewątpliwy zaszczyt rozmawiać z czciogodnym laro kae Oronem - zaczęła niewinnie

dziewczyna, obserwując reakcję Riencharna. A zdezorientowany kahe próbował właśnie przewidzieć, jak może odbić się na nim rozmowa dijes z przemieńcem.

- Z którym kae Oronem pani rozmawiała? - sprecyzował kahe, który jako prawdziwy realista przygotował się na najbardziej wredny rozwój wydarzeń.

- Z laro Raenem.

Po chwili szukania w pamięci kahe odetchnął z ulgą. Raen kae Oron nie był pierwszy na liście pragnących wyrzucić krwawą zemstę na Riencharnie, a pod tym względem zwierzołaki bardzo przestrzegają ustalonego porządku.

- I cóż takiego skłoniło go do rozmowy z panią?

- Prowadzi dochodzenie służbowe w sprawie zamachu na moje życie - oznajmiła spokojnie dijes Rinnelis, troskliwie, acz mocno klepiąc po plecach Taela, który zakrzusił się herbatą, słysząc najnowszą nowinę.

Riencharn zaczął powoli osuwać się po futrynie, ale szybko wziął się w garść i gwałtownie wyprostował, wzbudzając pobłażliwy uśmiech dijes śledczej. Miał ogromną ochotę zakląć, ale powstrzymał się.

- Nic się pani nie pomyliło, dijes Rinnelis?

- Nic. Laro Raen pracuje w Straży, laro Riencharnie.

- Innymi słowy, szpieguje dla swojego kuzyna - skrzywił się kahe, wspominając ostatnie spotkanie z kuzynem Raena kae Orona, które nie skończyło się niczym przyjemnym.

- Kim jest ów tajemniczy kuzyn? - spytała dijes Rinnelis, wyczuwając potencjalne źródło kłopotów.

- Trzeci Lord klanu Rysiów, jeśli coś to pani mówi - wycedził kahe, krzywiąc się jeszcze bardziej.

- Obawiam się, że niewiele - westchnęła.

- Pierwszy Lord kieruje całym klanem, Drugi dowodzi wojskiem, Trzeci odpowiada za wywiad i szpiegostwo.



- Poważna sprawa - skonstatowała dziewczyna, najwyraźniej tworząc w myślach jakieś niewesołe perspektywy.

- Bardzo poważna - potwierdził.

- Poznał pan osobiście Trzeciego Lorda? - spytała dijes Rinnelis.

- Niestety tak. Skoro ma na mnie ten-hi, to musieliśmy się spotkać.

O tak, Oron był wyjątkowo niezłomnym mścicielem, który wymagał zachowania stałej, niesłabnącej uwagi. Zbyt często docierał do kahe, zbyt często dochodziło do kolejnych starć... Na razie był remis, ale przemieniec wykazywał niebezpieczny upór w swoim pragnieniu wysłania Riencharna na tamten świat, a jak wiadomo, wcześniej czy później wytrwałość zostaje nagrodzona.

- Niezależnie od moich chęci - dorzucił ponuro Riencharn.

Dijes Rinnelis dosłownie emanowała złośliwością.

- I czego życzył sobie ten szanowny pracownik Straży? - spytał kahe.

- O, chodziło mu jedynie o to, żeby nie zabił pana ktoś inny. Krótko mówiąc, laro kae Oron jest w tej chwili po naszej stronie.

A to już brzmiało groźnie...

- Radziłbym pani nie tracić czujności i nie ufać zbytnio temu przemiencowi. Oni potrafią zawsze i ze wszystkiego wyciągnąć korzyść dla siebie.

- Myślę, że ma pan rację - przyznała człowieczka. - Laro Raen wydał mi się nieco... - zastanowiła się, szukając najbardziej trafnego określenia - śliski.

- W porównaniu ze swoim kuzynem jest uosobieniem tolerancji, dobroduszości i uczciwości.

- Nie lubi pan przemienców?

- Oczywiście, że nie - odparł kahe. - Przecież jesteśmy zajadłymi wrogami.

- Nieludzie za bardzo skupiają się na swoich zwyczajach i tradycjach - zauważyła dijes śledcza z lekką wzdgarą.  
- To głupota i słabość, wynikające najwidoczniej z ich długiego życia.

- Wy, ludzie, jak rozumiem, nie macie czasu na takie głupstwa? - zapytał zjadliwie Riencharn.

- Otóż to. My, ludzie, spędzamy swój czas bardziej racjonalnie - odparła dijes z odcieniem wyższości w głosie.

- Innymi słowy, jesteście prymitywni - odciął się południowiec.

- Być może - człowieczka nie miała ochoty się spierać. - I mimo to jesteśmy bardziej żywotni niż jakikolwiek wiecznie żyjący.

- Na ten temat można by dyskutować w nieskończoność - rzekł południowiec z dezaprobatą.

- Niestety tak, dlatego pozwolę sobie przerwać ten bezsensowny spór. Bardziej interesuje mnie Trzeci Lord.

- Linch kae Oron to co najmniej dwustuletni przemieńca, doświadczony i bardzo inteligentny intrygant. Jednak oni nie myślą tak jak ludzie i raczej nie zdoła pani zrozumieć ich logiki.

- Po prostu nie miałam okazji spróbować - odparła zarozumiale dijes Rinnelis. - Jeśli występuje jakakolwiek logika, zawsze można ją zrozumieć, a jeśli jej nie ma, to i tak można znaleźć pewne reguły zachowania.

Kahe uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Zapewniam panią, że przemieńcy stanowią wyjątek, nawet mnie nie było łatwo zrozumieć Lincha kae Orona. Jeśli będzie chciał osobiście wtrącić się do tej historii, będą poważne kłopoty.

- Oo... - Dziewczyna wyglądała na stropioną. - Cóż, jeśli aż tak szanuje pan tego laro...
- Aż tak ceni pani sobie moje zdanie?
- Tak, laro. I dochodzę do wniosku, że trzeba zakończyć to śledztwo jak najszybciej, dopóki laro Linch się nim nie zainteresował.



Rozmowa z kahe rzuciła nieco światła na prawdziwy powód ingerencji laro Raena w moją sprawę. Za pozorną troską o moje życie krył się Trzeci Lord Oron. To niesamowite, ale liczba nie ludzi występujących w moim dochodzeniu rosła z zastraszającą prędkością. Na demony... W dodatku pachniało tu wielką polityką. Mało mi było motywu zabójcy Sofii Ayrel, teraz mam jeszcze zainteresowanie bratniego narodu przemieńców, marzących tylko o odzyskaniu suwerenności po kilkuset latach zależności od pogardzanych śmiertelników. Wprawdzie niewiele wiedziałam o przemieńcach, jednak o tym nie mogłam nie wiedzieć - w końcu historię państwa i prawa w swoim czasie zdałam celująco.

Rozmyślając nad niewesołą perspektywą ingerencji przedsiębiorczych przemieńców w moją pracę, zaczęłam się zastanawiać, co zrobić, żeby przyspieszyć śledztwo i zakończyć dochodzenie, nim czcigodny Trzeci Lord Oron wsadzi w nie swoje łapy.

Porzuciłam towarzystwo niespodziewanie rozmownego laro Riencharna i poszłam do siebie, żeby porozmawiać z moim ostatnim przyjacielem.

- Ler! - zawołałam, gdy przez niewiarygodnie długą minutę ignorował moje wezwanie. - Ler, strasznie cię

przepraszam, że przeszkadzam ci w życiu osobistym, ale jesteś mi pilnie potrzebny.

- Risz, ty jak zawsze nie w porę... - burknął alchemik.  
- Ler, przecież wiesz, że nie zawracałabym ci głowy bez powodu. Poza tym sam kazałeś mi się kontaktować w razie potrzeby.

- Pamiętam... I co tym razem?

- Mam problemy.

- Też mi nowina.

- Bardzo poważne problemy - oznajmiłam z westchnieniem. - Potrzebuję nieoficjalnej obserwacji kilku osób.

- A co ja mam z tym wspólnego?! - udał zdumienie.

- Tylko mi nie mów, że nie masz żadnych kontaktów! Ja jestem teraz niczym lis osaczony w norze przez psy. Na wydziale już wkrótce rozedrą mnie na kawałki, wisi nade mną przemieniec, który zajmuje się badaniem zamachu na moją osobę. Nie mam się do kogo zwrócić!

- A tośmy czasów dożyli... - skonstatował ponuro Ler. - Śledczy prosi rzeczoznawcę, żeby ten załatwił mu śledzenie jego podejrzanych.

- Sam widzisz, że nie mam innych możliwości...

- Zawsze potrafiłaś zdobyć zezwolenie na dowolne przedsięwzięcie.

- Tak, ale wtedy byłam czysta - wyznałam z westchnieniem. - A teraz...

- Popełniłaś przestępstwo służbowe? - zaniepokoił się Ler.

- Zwariowałeś? - oburzyła się. - Jak mogłeś tak pomyśleć!

- Uspokój się, Risz, i powiedz po ludzku, o co chodzi.

- Mój pierwszy podejrzany to Riencham Aen. Teraz muszę ukrywać jego i jego siostrzeńca, ponieważ człowiek, który zlecił zabójstwo lare Sofii, chce doprowadzić do tego, żeby kahe został skazany i powieszony z całą pompą. Nie mogę go wsypać, po pierwsze dlatego, że to wbrew moim zasadom, po drugie, jeśli się wyda, że chroniłam Aena, zrobią ze mnie siekany kotlet. Do tego wszystkiego mam na karku zwierzołaka, który ma zbyt bliskie powiązania z wywiadem klanu Rysiów, by mogło się to dobrze skończyć. I co ty na to?

- Jeśli chodzi o pakowanie się w kłopoty, nie masz sobie równych, droga przyjaciółko - prychnął Ler. - Trzeba mieć nie lada talent, żeby tak się władować w tak krótkim czasie.

- Ja w ogóle jestem zdolna - westchnęłam.

- Zrobimy wszystko jak należy, może się pani nie martwić, lare śledcza - zapewnił mnie ze śmiechem Ler. - Możesz na mnie polegać, słońce. Dawaj listę.

- Wiesz co, Ler, jesteś ostatnią osobą, której mogę zaufać, więc jeśli ty też mnie zdradzisz, to najpierw cię zabiję, powoli i długo, a potem popełnię samobójstwo - uprzedziłam półzartem.

- Nie pleć, Risz! - syknął. - Jesteśmy w jednej sali. Daj listę tych biedaków, którzy mieli nieszczęście stać się obiektem twojej uwagi.

Westchnęłam ciężko i zaczęłam dyktować. Wciąganie w to Lera nie było najlepszym pomysłem, ale co innego mi pozostało?



- Że co takiego?! - zawołał wściekle. - Co to znaczy, że moi ludzie zginęli?!

- Proszę o wybaczenie, ale tak właśnie jest - wyjęczał ten idiota, który nie zdołał wykonać nawet elementarnego zadania.

- Kto? - spytał sucho. Ten, kto śmiał się wtrącić do jego spraw, będzie umierał długo i powoli. Wprawdzie nie jest kahe i nie ma pojęcia o rytualnych zabójstwach, ale bogata wyobraźnia zdoła zrekompensować brak wiadomości w tej kwestii.

- Nie wiemy, ale to byli doświadczeni wojownicy. Żaden z najemników nie przeżył, jedynie dwóch zdążyło wyciągnąć broń, żeby odeprzeć atak.

Kto śmiał ingerować w jego plany? Komu starczyło zuchwastwa na coś takiego? Na pewno nie Straż, tam wszystko było pod kontrolą... Czyżby Tyen kogoś wynajęła? Nie, to niemożliwe, zwykły śledczy nie może sobie pozwolić na wynajem oddziału wojowników. Ponadto ta suka jeszcze nie wpadła na jego udział w całej sprawie. Ale ktoś jednak musi chronić śledczą, skoro zaatakowano tych, którzy ośmielili się zbliżyć do jej mieszkania?

- A co z rodzicami Żmii?

- Nie pojawiała się tam - rozmówca wyraźnie uciekł się ze zmiany tematu. - Żadne zakłęcie szukające nie zarejestrowało zjawienia się tam Tyen. Obserwacja zewnętrzna potwierdza, że jej tam nie było, chociaż musiała kontaktować się z rodzicami.

- Dlaczego?

- Praktycznie przestali wychodzić z domu.

- Porwanie?

- Niemożliwe.

- Do demonów... - zaklął. Czyli Tyen nadal pozostawała poza zasięgiem. A przecież należało zlikwidować ją jak najszybciej!



- Ilu ich było? - Laro kae Oron przeciągnął się leniwie, spoglądając na uśmiechających się złośliwie krewnych.

Przemieniec czuł się jak najedzony kot, który ułożył się wygodnie przed płonąącym kominkiem. Za jednym zamachem udało się zrobić ludziom świństwo, delikatnie pomóc lare Tyen i pozwolić chłopakom na odrobinę rozrywki. Przemienicy muszą od czasu do czasu wypuścić na zewnątrz swoje zwierzę.

- Tylko piętnastu żalonych człowieczków - wzruszył ramionami Kass, ukochany starszy brat. Nie radził sobie zbyt dobrze w dyplomacji i intrygach, za to był świetnym wykonawcą, co Raen chętnie wykorzystywał.

- Czy poinformowałeś drogiego kuzyna o swoich działaniach? - zapytał Lier. On z kolei był młodszym bratem, ukochanym nicponiem, rudym, rozczochrany i wrednym aż do bólu.

- Cóż, nasz drogi kuzyn dowie się o tym już niedługo. Zapewne. A na razie, jak sądzę, należy chronić nerwy Trzeciego Lorda przed nadmiernymi wstrząsami, żeby nadal mógł gorliwie i owocnie pracować dla dobra klanu.

- Samowola - rzucił Sen kae Werr z odcieniem dezaprobaty. Sen nie był jego krewnym, lecz potomkiem odległej linii sławetnego niegdyś rodu, który teraz powoli nikczemniał. Krążyły słuchy, że niektórzy kae Werrowie nie potrafią już zmieniać postaci, ale Sena to nie dotyczyło: chłopak był wspaniałym wojownikiem o elastycznym umyśle. - Linch przetrzepie ci skórę za takie akcje. Niby traktuje cię po przyjacielsku, ale jak nie przestaniesz robić głupstw, skoczy ci do gardła.

- Wszystko, co robię, robię dla chwały klanu, a więc moje działania nie mogą być sprzeczne z wolą Trzeciego Lorda - wygłosił Raen po raz tysięczny. Właśnie za takie akcje Linch go cenił: za umiejętność samodzielnego działania, bez ciągłego oglądania się na zwierzchników; działania mającego na celu wyłącznie dobro klanu. Poza tym... poza tym jego wysoko postawiony krewniak wiedział, że Raen podziwia go od zawsze. Linch był dla niego ideałem i wzorem do naśladowania, w zamierzczłym dzieciństwie dzisiaj śledczy gotów był przynosić swojemu bóstwu kapcie w zębach.

- Kiedy on w końcu sprawi ci lanie? - zapytał retorycznie Kass.

- W innym życiu - roześmiał się zrozumiałe Raen. - Poobserwujcie lare Tyen, chłopaki. Nie chcę, żeby ta wybitna jednostka odeszła na tamten świat, zanim nam pomoże.

- A jeśli nas zauważą? - warknął niezadowolony Sen.

- Zróbcie tak, żeby was nie zauważyli - prychnął śledczy. On wydawał rozkaz, wykonanie nie było już jego problemem.

- Drań z ciebie, braciszku - stwierdził Kass bez złości.

- Dokładnie.

Napisze do kuzyna dopiero wtedy, gdy będzie już po wszystkim. Linch zrozumie. Zapewne...





Rinnelis Tyen!” - zadzwęczał na krawędzi mej świadomości czyjś zdeterminowany głos. Ktoś próbował wdrzeć się do mojej głowy, nie dbając zupełnie o choćby podstawowe zasady dobrego wychowania. Co za grubiaństwo...

„Lare Tyen! Niech pani nie udaje, że ma pani zbyt niski poziom energii mentalnej i nie jest pani w stanie mnie odebrać!” - nieznajomy wyraźnie działał na granicy swoich możliwości.

„Lare śledcza, drwi sobie pani ze mnie?!” - zawołał z rozpaczą mój rozmówca. Bez prośby o dostęp nie mogłam stworzyć jego obrazu, więc chwilowo czułam się jak człowiek obłąkany, rozmawiający sam ze sobą.

Miałam ogromną ochotę odpowiedzieć: „Tak jest, drwię sobie”, ale nie chciałam niepotrzebnie znęcać się nad nieszczęśnikiem.

- Z kim mam zaszczyt rozmawiać? - zapytałam z westchnieniem.

„No co pani, lare Rinnelis? - westchnął z wyrzutem tamten. - Już zdążyła pani o mnie zapomnieć? Przecież rozmawialiśmy nie dalej jak wczoraj”.

- Laro Raen?

„Dokładnie, lare, dokładnie” - ucieszył się przemieniec i przed moimi oczami pojawił się bezcielesny obraz uśmiechniętego złośliwie laro Orona. No proszę, o wilku mowa...

„Przy okazji, lare Tyen, próbowano dokonać zamachu na pani życie” - zakomunikował Oron z niezrozumiałym entuzjazmem.

- No i?

„Teraz to już nieaktualne z braku wykonawców”.

- Bardzo operatywnie - doceniłam. - To była sankcjonowana operacja?

„Ależ, lare...” - w głosie przemienca zadźwięczał wyrzut.

- Cóż, podejrzewałam coś w tym rodzaju.

„Doceniam pani przenikliwość”. - Laro Oron uśmiechnął się szeroko.

- Zdołał się pan dowiedzieć czegoś o nieboszczykach?

„O tak, lare! Laro Eliot Western... Czy to imię coś pani mówi?”

- Nie - sposępniałam. - Nigdy go nie słyszałam.

„Muszę z żalem przyznać, że ja również, lare. Jednak właśnie tak przedstawił się ten, który najął zabójców”.

- Zapewne imię jest zmyślane... „Za to twarz jest prawdziwa!”

- Twarz? - zdumiałam się.

„Tak jest, lare Tyen. Mój podwładny czytał ze świadomości jednego z najemników twarz najemcy. Zapewne to tylko pośrednik, ale zawsze coś, prawda, lare Rinnelis?”

A pewnie... prawdziwy punkt zaczepienia, a nie chwiejne konstrukcje z nielicznych faktów i mnóstwa domysłów.

- Jest pan pewien, że ta twarz była prawdziwa?

„Absolutnie, lare! Co prawda musieliśmy długo usuwać nałożone iluzje, ale w końcu otrzymaliśmy prawdziwy wygląd tego typu! My, przemienicy, zbyt często zmieniamy postać, żeby mogło wprowadzić nas w błąd byle czarodziejstwo drugiego gatunku”.

Niech demony zabiorą moją grzeszną duszę, skąd kae Oron wytrzasnął takich podwładnych?! Zdjąć iluzję z odcisku pamięci to więcej niż mistrzostwo. W Straży takich specjalistów można było policzyć na palcach jednej ręki! A jeśli wziąć pod uwagę, że tę ekspertyzę przeprowadzono z pominięciem zwierzchnictwa... Bogowie miłośnicy, jakie jeszcze rezerwy ma klan Rysiów?

- Poproszę o ten obraz - zażądałam, czując nagły zapal myśliwski.

No właśnie. Nareszcie.

„Proszę bardzo - wyszczerzył się przemieniec. - Ma pani już plan dalszych działań, lare Rinnelis?”

- Oczywiście - nie zapierałam się. Obraz był zdumiewająco wyraźny, umieszczenie go w jednym z kryształów magicznych było czystą przyjemnością.

„Pani operatywność godna jest najwyższego szacunku” - uśmiechnął się laro Raen.

- Podobnie jak inne moje zalety - odparłam z lekką zarozumiałością.

„W rzeczy samej. Pomyślnego polowania, lare. Gdy pojawi się coś nowego, skontaktuję się z panią”.

Doskonale. A o tym, kto tak starannie kopie pode mną dołki w moim własnym wydziale, laro kae Oron nawet się nie zająknął. Albo uważa to za nieistotne, albo niczego nie znalazł, albo uznał za konieczne przemilczeć. Niby Ryś, a śliski jak wąż. Albo żaba. Do tego wszystkiego nie

wiadomo, czy wpływowy krewny laro Raena włączył się do działań, czy nie. A przecież nie mogą zapytać... I tak by pewnie skłamał.



Gdy w czasie kolejnej randki Ler znów dostał wezwanie od swojej przyjaciółki Rinnelis, westchnął z miną męczennika. Musiał przeprosić zaskoczoną dziewczynę, z którą właśnie miło spędzał czas w pewnej tawernie. Nie mógł posłać do demonów starej przyjaciółki, zwłaszcza że wiedział, jakie Rinnelis ma kłopoty. Nigdy nie zostawiłby jej samej w takiej sytuacji, ale gdy już będzie po wszystkim, odbierze sobie dług z procentami.

- Risz, słonko, zaczynam podejrzewać, że uparłaś się, żeby unicestwić moje życie osobiste - burknął Ler bez złości, wpuszczając do swojej świadomości Risz, natrętnie domagającą się uwagi.

„Wybacz” - odpowiedziała bez cienia zakłopotania. Alchemik uznał, że musi znaleźć jakiś cichy kąt. Rzeczowy ton Rinnelis wróżył poważną rozmowę.

- Mam nadzieję, że to ważna sprawa, bo inaczej będę musiał zabić cię gołymi rękami.

„Oczywiście, że ważna - prychnęła Risz. - Mam obraz pewnego człowieka, który z całą pewnością jest powiązany z mordercą lare Ayrel”.

- Skąd wzięłaś taki rarytas? - zdumiał się Ler.

„Nie uwierzysz, ale laro Raen tak się postarał” - oznajmiła Risz lekko zdenerwowanym tonem.

- Nie podoba mi się to.

„Żebyś wiedział, jak mnie się to nie podoba! Ale muszę wykorzystać wszystko, co mam, nie mogę dumnie odrzucić

jego pomocy” - westchnęła dziewczyna, dając do zrozumienia, że również nie darzy sympatią nadgorliwego przemienca.

- Ciekaw jestem tylko, jak będziesz się rozliczać z tym nieludziem. Coś mi się wydaje, że nie pozwoli ci się tak łatwo zerwać z haczyka.

„Nie przypominaj mi! - opędziła się rozdrażniona Rinnelis. - Wiem o tym doskonale. Na razie tak mi wygodniej, a problemy będę rozwiązywać w miarę pojawiania się”.

- Bardzo lekkomyślne jak na ciebie, droga przyjaciółko.

„A co mi innego pozostaje w tej sytuacji?” - spytała retyorycznie.

Hm... Zdumiony Ler pojął, że nieugiętą Rinnelis Tyen, jego najlepszą przyjaciółkę, grozę Straży, zapędzono w kąt, z którego może jedynie odpierać kolejne ataki. To było coś niewiarygodnego.

- No tak, nie masz zbyt dużego wyboru - przyznał.

- Ler, sprawdzisz dla mnie tego człowieka? - poprosiła dziewczyna.

- No przecież nie zostawię cię samej...

- Kto cię tam wie - prychnęła Rinnelis, niby półżartem, ale Ler zrozumiał, że po zdradzie Tarna Risz nie ufa już nikomu całkowicie.

„O, zabić go to za mało! - pomyślał. - Prawda, że naszej Żmijce daleko do ideału, potrafi być okrutna, bezduszna i zjadliwa, ale mimo wszystko oprócz wad ma jeszcze całe mnóstwo zalet! Jest wierna, serdeczna (dla bliskich ludzi oczywiście), mądra, spokojna, świetnie gotuje... Poza tym nie jest pamiętliwa, a to już duży plus, jeśli wziąć pod uwagę jej możliwość zatruwania życia innym. No, naprawdę jest super!”

- A co z obserwacją? - zapytała jeszcze dziewczyna.  
- Będziesz miała swoją obserwację, moja kochana. To już załatwiłem. Od jutra ci nieszczęśnicy, którzy wzbudzili twoje podejrzenia, będą pilnowani nawet w czasie wycieczek do toalety.

- Uwielbiam cię!

- Ja ciebie też - odparł Ler i zakończył łączność.

Niełatwo było załatwić tę obserwację, ale Risz warta była każdego wysiłku. To właśnie ona omal nie wytrzymała duszy z uzdrowiciela, który oznajmił, że Lera nie ma sensu ratować, ponieważ dawka trucizny przekroczyła granicę pozwalającą człowiekowi przeżyć. Tarn opowiadał wstrząśnięty, że zwykle tak niewzruszona lare śledcza najpierw trzasnęła uzdrowiciela w twarz (a rękę miała ciężką), a potem łagodnie oznajmiła kulturalnymi słowami, że jeśli nie weźmie się natychmiast do roboty, to ona zada mu obrażenia, które też go przesuną poza granicę medycznej opłacalności. Przerażony uzdrowiciel pod czujnym okiem lare Tyen przywrócił pechowego rzeczoznawcę do życia, a potem dostał ataku serca: ciężko wyobrazić sobie coś gorszego niż milcząca Rinnelis Tyen świdrująca człowieka ciężkim wzrokiem. Mimo najszczerzych chęci i bogatej fantazji.

Właśnie wtedy Ler zrozumiał, że jak będzie trzeba, to on tak samo stanie obok Risz i będzie jej bronił bez względu na wszystko, nie dopuszczając do niej nikogo, nawet śmierci.



Po kilku godzinach męczącego oczekiwania dijes Rinnelis w końcu wyniosła się z domu rodziców i udała do pracy. Riencharn pomyślał, że jeszcze chwila, a zaczęłby wyć.

Nie chodziło o to, że śledcza nękała go swoją uwagą, przeciwnie, starała się z nim nie stykać bez absolutnej konieczności - po prostu obecność Rinnelis Tyen pozbawiała go nadziei na realizację wielkiego planu.

Cierpliwość kahe w końcu się wyczerpała - postanowił uciec z tego zbyt gościnnego domu.

Jak tylko człowieczka zniknęła, używając jakiegoś nieznanego i bardzo złożonego zaklęcia (trzeba przyznać, że po mistrzowsku zacierała za sobą ślady), Riencharn zaczął badać skomplikowaną magiczną pajęczynę, która oplatała dom i nie pozwalała nieproszonym gościom przeniknąć do środka, zaś tym, którzy już weszli - oddalić się bez pozwolenia. W siedzibie rodziny Tyen panował względny spokój, okresowo tylko zakłócany gniewnymi okrzykami dija Tiany, która miała o coś pretensje do męża, i miauczeniem strażnika dijes Rinnelis, który głośno wyrażał swoje niezadowolone z powodu braku posiłku. Kot generalnie był osobistym przekleństwem kahe - chodził za nim wszędzie, świdrując go wzrokiem. Riencharn nie miał najmniejszych wątpliwości, że o wszystkich jego działaniach, starannie obserwowanych przez to natrętne zwierzę, dijes śledcza zostanie poinformowana przy najbliższej okazji.

Nad możliwością ucieczki kahe zaczął się zastanawiać po dogłębnym przestudiowaniu ochrony domu, gdy stwierdził, że mimo ogromnego doświadczenia i nietuzinkowej znajomości magii dija Tiana nie zdołała jednak wszystkiego przewidzieć. W zaklęciach był słaby, a raczej niestabilny punkt. Zbyt dużo kluczowych węzłów czarów znalazło się blisko siebie i promieniowało - w tym miejscu można było niepostrzeżenie je rozerwać. Defekt był tak naprawdę śmieszny, z zewnątrz ten punkt na pewno osłaniało coś

jeszcze, ale od wewnątrz albo zapomniano go zabezpieczyć, albo uznano, że to niepotrzebne.

Ów słaby punkt znajdował się pod schodami prowadzącymi na piętro. Jak na złość wszyscy członkowie rodziny Tyen używali ich dość intensywnie, co nie sprzyjało planom Riencharna. Do demonów! Ucieczka była dla niego tak ważna, że nawet Taellon nie został poinformowany o planach wuja. Riencharn nie miał zamiaru zabierać chłopaka ze sobą, w domu Tyenów będzie bezpieczniejszy niż na wolności. Dijes Rinnelis nic Taelowi nie robi, ale te typy, do których Riencharn musiał dotrzeć, na pewno nie oszczędziłyby chłopaka. Dlatego kahe zdecydował, że siostrzeniec pozostanie pod opiekuńczymi skrzydłami dijes śledczej.

Rzecz jasna, Riencharn liczył się z tym, że może zginąć, właściwie ta myśl stale mu towarzyszyła, ale podobnie jak wszystkie Dłonie Śmierci przywykł ignorować niebezpieczeństwo i podchodzić do własnego życia dość obojętnie. Zresztą nawet jeśli rozprawi się z zabójcą Sofii i zostanie za to skazany, będzie mógł spokojnie odejść do Białej Pani, wiedząc, że nie zostawił długów w świecie żywych i że jego droga do Krainy Tysięcy Cieni będzie lekka. Dla kahe i jego Domu taka śmierć nie jest hańbą.

Nie było łatwo wybrać czasu odpowiedniego na ucieczkę. Ostatnio dijes Rinnelis wychodziła i wracała o różnych porach, a ucieczka przy niej, biorąc pod uwagę nadnaturalną wrażliwość Żmii na tworzone zaklęcia, była niemożliwa. Z drugiej strony, nawet gdy dijes Tyen nie było, Riencharn też nie cieszył się spokojem. Dija Tiana z nawiązką wynagradzała mu brak uwagi ze strony córki, praktycznie stale mając go na oku. No i jeszcze ten kot... Towarzyszył południowcowi niemal wszędzie, a na każdą próbę pozbycia



się go reagował tak przeraźliwym miauczeniem, że o oburzającym zachowaniu kahe dowiadywał się nie tylko cały dom, ale i wszystkie żywe istoty w promieniu co najmniej dwóch lig. No i pozostawał jeszcze Tael... Gdy dija Tiana nie obciążała chłopaka pracami porządkowymi, nudził się straszliwie i domagał rozmowy z wujem, a ten nie miał zamiaru uprzedzać go o tym, że już niedługo biedak zostanie sam pod opieką rodziny Tyen. Po pierwsze, chłopak na pewno urządziłby scenę, po drugie, nie umiał nad sobą panować i zapewne zdradziłby plany wuja, tym samym uniemożliwiając mu ulotnienie się.

Na szczęście kahe miał dostęp do swoich rzeczy osobistych, a nawet do broni. Po pogrzebie Sofii dijes Rinnelis z sobie tylko znanych powodów nie odebrała Riencharnowi jego mieczy. Może liczyła na honor kahe, a może uważała, że w razie czego rodzice zdołają się przed nim obronić? Nie, stanowczo zastanawianie się nad motywami dijes śledczej nie miało sensu, najważniejsze było to, że już niedługo, już za parę godzin, Riencharn będzie wolny.



Mimo wszystko zaryzykowałam pojawienie się w pracy. Właściwie sama się sobie dziwiłam, że odważyłam się na coś takiego - zacisnęłam zęby i dumnie wkroczyłam do gmachu, w którym od stu lat mieścił się Wydział Śledczych wspaniałego miasta Illeny. Poprzedni gmach został zniszczony w czasie Drugiej Wojny Elfickiej, przy czym elfy nawet nie dotarły do stolicy - pogromem zajęły się miejscowe elementy przestępcze, korzystające z tego, że większość Straży przerzucono na wschodnią granicę, gdzie trwały zacięte walki z Pierworodzonymi. Tego dnia dla odmiany

przeniosłam się na plac przed wydziałem - wszyscy chętni mogli zobaczyć moje triumfalne wejście. Czułam, że gdybym tylko na chwilę przystanąła, zaraz nogi by się pod mną ugięły, więc maszerowałam dziarsko naprzód. Należało stale podtrzymywać reputację groźnej i nieustraszonej śledczej, żeby nikt nie zaczął mieć wątpliwości i nie zapragnął sprawdzić mojej odporności.

Przy wejściu zostałam powitana podejrzanie serdecznie, niewiele brakowało, a rozwinięto by przede mną czerwony dywan. Dwaj potężni strażnicy dosłownie promieniowali szczęściem na widok mojej skromnej osoby. Zaczęłam podejrzewać, że coś tu jest nie tak, i nawet sprawdziłam ich pod kątem uniwersalnych zaklęć wzmówienia. Okazało się, że ta nienaturalna życzliwość wynikała z inicjatywy własnej ochroniarzy. Niesamowite.

Niepewność zawsze denerwowała mnie najbardziej, dlatego zamiast do swojego gabinetu poszłam do sekretariatu naczelnika, gdzie powinna siedzieć wszystkowiedząca Estela. Miałam nadzieję, że nadal darzy mnie sympatią i wyjaśni, co dzieje się w tym burdelu, w którym miałam nieszczęście pracować.

Napotykanie po drodze koledzy również wylewali na mnie swoją niezmierną radość ze spotkania. Moja dłoń nerwowo sięgała po sztylet. Do tej pory nie lubili mnie. Bardzo mnie nie lubili. Przywykłam do tego i nigdy nie próbowałam zyskać czyjejs przychylności, dlatego takie zachowanie otoczenia wzbudzało we mnie cichą panikę oraz chęć uzyskania informacji, kiedy należy spodziewać się ciosu w plecy.

Gdy dotarłam do lare Esteli, poczułam się znacznie lepiej. Tu przynajmniej traktowano mnie normalnie i szczerze odpowiadano na pytania.

- Lare Rinnelis! - powitała mnie z uśmiechem sekretarka. - Kiepsko pani wygląda, zrobię herbatę...

Zupełnie jakbym w mojej sytuacji mogła wyglądać inaczej.

- Ostatnio jestem trochę zmęczona - westchnęłam, siadając na fotelu przy biurku lare Esteli.

- Nic dziwnego, jeśli pomyśleć, co pani przeżyła. - Dziewczyna ze zrozumieniem skinęła głową.

- Nie wie pani, co się dzieje z moimi współpracownikami? - zdecydowałam się wyjaśnić dręczącą mnie kwestię. - Dziwnie się zachowują.

- O, nie ma w tym nic dziwnego - prychnęła moja rozmówczyni. - Podczas pani nieobecności przychodzili tu laroje z Wydziału Wewnętrznego.

- No i? - spięłam się. Sądząc z opowieści laro Riencharna, po kae Oronie można się było wszystkiego spodziewać.

- Zabrali laro Roua i jeszcze kilku laroje, i teraz cały wydział trzęsie się ze strachu, kto będzie następny. Nikt nie podejrzewał, że kontakty z panią, lare Rinnelis, mogą być brzemiennie w takie konsekwencje.

Ja również nie podejrzewałam. Z jakiej racji kae Oron zaczął terroryzować nasz wydział, w dodatku bez uzgodnienia tego ze mną? No tak, ale może nie powinnam traktować przemieńca jako współnika? Mimo wszystko pracuje w Wydziale Wewnętrznym, oni tam mają spory wpływ na zwykłych śledczych... Zazwyczaj tacy jak on prowadzą własną grę, w której każdy inny pracownik Straży jest pionkiem. Na demony, z kim ja się związałam?!

- Ma pani wygodne znajomości, lare - powiedziała Estela z lekkim napięciem w głosie.

- O, tak... - potwierdziłam. Ciekawe tylko, jak się potem uwolnię od tej znajomości. Rzecz jasna, nie miałam

zamiaru mówić sekretarce, że laro Raen wziął się do moich kolegów z własnej inicjatywy, niech myśli, że w rękawach mojej szaty mam jeszcze niejednego asa.

- Od dawna jest pani tak bliską znajomą laro Raena, że aż staje w pani obronie? - zapytała dwuznacznie dziewczyna, patrząc mi w oczy.

Ze zdumieniem zamrugałam.

Czyżby... Czy ona naprawdę myśli, że ja i ten przemieniec...? Co za brednie! To znaczy można było oczywiście pomyśleć, że zadurzyłam się w kae Oronie, w sumie był dość przystojny... Jednak nawet najniżej stojący przemieniec nie zainteresuje się ludzką kobietą, zwłaszcza niezbyt urodziwą.

- Nie, lare, aż tak dawno się nie znamy.

W ogóle ledwie się znamy. I mam nadzieję, że zdołam pozostać w błogiej nieświadomości na temat złożonej natury laro Raena.

- Musi panią naprawdę lubić, skoro okazuje pani takie wsparcie... - drążyła sekretarka.

Do demonów, zacięła się czy co? A może zależało jej na poznaniu szczegółów moich rzekomo bliskich kontaktów z laro kae Oronem? O, może powinnam jej jeszcze opowiedzieć o laro Riencharnie i laro Rou? Mam bogatą wyobraźnię i mogłabym zaspokoić ciekawość lare Esteli, ale po co psuć sobie reputację bezuczuciowej suki, żyjącej wyłącznie swoją pracą?

- Nic mi nie wiadomo o sympatiach i antypatiach laro kae Orona. I nie rozumiem, dlaczego, pani zdaniem, powinnam znać jego subiektywną opinię na temat osób, które w prowadzonej przez niego sprawie występują jako poszkodowani.

W oczach Esteli pojawiło się zmieszanie. Na bogów, przecież ona próbuje wyciągnąć ze mnie wyznanie, że ja

i laro Raen jesteśmy kochankami! Miła osóbką, nie ma co! I jaki wspaniały pretekst odsunięcia przemienca od mojej sprawy! Mnie ten rzekomy romans również może zaszkodzić. I komuż ta ptaszyna miała wyćwierkać wszystko o moich wyczynach miłosnych? Nie, już raczej ktoś miał dostać kryształ magiczny umieszczony w sekretariacie i rejestrujący każde moje słowo.

- Ale...

- Chyba już powiedziałam, lare Estelo, że moja znajomość z laro Raenem jest wyłącznie powierzchowna, zaś zainteresowanie, jakie przejawia wobec mnie kae Oron ma charakter strictly służbowy? Nic innego nie ma, nie miało i nie może mieć miejsca - oznajmiłam z uprzedzającą grzecznością, patrząc na sekretarkę z tą samą łagodnością, z jaką kot spogląda na mysz.

Blondynka nerwowo przełknęła ślinę. Chyba spodziewała się co najmniej ciosu sztyletem w serce.

- Myślę, lare Estelo, że ograniczę moje wizyty u pani - prychnęłam. - Pani herbata jest niewystarczająco dobra do prywatnych rozmów.

Nawet jeśli nie zrozumiała aluzji, to przynajmniej dałam upust, choć w zawoalowanej formie, swojemu rozdrażnieniu.

To dziwne, że w ostatnim czasie ludzie zaczęli mnie masowo zdradzać. Powoli stawało się to nieprzyjemną regułą.

Ciekawe, jak długo, a przede wszystkim komu lare Estela przekazywała informacje o mnie? Należałoby omówić tę kwestię z kae Oronem - zapewne zechce dowiedzieć się czegoś na temat działalności szpiegowskiej sekretarki. Ale najpierw musiałam dotrzeć do swojego zrujnowanego gabinetu, żeby nikt z postronnych nie dowiedział się, o czym, a przede wszystkim z kim rozmawiam.

Zgodnie z przewidywaniami nikt jeszcze nie zatroszczył się o rozpoczęcie remontu, więc moje miejsce pracy nadal wyglądało jak coś pomiędzy polem bitwy i wybiegiem dla słoni: pogrom wywołany zakłębieniem bojowym został spotęgowany działaniami ekspertów, których wysłał tu laro Raen.

Opadłam na fotel (chwała bogom, przynajmniej on nie ucierpiał) i w myślach połączyłam się z przemienicem.

„Lare Rinnelis, jaka miła niespodzianka! Już myślałam, że nie zaszczyli mnie pani swoją uwagą!”

- Niech pan nie błaznuje, laro Oronie, ja służbowo.

„Oczywiście - prychnął mój rozmówca. - Jak zawsze, lare”.

- Lare Estela, sekretarka nieżyjącego laro Grossa, w prywatnej rozmowie wykazała szalone zainteresowanie naszym - moim i pańskim - wspólnym życiem osobistym.

„Co takiego?!” - Przemieniec chyba przeżył wstrząs.

- Mam powtórzyć?

„Nie, nie trzeba. A może to tylko zwykłe kobiece plotki?”

- Laro, czy jest pan w stanie wyobrazić sobie zdrowego na umyśle człowieka, który próbuje ze mną plotkować, zwłaszcza na temat mojego życia osobistego? - zapytałam zgryźliwie.

„Ee...”

- Bez obaw, nie obrażę się.

„Sądzę, że brak pani życia osobistego nie jest najlepszym tematem do dyskusji, lare Tyen. Ja osobiście nie ryzykowałbym aż tak”.

- No więc właśnie. Estela tak usilnie próbowała wyciągnąć ze mnie wyznanie na temat romansu z panem, aż

zaczęłam podejrzewać, że w pomieszczeniu umieszczono kryształ magiczny. I sądząc z jej reakcji, miałam rację.

„To znaczy, że w stosunku do pani jestem zbyt lojalny i komuś się to nie spodobało?”

- Na to wygląda - westchnęłam. - Nie wiem tylko, czy wiąże się to z moją obecną sprawą, czy to może reakcja na minione zasługi.

„Myślę, że powinienem się co nieco dowiedzieć o tej czarującej dziewczynie”.

- Ja również tak pomyślałam. Tylko niech pan to robi ostrożnie - poradziłam.

„O?! - zawołał drwiąco przemieniec. - Czyżby był to wyraz troski?”

- Niestety, lare Raenie, chyba że troski o siebie. Nie sądzę, by moja sytuacja uległa kardynalnej poprawie, jeśli dochodzenie w tej sprawie będzie prowadził kto inny.

„A już myślałam, że martwi się pani o mnie”.

- Przykro mi, laro, jestem niezdolna do takich gestów.

Wszystkiego dobrego.

„Powodzenia”.

Tak, powodzenie bardzo mi się przyda...



- Sen! - zwrócił się Raen do kae Werra, który przysnął w fotelu.

- No...? - odpowiedział tamten leniwie.

- Zajmowałeś się aktami pracowników w wydziale Tyen?

- A o co chodzi? Przecież zgarnęliśmy już wszystkich, którzy pomogli umieścić tę niespodziankę w gabinecie twojej kobry?

- Zgarnęliśmy... - machnął ręką kae Oron. - A co wiesz o Esteli Kerrel?

Sen popatrzył zdumiony na szefa, ale posłusznie wyrecytował:

- Lat dwadzieścia jeden, niezamężna, niewłaściwych związków nie zauważono, wykształcenie wyższe, spokojna, opanowana, inteligentna, dobre kontakty ze współpracownikami, nieślubna córka nieżyjącego księcia Veylina...

Zarejestrowanie tego ostatniego faktu zajęło Raenowi dwie sekundy.

- Co?! - zawołał zdumiony.

- Nieślubna córka Fredericka Jayberry, księcia Veylina. Ze związku z mieszczańką. W końcu uznał dziecko, ale nie zostawił mu nic w spadku.

- Na przodków kahe ze wszystkimi demonami tego świata... To przecież...

- Podwójna moralność arystokracji odebrała ci mowę? - zapytał ironicznie kae Werr.

- Nie - pokręcił głową Raen. - Ja w odróżnieniu od ciebie nie mam sklerozy. Lare Tyen będzie zachwycona tą nowiną.



„Rinnelis!” - rozległ się w mojej głowie ogłuszający krzyk.

- Mama? - zapytałam zdziwiona. Czego mogła ode mnie chcieć? Przecież widziałyśmy się rano...

„Twój nieludź uciekł!”

Co?! Jak...? To przecież niemożliwe... I przede wszystkim - kto?



- Który? - zapytałam, siląc się na spokój.  
- Starszy - odpowiedziała ma. - Zamknął Kerriego w łazience, poczekał, aż będę zajęta, i spokojnie się teleportował.

- A ochrona? - zdumiałam się szczerze. Nasz dom był lepiej chroniony niż niektóre tajne schowki Straży, nie można było ani się do niego wedrzeć, ani z niego uciec.

„Jak widzimy, jakoś zdołał rozwiązać ten problem” - skrzywiła się moja matka.

Dlaczego to wszystko spada na mnie jednocześnie?

- Przynajmniej wyszedł po cichu? Nic wam się nie stało? - zapytałam nerwowo.

„Cicho jak mysz. Chyba wołał uniknąć konfrontacji ze mną”.

O tak, moja mama potrafiła być groźna, zwłaszcza w gniewie. No i jest silnym magiem, nic dziwnego, że laro Riencharn wołał wynieść się po kryjomu. Poza tym pewnie zdawał sobie sprawę, że gdyby z głowy moich rodziców spadł choć jeden włos, znalazłabym nieszczęsnego kahe nawet w Krainie Tysięcy Cieni.

- A laro Taellon? - zapytałam. Mówiąc o ucieczce starszego kahe, mama nie wspomniała o młodszym.

„Laro Riencharn zostawił go u nas”.

- Nie zabrał go ze sobą?!

„Nie. Chłopak w ogóle nie miał pojęcia o planach swojego wuja. Gdy zrozumiał, że został porzucony, wpadł w histerię” - uśmiechnęła się mama.

- Hm... Czy mi się zdaje, czy laro Riencharn dał nam delikatnie do zrozumienia, że powinniśmy zatroszczyć się o jego siostrzeńca?

„Wygląda na to, że masz rację. Doprawdy to wyjątkowe świnstwo ze strony tego kahe. Skoro już postanowił się

wynieść, mógł zabrać chłopaka ze sobą - ale nie, powiesił nam ten kamień na szyi!”

- Mamo, laro Riencharn ma w planach krwawą zemstę - przypominałam z sarkastycznym uśmiechem. - Jest tak zajęty martwymi, że na żywych nie starcza mu już czasu. Na pewno nie spocznie dopóty, dopóki nie zabije albo sam nie zostanie zabity.

Przy czym ten drugi wariant był znacznie bardziej prawdopodobny.

„Zawsze mówiłam, że południowcy mają nie po kolei w głowie” - westchnęła mama i przerwała połączenie.

Ciekawe, czy kahe uciekł dlatego, że nie wytrzymał nerwowo, czy dlatego, że czegoś się dowiedział? A jeśli to drugie, to jakim cudem do domu rodziców przesączyła się informacja, której źródłem nie byłam ja?

Wszystko leci w demony, a ja nie mogę nic zrobić. Kahe zniknął, mam na karku przemienca, który bogowie wiedzą czego ode mnie chce, a o zabójcy lare Ayrel wiedziałam mniej niż na początku śledztwa. Może powinnam odejść ze Straży, gdyż nie nadaję się na zajmowane stanowisko? Taki ze mnie śledczy jak z koziej dupy trąba.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Proszę wejść - powiedziałam, nie wstając z fotela. Dzisiaj miałam ochotę posłać uprzejmość do diabła.

- Lare Rinnelis...

- Lare Estela? - zdumiałam się, automatycznie przygotowując słabe zakłęcie atakujące. Skoro dziewczyna przeszła z kategorii osób neutralnych do niepewnych, należało przygotować środki ostrożności.

- Lare... Już pani komuś opowiedziała? Ja...

- Czego sobie pani życzy? - zapytałam z chłodną uprzejmością.

Rzęsy wokół jasnych oczu były mokre, ale tusz jeszcze nie zaczął spływać. To niesamowite, że niektórzy nawet płakać potrafią estetycznie.

- Ja... ja nie chciałam! - załkała sekretarka.

- Czego pani nie chciała? - zapytałam wprost. Łzy i melodramaty to oczywiście bardzo piękne, ale mam pilniejsze sprawy.

- Nie chciałam pani śledzić, ale... brat!

- Brat zmusił panią do śledzenia mnie? - zapytałam rzeczowo.

- Nie! - Pokręciła głową, burząc sobie fryzurę. - Gdybym tego nie zrobiła, brata mogliby zabić!

- Nie wiedziałam, że ma pani brata - oznajmiłam sucho.

- Ja... jestem dzieckiem z nieprawego łoża - wykrztusiła ledwie słyszalnie, mnąc kurczowo suknię. - Terry to mój jedyny krewny, nikogo więcej nie mam.

Terry... Terence? Terence Jayberry?...

- I nie ma pani żadnych środków do życia, nie licząc pensji sekretarki - skonstatowałam sucho. Jakoś ciężko mi było uwierzyć w łzawe zapewnienia o uczuciu łączącym dziecko z nieprawego łoża i legalne rodzeństwo. Zdarza się to tak rzadko, że wzmiankę o tym można znaleźć jedynie w legendach.

- Jak pani... - wysyczała ze złością.

- Śmiem, i to jeszcze jak. Proszę sobie darować zapewnienia o siostrzanej miłości. Jak rozumiem, zmarły ojciec nie zostawił pani żadnego spadku, skoro musi pani tkwić w takim miejscu na takim stanowisku, zaś brat nie ma zamiaru zapewnić siostrze godnego życia, woli wykorzystywać jej talenty i pozycję służbową? To właśnie na prośbę brata zaczęła pani grzebać w moim życiu?

Młody ksiązę figuruje na mojej liście podejrzanych, a jego przyrodnia siostra została nagle przyłapana na śledzeniu mnie i zaczyna szlochać, zapewniając, że robiła to dla brata, którego z jakiegoś powodu chcą zabić. Czy nie za dużo zbiegów okoliczności?

- Proszę, niech pani nikomu o tym nie mówi, bo go zabiją! - złożyła ręce blond piękność. - Pani tego nie rozumie! Pani jest taka bezduszna, podła, kłamliwa...

- Przyszła tu pani, żeby wygłosić opinię na temat mojej skromnej osoby? - wstałam, mierząc lare Estele spojrzeniem kobry. - Proszę sobie darować, jestem dość dobrze zorientowana w kwestii własnej osobowości.

- Nie... - spłoszyła się. - Błagam, niech mi pani wybaczy, lare Rinnelis, nie chciałam powiedzieć nic złego...

Zrobiłam dyskretny ruch ręką, sprawdzając, czy to dwulicowe dziewczę nie wniosło jakiegoś urzędnika śledzącego, ale okazało się, że tym razem ma stosunkowo uczciwe zamiary.

- Rozumiem, próbuje pani zaledwie zepsuć reputację mnie i zniszczyć karierę innemu pracownikowi Straży?

- A co innego mogłam pomyśleć, gdy nazajutrz po wszczęciu dochodzenia wewnętrznego aresztowano kilku pracowników, a innych zastraszono prawie na śmierć?! Ci przekłęci przemienicy przez dwie godziny kręcili się po wydziale, niemal pokazując kły!

- Przemienicy? - zdumiałam się szczerze. - Więc było ich kilku?

- Tak jest! Raen kae Oron ma do swojej dyspozycji całą watahę!

Co takiego? Jeden przemieniec w Straży Erolu to już wielkie dziwo, ale kilku? I wszystkimi dowodzi laro Raen? No nie, to już podejrzanie przypominało oddział dywersyjny.

I jak Trzeciemu Lordowi udało się weisnąć tyłu pobratymców do stołecznej Straży? Rzeczywiście musi być wirtuozem w swojej dziedzinie - i wyjątkowo niebezpiecznym przeciwnikiem.

- I uznała pani, że to właśnie ja poszczułam przemieńców na własny wydział? - zapytałam ironicznie.

- Ee... Tak.

- A nie przyszło pani do tej pięknej główki, że człowiek sterujący przemieńcami to postać mityczna? - zadrwiłam.

- Ale przecież działali na pani korzyść... - zauważyła dziewczyna.

- Co świadczy wyłącznie o tym, że na skutek kaprysu losu ich cele chwilowo zbiegają się z moimi. - Wzruszyłam ramionami. - Kto pani kazał mnie śledzić? A może brat malowniczo opisał pani, co go czeka, jeśli odrzuci pani tę kuszącą propozycję?

- Co pani sugeruje? - oburzyła się lare Estela.

- Sugeruję? - zdumiałam się. - Ja nie sugeruję, ja mówię otwarcie! Pani brat jest jednym z podejrzanych w moim śledztwie i nagle okazuje się, że pani, jego przyrodnia siostra, mnie obserwuje. Czym wyjaśnić ten zaskakujący zbieg okoliczności?

- Przecież ja zaczęłam śledzić panią znacznie wcześniej! - zawołała dziewczyna z oburzeniem i od razu ugryzła się w język.

- Aa, to od tego miejsca poproszę bardziej szczegółowo - ożywiłam się.

- Skontaktowali się ze mną mniej więcej pół roku temu... - zaczęła lare Estela powoli, jakby przypominając sobie szczegóły. - Właśnie skończyła pani jakieś duże śledztwo, w czasie którego znów posłała pani do demonów dyskretne aluzje zwierzchników...

Pamiętam jak dziś, to była sprawa Williama Ashby'ego. Chłopaka próbowano obciążyć trzema zabójstwami, z którymi nie miał nic wspólnego - chodziło o to, żeby odwrócić podejrzenia od pewnego wpływowego i znamienitego człowieka, którego na skutek moich starań w efekcie powieszono. Pamiętam, że wtedy naciskali na mnie z samej góry - pomyślałam nawet, że maczał w tym palce nasz drogi monarcha. Rzecz jasna, udowodnienie czegokolwiek było nie-realne, gdyż Jego Wysokość panował pod hasłem „prawo ponad wszystko”, jednak niejasne podejrzenia pozostały.

- Do mojego mieszkania przyszli bardzo uprzejmi młodzi ludzie - kontynuowała Estela - i poprosili, żebym się pani uważniej przyjrzała. Miałam przekazywać informacje o wszelkich hańbiących kontaktach, najdrobniejszym łamaniu prawa, o lekceważeniu obowiązków służbowych...

Jak miło.

- To znaczy miała pani znaleźć powód do wyrzucenia mnie ze Straży?

- Dokładnie tak, lare Rinnelis. Grozili, że jak się nie zgodzę, mojemu bratu przydarzy się nieszczęśliwy wypadek.

- Księżę Veylin to w ogóle niewygodna postać dla obecnej elity rządzącej, jeden z możliwych pretendentów do tronu w razie śmierci Jego Wysokości.

- Tak, stale mu się coś przytrafia. Nie wiem, czy Terry uczestniczył w jakimś spisku, ale bardzo możliwe, że spróbują się go pozbyć, nie czekając, aż zacznie się rwać do władzy.

- A zacznie?

- Jest dość ambitny... - Wzruszyła spokojnie ramionami, potwierdzając tym samym moje podejrzenia.

W rzeczywistości wcale nie kochała brata. Nikt, nawet ja, nie mówi takim tonem o niebezpieczeństwie grożącym bliskiemu człowiekowi.

- Nie sądzi pani, że sam pomysł wymiany kariery śledczego na życie księcia jest dość idiotyczny? - zauważyłam wzgardliwie.

- Nie. Terry'ego tak czy inaczej chcą usunąć, a pani również działa im na nerwy, podrywając autorytet władzy - zauważyła lare Estela cynicznie.

- Proszę mi nie wmawiać, że jedna natrętna mucha może ściągnąć na siebie taką uwagę.

- Zbytek skromności, lare śledcza. Nawet ja mogłabym wymienić dwadzieścia spraw, w których otwarcie sprzeciwiła się pani życzeniom Jego Wysokości wyrażonym przez konkretne osoby. Myślę, że limit cierpliwości po prostu się wyczerpał.

Najwyraźniej histeria lare Esteli była dobrze odegranym przedstawieniem. W sumie niczego innego nie należało się po niej spodziewać, w końcu ta przemiła dziewczyna przez pół roku wodziła mnie za nos, a ja, głupia, niczego nie zauważyłam. A przecież powinnam była zrozumieć, że serdeczny stosunek do mnie już sam w sobie jest wysoce podejrzany.

- A teraz prosi mnie pani, żebym nie informowała o pani postępku laro kae Orona, który bada sprawę zamachu na moje życie...?

- Z zamachem nie mam nic wspólnego! - prychnęła rozdrażniona. - Aż taka głupia nie jestem!

- To się jeszcze okaże - odparłam z uśmiechem. - Tak czy inaczej, laro Raen został już poinformowany o pani nieudolnych próbach zniszczenia nam kariery.

Lare Estela popatrzyła na mnie... Kilka razy już tak na mnie patrzono. Każde takie spojrzenie zapamiętuje się na

całe życie - człowiek dostrzega w nim własną rychłą śmierć w męczarniach. Chwała bogom, lare Esteli nie starczyłoby sił, żeby mnie zabić, ale ostrożności nigdy za wiele: na wszelki wypadek wzmocniłam zaklęcia. Jeśli bardzo chce się kogoś zabić, można to zrobić nawet małym zadrażnieniem - wystarczy użyć dobrej trucizny. A skąd mogłam wiedzieć, czy lare sekretarka nie jest specjalistką w tej dziedzinie?

- To znaczy, że jednak coś was łączy? - wyszczerzyła się blondynka, która w tym momencie wyglądała dziwnie nieładnie, jak źle zrobiona lalka.

- Zapomina pani o jednym drobnym fakcie, lare. - Uśmiechnęłam się triumfalnie. - Laro Raen prowadzi sprawę, w której jestem poszkodowaną. To chyba naturalne, że informuję go o rzeczach, które, moim zdaniem, mają coś wspólnego z tą sprawą.

- Myśli pani, że się pani wykręci? - Lare Estela zmrużyła ze złością oczy. - Już ja się zatroszczę, żeby nie uszło to pani na sucho! Uważa pani, że może bezkarnie gnębić innych?

Obrzuciłam ją obojętnym spojrzeniem.

- Świetnie pani wie, że ja mogę zniszczyć panią znacznie wcześniej. Albo nie ja... - rzuciłam z wieloznacznym uśmiechem. - Wszystkiego dobrego, lare Estelo.

Odrzuciła się na pięcie i wyskoczyła z gabinetu jak wystrzelona z katapulty. Jeszcze jeden człowiek, o którym, jak się okazuje, nic nie wiedziałam.

A taką miałam nadzieję, że Estela śledzi mnie na polecenie zabójcy lare Ayrel. To byłby znacznie lepszy wariant niż ten, o którym tak uprzejmie poinformowała mnie lare Estela Kerrel. O tak, Straż jest suwerenna, niezależna, do jej spraw nie wolno się wtrącać, jednak nikogo nie zdziwi, gdy



pewnego pięknego dnia jakiś śledczy, niezbyt wrażliwy na życzenia zwierzchników, nie przyjdzie do pracy. Nikt nie będzie go szukać - czasem po prostu się tak zdarza. Pewnie już wkrótce przytrafi się to mnie. Gdzie się wtedy znajdę? W jakimś odległym więzieniu? A może na dnie rzeki? Po co marnować pieniądze z budżetu królestwa na utrzymanie nadprogramowego więźnia, skoro można się go pozbyć? W dodatku będzie to z korzyścią dla środowiska - ryby się najedzą.



**R**aen zjawił się w wydziale swojej obecnej podopiecznej zgodnie z najlepszymi tradycjami rodu kae Oron: nagle i niespodziewanie, co zawsze robiło wrażenie na otoczeniu. Jego kuzyn uwielbiał właśnie tak wkraczać do koszar - w efekcie we wszystkich jednostkach powierzonych trosce Lincha kae Orona panował nadnaturalny porządek, zaś wojownicy uzależnili się od waleriany. Trzeci Lord generalnie lubił utrzymywać swoje otoczenie na granicy rozstroju nerwowego.

Śledczy i inni pracownicy patrzyli na przemienca z minami skazańców, posłusznie wykonując wszystkie polecenia, jak dobrze wytresowane psy. Zdaniem przemienca, właśnie tym byli: szczekliwymi kundlami, które ochoczo wykonywały rozkazy silniejszego. Tym razem był nim Raen, następnym... Bogowie jedni wiedzą kto będzie dyrygował nimi potem. Jedynym człowiekiem niepozabawionym poczucia godności była lare Rinnelis - twarda, nawet okrutna i nieugięta, a przy tym dumna i mądra. Będzie musiał ją wykraść! Tę źmiję należało trzymać w szklanym terrarium i dobrze karmić, od czasu do czasu ściągając z jej kłów truciznę. Tu pewnie w końcu by ją powiesili - szalenie

nieracjonalne podejście do tej pod każdym względem wybitnej kobiety.

Na pytanie, gdzie może znaleźć lare Tyen, przemieniec uzyskał pospieszną informację, że lare Rinnelis znajduje się obecnie w swoim gabinecie, a wszystkich gości uprzejmie wysyła pod konkretne adresy. Zapewne już niedługo zaczęnie wyrażać się mniej przyzwoicie.

„Oho, poważna sprawa” - pomyślał kae Oron. Był zaskoczony - nie potrafił wyobrazić sobie przeklinającej lare śledczej. Najwidoczniej biedną dziewczynę doprowadzono do punktu, w którym kończyło się nawet jej zimne opanowanie.

Najdziwniejsze było to, że lare śledcza wyglądała dokładnie tak samo jak zwykle. Idealnie uczesana, w urzędowym stroju, całkowicie niewzruszona. Co prawda lekko pobladła, ale może to tylko przemęczenie... i miała sinawe cienie pod oczami. I dłonie starannie kryła w szerokich rękawach szaty, jakby z jakiegoś powodu nie chciała ich pokazywać.

- Niezbyt dobrze pani wygląda, lare - odważył się wygłosić swoją opinię Oron. - Chyba powinna pani odpocząć.

- Zdążę odpocząć na tamtym świecie, kae Oronie - odparła uprzejmie lare Rinnelis, patrząc na przemienca dziwnym wzrokiem: jakby był zarazem jej oprawcą i potencjalnym posiłkiem.

- Nie brzmi to zbyt optymistycznie, lare Tyen.

- Nie mam powodów do optymizmu. Mój podopieczny mimo wszystko mnie opuścił - oznajmiła dziewczyna.

Zapadła cisza, w czasie której kae Oron starannie przetrawiał usłyszane słowa. Nie wiadomo, o czym myślała

lare śledcza, gdyż na jej szczupłej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Jak mu się to udało? - zapytał w końcu Raen.

- Też chciałabym to wiedzieć. - Lare Tyen wzruszyła ramionami, wzdychając lekko.

- A młodszy kahe?

- Jest u mnie. Wuj chyba uznał, że w moich rękach siostrzeniec będzie bezpieczniejszy.

Zarówno przemieniec, jak i śledcza starannie unikali wymieniania imion.

- Daliss? - skrzywił się z niezadowoleniem Raen.

- Dokładnie tak. Z jakiegoś powodu i was, i waszych sąsiadów tradycje pozbawiają zdrowego rozsądku. Ten laro nie tylko sam pcha się na szubienicę, ale naraża również własnego siostrzeńca!

Lare Tyen pogardliwie zacisnęła wargi.

„Ludzie, istoty przyziemne i pragmatyczne, zawsze mieli problemy ze zrozumieniem motywów starszych ras. Śmiertelni mogą poznawać nasze tradycje, ale ich duch pozostanie dla nich niepojęty. Prymitywne istoty” - pomyślał pogardliwie Raen, nieświadomie kopiując grymas dziewczyny.

- Tak czy inaczej, wróci po siostrzeńca - przemieniec spróbował uspokoić i dziewczynę, i siebie.

- Na pewno, laro. - Skinęła głową. - Na pewno. Jeśli tylko przeżyje.

- Przecież jest Dłonią Śmierci! - zawołał z rozdrażnieniem kae Oron. - Nic mu nie będzie!

- To, że jest Dłonią Śmierci, nie oznacza jeszcze, że nie można go zabić, laro Raenie. Wszystko zależy od tego, ilu wrogów będzie miał przeciwko sobie. Myślę, że będą tam i wojownicy, i magowie, a magia werbalna nie jest

najlepszym sojusznikiem. Powinien pan o tym wiedzieć najlepiej, laro kae Oronie.

Tak, przemienicy wiedzieli o tej szczególnej właściwości czarów swoich sąsiadów i wrogów jak nikt inny - przecież właśnie ona dawała największą przewagę w częstych starciach między kahe i przemienicami. Magia werbalna wymagała czasu - a wtedy można zabić tworzącego zakłęcie. Zwykle gdy pobratymcom kae Orona udawało się dobrać do wrogich magów w odpowiedniej chwili, bitwa była już wygrana.

- Dokąd mógł pójść?

- Pojęcia nie mam - westchnęła człowieczka. - Nie miał nawet tych informacji, które mam teraz ja.

- To znaczy, że on praktycznie nic nie wie - podsumował Raen. - Niesamowite! Przecież trafi prosto w ręce Straży!

- Właśnie, laro Raenie. Dlatego należy go znaleźć jak najszybciej. Ponadto on wie, jaki jest pański udział w moim śledztwie, a oprawcy Straży mają bardzo wysokie kwalifikacje - oznajmiła lare Rinnelis.

- Bardzo mnie pani ucieszyła, lare - rzucił złośliwie przemieniec.

Raen kae Oron poczuł nieprzeparte pragnienie uduszenia dziewczyny gołymi rękami, na miejscu. I nieważne, że wokół nich był tłum śledczych - tylko by mu podziękowali.

- Ja jedynie podaję panu kolejny powód, dla którego należy znaleźć tego przedsiębiorczego kahe, zanim znowu narobi głupstw - uśmiechnęła się lare Tyen, robiąc delikatny gest ręką.

Tak, takiej nie zabijesz... Przemieniec gotów był się założyć o własną skórę, że dziewczyna podwiesiła właśnie

„gniew bogów” - zaklęcie, które cię spopieli bez względu na to, czy ustawiłeś ochronę, czy nie.

- Wie pani, lare Rinnelis, zdaje się, że ja również pragnę panią zabić - oświadczył Raen z krzywym uśmiechem, choć na razie zrezygnował z tego samobójczego pomysłu.

Lare Tyen obojętnie wzduszyła ramionami i odchyliła się ze zmęczeniem na oparcie fotela.

- Pańskie prawo. Przy okazji, wie pan, że lare Estela jest przyrodnią siostrą księcia Veylina?

Zaklęcia jednak nie dezaktywowała. Inteligentna kobieta.

- Już pani o tym wie? - zdumiał się nieco przemieniec. On miał na swoje usługi kilka dodatkowych par oczu i uszu, nie mówiąc o bystrych umysłach, a skąd takie wiadomości u Żmii? Zwłaszcza że była odcięta od większości źródeł informacji?

- Tak. Rozmawiałam z tą lare i sporo się dowiedziałam. Twierdzi, że została poproszona przez wysoko postawionych laroje o obserwowanie mnie, i podobno grożono jej śmiercią brata. Argument co najmniej ważki, jeśli wziąć pod uwagę, że to właśnie laro Veylin utrzymuje swoją krewną.

- A ja myślałem, że ta osóbką donosi na panią swojemu bratu.

- To, że przekazuje informacje wyżej, nie oznacza, że nie dzieli się nimi z bratem - odparła rezolutnie lare Rinnelis. - Jedno drugiemu nie przeszkadza.

- A jej brat i tak znajdował się u pani na czarnej liście - podjął przemieniec. - Myślę, że należy przyjrzeć się bliżej temu laro.

- Absolutnie się z panem zgadzam, laro Raenie - skinęła głową lare Tyen. - Ten młody człowiek wyraźnie

musi być zdolny do niejednego, skoro fakt jego istnienia do takiego stopnia działa na nerwy Jego Wysokości.

- Myśli pani, że byłby zdolny zabić swoją kuzynkę i bliskiego przyjaciela? - zdumiał się Raen.

- Widzi pan, laro kae Oronie - uśmiechnęła się gorzko lare Rinnelis. - Moje doświadczenie mówi mi, że przyjaźń nie jest bynajmniej powodem, by nie zdradzać i nie zabijać. Jednak nie mogę oskarżać księcia Veylina o wszystkie grzechy śmiertelne, nie mając przeciwko niemu żadnych dowodów.

- Współczuję, lare.

- Dziękuję - uśmiechnęła się śledcza.

- Wszystkiego dobrego, lare Rinnelis. - Przemieniec skłonił się krótko.

- Powodzenia, laro Raenie.



Estela była wściekła. Przez tę zmiję Tyen mogła stracić wszystko, co miała! Wszystko! Wiedziała, co to znaczy ubóstwo powoli przeradające się w nędzę, i nie chciała powtórki tego doświadczenia. A teraz... jeśli coś się stanie jej przyrodniemu bratu, będzie musiała żyć z tej skromnej pensji, jaką otrzymywała w Straży, a to było... poniżające. W końcu była córką księcia, choć z nieprawego łoża, a nie jakąś tam mieszczką, którą natura hojnie obdarzyła rozumem i bezczelnością, skąpiąc za to urody (na tę sierotę nigdy nie spojrzy żaden normalny mężczyzna) i rozumu (Estela przez pół roku miała tę zmiję, a ta się nawet nie zorientowała!). Co prawda lare Rinnelis nieźle radziła sobie w pracy, ale ta jedyna zaleta bladła wobec faktu, że Tyen była zupełnie nie do zniesienia. Lare Estela osobiście

wolała nie psuć sobie stosunków ze Żmiją, jednak z radością zgodziła się pomóc w usunięciu jej z wydziału. To prawda, że zaczęła śledzić Tyen, ponieważ grożono jej bratu, który stanowił jej główne źródło finansowania, ale Kerrel z przyjemnością zrobiłaby to samo bez gróźb, byle tylko nigdy więcej nie widzieć zimnych oczu lare Rinnelis i nie słyszeć jej obojętnego tonu.

Gdy w wydziale pojawił się przemieniec, Estela uznała, że wreszcie nadarza się okazja skompromitowania Tyen, ale widocznie straciła czujność i Żmija odgadła jej zamysły. Co teraz będzie, tylko jedni bogowie wiedzą. Kae Oron wiedział o wszystkim, a to groziło licznymi kłopotami. Przemieniec prowadził dochodzenia wewnętrzne, a tacy jak on nigdy nie lubili tych, którzy sprzyjali życzeniom stojących wyżej, zwłaszcza gdy mieli na celu zniszczenie kogoś ze Straży. Prócz tego sama lare Rinnelis nie była bynajmniej miłościwa i wybacząca, na pewno zadba o kłopoty dla człowieka, który próbował ją zrobić. I pewnie nikt nie zdoła obronić Esteli przed Żmiją i przemieńcem... Brat...? Terry nie znosił głupoty, a Estela wpadła właśnie przez głupotę, więc on na pewno jej nie pomoże. Musiała radzić sobie sama.

Przede wszystkim postanowiła poinformować o wpadce tych, którzy powierzyli jej śledzenie Tyen. Nawet w myślach nie wymieniała imion tych laroje, bojąc się, że mogłaby się przypadkiem wygadać. Albo że ktoś mógłby przeczytać jej myśli. Potrafiłaby to zrobić bez trudu co najmniej jedna czwarta śledczych pracujących w wydziale. Co prawda dawnych wspomnień nie da się odczytać w tajemnicy przed ich posiadaczem, ale wystarczyłyby nieostrożne powierzchowne myśli. Czyli postanowione: powie wszystko, czego udało jej się dowiedzieć o lare Tyen, i poczeka na



rozkazy. Oby lare Rinnelis usunęli jak najszybciej! Przy-  
najmniej z wydziału. Razem z kae Oronem... Ten przeklęty  
nieludź potraktował ją grubiańsko w czasie swojej pierw-  
szej wizyty, a potem patrzył na nią z taką pogardą, jakby  
była karaluchem. Uznana piękność nie mogła mu tego wy-  
baczyć.

„Zapłacą mi za wszystko!” - pomyślała ze złośliwą rado-  
ścią lare Estela, wyciągając rękę po kryształ łączności. Nie-  
stety, z braku zdolności magicznych lare sekretarka musiała  
sięgać po takie środki. To również budziło zrozumiałe roz-  
drażnienie w stosunku do Tyen i jej przemienca.



Byłam w stanie podejrzenia przypominającym najzwyczaj-  
szą panikę. W wydziale zostałam osaczona, a zwierzchnicy  
niedługo pewnie rozgniotą mnie jak komara. Nie zapomi-  
najmy też o zabójcy lare Ayrel.

Moje szanse na przeżycie i pozostanie w jednym kawał-  
ku zmniejszyły się nieprzyjemnie szybko. Chyba się bałam.  
Chyba miałam ochotę rzucić to wszystko: śledztwo, pracę...  
i wyjechać... Dokądkolwiek. Jak najdalej. Niechby nawet do  
przemieńców.

Ze złością potrząsnęłam głową i wstałam zza biurka. Co  
za idiotyzmy przychodzą mi do głowy? Ja miałabym gdzieś  
uciekać? Bzdura! Nigdy nie pozwoliłabym sobie na tak  
nieodpowiedzialne zachowanie. Skoro już się do czegoś  
wzięłam, muszę doprowadzić to do końca. Ler zawsze śmiał  
się, mówiąc: „Chłop powiedział - chłop zrobił”. Cóż po-  
cząć, zawsze byłam mało kobieca. Wolałam być silna, nie-  
zależna, samodzielna... Czyli taka jak mężczyzna. Po-  
wszechnie wiadomo, że kobieta powinna być słaba, potrze-  
bująca pomocy, powinna stanowić oprawę eksponującą

zalety mężczyzny, być idealną towarzyszką życia, która nigdy nie wysuwając się na pierwszy plan, zawsze pomaga swojemu mężowi wspiąć się na wyżyny. Nie chciałam tego. Być czymś wiernym cieniem? Nie, dziękuję, sama jestem w stanie rzucić cień.

Byłam w nastroju dalekim od optymizmu. I co gorsza, nie czułam pragnienia zmiany sytuacji. Wrażenie własnej bezradności przytłaczało, nie pozwalając mi rozsądnie myśleć. Powinnam wziąć ze dwa miesiące urlopu - nie miałam wakacji, odkąd pracuję w Straży, teraz mogłam sobie pozwolić na długie próżnowanie. Ponadto pewnie będę musiała na jakiś czas zniknąć ludziom z oczu - może o mnie zapomną? Naprawdę nie chciałam umierać...

Już dawno zrozumiałam, że apatię można pokonać jedynie pracą, najlepiej do całkowitego wyczerpania, gdy wieczorem, dochodząc do własnego łóżka, człowiek pada niemal martwy, a rano znów leci do pracy, gdzie obciąża się do takiego stopnia, że każda poboczna myśl, która przypadkiem wpadnie mu do głowy, umiera z przerażenia. Powinnam dokładnie tak zrobić: wyłącznie praca, żadnych niepotrzebnych myśli, żadnego uzalania się nad swoim gorzkim losem, bo w przeciwnym razie moi bliscy już niedługo będą szykować dla mnie trumnę.

Parsknęłam wrednym śmiechem, potrząsnęłam głową, poprawiłam szatę i zdecydowanym krokiem wyszłam z gabinetu, szczerze współczując tym, którzy mieliby nie szczęście stanąć mi na drodze w sensie dosłownym i przenośnym.

Korytarze świeciły pustką, jakby wszyscy pracownicy ewakuowali się w pośpiechu. Tak, zwykli śmiertelnicy z trudem znoszą wizyty przemieńców. Nawet drzwi do gabinetów były zamknięte, i to chyba od wewnątrz. A przecież,

zdaniem Iaro Riencharna, Raen kae Oron to pyłek w porównaniu ze swoim lordowskim kuzynem. Nie, stanowczo nie miałam ochoty na spotkanie z Iaro Linchem...

Pukałam do kolejnych drzwi, ale nikt nie otwierał - czyżby teleportowali się do domów z zamkniętych gabinetów? Po moich drogich kolegach można się wszystkiego spodziewać, nigdy nie odznaczali się ani męstwem, ani szacunkiem wobec obowiązków służbowych. Ja również nie odznaczałam się odwagą... Tak naprawdę bardziej tchórzliwej istoty ze świecą szukać - zawsze peszyli mnie nieznajomi, rozpaczliwie wykręcałam się od chodzenia do jakichś nieznanymi miejsc i w głośnym towarzystwie wolałam siedzieć w jakimś ciemnym kącie, nie zwracając na siebie uwagi. Jednak żeby stłumić strach, niepotrzebne jest męstwo - wystarczy siła woli, a tej, chwała bogom, miałam pod dostatkiem dzięki wychowaniu mojej drogiej ma.

Żeby rozwiązać swoje wątpliwości co do braku kręgosłupa moralnego u moich współpracowników, po prostu wyważałam kolejne drzwi. Normalnych zakłęb ochronnych nie użył nikt, co najwyżej maskujące, które nie pozwalały stojącemu na korytarzu człowiekowi dowiedzieć się, kto przebywa w środku (bardzo wygodne, gdy przyjmuje się gości, których wizytę należy zachować w tajemnicy). Istny raj dla przestępców, przychodźcie i bierzcie, co chcecie! A przecież były tu tajne dokumenty! Zresztą bardzo możliwe, że wiadomości, które zawierały, już dawno zostały sprzedane przez pracowników Straży.

Gabinety ziały pustką, na portierni nie było nawet ochroniarzy - wyglądało na to, że zostałam sama w tym przypominającym więzienie budynku. Jedyнным dźwiękiem, jaki słyszałam, był stłumiony odgłos moich kroków. Zaczęło

to przypominać zły sen. Skierowałam się na pierwsze piętro, do sekretariatu naczelnika.

Na półpiętrze znalazłam ciało pierwszego strażnika. Leżał twarzą w dół, a obok jego ciała powoli rozpyłyła się kałuża ciemnej krwi, już zaczynającej krzepnąć. Nie dotykałam nieboszczyka - jemu i tak nie pomogę, a przynajmniej eksperci nie będą na mnie psioczyć.

Zanim przeszłam ponad ciałem zabitego, wysłałam impuls szukający, żeby dowiedzieć się, czy ktoś jest w pobliżu. Zakłęcie było proste, żeby nie powiedzieć prymitywne, i właśnie dlatego nigdy nie zawodziło. Poza tym było niemal niezauważalne. Jak się okazało, pierwsze piętro było tak samo puste jak parter, jeśli tylko ktoś nie ukrył się w jakimś gabinecie.

Piętro wyżej wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie: stare krzesła na swoich starych miejscach; drzwi otwarte albo zamknięte, zależnie od woli właścicieli. Pomyślałabym, że wszystko jest w porządku, gdyby nie ciało na schodach, nienaturalna cisza i słaby, ledwie uchwytny zapach krwi. Doskonale rozumiałam, że ja, uzbrojona wyłącznie w magię, powinnam raczej wrócić do swojego gabinetu albo w ogóle wynieść się z budynku, jak najdalej od niebezpieczeństwa, wezwać ekspertów i całą tę sforę, która zwykle zajmuje się takimi rzeczami... Zamiast tego zlekceważyłam ostrożność i zaczęłam się rozglądać.

Cisza, spokój... Coś takiego zdarza się wyłącznie w czasie przerwy obiadowej, kiedy indziej z gabinetów dolatują oburzone okrzyki, po korytarzach biegają posłańcy... Ten gmach mimo całego podobieństwa do więzienia jest zwykle uosobieniem życia we wszystkich jego przejawach. A teraz... teraz było tu strasznie.

Zaglądałam w każde otwarte drzwi, przygotowana na to, że ujrzę kolejne ciało, ale na razie było czysto. Nie miałam

pojęcia, co spowodowało masową ucieczkę moich kolegów, ale zdaje się, że nikt nie ucierpiał. Za to pod sekretariatem zastałam niemiłą niespodziankę: koło drzwi prowadzących do sanktuarium lare Esteli znalazłam drugiego wartownika - niestety, nie w całości, głowa nieszczęśnika leżała osobno, a wokół kikuta szyi rozlała się szeroko kałuża krwi. Przyknełam oczy, dając sobie chwilę na uspokojenie. Miałam ochotę odwrócić się i uciec od tych ciał, od nieznośnego zapachu krwi, od tej cmentarnej ciszy... Ale jedynie odechnęłam głębiej i wkroczyłam do sekretariatu, już wiedząc, co tam zastanę.

Lare Estela leżała na prastarym dywanie, wytartym od nóg tysięcy petentów. Sekretarka była ubrana dokładnie tak samo jak w czasie naszej rozmowy, co znaczyło, że nie opuszczała wydziału. Krwi nie było widać i nawet przez chwilę chciałam ją cucić, myśląc, że być może dziewczyna zwyczajnie zemdlała... I dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że leży jakoś tak nieprawidłowo - jak porzucona przez lalkarza marionetka. W jej ciele nie czuło się tego, co zwykle czuje się w żywym człowieku: że może wstać w każdej chwili. A potem uświadomiłam sobie, że szyja siostry Veylina jest nienaturalnie wygięta.

W środku poczułam nieprzyjemnie lepłą gulę, która usiłowała przecisnąć się do gardła. Pociemniało mi przed oczami, oparłam się o ścianę i powoli zsunęłam po niej na podłogę. Nareszcie do mnie dotarło, że powinnam się z kimś skontaktować.

- Laro Raenie... - Nie wiedzieć czemu, właśnie o nim pomyślałam w pierwszej chwili.

Nastąpiła potwornie długa minuta oczekiwania.

„Lare Rinnelis? - usłyszałam w głowie zdumiony, nieco zaniepokojony głos przemienca. - Coś się stało?”

- W wydziale znalazłam trzy trupy. Dwóch wartowników i lare Estele.

„Będę za kwadrans!” - rzucił kae Oron. A ja od razu poczułam się lepiej.



Zanim zjawił się dziki tłum pod przywództwem laro Raena, już doszłam do siebie i mogłam odpowiadać na pytania. Przemieniec patrzył na mnie spod przymkniętych powiek, jakby próbował dojrzeć coś niewidocznego, a w jego wzroku dostrzegłam niemy, acz przyjemny szacunek.

- Nie rozumiem, gdzie się podziali inni - wyznałam kae Oronowi, gdy dwóch śledczych już przestało mnie mąglować. - I przede wszystkim: kiedy? Musieli opuścić budynek zaraz po pańskiej wizycie albo wystraszył ich zabójca.

- Obawiam się, że to ja stałam się powodem masowej ucieczki pracowników Straży. - Przemieniec z pokorą spuścił głowę. - Myślę, że gdyby zabójcy natknęli się na kogoś jeszcze, byłoby tu więcej trupów. Wygląda na to, że zabijali każdego napotkanego na drodze do sekretariatu.

- Sądzi pan, że chodziło im o lare Estele?

- Owszem.

- Ale czemu nie próbowali zabić również mnie? - zdumiałam się.

- Pani siedziała w zamkniętym gabinecie, zapieczętowanym magią, niczym nie zdradzając swojej obecności. Cały budynek był pusty, zabójcy pewnie myśleli, że poszła pani do domu, jak pozostali.

Brzmiało to logicznie.

- Przy okazji, zmarła kontaktowała się z kimś na krótko przed śmiercią, w sekretariacie znaleziono

rozładowany kryształ łączności; korzystano z niego mniej więcej półtorej godziny temu - oznajmił zwierzołak.

- Pewnie z owymi tajemniczymi wysoko postawionymi osobami, które kazały mnie obserwować - zasugerowałam.

- I ja tak myślę - zgodził się Iaro Raen. - Nigdy nie była zbyt cenna, szantażowanie ją bratem było bezcelowe, a teraz w dodatku się zdradziła. Usunęli ją, żeby pozbawić panią punktu zaczepienia.

- Przecież i tak niewiele wiedziała.

- Lare Rinnelis, zapewne wszyscy w tym mieście wiedzą, że nie potrzebuje pani wielu informacji, żeby wyciągnąć właściwe wnioski.

- Pochlebia mi pan.

- Bynajmniej, Iare Tyen. - Przemieniec pokręcił głową z poważną miną.

Poczułam się niezręcznie, dyskutując o moich zdolności umysłowych, więc czym prędzej zmieniłam temat:

- Czy można się dowiedzieć, z kim rozmawiała przed śmiercią Iare Estela? Sprawdzić kryształ, o którym pan wspominał?

- Niestety. Przezornie kryształ uszkodzono i teraz nadaje się tylko do wyrzucenia.

Z trudem powstrzymałam cisnące mi się na usta przekleństwo.

Kae Oron zostawił mnie samą i zajął się pilniejszymi sprawami. Właśnie zaczęłam rozkoszować się samotnością, gdy zjawił się Ler.

- Risz! - zawołał, widząc moją smętną i zapadniętą twarz. - Okropnie wyglądasz!

- Dzięki - skrzywiłam się. - Jakbym o tym nie wiedziała.

Alchemik zawsze potrafił zaszokować mnie swoim beceremonialnym stosunkiem do płci pięknej. Jakiej kobiecie byłoby przyjemnie, gdyby jej przyjaciel publicznie oznajmił, że przypomina mu ona nieświeżego trupa wyciągniętego z mogiły przez hieny cementarne?

- Chodźmy, i tak nie mam tu już nic więcej do roboty - oświadczył Ler i nie bacząc na moje protesty, wyciągnął mnie na dwór.

Nie opierałam się. Miałam ogromną ochotę opuścić to miejsce, które sprawiało teraz jeszcze bardziej złowieszcze i przynębiające wrażenie niż zwykle. Czułam strach, ale nie tyle przerażały mnie znalezione zwłoki, co ta martwa cisza... Musiałam koniecznie przestać o tym myśleć, a towarzystwo patologicznie wesołego Lera było najlepszym lekarstwem. Przy tym niepoprawnym optymizmie człowiek chcąc nie chcąc zaczynał mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze, trzeba tylko trochę zaczekać.

Gdy znalazłam się na świeżym powietrzu, od razu poczułam się lepiej.

- Założę się, że ostatnie kilka dni spędziłaś w zamkniętych pomieszczeniach, nie wychodząc nawet na chwilę - zrzędził mój przyjaciel.

- Skąd ta myśl? - spytałam. Faktycznie ostatnio nie rozpieszczałam się długimi spacerami na świeżym powietrzu, ale byłam ciekawa, na jakiej podstawie nasz ekspert wyciąga takie wnioski.

- Wyglądasz jak nieboszczka drugiej świeżości.

- Przemęczenie.

- Moja droga, z powodu przemęczenia jesteś zwykle blada, a ten ziemisty odcień pojawia się wyłącznie z braku świeżego powietrza.



- Wiesz, jakoś nie miałam głowy... - mruknęłam. - Sam rozumiesz...

- Rozumiem - potaknął Ler. - Obejrzałem sobie tego twójego przemienca. Myślę, że powinnaś się dobrze zastanowić, jak się od niego odczepić. Nie podoba mi się jego spojrzenie, Risz. Wyraźnie coś kombinuje.

- A, sama nie wiem... - burknęłam niezadowolona. - Zupełnie nie mam pojęcia, jak się z tego wygrzebać. Przycisnęli mnie ze wszystkich stron...

- Opowiesz?

- Nie. Lepiej, żebyś nie wiedział. W ogóle niepotrzebnie cię w to wciągnęłam, ale nie miałam się do kogo zwrócić.

- No coś ty, Risz! - Ler uśmiechnął się szeroko. - Kogo miałabyś w to wciągać, jak nie mnie? Obraziłbym się na ciebie, gdybyś w takiej sytuacji pobiegła do kogoś innego. Przyjaciele właśnie od tego są, żeby w razie czego osłaniać ci tyłek!

- Żeby tylko ktoś nie musiał potem osłaniać twójego - westchnęłam ciężko.

Czułam się okropnie. Rozumiałam, że nie wolno mi obciążać tą całą sprawą jedyne przyjaciela, to było zbyt duże ryzyko. Mój tajemniczy przeciwnik najwyraźniej był bardzo zdecydowany i nie bał się ubrudzić sobie rąk. Potrafiłam zrozumieć tego nieszczęsnego zabójcę. Gdy człowiek raz świadomie złamie zakaz zabijania bliźniego swego, nic nie przeszkodzi mu kontynuować tego procederu. To rodzaj obłądu, właściwy mordercom, a nie wojownikom, którzy co prawda gardzą niebezpieczeństwem i własną śmiercią, ale nie lekceważą cudzego życia. Najwyższą formę obojętności wobec własnej śmierci przejawiają nieustraszeni Dłonie Śmierci... Nie pojmowałam jednak, jak ci, którzy szantażowali lare Estele, mogą z taką obojętnością decydować, kto

ma żyć, a kto umrzeć? Zawodowi skrytobójcy są pod tym względem bardziej uczciwi, przynajmniej nie próbują przekonać innych i siebie, że likwidują drugiego człowieka dla dobra ogółu, które zresztą po prostu nie istnieje... A gdyby nawet istniało, to po kiego demona byłoby potrzebne, jeśli w jego imię składa się ofiary?

Ler pstryknął palcami przed moim nosem, ściągając mnie z powrotem do świata żywych.

- Rinnelis Tyen, natychmiast przestań hołubić swoją chandrę! - huknął. - Za chwilę zjemy porządny obiad, potem opowiem ci, czego zdołałem się dowiedzieć moimi kanałami, następnie pospacerujemy, a potem udasz się do domu, gdzie odpoczniesz jak człowiek. Jasne?

- Będziesz mi teraz tworzył rozkład dnia? - Zerknęłam na niego złośliwie.

- Tak, zanim zupełnie się wykończysz, pierwsza lare śledcza naszej wspaniałej stolicy.

- Pochlebiasz mi. - Roześmiałam się i ten śmiech zdumiał nawet mnie samą. Brzmiał lekko, szczęśliwie, zupełnie nietypowo dla mnie.

- Nic podobnego, lare Rinnelis. - Mój przyjaciel skłonił się żartobliwie. - Jedyne stwierdzam fakt znany każdemu w tym mieście. I właśnie to mi się w tobie podoba, Żmijko.

Na mojej twarzy, niczym plama oliwy na wodzie, rozplynął się spokojny, zadowolony uśmiech. W tym momencie byłam szczęśliwa.

- To co tam mówiłeś o obiedzie?

- O! Niezrównana Rinnelis odzyskała apetyt! Obawiam się, że nie starczy mi pensji na opłacenie tego wszystkiego, co jesteś w stanie zjeść! - Ler klasnął w ręce w udawanym przerażeniu.

To prawda, mój apetyt był godzien średniej wielkości tygrysa i objawiał się także wtedy, gdy normalny człowiek nawet nie spojrzalby na jedzenie. Zdarzało mi się jeść obok świeżego trupa i... bogowie, gdzie tylko zaniosą śledczego wymogi jego zawodu...

- Po co wobec tego zapraszasz na obiad porządną dziewczynę, nędzarzu? - spytałam kpiąco.

- Porządna dziewczyna nie pracowałaby jako śledcza - opędził się Ler, biorąc mnie pod rękę i kierując się do pobliskiej knajpki.

Ogon pojawił się od razu, ale postanowiłam się tym nie przejmować. Nie miałam zamiaru psuć sobie jeszcze bardziej i tak już parszywego dnia.



Ler zerkał z niepokojem na Rinnelis, gdy ta nie mogła tego zobaczyć. Można by pomyśleć, że Risz już zupełnie doszła do siebie, znów była opanowana i rzeczowa, jak zawsze, ale on wiedział, że nawet ta stalowa dziewczyna ma swoje granice odporności i bardzo możliwe, że przy tak dzikim tempie może nie wytrzymać. O, już jest blada jak wampir, schudła tak, że kości jej wystają, a przecież zawsze była raczej szczupła.

Spokojnie szła teraz obok niego, z rozanielonym wyrazem twarzy, trzymając Lera pod rękę lekko, ledwie odczuwalnie, tak jak należało. Czasem ta straszliwa perfekcja doprowadzała go do szału. Risz była tak akuratna, że wydawała się nieżywa, nienaturalna.

W pewnym momencie ekspert poczuł czyjeś nieprzyjemne spojrzenie, które wbiło mu się między łopatki niczym bełt.

- Risz, jesteście śledzeni?
- Dopiero teraz to zauważyłeś? - Uśmiechnęła się kpiąco. - Owszem. Od samego wydziału.
- Dlaczego nic nie powiedziałeś? - zdumiał się, próbując przystanąć, ale Rinnelis pociągnęła go za rękę.
- A po co? - prychnęła. - Co byś zrobił?
- No...
- Nie zwracaj sobie głowy, i tak nic nie można na to poradzić.
- Jak możesz zachowywać taki spokój?! - zawołał zdenerwowany ekspert, nic nie rozumiejąc.
- A co mi innego pozostaje?
- Rinnelis, zobaczysz, kiedyś się doigrasz!
- To już się stało - ucięła chłodno. - Więc nie psuj mi humoru. I w ogóle przypominam, że obiecałeś mi obiad.
- Jak możesz... - zaczął Ler, ale Rinnelis przerwała mu obcesowo:
- Ja w ogóle wiele rzeczy mogę. Chodźmy w końcu coś zjeść.

Zupełnie jej nie rozumiał. Przecież na pewno nie była głupia, więc czemu się tak dziwnie zachowywała?

Było mu ciężko się nie obejrzeć. Co chwila próbował, ale za każdym razem Risz mocno ścisnęła jego łokieć. Chyba będzie miał siniaka.

„Niech no tylko ktoś spróbuje powiedzieć, że to słabe i kruche dziewczątko!” - pomyślał z oburzeniem alchemik, usiłując się nie krzywić, gdy stalowa dłoń dziewczyny zaciskała się zbyt mocno.

Knajpka, do której Ler prowadził swoją przyjaciółkę, znajdowała się nieopodal Wydziału Śledczych - i była miejscem, w którym nikt nie będzie na nich krzywo patrzył z powodu służbowych strojów. W niektórych karczmach pracowników wydziału witano chłodno i próbowano

pozbyć się ich pod byle pretekstem. Cóż, zwykle kwitła tam sprzedaż nielegalnych ziół, kręciły się wyzywająco ubrane dziewczęta, regularnie odpalające właścicielom zakładu procent za korzystanie z pokojów... Ten dodatkowy dochód był oczywiście nielegalny, problem w tym, że niektórzy strażnicy i śledczy często, zamiast aresztować przestępców, przejawiali niezdrowe zainteresowanie otrzymaniem swojego udziału, a to było jeszcze gorsze niż ustawowa kara.

W knajpce „Miecz i Korona” (co było przejrzystą aluzją do profesji stałych bywalców, gdyż w herbie Straży widniał właśnie miecz i korona królewska) śledczych wprawdzie nie darzono płomiennym uczuciem, za to szanowano i ceniiono. Trudno było wyobrazić sobie lepszych obrońców przed bandytami pragnącymi roztoczyć „opiekę” nad zakładem.

Ledwo para przyjaciół weszła do knajpki, a właściciel już do nich podszedł.

- Lare Rinnelis, laro Lerze! Jak miło was widzieć w naszych skromnych progach! Zawsze jesteście miłymi gośćmi!

Może to dziwne, ale ten dobroduszny, grubawy mężczyzna o twarzy dobrego wujaszka naprawdę cieszył się, że ich widzi. Nawet Rinnelis... A raczej: zwłaszcza Rinnelis. Byli gośćmi, którzy nie tylko nigdy nie sprawiali kłopotów, ale rozwiązywali te, które sprawiali inni. Poza tym ojczulek Edward należał do ludzi, którzy szczerze uważali lare Tyen za sympatyczną dziewczynę, której do pełni szczęścia brakowało jedynie zamążpójścia. Lare Tyen taktownie nie wypowiadała się na temat swoich poglądów w kwestii szczęścia.

- To, co zwykle, laroje? - spytał gospodarz wyłącznie dla formalności. Zarówno Tyen, jak i jej przyjaciel bywali

u niego często i ojczulek Edward świetnie znał ich gusta. Co prawda zwykle przychodził z nimi jeszcze jeden, jak mu tam... Tarn? A teraz byli tylko we dwoje. Zły znak.

- Tak - odpowiedziała za siebie i za przyjaciela lare Tyen. - I poproszę kieliszek białego półwytrawnego. Najlepszego.

Karczmarz uniósł krzaczaste brwi. Lare śledcza bardzo rzadko zamawiała wino, a właściwie Edward pamiętał tylko trzy razy, gdy Rinnelis o nie prosiła, i za każdym razem wyglądała okropnie. Rzecz jasna, Rinnelis Tyen nie upijała się, po prostu spokojnie sączyła jeden kieliszek białego wina, jednak jak na nią to i tak było wydarzenie. Dzisiaj śledcza wyglądała nawet na zadowoloną z życia, jednak intuicja starego karczmarza podpowiadała, że nie jest dobrze.

- Opowiadaj, Ler - uśmiechnęła się łagodnie Rinnelis, uprzednio aktywując „szelest skrzydeł”, zaklęcie, które miało przeszkodzić podsłuchującym.

- Nie uwierzysz, moja droga, ale wszyscy twoi podejrzani w tym czy innym stopniu kontaktowali się z typem, którego obraz mi podrzuciłaś.

- Moralność dzisiejszej arystokracji zawsze wychodziła poza granice mojej zdolności pojmowania - powiedziała dziewczyna z lekkim zdumieniem.

- Risz, nie wiedziałaś, że tacy ludzie rzadko mają czyste ręce?

- Po prostu wolę nie dostrzegać pewnych rzeczy. - Wzruszyła ramionami. - Dzięki temu można wierzyć, że ten świat jeszcze nie zgnił do końca.

- Ostatni romantyk w Straży - zaśmiał się Ler.

- Fantasta. - Risz uśmiechnęła się krzywo. - Co jeszcze?

- Z tym typem kontaktują się ci, którzy mają problemy niedające się rozwiązać w sposób legalny.
- A może by tak spytać tego czcigodnego laro, który z jego klientów zamówił mój pogrzeb?
- Niestety, ów czcigodny laro zniknął.
- Co?!
- I nie sądzę, żeby kiedykolwiek go odnaleziono, w każdym razie żywego i zdrowego.
- To twoje własne przemyślenia czy masz jakieś podstawy do takich wniosków?
- Plotki, Risz, tylko plotki. Oprócz tego większość tych, którzy używali tego typu jako pośrednika, pospiesznie szuka jakiegoś zastępcy.
- Czasami plotki są najbardziej rzetelnym źródłem informacji. I znowu nic?
- Na to wygląda, Risz, ale ty wiesz lepiej ode mnie, że nigdy nie byłem szczególnie mocny w logicznym myśleniu...
- No nie - jęknęła Rinnelis. - Ler, to kolejna ślepa uliczka... Ktoś zrywa wszystkie nitki, zanim zdążę po nich pójść. To naprawdę irytujące!



To właśnie czułam: irytację - gdy tak siedziałam z Lerem przy naszym ulubionym stoliku. Rzadko ktoś zajmował to miejsce, jakby się spodziewano, że lada moment zjawi się nasza nierozłączna trójka: Ler, Tarn i ja. No cóż, teraz już się nie zjawi. Nigdy w pełnym składzie. Nie umiem wybaczać, mogę tylko czegoś nie dostrzegać do pewnego momentu, ale nie potrafię wykreślić z pamięci czyjejś zdrady. Żmije są wyjątkowo pamiętliwe.

- No i co teraz zrobisz, Żmijko? - zapytał z ciężkim westchnieniem mój przyjaciel. Najlepszy, a właściwie jedyny przyjaciel. Czasem mnie tak nazywał... On również uważał mnie za żmiję, ale i tak mnie lubił. Nie jestem dla niego gadziną, tylko żmijką: niewielkim, zabawnym stworzonkiem.

- Wyjdę z tego - odparłam. - Nie pytaj jak, bo jeszcze sama nie wiem, po prostu muszę to zrobić. Przecież mam rodziców.

- Gdybyś była normalna, miałybyś również dzieci - Ler nie mógł powstrzymać się od złośliwości.

- Jakie dzieci? U mnie nawet rybki zdychały po tygodniu. - Uśmiechnęłam się niewesoło.

- A Kerri?

- Kerri to po prostu fantastyczny farciarz.

- Albo specjalista w kradzieży jedzenia.

- To również.

- A co z tym kae Oronem?

- Na razie jest mi potrzebny, a potem wspomnę komu trzeba, że wierny poddany królestwa donosi o wszystkim swoim krewnym. - Wzruszyłam ramionami.

- Nie będziesz miała wyrzutów sumienia? - Skrzywił się ze zgorszeniem.

- Żadnych. W końcu on chce zrobić to samo mnie.

- Skąd wiesz?

- No... jak by ci to powiedzieć... przewiduję bieg jego myśli.

- Czyli to tylko przypuszczenia - podsumował Ler niezadowolony.

- Daj spokój, czy kiedyś się pomyliłam? Oboje postaramy się wyeliminować z gry tego drugiego, jak tylko zniknie konieczność współpracy. Normalna sprawa.



- Rinnelis Tyen, czy kiedykolwiek słyszałaś o czymś takim jak szlachetność i zaufanie? - spytał mój rozmówca z oburzeniem.

- Owszem. I nawet regularnie zanoszę kwiaty na mogiły ludzi, którzy opowiadali mi o tych pojęciach.

- Bezlitośnie zabijasz tych, którzy próbują oświecić cię w kwestiach etyki?

- Oczywiście, że nie! Zaobserwowałam jedynie, że osoby etyczne długo nie pozostają pośród żywych.

- Chyba zbyt pochopnie nazwałam cię romantyczką - westchnął.

Uśmiechnęłam się, na sekundę przymykając oczy.

A w chwilę później aktywowałam „płomień piekielny”, rzucając go na tego, który próbował zastosować na mnie „garotę”.



**L**er nie zdążył się nawet zorientować, kiedy jego przyjaciółka przeszła od rozmowy do ataku. Reakcja Rinnelis była błyskawiczna - bardzo typowa dla śledczej i jej umiejętności natychmiastowego podejmowania decyzji. Nie raz ratowało to jej zdrowie i życie.

Lare śledcza czarowała ze złowieszczym uśmiechem, zaś alchemik, chociaż bardzo pragnąłby jej pomóc, wcisnął się w kąt, aktywując tarczę magiczną. Ze swoim dziurawym wykształceniem Ler Sterol mógłby jedynie przeszkadzać Rinnelis albo stać się zakładnikiem w rękach napastników. Jego męska ambicja cierpiała, ale nie był głupcem, żeby ryzykować życie przyjaciółki i własne w imię odzyskania szacunku dla siebie.

Gdy zyskał pewność, że go nie osiągną, postanowił pomóc Rinnelis w jedyny możliwy sposób: wezwać dyżurny patrol w nadziei, że nie będą się ociągać jak zwykle, lecz wyślą wsparcie od razu - w przeciwnym razie nazajutrz odbędą się dwa pogrzeby, jego i Rinnelis. Gdy Risz zaatakowała trójkę napastników, którzy dyskretnie weszli za nimi do karczmy, do sali wpadło jeszcze czterech.

Stało się jasne, że jego Żmijka sama sobie nie poradzi. To nie byli zwykli obserwatorzy, tylko zabójcy. Żmija zmęczyła kogoś swoim istnieniem i tym razem przyszli po jej łuskowatą skórę.

- Hej, chłopcy! - zawołał ktoś do napastników. Taka poufałość na sekundę odwróciła ich uwagę od Tyen i od razu za to zapłacili - uderzyła jednego z nich „klingą wiatru”.

Ten, który wołał, przeszedł do bardziej wymiernych działań. Wysoki, barczysty strażnik z wyraźną domieszką krwi orków od razu cisnął dwoma nożami - dwóch następnych zabójców osunęło się na podłogę. Najwyraźniej byli gotowi na starcie tylko z Rinnelis, która, jak wiadomo, z orężem radzi sobie niezbyt dobrze, dlatego zadbali o amulety ochronne, zapominając o zwykłych pancerzach. Kto by przypuszczał, że ktoś stanie w obronie znienawidzonej Rinnelis Tyen? A jednak... Oba wyjścia z karczmy były już zagrodzone przez ponurych mężczyzn w fioletowych mundurach. Jak się okazało, nie można bezkarnie atakować pracownika Straży na jego własnym terytorium. Nawet jeśli tym pracownikiem jest znana w całej stolicy Rinnelis Tyen, która z wyraźnym zdumieniem patrzyła, jak kilku jej kolegów, których nie znała nawet z widzenia, rozbija napastników na miazgę. Lare Rinnelis nie rozumiała, co tu się właściwie dzieje - przecież to niemożliwe, żeby nie rozpoznali najbardziej wrednej śledczej tego miasta! Dlaczego jej pomagają?!

Po paru minutach strażnicy już spokojnie odciągali ciała do kąta, żeby nie przeszkadzały, i tak samo spokojnie wiązali jedyne go pozostawionego przy życiu specjalistę od mokrej roboty. Ten z zawiścią zerkał na zabitych współpracowników: wiedział, że nie pozostawiono go przy życiu z powodu

miłosierdzia czy humanitaryzmu, a oprawcy w Straży słynęli z profesjonalizmu.

- Wszystko w porządku, lare Rinnelis? - zwrócił się do Tyen półork.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Teraz w jak najlepszym.

Ler rozejrzał się po sali i zrozumiał, że obeszło się bez pomocy z wydziału. Tak, atakowanie Risz w karczmie pełnej śledczych i innych pracowników Straży nie było mądre.

- Co za bezczelność! - prychnął półork, z satysfakcją spoglądając na trupy. - Władowali się do „Miecza i Korony”! Szkoda jeszcze, że nie przyszli do wydziału!

- Już byli - odparła Rinnelis, przyglądając się twarzom zabitych. Widocznie chciała je zapamiętać, a potem poszperać w archiwum.

Ler obserwował przyjaciółkę z napięciem, gotów pochwycić ją w każdej chwili. Risz, szczyt opanowania i silnej woli, pewnie nie straci przytomności, ale może się źle poczuć. Kto jak kto, ale on znał granice samokontroli swojej przyjaciółki.

- Musi pani uważać, lare Tyen - poradził strażnik.

„Oho, zaraz mu powie coś niemiłego!” - spał się Ler, który wiedział, jak Żmijka nie lubi, gdy się ją poucza.

- To prawda - skinęła głową Rinnelis. - Tylko nie zawsze się da.

- Rozumiem. Niech pani stąd odejdzie, lare Tyen, to niezbyt miły widok dla młodej dziewczyny.

- Jestem śledczą i nie takie rzeczy w życiu widziałam - wzruszyła ramionami Risz, pozwalając jednak odciągnąć się na bok. - Martwi mnie nie przerażają.

- Absolutnie nie kwestionuję pani opanowania, jednak im mniej takich widoków będzie pani miała okazję

ogłądać, tym lepiej. Tym bardziej że pani obecność jako śledczego nie jest tu niezbędna. Ja zajmę się tą sprawą, to mój rejon.

- Zapewne ma pan rację, laro...

- Krejn, Anchel Krejn. Miło mi, że mogę poznać prawdziwego mistrza w swoim fachu.

- Dziękuję, mnie również miło poznać pana. Jeśli to nie kłopot, proszę poinformować o wszystkim laro Raena kae Orona z Wydziału Wewnętrznego. Być może dzisiejszy atak jest jednym z epizodów w sprawie, którą się obecnie zajmuję.

- To znaczy, że przejmie moją sprawę! - klasnął w ręce półork.

- Przykro mi, laro... - powiedziała Tyen przepraszającym tonem, choć w jej oczach nie było krzty poczucia winy.

- Czyli nic z tego - zmartwił się laro Krejn. - Jednak jeśli ta sprawa nie zostanie przekazana kae Oronowi, w najbliższym czasie zaproszę panią do wydziału Południowego Mostu.

- Dobrze. - Rinnelis skinęła głową. - Czy mogę już iść?

- Oczywiście.

- A czy mój przyjaciel jest panu jeszcze potrzebny?

- Nie, oboje jesteście wolni.

- W takim razie wszystkiego dobrego, laro.

Ler patrzył na to wszystko coraz bardziej zdumiony. Pewnie dlatego, że gorzej radził sobie z ukrywaniem emocji niż jego przyjaciółka, a nie przywykł, żeby ktoś oprócz niego i Tarna traktował Rinnelis z sympatią.

- Twoja przyjaciółka ma jaja! - odezwał się z tyłu głos pełen szacunku. Ekspert zakrztusił się z wrażenia, odwrócił i ujrzał potężnego draba w charakterystycznym

fioletowym odzieniu. Cóż, w „Mieczu i Koronie” rzadko oglądało się inny kolor, a jeśli już pojawiała się pewna różnorodność, oznaczało to jedynie, że jeden ze stałych bywalców postanowił wstąpić tu w dniu wolnym albo że czyjś mundur poległ bohatersko w czasie dnia pracy.

- C-co? - zapytał oszołomiony Ler, patrząc na tego draba wygłaszającego pod adresem Żmijki wątpliwy komplement.

- A nie? - zaśmiał się drab. Przy jego gabarytach śmiech brzmiał tubalnie i nieco przerażająco. - Połowa wydziału narobiłaby w spodnie, a ona nie dość, że się obroniła, to jeszcze jest spokojna jak mieszkaniec mauzoleum. Żmija, jak babcię kocham!

Nazwanie Rinnelis „Żmiją” było jeszcze bardziej wątpliwym komplementem, ale za to wypowiedziano go tonem pełnym szacunku.

- Morowa baba! I zna się na swojej robocie! - drab nie przestawał wygłaszać peanów na cześć Tyen, nie zważając na to, że przedmiot ich rozmowy w końcu zwrócił na niego uwagę i przysłuchuje się z rosnącym zdumieniem.

Oczywiście zewnętrznie zdumienie Rinnelis nie przejawiało się w żaden sposób, po prostu Ler umiał określić stan emocjonalny swojej przyjaciółki po najbardziej nikłych oznakach. W tej chwili dziewczyna nienaturalnie starannie poprawiała swoją szatę.

- A czemu raz „jaja”, a raz „morowa baba”? - spytał alchemik. Drab nie zrozumiał dowcipu, za to Rinnelis zaczęła dziwnie patrzeć w bok. No, żeby potem nie odegrała się na nim za tę scenę...

- Dlatego, że każdego chłopca mogłaby zapędzić w koziego róg! - powiedział strażnik nieco obcesowo, ale jednocześnie z zachwytem.

Ler nie wiedział, co na to odpowiedzieć, a Rinnelis uśmiechnęła się kącikami ust i odwróciła wzrok. Zdaje się, że odebrała to jako komplement.

- Wszystkiego dobrego, laro, na nas już czas - alchemik postanowił zakończyć tę rozmowę, nim drab zacznie ponownie wychwalać profesjonalizm Tyen. Jeśli chodzi o wady i zalety śledczej, Ler miałby najwięcej do powiedzenia (nie licząc samej zainteresowanej) i nie chciał poznawać cudzej opinii na ten temat.

- I jak ci się podobała opinia społeczeństwa? - zapytał z chytrym uśmieszkiem, gdy już wyszli z „Miecza i Korony”.

- Zaskakująca - powiedziała Rinnelis. - Choć szczerze powiedziawszy, ocena moich zalet nie jest tym, co w tej chwili interesuje mnie najbardziej.

- Tak... Wpakowałaś się po same uszy, co, Risz?

- Chyba masz rację. Ten kahe, żeby demony porwały jego duszę, drażni zbyt wiele osób, a gdy go schwytają, odbije się to na mnie.

- Risz, zastanów się. Jeszcze możesz dać sobie spokój. Możesz to wszystko rzucić.

- Uważasz, że jestem słaba i tchórzliwa? - zachnęła się, świdrując przyjaciela złym spojrzeniem.

Oho, nadepnął jej na odcisk... Czego jak czego, ale sugestii, że jest słaba i krucha, lare Tyen nie znosiła. Jednak ktoś musi czasem powiedzieć jej prawdę.

- Uważam cię za wystarczająco mądrą, żeby zrozumieć, kiedy należy się zatrzymać. To wszystko zaszło zbyt daleko, Risz, pora zwijać żagle. I w ogóle wynieść się z miasta. Nie wierzę, że nie rozumiesz, do czego to wszystko prowadzi!

- A do czego? - spytała chłodno. - Bądź tak miły i przedstaw mi swoje wywody.

- Zabiją cię albo wsadzą bez sądu i śledztwa do jakiegoś więzienia, w którym umrzesz ze starości! I nikt się nawet nie dowie, gdzie zostałeś pochowana! Nie wariuj! Po kiego demona ci to zamieszanie z południowcami?

- Widzisz, Ler, jest coś takiego jak honor. A także obowiązek. Jeśli to dla ciebie tylko słowa...

- Co to ma do rzeczy?! - ryknął Ler, zatrzymując się gwałtownie. Złapał dziewczynę za ramię i odwrócił do siebie. Skrzywiła się, ale nie poskarżyła na tak obcesowe traktowanie. Rinnelis Tyen w ogóle nigdy się nie skarżyła.

- A więc uważasz, że skoro urodziłam się kobietą, to mogę być... podła? - zasyczała ze złością prosto w twarz Lera, aż cofnął się zaskoczony.

- Honor, obowiązek... To męskie kategorie! Co podłość ma z tym wspólnego?! Jesteś kobietą, jesteś...

- Słaba? Chyba mnie z kimś pomyliłeś. W każdym razie z tobą na pewno bym sobie poradziła. Zdołam się obronić.

Risz była zła. Inaczej - była wściekła.

- Bierzesz na siebie zbyt dużo. Więcej, niż trzeba - odparł cicho, spokojnie, usiłując jakoś wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. I tak czuł się głupio: stali na środku ulicy i kłócili się. Risz była okropnie rozdrażniona. Może to po prostu przemęczenie i nerwy, a może udało mu się wyprowadzić z równowagi tę zwykle niewzruszoną dziewczynę samą propozycją poddania się?

- Biorę na siebie dokładnie tyle, ile jestem w stanie unieść. I dokładnie tyle, ile mam obowiązek unieść - oznajmiła lodowatym tonem Rinnelis. - I spodziewam się, że w przyszłości darujesz sobie wygłaszanie uwag na temat tego, co przystoi słabej kobiecie.

- Uważaj, co mówisz - poradził sucho Ler.



- Ty również.

Nie. Nie była wściekła. Była... urażona. Urażona niemal do łez.

- Po prostu martwię się o ciebie... - westchnął cicho, usiłując nie patrzeć w roziskrzone zielone oczy przyjaciółki.

- Dziękuję, ale niepotrzebnie.

Cała ona. Przed chwilą prawie na niego wrzeszczała, a teraz znów się zamknęła jak ślimak w skorupie. I nawet nie może jej przeprosić, gdyż Rinnelis potrafi świetnie udawać, że nie rozumie, o co chodzi. Zresztą za co miałby przeproszać? Za to, że chciał pomóc? Że chciał przemówić jej do rozumu?

- Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać - zaproponowała nagle Risz, już całkowicie spokojna. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- Nie skończyliśmy - zgodził się Ler. - Ale chyba nie uda nam się znaleźć miejsca spokojniejszego i bezpieczniejszego niż „Miecz i Korona”. Chociaż... możliwe, że jednak znam takie miejsce.



Bywałam już w burdelach - w końcu jestem śledczym, a zabójstwa zdarzają się nawet tam - jednak po raz pierwszy miałam okazję znaleźć się w „domu pod czerwonymi laternami” jako osoba prywatna. Muszę przyznać, że czułam się nieswojo. W dodatku musiałam zdjąć fioletowy uniform. W nim zawsze czułam się jakoś pewniej, zupełnie jakby za moimi plecami stało kilku strażników. Jednak pojawianie się w stroju śledczego w takim miejscu bez nakazu zatrzymania czy rewizji byłoby niemądre. Mundur został

zwinięty, pomniejszony magicznie i wciśnięty do kieszeni, ustępując pola skromnej szarej sukience, która, nawiasem mówiąc, bardziej pasowała do świątyni niż domu publicznego.

Ochroniarze przy wejściu powitali Lera jak starego znajomego, a mnie obrzucili podejrzliwymi spojrzeniami. Dopiero gdy mój przyjaciel oznajmił, że jestem z nim, miejscowi wartownicy o twarzach bywalców karceru od razu przestali się mną interesować.

- Często odwiedzasz ten zakład? Przy naszych zarobkach... - zapytałam kwaśno. W tych dwóch zdaniach zdołałam wyrazić wszystko, co w tej chwili czułam: rozdrażnienie, oburzenie i podejrzenie co najmniej o łapówkę.

- Risz... nie przychodzę tu jako gość... - wymamrotał.

- Nie opowiadaj - prychnęłam. Już w co jak w co, ale w takie zapewnienia nigdy nie wierzyłam: nie byłam, nie robiłam, nie uczestniczyłam. No, no, no...

- Naprawdę nie jestem tu gościem! - oburzył się mój przyjaciel tak szczerze, że spytałam wprost:

- A czym? Pracownikiem? - w tym ostatnim słowie umieściłam tyle jadu, że starczyłoby na dziesięć osób.

- Ee... tak - bąknął.

Przez kilka sekund nie mogłam wykrztusić ni słowa, a potem zapytałam samymi wargami, gdyż odebrało mi głos ze zdumienia:

- Co...?

Stałam pośrodku mrocznego korytarza, wytrzeszczając oczy na Lera, jakby był jakimś dziwolągiem. Już chyba wołałabym, żeby był gościem tego zakładu... Poza tym kto skusiłby się na usługi tego... O bogowie, nawet nie mogę znaleźć właściwego słowa...!

- Risz, znów źle mnie zrozumiałaś - wybąkał Ler.
- A jak powinnam cię zrozumieć? - wysyczałam.
- Po prostu dorabiam tu, wykorzystując wiedzę zdobytą w murach akademii.

- A konkretnie?

- No... - Popatrzył na mnie błagalnie, ale miłosierdzie nigdy nie było moją mocną stroną. - Substancje aromatyczne, balsamy, afrodyzjaki... - Pod moim ciężkim spojrzeniem dodał pospiesznie: - Wszystko absolutnie legalnie!

- Nie mnie będziesz się tłumaczył - ucięłam.

- Risz, tylko nie składaj raportu! To wszystko jest najzupełniej legalne! Jeśli chcesz, mogę ci pokazać...!

- Dobra, dobra, wierzę na słowo - burknęłam, uspokajając się. Ufałam mu, zresztą nie miałam ochoty, żeby mi cokolwiek pokazywał. - Ale jeśli kiedykolwiek...

Mój przyjaciel roześmiał się.

- Wiem, wiem. Zetrzesz mnie na proszek.

- Właśnie. - Skinęłam głową z godnością.

- Nic się nie zmieniłaś. Ciągle ta sama nietolerancja wobec tego, co według ciebie wykracza poza dozwolone granice.

- W końcu ktoś musi wyznaczać te granice. - Wzruszyłam ramionami.

Korytarz, w którym prowadziliśmy tę sympatyczną rozmowę, wypełnił mdlący zapach. Od razu zaczęło mnie łupać w skroniach, nie znosiłam takich aromatów - zbyt natrętne i zbyt wulgarne. Chwilę później ujrzałam jaskrawo ubraną kobietę w wieku trudnym do określenia z powodu grubej warstwy kosmetyków. Ręce i szyję osłaniała rękawiczkami i szalem - czyli starzeje się. Nieznajoma zachowywała się jak właścicielka tego zakładu, więc najwyraźniej była tutejszą madame.

- Laro Sterolu, jak miło pana widzieć! - oznajmiła głośno. - A ta lare? - spytała wzgardliwym tonem, spoglądając na mnie jak na karalucha, który zawędrował na talerz ze smakołykami.

Chyba wyczuła, kim jestem. Bez względu na to, w co ubierasz się poza pracą, jeśli masz „fioletową skórę”, zawsze znajdują się tacy, którzy rozpoznają to na pierwszy rzut oka.

- To moja koleżanka, lara Illiro. Szukamy miejsca, w którym moglibyśmy porozmawiać bez świadków.

- No tak, nie przypuszczam, by chciał pan załatwić tej lare pracę u mnie - skomentowała zjadliwie lara Illira, przyglądając mi się z nienaturalnym zainteresowaniem.

Zapewne w ten sposób właścicielka burdelu chciała wyrazić swoją negatywną opinię na temat mojego wyglądu. Omal się nie uśmiechnęłam.

- Ler nie zwróciłby się do pani z podobną prośbą, lara Illiro - odezwałam się. - Mam już zaszczyt pracować w innym zakładzie, cieszącym się znacznie gorszą reputacją.

Kobieta zamrugała, potem w jej złocistozielonych oczach odbiło się zrozumienie, a przez twarz przemknął cień zdumienia.

- A więc laro Sterol przyszedł z koleżanką z pracy... No cóż, pokażę wam pokój, w którym będziecie mogli spokojnie porozmawiać. Myślę, że nie musi się pani przedstawiać, lare.

Słusznie. Chociaż mogłabym przysiąc, że madame wyrobiła już sobie pewne pojęcie o tym, kogo Ler przyprowadził ze sobą.

Właścicielka zaprowadziła nas do zamaskowanych drzwi prowadzących do niewielkiego pokoju. Trzeba przyznać, że nie rzucały się w oczy, choć na pewno zostałyby

odkryte podczas rewizji. Moja mama zawsze powtarzała, że im lepiej coś zostało schowane, tym szybciej ja to znajdę. Widocznie bogowie od razu przy narodzinach wyznaczyli mi los śledczego. Ci, którzy mnie znali, uważali, że bogowie mieli dość specyficzne poczucie humoru.

W pomieszczeniu brakowało okien, za to było jeszcze jedno wyjście, ukryte za gobelinem, na którym przedstawiono bitwę na Jelskim Polu, jedną z najbardziej znaczących Drugiej Wojny Elfickiej. Biorąc pod uwagę, że Pierworodzeni uciekali wówczas z pola walki tajną ścieżką przez trzęsawiska, to aluzja do zamaskowanych drzwi była wyjątkowo czytelna. Pośrodku pokoju stał niewielki okrągły stół, chyba dębowy, a przy nim trzy krzesła o wyblakłych obiciach. Nie było tu nic więcej, jedynie gobeliny przykrywające kamienne ściany. Zapewne właśnie w tym miejscu klienci omawiali swoje tajne sprawy - skąpe umeblowanie wynikało z faktu, że w czasie takich prywatnych spotkań rozmówcy nierzadko próbują się zabić, a właściciel zakładu wszak nie potrzebuje dodatkowych kłopotów.

- Dosyć tu przytulnie - zauważyłam, siadając na krześle. Na pewno przytulniej niż w naszych salach przesłuchań.

Ler najwyraźniej odgadł, o czym myślę, bo parsknął śmiechem.

- Zostawię was - oznajmiła właścicielka i oddaliła się taktownie.

Przez kilka minut siedzieliśmy w napiętym milczeniu. Pokój sprawiał wrażenie wystarczająco bezpiecznego do przeprowadzenia dyskretnej rozmowy, ale ostrożności nigdy za wiele.

Bez zastanowienia zastosowałam dodatkowe zakłęcie maskujące, które miało przeszkodzić podsłuchującym, zaś Ler ustawił strefę ochronną. Ponad dziesięć lat ścisłych kontaktów sprawiło, że rozumieliśmy się bez słów.

- No więc, moja droga, postronnemu obserwatorowi wszyscy twoi podejrzani wydaliby się niewinnymi barankami, nie ma się do czego przyczepić.

- A gdyby im się lepiej przyjrzeć? - Zmrużyłam oczy, czując przez skórę, że zaraz dowiem się czegoś interesującego.

Ler rozpląnął się w uśmiechu, poczułam płynącą od niego falę optymizmu.

- Winsseta, słoneczko, możesz spokojnie skreślić ze swojej listy.

- A czemuż to? - zainteresowałam się, patrząc wy-czekująco na przyjaciela, który aż promieniał zadowoleniem.

- Już drugi tydzień znajduje się w śpiączce magicznej. Mag eksperymentator z niezdrowym pocięciem do ryzyka. Cztery razy składali go niemalże z kawałków po nieudanych doświadczeniach, a teraz zrobił coś niewiarygodnego: próbował skombinować zakłęcia różnych żywiołów.

Skrzywiłam się - potrafiłam sobie wyobrazić, co stało się z Winssetem.

- Czemu nikt o tym nie wie? - spytałam.

- Domownicy starannie ukrywają fakt niedyspozycji Winsseta. Synów nie ma...

- Majorat - westchnęłam ze zrozumieniem. - Synów nie ma, za to braci pod dostatkiem.

- Właśnie, moja droga. Cały majątek przejdzie na młodszego brata, a żona i dwie córki zostaną z niczym.

- I jak ci się udało przeniknąć tę straszną tajemnicę?
  - Lekarz rodzinny jest moim dobrym kumplem, a dobre wino każdemu rozwiąże język.
  - Dobre wino z dodatkami?
  - Cóż... - Alchemik udał zmieszanie.
  - A pozostali? - nie ustępowałam.
- Ler wzruszył ramionami.
- Posłuchaj, to przecież szantaż! Już teraz dzięki mnie masz o połowę mniej pracy!
  - Ler, dawaj wszystko, co wiesz - zażądałam.



- Uwielbiam cię - powiedziała pół godziny później usatysfakcjonowana Rinnelis, odchylając się na oparcie krzesła. Wyznanie zostało wygłoszone innym tonem niż ten, do którego przywykł kochliwy ekspert - bez uwielbienia, bez przenikliwych nutek, inaczej, niż mówiły zwykle dziewczęta. Rinnelis, nawet okazując wdzięczność, zachowywała się sucho i oficjalnie, jednak Ler widział ciepłe iskierki w jej szarzielonych oczach i lekko uniesione kąci ki warg. Risz była zadowolona, a to znaczyło, że już niedługo ktoś padnie ofiarą jej doskonałego humoru.
- Przy okazji, zapomniałam ci powiedzieć... - rzuciła mimochodem dziewczyna. - Starszy nieludź uciekł.
- Jak to? - Ler osłupiał. Z tego, co pamiętał, od lara Tiany nie potrafiła uciec nawet jej córka! - Twoja matka...
- Przegapiła sprawę - westchnęła Żmijka. - A kahe nie tylko uciekł, ale jeszcze bezczelnie zostawił nam swojego siostrzeńca. Nie zabrał chłopaka ze sobą, dając nam do zrozumienia, że jego krewniak to teraz mój problem - w

głosie lare śledczej zadźwięczała niemal dziecięca uraza.

- Może jeszcze wróci? - zasugerował Ler.

- Aha, już leci - skrzywiła się Rinnelis. - Szlachetny mściciel, niech go demony. Pewnie polegnie w nierównej walce z wrogami.

- I na kim on chce się mścić? - zainteresował się Ler. Szaleństwo południowca naprawdę go zajmowało.

- Na tym właśnie polega problem, że nie mógł wiedzieć na kim! - Risz przygryzła wargę. - Byłam jego jedynym źródłem informacji, a wtedy miałam tylko ogólne przypuszczenia.

- Czyli co, planuje odesłać na tamten świat wszystkich gości z tej twojej listy? - zdumiał się alchemik, pocierając czoło. - Przecież to siedem osób!

Rinnelis skrzywiła się, jakby rozgryzła coś gorzkiego.

- Wiesz, to Dłoń Śmierci. Ciężko zgadnąć, co zrobi.

- Rinnelis Tyen, jesteś wyjątkową idiotką! - warknęła Ler, podchodząc do przyjaciółki i pochylając się nad nią groźnie. Zamrugła i wcisnęła się w oparcie krzesła. - Jak mogłaś być na tyle głupia, żeby związać się z tym kahe?! Dłoń Śmierci...?! Mógł cię zabić w każdej chwili! Co ty sobie właściwie myślałaś?

Na chwilę zastygła zdumiona, nie rozumiejąc, dlaczego jej stary przyjaciel wpadł w taką wściekłość i jakim prawem drugi raz z rzędu prawi jej morały, a potem przeszła do aktywnych działań mających na celu obronę własnej godności.

Odepchnęła Lera, żeby nie wisiął nad nią jak kat nad dobrą duszą, a potem wstała. To była znacznie lepsza pozycja do dalszej rozmowy.

- Po pierwsze, wtedy gdy się to wszystko zaczęło, nie miałam pojęcia, że ten południowiec jest Dłonią Śmierci,



zaś on, jak sam rozumiesz, nie informował mnie o szczegółach swojej biografii, po drugie, nie jestem na tyle głupia, żeby nie umieścić w nim zakłęcia posłuszeństwa, więc bez względu na to, kim jestem, zdołam rozprawić się z nim w każdej chwili, a po trzecie, jakim prawem na mnie wrzeszczysz? - wygłosiła sucho Rinnelis.

Tak, prawienie morałów czcigodnej Głównej Żmii Straży nie było mądre, tym bardziej że i tak była rozdrażniona do granic możliwości, a niedawna kłótnia pokazała, że na dowolną próbę nacisku odpowiada ciosem.

- No dobrze, Risz, już milczę. - Ler spuścił głowę. - Ale nie spodziewałem się po tobie takiej beztroski.

Rinnelis zaczerwieniła się delikatnie, ale ani myślała się tłumaczyć i usprawiedliwiać. Jedyne z niepomierną wyższością błysnęła oczami i zadarła nos, dając do zrozumienia, że jest doskonałością, która w swej wielkiej łasce zniżyła się do zwykłych śmiertelników.

- Jakie masz plany co do tego kahe? - Ler postanowił zmienić temat. Nie było sensu przekonywać tej zołzy, przecież na pewno wszystko sama rozumie i zaryzykowała świadomie. I niewątpliwie jest zorientowana w kwestii własnej głupoty.

- Żadnych. Raen kahe Oron został poinformowany o zniknięciu Riencharna i pewnie się tym zajmie. - Rinnelis powiedziała to z głębokim niesmakiem. Najwyraźniej ingerencja kahe Orona jej nie cieszyła. - Teraz i tak nie zdołam nic z tym zrobić.

- A jak uwolnisz się potem od tego przemienca? - zapytał sceptycznie Ler.

- Coś wymyślę - opędziła się. - Teraz mam pilniejszą sprawę.

- I niech ziemia lekką będzie tym, którzy ośmielili się stanąć ci na drodze - zaśmiał się niewesoło Ler Sterol,

otwierając drzwi przed Rinnelis. - Spróbuj nie wykończyć się zupełnie, dobrze?

- Spróbuję - uśmiechnęła się dziewczyna. I właśnie ten uśmiech, niespodziewanie promienny i ciepły, rzadki gość na twarzy Risz, sprawił, że serce mężczyzny ścisnęło się w przeczuciu nieszczęścia.

„Uważaj na siebie, Risz...”



Riencharn Aen pomyślał, że pomysł ucieczki od dijes Tyen nie był aż tak dobry, jak mu się początkowo wydawało. Bez wsparcia, bez pieniędzy, na wrogim terenie kahe czuł się jak w pułapce. Zemsta była oczywiście rzeczą bardzo piękną i szlachetną, ale na kim konkretnie chciał się mścić? No cóż, ucieczka została podyktowana impulsem, a teraz nic już nie można było zmienić. Dijes śledcza nie pozwoliłaby sobie więcej na gapiostwo i Riencharn nie miałby drugiej szansy wyrwania się z jej rąk. Tymczasem przymus zemsty był częścią jego samego, częścią tradycji jego narodu, częścią sensu jego życia, ponieważ urodził się jako kahe, a to było niczym wyrok, niepodlegający apelacji nawet po śmierci. Człowiek nie był w stanie zrozumieć motywów południowców. Nawet dijes Tyen, która tak dogłębnie poznała zwyczaje i tradycje kahe, tak wiele o nich wiedziała, nie zdołała uchwycić ich ducha. Ludzie mogli łamać swoje prawa i nie czuć przy tym wyrzutów sumienia. Kahe natomiast nie potrafiały zlekceważyć swoich tradycji. To tak, jakby odciąć sobie dłoń - czyn bolesny i nienormalny.

Po ucieczce z domu Tyenów Riencharn od razu udał się do stolicy - do miasta, w którym znajdował się zabójca. To, że nie wiedział, kto konkretnie zamordował jego

ukochaną kobietę i nienarodzone dziecko, nie było wówczas żadnym problemem - kahe po udanej ucieczce znajdował się w stanie euforii, która nie pozwalała myśleć jasno i obiektywnie.

W jego i tak nieciekawej sytuacji brakowało tylko przemieńców pragnących wtrącić się w jego sprawy. Wróg, który poprzysiął ci krwawą zemstę, zawsze stanowi spory problem, ale wróg przemieniec to problem podwójny, a nawet potrójny. Szczególnie jeśli pochodzi z rodu kae Oron.

„Dzięki niech będą przodkom, że przynajmniej nie muszę obawiać się osobistej ingerencji Lincha kae Orona” - pomyślał kahe z ulgą. Gdyby do całej sprawy wtrącił się Trzeci Lord, mogłoby się zrobić nieciekawie. Na szczęście Ryś był daleko, a w stolicy przebywał tylko jego krewniak.

Południowiec siedział właśnie w brudnym, pustym pomieszczeniu, które stało się jego kryjówką po wyrwaniu się z domu dijes śledczej. Nie miał pieniędzy, żeby wynająć coś porządnego - wszystkie zostawił Taelowi. Zresztą nawet gdyby je miał, i tak wolałby nie rzucać się ludziom w oczy. W najlepszym razie wpadłby w ręce dijes Rinnelis, w najgorszym - w łapy Straży, przemieńców czy morderców Sofii. Dlatego nocował w starym, opuszczonym domu, z tak kiepskimi stropami, że tylko nieczłowiek był w stanie po nich przejść, nic sobie przy tym nie łamiąc, choć kilka razy istotnie omal nie wpadł do jednej z licznych dziur w podłodze. „Mieszkanie” nie było wygodne, ale za to bezpieczne - na pewno nikt nie będzie go tu szukał. Dijes Rinnelis mogła się domyślać, gdzie ukrył się zbiegły kahe, ale w stolicy było tak wiele ruder, że nawet Straż nie zdoła przeszukać wszystkich.

„Hm... Wygląda na to, że będę musiał odwiedzić wszystkich podejrzanym z listy dijes Rinnelis i porozmawiać z

nimi osobiście. Zwykle prywatna rozmowa z Dłonią Śmierci robi spore wrażenie...” - pomyślał zarozumiale Aen, siadając na parapecie, gdyż podłoga zaczęła się podejrzenie uginać pod jego ciężarem.

Jednak przeniknięcie do domów siedmiu wysoko postawionych arystokratów nie będzie łatwe, zwłaszcza biorąc pod uwagę płomienne zainteresowanie, jakim stróżowie prawa darzą Riencharna. Południowiec czuł, że to raczej idiotyczny pomysł.

„Doskonale. To znaczy, że nocuję pod gołym niebem, głoduję, narażam życie tylko dlatego, że nie starczyło mi rozumu, żeby przewidzieć wszystko wcześniej?!”

Przez głowę Riencharna przemknęła zdradziecka myśl o powrocie do dijes Tyen, ale szybko odrzucił ją jako przejaw defetyzmu. Zwłaszcza że nie wiadomo, co dijes śledcza będzie chciała z nim teraz zrobić...



Moja czarna lista została zredukowana do dwóch osób i poczułam przypływ entuzjazmu - dwóch podejrzanych to nie siedmiu, z którymi właściwie nie wiadomo, co robić.

A więc jeśli moje założenia są słuszne, każn laro Riencharna była potrzebna zabójcy po to, by konflikt ludzie kontra kahe przeszedł ze stadium zimnego w gorące. No dobrze, ten mechanizm był dość jasny, ale w jaki sposób przestępca zamierzał usunąć miłościwie nam panującego? W końcu zamach na monarchę to nie trywialny napad na bank! Jednak człowiek, który to wszystko zaplanował, najwyraźniej nie był głupi, a więc raczej nie liczył na to, że

Jego Wysokość Henryk ósmy po prostu umrze na atak serca w odpowiednim momencie. Innymi słowy, nieznanym mi zamachowcom musi mieć możliwość wysłania króla na tamten świat.

No dobrze... Wiadomo, że w razie wojny większość wojska opuści Illenę. To by znaczyło, że ta osobistość nie służy w regularnej armii - główna część zaplanowanej awantury rozgrywać się będzie w stolicy, a tak ważna sprawa jak przewrót państwowy wymaga stałego nadzoru. Poza tym, gdyby spiskowiec był dowódcą (szlachcic z łańcuchem książęcym na pewno nie gnije na stanowisku porucznika), zacząłby od buntowania armii, co byłoby znacznie prostsze. Ale ojciec Jego Wysokości w czasie swoich rządów zadbał o to, by czołowe stanowiska w armii zajmowali ludzie oddani koronie do ostatniego tchu, zaś obecny władca nie przeprowadzał żadnych zmian. Nie, pucz wojskowy to marny wariant dla spisku.

Za to Jego Wysokość, o ile dobrze pamiętam, był raczej przeciętnym dowódcą (czego nie potrafiły zmienić nawet dwa lata nauki wojskowości), ponadto nie lubił pokazywać się w miejscu działań wojennych. Prawdopodobieństwo, że monarcha zechce wystawić na szwank swoją koronowaną głowę, było śmiesznie małe.

A więc w razie czego król pozostanie w Illenie. Kto będzie przy nim? Dworzanie, służba i... gwardia?

No, to już coś... Swoją gwardię Jego Wysokość wybierał osobiście na samym początku rządów, a więc jego czcigodny ojciec nie przyłożył do tego ręki. Jeśli wziąć pod uwagę, że król Henryk nie zna się na ludziach i wyróżnia się wyjątkowym uporem - to można śmiało założyć, że do własnej ochrony mógł przyjąć każdego. Gdyby nawet ktoś szepnął mu, że wybrani ludzie są niepewni, król zignorowałby tę informację.

Oczywiście mogłam się mylić, ale czy był to zbieg okoliczności, że jeden z moich podejrzanych należał do gwardii, czy może... Trzeba będzie to sprawdzić.

Z drugiej strony następny podejrzany to zaufany króla, który może zjawić się u niego o każdej porze dnia i nocy i nikt nie ośmieli się zapytać, co go sprowadza. Pojęcia nie mam, czemu król trzyma go przy sobie... Czyli wychodzi na to, że obydwaj mają możliwość zamordowania króla. No i co ja mam z tym robić?

Znowu będę musiała zabawić się w żywą przynętę, w przeciwnym razie nigdy nie dotrę do zabójcy. Obserwacja, którą zorganizował Ler, była niezłym sposobem zdobywania informacji, jednak żaden sąd nie uzna dowodów uzyskanych w ten sposób. Czasami czuję złość na myśl, że gdyby nie ograniczenia, jakie nakładało prawo na śledczych, nasze życie byłoby znacznie intensywniejsze. Z drugiej strony nie wszyscy pracownicy Straży zgodzą się zamienić realne pieniądze na abstrakcyjną sprawiedliwość.

Czyli będę musiała iść z wizytą bez zaproszenia, i to pewnie nie raz. Pozostawało mieć nadzieję, że gospodarze nie zrzucą mnie ze schodów.

Takie właśnie niewesołe myśli przychodziły mi do głowy, gdy szłam prosto do budynku wydziału. Teleportację uznałam za zbędną, po prostu zasłoniłam twarz iluzją i wędrowałam po najbardziej zatłoczonych ulicach, zlewając się z tłumem. Bez fioletowego stroju poruszanie się było trudniejsze, niż przypuszczałam: kilka razy nadepnięto mi na stopę, raz dostałam klapsa poniżej pleców. Drań zmył się z miejsca przestępstwa - miał szczęście, gdybym go dorwała, byłoby po nim.

Spacer dobrze mi zrobił, a moje różnorodne życie zaczęło mnie nawet nieco bawić - żeby z karczmy strażników

wylądować w burdelu?! Gdybym komuś opowiedziała, nie uwierzyłyby... A zresztą, i tak nie miałam komu. Swoją drogą, niezły cwaniak z tego Lera, że udało mu się zahaczyć w półlegalnym biznesie. Przecież na pewno wiedział, że aby używać dodatkowych specyfików, domy publiczne potrzebują specjalnej licencji z podpisem mera. A instynkt mi podpowiadał, że lara Illira nie zatroszczyła się o zdobycie tego zezwolenia, gdy proponowała Lerowi łatwy zarobek, zawsze tak mile widziany przez pracowników Straży.

- Ej, ślicznotko! - zawołał ktoś za mną. - Nie przesłały się ze mną do karczmy?

Wzruszyłam ramionami i poszłam dalej. Takich propozycji nie składano mi, odkąd skończyłam siedemnaście lat, nawet po ciemku i nawet gdy szłam przez miasto po cywilnemu. Zawsze miałam wrażenie, że moją „fioletową skórę” ludzie wyczuwają na odległość.

- Hej! - zawołał ktoś tuż nad moim uchem. Czyli jednak wołano do mnie!

Amatora ulicznych znajomości uratował chyba tylko cud. W ciągu ostatnich kilku dni nerwy zaczęły mi szwankować i na każdy dźwięk rozlegający się zbyt blisko mnie reagowałam jednakowo: zakłębieniem bojowym. Dlaczego tym razem zdołałam się powstrzymać, wiedzą tylko bogowie.

Hm, głos brzmiał znajomo... i chyba słyszałam go niedawno... Łaskawie spojrzałam na mężczyznę. Jego twarz wydała mi się znana, ale kim on był i gdzie się widzieliśmy, nie zdołałam sobie przypomnieć. Człowiek czystej krwi, miał około dwudziestu pięciu lat, włosy proste, do ramion, słomkowego koloru, twarz kwadratową i toporną, wąskie wargi, nos kilkakrotnie złamany, a przez lewy policzek biegła mu blizna. Wzrost średni, na lewej dłoni tatuaż w

kształcie sowy, na prawej zwykła srebrna obrączka, delikatnie emanująca magią - możliwe, że nieaktywowany amulet. A w kartotekach nie występował. Dziwne.

- Masz chwilę czasu? - zapytał typ uwodzicielsko.

No nie, co mu się spodobało w mojej nowej twarzy? Przecież specjalnie uczyniłam ją niepozorną... Ale nie ma tego złego - sowa na ręce mężczyzny była charakterystycznym znakiem, takiego tatuażu nie robiło się dla zabawy.

- Myślę, że tak. - Uśmiechnęłam się promiennie.

Grymas, który na twarzy lare Tyen wzbudziłby u rozmówcy nerwowe skurcze, w przypadku bezmiennej dziewczyny był oznaką przyzwolenia i dobrego nastroju.

Moja zgoda wyraźnie poprawiła mężczyźnie humor. Nic dziwnego, pewnie niewiele dziewczyn zgodziłoby się zawrzeć bliższą znajomość z człowiekiem, który miał sowę wytatuowaną na dłoni.

- Jak cię wołają? - podejrzany typ przeszedł do natarcia.

Miałam straszną ochotę palnąć coś w rodzaju: „Mnie nie wołają, ja sama przychodzę”, ale powstrzymałam się.

- Madeleine - wykrztusiłam, starannie udając łatwowierną idiotkę. W takiej roli nie miałam jeszcze okazji występować, musiałam improwizować, dostosowując się do reakcji widza. Mężczyzna nie wykazywał oznak niepokoju, więc chyba zachowywałam się odpowiednio do swojej roli. Grunt to nie przejść na typowo „śledcze” intonacje przed uzyskaniem niezbędnych informacji. Najemni zabójcy nie włączą się po ulicach Illeny bez powodu. „Sowy” wołą kręcić się poza miastem, gdzie Straż jest mniej liczna



i bardziej leniwa. Władze stolicy w swoim czasie rozwiązały problem najemników. Bardzo pomocni okazali się oficjele, którzy zrozumieli wreszcie, że najemni zabójcy są jak nóż leżący na ulicy - to, że ty użyjesz go dzisiaj, wcale nie znaczy, że jutro ktoś inny nie wbije ci go między żebra. Dlatego wszystkich posiadaczy sowych tatuaży z hukiem wyrzucono z miasta. Zresztą od czasu do czasu ktoś się jednak przesączał - jak ten typek na przykład.

- Pójdziesz ze mną do tawerny? - nieznajomy postanowił wziąć byka za rogi.



**S**tropiłam się. Jak dać mu do zrozumienia, że zgadzam się pójść, nie wzbudzając podejrzeń nadmiarem entuzjazmu? Nigdy przedtem nie pracowałam pod maską cudzej twarzy, a tego rodzaju improwizacje nie były moją mocną stroną. Gdy ja zadreślałam się kwestiami strategii i taktyki, los zdecydował za mnie. Nie doczekawszy się mojej reakcji, zabójca rzucił: „Pewnie, że pójdziesz”, złapał mnie za rękę i dosłownie zaciągnął do tawerny „Kogut i Kotka”, która była tuż za rogiem. Najemnik ścisnął mój nadgarstek tak mocno, że siniaki miałam zagwarantowane.

Ochroniarz przy wejściu popatrzył na mnie dziwnie, ale nic nie powiedział, pozwalając mężczyźnie wciągnąć mnie do środka.

„Kogut i Kotka” był miejscem, w którym zbierali się specyficzni goście - pracownicy Straży zjawiali się tam wyłącznie w liczbie dwudziestu ludzi i tylko po to, żeby przeprowadzić obławę. Złodzieje, bandyci, tanie prostytutki, oszuści... To miejsce od piwnicy aż po strych wypełniały miejskie męty. Żaden porządny obywatel nie zbliżyłby się

do niego na odległość tysiąca kroków. Nie ze strachu. Z rozsądku.

Za to nareszcie zrozumiałam, dlaczego mój znajomy nie zwrócił na siebie uwagi moich fioletowych kolegów - każdy strażnik, który odważył się wejść do tego gniazda pajaków, zniknął na zawsze.

Nie miałam pojęcia, jak taki zakład wygląda od środka, nigdy nie brałam udziału w obławach, uważając podobne rozrywki za niegodne uwagi. Dlatego zdumiałam się, widząc, że tawerna niewiele różni się od zwykłych przedsiębiorstw tego typu - co najwyżej młode dziewczyny roznoszące zamówienia były bardziej rozebrane. Główna sala - przestronna, jasna, czysta - wyglądała nie gorzej niż w „Mieczu i Koronie”, przybytku Straży.

Ładne rzeczy.

- Martin, z jakiego klasztoru wyciągnąłeś tę dziewczynkę? - zaśmiał się ktoś, pokazując mnie palcem.

Nie powiem, żeby ta uwaga sprawiła mi przyjemność. Z dna duszy podniosło się czysto kobiece rozdrażnienie, zjawisko rzadkie i dla mnie nietypowe.

- Nie ludź się, więcej tam takich nie ma - zarżał radośnie mój towarzysz, ciągnąc mnie do wolnego stołu.

Za nami rozległy się śmieszki, życzenia powodzenia oraz sugestie, kiedy Martin zaciągnie mnie na górę, rzecz jasna, nie po to, żeby pić herbatę czy grać w szachy. Taki rozwój wydarzeń byłby mi bardzo na rękę - sam na sam zneutralizuję tego typu bez trudu. Wyciągnięcie go stąd będzie trudne, ale możliwe; za to w środku tłumu uzbrojonych przestępców nic nie zdołam zrobić, co najwyżej będę mogła uciec.

Bogowie, jednego dnia odwiedziłam i burdel, i melinę, moje życie faktycznie zaczyna być bardzo urozmaicone...

I wtedy nagle przypomniałam sobie, gdzie słyszałam głos tego Martina - w czasie jednego z napadów! Był jednym z tych, których przysłano po moją głowę... Gdybym jeszcze zdołała sobie przypomnieć, w której grupie był ten zabójca! Wtedy mogłabym w przybliżeniu ustalić, kiedy go wynajęto.

Grzebanie w pamięci nic mi nie dało i postanowiłam rozejrzeć się po sali - w końcu nie co dzień ma się okazję oglądać przestępczą melinę w jej stanie naturalnym, a nie w czasie obławy. Toporny drewniany stół również był idealnie czysty - tak nienaturalną sterylność do tej pory widywałam tylko w kostnicy.

Martin pstryknął palcami, przywołując kelnerkę. Zareagowało co najmniej sześć dziewczyn, ale zwyciężyła najszybsza, która rozepchnęła koleżanki potężnym biustem.

Entuzjazm ze strony personelu „Koguta i Kotki” sugerował, że blondyn był tutaj częstym i mile widzianym gościem, a do tego wpływowym. Tylko jakim cudem udało mu się osiągnąć taki prestiż w Illenie, gdzie powinien się czuć jak wilk w psiarni? Przecież szary drapieźnik, nawet silny, nie poradziłby sobie z całą sforą, a piętno ciężko ukryć.

Kelnerka zmierzyła mnie pogardliwym spojrzeniem uznanej piękności. Taka szara myszka jak ja wydawała jej się niegodna tak wspaniałego mężczyzny. Nie znam się na gustach i priorytetach przestępczych warstw społeczeństwa, ale Martin najwyraźniej uchodził tu za przystojniaka, zasługującego na coś więcej niż niepozorna, obca dziewczyna. Starannie spuszczałam wzrok, żeby kelnerka nie mogła zajrzeć mi w twarz. Kobiety wyczuwają każdy podstęp, a moja profesja odciska zbyt duże piętno.

- Co ci zamówić, mała? - zwrócił się do mnie zabójca.

Wzruszyłam ramionami, kuląc się demonstracyjnie, chociaż strasznie chciało mi się jeść. Obiad w „Mieczu i Koronie” został beznadziejnie zepsuty i teraz czułam ssanie w żołądku.

- No to po kuflu piwa i duszone mięso z kapustą - zdecydował za nas oboje najemnik.

Na wspomnienie o jedzeniu mój żołądek zaburczał z aprobatą, ale na szczęście wokół panował gwar i nikt nie usłyszał zdradzieckiego dźwięku.

Paradoks życia - do tej pory jadałam jedynie na koszt Lera i Tarna, teraz byłam na randce z zabójcą.

- Powiedz mi, Madeleine, gdzie mieszkają takie śliczne dziewczęta? - zaczął mój adorator.

Kelnerka, która poszła po zamówienie, zakasłała gorączkowo. Ja również poczułam rozbawienie.

- Za miastem - wykrztusiłam. Za wzór zachowania wzięłam bohaterki z ludowych bajek. Odgrywające je wędrownie aktorki z niewiadomych powodów zawsze becząły jak kozy.

- Więc jesteś nietutejsza! - ucieszył się szczerze.

Od razu przypomniał mi się stary kawał o seryjnym mordercy, który ciągnął dziewczynę do lasu, mówiąc: „Pomyśl, jak ja się będę bał sam wracać!”.

No, jeszcze zobaczymy, kto zagra rolę psychopaty, gdy zostaniemy sam na sam. W głębi duszy rozlegał się złośliwy śmieszek, tłumienie go kosztowało mnie dużo wysiłku.

- Nietutejsza - potwierdziłam tonem biednej sierotki, którą zła macocha wysłała do ciemnego lasu.

A Martin wierzył, naprawdę szczerze wierzył, że zacementowana na ulicy nieznajoma była naiwną dziewczuszką,

która za bardzo oddaliła się od domu. No tak, ale kto by pomyślał, że w skromnej sukience, ze spuszczoneym wzrokiem paraduje po mieście lare śledcza?

Czułam obmacujące mnie spojrzenia tutejszych bywalców: niektóre złośliwe, inne współczujące lub wzgardliwe, i coraz lepiej do mnie docierało, że jeśli wyjdę stąd żywa, w dodatku ze swoją ofiarą pod rękę, będę musiała przeznaczyć sporą sumę na świeczki dla wszystkich bogów. Naprawdę mógł mi pomóc wyłącznie cud; przestronna sala była nabita ludźmi aż po dach.

Gdy ja oddawałam się tym niewesołym rozmyśleniom, na scenie pojawił się jeszcze jeden aktor, najwyraźniej główny w tym akcie.

Zjawił się tak nagle, jakby z jakiejś szczeliny wysączył się kawałek mroku. Początkowo nie mogłam nawet rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. Miał na sobie czarny płaszcz, spadający z tyłu niczym bezwolne skrzydła nietoperza, jego twarz krył kaptur i postawiony wysoki kołnierz. Całkiem niezła konspiracja, gdyby nie to, że za oknem był jasny letni dzień i czarna plama na ludnej ulicy bardziej rzucała się w oczy niż kleks na śnieżnobiałym obrusie. Poza tym nieznamy poruszał się w sposób zdradzający nieludzia - czarny osobnik nie omijał przeszkód pojawiających się na jego drodze, on je OPLYWAŁ.

- Dzień dobry, laro - odezwał się Martin do przybyłego. Najwyraźniej było to umówione spotkanie.

- Dobry. - Przybysz usiadł na wolnym krześle.

Omam nie podskoczyłam z wrażenia, słysząc jego głos. To było tylko jedno słowo, za to jaka artykulacja! Nadmierne rozciągnięte samogłoski, głoska „r” brzmiąca jak „f”, sama wymowa nieco słaba... Po co ukrywać twarz, gdy ma się taki akcent?

- A co to za ino? - zapytał z niechęcią przybysz, wskazując mnie szczupłym palcem. Co za brak taktu! Do tego używanie słów ojczystego języka na obcym terenie... Okropne maniery sugerowały bezczelność lub brak wychowania - ani jedno, ani drugie nie świadczyło o sile i lotnym umyśle.

- Przecież powiedziałeś, że potrzebujesz dziewczyny.  
- Zabójca wzruszył ramionami, wpatrując się we mnie ciężkim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: tylko się rusz, a rozedrę cię gołymi rękami.

Ho, ho... Błogosławieni ci, którzy wierzą.

- Tak, ale nie pierwszej lepszej! A jeśli jest ze Straży? Pozbądź się jej!

Poczułam niepokój. Jeśli Martin zechce wykonać rozkaz czarnego, będę musiała się bronić, a wtedy od razu stanie się jasne, że zamiast myszy najemnik sprowadził żmiję.

- Oszalałeś?! - zarżał mężczyzna. - Ta dziewczyna miałaby pracować w Straży? No popatrz tylko na tę biedną owieczkę, która boi się na ciebie spojrzeć! Jakim cudem miałaby mieć coś wspólnego ze Strażą?!

- Mówisz tak, bo nie widziałeś Tyen - głos przybysza ociekał sarkazmem. Martina słysząc było w każdym kącie sali, nieludź za to mówił bardzo cicho. - Tamta też nie robi większego wrażenia, a jeszcze nikt nie zdołał jej pokonać.

- Widziałem ją! Baba jak baba i zabić ją to żaden problem - zapewnił blondyn swojego rozmówcę. - A dziewczyna nam w tym pomoże.

To był strzał w dziesiątkę. A więc jednak bogowie jeszcze mnie lubią... Szczęście na granicy niemożliwości: znaleźli mnie właśnie ci, którzy pragnęli mojej śmierci! I zdaje się, że to był właśnie ten kahe, który pomógł w zainscenizowaniu rytualnego zabójstwa lare Ayrel! Jak mówią

południowcy: „Jeśli przodkowie włożyli szczęście w twoją dłoń, nie zapomnij zacisnąć palców”. Zaciągnę tych dwóch do Straży, nawet jeśli będę musiała posłać całego „Koguta i Kotkę” do wszystkich demonów naraz.

Kahe świdrował mnie wzrokiem. Zauważył coś? Błyskawicznie osłoniłam iluzją swoje pole magiczne. Jak zobaczę, że mam dar, od razu zaczną zadawać pytania... Przyczajona zaczęłam delikatnie obmacywać czarnego, próbując określić jego potencjał oraz ilość problemów, które mógł mi zapewnić.

Nieludź tymczasem kontynuował rozmowę z Martinem, poświęcając mi tyle uwagi co krzesłu, na którym siedział. Było mi to bardzo na rękę, dawało pewną swobodę działania.

- Skąd ona jest?

- Spoza miasta - odparł najemnik z uśmiechem. - Il-lena to duże miasto i pewna śliczna prowincjuszka bez trudu mogła się w nim zapodziać. W stolicy jest wielu niemiłych ludzi, nie sposób zgadnąć, który z nich przyłożył do tego rękę... - Mężczyzna zaśmiał się.

Śmiech ten przetoczył się po sali, odbił od ścian i powrócił. Efekt zdumiał nawet samego mężczyznę.

Kahe, przywykły do większej powściągliwości, skrzywił się wzgardliwie, z niezadowoleniem.

Słaby mag... w dodatku Ogień. Doskonale, o ile mi wiadomo, piąte prawo magii nadal pozostawało w mocy, a to znaczyło, że bez trudu zdołam stłumić słabą moc tego samego żywiołu. Zwłaszcza w jej werbalnym przejawie.

- Jeśli będziesz mądrą dziewczynką, moja kochana, to nic złego ci się nie stanie. - Zabójca pospiesznie uspokoił



naiwną ofiarę, uśmiechając się jak Jego Wysokość w czasie obchodów święta bogini płodności i wiosny.

W oczach południowca pojawił się sceptycyzm, który całkowicie podzielałam. Puszczanie wolno takiego świadka jak ja byłoby głupotą. Większą głupotą byłoby jedynie zaprowadzenie go do Straży i przekazanie śledczym. Rzecz jasna, miła i naiwna Madeleine nie mogła nie uwierzyć w tak szczere zapewnienia, chociaż Rinnelis Tyen swędziła rękę, żeby cisnąć jakimś mocniejszym zaklęciem. Praca w Straży nie sprzyjała ufaniu ludziom i przedstawicielom innych ras rozumnych, za to wyrabiała szybkość i nawyk atakowania na wszelki wypadek. Bardzo pożyteczne cechy, tak w życiu zawodowym, jak osobistym.

- Zgadza się, ine - nieludź potwierdził to jawne kłamstwo. - Jeśli zrobisz to, co powiemy, wkrótce wrócisz do domu.

Oczywiście południowiec nie zadowolił się wyłącznie namowami. Niespodziewanie zawisł nade mną jak kat nad dobrą duszą i zaczął nucić coś cicho w kaheily. Melodia była ładna, słowa również: coś o nieznanym, która nawet we śnie nie będzie należała do swojego ukochanego, o gwiazdach i drzewach podpierających nieboskłon, jednak wykonanie pozostawiało wiele do życzenia. I kto powiedział, że wszyscy kahe pięknie śpiewają? Ten konkretny nieludź strasznie fałszował - może właśnie dlatego zaklęcie podporządkowania zupełnie na mnie nie zadziałało. Jednak posłusznie zrobiłam oświałą minę i mój szklany wzrok upewnił kahe, że jest doskonałym magiem. Aha, „smycz”; miła i pożyteczna rzecz, jeśli odpowiednio się ją nałoży. Nie tylko tłumi wolę obiektu, ale również ściąga go z powrotem w razie potrzeby.

Przygotowałam „Feniksa” - na wszelki wypadek. Ognisty mag jest zawsze najbardziej narażony na zaklęcia swojego żywiołu, taka jest odwrotna strona mocy. Przed tym „ptaszkiem” można było uciec najwyżej na tamten świat. Hm... Nie, to zbyt radykalny wariant. Z tym czarnym należało szczerze porozmawiać, może nawet z użyciem ciekawych akcesoriów, doprowadzających szczerze do granic możliwości. Poza tym śledczych w akademii uczono również, gdzie i pod jakim kątem należy wbijać igły oraz po co wymyślono dyby. Dobrze, żeby nie stracić interesującego rozmówcy, zamiast „Feniksa” weźmiemy „płomieniego motyla”, który na pewno nie spowoduje śmierci.

- Wiesz, gdzie znajduje się wydział Białego Sadu? - spytał mnie Martin. W pierwszej chwili pytanie wydało mi się idiotyczne, nasz wydział w Illinie znał każdy żebrak, a potem przypomniałam sobie, że jestem nietutejsza i odpowiedziałam pokornym skinieniem.

Blondyn z zadowoleniem skinął głową.

- Pójdiesz tam, powiesz, że chcesz rozmawiać ze śledczą Rinnelis Tyen i musisz się z nią spotkać osobiście. Zaprowadzą cię do gabinetu...

- Weźmiesz to - przerwał mu kahe, wsuwając mi w rękę niewielki medalion w kształcie zwiniętego w kłębek kota.

Teleport? Sądząc po aurze, tak. Słaby, ukierunkowany i chyba nastrojony na tych dwóch. Czyżby liczyli, że załatwią mnie tylko we dwóch? Jakie asy musieliby mieć w rękawach? Hm, lepiej nie ryzykować, wezwę laro Raena w ramach wsparcia. Może się okazać, że na tego kahe też ma jakąś krwawą zemstę, jeśli nie ten-hi, to chociaż sae-hi.



Arejn?!

Zdumienie Riencharna nie miało granic. Co robi Saret Arejn, pies Domu Torres, w środku Illeny, w dodatku z dwójgiem ludzi? Przecież nie zjawił się tu z wizytą! Obok Sareta szedł mężczyzna i młoda dziewczyna, ich twarze Aen nie widział, ale kobieca postać zwróciła jego uwagę. Skromna szara suknia, wyglądająca wyzywająco w tej dzielnicy, długie ciemnokasztanowe włosy splecione w gruby warkocz, oszczędne ruchy, postawa godna królowej... Żmija?! To niemożliwe... W takim miejscu, w takim towarzystwie? Ale nie, kahe nie pomyliłby jej z nikim. Tylko co, do demona, dijes śledcza robi obok tego podejrzanego kahe i mężczyzny o wyglądzie kryminalisty? Czyżby sprawiedliwa i nieprzekupna dijes Rinnelis postanowiła odstąpić od swoich zasad? Już sama myśl o tym wydała się Riencharnowi tak dzika i niewiarygodna jak deszcz żab...

A potem dziewczyna odwróciła się do niego i południowiec zobaczył kompletnie obcą twarz o wąskich oczach, prostym nosie (nos dijes Rinnelis był nieco zadarty), ciężkim podbródku, dużych, pulchnych ustach i niskich kościach policzkowych... Ta twarz nie miała nic wspólnego z twarzą Żmii! Ale przecież nie mógł się tak pomylić! A może mógł?

Nieznajoma znów odwróciła się plecami.

Nie, nie mylił się. To Tyen i nikt inny, nie ma najmniejszych wątpliwości. Figura Rinnelis Tyen była zbyt charakterystyczna, żeby można było pomylić ją z kimś innym, nieważne, jaką maskę założy.

Czyli drogiej dijes chwilowo nie odpowiadało własne

oblicze i postanowiła skryć się za iluzją. Nie, nie iluzją... zakłęcie było stabilniejsze i bardziej złożone, coś w rodzaju maski, może nawet lustra.

Zdrowy rozsądek sugerował, że Żmija nie mogła złamać swoich zasad, sam pomysł był idiotyczny. W końcu to Żmija - zimna i obojętna, nieprzekupna i sprawiedliwa. Tyen nie poszłaby na smyczy przestępców. Za żadne pieniądze.

Czyli Arejn ma poważne kłopoty w postaci jednej ludzkiej dziewczyny sfiksowanej na punkcie własnej pracy. Kto raz wpadł w szpony dijes śledczej, ten uwolni się z nich dopiero na tamtym świecie. Czasem ta cecha dijes Rinnelis budziła nieklamany podziw Riencharna, zwłaszcza gdy pomyślał, co Żmija mogłaby zrobić z tym wyrodkiem z Domu Torres. Jeśli przypuszczenia dijes śledczej są słuszne, to bardzo możliwe, że właśnie Arejn Saret był współnikiem zabójcy Sofii. Biorąc pod uwagę stosunki łączące Dom Erris i Dom Torres, prawdopodobieństwo takiego scenariusza było bardzo duże. Przeciwnicy Erris nigdy nie przebierali w środkach - zbyt potężny był główny Dom, a jego przywódcy zbyt rozsądni i stanowczy, poczynając od legendarnej prarodzicielki Ajlis.

Riencharn miał ogromną ochotę śledzić tę dziwną trójkę. Kahe byli ciekawscy jak koty i często cierpieli z tego powodu. Przecież nie mógł im pozwolić pójść nie wiadomo dokąd! W końcu istniało ogromne prawdopodobieństwo, że to ten drań Arejn... No i nie należało zostawiać dijes śledczej samej - może nie poradzić sobie z tym ludzkim najemnikiem i kahe, który co prawda nie był Dłonią Śmierci, ale pod względem siły i szybkości przewyższał większość ludzi. Wewnętrzny głos złośliwie przypominał Aenowi, że dijes Rinnelis, o której zdrowie tak się martwił, poradziła sobie nawet z nim samym, jednak kahe postanowił

zignorować podobne insynuacje, zwłaszcza wygłaszane przez jego własną podświadomość.

Riencharm wybrał osobliwy sposób śledzenia podejrzanej trójcy: wędrowkę po dachach. W tym celu musiał wejść po rozwalonych schodach dwa piętra wyżej, wyjść przez okno strychu na gzyms i wciągnąć się na dach. Dachówki były tak niepewne, że Riencharm zdążył kilkakrotnie podziękować Przodkom, że właśnie jego dusza znalazła się w ciele przedstawiciela Narodu Słowa. Człowiek już dawno w takich warunkach skręciłby kark, kahe zaś poruszał się z kocią zwinnością.

Gołębie, od dawna traktujące stary dach jak swoją własność, spoglądały z niechęcią na intruza, który zjawił się w ich posiadłości. Kahe zaś bez ceregieli przeganiał bezczelne ptaszyska, które nie ruszały się z miejsca nawet wtedy, gdy niemal je nadeptywał. Kilka razy mężczyzna omal nie potknął się o te natrętne stworzenia.

Riencharm nigdy nie lubił gołębi.

Żałował, że nie zdoła obejrzeć finału spektaklu urzędowego przez dijes Tyen. Bardzo chciałby zobaczyć wykrzywioną wściekłością twarz Sareta Arejna. Aen nie miał najmniejszych wątpliwości, że Żmija zwycięży. Wygrywała nawet wtedy, gdy wszyscy byli przeciwko niej.



Saret Arejn był inteligentnym i cynicznym mężczyzną - wystarczająco inteligentnym i cynicznym, aby bez słowa protestu wyruszyć do ludzkiego państwa z rozkazem od przywódcy Domu. Ktoś inny na jego miejscu pewnie by się opierał długo i żarliwie. Oczywiście Saret przestrzegał tradycji jak każdy kahe, ale czemu nie miałby odrobinę od

niej odstąpić? Oczywiście na chwałę Domu Torres i na osobistą prośbę przywódcy. Właśnie z powodu tej swojej elastyczności noszący zaledwie niebieski kolor obracał się w kręgach możnych. Już samo zbliżenie się do prawdziwej potęgi było niewiarygodnie pociągające. A przecież kto wie... Może dije Erche będzie z niego tak zadowolony, że pozwoli mu się ożenić z dziewczyną lepiej urodzoną niż Saret i uda mu się zmienić barwę przynajmniej na zieloną? Cuda się zdarzają!

A do tego cudu potrzebne jest głupstwo: zimny trup Riencharna Aena i członkowie Rinnelis Tyen, skoro zbyt natrętnie pęta się pod nogami. Wstrętna dziewczucha tyle razy pokrzyżowała Arejnowi szyki i w dodatku ma coś przeciwko temu, że on chce ją zabić! Naślani zabójcy albo wracali z niczym, albo wręcz w kawałkach. Chociaż czego innego można się było spodziewać po prymitywnych ludziach? Te istoty zostały najwyraźniej stworzone w chwili, gdy bogowie przeżywali kryzys twórczy.

Kontakty z podejrzanymi śmiertelnikami, na przykład z „sowami”, były dla kahe normalną rzeczą. Zdarza się przecież, że trzeba usunąć kogoś, kto przeszkadza Domowi w osiągnięciu celu. Rzecz jasna, śmiertelnicy nie nadają się do walki z kahe, nie ten stosunek sił, ale żeby uciszyć zbyt wyrywną gadzinę, są w sam raz.

Cieszyło go to, że trafił mu się niezbyt tępy śmiertelnik, który poważnie potraktował powierzone mu zadanie. No cóż, dobrze mu za nie płacono. Ponadto ten najemnik zdołał przeżyć w bezpośrednim starciu z Tyen, a to przecież nie było łatwe.

Jednak wciąganie w całą sprawę osób postronnych, wziętych z ulicy kahe uważał co najmniej za nieostrożność. Chociaż tę ino faktycznie można zarżnąć gdzieś w ciemnym

zaułku jak owcę. Miałby żałować ludzi? Tych tępych zwierząt, zdolnych tylko żreć i się rozmnażać? Saret nie uważał się za okrutnika, ale przecież nikt nie ma pretensji do rzeźnika, który zabija bydło dla mięsa? Ani do tego, kto poluje na wilki, prawda? A czy ludzie byli w czymkolwiek lepsi? Zwłaszcza że Arejn zabije dziewczynę dla dobra Domu...

Człowieczka szła spokojnie, nawet nie próbując wyrwać się z mocnego uścisku Martina, jedynie mrugała oczami, jakby usiłowała się nie rozplakać. Zrobiło mu się trochę nieprzyjemnie.

- Nie pękaj, mała - uśmiechnął się „sowa”. Uśmiech wyszedł raczej niemiły, ale ine chyba tego nie zrozumiała, bo również się uśmiechnęła, chociaż wargi jej drżały.

Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zwołać kogoś na pomoc. Głupia.

Człowieczka ścisnęła w dłoni medalionik w kształcie kota. Była to zwykła błyskotka, którą można kupić na każdym rogu za kilka miedziaków, ale na to tandetne świecidełko nałożono potężne czary. Zakłęcie rzucił sam dije Erche, co wykluczało prawdopodobieństwo błędu.

- Widzisz gmach Straży?

Szary, przysadzisty gmach sterczał po drugiej stronie placu niczym spróchniały pień. Dziewczyna skinęła głową.

- Wejdiesz tam i oznajmisz, że musisz się widzieć ze śledczą Rinnelis Tyen. Zapamiętałaś imię?

Skinienie.

- Jeśli nie będzie jej na miejscu, poczekasz, rozumiesz?

- Tak - szepnęła dziewczyna, przygryzając wargę.

Żeby tylko nie pomyliła się ze strachu! Ale wykorzystanie kogoś mądrzejszego i odważniejszego byłoby niebezpieczne, ktoś taki mógłby intuicyjnie wyczuć zakłęcie

posłuszeństwa i zrzucić je. Saret nigdy nie był wybitnym magiem, od jego czarów można się było uwolnić bez większego wysiłku.

- Powiesz, że chcesz porozmawiać z nią sam na sam na temat sprawy, którą się teraz zajmuje, i że masz dla niej pewne informacje. Gdy zostaniecie tylko we dwie, dasz jej ten medalion, a przedtem naciśniesz to wgłębienie. Widzisz tutaj taki dołeczek? Naciśniesz go. Palcem. Nie teraz, głupia! Dopiero wtedy, gdy będziesz podawać medalion Rinne-lis Tyen! Naciśniesz i oddasz jej to. Musi to wziąć do rąk!

- Ee... do obu rąk? - Ine zamrużyła z tępą miną.

- Może być do jednej! - wybuchnął kahe. - *The na roht!* - zaklął ze złością.

- A jak nie weźmie?

- To nie wrócisz do domu. - Kahe wyszczerzył zęby w ohydny uśmiech. - A więc postaraj się, żeby wzięła. Potem wyjdiesz z wydziału i wrócisz do tawerny, jasne? I nikomu w Straży nie wspominaj o nas. Jak powiesz choć słowo, nie doczekasz jutra, znajdę cię nawet pod ziemią, ine.



Słuchając tych instrukcji, nerwowo przygryzałam wargi, nie pozwalając, by profesjonalny uśmiech wypłynął mi na twarz. Śmieszyło mnie to wszystko. I to bardzo. Ale przecież nie mogłam roześmiać się prosto w twarz kahe, który tak precyzyjnie udzielał mi wskazówek co do zamordowania mnie samej. Trzeba będzie sprawdzić, co tam południowiec naszeptał nad tym świecidełkiem. A może nie on? Czulałam przez skórę, że nie były to przeciętne magiczne sztuczki, a jakoś nie zauważyłam w tym kahe wybitnego



talentu. Ciekawe, z jakiego Domu pochodził? Czyżby jednak Torres? Idę o zakład, że tak. Albo był najemnikiem pracującym dla Domu Torres.

Do tego jeszcze nazywał mnie „ine”, i to takim tonem, że brzmiało to jak „dziewka”. Laro Riencharn zwracał się do mnie wyłącznie „dijes”, z powściągliwą godnością, nie poniżając ani mnie, ani siebie.

Całe to spotkanie z moimi własnymi zabójcami jedynie mnie rozbawiło, nie czułam najmniejszego zagrożenia. Nawet teraz mogłabym bez problemu uciec, może nawet zabijając ich obu... Ale nie wolno zapominać, że łatwiej wyciągnąć informacje z żywych niż z trupów. Poza tym moją mocną stroną były ogniste zaklęcia bojowe, a po nich praktyki nekromanckie nie zawsze są możliwe - specyfika żywiołu. Będę musiała użyć czegoś mniej radykalnego. Na przykład przemieńców. Skoro laro Raen grał mi na nerwach - to niech teraz wynagrodzi mi straty moralne. A może to ja działałam mu na nerwy? Tak czy inaczej, czarny kahe był interesujący dla nas obojga.

Moją czujność wzbudziło jedynie wrażenie, że czyjeś spojrzenie wbija się w moje plecy. Wprawdzie nie wyczułam w nim wrogości, ale drażniło mnie i przez cały czas walczyłam z pragnieniem odwrócenia się i sprawdzenia, kto aż tak się mną interesuje.

Kahe i Martin chyba niczego nie poczuli. Dziwne.



Riencharn z lekkim zdumieniem przyglądał się z wysokości dwupiętrowego budynku, jak Arejn tłumaczy coś dijes Rinnelis. Aen był już całkowicie pewien, że Saret nie ma bladego pojęcia, kto przed nim stoi: traktowanie dijes

śledczej jak nierozumnego dziecka było nie tylko głupie, ale i niebezpieczne. Żmija nie znosiła, gdy ktoś kwestionował jej inteligencję.

Po dość długiej dyskusji dijes Tyen spokojnie poszła do własnego biura; Arejn i Martin przyglądali jej się dopóty, dopóki dziewczyna nie zniknęła w drzwiach budynku.

Na Przodków, jak można być takim idiotą? Zgarnąć z ulicy dziewczynę, która nie wiadomo skąd się tam wzięła, zastraszyć ją i zmusić do współudziału w zabójstwie?! Hm, a może to wcale nie było takie głupie rozwiązanie? W dodatku tanie i idealne do zatarcia śladów. Jeśli ciało nieznannej dziewczyny można by jeszcze jakoś powiązać z morderstwem dijes śledczej, to nikt nie wpadłby na to, że za tymi oboma zabójstwami stoi Saret Arejn, a za nim z kolei nieznaną ludzki wielmoża. W sumie niezła myśl... Chociaż z drugiej strony człowieczka mogłaby zdobyć się na odwagę i opowiedzieć o wszystkim w Straży, jeśli nawet nie samej dijes Tyen, to jakiemuś strażnikowi. No tak, ale na taki wypadek istnieją zaklęcia posłuszeństwa, a magia werbalna jest niemal niezauważalna dla ludzi.

Ale tym razem dije Arejn miał wyjątkowego pecha. No bo kóż by się spodziewał, że pod postacią szarej myszki po mieście kręci się dziewczyna, którą Saret ma właśnie zabić? Czasem los płata złośliwe figle, a tym razem narzędziem w jego rękach była dijes Rinnelis. Śledcza na pewno obedrze ze skóry tego kahe - a Riencharn bardzo chciałby to zobaczyć.

„Nie znoszę chodzić po dachach” - pomyślał ponuro Aen, idąc za swoim pobratymcem.



Gdy weszłam do budynku w cudzej masce, ochroniarze popatrzyli na mnie ze zdumieniem, ale nie próbowali mnie zatrzymać - ochrona budynku, która tak idealnie nie zadziałała, gdy była niezbędna, teraz funkcjonowała stabilnie i wyraźnie informowała strażników, że mają przed sobą Rinneleis Tyen we własnej osobie. Współpracownicy woleli nie pytać mnie o cokolwiek, unikając tym samym kłopotów. I słusznie, nie miałam teraz głowy do opowiadania bajek, a nie chciałam mówić prawdy.

Zdjęłam maskę i ukazałam światu swoją niebyt zadowoloną twarz. Ochroniarze upewnili się na własne oczy, że ja to faktycznie ja, uspokoili się całkowicie i spróbowali ukryć wyświechtaną talię kart. Wolałam nie odgadywać, na co grali - im niższe stanowiska, tym bogatsza fantazja.

Szłam do zniszczonego gabinetu, którego nie miałam ani sił, ani czasu doprowadzić do porządku. Laro kahe życzy sobie, żebym zjawiała się na spotkanie? Z ogromną przyjemnością - ale nie sama. Myślę, że laro Raen zgodzi się dotrzymać mi towarzystwa, a może nie tylko on? Bogowie wiedzą ilu przemieńców ma pod sobą; nadal nie udało mi się określić granicy uprawnień, którymi wszechpotężny Trzeci Lord obdzielił swojego krewnego.

Chyba na mojej twarzy musiał pojawić się wyjątkowo nieprzyjemny wyraz - napotkany po drodze laro Daen niespodziewanie wyjąkał: „Przepraszam” (nie wiadomo za co) i skoczył w pierwsze lepsze drzwi - za którymi niefortunnie znajdowała się akurat damska toaleta.

A ja myślałam, że to mnie nerwy siadają.

Gabinet powitał mnie swądem spalenizny - ciekawe, czy ten ohydny zapach kiedykolwiek wywietrzeje, czy będzie

prześladował mnie do końca życia? A przecież najprawdopodobniej umrę w tym gabinecie - należę do tych śledczych, których z pracy wynoszą.

Otworzyłam okna na oścież, jednocześnie stawiając „tarczę” - zdarzało się już, że w otwarte okna czymś rzucono, i to bynajmniej nie kwiatami. Do gabinetu wpadło ciepłe letnie powietrze i mój prywatny grobowiec stał się mniej ohydny. Z ulicy napłynął zapach świeżego chleba z pobliskiej piekarni i aromat kwiatów sprzedawanych przez handlarki. Lubiłam lato właśnie za te zapachy, i jeszcze za grające cykady, które słychać w ogrodzie rodziców. Pamiętam, że pewnego lata ja, Ler i Tarn prawie nie wychodziliśmy z ogrodu, siejąc spustoszenie na grządkach z truskawkami i w krzakach agrestu.

Rozdrażniona pokręciłam głową, przeganiając te wspomnienia. Jeszcze mi tylko melancholii brakowało.

- Laro Raenie... - wezwałam telepatycznie przemienca.

Jeszcze niedawno, gdy potrzebowałam pomocy, zwracałam się wyłącznie do Lera i Tarna, teraz musiałam korzystać z usług przemienca - nie miałam innego wyjścia.

„Lare Rinnelis? - usłyszałam kilka sekund później. Przed moimi oczami pojawiła się zadowolona twarz laro kae Orona. - Tylko proszę nie mówić, że się pani za mną stęskniła!”

- Nie za bardzo - odparłam. - Niech mi pan powie, czy w Domu Torres nie ma pan kogoś, na kim musi pan wyrzucić zemstę?

Przemieniec zastanowił się. „Coś się stało?”

- Pojawiła się możliwość dopadnięcia jednego z przedstawicieli tego Domu. Bardzo możliwe, że ma coś

wspólnego ze sprawą Riencharna Aena - oznajmiłam, nie wdając się w szczegóły. Teraz najważniejsze, żeby Rys się zgodził, szczegóły omówimy w czasie spotkania.

„Skąd tak intrygujący wniosek?” - nieludź próbował zbadać grunt.

- Ten czcigodny laro planuje mnie zabić! - prychnęłam.

„Z każdym dniem staje się pani coraz bardziej popularna, lare” - rzucił drwiąco mężczyzna.

- Tak, nawet mnie to niepokoi...

„I co pani proponuje...?”



Riencharn Aen ulokował się wygodnie na jakimś starym strychu. Przez okienko widać było wejście do domu, w którym zniknęła Arejn i jego towarzyszy. Riencharn żałował, że nie może podejść bliżej, ale przecież nie miał prawa umierać, dopóki nie pomści śmierci ukochanej. Gdyby nie ta święta dla południowców zemsta, mężczyzna spotkałby się z pobratymcem twarzą w twarz i spróbował urwać mu głowę.

Mniej więcej przez godzinę nic się nie działo, a potem... Potem kahe szczerze pożałował, że demony przyniosły go akurat tutaj. Niczym duchy chaosu na środku ulicy pojawili się przemienicy. Sześciu. I wszyscy w fioletowych strojach. Aen rozpoznał Raena kahe Orona, prawą rękę Trzeciego Lorda we własnej osobie. Na Przodków, a jeśli te stwory go wyczują?! Nie miał ochoty walczyć z szóstką zwierzołaków; dwóch czy trzech to jeszcze, ale sześciu?!

Po zastanowieniu Aen uznał, że w ich zjawieniu się nie było nic dziwnego. To oczywiste, że dijes ich w to

wciągnęła - potrzebuje wsparcia siłowego, a we własnym wydziale pewnie nie ma kogo prosić o pomoc. W dodatku obawy Riencharna okazały się bezpodstawne: przemieniecy byli zbyt zajęci dije Saretem, żeby sprawdzać okoliczne budynki, a i sam kahe siedział za daleko, by mogli wyczuć jego zapach.

A potem zjawiała się dijes Rinnelis w tej samej szarej sukni, w której Riencharn widział ją razem z Arejnem i podejrzanym człowiekiem. Czyli nie mylił się, to rzeczywiście była ona!

„No, dije Sarecie, zaraz zobaczymy, co z ciebie zostanie po tym spotkaniu! - pomyślał kahe ze złośliwą radością. - I mam nadzieję, że to, co wyśpiewasz, pomoże dijes Tyen znaleźć zabójcę”.

Co do tego, że dijes Rinnelis nie zawaha się użyć specjalnych środków perswazji, południowiec nie miał wątpliwości. Wiedział, że pod tym względem śledcza nie ma sobie równych. A nawet jeśli Tyen nie zdoła samodzielnie zmiękczyć zatrzymanego do odpowiedniego stanu, to kahe Oron pomoże jej w tym z radością. Riencharn pamiętał, że kiedyś Arejn pokrzyżował szyki rodowi kahe Oron, stając się wrogiem całego klanu Rysiów za jednym zamachem. Przemieniecy byli na niego tak źli, że każdy otrzymał prawo do ten-hi, i to bez zachowania konkretnej kolejności. Zwykle tak załatwiano sprawę z wrogiem na tyle niewygodnym, że nie należało zostawiać go przy życiu, i nie dość rodowitym, by pojawiła się konieczność długiej rytualnej zemsty. Tak jak z osą - może ją zabić każdy, kto ją zobaczy.

Nieliczni przechodnie zerkali w napięciu na grupę nieludzi, jednak widok mundurów Straży powstrzymywał od zadawania pytań. Trzeba przyznać, że Linch kahe Oron to spryciarz, jakich mało, nie tylko sam wciśnie się wszędzie

bez mydła, ale jeszcze wciągnie za sobą, kogo zechce. Żeby umieścić w Straży taką ilość krewnych...

Przemieńcy krążyli wokół domu, zwinni i niewidoczni w zapadającym zmierzchu. Kahe zazdrościł im wirtuozerii, chociaż wiedział, że to dar krwi, który rasa ta otrzymała, przychodząc na świat. Riencharm od lat starał się osiągnąć taki poziom lekkości ruchów, ale nawet się nie zbliżył do przeklętych zwierzołaków.

Ładnie sobie radzą, dranie! Zastanawiają się, jak wejść do budynku, robiąc jak najmniej hałasu. Bystrzaki. Dijes Tyen nie pcha się do przodu, obserwuje manewry swoich sprzymierzeńców. Słusznie, w czasie szturmów z człowieczki nie będzie żadnego pożytku. Z tego, co pamiętał, dijes nie była zbyt dobra w posługiwaniu się mieczem.

Kilka minut później, wyraźnie na sygnał, Rysie skoczyli w stronę budynku. Każdy wybrał swoją drogę: jedni wchodzili drzwiami, inni skakali przez okna... Ale chyba nigdzie nie wybili szyby. Kahe miał szczerą nadzieję, że przemieńcy wzbogacą się o całe mnóstwo dziurek w swoich zapchlonych skórkach.

Rinnelis Tyen z zainteresowaniem przyglądała się działaniom swoich sprzymierzeńców, a potem nagle zniknęła.

„Powodzenia, dijes” - pomyślał kahe.

Mimo wszystko bardziej zależało mu na sukcesie dijes śledczej niż na zwycięstwie Arejna.



Saret Arejn krążył zdenerwowany po zagraconym pokoju i przeklinał tępotę tej idiotki, którą wysłał do Żmii. Co można tam robić tak długo?! Postanowiła zjeść obiad z Tyen?

Och, ta głupia inie będzie długo umierać, skoro nie jest w stanie wykonać nawet tak prostego zadania!

Od czasu do czasu zatrzymywał wzrok na pentagramie wykreślonym na środku pokoju. Białe linie, wyrysowane na podłodze kredą, od czasu do czasu rozjaśniały białe rozbłyski. Kahe uśmiechnął się zadowolony: to znaczyło, że pentagram działał. Chodziło o to, żeby przebić słabe zakłęcie przeniesienia i uczynić punktem końcowym teleportacji sam pentagram. Niełatwo będzie z niego wyjść, nie na darmo kahe męczył się nad nim dwa dni. Wszystko musiało być zrobione bardzo dokładnie.

Teraz pozostawało już tylko czekać, aż człowieczka znajdzie się w pułapce - wtedy zabiją ją bez problemu. Żeby tylko ta głupia inie zrobiła wszystko jak należy!

Szkoda, że on sam jest tak słabym magiem. Gdyby był prawdziwym mistrzem, nie musiałby tracić czasu na wyjaśnianie dziewczynie, czego od niej chce. Mógłby za pomocą Słowa umieścić rozkaz w jej głowie, jednocześnie wydając polecenie popełnienia samobójstwa po wykonaniu zadania. Niestety, kahe nie umiał zbyt dobrze zaklinać.

- Gdzie ona jest? - warknął południowiec, chodząc po pokoju. Zabójca spojrział czujnie na swego najemcę, ale nic nie powiedział. Nie znał odpowiedzi na to pytanie, które najwyraźniej było retoryczne.

- Tak właściwie to tutaj - dobiegł z ciemnego kąta spokojny kobiecy głos.

- Co?! - Kahe odwrócił się gwałtownie w tamtą stronę. Mógłby przysiąc, że jeszcze chwilę temu nie było tu nikogo oprócz niego i „sowy”. Nie poczuł żadnej magii... Jakim cudem...?

- Tak natrętnie domagał się pan spotkania, laro, że odmowa byłaby dużą nieuprzejmością.



Kobieta, która zjawiła się nie wiadomo jak i skąd, zrobiła kilka kroków do przodu i światło, z trudem przebijające się przez brudne okna, oblało jej postać. Saret od razu zrozumiał, że to właśnie owa słynna Rinnelis Tyen, którą miał zabić. Stała przed nim dziewczyna średniego wzrostu, o niepozornej urodzie, ubrana w zwykłą szarą sukienkę. Tylko spojrzenie miała zimne i twarde, jak prawdziwa żmija.

I postawa - jakby połknęła kofek. Majestatyczna i martwa. Tak nienaturalnie mogą wyglądać jedynie królowe, a i to wyłącznie na wyjątkowo uroczystych ceremoniach. Dla zwykłego śledczego taka poza to luksus.

- Jak rozumiem, wie pan, kim jestem. Wobec tego niech pan będzie tak uprzejmy i przedstawi się - zaproponowała śmiertelniczka, widząc, że żaden z mężczyzn - ani osłupiały kahe, ani wstrząśnięty Martin - nie zareagował na jej przybycie.

„No na co ja czekam? To prawda, że jest wolna, ale przecież jest tutaj! Co mogłaby przeciwstawić mnie i Martinowi? Nic! To tylko kobieta, ludzka kobieta! Pył pod moimi nogami!”

Arejn zaatakował błyskawicznie, jakby przeprowadzał daliss, wkładając w cios całą swoją siłę, mistrzostwo i wściekłość. Nie zdążył nawet pojąć, kiedy w jego rękach pojawił się miecz, wszystko stało się zbyt szybko. Chwilę temu stał speszony, przyglądając się tej dziewczce, która zjawiła się tu jakby znikąd, a teraz biegł ku niej z obnażoną klingą.

Tyen gwałtownie wystawiła przed siebie rękę. Jej usta poruszyły się - nie dosłyszał, co powiedziała, w każdym razie kahe wpadł na niewidoczną ścianę i z jękiem zsunął się po niej w dół.

Gadzina...

A przecież wiedział, że Tyen jest magiem, i to niezłym magiem, skoro nadal żyje! Ludzka magia, prymitywna i toporna, w walce była, niestety, bardziej efektywna niż śpiewne heiliane - Słowa, których używali kahe.

Zanim kahe zdołał ochłonąć i zaatakować ponownie, Rinnelis Tyen poruszyła dłonią tak, jakby strząsała krople wody - ciało południowca zalała fala palącego bólu. Czego użyła, Saret nie wiedział, skulony nie zwrócił nawet uwagi na łoskot, który rozległ się tuż obok.



**W**spaniała jak zawsze, lare - rzekł ze złośliwym uśmiechem Raen, z przyjemnością patrząc na leżącego na podłodze kahe. Ten jeszcze nie doszedł do siebie po szoku i nie rozumiał, jakiego pecha miał tym razem.

Człowieka, który towarzyszył Arejnowi, już pojмали bracia kae Orona. Najemnik siedział cicho, wyraźnie mając nadzieję, że jeśli będzie zachowywał się potulnie, przeżyje. Próżne nadzieje. Przemieńcy nie potrzebowali żywego świadka, a lare Tyen na pewno nie będzie go bronić. Kiedy zeznania najemnego zabójcy zostaną odpowiednio zaprotokołowane, lare śledczej będzie obojętne, czy człowiek jest żywy, czy martwy.

- Czy to złudzenie, czy rzeczywiście pozwolił mi się pan nieco rozerwać? - w spokojnym głosie Rinnelis nie było słyhać ani groźby, ani rozdrażnienia, wyłącznie ciekawość, choć jej spojrzenie było... podejrzone.

- Proszę o wybaczenie, lare - uśmiechnął się przemieniec - ale tak bardzo chciałem zobaczyć panią w akcji! Tak wiele plotek krąży o pani mistrzostwie, a nigdy nie miałem okazji go oglądać.

Dziewczyna uśmiechnęła się czarująco.

- Wystarczyło poprosić, na pewno nie odmówiłabym panu takiej przysługi.

Raen wzdrygnął się mimowolnie. Ta człowieczka ośmielała się go straszyć?

- Obserwowanie pani w warunkach naturalnych było znacznie bardziej interesujące. Rozumie pani, czystość eksperymentu...

- I jak brzmi werdykt? - przerwała te niezgrabne tłumaczenia lare śledcza, teraz już bez śladu poprzedniego niezadowolenia.

- Dobry refleks. Nienaganna precyzja zaklęć. Duży potencjał magiczny. Godne pozazdroszczenia opanowanie. Jest pani znakomitym magiem, lare, lecz nieumiejętność posługiwania się bronią obniża pani wartość bojową.

Dziewczyna skinęła głową, przyjmując do wiadomości słowa przemienca.

- W moim wieku za późno na naukę fechtunku - westchnęła. - Muszę zadowolić się tym, co mam.

- Ci tutaj - Raen skinął głową w stronę zatrzymanych - nie są pani potrzebni?

Wargi lare Rinnelis rozciągnęły się w drapieżnym uśmiechu. Doskonale uchwyciła ukryty sens pytania: czy są pani potrzebni żywi, czy możemy się z nimi zabawić?

Człowiek cichutko zaskomlał, patrząc błagalnie na Żmiję. Może liczył, że lare śledcza zlituje się nad nim przez wzgląd na przynależność do tego samego gatunku? Za to Saret Arejn nie liczył na nic - dobrze wiedział, w czyich rękach się znalazł i co się teraz z nim stanie. Przemienicy nigdy nie czuli miłosierdzia w stosunku do pokonanego wroga. Zresztą kahe również nie. Pod tym względem byli podobni.

- Potrzebuję jedynie ich zeznań - skrzywiła się wzgardliwie człowieczka, odwracając wzrok od zabójcy. - Nie interesuje mnie, co stanie się z nimi później.

- Doskonale! - ucieszył się Raen, zerkając na swoich pobratymców.

- Co pan ma na tego kahe? Sae-hi? Ten-hi?

- Od kiedy interesuje się pani krwawą zemstą przemieńców? - zapytał kae Oron. - Pani specjalizacja to południowcy.

- Zmieniam priorytety. - Dziewczyna wzruszyła ramionami, wygładzając suknię. - A tak przy okazji, jak nazywa się ten laro? Powinnam chyba wiedzieć, kogo zatrzymałam?

- To Saret Arejn z Domu Torres - prychnął przemieniec. - Nie będzie dłużej sprawiał kłopotu, lare Tyen.

- Rozumiem, że zabieracie tę dwójkę i nie muszę łątać sobie głowy nad tym, co z nimi zrobić? - zapytała.

- Tak, lare, już my się nimi zajmujemy...

- Mam nadzieję, że wszystko w ramach prawa? - Człowieczka popatrzyła na Raena podejrzliwie. Lare Tyen była jak zawsze wierna własnym zasadom i Kodeksowi Straży.

- Proszę nas nie obrażać, lare. Nikt nie będzie się miał do czego przyczepić! - wyszczerzył się Raen.

Już w czym jak w czym, ale w usuwaniu śladów podwładny Trzeciego Lorda był mistrzem - gdyby było inaczej, od dawna by nie żył. Pewnie zginąłby z ręki swego drogiego krewniaka, który miał ciężki charakter i był impulsywny. Wielu się go bało, jednak wszyscy członkowie klanu musieli przyznać, że Linch zawsze działa w interesie Oronów - nawet gdy wysyła na tamten świat kilkunastu przemieńców.

- Laro Oronie, może przedstawi mi pan również swoich towarzyszy? - odezwała się lare Rinnelis.

- Po co to pani? - spytał czujnie przemieniec. Nie miał ochoty podawać Żmii nazwisk swoich krewniaków. Tyen była nieprzewidywalna i przez to podwójnie niebezpieczna. - Śledczy pani klasy nie powinien przejmować się prostymi strażnikami.

- Zasady grzeczności obowiązują wszystkich bez wyjątku. - Człowieczka z uśmiechem przyglądała się wszystkim przemiencom po kolei. - Poza tym przemieniec, który znalazł się w Straży stołecznej, nie może być PROSTY.

Kae Oron poczuł gwałtowne pragnienie uduszenia Żmii - tu i teraz. Skoczyć do niej, złapać ją za gardło, a potem z rozkoszą patrzeć na jej siniejącą twarz, słuchać przedśmiertnego charkotu. Wszystkie instynkty przemienca wołały, że człowieczkę należy zabić, ale mózg usłużnie podsuwał obrazek: niewysoka, szczupła lare Rinnelis ze wzgardliwym uśmiechem patrzy na wijącego się z bólu Arejna. Taak... chyba jednak uduszenie nie jest najlepszym pomysłem. A może trucizna? Krążą plotki, że Żmija zna się na truciznach lepiej niż niejeden zielarz i potrafi wykryć każdą, nawet bezbarwną, bezwoną i pozbawioną smaku. Pewnie to bujda, ale...

Lare śledcza tymczasem uśmiechała się, mrużąc oczy jak najedzony, zadowolony z życia kot. Brakowało tylko mruczenia. Łajdaczka rozumiała rozterki kae Orona i teraz spoglądała na niego z miną zwyciężczyni.

- Mogę powiedzieć, że wszyscy tu obecni są pańskimi krewnymi - dobiła Raena człowieczka.

Zgadza się, byli tu jedynie bracia i kuzyni Raena, kae Werr pozostał w wydziale. Był nie tylko bystry, ale miał również obrotny język, dlatego często zostawiano go, żeby

osłaniał tyły, gdy musieli zniknąć w interesach mających niewiele wspólnego z interesami królestwa Erol.

- I jaki z tego wniosek?

- Niezmiernie szanuję wasz klan - powiedziała znacząco lare Tyen. - Ale na mnie chyba już czas - rzuciła ni z tego, ni z owego i zniknęła w słabym migotaniu.

„Śnieg” - pomyślał przemieniec. To zaklęcie należało do wyższych, wymagało wysokiego stopnia mistrzostwa i było energochłonne. Na stosowanie takiej magii mogli sobie pozwolić tylko prawdziwi mistrzowie, a nawet ich takie zaklęcia wyczerpywały tak bardzo, że przez kilka godzin nie byli w stanie użyć nawet najsłabszych czarów.

„Pozerstwo czystej wody - prychnął kae Oron w duchu. - Ale ładnie wygląda”.

- Niech mnie demony rozedrą! - zawołał Kass, wiążąc ostatni węzeł na sznurze, którym starannie, z sadystyczną przyjemnością krępował kahe. No tak, ten południowy łajdak omal nie wybił chłopakowi kła. - Naprawdę, mógłbym paść przed tą suką na kolana!

- A niby z jakiej racji? - zdumiał się Raen, nie rozumiejąc powodu takiego zachwytu.

- Mogliśmy załatwić ją bez problemu w ciągu minuty i zobacz, pomyśleliśmy o tym dopiero wtedy, gdy lare Tyen zniknęła. Mistrzostwo świata.

„Chyba ma rację. Ja na przykład w ogóle o tym nie pomyślałem”.



Przemieńcy... Nie lubię takiej ilości przemieńców blisko siebie: od razu zaczynają mnie nękać złe przeczucia. Nie zdarzają się dobrzy czy pokojowo nastawieni przemieńcy,

bywają tylko najedzeni - tego nauczyłam się jeszcze w akademii. Oprócz mnóstwa różnych mniej lub bardziej pożytecznych rzeczy wykładano nam psychologię ras, i nawet dość sensownie. Z wykładów starego profesora, który pamiętał zapewne przyjscie bogów, dowiedziałam się, że elfy to najgorsze istoty w naszym świecie, za to orkowie wierni i pewni sprzymierzeńcy, a przemienicy są w ponad połowie zwierzętami i nie należy liczyć na ich ucywilizowanie - głupio liczyć na coś, czego nie ma. Przemienców można zmusić do szanowania człowieka tylko siłą - albo wmówieniem im, że masz tę siłę.

Cóż, wygrałam kolejną rundę mimo liczebnej przewagi wroga udającego sprzymierzeńca. Stalowa żerdź, która tkwiła we mnie przez cały ten demonowy dzień, wreszcie zniknęła, pozwalając mi odetchnąć. Byłam w domu. U mamy.

U mamy, która od razu wybiegła mi na spotkanie - z kotem i laro Taellonem pod pachą. Kot znosił to z godnością, odruchowo próbując odepchnąć mamę łapami, kahe protestował bardziej aktywnie.

- Wiesz już, gdzie się podział twój nieludź? - zapytała mnie zaniepokojona mama, a w znękanych oczach chłopaka dostrzegłam to samo pytanie.

- Nie mam bladego pojęcia. Dzisiaj zupełnie nie miałam do niego głowy.

Ma wydawała się zaskoczona i oburzona moimi słowami, podobnie młodszy Aen. I o ile jego pragnienie ponownego ujrzenia zbiegłego wuja mogłam jeszcze zrozumieć, to emocje mamy stanowiły dla mnie zagadkę. Co ją to obchodzi, gdzie się pęta ten darmozjad? W końcu nieludź nie był jej bliskim krewnym, do demonów!

Może powinnam jej przypomnieć, że starszy kahe, o którego tak się martwiła, planuje usunąć mnie z tego świata?



Ale przecież sama powinna pamiętać o zamiarach laro Riencharna... To jednak prawda, że logika nie jest mocną stroną kobiet - ja byłam jedynie wyjątkiem od tej reguły. I to dość nieprzyjemnym.

Ominięłam komitet powitalny i usiadłam na taborecie w kuchni. Ramiona mi opadły, bezsilnie oparłam się o stół. Zwaliło się na mnie tyle rzeczy naraz... Nawet nie czułam się przygnębiona czy wystraszona, jedynie strasznie zmęczona. Miałam ochotę zwalić się na łóżko i zasnąć - może nawet snem wiecznym? Czemu nie, znalazłam się dość blisko tej granicy, za którą majaczy samobójstwo. Dobrze, że nie jestem egzaltowaną panienką i nie rozwiązuję problemów w taki sposób.

- Zjesz coś? - spytała z westchnieniem mama, patrząc, jak jej jedyne dziecko bezsilnie półoży na stole.

- Tak - mruknęłam. - I poproszę herbatę z cukrem. Z mnóstwem cukru. Jestem zmęczona jak nie wiem co.

- Może jak koń? - laro Taellon popisał się znajomością ludzkich idiomów.

Prychnęłam.

- Nie, właśnie jak nie wiem co. Zmęczona jak koń byłam wczoraj.

Oczy same mi się zamykały. Przedtem nie pozwalałam sobie na zasypianie przy stole. No tak, ale przedtem był tutaj niezapomniany laro Riencharn, który stymulował produkcję adrenaliny w moim organizmie nie gorzej niż głodny wampir spotkany w ciemnej bramie. Przy starszym kahe nie należało tracić czujności. Za to lare Taellona nie traktowałam poważnie, chociaż na pewno był wojownikiem i władał magią. Mama mawiała o takich „cielę” - gdzie się go pociągnie, tam pójdzie.

- Na pewno nic pani nie wie o moim wuju? - Południowiec usiadł przy stole naprzeciwko mnie.

A ten co się przyczepił...?

- Laro Taellonie - westchnęłam, podnosząc na niego wzrok - nie słyszał pan, co powiedziałam? Mówiłam, że nie mam pojęcia, co dzieje się z pańskim wujkiem. Naprawdę muszę powtórzyć to jeszcze raz, specjalnie dla pana?

Chłopak od razu oklapł.

- Ja nie...

- Bardzo mi miło, że pan „nie” - przerwałam mu. - A teraz, na bogów, niech mi pan pozwoli odpocząć.

W liliowych oczach kahe zabłysła uraza. Zachowałam się po chamsku, ale naprawdę mi to wszystko wisiało. Marzyłam tylko o tym, żeby coś zjeść i pójść spać. Miałam dzisiaj zbyt ciężki dzień, żeby jeszcze martwić się o to, jak chronić wrażliwego nieлюдzia od wstrząsów.

- I gdzie cię nosiło tak długo? - spytała mama. - Znow ślęczałaś w biurze nad papierami?

- Miło by było... - skrzywiłam się. - Dzisiaj tańczyłam z przemieńcami.

Ma uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Wiedziała, że w moim języku „tańczyć” oznacza zetrzeć się z kimś, nadstawić karku, a nie wirować w takt muzyki. Właściwie lubiłam tańczyć również w tym drugim, dosłownym sensie... tylko nie miałam z kim. Ani kiedy.

- No i jak?

- To idealni partnerzy... - Uśmiechnęłam się z rozmarzeniem. - Ale tylko bogowie wiedzą, kiedy ze sprzymierzeńców przemienia się we wrogów. I to mnie denerwuje.

Laro Taellon patrzył na mnie z niezadowoleniem i oburzeniem. Jakże różnił się od swojego wuja... Właściwie mieli tak niewiele wspólnego, że to było aż dziwne. Laro Riencharn potrafił wspaniale przyjąć cios i błyskawicznie

zareagować. Był silny, inteligentny, człowiek szanował go i bał się zarazem. A laro Taellon był zupełnie bezradny - w trudnej sytuacji może jedynie opuścić ręce i czekać, aż go uratują. Jego jedyną w miarę samodzielną decyzją było przyjście do mnie. Mazgaj.

Takich ludzi - i nieludzi - traktowałam zwykle jak zwierzątka domowe. Co z ciebie za przedstawiciel rasy rozumnej, skoro nie potrafisz zatroszczyć się o siebie?

- Przemieńcy nie są najlepszymi sprzymierzeńcami - uświadomił mnie ponuro południowiec.

O, myślałby kto, że kahe są najlepszymi przyjaciółmi śmiertelników!

- Jestem zorientowana w specyfice przemieńców, może się pan o mnie nie martwić. - Wzruszyłam ramionami, choć podejrzewałam, że jeśli nieludź się o kogoś martwi, to nie o mnie. Ja potrafiłam się obronić. Albo w porę zrozumieć, że czas uciekać.

Mama postanowiła przerwać naszą dyskusję, zanim przeszłam do subtelnych, acz poniżających tekstów. Świetnie mnie znała i wiedziała, kiedy należy się wtrącić, żeby nie doszło do przelewu krwi. Przede mną pojawił się talerz pełen aromatycznej, zawiesistej zupy.

Sama raczej takich nie gotowałam, właściwie nie wiem czemu. Może dlatego, żeby mieć jakiś powód poza „stęskniłam się”, by częściej odwiedzać rodziców? Uważa się powszechnie, że tacy jak ja nie tęsknią.

- Wspaniała... - powiedziałam, upajając się zapachem zupy. - Naprawdę świetna.

- Nieczęsto pozwalasz się rozpieszczać - uśmiechnęła się mama. - W całej tej sytuacji jest jedna pozytywna rzecz: kolejny dzień mogę cię oglądać w naszym domu.

- Jeszcze wam się znudzi. - Uśmiechnęłam się, biorąc łyżkę.

- Głupi dzieciaku - powiedziała mama, patrząc z rozczuleniem, jak jej duże dziecko rzuca się na jedzenie.

Za takie właśnie słowa ją uwielbiałam i zarazem gotowa byłam się obrazić. Bez względu na to, co osiągnę, ile spraw rozwiążę, na zawsze pozostanę dla niej głupim dzieciakiem. Chociaż czasem się na to godzę.



Lara Tiana patrzyła na córkę ze starannie skrywanym niepokojem. Dziewczyna była wyczerpana i reagowała nerwowo. Jak naskoczyła na tego biednego chłopaka... I to Risz, zwykle tak opanowana, tak uprzedzająco grzeczna! Która nigdy nie krzyczała na innych, zawsze potrafiła trzymać się w ryzach!

To znaczyło, że Risz się denerwuje, i to bardzo. A przecież nie była panikarą, przeciwnie, do ostatniej chwili potrafiła mówić, że wszystko jest w najlepszym porządku, i słuchając jej, nikt nie zarzuciłby jej kłamstwa.

Rinnelis zawsze taka była. Gdy inny dzieciak już dawno ryczałby na cały głos, ona tylko zaciskała zęby i w milczeniu rozwiązywała problem. Przez całe życie Risz skutecznie ukrywała własną słabość. Zbyt dumna, by poprosić o pomoc, i pozornie zbyt silna, żeby jej tę pomoc zaoferowano. Zupełnie jak matka. Lara Tiana była mimo wszystko dumna ze swej zimnej i opanowanej córki, bez względu na to, co myśleli o niej inni.

- Smakuje?

- Wyśmienite - odpowiedziała Risz, nie odrywając się od talerza.

To był swego rodzaju rytuał: matka pytała córkę, czy jej smakuje, a ta odpowiadała, że bardzo. I chociaż lara Tiana doskonale wiedziała, że Rinnelis jest stworzeniem

wszystkożernym i połknie każde świństwo, wychwalając przy tym talent kulinarny swojej rodzicielki, to mimo wszystko za każdym razem pytała - a Rinnelis za każdym razem chwaliła. Takie sprawdzenie więzów rodzinnych.

- Pójdę spać, mamó - oznajmiła Rinnelis, gdy już przełknęła ostatnią łyżkę zupy.

Zawsze jadła szybko, żeby zaspokoić pierwszy głód, nie zwracając uwagi na smak. Kobieta westchnęła ciężko. Najwyraźniej coś przegapiła, wychowując swoje dziecko. Nie planowała przecież wychować stalowej śledczej, chciała, żeby Risz była łagodna i wrażliwa, serdeczna i miła, a wyszło coś takiego, że ratujcie, bogowie!

Lara Tianą kochała córkę, ale jej zachowanie nie raz zdumiewało ją i zaskakiwało. Sama magiczka była bardzo otwarta, mogła urządzić publicznie awanturę, mogła też uszczęśliwić każdego, kto nawinął jej się pod rękę, dlatego racjonalna, beznamiętna lara śledcza stanowiła dla niej zagadkę.

- Idź - zlitowała się nad córką lara Tyen, ze zmęczeniem siadając na taborecie.

Tak, Risz wydaje się czasem straszna i ciężko ją zrozumieć, ale, miłoścy bogowie, lara Tianą tak się o nią bała! Za każdym razem, gdy dziewczyna z nienaturalnym spokojem powiadamiała o swojej kolejnej sprawie, matka miała ochotę po prostu zabronić jej dalszej pracy. W końcu się doigra! Rinnelis była mądra, konkretna i miała niesamowite szczęście, ale fortuna kołem się toczy i w końcu może jej się znudzić opieka nad zbyt pewną siebie dziewczyną! Z kolejnej akcji Risz może zwyczajnie nie wrócić. Albo naślą na nią jakichś zbirów. No przecież już nasylają! I któryś w końcu ją dopadnie...



Na schwytanego kahe wszyscy przemienicy rzucili się z taką zachłannością, jak głodny człowiek rzuca się na kawałek ładnie przysmażonego mięsa. Kahe od czasu do czasu kurczowo przełykał ślinę, ale generalnie się trzymał. Jednak Raen był pewien, że południowiec nie błagał o łaskę tylko dlatego, że wiedział: i tak nie wypuszczą go żywego, więc po co przed śmiercią obciążać się jeszcze hańbą? I tak miał niezbyt czyste sumienie. Sam Raen mógł wyliczyć ze dwa tuziny przypadków, gdy Saret splamił ręce krwią.

- Widzę, że nie cieszy się pan ze spotkania, laro Sarcie? - rzucił drwiąco kae Oron, patrząc na przywiązanego do krzesła kahe.

Oczy przemienica musiały mieć jakiś szczególny wyraz, bo jeniec szarpnął się, próbując uwolnić ręce. Co za głupota, węzły zawiązano bardzo porządnie.

- Od kiedy to przemienicy słuchają ludzi? - odparł tym samym tonem Arejn, zmuszając się do spokoju.

Senowi zdradziecko drgnęła górna warga, odsłaniając potężne kły. Ten łajdak wiedział, w jaki punkt uderzyć. Przemieniec nie znosił śmiertelników zmuszających ich do posłuszeństwa - nawet jeśli to posłuszeństwo było tylko farsą. Kae Werr opanował się pod niezadowolonym spojrzeniem dowódcy i odsunął, tłumiąc pokusę zagryzienia jeńca na miejscu. Kae Oron doskonale rozumiał pobratymca - ten bydlak otruł Senowi rodzzonego brata - ale Arejn był im potrzebny żywy. Na razie. Oron miał ogromną nadzieję, że to „na razie” nie potrwa długo.

- Od czasu gdy zaczęło się to opłacać - wzruszył ramionami Raen. Na niego takie podpuchy nie działały.

Skoro ten drań Saret próbuje ich rozgadać, to znaczy, że ma nadzieję wyjść z tego cało. Błąd. Przemienicy nie wypuszczają zdobyczy, na której już zacisnęli szczęki.

- Czym kupiła cię ta człowieczka? Naprawdę skusiły cię wdzięki tej żmii, Raenie kae Oronie? - kahe nadal próbował wymacać słaby punkt.

Przemieniec skrzywił się wewnątrz od podobnej sugestii. Lare Tyen w charakterze kochanki pociągała go mniej więcej tak samo jak prawdziwa żmija. Saret musiał zgłupieć ze strachu, skoro wygłaszał tak nieprawdopodobne przypuszczenia.

- Skąd myśl, że mój udział w tej sprawie wiąże się z lare Tyen? - Raen postanowił przerwać tę zabawę w oficjalny ton.

Saret zaśmiał się ochryple.

- A jakież to interes mógłbyś mieć w tej sprawie, Rysiu?

- Widzisz, Arejnie, zastawiając pułapkę na drugiego kahe, zapomniałeś sprawdzić, kto jeszcze pragnie zdobyć jego głowę. - Przemieniec uśmiechnął się szeroko, demonstrując wszystkie zęby. - Krew Riencharna Aena należy do Trzeciego Lorda. Ten-hi to święta rzecz i każdy, kto spróbuje przeszkodzić Lordowi, umrze.

Kahe zbladł. Już przedtem miał nietęgą minę, a teraz przypominał nieboszczyka tak bardzo, że przemieniec miał ochotę sprawdzić mu puls.

- Powiniście chyba ogłosić oficjalną listę tych, na których planujecie się zemścić, żeby ktoś przypadkiem nie zabił ich wcześniej - spróbował zażartować Saret. - Nie potrzebuję krwi Riencharna Aena. I nie będę przeszkadzać Trzeciemu Lordowi Rysiów w ten-hi. Możecie mnie wypuścić.

„Co za naiwność! - zdumiał się Raen. - Czy on naprawdę myśli, że wystarczy obiecać nie wtrącać się do naszych spraw, a wszystko skończy się dobrze?! Czy przywódca

Domu Torres miał dobrze w głowie, wysyłając do Erołu właśnie Arejna?”

- To oczywiste, że nie będziesz przeszkadzał - rzekł Ryś, przeciągając słowa. - Ale chyba nie chcesz opuścić nas tak od razu? Nawet sobie nie porozmawialiśmy...

Saret zbladł jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

- Liczę na całkowitą szczerść, Arejnie - dodał Raen. - W końcu jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda?



Tak strasznie chciało mi się spać... Całe moje ciało było jak wypełnione ołowiem. A jednocześnie byłam zbyt spięta, żeby zasnąć. Dlatego po prostu leżałam i wpatrywałam się w ciemność, jakbym mogła znaleźć tam odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Wydawało mi się, że łóżko pod mną kołysze się niczym łódka na rzece. Nieprzyjemne wrażenie.

Bolała mnie głowa i w ogóle całe ciało. I świetnie wiedziałam, że nazajutrz ból nie odejdzie, nawet nie ucichnie. Organizm postanowił w końcu zemścić się za znęcanie się nad nim. Pewnie rano będę musiała wypić jakieś zioła poprawiające koncentrację i zalać się kawą, w przeciwnym razie mogę nie dożyć końca dnia.

Ciekawe, jak daleko zaszła rozmowa laro Raena z pechowymi zabójcami? Przemieńcy tak drapieżnie zerkali na zatrzymanego kahe, że nie zdziwiłabym się, gdyby wkrótce przeniósł się na tamten świat; przemieńcy potrafią zrobić to szybko. Rzecz jasna, nie będzie w tym nawet cienia ich winy - ja na pewno nie będę szukać dowodów, że było inaczej... Ani „sowa”, ani kahe na to nie zasługiwali. Bezcelni!



Jeszcze nikt nigdy mnie tak nie zlekceważył! Podesłać pierwszą lepszą dziewczynę z ulicy, zmusić ją, żeby wciśnęła mi jakąś tam błyskotkę... Chociaż nie, artefakt był akurat w porządku. Wyraźnie zajął się nim mistrz w swoim fachu, na pewno nie ten kahe, który nie potrafił dobrze nałożyć zaklęcia posłuszeństwa, a co dopiero mówić o pracy z przestrzenią. To by znaczyło, że lare Arejn działał z polecenia kogoś potężnego i utalentowanego. Werbalna magia to rzecz bardzo kapryśna i pozwala pracować z tym, co znajduje się w zasięgu wzroku. Medalion wskazywałby, że to akcja na dużą skalę.

A jednak to właśnie na werbalnej magii wpadł pechowy zabójca. Ten, kto zna podstawowe prawa splatania słów, bez trudu zdoła przesunąć docelowy punkt przemieszczenia - choćby o kilka metrów. Nic więcej nie potrzebowałam. Określenie punktu końcowego również nie było trudne - jak się okazuje, pasje z dzieciństwa mogą się przydać w najmniej spodziewanej chwili. Gdybym w swoim czasie nie uczyła się zaklęć południowców w nocy pod kołdrą, dziś byłoby mi znacznie trudniej.

Powoli zaczął nadciągać sen, na razie jeszcze niepewny, drżący, gdy świadomość balansuje na granicy snu i jawy, gotowa w każdej chwili zapaść się w zbawczą ciemność albo rozbudzić zupełnie... Nadal słyszałam, co dzieje się w domu, chociaż dźwięki docierały do mnie jak przez warstwę waty. Kerri kolejny raz zebrze o jedzenie, nienasycony fu-trzak, a laro Taellon też czegoś chce od mojej nieszczęsnej rodzicielki. Nie wiem czego, ale głos ma niezadowolony.

Jeszcze nie śpię...

Naprawdę...

Słowo ho...



- Jesteś tego absolutnie pewien? - zwrócił się Raen kae Oron do zakrwawionego kawałka mięsa rozciągniętego na stole.

A początkowo kahe tak stanowczo odmawiał zeznań... Zapowiadało się, że umrze jak bohater, nie zdradzając tajemnic swojego Domu. Ale bez względu na wszystko Arejn nie był Dłonią Śmierci, a więc ból czuł doskonale, a każdy ma jakieś granice wytrzymałości. Cała sztuka w tym, żeby nie pozwolić ofierze umrzeć z bólu, nim zacznie mówić. Wśród przemieńców takimi mistrzami tortur był Raen i kae Werr, choć kae Oron zwykle wolał nie brudzić sobie rąk. Teraz jednak musiał wziąć się do rzeczy, gdyż Sen mógł w każdej chwili stracić panowanie nad sobą i zabić jeńca. Wprawdzie kahe i tak miał zdechnąć, ale dopiero wtedy, gdy opowie wszystko, co wie i czego nie wie, a kae Werr nie miał wystarczającej siły woli, by wytrzymać tę długotrwałą dyskusję.

- Tak... - wychrypiał południowiec. Już dawno zdarł sobie struny głosowe od krzyku. - Człowiek, przez którego się kontaktowałem, był adiutantem oficera gwardii...

„Niewiele - pomyślał Ryś. - Ale może lare Tyen coś z tego wyciśnie. Choć całkiem możliwe, że to kolejny fałszywy trop”.

Dalsza rozmowa chyba nie miała już sensu. Teraz należałoby napisać kochanemu kuzynowi o pewnych planach Domu Torres, Linch na pewno zdołałby wyciągnąć z tych informacji maksimum korzyści.

- No widzisz. - Kae Oron uśmiechnął się do półżywego południowca. - A początkowo wcale nie chciałeś rozmawiać ze starymi znajomymi! I po co było się tak zapierać...

Obok niego, nieruchomy jak posąg, stał kae Werr. Czekał, czekał, aż starszy spełni jego tajemne pragnienie, a zarazem był przygotowany na odmowę. Ale przecież od dawna służył rodowi kae Oron, jego oddanie było bezwzględne, więc powinno zostać wynagrodzone... zwłaszcza że nie prosił o nic wielkiego...

- Sen, zdaje się, że też chciałbyś coś powiedzieć naszemu gościowi? - zwrócił się do niego Raen. - Zostawię was samych...

Nie mógł już dłużej znieść zapachu tego bydlaka Sareta Arejna. Wychodząc z sali tortur, kae Oron zrzucił zakrwawiony kolet. Od razu złapał go młodszy brat, który zjawił się jak na zawołanie.



Ranek zawsze przychodzi zbyt wcześnie... A przecież od kilku lat byłam skowronkiem, kładłam się spać niemożliwie późno i wstawałam nieludzko wcześnie. Śledczy pod względem wytrzymałości przewyższają słynne krasnoludzkie ciężkie konie pociągowe, zdolne przetaczać wagoniki z węglem niemal przez całą dobę.

Mój poranek zaczął się od ogłuszających krzyków mojej drogiej mamy, która tłumaczyła komuś, że nie ma mnie w domu, używając przy tym niecenzuralnej leksyki. Wszystkie jej „argumenty” były wielopoziomowe. No cóż, wieloletnie kontakty z nastoletnimi czarownicami z każdej kobiety zrobią megierę, a moja mama przypominała anioła jedynie kolorem włosów.

Prócz maminego głosu nie słyszałam żadnych innych dźwięków, z czego wywnioskowałam, że rozmowę prowadzi przez łączność myślową. A więc jednak dobrali się

do mojej rodziny! Będę musiała się dowiedzieć, kto aż tak się mną interesował, że mama przeszła na „sprawy osobiste”. Chociażby po to, żeby ocenić, ile będzie mnie kosztowała jej ekspresja. Nie wszystkich można bezkarnie posyłać do demonów oraz w inne miejsca... Ja wiedziałam o tym od dawna, zaś moja mama była niewybaczalnie obojętna na gniew możliwych tego świata. Co najdziwniejsze, zwykle lara Tianie Tyen wybaczano jej obraźliwe słowa. Nieodmiennie budziło to moje zdumienie i zazdrość zarazem. Ja, żeby nie narazić się na naganę od zwierzchników i nie budzić jawnego niezadowolenia współpracowników (skryte niezadowolenie było nieuniknione), musiałam przestrzegać etykiety w najmniejszych szczegółach.

Gdy upewniłam się, że nikt nie zajmuje już czasu i uwagi mojej mamy, ubrałam się i zesłam na dół.

Laro Taellon wcisnął się w najdalszy kąt kuchni i zerkał na panią domu z wyraźnym lękiem. Świetnie go rozumiałam - gdy mama jest w takim stanie, zawsze mam wrażenie, że trzyma w rękach siekiere i zaraz zacznie nią wymachiwać. Co zrobić, rodzinny temperament, którego na szczęście nie odziedziczyłam - w przeciwnym razie nasz dom pewnego dnia ległby w gruzach.

- Kto? - spytałam tylko.

- Jakaś płotka z tej twojej Straży - skrzywiła się mama. Nie znosiła moich kolegów i muszę przyznać, że pod tym względem się z nią solidaryzowałam.

- A konkretnie? - nie ustępowałam. Zwykle współpracownicy nie szukają mnie z psami, zwłaszcza w domu rodziców.

- Chyba Daen - odparła mama. - Mówi, że nie zwróciłaś mu jakichś raportów.

Raportów...? Czyżby chodziło mu o dokumenty dotyczące ochrony domu Ayrelów? Ale po kiego demona mu te raporty? Przecież to moje dochodzenie, a to znaczy, że zgodnie z instrukcją ma obowiązek przekazywać mi wszelkie informacje związane z tą sprawą, mnie i nikomu innemu! A już na pewno nie musiałam mu niczego oddawać.

Stop. Czy w ogóle coś od niego brałam?

Nikt o tym nie wie, ale czasem jestem roztargniona, chociaż nie afiszuję się z tą niewielką słabością. Śledcza Rinne-lis Tyen to istota idealna, która urodziła się w mundurze, a jej pierwszym słowem było nie „mama”, a „prawo”. W każdym razie tak brzmi oficjalna wersja. A nieoficjalnie często zapominam o różnych rzeczach. Może i tym razem wyleciało mi z głowy?

Przez pięć minut usilnie grzebałam w pamięci, próbując znaleźć jakąkolwiek informację o przywłaszczonych dokumentach laro Daena, kiedy wreszcie mnie olśniło. Dlaczego właściwie niepokoił moich rodziców, skoro mógł skontaktować się bezpośrednio ze mną? Mój drogi kolega musiał mieć powód, żeby porozmawiać z moją mamą. Gdybym jeszcze mogła się domyślić, kto go o to prosił... Mogłabym spytać o to samego Daena, ale wtedy wydałoby się, że nawet jeśli nie mieszkam u rodziców, to jestem z nimi w stałym kontakcie.

Ile musieli zapłacić laro Daenowi, żeby choć na chwilę zapomniał o swoim zabobonnym strachu przede mną?

- Co cię tak wykrzywiło? - zapytała złośliwie mama.
- Myślę - odburknęłam.

Mina mojej mamy była zabójcza: nie każdy miałby odwagę tak otwarcie drwić sobie z najlepszego śledczego Ille-ny.

- A w ogóle to jestem głodna - porzuciłam temat niebezpieczny dla mojej miłości własnej. Jeszcze usłyszę o sobie coś „miłego”... Moje życie jest wystarczająco ciężkie bez maminych uwag.

- Żarłok - burknęła mama z udawanym wyrzutem, stawiając śniadanie na stole.

- Karmiąc swoją córkę, sprzyjasz obniżeniu przestępczości w królestwie - zauważyłam pouczająco, spoglądając z uśmiechem na pełny talerz.

- Zła i głodna pracujesz efektywniej - sparowała mama.

A jednak do wydziału wkroczyłam najedzona i zadowolona z życia, mimo chronicznego już zmęczenia.

W gmachu, który przez te wszystkie lata stał mi się tak bliski, witano mnie z mieszaniną strachu i uwielbienia. Miałam ochotę przewrócić oczami. Demonowi przemienicy! Co pan tu nawyprawiał, drogi laro Oronie, że moi współpracownicy do tej pory są w stanie szoku? O, jakże chciałabym wiedzieć! Nie dość, że wartownicy przy wejściu skłonili się ceremonialnie, to jeszcze usłużnie przytrzymali mi drzwi. Wartownicy! Oszaleć można...

Tym razem nikogo nie szukałam i z nikim nie rozmawiałam - choć miałam ogromną ochotę pogawędzić sobie z laro Daenem, przy czym idealnym miejscem do tej rozmowy byłaby sala tortur, a idealnym narzędziem - obcęgi. Albo igły. Byłam niezła w rozwiązywaniu języków najbardziej upartym i potrafiłabym zmusić mojego współpracownika do naprawdę szczerzej rozmowy.

Jednak nie ma sensu marzyć o rzeczach niemożliwych - nikt nie da mi sankcji na aresztowanie kolegi. Żadnych podstaw, a moje słowo niewiele znaczy w sprawie dotyczącej

mnie samej. Dobrze, zajmijmy się w takim razie sprawami bieżącymi.

W charakterze spraw bieżących wystąpiła sterta korespondencji leżąca w przejściu. Zgodnie z prawem natury zajęta lare Tyen była potrzebna co najmniej kilkudziesięciu osobom w sprawach o różnym stopniu ważności. Z niektórymi adresatami miałabym ochotę spotkać się osobiście i wyjaśnić im w prostych żołnierskich słowach, że nie należy odciążać pracownika Straży od wykonywania bezpośrednich obowiązków. Dlaczego niby miałabym składać wyjaśnienia Jego Ekscelencji posłowi elfów, ambasadorowi w Erolu lordowi Aminwelowi w sprawie pracy swojego kolegi laro Narcha? Jeśli laro Narch nie zdołał znaleźć u pasera Jednookiego Taka rodowego pierścienia lorda Aminwela, mimo że każdy śledczy wydziału poinformował go o tym, że pierścień się tam znajduje, to ja nie mam z tym nic wspólnego, prawda? Niestety, po tym jak miałam nieszczęście zajmować się zabójstwem jednego z podwładnych Pierworodzonego, lord uznał, że nie tylko jestem inteligentna, ale również wpływowa, i nękał mnie długimi, uprzedzającymi grzecznymi epistołami przy każdej najbzdurniejszej okazji. Najgorsze było to, że lord należał do tych adresatów, którym nie wolno było przesłać odpowiedzi w uprzejmym opakowaniu, za to o odpowiednio mocnej treści...

Plik listów był na tyle pokąźny, że rozumiałam: „ulubione” zajęcia zajmą mi co najmniej dwie godziny. Postanowiłam zacząć od najbardziej nieprzyjemnego, czyli od nieszczęsnego lorda.

„O czcigodny Pierworodzony lordzie Aminwelu, oby słońce zawsze jaśniało nad Wami, obyście nigdy nie ujrzeli ciemności...” - pisałam zgodnie z zasadami etykiety elfów. Niestety, wyszukane zdania nie zdołają zamaskować

strasznych moich bazgrołów. Już widzę ten wyraz obrzydzenia na twarzy elfa, gdy będzie czytał mój list.

Przy piątym akapicie bredni, którymi metodycznie zalewałam adresata, usłyszałam stukanie do drzwi. Chyba laro Raen... Chociaż...

- Lare Rinnelis, może jednak mnie pani wpuści?

Tak jest, kae Oron. Cóż, posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Gdy przemieniec wszedł do gabinetu, zauważyłam, że unika mojego wzroku, uparcie wpatrując się w podłogę. Nie spojrzął na mnie nawet wtedy, gdy mamrotał powitanie. I to laro Raen, który, jak każdy przemieniec, nie odrywa wzroku od rozmówcy, posłuszny zwierzęcej części swojej osobowości, pragnącej pokazać: bestia jest silna i gotowa zaatakować, jeśli tylko dasz jej najmniejszy powód.

- Co się dzieje, laro Raenie? - zapytałam, wyczuwając kłopoty.

Przemieniec milczał, teraz patrząc mi w oczy, jakby miał nadzieję, że wszystko wyczytam w jego wzroku... Zachowujący się w ten sposób rozmówca zwykle nie ma dobrych nowin. Zapragnęłam gwałtownie wyrzucić tego posłańca za drzwi i zamknąć się od środka - może wtedy nieszczęście przejdzie bokiem? Nie zrobiłam tego, bo zbyt dobrze wiedziałam: niewiedza jest stokroć gorsza od najgorszych nowin.

- Laro Raenie, czy mam rozumieć pańskie milczenie jako przyzwolenie na przeczytanie pańskich myśli? - spytałam z groźbą w głosie.

Ryś wzdygnął się i przestał udawać cierpiącego za miliony. Ulżyło mi trochę. Zwykle własne rozdrażnienie najlepiej pomaga przetrwać wszelkie wstrząsy.



- Przeszedłem, by poinformować panią, lare, że musi pani zidentyfikować ciało laro Tarna Reysa.

Moje serce na chwilę przestało bić.

Chyba coś dziwnego musiało się stać z moją twarzą, bo przemieniec gwałtownie wcisnął mi w rękę buteleczkę z jakimś płynem, a ja - rzecz niesłychana! - upiłam łyk, nawet nie wachając. Gdyby laro Raen chciał mnie otruć, miałby świetną okazję.

Przełknęłam i zaczęłam kasłać, łąpczywie wciągając powietrze w nadziei, że zdołam ostudzić płonące gardło i przełyk. Zamiast waleriany zaproponowano mi mocny samogon, chyba krasnoludzki. Skoncentrowałam się na płomieniu w gardle i ciepłe w żołądku. Na czymkolwiek, co nie było słowami kae Orona. To niemożliwe... To po prostu niemożliwe.

- Gdzie i w jakim... stanie... znalazł pan ciało? - spytałam, nadal kaszłąc. Struny głosowe nie odmówiły mi posłuszeństwa, głos brzmiał jeszcze bardziej beznamiętnie niż zwykle, ale to głupstwo.

Przemieniec westchnął.

- Laro Reysa znaleziono w jego własnym mieszkaniu. Prawdopodobna przyczyna śmierci to zatrucie czadem. W mieszkaniu wybuchł pożar.

Zaczęłam dygotać. Tarn nie żyje. Nie żyje... To prawda, że okazał się bydlakiem, że przez niego omal nie zginęłam, ale przecież tak długo był moim przyjacielem... A teraz miałam zidentyfikować jego zwłoki.

Chciało mi się płakać.

- Dlaczego prosi pan o to właśnie mnie? - zapytałam.

Nie zaszkodzi jeszcze raz sprawdzić kae Orona. Jeśli skłamię, wyczuję to i postaram się pozbyć cennego laro Raena jak najszybciej. Ja również umiem zbierać pożyteczne informacje i wiem, co i komu należy szepnąć, żeby

nieładź dostał bilet wstępu do najbardziej oddalanej cytadeli. Na dożywotni pobyt.

- Nie chciałem angażować osób postronnych - oznajmił Rys po prostu. W jego głosie wyczułem współczucie, choć możliwe, że tylko mi się zdawało. - Rozumiem, lare, że to nie jest miłe, ale rodziny laro Reysa nie ma obecnie w Illenie, a nie chciałem wzywać jego współpracowników. Poza tym jest pani jedną z nielicznych osób, które znały laro Reysa i zdołają zidentyfikować go na podstawie szczątkowej aury.

- Szczątkowej aury? - stropiłam się, czując, że moje wnętrze lodowacieje. Co się stało? W jakim stanie musiały być zwłoki, żebym musiała identyfikować je w taki sposób? - Dlaczego...?

- Mieszkanie zmarłego spłonęło doszczętnie. Ciało mocno ucierpiało. Pani przy... - zaczął laro Raen, ale w porę się poprawił: - Laro Tarn palił, prawda?

- Palił - powtórzyłam zdrętwiałymi wargami, czując, że moje serce znów zatrzymuje się na chwilę. - Ale nigdy... - Omal nie zaszlochałam. - Tarn nie pił! To znaczy nie upijał się do utraty przytomności... Prawdopodobieństwo tego, że pożar został spowodowany przez tłącą się fajkę, jest śmiesznie małe!

- Czy to obiektywna opinia? - sprecyzował przemieniec.

- Nie mniej obiektywna niż zwykle, laro Raenie. - Skinęłam głową, prostując się aż do chrzęstu w kręgosłupie. - Mam pójść z panem już teraz?

Nic szczególnego się nie wydarzyło, mówiłam sobie. Setki razy identyfikowałam zwłoki i fakt, że znałam zmarłego przez długie lata, nie miał żadnego znaczenia. To jedynie działania śledcze, wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

- A jest pani w stanie? - spytał czujnie Ryś.
- Co to ma znaczyć? - zdumiałam się, nie rozumiejąc, jak mógł zadać mi takie pytanie. - Proszę nie mówić głupstw, oczywiście, że jestem!

Wstałam (dziwiąc się, że kolana wcale mi nie drżą), narzuciłam na ramiona ciemny płaszcz i odwróciłam się do czekającego na mnie przemienca.

- Nie przestaje mnie pani zadziwiać, lare. Niewiele osób na pani miejscu potrafiłoby zachować tak nienaturalny spokój.

- Dlatego na tym miejscu jestem właśnie ja - odparłam zjadliwie, czując, jak samogon laro Raena uderza mi do głowy. Jednak w pewnych wypadkach brak wprawy w picciu napojów alkoholowych może powodować dyskomfort.



Raen kae Oron nie potrafił zrozumieć tej dziwnej kobiety, z którą musiał współpracować na skutek kaprysu losu. Dośłownie minutę temu był przekonany, że lare Rinnelis jest krok od hysterii, jej zapach po raz pierwszy zaczął się zmieniać, a teraz znów była spokojna i zrównoważona jak gdyby nigdy nic. Bezdušność czy absolutna samokontrola? I gdzie biegła granica między tymi dwiema skrajnościami?

- Jeśli jest pani gotowa, lare, możemy iść już teraz. Wszystko zostało przygotowane.

Lare śledcza miała teraz na twarzy swoją zwykłą maskę. Tak, od początku spodziewał się takiej właśnie reakcji. Gdy pytał, czy z nim pójdzie, podejrzewał, że lare Tyen wstanie gwałtownie i spyta, jak mógł pomyśleć, że nie będzie w stanie rozpoznać ciała. Znacznie przyjemniej jest mieć do

czynienia z taką stalową żmiją niż z wychuchaną panienką, która przy najmniejszym problemie od razu dostaje ataku hysterii. W każdym razie - przyjemniej w sprawach służbowych.

Żmija tymczasem ubrała się, wsuwając jakiś przedmiot do kieszeni, i popatrzyła na Raena nieruchomym wzrokiem. Pod tym spojrzeniem na sekundę zapomniał, że z nich dwojga to właśnie on jest przemieńcem.

- Jestem gotowa, laro, możemy iść - oznajmiła sucho.

Spokojna i skupiona jak zawsze, jedynie usta miała zaciśnięte w wąską linię, a nie rozciągnięte w zimnym uśmiechu. Zabranie jej ze sobą było naprawdę dobrym pomysłem.

W odróżnieniu od zbyt pewnych siebie śledczych, używających teleportacji z byle powodu i nieliczących się z wrodzonym potencjałem energetycznym, Ryś postanowił pojechać karetą, nie siląc się na oryginalne rozwiązania. Na koźle siedział oczywiście jeden z jego krewnych. Tak było bezpiecznie.

Kareta nie przyciągała wzroku, nie miała herbu czy innych znaków rozpoznawczych - takich zwykle używali wzbogaceni mieszczanie albo kupcy, którzy nie chcieli demonstrować swoich zarobków. Ponadto karetą była prywatną własnością Raena, a zakupił ją oczywiście drogi kuzyn.

- Bardzo oryginalne, laro - zauważyła lare Rinnelis.

- Tak panią zdumiała zwykła karetą? - Uniósł brew.

- Dla maga to dość niezwykły sposób transportu, prawda?

- Wolę zachować energię na poważniejsze sprawy niż przeniesienie się z jednego miejsca do drugiego, lare.

- Łatwiej zregenerować energię, niż zarobić na własną karetę - wzruszyła ramionami lare. - Ale nie wszyscy

należą do rodu kae Oron i posiadają praktycznie wszechmogącego kuzyna.

Raen otworzył przed lare drzwi i z galanterią podał jej ramię, gdy wsiadała. O Linchu kae Oronie wiedziało wielu, ale skąd pewność, że wydatki Raena pokrywa właśnie jego potężny krewny? Najwyraźniej lare śledcza wiedziała, dla kogo Raen pracuje, siedząc w Straży. A nietrudno odgadnąć, jakie cele przyświecają przemienćowi śledczemu, jeśli się wie, że jego opiekunem jest Trzeci Lord klanu Rysiów.

- Za dużo pani wie, lare Tyen - skrzywił się przemieniec, siadając obok niej. - Za dużo, by długo pożycz. Zna pani mojego kuzyna?

- Nie miałam okazji poznać go osobiście, ale wiele o nim słyszałam - odparła wymijająco, przymykając oczy.

Ciekawe, czy ona rozumie, że właśnie wydała na siebie wyrok? Jeśli w Straży dowiedzą się o długich rękach Lincha kae Orona, odbije się to negatywnie zarówno na Raenie, jak i na całym klanie. Co innego domysły, a co innego pewność poparta faktami; przemienćów nie ruszono dopóty, dopóki ich lojalność nie wzbudzała podejrzeń. Lare Rinnelis budziła sympatię Raena na tyle, na ile może sobie pozwolić szpieg, i na tyle, na ile można czuć sympatię do kogoś takiego jak Tyen - i mimo to będzie musiał zabić ją przy pierwszej okazji.

- Nie zdoła pan, laro Raenie - odezwała się Tyen, jakby odpowiadając na jego myśli.

- O czym pani mówi, lare?

- Nie zdoła mnie pan zabić. Nie starczy panu sił. I zdecydowania.

- Skąd ta pewność? - Sposepniał, zastanawiając się, czy rzucić się na dziewczynę od razu, czy trochę później.

- Dlatego... - Lare Tyen wyrzuciła niedbale rękę w stronę gardła Raena. Szczupłe palce były chłodne, poczuł to dokładnie, gdy spoczęły na jego szyi. Poczuł coś jeszcze: równomiernie pulsujące zakłęcie, jakimś cudem niezrywające się z ręki człowieczki. Wystarczy, że się poruszy, a zakłęcie urwie mu głowę, zaś lare śledcza będzie z obojętnością eksperymentatora patrzeć na swoją ofiarę, jakby zastanawiała się, czy przemieniec lepiej wygląda z głową, czy bez. Powiedzieć, że Raen czuł się podle, oznaczałoby nie powiedzieć nic. - Przecież jest pan przemieńcem, laro kae Oronie - oznajmiła dziewczyna, nie odsuwając ręki od jego szyi. - Ma pan szybszy refleks, jest pan znacznie silniejszy, a jednak to ja mogę rozerwać panu gardło, a nie na odwrót.

- I czego to dowodzi według pani? - spytał przemieniec, przełykając ślinę. Jak długo można utrzymać takie zakłęcie, nie aktywując go? Minutę? Dwie? Wpatrywał się w jej twarz, próbując zrozumieć, co szykuje mu ta suka. Nie zauważył żadnych nowych emocji oprócz uprzejmej ciekawości.

- Nie chce mnie pan zabić. Rozumie pan, że musi to zrobić, ale stara się pan odciągnąć to do ostatniej chwili. Dlatego nie zdecydował się pan zaatakować jako pierwszy, a gdy ja to zrobiłam, nie zdołał mnie pan powstrzymać.

- Tak, popełniłem błąd - przyznał ochryple przemieniec. Siedzący na kozle Sen nie zdoła go uratować. Być może potem zabije Tyen, ale Raenowi w niczym to nie pomoże. Przemieniec zastygł, modląc się do wszystkich bogów jednocześnie o zbawienie jego grzesznej duszy. I ktoś na górze usłyszał rozpaczliwe modlitwy zwierzołaka: lare Rinnelis cofnęła rękę i odchyliła się na oparcie. Jej twarz nadal była oburzająco dobroduszna, jakby to nie ona

próbowała wysłać na tamten świat niewinnego... Hm, no tak, niewinny to jednak nie był... Ale jednak nie groził człowieczce zakłębieniem drugiego stopnia! No dobrze, myślał o tym, żeby ją zabić, ale jeszcze nikt nikogo nie karał za myśli!

„Pozerka!” - pomyślał kae Oron z dziwną mieszanką rozdrażnienia i ulgi, odruchowo wciskając się w kątek karety, jak najdalej od Tyen. Jego zwierzęca połowa poczuła cały koszmar tej sytuacji znacznie szybciej niż ludzka i starannie próbowała odgradzić go od niebezpieczeństwa.

- Dobrze, załóżmy, że nie chcę pani zabić. A pani mnie? - spytał ochryple Raen. Wmawiał sobie, że jest silniejszy od człowieczki, ale po tej demonstracji siły autosugestia nie pomagała.

- Ja? - zapytała. - Mnie jest to obojętne. Emocje za bardzo przeszkadzają czynom.

- Pani nie ma emocji - wykrztusił mężczyzna.

Dławił się od zapachu strachu, który wydzielano jego własne ciało, i łowił słaby aromat śledczej - cierpka nuta lili. Przeklęta człowieczka nawet się nie zdenerwowała. Suka.

- Praktycznie nie - przyznała lare Tyen. - Dlatego właśnie jeszcze żyję. I dlatego jestem jedną z najlepszych w swoim fachu. Emocje są nieprzewidywalnym czynnikiem, mogą sprawić, że zadrży ręka, zamkną się oczy... Po co komu emocje?

- Żeby żyć? - zasugerował kae Oron i niespodziewanie dodał: - Żal mi pani.

Kareta podskoczyła na wyboju, przemieniec omal nie spadł z siedzenia i zaklął z uczuciem. Gdy usiadł, zauważył dławiące spojrzenie lare Tyen, która wyglądała, jakby zdejmowała z niego miarę na trumnę.

- A jednak to pan przegrał - sparowała i zamilkła.

Jej milczenie było ciężkie i wzgardliwe. Lare Tyen wyraźnie należała do ludzi, którzy cenią tylko dorównujących jej siłą albo silniejszych, a Raen haniebnie przegrał w pierwszym poważnym starciu. Ograła go jakaś tam dziewczyna! To było oburzające. Gdy przemienca ogrywał jego wspaniały kuzyn Linch, Raen czuł falę goryczy, która jednak napotykała tamę zrozumienia, że on, Raen kae Oron, nie może równać się z Linchem kae Oronem, którego możliwości niemalże przewyższyły ambicje, choć istniało poważne podejrzenie, że Trzeci Lord cierpi na postępującą manię wielkości. No tak, ale to był jego genialny krewniak, a nie jakaś tam człowieczka! Choć bardzo możliwe, że pod względem ambicji lare Rinnelis prześcignęłaby każdego...





**O**d czasu rozpoczęcia pracy w Straży kostnica stała się dla mnie niemal drugim domem. Tak się złożyło, że dostawałam głównie sprawy zabójstw, musiałam więc przeprowadzać liczne identyfikacje i pracownicy tego przybytku zaczęli mnie traktować jak bliską znajomą. Poza tym jak tylko miałam chwilę wolnego czasu, przychodziłam do Lera, żeby posiedzieć i pogadać. Obecność nieboszczyków spoczywających w swoich szufladach zupełnie nie robiła na mnie wrażenia. Tutaj, w tym bezosobowym szarym budynku, łatwiej było traktować je za ledwie jak jeden z dowodów dotyczących danej sprawy. Co innego ciała na miejscu przestępstwa, tam dokładnie widać, że zamordowany był człowiekiem, który jeszcze niedawno cieszył się życiem. I to jest straszne. A tutaj... tutaj człowiek zaczyna bać się zmarłych jedynie wtedy, gdy obok niego znajdzie się wrogo usposobiony nekromanta. Teraz obok stał laro kae Oron, który próbował trzymać się jak najdalej ode mnie i nie pozwolić mi wyczuć ziarna paniki, jakie zasiałam w jego duszy. Po raz kolejny pomyślałam o laro Riencharnie, który

tak wspaniale umiał przyjąć cios. A przemiencowi chyba brakowało ikry. Mając wszystkie możliwości przeprowadzenia ataku, nadal się zastanawiał, czy w ogóle warto to zrobić. Nie wojownik, ale i nie ofiara. Utalentowany intrygant, który wpakował się w nie swoją sprawę.

Po naszym niewielkim starciu poczułam się lepiej. W każdym razie przestałam wyrzucać sobie, że nie dostrzegłam, nie powiedziałam, nie powstrzymałam. Ler miał rację, za dużo na siebie brałam. Z maniakałnym uporem podejmowałam się wypełniania jak największej liczby obowiązków, a potem rozpaczałam, że nie udaje mi się zrobić wszystkiego. Każdy sam wybiera porę swojej śmierci, świadomie lub nie. Tarn również wybrał.

Mimo incydentu w karecie Iaro Raen pozostał nienaganie uprzejmy i pomógł mi wysiąść. Przy tym bacznie obserwował każdy mój ruch, jakby spodziewał się ataku. Silny stres nie pozwala myśleć logicznie - przecież udało mi się odegrać ten spektakl tylko dlatego, że nieludź nie spodziewał się po mnie ataku, teraz gdy był już czujny, przeprowadzenie takiej akcji byłoby głupotą równającą się samobójstwu.

Hm... Nigdy przedtem się o to nie podejrzewałam, ale najwyraźniej miałam silny pociąg do pozerstwa, ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami.

- Jesteśmy na miejscu, Iaro Rinnelis - poinformował mnie Iaro kae Oron, wskazując piętrowy, szary budynek. Niepotrzebnie, czego jak czego, ale kostnicy nie pomyliłabym z niczym.

- Kto zajmuje się sprawą? - spytałam, mając nadzieję, że nie Ler. Nie wytrzymałby tego.

- Iaro Merrit - odparł kae Oron, zaskoczony pytaniem. - Zna go pani?

- Znam niemal wszystkich pracowników, specyfika mojej pracy zmusza mnie do częstych odwiedzin w tym budynku.

- Nasza praca nie nastraja zbyt optymistycznie, prawda, lare Rinnelis? - westchnął przemieniec.

- Nie bardziej niż każda inna. - Wzruszyłam ramionami i poszłam do wejścia. Znaleźć gabinet laro Merrita mogłam bez pomocy kae Orona.

Korytarze były jak zawsze sterylnie białe i puste. W tym przedostatnim miejscu spoczynku zmarłych panowała nie-samowita cisza. Dość dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że pracowało tu kilkadziesiąt osób i stale przywożono nowych „klientów”. Zawsze miałam wrażenie, że na tych korytarzach ludzie przemieniają się w bezcielesne widma, odzyskując ciała dopiero w swoich gabinetach.

W nos uderzył mnie mdlący zapach rozkładu i środków dezynfekcyjnych; ktoś nieprzywykły do takich aromatów mógłby zemdleć. Przemieniec skrzywił się, próbując stłumić kichnięcie. Zaczął osłaniać twarz rękawem, ale gdy się odwracałam, szybko odsuwał rękę i zaczynał powoli oddychać przez usta.

- W gabinecie poczuje się pan lepiej - pocieszyłam pozieleniałego kae Orona.

Ten rzucił mi gniewne spojrzenie, pewnie myślał, że sobie z niego kpię. Zabawne, ja naprawdę chciałam go tylko pocieszyć.

Szłam szybko długim korytarzem, w końcu skręciłam w ślepą odnogę, gdzie znajdował się gabinet laro Merrita. Gdy zapukałam, zza drzwi dobiegło:

- Niech pani wejdzie, lare Rinnelis. Czemu zachowuje się pani jak obca?

Poznał mnie po stukaniu. Jak zawsze.

Laro Merrit, biegły z tak długim stażem, że aż boję się pomyśleć, ile trupów miał okazję oglądać, przemawiał zwykle tonem dobrego dziadka, co mnie czasem dezorientowało.

Skorzystałam z zaproszenia, otworzyłam drzwi, które skrzypnęły jakby z niezadowoleniem, i weszłam do środka. W ślad za mną wśliznął się ponury laro kae Oron. Na widok mojego towarzysza ekspert westchnął ciężko i zwrócił się do niego z wyrzutem:

- No czemu pan tak, laro Raenie... Nie mógł pan przyprowadzić kogoś innego, koniecznie musiał pan ciągnąć tę biedną dziewczynę? Przecież dla niej to straszny cios...

Ryś zerknął podejrzliwie na moją spokojną twarz, pewnie szukając śladów „straszego ciosu”, przekonał się, że ich nie ma, i odpowiedział sceptycznie:

- Wydaje mi się, laro, że przecenia pan wrażliwość lare Tyen. W dodatku, biorąc pod uwagę stan ciała, nikt prócz niej nie zdoła rozpoznać laro Reysa.

Słowa śledczego nie przekonały staruszka, ale nie spierał się z przemienicem.

- Cóż, w takim razie liczę na pani opanowanie, moja droga - powiedział do mnie. - Ale muszę uprzedzić, że widok nie będzie przyjemny.

- Myślę, że wytrzymam - odparłam, próbując się uśmiechnąć. Nie wyszło.

W moim żołądku pojawił się zimny, lepki kłęb i nagle rozpaczliwie zapragnęłam, żeby to ciało, na które za chwilę będę musiała popatrzeć, nie było ciałem Tarna... Może to po prostu jakaś potworna pomyłka, a mój były przyjaciel jak zwykle przyjemnie spędza czas, olewając regulamin i inne ograniczenia. Moi przyjaciele zawsze wydawali mi się wieczni jak słońce, które każdego dnia wstawało na wschodzie. Oni po prostu nie mogli umrzeć.

Chciałam pozostać na zawsze w tym niewielkim pokoju, do którego przez okno sączyło się złociste światło słońca. Chciałam udawać, że o niczym nie wiem. Jednak byłoby to małoduszne tchórzostwo, dlatego poszłam za laro Merritem, prostując ramiona i wysoko unosząc głowę.

- Nie ma pan przypadkiem dwóch świadków? - zwrócił się do eksperta kae Oron. - Nie pomyślałem o tym...

Staruszek uśmiechnął się:

- Z tym nie będzie problemu. Znowu przygonili studentów na praktyki, to niech sobie dzieciaki popatrzą. Przyda im się.

Do czego miałyby im się przydać oglądanie spalonego ciała, nie miałam pojęcia, ale w końcu nie jestem ekspertem.

I znów musiałam przejść po białych korytarzach... Żeby wejść do zimnego pomieszczenia, w którym trzymano ciała, musieliśmy zejść do piwnicy, tak samo białej i czystej, i tak samo... martwej. Wiele razy przeprowadzałam procedurę w charakterze śledczego prowadzącego dochodzenie, ale zidentyfikować zwłoki znajomej osoby miałam po raz pierwszy i, dajcie bogowie, ostatni.

W przestronnym pomieszczeniu w suterenie oświetlonej magicznym światłem było sucho, chłodno i pusto. Były tam pod jedną ze ścian jedynie dwa stoły, na których leżały ciała przykryte białą, ostro pachnącą tkaniną, i równe rzędy jednakowych szuflad na drugiej. Odruchowo obrzuciłam spojrzeniem nieboszczyków. Wyglądali wyjątkowo normalnie.

- Niekryminalni? - przejawiałam zawodowe zainteresowanie.

- Nie - potwierdził ekspert. - Czyści. Zatrucie alkoholowe i zatrzymanie akcji serca. Szkoda ich dla praktykantów,

właśnie kończymy pisać raport. Wasz leży w sto pierwszej, zwołam świadków i obejrzymy go.

Z tymi słowami wezwał przez mentalną łączność jakiegoś Wirta i Helen.

- Ma pan przy sobie wszystkie protokoły? - spytałam laro Raena. Popatrzył na mnie urażony i oznajmił, że ma nie mniejsze doświadczenie zawodowe niż ja i zadawanie takich pytań jest co najmniej nietaktowne. Wyartykułowałam przeprosiny, usiłując myśleć o czymkolwiek innym niż zawartość szuflady numer sto jeden. Nie mogę okazać słabości. Zwłaszcza teraz, zwłaszcza przed kae Oronem.

Te dwie minuty, gdy czekaliśmy na świadków, upłynęły w milczeniu, które nie było ani napięte, ani dławiące. Zwyczajne milczenie, gdy każdy myśli o swoich sprawach. A potem pojawili się Wirt i Helen - dwoje speszonych młodych ludzi z widocznie spuchniętymi wargami i zdradziecko płonącymi policzkami. Laro Merrit uśmiechnął się nikle, zerkając na mnie spode łba. Ja również uniosłam kąciki warg, markując uśmiech. Patrzenie na zakochanych to jednocześnie przyjemność i męka. Jawne szczęście budzi zarazem radość i zawiść. Ale miłość w kostnicy to nawet dla mnie zjawisko zbyt egzotyczne.

- Poznajcie się, moi drodzy - zwrócił się do młodzieży biegly. - Lare Rinnelis Tyen i laro Raen kae Oron.

Laro kae Oron przeprowadzi identyfikację zwłok. Wirt, otwórz, proszę, sto pierwszą.

Słyszając numer, chłopak zbladł lekko. Nastawiłam się na to, że ciało, które zaraz zobaczę, naprawdę jest w strasznym stanie, tutejszych studentów nie da się zszokować byle czym. Miałam już okazję oglądać zwęglone ciała i mogę powiedzieć, że nawet jeśli ma się mocne nerwy, powinno się to robić z pustym żołądkiem.

- Jak chce go pani zidentyfikować? - zainteresowała się Helen, rudowłosa, piegowata dziewczyna, spoglądając na mnie z zaciekawieniem. - Pokrywa skórna jest całkowicie zniszczona, ciało spalone.

- Po szczątkowej aurze - wyjaśniłam, odwracając się do szuflady, którą właśnie wysuwał Wirt. W nos uderzył mnie swąd spalonego ciała.

- Niesamowite - powiedziała z zachwytem praktykantka, mrugając długimi rzęsami. - Musi pani być bardzo silnym magiem, lare!

- Do tej pory nikt się nie skarżył. - Wzruszyłam ramionami, usiłując utrzymać na twarzy wyraz obojętności względem własnych talentów.

- Tych, którzy mogliby się skarżyć, już nie ma - mruknął pod nosem przemieniec.

Wirt i Helen popatrzyli na mnie z zabobonnym strachem.

- Niech pani spojrzy, lare - odezwał się laro Merrit, wskazując za moje plecy, gdzie powinna znajdować się wysunięta szuflada.

Nie chciałam się odwracać. Niespodziewanie dla samej siebie z rosnącym zainteresowaniem oglądałam drzwi.

- Im szybciej rozpoczniemy tę smutną procedurę, tym szybciej skończymy - ponaglił mnie Ryś.

Do demonów, czy moje uczucia są aż tak widoczne, że nawet stropiony przemieniec widzi, że jest mi źle? Przygryzłam wargę i zacisnęłam pięści, niewidoczne pod długimi rękawami. Paznokcie wbiły się boleśnie w dłoń i to odrobinę pomogło.

Odwrociłam się powoli, jakbym nie była już człowiekiem, tylko drewnianą lalką. Pomyślałam, że dziś po raz pierwszy od niewiedomo ilu lat jednak stracę przytomność.

Na moim ramieniu spoczęła ciepła dłoń laro Merrita. Naprawdę tak źle wyglądałam?

Wystarczył jeden rzut oka na czarne, zwęglone ciało, od którego płynął ohydny zapach, żebym podziękowała wszystkim możliwym bogom za to, że śniadanie zjadłam już dość dawno. Nie miałam zamiaru przyglądać się długo temu koszmarowi, zamknęłam oczy. Na szczęście dla lepszej koncentracji przed zaklęciem lepiej wyłączyć jak najwięcej fizycznych zmysłów; wzrok w pierwszej kolejności. Przynajmniej nie będę musiała demonstrować własnego tchórzostwa.

Wyznaczenie konturu nie było trudne, teraz należało umieścić w nim obraz aury nieboszczyka. Pod powiekami zaczęło mnie szczypać. Doczekałam się... Teraz musiałam wyciągnąć z martwego ciała informacje o żywej duszy, która niedawno się tu znajdowała. Tu już musiałam się maksymalnie skoncentrować. Nie na darmo zalecano palenie potencjalnie „niespokojnych” nieboszczyków: ogień usuwa całą pamięć o minionym życiu, udaremniając jakąkolwiek możliwość powstania „martwiaka”. Odcisków energii życiowej było tak niewiele, że rozumiałam, dlaczego laro Raen poprosił o przybycie właśnie mnie. Nikt inny nie zdołałby odtworzyć całości z rozproszonych, zniszczonych płomieniem okruchów aury. Do czegoś takiego nie wystarczy jedynie talent magiczny, niezbędne są uczucia do zmarłego, coś, co dałoby siłę i upór. A ja miałam jedno i drugie.

- Laro Raenie, zarejestrował pan zaklęcia, których użyłam? - spytałam głucho kilka minut później, nadal nie otwierając oczu.

- Tak, lare - odpowiedział przemieniec. - I co pani powie?

- To on.



Pewnie powinnam się rozpłakać. Albo zacząć krzyczeć. Albo zemdleć. Albo co tam jeszcze mogą zrobić w takich sytuacjach młode dziewczyny. Ale po prostu odwróciłam się od ciała i miarowym krokiem wyszłam z pomieszczenia. Chciałam znaleźć się jak najdalej od kostnicy, podziemi i szuflady numer sto jeden.

Sądząc po dźwięku kroków z tyłu, laro Merrit poszedł za mną. Kroków kae Orona nie słyszałam, pewnie został, żeby spisać protokół i nękać świadków. Albo po prostu postanowił dać mi kilka minut samotności.

Nie wiedziałam, dokąd idę. Nogi poruszały się bez udziału mózgu, powoli, miarowo.

Jak...?

Jak to się mogło stać, że już go nie ma? To niesłuszne. Tak, postąpił podle wobec mnie, naraził moje życie... ale przecież tak długo byliśmy przyjaciółmi! Przypomniało mi się, jak pierwszy raz zobaczyłam go w szkole. Wysoki, niezgrabny chłopak, rozpaczliwie udający dorosłego. Wtedy nawet nie zauważył ponurej, zahukanej, wciśniętej w ciemny kąt dziewczynki...

Zatrzymałam się dopiero na ganku. Musiałam poczekać na laro Raena, nie podpisałam protokołu identyfikacji. Miałam nadzieję, że przemieniec nie będzie się mścił i odwiezie mnie do wydziału. Nagle pożałowałam, że nie palę: mogłabym się czymś zająć, czekając na laro Raena. I mogłabym o niczym nie myśleć.

Ryś zjawił się pięć, a może piętnaście minut później; straciłam poczucie czasu.

Raen wyglądał na usatysfakcjonowanego, ale w jego oczach widać było niepokój. O mnie? Zabawne.

- Laro Merrit prosił, żeby to pani przekazać - powiedział, podając mi buteleczkę z zielonego szkła.

Wyjęłam korek, przechyliłam butelkę i wciągnęłam delikatny, świeży aromat mięty. „Łabędzi Puch”, eliksir uspokajający. Dawno temu, gdy po raz pierwszy przyszedłam do kostnicy na identyfikację zwłok, źle się poczułam. Zupełnie jak piętnastoletnia panienka, która umie tylko wyszywać i mdleć na widok karalucha. Ze wszystkich sił próbowałam zachować twarz, walcząc z falą mdłości, i wtedy laro Merrit z przekornym uśmiechem wsunął mi do ręki buteleczkę z „Łabędzim Puchem”. Do dziś pamiętam wdzięczność, którą wtedy czułam.

Przełknęłam kwaskowaty płyn i wsunęłam pustą buteleczkę do kieszeni. Oddam właścicielowi przy okazji.

- Uspokoiła się pani? - spytał mnie przemieniec z krzywym uśmiechem.

Czyżby chciał się zemścić za tamto w karecie? Wykpić mój brak opanowania? Za dużo pan sobie wyobraża, kae Oronie.

- Nie denerwowałam się. Po prostu zrobiło mi się słabo od swądu spalonego ciała. Niezbyt przyjemny zapach - odparłam, mrugając niewinnie oczami.

I tak nie zdoła rozpoznać, czy kłamię, czy nie, sam to powiedział...

Mężczyzna parsknął demonstracyjnie, a ja uśmiechnęłam się do niego promiennie, jak do niebezpiecznego zabójcy, który znalazł się u mnie na przesłuchaniu. Eliksir podziałał, teraz mogłam sobie pozwalać.

- Odwiezie mnie pan do wydziału, laro? Nie chciałybym wracać na piechotę.

Na myśl o czekającej go wspólnej przejażdżce karetą przemieniec lekko posmutniał i chyba nawet poszarzał. Jednak nieokazywanie słabości również dla niego było sprawą zasadniczą.

- Oczywiście, lare. Czy mógłbym odmówić tak zadziwiającej damie?

Słowo „zadziwiająca” w jego ustach zabrzmiało niemal jak obelga. Udałam, że nie zauważam dwuznaczności w jego głosie. Niech się wścieka, to i tak nie zmieni faktu, że tym razem okazałam się od niego silniejsza. Rzecz jasna, nasze następne starcie może wyglądać zupełnie inaczej.



Nie miał najmniejszej ochoty jeszcze raz jechać karetą z drogą lare Rinnelis. To, że nie zabiła go poprzednio, wcale jeszcze nie znaczy, że nie zrobi tego teraz! Kto może wiedzieć, co chodzi po głowie tej szalonej człowieczki?! Ale przyznać się, że się jej boi? Nigdy! Nawet gdyby w imię ratowania honoru miał ryzykować własną skórę.

Wyraz twarzy lare śledczej można byłoby nazwać przebiegłym i kpiącym jednocześnie. Właśnie tak przemieniec odczytał jej niewinne spojrzenie i łagodny, dobroduszny uśmiech, który zupełnie nie pasował do tej stalowej żmii.

„Co to za specyfik dał jej laro Merrit? Już było tak dobrze, wyglądała, jakby ją ktoś stuknął pałką po głowie, a teraz znowu zaczęła się znęcać...”

Zaciskając zęby, Raen zaprowadził dziewczynę do karety i nawet pomógł jej wsiąść. Sam postarał się ulokować tak, by nie rzucało się w oczy, że bardzo pragnie być jak najdalej stąd. Kpiący półuśmiech Tyen był nie do zniesienia! Miał ochotę wyrzucić ją z karety w pełnym biegu. Tak żeby jej głowa rozbiła się o kamienie, a słynny mózg na zawsze opuścił swoją siedzibę.

On rozwiązuje jej problemy, pomaga jej, a ta Żmija nie dość, że nie czuje wdzięczności, to jeszcze zaczyna mu grozić! I to po tym jak on bezinteresownie...

Tu już strumień myśli przemienca napotkał tamę. Kae Oron nigdy niczego nie robił bezinteresownie i lare Żmija nie była wyjątkiem. Zdaje się, że ona po prostu nie żywiła żadnych złudzeń ani w stosunku do Raena, ani w żadnym innym przypadku.

„Czyli gramy niemal w otwarte karty - uznał. - Ona nie spodziewa się żadnych altruistycznych działań i rozumie, że zdradzę ją przy pierwszej lepszej okazji. Co za tym idzie - od lare Tyen można spodziewać się lojalności wyłącznie w określonych granicach”.

- Czy kahe oświecił panią w kwestii moralności rodu kae Oron? - przemieniec zdecydował się zadać to pytanie, nie licząc na odpowiedź. Każde z nich miało na uwadze swoje interesy, więc nie należało oczekiwać zbytniej szczerości. A jednak Żmija odpowiedziała, nie patrząc na niego:

- Dokładnie na tyle, żebym nie miała złudnych nadziei i dziękowała bogom, że zetknęli mnie z panem, a nie z pańskim czcigodnym kuzynem. Nie znoszę polityki, laro, i nie chcę się do niej mieszać, ale los zdecydował inaczej.

Zapadła dłuższa chwila milczenia.

- Przy okazji, co mamy zrobić z ciałem Arejna? - spytał przemieniec jakby mimochodem.

- O, już z ciałem? - zdumiała się demonstracyjnie śledcza. - Szybko działacie, laroje...

W głosie człowieczki nie było słyhać rozdrażnienia czy niezadowolenia, a to znaczy, że niespecjalnie martwił ją los kahe. A Raen się zadręczał, nie wiedział, jak ma jej powiedzieć, że południowiec niespodziewanie zmarł w trakcie

przesłuchania... gdy Sen kae Werr przeliczył się z siłami i zbyt mocno zacisnął szczękę. Ogólnie był wyjątkowo zrównoważonym przemienicem, zawsze podejmował świadome decyzje. Południowca również zagryzł całkowicie świadomie... ale nie należało wtajemniczać lare Tyen w szczegóły śmierci Arejna.

- Tak się złożyło... nieszczęśliwy wypadek - wyjaśnił Raen.

- No tak, rozerwane gardło to widoma oznaka nieszczęśliwego wypadku, któż mógłby zaprzeczyć. Zdążył pan uzyskać i zaprotokołować zeznania? - dorzuciła człowieczka.

Naprawdę nikt by nie powiedział, że ta Żmija jest ludzką kobietą. Nie ta osobowość. Mówisz jej, że kogoś zamordowano, a ona pyta rzeczowo, czy zdołałeś wszystko z niego wycisnąć. Żadnego poczucia winy ani kropli współczucia. Śmierć byłego przyjaciela również przeżywała całe pół godziny - tyle czasu potrzebowała stalowa Żmija, żeby się całkowicie uspokoić i zupełnie zapomnieć o tym, co się stało.

Nie, takiej beznamiętności nie spotyka się u ludzi. Takie bywają królowe elfów. Ryś miał okazję widzieć jedną z nich. Kilka tysięcy lat życia i panowania. Żadnych pragnień, uczuć, namiętności. Co z tego, że piękna niczym porcelanowa figurka, skoro nie masz najmniejszej ochoty podejść bliżej, zupełnie jak do wielkiej pajęczycy zastygłej pośrodku swojej sieci.

Możliwe, że wydanie jej za męża za kóregoś Orona nie było najlepszym pomysłem. Taki związek nie przyniesie potomstwa, ludzka kobieta nie jest w stanie donosić przemienca. No i, jakkolwiek by patrzeć, mąż tej gadzinie nie jest potrzebny.

- Tak, lare. - Skinął głową. - O to może się pani nie martwić.

- A co z tym zabójcą, którego wzięliście razem z kahe? Nazywał się Martin...

Martin? Ach tak, tego typa również patroszyli, powiedział wiele ciekawych rzeczy...

- Wytrząsnęliśmy z niego wszystko, co się dało - oznajmił Raen, nie wdając się w szczegóły „wytrząsania”. Najemni zabójcy są związani licznymi przysięgami, których uparcie nie chcą złamać. Ale do każdego można znaleźć właściwe podejście.

- Duszę również? - uśmiechnęła się dziewczyna.

- Hm... - chrząknął przemieniec. - Nie, dusza jest na razie na swoim miejscu.

- Na razie? - Żmija spojrzała na niego zaskoczona.

- W zależności od tego, lare, czy potrzebuje go pani, czy nie.

- Chyba nie - odparła, metodycznie wygładzając suknię na kolanach. Delikatne dłonie wydawały się mleczno-białe na tle tkaniny. Lare nosiła ciężki pierścień, który sprawiał, że palce zdawały się jeszcze szczuplejsze niż w rzeczywistości. - Ale mam nadzieję, że tym razem wszystko odbędzie się zgodnie z prawem?

W głosie lare Tyen zadźwięczała złośliwość.

- Trzeba by się bardzo starać, żeby powiesić człowieka z sową na rękę niezgodnie z prawem - odparł przemieniec tym samym tonem.

- Mam tylko nadzieję, że Martinowi nie przydarzy się ten sam nieszczęsny przypadek co lare Arejnowi. I proszę zauważyć, że nie pytam, kto konkretnie zagryzł tego kahe.

Czarujące.

- I słusznie, bo i tak nie odpowiem. Jesteśmy na miejscu! - oznajmił lare Raen, gdy kareta stanęła.

- A co z informacjami, które wyciągnął pan ze zmarłego? - w głosie lare śledczej zaskoczenie mieszało się z rozdrażnieniem.

- Jeszcze dzisiaj przyślę kogoś do pani - zapewnił Raen, podtrzymując pod rękę schodzącą ze schodka lare Rinnelis. W tej chwili mógłby jej obiecać nawet gwiazdkę z nieba, byle tylko uwolnić się od jej towarzystwa.

Rinnelis Tyen nadal pachniała jak świeży trup. Obrzydliwa cecha, która wyprowadzała z równowagi zwierzęcą połowę Raena.



Kae Oron rzeczywiście przysłał mi protokoły przesłuchań - godzinę później, w niepozornej teczce. Może tylko zakłęcie ochronne było podejrzanie mocne. Teczkę wręczył mi powściągliwy młody mężczyzna o charakterystycznie żółtych oczach, ubrany w fioletowy kolet.

- Kae Oron? - spytałam, zastanawiając się po raz kolejny, ilu krewnych wepchnął do Straży Trzeci Lord Rysiów i jak mu się to udało. Jeszcze trochę i człowiek będzie się w Illenie potykał o przemieńców na każdym kroku! Niesłychane.

- Kae Werr. - Pokręcił głową przecząco.

- Przynajmniej jakieś urozmaicenie - westchnęłam.

W jego oczach błysnęła wesołość.

- Miłego dnia, lare Tyen. - Przemieniec skłonił głowę. Mogłabym przysiąc, że zrobił to wyłącznie po to, żeby skryć uśmiech.

- Miłego dnia, laro kae Werr. Proszę przekazać moje najlepsze życzenia laro Raenowi.

Posłaniec kae Orona odwrócił się i pospiesznie skierował do wyjścia z gabinetu, ale i tak zdążyłam usłyszeć tłumiony śmiech.

No cóż, popatrzmy, na jakim poziomie stoi u przemieńców sztuka tortur... Arejn nie był Dłonią Śmierci, ale kahe generalnie są mniej wrażliwi na ból, poza tym nie wierzyłam, by nie rozumiał, że i tak go nie wypuszczą. Przemieniec, który zakosztował twojej krwi, nie rozewrze już szczęk...

Protokół został spisany równym, wyraźnym charakterem pisma, bez żadnych zawijasów czy innych cech szczególnych. Od razu widać, że to nie laro Raen go pisał, on nie powstrzymałby się przed przejawieniem swojej indywidualności.

Jak Jego Wysokość mógł dopuścić do obecności grupy dywersyjnej w samym centrum królestwa?! Już jeden przemieniec stanowił problem, a kilku? To już prawdziwa katastrofa!

Zagłębiłam się w protokół i po paru chwilach poczułam, że zaraz pęknę z dumy. Zeznania całkowicie potwierdzały moje domysły! To znaczy, że jednak nie dostawałam swojej pensji za nic. To się nazywa prawdziwa satysfakcja: mój umysł po raz kolejny mnie nie zawiodł, nadal jestem wyjątkowa w swoim fachu.

Zabójca dostanie to, na co zasłużył. Jeśli nie szubienicę (szlachciców nie wieszają), to na pewno topór katowski.

Ciekawe, w jaki sposób laro Raen osiągnął taką szczerość podejrzanego? Może powinnam go poprosić, żeby podzielił się tajemnicami zawodowymi? No chyba nie odmówi miłej dziewczynie korepetycji z torturowania?

Kopie protokołów z przesłuchania studiowałam bardzo uważnie, robiąc notatki. Mój przeciwnik praktycznie nie popełniał błędów, nie zostawiał punktów zaczeplenia,



dlatego szanse na zdobycie jakichkolwiek nowych informacji były znikome. Będę musiała wycisnąć wszystko, co tylko można i nie można, z zeznań laro Arejna.

To była interesująca lektura, zresztą zawsze wołałam protokoły od takich na przykład romansów. Żaden pisarz nie jest w stanie wymyślić nic ciekawszego od prawdziwych wydarzeń; rzeczywistość jest zbyt paradoksalna, w odróżnieniu od fikcji, zawsze nazbyt logicznej. Wyobrażnia to w ogóle zabawna rzecz, potrafi przedstawić tylko to, co uważa za możliwe; a świat gwizdże na „niemożliwość” i robi to, co chce i z kim chce.

Na przykład teraz. Przecież początkowo byłam niemal pewna, że ten człowiek jest niewinny, zbyt wiele zbiegów okoliczności. Jednak w czasie tortur nikt nie kłamie, nawet kahe - ostatecznie jego zeznania mogły zaszkodzić jedynie marnemu człowiekowi. Dom Torres był daleko i Straż nie mogła mu zagrozić. Nawet sam król nie był w stanie nic zrobić potężnemu i wpływowemu Domowi kahe. Jego Wysokość Henryk nie odważy się wprowadzić wojska na terytorium południowych stepów: kahe mogą walczyć między sobą, ale w przypadku zagrożenia z zewnątrz, zuchwałego wtargnięcia na ich suwerenne terytorium, połączą siły i odeprą napastnika - z takim zapalem, że najeźdźca straci kawał własnego terytorium.

A więc mam dowody, które były nie do obalenia pod względem treści i nie do przyjęcia pod względem formy. Niech demony porwą kategorię dopuszczalności, która staje mi już kością w gardle. Ale to nie ja spisywałam prawa, według których należy postępować. Sąd nie przyjmie niedopuszczalnych dowodów, a to znaczyło, że nie mogę się na nich opierać. Mam pewność popartą faktami i... i to wszystko. Całkowite i kompletne fiasko, które może stać się kropką na końcu mojej kariery śledczego.

Chyba że... chyba że zdobędę akceptowalne dowody. Właśnie! Potrzebuję szczerego wyznania winy albo zapisu słów podejrzanego, gdy on sam, bez żadnego nacisku, przyznaje się do popełnienia przestępstwa. Wówczas wyrok skazujący zapadnie szybciej, niż zdołam się zorientować, że sprawa została zakończona.

Moje usta rozciągnęły się w drapieżnym uśmiechu. Prowokacja! To, co wspaniale udało się w przypadku laro Riencharna, inteligentnego i doświadczonego kahe, z człowiekiem w moim wieku również powinno się udać. Co prawda nie mam pewności, że nie skręcą mi karku, zanim zrealizuję swój zamiar, ale nie pójdzie im ze mną tak łatwo, prawda? Nie na darmo „magia bojowa” figuruje w moim dyplomie jako druga specjalizacja.

Znakomicie. Pozostawało tylko zdobyć zezwolenie sądu na przeprowadzenie działań śledczych. Jeśli wparuję do czcigodnego laro z kryształem rejestrującym, ale bez odpowiedniego papierka, jego zeznania nic mi nie dadzą. Przeklęta dopuszczalność! Nikogo nie będzie interesowało, co czcigodny laro naopowiadał mi w przystępie szczerości. No więc podnosimy swoje marne ciało z fotela i idziemy pokłonić się sędziemu, wykorzystując fakt, że w sądzie mnie szanują, a może nawet cenią. Mam nadzieję, że na tyle, żeby nie wtajemniczać nikogo w moje plany. To nieprawda, że sędziowie nie biorą łapówek, trzeba tylko wiedzieć, ile i jak dawać.



- Gdzie jest kahe?! - Wściekłość dosłownie go rozsądzała.

Wszyscy milczeli, odwracając wzrok.

- Odnoszę wrażenie, że zadałem pytanie. A może tylko mi się zdawało?

- Zniknął... - wykrztusił ktoś. Głos był tak cichy, że nie dało się zgadnąć, do kogo należał.

Pierwszą jego myślą było: „Tyen, gadzina!”, ale przecież śledcza nie mogła dopaść ich południowego sprzymierzeńca, to niemożliwe! Przecież nie spotkali się na ulicy, do demonów, a Arejn nie był takim idiotą, żeby włączyć w łapy strażnikom! A może jego Dom postanowił wycofać się z tej sprawy i zawezwał nieludzia z powrotem, uznając, że nie ma sensu informować ludzkiego sprzymierzeńca o tej niewielkiej zmianie planów? Ci przekłęci kahe byliby do tego zdolni... Gardzą ludzkością w całości i każdym człowiekiem z osobna, uważając ludzi za istoty prymitywne, nadające się najwyżej na poślednie sługi.

Nie jest miło być błotem pod czyimiś nogami... I to nogami kahe, którzy przez szereg stuleci nie zdołali nawet stworzyć państwa! Żałosny naród.

- Macie go znaleźć. Nie obchodzi mnie jak, wydstańcie go choćby spod ziemi, jasne? A przynajmniej dowieźcie się, co się z nim stało!

Starannie przemyślany plan leciał w demony - delikatnie mówiąc. No cóż, przynajmniej przed opuszczeniem swojego sprzymierzeńca lare Arejn raczył powiedzieć wszystko, co trzeba, więc teraz mogą poradzić sobie bez niego. Mógłby wysłać gońca do Domu Torres w celu poznania szczegółów. Tak, tak będzie najlepiej.



Sędzia Quils był starszawym mężczyzną z dużą brodą, na której widok zieleniały z zazdrości nawet krasnoludy. Był posiadaczem pokaźnego brzucha, świadczącego o życiu w

spokoju i dostatku, i ciepłego, nieco filuternego uśmiechu. Wyglądał jak dobroduszny staruszek, taki Śnieżny Dziadek, który grzecznym dzieciom przynosił prezenty, a niegrzecznym - wezwania... W każdym razie takie było pierwsze wrażenie. I wszyscy dawali się na to nabrać. Nie lubiano go. Bardzo go nie lubiano, żeby nie powiedzieć: nienawidzono. Nie znał litości ani pobłażliwości, ferował wyroki ściśle z literą prawa, nie oglądając się ani na moralność, ani na sprawiedliwość życiową. Łapówki... Nie wiem, może brał, ale nikt nigdy nie złapał go za rękę - a jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo nasi pracownicy lubią przyłapywać kolegów na gorącym uczynku, to jednak o czymś świadczyło.

Lubiłam z nim pracować. W każdym razie ani moja logika, ani moje metody pracy nigdy go nie szokowały i często szedł mi na rękę. W sądzie miejskim nie nazywano go inaczej jak Stary Wąż - a dwa gady zawsze się dogadają.

Zwykle żeby mieć szczęście oglądać oblicze jakiegoś sługi sprawiedliwości osobiście, trzeba przesiedzieć na korytarzu co najmniej pół godziny - w przypadku laro Quilsa również obowiązywał ten zwyczaj. Jednak dla mnie zawsze robiono wyjątek - i przyjmowano natychmiast. Czy warto mówić, że mniej szczęśliwi śledczy, sterczący na korytarzu, tylko zgrzytali zębami?

- A więc jej zmiłowatość Tyen raczyła odwiedzić staruszka! - rzekł sędzia zamiast powitania. - No i co panią sprowadza, moja droga lare?

Ton laro Quilsa był zawsze złudnie łagodny. Teraz nawet podwójnie łagodny, czyli nie należało się spodziewać niczego dobrego. To nic, bogowie jeszcze mnie lubią...

- Sprawa służbowa. - Skłoniłam się, postanawiając starannie przestrzegać etykiety. - Jak zawsze.

Mężczyzna popatrzył na mnie z dziwnym, oceniającym wyrazem twarzy. Gdybym jeszcze wiedziała, co oceniał...

- Pani służbowa nadgorliwość odbije się kiedyś na pani zdrowiu, moja droga. Zupełnie pani o siebie nie dba.

Poczułam chłód. Kto jak kto, ale on na pewno nie mówiłby tego bez powodu. Czyli już wie, że moje sprawy, zwłaszcza sprawy służbowe, cuchną.

- Jak mogę myśleć o sobie, gdy w grę wchodzi dobro państwa? - Uśmiechnęłam się dobrotliwie, niczym błogosławiona z fresku w świątyni.

- Niech pani da spokój, lare Rinnelis - prychnął mój rozmówca. - Nie jestem komisją królewską i nie wymagam od pani dowodów wierności państwu i Jego Wysokości.

Spięłam się jeszcze bardziej i pamiętając wyczyn lare Esteli, zaczęłam się dyskretnie rozglądać, czy przypadkiem w gabinecie nie ma jakichś urządzeń rejestrujących.

- Nikt się nie dowie o szczegółach naszej rozmowy, może się pani nie denerwować, moja droga - zapewnił mnie staruszek.

Ciekawe, czy jest taki dobry w odczytywaniu wyrazu twarzy, czy to ja się tak odprężyłam?

- Dziękuję.

- Bardzo źle to wygląda?

- Jestem prawie trupem. - Wzruszyłam ramionami, tłumiąc westchnienie. Laro Quils nie był moją niańką, nie ma sensu próbować wzbudzić w nim litości. - Laro, potrzebuję pewnego dokumentu - wyznałam powód przybycia.

- Nakazu aresztowania? - spytał sędzia bez cienia zdumienia.

- Niestety, jeszcze nie. Zezwolenia na umieszczenie urządzenia podsłuchowego.

Policzki zaczęły mi płonąć, utkwiłam wzrok w podłodze. Dawno nie czułam się tak zawstydzona, chyba ostatni raz w dziewiątej klasie, gdy przyłapano mnie na wagarach.

- Ajajaj! - staruszek zareagował dokładnie tak, jak się obawiałam. - Lare Tyen, duma Straży, wzór do naśladowania, zwierciadło obiektywności i neutralności, zniża się do takich rzeczy!

Cóż mogłam odpowiedzieć? Tłumaczyć się, że zapędzili mnie w kozi róg? Wołać, że to nie moja wina, że nie dają mi pracować?

Wszystkich pretensji wysłuchałam w milczeniu i pokorze. Przecież zawsze nękali mnie przestępcy, a koledzy nigdy nie darzyli płomiennym uczuciem.

- Ma pan absolutną rację, laro. - Spuściłam głowę jeszcze niżej. - Wypisze mi pan zezwolenie? - zapytałam spokojnie.

- Wypiszę - westchnął sędzia. - Ale muszę powiedzieć, że rozczarowała mnie pani, lare.

- Postaram się zrobić wszystko, by odzyskać utracony szacunek, laro. - Zgięłam się w ukłonie, który bardziej odpowiadał Kodeksowi Straży niż obowiązującej etykiecie.

- Taką mam nadzieję, lare śledcza - rzekł laro Quils niemal uroczyście i sięgnął po papier.

Pięć minut wstydu i miałam zezwolenie. Reszta jest nieważna.

Teraz mogłam już odwiedzić szanownego laro, by porozmawiać z nim prywatnie. Umówię się z nim po drodze. Dosłownie czułam, jak do mojej krwi napływa adrenalina, przyspieszając bicie serca.

Czekający na korytarzu śledczy na sam widok mojego

uśmiechu zbledli i odwrócili wzrok. Wyobrażam sobie, co musiało się malować na mojej twarzy: mieszanina triumfu, złości i zapału myśliwskiego.

Właśnie za takie chwile kocham moją pracę. Jestem Rinnelis Tyen, najlepszy śledczy w tym zapomnianym przez bogów mieście, i świat leży u moich stóp. Kilka minut wszechpotęgi. Czy to mało?



Postanowiłam skontaktować się ze swoją ofiarą z tawerny - chwalić bogów, niemającej nic wspólnego ani ze Strażą, ani z przestępcami, bo zarówno pierwsi, jak i drudzy zdążyli mnie już zmęczyć. Nie mogę powiedzieć, żeby śledczego w mundurze witano tutaj z radością, raczej z lękliwą uprzejmością, spod której, niczym halka spod spódnicy, wystawało przerażenie. Tak, nie dało się ukryć, strażnicy w stroju urzędowym rzadko zjawiają się tylko po to, żeby zjeść obiad. Najczęściej albo przedstawiają oskarżenie, albo domagają się zapłaty za milczenie. Chociaż do takich zakładów przychodzą głównie niższe szarże, a śledczy mają szersze możliwości i wyciągają pieniądze od bardziej znaczących osobistości.

- Czego lara sobie życzy? - przeszedł do ataku właściciel zakładu, gdy nie doczekał się ode mnie żadnych działań. Kelnerzy woleli nie zbliżać się do śledczej na służbie, od razu znaleźli sobie mnóstwo spraw niecierpiących zwłoki.

- Lare - poprawiłam spokojnie właściciela, obrzucając go zawodowym, uważnym spojrzeniem. Ciekawe, czy

jest jakoś związany z zabójcą? Taak, Rinnelis Tyen, twoja paranoja postępuje w zastraszającym tempie. W tej knajpie nie byłam jeszcze ani razu, skąd przestępca miałby wiedzieć, że mnie tu demony przyniosą?

Właściciel spieszył się i posłusznie poprawił:

- Czego lare sobie życzy?

Ten gruby mężczyzna o czerwonej twarzy bladł stopniowo, co wyglądało nawet dość zabawnie, a jego dłonie kurczowo gniotły kaftan.

- Cichy kąt i porządny obiad. Mięso z ryżem i kieliszek białego wina.

- Wszystko wedle życzenia, oczywiście na koszt zakładu.

- O tym nie może być mowy - odparłam niezadowolona. - Zwykłam płacić swoje rachunki. Chyba nie chce pan oskarżenia o próbę wręczenia łapówki?

- Nie, lare, oczywiście, że nie! - zapewnił mężczyzna, potrząsając głową tak mocno, że jego pełne policzki zafalowały. - Zaprowadzę panią do oddzielnego pokoju.

- Dziękuję. - Skinęłam głową z dyżurnym uśmiechem i poszłam za swoim przewodnikiem, czując na plecach baczną i niezbyt życzliwą spojrzenia.

To śmieszne, ale kiedyś ta jawna antypatia działała mi na nerwy. Teraz byłam w stanie pozwolić sobie na taki luksus jak wzdorczywa obojętność. Cóż, gdy różne typy rzucają się na Ciebie z obnażonymi mieczami, złośliwe szeptki za plecami przestają mieć znaczenie.

Pokój, który mi udostępniono, był niewielki, ale przytulny i wygodny, i miał duże okno bez krat, co w mojej sytuacji było nie bez znaczenia. Ściany obito zielonym jedwabem - w każdym razie w miejscach wyeksponowanych, zza szafy wstydliwie wylaniała się satyna. Uśmiechnęłam się krzywo, zawsze to samo: niby luksus, ale jak się człowiek



przyjrzy, to widzi, że oszczędzano, gdzie się tylko dało.

Stół stał pod oknem, ułatwiając mi potencjalną ucieczkę. Wystarczy, że skoczę z krzesła na stół, potem otworzę okno - i szukaj wiatru w polu. Nie będę musiała szturmować w sukience wysokiego parapetu.

- Jest pani zadowolona? - spytał karczmarz, odrywając mnie od strategicznych planów.

- Całkowicie. - Skinęłam głową. - Dziękuję, może pan podać obiad.

Mam nadzieję, że tym razem uda mi się normalnie zjeść... i przy okazji porozmawiać z laro podejrzanym o ewentualnym spotkaniu. Tak jest, pora odsunąć pracę z jej wiecznie pierwszego miejsca, w przeciwnym razie spędzę resztę życia, uganiając się za przestępcami albo uciekając przed nimi.

Gdy już przyniesiono mi obiad, podwiesiłam kilka zakłec przeciw nazbyt wścibskim uszom, żeby odczytać personel podsłuchiwania klientów. Jednocześnie zablokowałam drzwi - przynajmniej nikt nie będzie mnie niepokoił. Tak się ostatnio przyzwyczaiałam do zamachów na moje życie, że ustawiałam środki ostrożności niemal odruchowo, bez zastanowienia. Gdybym się zastanowiła, nie ustawiałabym „muchobijki” piątego stopnia...



**D**ość długo nastawiałam się na tę rozmowę - zamieniłam z tym człowiekiem zaledwie kilka słów, niełatwo było mi przywołać jego obraz. W końcu zdołałam w przybliżeniu wyobrazić sobie mojego rozmówcę; miałam nadzieję, że z jego strony łączność będzie bardziej stabilna - musiał pamiętać, jak wyglądam, gdyby zapomniał, byłby to szczyt głupoty, a rozumu bogowie mu chyba nie poskąpili. Gdyby było inaczej, w tej sprawie występowałyby znacznie mniej trupów.

Na moje wezwanie odpowiedział dość szybko. To znaczy czekałam zaledwie pięć minut, w czasie których dawałam do zrozumienia, że domagam się uwagi czcigodnego i na pewno bardzo zajętego laro nie z pustej ciekawości. Ponieważ upór jest cechą dziedziczną mojej rodziny, przekazywaną po kądzieli z pokolenia na pokolenie, mój podejrzany nie miał szans. W końcu nie wytrzymał ciągłego naciśku mentalnego, skapitulował i przyjął wezwanie. No i nie można było tak od razu?

- Dzień dobry - powitałam swoją ofiarę, uważnie wpatrując się w obraz. Chciałam się dowiedzieć, jak czcigodny laro zareaguje na moje wezwanie. Śledczy nigdy

nie kontaktują się z nikim bez powodu, to fakt sprawdzony przez stulecia istnienia Straży. Nawet absolutnie praworządny obywatel po prostu musi się zdenerwować i próbować ukorzyć. Dokładnie z tego samego powodu prości ludzie składają duchom drobną ofiarę, licząc na to, że poświęcając coś niewielkiego, zdołają zachować coś dużego. Mówiąc prościej, ludzie próbują zaskarbić sobie przychylność pracowników Straży niczym jakichś drobnych biesów - każdy człowiek ma na sumieniu jakiś grzeszek zapewniający bezsenne noce.

Mój rozmówca był tak niewzruszony, że poczułam pragnienie natychmiastowego wezwania patrolu. Laro uśmiechał się bardzo serdecznie i nawet jakby szczerze, dosłownie promieniując radością z powodu niespodziewanego kontaktu ze mną. Czy naprawdę myślał, że do tego stopnia jestem niezorientowana, że kupię ten spektakl jednego aktora? Co za zarozumiałość... Na prośbę spotkania przystał z gorliwością sugerującą albo wyjątkową głupotę, albo przygotowany podstęp, mający doprowadzić do mojej śmierci, przy czym to drugie było bardziej prawdopodobne.

Byłam tak zmęczona całą tą sprawą zabójstwa lare Ayrel, że nawet mój zwykły zapał ostygł. Pozostało z niego tylko pragnienie zakończenia tego wszystkiego jak najszybciej. Zamknąć sprawę i wziąć urlop. Wyjechać gdzieś, gdzie jest morze i słońce, gdzie nikt mnie nie zna.

Tak, dokładnie tak. Jutro odwiedzę czcigodnego poddanego królestwa Erol i jeśli wszystko pójdzie dobrze, to dwa dni później już mnie tu nie będzie. Odsunę się od spraw na trzy miesiące, miałam niewykorzystany urlop z trzech lat pracy w Straży.

Choć może najpierw doprowadzę śledztwo do końca, a dopiero potem zacznę snuć takie plany. Załatwię zabójcę i zacznę się zastanawiać nad odpczynkiem. A na razie do pracy, lare śledcza, nikt nie rozwiąże za ciebie twoich problemów.

Doszedłszy do takich pozytywnych wniosków, z przyjemnością skończyłam obiad i skierowałam się do wyjścia z pokoju, uspokojona i całkowicie gotowa do nowej rundy walki o praworządność.

Gdy otworzyłam drzwi, ze zdumieniem ujrzałam leżących na podłodze kilku nieprzytomnych pracowników karczmy. Tak... Wścibstwo to niewielka wada, ale czasem naprawdę nie popłaca... A „muchobijka” okazała się zbyt mocna.

Nie czekałam, aż pokrzywdzeni dojdą do siebie albo aż właściciel zakładu urządzi mi awanturę, opuściłam gościnne progi z niezależną i dumną miną świadczącą o tym, że nie tylko miałam prawo użyć zaklęć bojowych przeciwko ludności cywilnej, ale mogłam wymyślić coś znacznie gorszego. Dobrze, że się nie przedstawiłam... Wyobrażam sobie miny kolegów, gdyby któregoś pięknego dnia ktoś zjawił się w wydziale, oskarżając mnie o nielegalne użycie magii.



Tego dnia, gdy Riencharn widział dijes śledczą razem z przemieńcami, dziewczyna nie wyszła z budynku - w odróżnieniu od demonowych przemieńców, którzy wypadli na ulicę całą hurmą, ciągnąc za sobą Arejna i człowieka, spakowanych jak prezenty na Dzień Końca Roku. Z jednej strony kahe cieszył się, że widzi tego łajdaka Sareta

związanego, z drugiej czuł irracjonalny niepokój o dijes Rinnelis.

Na Przodków! Co go obchodzi ta ludzka gadzina?! Przecież nie był jej nic winien! A mimo to kahe poczuł idiotyczne pragnienie, żeby wejść do tego domu, w którym dijes Tyen była z przemieńcami, i poszukać... Czego? Ciała? Nie, stanowczo Riencharn wolałby znaleźć dijes śledczą żywą - chociaż sam nie wiedział dlaczego. Setki razy marzył o uduszeniu tej żmii własnymi rękami, jednak teraz, gdy zawisała nad nią groźba śmierci, zaczął się o nią martwić.

Z wizyty w porzuconym domu Aen zrezygnował dopiero wtedy, gdy przypomniał sobie o Taellonie. Jeśli on, Riencharn, da się złapać teraz, zanim wykona daliss, to okaże się, że wszystkie te niebezpieczeństwa przetrwali na darmo. Bez względu na to, jak kahe odnosił się do dijes Rinnelis, bez względu na to, co do niej czuł, powinien przede wszystkim myśleć o Taelu, a pojęcie obowiązku w południowych Domach znano nie tylko ze słyszenia.

Przez całą noc i następny ranek kahe dręczyła niepewność, co się stało ze Żmiją. Nie odchodził od okna na strychu, przez które widać było przeklęty dom, ale nikt stamtąd nie wyszedł - czyli przemieńcy zabili dijes i jej ciało zostanie znalezione dopiero za kilka dni, gdy zacznie się rozkładać. Idiotyczna śmierć dla tak śmiałej, odważnej kobiety.

O, Raen kae Oron jeszcze odpowie za śmierć dijes Tyen! Jeśli Riencharn nie zdoła zemścić się sam, przekaże tę zemstę swojemu rodowi - na pewno wielu zapagnie wyrównać rachunki z kuzynem Trzeciego Lorda. Aen zastanawiał się właśnie, jak przekaże swoją wolę krewniakom, gdy

nagle do niego dotarło: zaczął traktować dijes tak jak swoich krewnych! Było mu przykro, że nie żyje, i szukał sposobu, żeby zemścić się na zabójcach, zupełnie jakby to był Tael albo... Sofia.

Nim kahe zdołał rozeznąć się w swoich uczuciach, ujrzał przedmiot swoich rozmyślań, cały i zdrowy, nienaturalnie szybko idący ulicą. Riencharn poczuł taką ulgę, że aż go to rozbawiło. To on niemal ją opłakał, a dijes po prostu opuściła budynek za pomocą magii! No tak, jak mógł pomyśleć, że jacyś tam przemienicy są w stanie odestać dijes Tyen na tamten świat i pozostać przy życiu?

Rinnelis Tyen wyglądała na zmęczoną, ale zupełnie zdrową, a nawet aktywną, niczym pies gończy, który złapał świeży trop. Riencharn bardzo chciałby wiedzieć, co dzieło się teraz w głowie dijes śledczej... Może podczas, gdy on gnił na strychu, nie bardzo wiedząc, co począć, dijes śledcza dowiedziała się, kim jest zabójca? Stanowczo ucieczka z domu dija Tiany nie była dobrym pomysłem - teraz musi siedzieć i zgadywać, co zdążyła odkryć człowieczka... Ale przecież zawsze może ją śledzić! Kahe uśmiechnął się chytrze i gdy szczupła postać w fioletowym stroju zniknęła z pola widzenia, wyszeptał w ślad za nią cztery wersy.

„Właśnie tak, moja droga dijes. Teraz już pani nie zgubię”.

Dziewczyna wprawdzie zna kaheily i magię Słowa, ale to jeszcze nie znaczyło, że zdoła wychwycić słabiutkie zakłęcie śledzące, które właśnie rzucił na nią Riencharn. Magiczny wzór dotarł do człowieczki i zgrabnie wpasował się w sploty jej strumieni magicznych, jakby zawsze tam był. Kto zauważyłby maleńką, półprzezroczystą nitkę w motku kolorowej przędzy? I kto by jej tam szukał?



Gdy zjawiłam się w domu rodziców, powitano mnie ze zdumieniem. No tak, przez ostatnie kilka dni wracałam zmęczona i rozdrażniona, a dzisiaj promieniałam zadowoleniem z siebie i życia, co było dla mnie nietypowe.

- Wszystko w porządku? - zapytała mama na wszelki wypadek.

- W jak najlepszym. - Uśmiechnęłam się niemal szczęśliwie, czując, jak zalewa mnie duma. Praktycznie chwyciłam przestępcę za gardło, pozostawało tylko zaciśnąć palce i ostatecznie odciąć mu dopływ powietrza. Miałam powody do zadowolenia.

- A o wuju nic nie wiadomo? - Naturalnie, kiedy tylko laro Taellon usłyszał mój głos, zszedł na dół, żeby dręczyć mnie pytaniami. Pewnie mama znów obarczyła wysoko urodzonego kahe ciężką pracą, żeby nie pętał się pod nogami i nie planował ucieczki. Nic dziwnego, że chwytają się każdej możliwości uniknięcia reedukacji, nawet jeśli miałyby to oznaczać rozmowę ze mną.

Śmiałość laro Aena nieco mnie zdumiała - przecież nie dalej jak wczoraj urządziłam mu taki pogrom... Chyba liczył na mój nienaturalnie dobry humor - i nie pomylił się. Dzisiaj byłam łaskawa i nie miałam chęci znęcać się nad siostrzeńcem laro Riencharna. Można nawet powiedzieć, że współczułam młodemu kahe. Odrobinę.

- Nie, laro Taellonie, pański krewny nie odwiedził mnie, a ja nie mogę przecież ogłosić, że jest poszukiwany. Bardzo możliwe, że będzie pan musiał sam wrócić do ojczyzny.

Na twarzy kahe pojawiło się szczere zdumienie.

- Wracać? Do ojczyzny? - powtórzył, siadając na

taborecie. Chyba nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- A co w tym dziwnego? - Wzruszyłam ramionami. - Czy nie mówiłam, że jak tylko dorwę przestępcę, będziecie mogli opuścić Erol?

- Mówiła pani, laro Rinnelis, ale... nie bardzo w to wierzyłem. Oprócz tego myślałem, że dochodzenie się przeciąga...

- Przeciągało się - poprawiłam laro Aena ze źle ukrywaną dumą. - Może się pan w wolnej chwili pomodlić do swoich przodków za ród kae Oron. Gdyby nie pomoc Rysiów, jeszcze długo męczyłabym się nad tą sprawą.

- To nasi wrogowie - pokręcił głową nieludź. - To nie w porządku...

W tej chwili laro Taellon przypominał mi adepta pewnej starożytnej ludzkiej religii, która za cel stawiała osiągnięcie objawienia. Można powiedzieć, że laro Aen już je osiągnął - w każdym razie z dużym trudem reagował na otaczający go świat.

- Ale... co z wujkiem? - wykrztusił ze dwie minuty później, prawie płacząc. - Jak mógłbym go tu zostawić?

Mama westchnęła, a ja przygryzłam wargę, powstrzymując się od ostrej odpowiedzi, policzyłam w myślach do dziesięciu i odparłam:

- Nie powinien się pan przejmować losem wuja. To nie pański problem. W odróżnieniu od pana laro Riencharn jest dorosłym mężczyzną, który sam odpowiada za swoje czyny. Skoro w imię zemsty postanowił zaryzykować własne życie, może pan spokojnie pozostawić go jego własnemu losowi.

- On... postąpił słusznie - wykrztusił Taellon. - Postąpił właściwie, idąc drogą daliss. Tak zrobiłby każdy kahe, nawet przywódca Domu Erris.

- A więc uważa pan, że to normalne: porzucić na



pastwę losu młodszego krewniaka i pobiec się mścić za człowieka? Albo pan kłamie, laro, albo czegoś pan nie rozumie. Pański wujek powinien przede wszystkim zatroszczyć się o pańskie bezpieczeństwo, a dopiero potem myśleć o zemście za śmierć ukochanej. Ona nie była kahe, w odróżnieniu od was, a więc wszystko, co się z nią wiąże, ma drugorzędne znaczenie. Stawiając na pierwszym miejscu daliss, laro Riencharn sprzeniewierzył się obyczajom Południa, wiem, co mówię. A co za tym idzie - nie musi się pan martwić o swojego krewnego.



Słowa lare Rinnelis nie mieściły się Taelowi w głowie. Nie jest nic winien wujowi Riencharnowi? A przecież... przecież to rzeczywiście prawda! Teraz, po wyjaśnieniach człowieka, Taellon zrozumiał, że Rinnelis Tyen miała rację! Obowiązek wobec Domu powinien stać ponad obowiązkiem wobec krewnego, a obowiązek wobec krewnego - ponad obowiązkiem wobec śmiertelnika, bez względu na to, kim był ten śmiertelnik. Wyruszając po śmiertelną kochankę, wujek najpierw zlekceważył obowiązek wobec Domu, a potem zdradził siostrzeńca, zostawiając go w rękach śledczej tylko po to, żeby zrealizować daliss. Mało tego, Riencharn zdradził go dwukrotnie - teraz i na początku, gdy zgodził się zabrać go do królestwa ludzi. Przecież mógł zmusić upartego krewniaka do pozostania: mógł go spić albo ogłuszyć i związać, polecając, by uwolniono go dopiero wtedy, gdy pogoń nie będzie już miała sensu... Było mnóstwo możliwości uniknięcia tych wszystkich problemów, jakie nastąpiły później, ale jego opiekun nie zatroszczył się o jego dobro.

Dlaczego nie zrozumiał tego od razu? Dlaczego tak długo zachwycał się Riencharnem, który jawił mu się niemal jako bohater ballady - silny, odważny, szlachetny... Przy bliższych oględzinach idol Taellona okazał się marną podróbką, pod cienką warstwą pozłoty kryło się topornie ociosane drewno.

Lare Tyen miała rację. Gdy tylko będzie można, Taellon porzuci to szcurze gniazdo i wróci na ziemię Domu. Nie będzie dłużej martwić się o kahe, który wzgardził zwyczajami i duchem Narodu Słowa.

Przez chwilę Tael myślał, że powinien podziękować lare śledczej za radę, która właściwie rozwiązała mu ręce. Ale potem uznał, że kahe noszący czerń nie powinien zniżać się do nisko urodzonej człowieczki.



Ku mojemu zdumieniu laro Taellon przestał się spierać i popadł w zadumę. Strasznie byłam ciekawa, do jakich wniosków dojdzie ten młody, niedojrzały umysł, co ostatecznie wybierze: wierność tradycjom czy wierność krewniakowi. Wiedziałam, jaką decyzję podjęłabym sama w takiej sytuacji, nie miałam żadnych wątpliwości, jak postąpiłby laro Riencharn, ale reakcja młodszego kahe była dla mnie zagadką. Za bardzo zależał od innych, zbyt chętnie podporządkowywał się cudzej woli, żeby można było z góry przewidzieć, jaką decyzję podejmie, zostając sam na sam z problemem.

Jedna jego decyzja była dla mnie wygodna, a mimo to wolałam, żeby podjął drugą... Laro Riencharn nie zasługiwał na zdradę ze strony bliskich. To byłoby niesłuszne, niesprawiedliwe, nie...

- Wróćę do domu, lare Tyen - oznajmił w końcu młody nieludź.

Tak szybko skorzystał z pozostawionej mu furtki... Kiedyś naiwnie sądziłam, że kahe najwyższą ceną wierność. Jak widać, niesłusznie. Chociaż pewnie ten chłopak szczerze wierzy, że ma rację, całą winę zwalając na swojego wuja, który ze wszystkich sił, nawet jeszcze w więzieniu, próbował chronić swojego siostrzeńca. Nie sądzę, by laro Taellon zrozumiał kiedykolwiek, że wybierał pomiędzy własną wygodą a przywiązaniem.

- To rozsądna decyzja. - Skinęłam głową, uśmiechając się.

Gdy młodszy laro Aen wyjedzie ze stolicy, automatycznie rozwiąże to kilka moich problemów.



Zaplanowane spotkanie z lare Tyen nie cieszyło. To było święto Przesilenia i wolałby spędzić ten dzień miło i przyjemnie, bez śledczych pod bokiem... Ale nie należało odkładać tego spotkania. Na razie ta suka nie ma przeciwko niemu nic prócz własnych domysłów, gdyby było inaczej, nie wpraszałaby się w gości, lecz zaprosiła go do siebie. A jednak coś musiało być na rzeczy, skoro się nim interesowała. Postanowione. Pozbędzie się jej od razu jutro, zanim śledcza podzieli się z kimś swoimi przemyśleniami. Lare śledcza miała reputację osoby przenikliwej i uczciwej, jej przemyślenia zostałyby wysłuchane i przyjęte do wiadomości, nawet jeśli Tyen nie ma żadnych dowodów. A to oznaczałoby koniec jego reputacji, koniec nadziei na świetlaną przyszłość.

Zapewne droga lare spróbuje go zmusić do zdradzenia się, choć tylko głupiec spodziewałby się, że ze szlochem

wyzna jej swoje grzechy i będzie prosił na kolanach o wybaczenie. Żmija nie była głupia... Ale jemu też nikt nie mógłby zarzucić braku inteligencji. Jutro lare Tyen wejdzie do jego domu, by już nigdy z niego nie wyjść.



Noc była niespokojna. Zasnęłam niemal od razu, gdy tylko położyłam się do łóżka, ale śniły mi się dziwne rzeczy. Widziałam laro Riencharna w białym stroju pogrzebowym, z obnażonymi chaezrami w rękach, widziałam ogarniętego płomieniem, ale jeszcze żywego Tarna i Lincha kae Orona, którego wprowadzie zupełnie nie znałam, ale byłam święcie przekonana, że ten mężczyzna wzgardliwie wydymający wargi i przyglądający mi się z niechęcią był właśnie Trzecim Lordem Rysiów. Nawet we śnie nie udało mi się zapamiętać o jutrzejszym spotkaniu.

Sen nie przyniósł odpoczynku i rano obudziłam się rozbita, chociaż chroniczne zmęczenie zostało nieco zagłuszone. To dawało mi nadzieję, że zdołam wykorzystać pełnię swoich sił.

Na samą myśl, że jeszcze dzisiaj wszystko się skończy, poczułam taką radość, że nawet uśmiechnęłam się serdecznie do swojego odbicia w lustrze. Lustro wcale nie stało się mniej mętne, a moja twarz bardziej pociągająca, ale za to poprawił mi się humor.

Ubrałam się ze zwykłą starannością, ale z okazji spotkania z moim drogim podejrzanym pozwoliłam sobie na luz w postaci rozpiętego kołnierza. Kto mnie zna, ten doceni ten gest, pozostali byli mi obojętni.

Długo zastanawiałam się nad tym, czy brać ze sobą miecz. Z jednej strony miałam straszną ochotę zabrać broń,

ale jak ją wnieść, żeby właściciel domu nie zauważył? Zresztą dowódca gwardii na pewno nie jest gorszym szermierzem ode mnie (taki fenomen był niemożliwy z założenia), a więc klinga mogłaby mi tylko zawadzać. To znaczyło, że będę musiała liczyć wyłącznie na magię. Przykre. Magia to subtelna materia i czasem zawodziła. Dobrze, będę przez całą drogę modlić się do bogów o powodzenie - a nuż usłyszają?

Do kieszeni stroju włożyłam kryształ, rodzony brat tego, którego użyła lare Estela. Zastanowiłam się i dla pewności włożyłam jeszcze jeden do kieszeni sukienki. Jeśli nie uda mi się aktywować jednego, będę miała w zapasie drugi, poza tym nic się nie stanie, jeśli uzyskane informacje będą w dwóch egzemplarzach.

Na szyi zawiesiłam kilka dość prostych amuletów, które nie powinny zacząć szwankować, wchodząc w kontakt z magiczną ochroną domu - a że ochrona będzie, gotowa byłam postawić swoje życie przeciwko zdechłemu kotu. Nie-wielka pomoc w rodzaju prostej „tarczy” zdolnej odbić atak fizyczny na pewno nie zaszkodzi... Chętnie wzięłabym coś mocniejszego, ale przecież nie wniosę po kryjomu amuletu teleportacji!

Właściwie powinnam spisać testament. Nie jestem pesymistką, po prostu zbyt dobrze wiem, czym się mogą skończyć takie awantury jak ta, w którą się właśnie pakowałam, a bez testamentu rodzice przemęczą się niejeden miesiąc, zanim dostaną mój „dobytek”.

Postanowione, kiedy tylko wrócę od podejrzanego, zajmę się kwestią swojego nagłego zgonu, póki jeszcze z potencjalnej przyszłości nie stał się nieprzyjemną terażniejszością. Tarn o tym nie pomyślał, a teraz dla niego było już za późno.

W domu wszystko było tak jak zwykle, żadnego napięcia przed decydującym (dla mnie) wydarzeniem: mama robiła na drutach w kuchni, obserwując kątem oka, jak laro Taellon szoruje patelnię. Moja rodzicielka od czasu do czasu udzielała chłopakowi bezcennych rad, młody nieładz z rozdrażnieniem łypał oczami, ale pokornie zmywał dalej. Sądząc po równomiernym stukaniu na górze, tata wreszcie zdecydował się naprawić przeciekający dach. Dawno należało to zrobić, takiej dziury nie da się załatać magią, w każdym razie nie na długo. No dobrze, ale czemu nikt nie przejawia choćby cienia niepokoju o mój los? Jedyne córka, można powiedzieć, rusza na walną bitwę z wrogiem, a rodzicom wszystko jedno...?

Ach, no tak, przecież nie uprzedziłam ich o swoich planach! Powiedziałam tylko, że wkrótce zakończę dochodzenie, to wszystko. No i bardzo dobrze... Mama i tak ma zszarpane nerwy po wielu latach pracy z dziećmi, niepotrzebne jej dodatkowe wstrząsy. Wrócę i wtedy wszystko opowiem. Albo nie wrócę... A wtedy to już kto inny będzie się martwił rozmową z moją rodziną.

- Zrób sobie śniadanie - rzuciła mama, nie odrywając się od robótki.

No proszę, ledwie przestałam przypominać trupa, a przestali mnie obskakiwać. Jeszcze chwila, a każą mi gotować! A taką miałam nadzieję, że pozwolą mi jeszcze trochę poleniuchować...

- Mhm... - Kiwnęłam głową i postawiłam na kuchence ronderek z zupą.

- Coś dzisiaj późno wychodzisz? - mama postanowiła podtrzymać rozmowę z dzieckiem. Dziecko doceniło jej heroiczny wysiłek.

- Nie idę do wydziału, jestem umówiona z pewnym laro - odparłam niedbale, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

- Czekać z obiadem?

Zastanowiłam się. Nie miałam pojęcia, ile potrwa rozmowa z podejrzanym, ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, to potem będę musiała odwalić kawał papierkowej roboty...

- Nie, mam. Na obiad na pewno nie wrócę, muszę potem jeszcze skoczyć do wydziału.

- Dobrze. Zrobić na kolację kurczaka w miodzie?

- Tak! - zawołałam, już się ciesząc na wspaniałą kolację. Bogowie, sprawcie, bym mogła jej skosztować...

Miałam dużo czasu, umówiłam się na drugą, a była dopiero dziesiąta. Mogłam spokojnie zjeść, porozmawiać z mamą... Musiałam jeszcze skontaktować się z Lerem - włożenie na terytorium wroga bez asekuracji byłoby szczytem głupoty.

Od czasu do czasu zerkałam na kahe. Taellon był spokojny i chyba zadowolony z siebie. Oto, jak upadają ideały! A ja myślałam, że przez noc chłopak zmieni zdanie i z samego rana urządzi mi awanturę z tłuczeniem naczyń i żądaniem ściągnięcia wuja choćby z tamtego świata. Nie urządził.



Ler nie wątpił w to, że jego przyjaciółka wybierze sobie najmniej odpowiedni moment do skontaktowania się z nim - jednak tym razem Rinnelis przeszła samą siebie.

Nieszczęsny alchemik właśnie dodawał do substratu reagent, gdy na krawędzi świadomości rozległ się cichy stuk. Chłopak zaklął pod nosem i kontynuował pracę, ignorując dźwięk. Parę minut później nieznajomy ponowił próbę, ale stuk nadal był tak samo cichy. Alchemik spojrział na kolbę, w której zaczęła przebiegać reakcja, i uznał, że skoro

nieznajomy zachowuje się tak dyskretnie, to może spokojnie poczekać ze dwie godziny. A nawet trzy. W końcu Ler musiał jeszcze zanotować wyniki doświadczenia i odesłać je do śledczego, który złożył zamówienie.

Ler generalnie lubił wszystko odkładać na później, zwłaszcza rzeczy nieprzyjemne, a rozmowa z nie wiadomo kim na pewno nie należała do przyjemności. Zresztą nie miał obowiązku marnować swojego czasu na jakiegoś obcego natręta. Trzecia próba kontaktu była równie dyskretna, ale gdy dzielny pracownik Straży ośmielił się ją również zignorować, na jego umysł spadł cios mentalny porównywalny z ciosem młota kowalskiego.

- Co za...? - Ler pogodził się z tym, co nieuchronne, i otworzył na swojego rozmówcę.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że należało zrobić to wcześniej, wtedy przynajmniej nie musiałby prowadzić rozmowy, leżąc na podłodze, zaś sprzęt laboratoryjny miałby szansę ocaleć. Teraz cenna kolba była roztrzaskana na kawałki, a roztwór rozlewał się brunatną kałużą niebezpiecznie blisko samego eksperta.

„Ja również chciałabym wiedzieć, po kiego... nie odpowiadasz” - rozległ się niezadowolony głos Rinnelis Tyen.

Risz najwyraźniej była rozdrażniona. Niedobrze... A jeszcze gorzej, że to on ją zdenerwował, za co oberwał po głowie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Tak, w normalnej sytuacji przyjaciółka wołała straszyć, nie kaleczyć.

- Ja... pracowałem, Risz. Wiesz przecież, że nie mogę się tak po prostu oderwać... - wyjęczał młody człowiek, czując, że ból przeszywa mu głowę. Gdy bogowie obdarzali lare Rinnelis siłą magiczną, najwyraźniej nie wzięli pod uwagę, jak odbije się to na jej otoczeniu. A może Żmija



to kolejna plaga zesłana przez siły wyższe - coś w rodzaju wojny czy moru?

- No i co, teraz się oderwałeś? - zapytała dziewczyna, wyraźnie napawając się własną złośliwością.

- Od ciebie nie można się oderwać... Co ty tak brutalnie?

- Ler, potrzebuję się z tobą pilnie skontaktować i natykam się na głuchą ścianę. Jak miałam to zrozumieć? - Rinnelis przeszła do ataku.

- Wybacz, byłem zajęty i nie wiedziałem, kto się do bija...

- Tak czy inaczej, zachowałeś się nieuprzejmie i poniosłeś za to karę - prychnęła.

Oczywiście mógłby podyskutować z Risz, które z nich zachowało się bardziej nieuprzejmie, ale to nie miało sensu i wróżyło nieprzyjemności. I tak nie zmusi jej do przeprosin.

- Co masz takiego pilnego, że nie żal ci było własnego przyjaciela? Mogłaś mnie okaleczyć, słońce... - burknął ekspert.

- Nie mogłam. Potrafię doskonale wyliczyć siłę ciosu, nie groziło ci nic prócz lekkiego bólu głowy.

Lekkiego!

- No dobrze, ale czego chcesz?

- Wsparcia siłowego.

- Że co? - nie rozumiał Ler. - Możesz wyjaśnić?

- Idę dziś na spotkanie, z którego mam spore szanse nie wrócić. Dlatego uważaj: jeśli nie skontaktuję się z tobą w ciągu piętnastu minut od chwili wejścia do pewnego budynku, wyślij tam grupę przejęcia - powiedziała sucho Risz.

- Jakim cudem miałbym zmusić resort siłowy do takiej akcji? Chyba zwariowałeś! Na jakiej podstawie mieliby się tam włamywać? - zawołał spłoszony ekspert. Za nielegalne wtargnięcie na pewno go nie pochwalą!

- Ler, nie panikuj. Jeśli nie skontaktuję się z tobą w ciągu kwadransa, to podstawa się znajdzie: co najmniej zamach na śledczego pełniącego obowiązki służbowe.

Słowa Risz docierały do niego przez całe dwie minuty.

- Rinnelis Tyen, ty chyba zwariowałeś!!! - wrzasnął, gdy zrozumiał, co planuje jego przyjaciółka. - Nawet o tym nie myśl!

- Ler, wszystko jest pod kontrolą.

- Pod jaką kontrolą, do demonów, skoro twierdzisz, że mogą cię zabić? - Nie mógł się uspokoić.

- Inaczej nie dorwę tego drania! Jest śliski jak piskorz i wywinie mi się, a jeśli pozwolę mu dalej przebywać na wolności, znowu spróbuje wysłać mnie na tamten świat. Już kilka razy usiłował mnie zabić, więc mój plan to jedyna możliwość skończenia tego wszystkiego za jednym zamachem! - Żmijka mówiła niemal błagalnie, a to znaczyło, że nic jej nie odwiedzie od tego idiotycznego pomysłu. Uparta jak baran, który zobaczył nową bramę w zasięgu głupiego łba.

- Dobrze, lare śledcza, mów, gdzie się wybierasz, załatwię to.



Riencharnowi było smutno. To był dzień Przesilenia i na ulicach kręcili się odświętnie ubrani, weseli ludzie. Wielu wybrało się rano do świątyni, kahe poznał to po białych

narzutkach, które śmiertelnicy zakładali, kontaktując się ze swoimi bóstwami. Pewnie myśleli, że zdołają ukryć nieczyste zamysły pod białą tkaniną. Dziwni by to byli bogowie, gdyby dali się tak oszukać... Ale Straż dzisiaj pracuje, czyli dijes Tyen na pewno nie będzie nosić żadnych białych szmatek. Już wolał ten budzący mdłości fiolet niż pogrzebową tkaninę. W białym dijes na pewno nie jest do twarzy, w przeciwieństwie do czarnego.

Teraz pewnie dziewczyna jest już w biurze, rzucając blady strach na swoich kolegów. Kahe odruchowo sięgnął do swojego zakłęcia - chciał się tylko dowiedzieć, gdzie teraz przebywa dijes śledcza, nie spodziewając się ujrzeć niczego szczególnego. Jednak okazało się, że człowieczka wcale nie jest ani w biurze, ani w domu, tylko idzie ulicą, i to dość szybko, w stronę Złotej Dzielnicy zamieszkiwanej przez arystokrację - gdzie przebywali wszyscy podejrzani dijes!

Południowiec poczuł prawdziwy zapach myśliwski. Niech dijes śledcza będzie przez chwilę jego gońcym, on dyskretnie pójdzie za nią. Choć pewnie nie dowie się niczego nowego, dziewczyna mogła wybrać się do Ayrelów, żeby wyjaśnić jakieś szczegóły albo zaplanować kolejne przesłuchanie, ale Aen nie miał już siły tkwić na tym przeklętym strychu. Aktywna natura Riencharna nie pozwalała mu po prostu siedzieć i czekać nie wiadomo na co. Był wojownikiem i mężczyzną, nie będzie więc czekał na zmiłowanie bogów, będzie walczył!

Kahe wysunął się z okna strychu i wszedł na dach, mając szczerą nadzieję, że w tym momencie nikt nie spojrzy w górę. Dachówka zatrzeszczała pod jego ciężarem, mściwie wbijając się w brzuch Aena. Ten wyszeptał zakłęcie odwracające uwagę - czary były lekkie niczym elfie koronki i tak

samo delikatnie otulały postać, odwracając uwagę potencjalnych obserwatorów, ukrywając nieczłowieka przed spojrzemiami gapiów. Można go było zobaczyć, ale nie zauważyć.

Riencharn szedł spokojnie, nie spiesząc się, wiedział, że dijes śledcza i tak mu nie ucieknie. Wolał, żeby przyszła na miejsce przeznaczenia jako pierwsza, wtedy nie zdoła go zauważyć.



- Dzień dobry, laro Veylinie, umawialiśmy się wczoraj na spotkanie, pamięta pan? - powitałam księcia.

Z Lerem skontaktowałam się minutę wcześniej, powiadając go, że wchodzę. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedzie. W przeciwnym razie będzie musiał wykosztować się na mój pogrzeb.

To dziwne, że sam gospodarz wyszedł na ganek, by mnie powitać... To w końcu dom szlachcica, nie sądziłam, by laro Veylin wychodził do każdego przybysza, który pragnął z nim porozmawiać. Czyżby tylko mnie honorował w ten sposób? Tym bardziej dziwne - szlachta zwykle gardziła śledczymi, uważając ich za sępy.

- Witam, lare. - Kuzyn zamordowanej Sofii Ayrel skinął głową. - Czekałem na panią.

Ostatnie słowa zabrzmiały złowieszczo, ale mimo wszystko weszłam za uprzejmym gospodarzem przez gościnnie - zbyt gościnnie - otwarte drzwi. Co innego mogłam zrobić? Moją kieszeń obciążał kryształ magiczny, dodając mi pewności siebie. Jego Ekscelencja na pewno coś wymyślił, ale nie sądziłam, żeby zdołał poradzić sobie ze śledczym, który ma za sobą setki godzin pracy w terenie i także setki kontaktów z przestępcami. W końcu jestem Rinnelis

Tyen, a to coś znaczyło.

Dom Veylina zdumiał mnie nienaturalną ciszą. Tu po prostu nie mogło być tak cicho. W dużym domu zawsze słychać najróżniejsze dźwięki: rozmowy służby, brzęk naczyń, tupot stóp... A ja słyszałam tylko odgłos kroków własnych i księcia. Nie powiem, żeby mnie to przerażało, raczej działało mi na nerwy.

- Zwolnił pan służbę? - spytałam w końcu. Nie znoszę niepewności.

Księżę zatrzymał się i spojrzał przez ramię, jakby chciał się upewnić, że nadal za nim idę. W jego oczach zastęły napięcie, palce na przemian zaciskały się i rozluźniały.

Denerwował się i nie był w stanie tego ukryć. Tak, nie pomyliłam się co do mojego podejrzanego. Gdybym jeszcze wiedziała, co mam uczynić z tą wiedzą...

- Dzisiaj jest święto, lare... - przypomniał Veylin.

Aha...

- I to był powód, żeby zwalniać całą służbę? - nawet nie próbowałam ukryć złości.

- Tak bardzo interesuje panią nieobecność służby? - rzucił z rozdrażnieniem, nadal idąc przodem.

- Bardziej interesuje mnie pan - odparłam z nienaturalnie łagodnym uśmiechem.

Oboje wiedzieliśmy, co się dzieje, więc nie miałam zamiaru udawać, że nic nie rozumiem. Zresztą i tak by nie uwierzył.

- Nie rozumiem, co mogło spowodować takie zainteresowanie ze strony pracownika Straży. - Wzruszył ramionami.

Nie odpowiedziałam. Cóż za idiotyczne zagranie! Od razu pomyślałam o laro Riencharnie - on przynajmniej nigdy nie zniżał się do zaprzeczania faktom.

Dłoń księcia odruchowo (a może specjalnie, kto wie) sięgnęła do rękojści miecza. Od razu zrobiłam krok do tyłu i w bok, odsuwając się z linii ciosu. Była to reakcja czysto odruchowa - w przeciwnym razie nie dożyłabym dzisiejszej rozmowy.

- Czemu tak się pan denerwuje, laro? - spytałam wprost, próbując w ten sposób zażegnać atak mężczyzny.

Książę Veylin skrzywił się, jakby nie rozumiał, do czego zmierzam. Jeszcze chwilę temu był absolutnie pewien, że ja wiem, że to on popełnił morderstwo. A teraz ogarnęły go wątpliwości.

Doskonale.

- To chyba naturalne, że ludzie denerwują się w obecności śledczego? - wybrnął książę. Klinga nadal pociągała go prostotą rozwiązania problemu, jednak mężnie pokonał pragnienie zaszlachtowania mnie już teraz.

- Naprawdę? - zdumiałam się. - Zawsze wydawało mi się, że uczciwi ludzie nie odczuwają żadnych negatywnych uczuć na widok pracownika Straży. A już pan, z pańskimi wpływami, absolutnie nie powinien się denerwować. Nieprawdaż, Ekscelencjo?

Zdumienie księcia nie miało granic. Z trudem stłumiłam uśmiech zadowolenia, który próbował rozpląnąć się na mojej twarzy jak plama oleju na wodzie.

- Czyżby podejrzewała mnie pani o zabójstwo kuzynki?

- Czyżbym miała ku temu powód? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie, trzepocąc rzęsami.

Laro Veylin nerwowo przełknął ślinę.

- Nie wydaje mi się - mruknął.

- No właśnie.

Taniec ze śmiercią daje niewyobrażalne, niewiarygodnie silne odczucia.

- Myślę, że najwygodniej będzie nam porozmawiać w moim gabinecie, lare.

- Jak pan sobie życzy. - Skinęłam głową. W zasadzie było mi wszystko jedno. Tak czy inaczej, byłam już w domu księcia, a w gabinecie sytuacja raczej nie zmieni się jeszcze bardziej na jego korzyść...



Kahe niczego nie rozumiał. Dijes weszła do domu tego młodzieńca, który jako pierwszy podszedł do nich na pogrzebie Sofii. Człowiek zrobił na Riencharnie sympatyczne wrażenie, południowiec nigdy by nie pomyślał, że to właśnie dije Jayberry zabił swoją kuzynkę. On był... był do niej zbyt podobny! A może dijes po prostu chciała się czegoś dowiedzieć?

Wrażliwy słuch kahe wychwycił dźwięk kroków z tyłu - na szczęście kocich kroków. Być może Riencharn nie zwróciłby na zwierzę uwagi, gdyby nie przeraźliwy miaukot, który kahe rozpoznałby wszędzie. Żaden szanujący się kot nie wydawał tak ohydneho, piskliwego dźwięku! Aen odwrócił się gwałtownie i złapał za skórę strażnika dijes, który nie wiadomo skąd się tu wziął. Szary zwierzak wił się, prycał i zaciekle drapał ręce kahe, ale Riencharn nie zwracał uwagi na te próby uwolnienia się.

- No i czego tu chciałeś? - spytał Aen.

Był pewien, że strażnik dijes zrozumiał pytanie - szkoda, że nie potrafił odpowiedzieć.

- Przyszedeś za swoją panią, tak? - kontynuował kahe.

Riencharnowi wydawało się, że kot jakby skinął głową - ale może to było tylko złudzenie?

- Dlaczego?

Na szarym pyszczku odmalowała się niepochlebna opinia na temat niskiego poziomu inteligencji kahe - na to pytanie nie dało się odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

- Dobrze, spróbujemy inaczej - nie poddawał się nie-ludź. - Twojej pani coś grozi? Dlatego się tu zjawiliś?

Skinienie.

- I jak chciałeś jej pomóc, pręgowana pomyłko bogów?

Mina kota wyrażała bezradność oraz gotowość walczenia o swoją panią do ostatniej kropli krwi. Niewielu wojowników mogło poszczycić się takim hartem ducha, jaki miał ten zapchlony dywanik, któremu można by przetrącić kark jednym ciosem.

- No, ty raczej nie uratujesz dijes - powiedział Aen bardziej do siebie niż do kota. - Więc ja spróbuję...

„Jeśli Rinnelis grozi niebezpieczeństwo w tym domu, to znaczy, że Sofię zabił właśnie Veylin!”





**Z**aczęliśmy wchodzić po białych marmurowych schodach. Kroki Veylina odbijały się dźwięcznym echem od ścian, ja dzięki pantoflom na miękkiej podeszwie stapałam tak cicho, że pan domu oglądał się co chwila jakby w obawie, że się rozmyślę i ucieknę. Przytrzymałam suknię z przodu, a tył ciągnął się za mną z cichym szmerem. Jednak ten dźwięk nie wystarczał księciu, ciągle miał wątpliwości, czy jestem z tyłu.

Przez witrażowe okna lało się światło słońca, rozplywając się po podłodze kolorowymi kleksami, zupełnie jakby ktoś rozlał farby na śnieżnobiałym kamieniu.

- Przyjemnie tu - powiedziałam po minucie ciężkiego milczenia.

Dom rzeczywiście był wspaniały, choć monumentalny, przez co bardziej przypominał rodzinny grobowiec niż ognisko domowe.

- Cieszę się, że się pani podoba, lare - padła powściągliwa odpowiedź.

- Mówiono mi, że był pan bardzo bliski swojej zmarłej kuzynce, laro - powiedziałam, ciekawa reakcji mojego rozmówcy.

- Kto pani to mówił?
  - Na przykład laro Ayrel, ojciec zamordowanej.
  - To prawda, dorastaliśmy razem - głos Veylina nie drgnął, ale wydawało mi się, że księżę zmylił rytm kroków.
- Byliśmy przyjaciółmi.

Ciekawe, czy ma wyrzuty sumienia? Rzecz jasna, „sumienie” to pojęcie przestarzałe, którego miejsce jest w lamusie, ale może...? Czy duch lare Sofii nie nawiedza go nocą? Pewnie nie. Księżę wyglądał kwitnąco, a więc raczej śpi spokojnie.

- Świadkowie twierdzą, że zmarła opowiadała panu niemal o wszystkim - rzuciłam na chybił trafił. - Czyżby kuzynka nie poinformowała pana o romansie z nieлюдziem?

Lubię zadawać nietaktowne pytania wprost - oczywiście na przesłuchaniach. Zwykle nieszczęśnik zmuszony znosić moje towarzystwo po takim pytaniu ma niepowtarzalny wyraz twarzy. Szkoda, że teraz mogłam oglądać jedynie plecy laro Veylina. I to, co poniżej.

- Sofia raczej nie rozmawiała ze mną o swoich uczuciach - powiedział ze smutkiem księżę, próbując ukryć się przed moimi pytaniami za maską bólu.

- Ale dlaczego laroje Ayrel twierdzą coś innego, laro? - zdumiałam się pokazowo. - Siostry zmarłej zapewniają, że Sofia nie potrafiła niczego utrzymać w tajemnicy, a pan zawsze wiedział, co dzieje się w jej duszy.

No, laro, niech się pan wytłumaczy! Chcę zobaczyć, jak bardzo wiarygodnie potrafi pan kłamać.

- Być może Sofia rzeczywiście była ze mną bardziej szczerą niż z innymi - ku mojemu zdumieniu księżę przyznał mi rację, nie spierając się.

Niezła taktyka - uczciwy człowiek nie musi się z niczego tłumaczyć.

- I ani razu nie wspomniała ani o swoim południowym kochanku, ani o swoim stanie? - zapytałam niewinnie.

- Stanie? - powtórzył stropiony laro Terence. Wreszcie dowiedziałam się, jak wygląda szczerść w wykonaniu laro Veylina, w jego głosie zadźwięczała dziecięca intonacja, dłonie wczepiły się w kolet.

Czyli zmarła rzeczywiście nie wspomniała mu, że spodziewa się dziecka. Ciekawe, czy ten początkujący spiskowiec wie, czym mu to groziło?

- Tak, laro, lare Sofia spodziewała się dziecka, dziecka kahe. W związku z tym faktem pojawił się pewien problem...

- Jaki? - Szlachcic spiął się. Może znowu zmyliłby krok, gdyby nie to, że weszliśmy już na górę i laro Veylin zatrzymał się.

- Daliss, laro Jayberry. Teraz laro Dielran nie uspokoi się, dopóki osobiście nie poderżnie gardła temu, kto zamordował jego dziecko. Śmierć ludzkiej kobiety mógłby jeszcze wybaczyć, w końcu nie byli małżeństwem, a lare Ayrel była tylko człowiekiem, ale zabójstwo dziecka...

- Nadspodziewanie dobrze zna pani zwyczaje kahe, lare Tyen - zauważył Veylin. Pewnie miał zamiar nadać temu stwierdzeniu podwójny sens, ale głos mu drgnął i słowa zabrzmiały prawie beznamiętnie.

- Dziecięce hobby - odparłam z czarującym uśmiechem.

Książę skrzywił się.

- Niezbyt wiernopoddańcze.

O, jaki nieelegancki cios! To tak, jakby w odpowiedzi na ukłucie szpadą zaatakować rzeźnickim toporem. Drogi laro, czyżby wysiadały panu nerwy?

- Naprawdę? Cóż, ja mimo swojej pasji nie brałam udziału w spiskach przeciwko Jego Wysokości, nie zawierałam tajnych umów z południowcami. - Rozpromieniłam się. - Jestem czysta wobec Jego Wysokości i prawa Erolu tak bardzo, że czasem mnie samą to nudzi.

No i co pan na to, laro?

- Godne pochwały - odpowiedział książe i ruszył korytarzem.

Szkoda... A już myślałam, że rzuci się na mnie z obnażonym mieczem. Wówczas zyskałabym podstawy do aresztowania i moje problemy przestałyby istnieć. Kryształ w kieszeni pulsował miarowo, cała nasza rozmowa spokojnie się zapisywała.

Interesujący budynek. W środku wydawał się znacznie większy niż z zewnątrz. Zwinięta przestrzeń? Możliwe. Chyba powinnam liczyć zakręty, w przeciwnym razie sama się stąd nie wydostanę, a raczej nie mogę liczyć na to, że gościnnie gospodarz odprowadzi mnie do drzwi. Zapewne Jego Ekscelencja w ogóle się nie zgodzi, żebym stąd wyszła - skoro dla swoich wielkich planów poświęcił ukochaną kuzynkę, to jakąś tam śledczą wyśle na tamten świat bez mrugnięcia okiem.

Nie mając większego wyboru, szłam za księciem, starając się utrzymać równowagę na marmurowej podłodze. Nie cierpię marmuru z całej duszy: uniemożliwia szybką ucieczkę. Poza tym fałdzisty strój śledczego plus spódnica nie był najlepszą opcją w przypadku pojawienia się tak zwanych niespodziewanych okoliczności. Nie miałam wątpliwości, że wszystko może pójść inaczej, niż zaplanowałam - Veylin reagował zbyt powściągliwie, najwyraźniej szykował w zanadrzu jakąś podłość.

- Jak w ogóle znalazła się pani w Straży, lare Tyen? - spytał niespodziewanie mężczyzna, nie zatrzymując się. -

Praca śledczego jest chyba niezbyt odpowiednia dla młodej dziewczyny?

- Od dzieciństwa marzyłam o pracy w Straży, laro - odparłam. Kłamałam w żywe oczy, małe dziewczynki nie marzą o łapaniu przestępców, gdy dorosną. O losie śledczego zaczęłam myśleć w wieku dwunastu lat, gdy byłam jeszcze nie dorosłym, ale już całkiem rozumnym człowiekiem. - Ponadto, Ekscelencjo, mam raczej męską osobowość - dodałam - a młodość to jedyna wada, która mija z wiekiem. Moim zdaniem, nie ma powodów, dla których nie mogłabym pracować jako śledczy.

- I mimo swojego wieku i płci jest pani jednym z najlepszych pracowników Straży, lare Tyen? - zapytał.

Wzmogłam czujność. Wyczuwanie zagrożenia w ciągu lat pracy w Straży doprowadziłam do doskonałości i teraz wyraźnie czułam, że w mojej fioletowej skórze mogą się pojawić niepotrzebne dziurki. Hm... A może zabranie ze sobą ki'irtu wcale nie było takim głupim pomysłem, jak mi się wydawało?

- Intelkt i pilność potrafią zrekompensować takie wady, jak suknia czy młody wiek - odparłam, bezszelestnie robiąc krok do tyłu i w bok. Moje ciało wykonywało ten manewr praktycznie bez udziału świadomości. Nawet jeśli ksiączę nie spróbuje mnie zabić już teraz, wołałam zejść z linii ciosu.

- Czyli nie zjawiłaby się pani u mnie bez kryształu rejestrującego, prawda, lare? A może jednak powinienem nazywać panią... dijes? - wysyczał mój rozmówca.

Jego ręka skoczyła do rękojeści miecza, klinga błyskawicznie opuściła pochwę i spadła tam, gdzie stałam jeszcze przed chwilą.

Jednak intuicja mnie nie zawiodła!

Uśmiechnęłam się krzywo. Zaraz zobaczymy, kto tu jest słabą płcią! Magią bojową władałam w stopniu wystarczającym, by ostudzić zapal przestępcy.

Nie miałam zamiaru zabijać laro Veylina, z żywym podejrzany jest znacznie mniej kłopotów niż z jego trupem. Demonicznie dużo czasu zajmuje udowodnienie zwierzchnictwu, że zabiło się przestępcę w obronie własnej, a nie zarzęnęło z nudów bogom ducha winnego człowieka.

Na Jego Ekscelencję wystarczy „sieć”... Palce same układały się w potrzebne gesty, w świadomości rozbrzmiewały niezbędne słowa... ale siła magiczna nie odezwała się - zupełnie jakby jej tam nigdy nie było. Jakbym była najzwyklejszym człowiekiem, a nie OBDARZONA..

W oczach Veylina zapłonęła złośliwa radość. Znakomicie... Naprawdę świetnie, niech demony porwą moje zarozumiałstwo. Skoro ja szykowałam się do naszego spotkania, to czemu nie pomyślałam, że mój przeciwnik również wszystko uwzględnił i przygotował dla mnie coś więcej niż miecz przy pasie?

- Nie udaje się, lare? - spytał mężczyzna z udawanym współczuciem. Aż mnie skrzyło od tej jawnej złośliwości. Bydlak! Wiedział, że mam tylko magię, że mogę się bronić wyłącznie nią... Ale brak magii to jeszcze nie powód, żeby dać się zarzęnąć. Ciekawe, co zrobił, czego użył? Veylin nie był magiem, to na pewno, musiał wykorzystać jakieś amulety czy artefakty.

A tymczasem laro Jayberry z paskudnym wyrazem twarzy i obnażonym mieczem szedł na bezbronną dziewczynę - to znaczy na mnie. We wszystkich legendach w takiej chwili zjawiał się rycerz albo ktoś w tym rodzaju i zabijał łajdaka. Niestety, ja nie przypominałam pięknej dziewczoi - już

prędzej zmiję z wyrwanymi kłami, która zapragnęła powalczyć z innym gadem. Całkowity brak romantyki, więc nie ma co liczyć na baśniowe rozstrzygnięcie sytuacji.

Przed pierwszym ciosem - ani szybkim, ani eleganckim - uchylałam się bez trudu. I mimo to po mojej skórze przebiegł dreszcz - zrozumiałam, że wszystko dzieje się na serio, że jeśli teraz popełnię błąd, to już koniec. Dostrzegłam wysoki stolik z pięknym porcelanowym wazonem, w którym stały wspaniałe czerwone róże. Najpierw w księcia poleciał wazon (poczułam mściwą satysfakcję na myśl, ile musiał kosztować) i natrafił na wystawiony miecz. Na laro Veylina spadł przysznic z dodatkami płatków róż. Wykrochmalona serweta przykrywająca stół znalazła się w zupełnie nieodpowiednim miejscu: na głowie swojego właściciela. Dla zwiększenia efektu pod nogi zabójcy pchnęłam jeszcze stolik. Mebel nie był lekki, ale ja nigdy nie byłam słaba, a sytuacja wymagała zdecydowanych posunięć.

Manewr został zwieńczony sukcesem - książę potknął się o stolik i upadł, a ja pobiegłam w tym kierunku, gdzie jak sądziłam, powinno być wyjście. Złapałam spódnicę w garść, w biegu próbując użyć zakłęcia - jakiegokolwiek, choćby najsłabszego! Daremnie. Nadzieja na to, że magię zablokowano tylko w jednym miejscu, umarła. Prawdopodobnie ochronę umieszczono na poziomie fundamentów, w starych domach arystokracji tak się zdarza... Ale, niech mnie demony porwą, przecież ten dom został zbudowany zaledwie dwadzieścia lat temu! Wszystko wskazywało na to, że cała ta sprawa zakończy się moją śmiercią... Usłyszałam kroki, na razie jeszcze daleko, ale wiedziałam, że już niedługo książę mnie dogoni. Dlatego zignorowałam klucie w boku i przyspieszyłam, znowu myśląc o tym, że

lekceważenie biegów i lekcji fechtunku w akademii nie było najlepszym pomysłem mojego życia.

Uciekanie w sukni było potwornie niewygodne, ale nie miałam wyboru: mogłam albo biec ile sił, albo dać się zabić. Jak mogłam tak wdepnąć! Tak głupio, tak idiotycznie się narazić! Teraz muszę uciekać po korytarzach cudzego domu, ze świadomością, że przeciwnik ma w ręku wszystkie atuty.

Nie chcę umierać. Jestem zbyt młoda, żeby umierać. Mam zbyt wiele powodów, żeby żyć!

Brakowało mi tchu, a nogi ciągle próbowały zaplątać się w długiej sukni, ale nie mogłam pozwolić sobie na taki luksus jak zatrzymanie się czy upadek. Nie słyszałam Veylina, ale to nie znaczyło, że on nie widział i nie słyszał mnie. Musiałam biec na złamanie karku, odnaleźć wyjście, nawet jeśli szanse dostania się do niego były niebezpiecznie bliskie zeru. Nie poddam się, nie pozwolę, żeby ukręcił mi łeb jak kurczakowi!

Jeden korytarz następował po drugim w tym wyścigu ze śmiercią, już nie wiedziałam, gdzie jestem ani dokąd powinnam biec. Magia nadal była mi niedostępna.

Gdy wypadłam na schody prowadzące w dół, poczułam taką ulgę, że omal nie padłam na kolana. Żebym tylko się nie potknęła i nie przewróciła na schodach! Przeklęta spódnica, nigdy więcej nie założę tego potwornego, nie wiadomo przez kogo i po co wymyślonego draństwa, nadającego się wyłącznie do popełnienia samobójstwa! Pierwszy odcinek schodów pokonałam bez problemu, na drugim nadepnęłam na dół sukni i omal nie zleciałam, ale zdążyłam złapać się poręczy.

Z tyłu rozległy się ciężkie, złowieszcze kroki. Jayberry wcale się nie spieszył - taki był pewny, że mu nie ucieknę?



O nie, jeszcze zatańczymy! Nikt nie dostanie mojej skóry, a już na pewno nie jakiś arystokratyczny łajdak, który potrafi jedynie zabijać bezbronne kobiety. Śledczy ze stażem nie jest łatwą zdobyczą!

Zostały jeszcze dwa odcinki, a potem już parter, będę prawie uratowana...

Ciekawe, co Veylin przygotował na koniec? Nie wierzę, że nic, nie byłby taki spokojny, gdybym miała jakąkolwiek możliwość ratunku. A on był wręcz drwiąco powolny... Czyżby chciał mnie nastraszyć? Nic z tego, już dawno od-uczyłam się bać.

Jeszcze jeden odcinek. Półpiętro. Ostatnie stopnie, już niedaleko...

To niewiarygodne, ale potknęłam się na przedostatnim schodku. Moje życie jeszcze nigdy nie zrobiło mi takiego świństwa! Żeby pozbawić mnie ostatniej nadziei, gdy ratunek wydawał się tak bliski, niemal na wyciągnięcie ręki! Zwaliłam się na podłogę niczym worek ziemniaków i syknęłam od ostrego bólu w goleni, który od razu przeszedł w tępe łupanie. Cudownie. Jeśli nie złamanie, to na pewno zwichnięcie. A więc to już koniec ucieczki. No dlaczego moje życie nigdy nie ma dla mnie w zapasie szczęśliwych przypadków?

- Doigrała się pani, lare? - zapytał z drwiącą uprzejmością mój prześladowca, manierycznie rozciągając samogłoski.

Resztkę sił zużyłam na zachowanie godności, co nie było łatwe, przecież spoglądałam na własnego przyszłego zabójcę z dołu. Moja bezradność doprowadzała mnie do szału. Miałam ochotę zgrzytać zębami, ale jedynie zacisnęłam szczęki, patrząc Veylinowi prosto w oczy, z całą pogardą, na jaką było mnie stać. Terence Jayberry parsknął śmiechem, najwyraźniej bawiło go moje położenie.

- Jeszcze pani kasa? - zapytał z obrzydliwą poufałością. - Sądziłem, że jest pani mądrzejsza. Ale jeszcze mogę się zlitować, jeśli spróbuje mnie pani przekonać...

Otworzyłam szeroko oczy. Co on plecie?

Swoją drogą, zawsze myślałam, że to, co piszą w powieściach o zbrodniarzach, to wyjątkowe bzdury. Przecież prawdziwi złoczyńcy nie prowadzą dyskusji z ofiarą, nie opowiadają, co skłoniło ich do popełnienia przestępstwa! A może jednak...?

- Odnoszę wrażenie, że nie do końca rozumie pan, z kim ma pan do czynienia. Nigdy przed nikim się nie poniżałam i dla kogoś tak żalnego jak pan nie mam zamiaru robić wyjątku.

- Mogę ściąć pani głowę w każdej chwili - rzekł ksiązę, niebezpiecznie zniżając głos.

- Może pan. Ale obawiam się, że nie zdoła mnie pan zastraszyć, nie zobaczy mnie pan płaszczącej się u pańskich stóp.

- Dość śmiałe twierdzenie, biorąc pod uwagę, że już leży pani u moich stóp.

Jego miecz znalazł się tak blisko mnie, że mogłam policzyć wszystkie szczyrby na ostrzu. Ładna klinga, szkoda, że w rękach łajdaka.

- Niech pan nawet nie próbuje mnie obrażać - odparłam. - Pańskiego ubożego intelektu nie wystarczy na obelgę, która byłaby w stanie mnie urazić.

A przecież do tej pory byłam pewna, że zaszczyt zabicia mnie przypadnie w udziale laro Riencharnowi. Cóż, gdybyśmy mieli okazję stoczyć prawdziwą walkę, bez odciągających uwagę czynników w rodzaju kajdan, jego siostrzeńca czy moich rodziców, mogłoby to być naprawdę porywające, a przede wszystkim ucziwe starcie. Nie miałabym wrażenia, że na skutek idiotycznego zbiegu okoliczności zabije

mnie zwykły nikczemnik, który nie byłby w stanie zmierzyć się ze mną w normalnej sytuacji.

- A jednak wystarczyło mi intelektu na to, żeby owinać sobie panią wokół palca - zaśmiał się ironicznie.

Bogowie... Jakże zmęczyła mnie ta rozmowa o niczym! Może lepiej będzie, jeśli zabije mnie jak najszybciej? Wtedy przynajmniej ominą mnie wyznania łajdaka stulecia...

- Podejrzewałam pana od czasu pogrzebu. - Wzruszyłam ramionami. - Jest pan kiepskim aktorem i popełnił pan tyle błędów, że nawet nie musiałam się długo zastanawiać.

Kłamałam w żywe oczy. W swoim czasie porządnie się nagłowiałam, ale pogniębienie Veylina to ostatnia przyjemność w moim życiu i miałam zamiar rozkoszować się nią, jak długo się da.

- Ach tak?

- Właśnie tak. Przy okazji, chciałam o coś zapytać... Nie boi się pan, że pewnej nocy obudzi się pan z klingą chaezra na gardle? Laro Aen jest bardzo zdecydowany w kwestii zemsty na zabójcy lare Ayrel.

- Tego bydlaka również dopadnę. Teraz gdy już nie będzie nikogo, kto mógłby osłaniać mu tyłek, to nie powinno być trudne - oznajmił, jak na mój gust zbyt zarozumiale; nawet ja nie powiedziałabym czegoś takiego o laro Riencharnie, a już ten piskorz, ta pomyłka bogów...

Mój sceptyczny uśmieszek stał się kroplą, która przelała czarę. Spiskowiec zamachnął się mieczem, a ja zamknęłam oczy. Nie, nie ze strachu, po prostu nie chciałam psuć sobie ostatnich chwil życia oglądaniem tej wykrzywionej gęby, od której mnie mdliło. To nic, prędzej czy później kae Oron

i tak się do niego dobierze, przemieniec nie przepuści takiej okazji zasłużenia się jak wykrycie spisku, więc można powiedzieć, że zostanie pomszczona... A Ler nie zostawi moich rodziców... Ileż myśli może człowiekowi przemknąć przez głowę w ciągu jednej sekundy.

W pewnej chwili poczułam falę powietrza na policzku, a potem tuż przy moim uchu rozległ się ogłuszający ni to brzęk, ni to zgrzyt. Uchyliłam się instynktownie.

Jeszcze nie zdążyłam zrozumieć, co się właściwie dzieje, a już załała mnie fala ulgi: żyję, żyję i będę żyć! Ktoś jednak zjawił się i mnie uratował! Ktoś pomógł mi w ostatniej chwili! Odturlałam się jeszcze dalej, usiłując nie zwracać uwagi na przeszywający ból w nodze, odwróciłam się i zobaczyłam mojego niedoszłego zabójcę niezgrabnie machającego mieczem i broniącego się przed napierającym wściekłym... kahe?! Skąd się tu wziął laro Riencharn?! Skąd go tu przyniosło - w dodatku w samą porę?

Widocznie starszy laro Aen należał do osób, które zjawiły się wtedy, gdy były najbardziej potrzebne.

Gdy już zrozumiałam, kim był mój zbawca, uspokoiłam się ostatecznie. Dłoń Śmierci na pewno zwycięży w pojedynku z jednym niezbyt utalentowanym człowiekiem, brak magii w niczym mu nie przeszkodzi. Dwa chaezry przeciwko jednoręcznemu mieczowi, który ściska drżąca ręka, to doskonały wariant. Z kahe Jayberry nie będzie dyskutował, w liliowych oczach zbyt wyraźnie płonęła obietnica mordy, bez względu na okoliczności. Nie, naprawdę kocham południowców z tym ich przywiązaniem do tradycji! Co za wspaniałe tradycje!

Zachciało mi się śmiać - człowiek, który jeszcze minutę temu trzymał miecz przy moim gardle, teraz sam znalazł się

w roli bezbronnej, skazanej na śmierć ofiary. Zalała mnie fala parszywej satysfakcji. Nigdy nie cieszyła mnie perspektywa czyjeś śmierci, jednak zbliżający się koniec laro Veylina był prawdziwie szczęśliwym wydarzeniem.

Książę cofał się, odbijając ciosy nieładzia. Laro Riencharn na razie mu na to pozwalał - kahe bawił się człowiekiem jak kot myszą, wyraźnie się nad nim znęcając, pozwalając mu ujrzeć cień ratunku i od razu pozbawiając go tej nadziei. Laro Aen zdążył już kilka razy lekko zranić Veylina, mina kahe wyraźnie wskazywała na to, że przygotował się na długotrwałą rozrywkę - takiego luksusu jak szybka i lekka śmierć zabójca lare Sofii nie powinien się spodziewać. Nie zdziwiłabym się, gdyby kahe zaczął żywcem ćwiartować wroga, gdy ten już padnie z wyczerpania. Południowcy mają rytualne zabójstwa niemal na każdą okazję i żadne z nich nie pozwala ofierze uniknąć męczarni.

Zabawa w spisek państwowy i wciąganie do niej nieładzi może skutkować zejściem śmiertelnym. Każdy na tym świecie prędzej czy później musi zapłacić za głupotę lub podłość, laro Terence płacił właśnie za jedno i drugie. Kahe z daliss nie wolno lekceważyć.

A potem przypomniałam sobie coś, co sprawiło, że zamarło mi serce... Przecież laro Riencharn obiecał, że zabije mnie gołymi rękami zaraz po rozprawieniu się z zabójcą lare Ayrel...



Oto on, zabójca jego ukochanej kobiety, sprawca wszystkich nieszczęść i kłopotów Riencharna, Taela i dijes Rinnelis. Gdyby przyszedł chwilę później, dijes Tyen byłaby

martwa! Na samą myśl serce Aena ścisnęło się boleśnie. To był jeszcze jeden powód, żeby wysłać parszywca na tamten świat.

Odbił miecz Veylina niemal przy samej szyi dijes śledczej. Ta czekała na swój los z zamkniętymi oczami - nie rozpaczliwie zaciśniętymi ze strachu, ale właśnie zamkniętymi. Jej twarz była idealnie spokojna, jakby to nie ją akurat czekała śmierć. Stalowe nerwy i stalowe opanowanie. Dijos Tyen nie powinna była urodzić się kobietą. Ani w ogóle człowiekiem - to byłoby bardziej uczciwe w stosunku do jej przeciwników, gdyż nie przypisywaliby jej nieistniejącej słabości. Dziewczyna błyskawicznie zrozumiała, że ktoś przyszedł jej z pomocą, i szybko odturlała się, dając Riencharnowi swobodę działania.

A kahe nie miał już głowy do uratowanej kobiety, on już „tańczył” tak, jak może to robić jedynie Dłoń Śmierci nieznający litości. Przez cały ten czas przymusowo spędzony w towarzystwie dijes Rinnelis kahe pragnął się zemścić i z braku prawdziwego winowajcy swoich nieszczęść do szeregów wrogów dołączył również ludzką śledczą. Ale oto i on, zabójca Sofii, który chciał zniszczyć Riencharna, Taellona i cały Dom Erris. Za takie rzeczy płaci się krwią, a nikt lepiej niż kahe nie wystawi mu rachunku.

Człowiek bał się. Co za padalec, aż przykro na niego patrzeć. I to on zabił swoją kuzynkę, która tak mu ufała, zabił najczystsza, najłagodniejsza, najpiękniejsza... Riencharn gotów był poświęcić jej całe życie, a Veylin ją zabił! Bezlitosny, podły łajdak...

Ręce kahe poruszały się same, żyły własnym życiem. Sztukę władania mieczem już dawno doprowadził do doskonałości niewymagającej udziału mózgu. Człowiek wiedział, że zostanie zabity, a proces ten będzie długi i pełen

cierpienia. W domu nie było nikogo prócz Riencharna, księcia i Rinnelis. Łajdak usunął całą służbę, zastawiając pułapkę na dijes śledczą, a teraz sam w nią wpadł. Ironia losu... Sprawiedliwość jednak istnieje, po prostu trzeba umieć ją zauważyć. Sprawiedliwość kahe zawsze miała twarde pięści i ostre klingi, co Riencharm właśnie demonstrował.

Z ogromną przyjemnością ganiał przeciwnika po holu, od czasu do czasu zadając mu lekkie rany. Kahe potrafił bawić się z przeciwnikiem niczym urodzony sadysta i teraz prezentował to w całej okazałości. Veylin zdążył już pojąć, że z niego drwią, próbował gniewnie błyskać oczami, ale panika przemieniła to w żalospny grymas. Miecz w rękach człowieka był równie użyteczny co zapałka, a Riencharm Aen tańczył tak jak jeszcze nigdy w życiu. Wydawało się, że jest wszędzie, chaezry z drwiącym świstem ciężły powietrze, nogi poruszały się w rytm muzyki słyszalnej tylko dla kahe. Szanse? Jakie szanse mógł mieć Jayberry z oszalałym, przerażonym spojrzeniem, łajdak, który nie potrafił nawet umrzeć z godnością - zwłaszcza przeciwko jednemu z najlepszych szermierzy Domu Erris? Dłoń Śmierci Aen otrzymał po bitwie na Polu Achellijskim, gdzie oddział dwóch tysięcy kahe wpadł w zasadzkę przemieńców o dwukrotnej przewadze liczebnej. Czyż można porównywać przemieńców spragnionych twojej krwi z nikczemnym człowiekiem, który wolał zabijać cudzymi rękami?

Książę wyraźnie zaczął tracić siły. Jedna niegłęboka rana nie sprawiała większych problemów, ale dziesięć? Dwa-dziesiąt? Kahe robił na nim cięcia, jakby znał na drzewie każdy dzień własnej bezradności, te wszystkie dni, których już nigdy nie spędzi z Sofią. I z każdą kroplą krwi siły coraz bardziej opuszczały wroga.

- Bądź... przeklęty! - wycharczał człowiek, przyklekając na jedno kolano. Nogawka jego spodni nasiąkała ciemnoczerwoną krwią.

Riencharn Aen zaśmiał się. Jego ciało poruszało się w tym samym szaleńczym tempie, nie zwalniając ani na chwilę. Znał wielu, którzy mieli prawo go przeklinać, ale Terence Jayberry do nich nie należał.

Śmiech kahe przetoczył się po korytarzu, głuche echo nadało mu straszliwe, niesamowite brzmienie.

- Nie ujdzie ci to na sucho! Zostanę pomszczony! - zawołał księżę, w ostatniej chwili blokując jeszcze jeden cios.

Aen nie zaszczycił go odpowiedzią. I tak wiedział, że nikt nie będzie szukał pomsty za tę zginiłą krew. Za takich jak Veylin nikt się nie mści.



Terence Jayberry bał się. Twarz przeciwnika była nieruchoma, nieprzenikniona, niczego nie dało się z niej wyczytać, jak z maski z papier mâché - żadnych emocji, żadnego wyrazu... Tylko liliowe oczy lśniły gniewem, płonie w nich żądza mordy.

Nie miał już sił. Młody wielmoża nie rozumiał, jakim cudem jeszcze się poruszał, z każdą kroplą krwi wypływającą z jego ciała uchodziła z niego energia i nadzieja pozostania przy życiu.

Jak głupio...

Niech będzie przeklęta Tyen, ta śledcza łajdaczka, która pokrzyżowała mu szyki! Niech będzie przeklęty Aen, obłąkany na punkcie swojej zemsty! Niech będzie przeklęte to dziecko, którego spodziewała się Sofia! Jego plan był niemal idealny! Za pół roku już byłby królem, a jego rządy



byłyby znacznie lepsze niż rządy tego fajtlapy Henryka! Jego Wysokość Terence przeszedłby do historii jako Mądry, Miłosierny albo Wielki... A teraz zarzną go jak zwierzę ofiarne. Ale dlaczego? Co zrobił nie tak?

A kahe nadal wirował wokół niego, szybki i bezlitosny jak tornado. Nieludź zawsze pokona człowieka w walce na miecze, zwłaszcza jeśli jest Dłonią Śmierci. Jego ruchy przypominały figury tańca dworskiego, nienagannie wykonane. Terence tracił oddech i robiło mu się ciemno przed oczami, a ten przekłety południowiec nawet się nie spocił! Wyglądał jak demon wysłany po duszę Jayberryego - bezlitosny czarny demon. Zdawało się, że ten taniec śmierci będzie się ciągnął w nieskończoność, że Terence przez całą wieczność będzie resztką sił wystawiał przed siebie miecz, mrużył oczy i czuł, jak drży mu słabnąca ręka ściskająca broń.

„Bogowie, jeśli jesteście na tym świecie, zlitujcie się na de mną! - błagał w myślach, czując, że dłużej nie wytrzyma. - Niech to się wreszcie skończy! Wszystko jedno jak, ale niech się skończy! Dłużej już nie mogę...”



Być może bogowie mimo wszystko istnieli, bo stało się coś niepojętego: kahe, mistrz miecza, nie zdołał właściwie ocenić siły swoich ciosów.

Dwa ciosy w tułów, na krzyż, rozstrzygnęły ten pojedynek, którego koniec był oczywisty, nim południowiec wyciągnął miecz. Człowiek, który nie zdążył nawet pojąć, że umarł, rozłożył ręce i osunął się na podłogę jak zepsuta lalka. Miecz wysuwający się z bezwolnej ręki zabrzączał bezradnie na marmurze.

Riencharn nie czuł satysfakcji. Gdyby znalazł się sam na sam ze swoim wrogiem, zapewne dręczyłby go niejedną godzinę, ale obecność Rinnelis Tyen zmuszała do niechcianego miłosierdzia. Nawet jeśli dijes śledcza widziała w swoim życiu wiele wstrętnych rzeczy, kahe wołał nie obciążać jej jeszcze jednym ohydnyim wspomnieniem.

Na chaezrach została krew; należało ją zetrzeć, nie wolno zostawiać nieczystej krwi na dobrej stali. Książę Veylin nie należał do przeciwników, których pokonanie przynosi zaszczyt.

- Jak się pani czuje, dijes? - zapytał kahe, nie spodziewając się innej odpowiedzi niż „wszystko w porządku”. Przecież dijes nie dopuszczała myśli o własnej słabości. - Dijes? - zapytał jeszcze raz, lekko potrząsając jej ramieniem. - Źle się pani czuje? Jest pani ranna?

Ludzie to takie kruche istoty, zwłaszcza kobiety. A jeśli ona umiera?

- Nie - odezwała się cicho dziewczyna, nadal nie wstając. - Wszystko jest w najlepszym porządku, laro Riencharnie.

A jednak ciągle była biała jak płótno.

- To dlaczego pani nie wstaje? - zapytał ze zdumieniem, nie rozumiejąc, z jakiego powodu tak zwykle dzielna dijes Tyen ciągle siedzi na posadzce, a na jej twarzy pojawił się wyraz lekkiego zmieszania.

- Noga - odparła niechętnie człowieczka.

- Co z nią?

- Albo zwichnięcie, albo, nie dajcie bogowie, złamanie - powiedziała z westchnieniem, podciągając spódnice i ukazując stopę, teraz już wyraźnie spuchniętą. - Spadłam ze schodów i nie mogę chodzić.

Więc dlatego dijes śledcza tak pokornie leżała, czekając na śmierć i nie robiąc nic, żeby się uratować. Chociaż... A

co z magią? To niemożliwe, żeby... Kahe spróbował użyć prostego zaklęcia, zwykłego „światlika”. Głucha cisza. Blokada magiczna? Niezły pomysł. No cóż, zmarły był bydłakiem, ale nie głupcem.

- Zobaczę, co z nogą.

- Przecież planował mnie pan zabić zaraz po Veylinie - przypomniała Żmija, unosząc brwi.

Mężczyzna popatrzył na nią, z trudem powstrzymując śmiech. A więc myślała, że wpadła z deszczu pod rynnę! Że nawet jeśli Terence Jayberry nie zdołał jej zabić, to Riencharnowi uda się to na pewno.

- Rozmyśliłem się, dijes - oznajmił kahe uroczyście.

- Mogę wiedzieć dlaczego?

O co jej chodzi? Przecież już powiedział, że w jego obecności jej życiu nic nie zagraża, to nie, dijes śledcza jeszcze potrzebuje powodów!

- Ujmijmy to tak: z licznych możliwości jakie postawienie sprawy panią zadowoli? - spytał mężczyzna wprost, siadając obok Rinnelis i oglądając jej nogę.

Człowieczka syknęła z bólu, gdy Aen zaczął obmacywać jej kostkę, ale nie poruszała się, pozwalając mu dokonać oględzin. Jednak gdy nacisnął mocniej, dziewczyna krzyknęła, zaciskając powieki.

- Miała pani szczęście, dijes, to jedynie zwichnięcie, dobry lekarz szybko to załatwi. Nastawiłem nogę, ale ponieważ nie jestem uzdrowicielem, przez jakiś czas będę musiał nieść panią na rękach.

- Przez całe życie marzyłam, żeby kahe nosili mnie na rękach - skomentowała ponuro dijes Tyen, jednak gdy Aen ją podniósł, złapała się jego szyi.

Dopiero wtedy południowiec poczuł, że śledcza cała drży.

„Szok” - stwierdził w myślach, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. W swoim czasie nie raz zdarzało mu się uspokajać zdenerwowane czy roztrzęsione kobiety. Jednak uspokajanie dijes Rinnelis to zupełnie coś innego.

- Niechże się pani uspokoi, dijes, już po wszystkim...

Dijes Tyen jednak zadrżała jeszcze mocniej, a potem zapłakała bezgłośnie. Łzy spływały jej po policzkach i wydawało się, że sama dijes śledcza jest zdumiona taką reakcją swojego organizmu.

- W-wszystko w p-porządku - chlipnęła niepewnie dziewczyna, kurczowo kiwając głową.

Ponieważ łzy popłynęły jeszcze mocniej, kahe nie uwierzył w jej słowa.

- Dijes, już po wszystkim, już wszystko dobrze, proszę nie płakać...

- To dla pana wszystko się skończyło! - wykrztusiła Rinnelis, szlochając. - A ja jeszcze będę musiała się tłumaczyć z tego trupa!

Tylko Przodkowie wiedzą, ile wysiłku kosztowało Riencharna zdławienie wybuchu śmiechu po tej naiwnej i dziecięco bezzadnej próbie ukrycia strachu. Ale grunt, że z dijes śledczą wszystko było w porządku. Nerwy ma ze stali, wystarczy trochę odpoczynku i znów będzie doprowadzać wszystkich do białej gorączki.

- Myślę, że z pani doświadczeniem zdoła się pani wykręcić, dijes - zapewnił pocieszająco Aen i ruszył do wyjścia.

W tym momencie z ulicy dobiegł hałas, tupot nóg i krzyki. Krzyki miały niezbyt przyzwoity charakter.

- Kto to może być? Czyżby słudzy wrócili? - zapytał kahe.

- Nie sędę. To raczej Straż - odpowiedziała dziewczyna, ciągle dyskretnie pociągając nosem.

- Skąd się tu wzięli?

- Uprzedziłam Lera, dokąd idę, i poprosiłam, żeby wezwał patrol, jeśli nie skontaktuję się z nim w ciągu piętnastu minut od wejścia do domu. Spóźnił się - oznajmiła ponuro dijes. Najwyraźniej miała zamiar wygarnąć swojemu przyjacielowi, co o nim myśli, używając wyjątkowo niemitych określeń.

- Najważniejsze, że ja się nie spóźniłem - uśmiechnął się kahe.

- Tak - przyznała dziewczyna, wdychając ciężko. - Jeśli chodzi o pana, laro Riencharnie, miałam nadzwyczajne szczęście. Nawet nie wiem, jak panu dziękować.

- Nijak. Przedtem to pani uratowała życie mnie i mojemu siostrzeńcowi.

- Ale przecież dobrze pan wie, że nie planowałam być pańskim dobroczyńcą. Po prostu zrobiłam to, co musiałam.

- Droga dijes, gdy szedłem do tego domu, również nie miałem w planach ratowania pani. Samo tak wyszło, więc proszę się uspokoić, jesteśmy kwita - opędził się od jej nieporadnych tłumaczeń południowiec.

Właśnie wyszli z domu na ulicę, gdzie natknęli się na tłum strażników i wściekłego Lera, który coś krzyczał i czegoś żądał. Na widok kahe i zapłakanej Rinnelis alchemik zastygł z otwartymi ustami, zupełnie nie wiedząc, jak ma teraz zareagować.

- Ręce do góry! - zawołał w końcu, najwidoczniej dochodząc do wniosku, że w ten sposób za jednym zamachem rozwiąże problemy wszystkich obecnych.

Południowiec miał nieco inne zdanie na ten temat. Parsknął i popatrzył sceptycznie na dijes Rinnelis. Ta już

zrozumiała, co się z nią stanie, gdy Aen wykona żądanie Lera, i stłumiła w zarodku władcze zapędy przyjaciela:

- Ler, nie wygłupiaj się! Jeśli on podniesie ręce, to ja upadnę. Poza tym nie musisz mnie ratować akurat przed tym laro.

- Ale... - chłopak stropił się ostatecznie. - Sama mówiłaś...

- Mówiłam, żebyś wezwał patrol, jeśli nie skontaktuję się z tobą w ciągu kwadransa - przypomniała dijes Rinnelis. - A jak długo cię nie było?

- No bo...

- A mnie tam omal nie zarżnęli, jeśli chcesz wiedzieć!

- Risz, no przecież wiesz, jak to się zawsze przeciąga - czerwony jak burak Ler próbował się usprawiedliwić.

- Wiem jedno: gdyby ten laro nie zjawił się w porę, moglibyście pochować mnie w kawałkach. Pod warunkiem, że w ogóle byście je znaleźli - dokończyła bezlitośnie dijes śledcza. - A teraz bądź tak dobry i wezwij brygadę ekspertów. W środku jest nieboszczyk.

- A ty? - spytał zdumiony Ler.

- Ja jestem pokrzywdzona. Potrzebuję odpoczynku i pomocy psychologicznej - odparła złośliwie Żmija. - I uzdrowiciela.

- P-po co? Coś się stało? Jesteś ranna? - wyjęczał załóżnie alchemik, chyba bardziej po to, żeby Rinnelis się nad nim zlitowała, niż z powodu niepokoju o jej zdrowie. I tak było jasne, że jeśli Żmija syczy rozdrażniona, to przez najbliższe kilka lat wrogowie mogą sobie najwyżej pomarzyć o jej śmierci.

- Zwichnęłam nogę. Myślisz, że w przeciwnym wypadku pozwoliłabym się nosić jak worek? - zapytała złośliwie.

Kahe poczuł się urażony. Do tej pory wydawało mu się, że trzyma dziewczynę bardzo delikatnie.

- Wracam do domu - oznajmiła Rinnelis. - Powiesz śledczemu, który zajmie się tą sprawą, żeby skontaktował się ze mną jutro koło południa. Dzisiaj niech mnie zostawi w spokoju. Nie jestem w formie.

Po wydaniu poleceń dijes bez uprzedzenia teleportowała się razem z Riencharnem, zdumiewając tym zarówno kahe, jak i strażników.

Chwilę później Riencharn znów miał przyjemność oglądać znajomy przedpokój w domu rodziców dijes śledczej. Teraz naprawdę wszystko się kończyło, i to znacznie lepiej, niż mógł przypuszczać. Jednak wśród ludzi można czasem spotkać zadziwiające jednostki.



**D**ija Tiana siedziała w kuchni i piła napar uspokajający.

Słaby dar przewidywania plus matczyzna intuicja omal nie doprowadziły nieszczęsnej kobiety do ataku serca. Śmiertelne niebezpieczeństwo zagrażające jej jedynej córce lara Tiana poczuła bardzo wyraźnie. Zbyt wyraźnie. Zrozumiała, że ktoś próbuje zabić jej dziecko. I że najprawdopodobniej mu się to uda.

Rinnelis nigdy nie była aniołem, nawet w najlepszych momentach, ale matki kochają swoje dzieci mimo wszystko.

Zarówno jej mąż, jak i Taellon - nieproszony gość i pamiątka po laro Riencharnie - próbowali ją uspokoić, ale co mogli zrobić, skoro ona dosłownie czuła, jak śmierć coraz bardziej zbliża się do jej córki? I nawet nie wiadomo, dokąd biec, jak pomóc... Przeklęty dar, spadek po zmarłej matce, mówił jedynie, że nadciąga nieszczęście, ale nie dawał żadnej wskazówki, jak mu zapobiec.

A potem wszystko odeszło i razem z ulgą przyszedł ostry ból serca. Lara Tiana wypita kolejną porcję naparu, ale nawet ból nie zdołał zepsuć jej dobrego humoru.



Najważniejsze, że z Risz wszystko w porządku, że żyje i chyba nawet jest całkiem zdrowa.

Gdy laro Herius próbował uspokoić żonę, sam nie wiedział, co ma zrobić. Kochał córkę nie mniej niż żona, ale nie umiał okazywać niepokoju. Podobnie jak wielu mężczyzn, ojciec lare śledczej od dzieciństwa uważał przejaw uczuć za słabość i teraz męczył się, usiłując nie okazywać strachu o własne nierozumne dziecko. Byłoby łatwiej wyładować napięcie w krzyku, łzach, przekleństwach, ale...

To właśnie laro Herius jako pierwszy usłyszał hałas na korytarzu i rzucił się na powitanie gości. Z rozpędu omal nie przewrócił laro Riencharna dźwigającego Rinnelis. Widząc swoje dziecko całe i zdrowe, od razu wziął ją na ręce, czego nie robił od lat dziesięciu. Lare Tyen próbowała się oburzyć, przypomnieć ojcu o chorych plecach i podeszłym wieku, ale ten stanowczo odmówił oddania swojej córki jakiemuś obcemu nieludziowi i dzielnie zaryzykował chore korzonki. Stękając, doniósł Rinnelis do kuchni i tam posadził na pierwszym lepszym krześle.

Kahe uśmiechnął się pod nosem i poszedł za nim.



W domu mnie i laro Riencharna powitała istna burza w szklance wody. Zresztą, pamiętając o zdolnościach jasnowidzenia mojej mamy, niczego innego się nie spodziewałam. Ulga, którą czułam do tej pory, powoli odchodziła, ustępując miejsca wstydowni, że tak nastraszyłam rodziców i że w ogóle mogłam tak ryzykować. Widocznie coś podobnego działo się w duszy mojego zbawcy, bo również z

pokorną miną słuchał oburzonych okrzyków swojego siostrzeńca, który rozszalał się jeszcze bardziej niż moja mama.

Rodzice byli tacy bladzi, tacy znękani... Wydawało mi się, że w czasie mojej nieobecności postarzeliby się o kilka lat. Miałam ochotę przysiąść do kolan mamy i prosić o wybaczenie, ale zwichnięta noga nie pozwalała na swobodę ruchów. No i nie chciałam okazywać przy kahe swoich uczuć.

- Chwała bogom, że wszystko się dobrze skończyło!  
- lamentowała mama, dolewając sobie do kubka czegoś podejrzanie przypominającego walerianę.

- Mamo, bogowie nie mają z tym nic wspólnego. - Pokręciłam głową. - Lepiej wychwalaj laro Riencharna, to właśnie dzięki niemu jeszcze żyję.

Moi rodzice wymienili skonsternowane spojrzenia, siostrzeniec laro Riencharna otworzył usta ze zdumienia. No tak, pewnie wszyscy myśleli, że przy pierwszej okazji skoczymy sobie do gardeł, a tu... Ja też byłam zdumiona. Zresztą sam kahe pewnie nie do końca rozumiał motywy swoich czynów.

- Wuju...? - zdumiał się Taellon. - Przecież mówiłeś, że chcesz zabić lare Rinnelis?

- Zmieniłem zdanie - odparł spokojnie kahe, unosząc kąciki warg w zagadkowym uśmiechu.

- A co ty na to, Risz? - spytała mama.

- Ja również - oznajmiłam lakonicznie. - Zawieszenie broni.

- Nie, dijes. Stabilny, pełnowartościowy pokój - poprawił mnie laro Riencharn. - Zgadza się pani?

I wtedy kahe wyciągnął do mnie dłoń. Szeroką męską dłoń, przywykłą do miecza.

- Całkowicie. - Skinęłam głową, odpowiadając na mocny uścisk dłoni. Wyglądało to może nieco głupio, ale było jak najbardziej na miejscu.

Uspokoiliam się zupełnie. Czego jeszcze potrzeba mi było do szczęścia? Przeżyłam, sprawę można było faktycznie zamknąć z powodu śmierci podejrzanego, kahe nie ma już do mnie pretensji, a laro Aenowi udało się dokonać daliss, choć tak bardzo starałam się mu w tym przeszkodzić. Wszyscy są zadowoleni. Jedynym minusem był ból w kostce, ale mama już się zajęła moją „wojenną raną” i zapewniła, że rano będę się czuła lepiej. Postanowiłam zignorować nieprzyjemne wrażenia.

Ja i kahe rozmawialiśmy teraz niemal przyjaźnie. Jeśli przedtem, w czasie przymusowej rywalizacji, to, że tak doskonale się rozumiemy, drażniło nas i denerwowało, to teraz oboje po prostu cieszyliśmy się swoim towarzystwem. Wyjęłam gitarę, o której niemal zapomniałam wśród niekończących się raportów i przesłuchań. Chyba gdzieś głęboko w środku marzyłam o tym od chwili, gdy laro Riencharn wszedł do mojego mieszkania. Rodzice wymieniali ukradkowe spojrzenia. Ja milczałam taktownie, nie chcąc psuć wieczoru sobie i innym. Było mi zupełnie dobrze.



Riencharn czuł się doskonale. Dija Tiana kręciła się po kuchni - w formie ultimatum oznajmiła, że szczęśliwe uratowanie córki należy odpowiednio uczcić, i teraz szykowała obiecaną wykwintną kolację, co, o dziwo, uspokajało wszystkich i sprawiało wrażenie przytulności. Do pracy zaangażowała również męża i Taela, który jak zawsze próbował protestować i jak zawsze bez efektów - dija Tiana

nie znosiła nieposłuszeństwa. Dwójka zmęczonych bohaterów otrzymała łaskawe zezwolenie na próżnowanie.

Dijes Rinnelis nieco niezgrabnie ulokowała się na taborecie, co chwila próbując ułożyć wygodniej obolałą nogę. W spojrzeniu śledczej widać było niepewność. Teraz, kiedy między nią i kahe nie było już muru śledztwa, ich kontakt stał się trudniejszy. Dziewczyna widocznie nie przywykła do wychodzenia poza ramy obowiązków służbowych i teraz, gdy te obowiązki się skończyły, nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować.

Kahe czuł się dziwnie. Dijes Rinnelis pozbawiona fioletowej łuski wydawała mu się bezbronna i ta metamorfoza zbijała go z pantafyku. Wiedział, jak należy zachowywać się w towarzystwie zwykłej kobiety i jak traktować równego sobie przeciwnika, ale jak zachować się wobec Rinnelis, której ciężko było zarzucić słabość i która właśnie przestała być przeciwnikiem? Co za paradoks!

Przez kilka minut między nim i śledczą panowała pełna napięcia cisza, a potem Rinnelis poprosiła go, żeby zaśpiewał. W pierwszej chwili kahe stropił się jeszcze bardziej. Zaśpiewać? O czym? Po co?

O czymkolwiek. Po prostu zaśpiewać. Czy to takie trudne?

Nie, to akurat proste, chociaż od lat nie śpiewał. A instrument?

Był, a jakże! Gitara została od razu udostępniona; nieco rozstrojona, ale nic nie szkodzi. Do kogo należał ten piękny instrument? Czyżby do dijes Rinnelis?

Tak. Ona sama dość dobrze śpiewa, ale gra okropnie.

Riencharn wyraził chęć usłyszenia jej głosu. Tak jest, będzie nalegał.

Ale ona również grała na niej ostatnio wieki temu. A jeśli wziąć pod uwagę, że nawet wówczas jej wykonanie nie było zbyt udane...

Gitara ożyła w rękach Riencharna, w niewielkiej kuchni zadźwięczała muzyka. Instrument przechodził z rąk do rąk, słuchanie głosu dijes Rinnelis okazało się nadspodziewanie przyjemne. Gdy jej palce zaczęły bezcelowo błędzić po gryfie, Aen zabierał instrument i grał sam, pozwalając Rinnelis śpiewać albo po prostu słuchać. Głos miała mocny, głęboki i zdumiewająco czysty, dziwnie niepasujący do fioletowego stroju i lodowatego tonu, którego używała w pracy. I oczy... zwykle mało wyraziste, jak zasnuta lodem kałuża, teraz zaślniły wiosenną zielenią, a twarz stała się zdumiewająco miła. Kahe zrozumiał, że dziewczyna tak naprawdę może być piękna, należało jej tylko na to pozwolić.



Taellon zerkał na swojego wuja ze zdumieniem. Po co to przedstawienie? Czemu wygląda na takiego szczęśliwego? Czy to nie poniżające, śpiewać na prośbę człowieka, na dodatek w domu, w którym tak długo trzymano ich wbrew woli? I po co prosił, żeby zaśpiewała? Owszem, Rinnelis Tyen należało podziękować za to, że ich nie wydała, ale nic więcej! A już proszenie ją, żeby sama zaśpiewała... Taela drażniło brzmienie jej głosu, gdy śpiewała kolejną pieśń. I co się wujowi w tym podoba?

Potem w tym zaimprovizowanym dwuosobowym koncercie nastąpiła przerwa na kolację, podczas której rozmowa nie cichła nawet na minutę. Riencharn nie czuł już niezręczności; rano mieli wyjechać, a jeszcze tyle rzeczy

należało powiedzieć i zrozumieć, marnowanie choćby sekundy wydawało się zbrodnią.

Gdy w końcu zaczęło świtać, Riencharn poczuł rozczarowanie. Pod oczami dijes Rinnelis legły sinawe cienie, ale chyba nie czuła zmęczenia. W jej rękach znalazł się cud, zrozumiała to dopiero teraz, w ostatniej chwili - i wypuszczała go, niczym ufne go ptaka, który usiadł na jej ręce. Twarz dziewczyny zdawała się lśnić niezziemskim światłem, jakby Rinnelis widziała przed sobą nie grzeszny świat, a co najmniej siedzibę bogów.

Gdy umilkły dźwięki ostatniej pieśni, dijes Tyen wstała ze stołka i opierając się ostrożnie na chorej nodze, uśmiechnęła się.

- Pora się żegnać, laroje.

I wtedy Riencharn zrozumiał, że nie chce wyjeżdżać, ale mimo to poszedł spakować rzeczy. Taellon pobiegł mu pomóc z pośpiechem graniczącym z nieuprzejmością.

Dijes Rinnelis siedziała przy stole w kuchni, pijąc czarną kawę przygotowaną przez dija Tianę - napój, który piła wyłącznie wtedy, gdy groziło jej przewrócenie się ze zmęczenia.

Kahe powoli, z przesadną starannością pakował swój skromny dobytek do torby, usiłując jak najbardziej odciągnąć chwilę opuszczenia tego domu, chociaż rozumiał, że to głupie i bezcelowe. Tael już dawno wrzucił swoje rzeczy do plecaka i teraz zbiegał na dół tak szybko, jakby goniły go demony. Riencharn zszedł za nim spokojnie, z godnością. Nie należało opuszczać domu przyjaciół w pośpiechu. Przyjaciół? Nie, to chyba nie było odpowiednie słowo. Raczej *niel-e-nhaar*, inny w lustrze - taki sam jak ty, porozumienie na granicy niemożliwości.

Szkoda, że dijes jest człowiekiem... Szkoda tracić kogoś, kto potrafi zrozumieć wszystkie twoje uczucia, nawet te, których ty sam nie do końca rozumiesz.

Dijes Tyen odprowadziła ich do bramy - uparła się i nawet boląca noga nie mogła odwieść jej od tego zamiaru. Riencharn ujął ją pod rękę, pomagając iść, a ona wielkodusznie zezwoliła mu na okazanie troski. Stojąc już przy bramie, kahe zrozumiał, że musi, koniecznie musi powiedzieć coś dijes Tyen, ale nie mógł znaleźć właściwych słów. Riencharn i Rinnelis stali obok siebie, oglądając krajobraz z niezwyklej uwagą. Milczenie stało się jeszcze bardziej krępujące.

Taellon męczył się już z pół godziny, czekając, aż jego wuj wreszcie zdecyduje się ruszyć z miejsca. Riencharn rozumiał niecierpliwość krewniaka, on również chciał jak najszybciej opuścić granice ludzkiego państwa, tak niegościnnego dla przybyszów innej rasy, ale z drugiej strony nie mógł tak po prostu odwrócić się i odejść, musiał porozmawiać ze swoim osobistym przekleństwem, jakim Rinnelis była dla niego - całe wieki temu.

Dijes Tyen stała w milczeniu i czekała, aż kahe zdoła wypowiedzieć to, co go dręczyło. Riencharn Aen patrzył na ślepczą i próbował zrozumieć, co teraz do niej czuje. Była zagadką, którą pragnął odgadnąć, pociągająca i odpychająca, kahe walczył z nią jak równy z równym, mimo tak ogromnej różnicy wieku i siły. Zdumiewająca, czarująca i nieco przerażająca istota, która na skutek kaprysu sił wyższych urodziła się jako człowiek.

A przecież coś jednak do niej czuł...

- Jest pani niesamowitą osobą, dijes Rinnelis - uśmiechnął się w końcu Riencharn. - Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak pani.

- Mam to potraktować jako komplement? - spytała dziewczyna bez cienia kokieterii. Nadal widać było w jej oczach odblask bezsennej nocy.

Kahe wpatrywał się w nią, próbując znaleźć coś, co pociągałoby go w niej jako kobiecie. Była dość ładna, inteligenta, odpowiedzialna, nie była histeryczką... Może gdyby zabrał ją ze sobą, jego obolała dusza wyleczyłaby się szybciej? Przyjechał po jedną ludzką dziewczynę, nie udało się, więc czemu nie miałby zabrać drugiej?

- Obawiam się, że nie, dijes - westchnął mężczyzna. W tej walce z samym sobą musiał uznać swoją bezwarunkową klęskę. - To raczej stwierdzenie faktu.

Nie. Na jej widok jego serce nie zaczynało bić szybciej, w jego wnętrzu nie rozlewało się przyjemne ciepło. To nie Sofia, cichy, jasny anioł, który zjawił się na chwilę w jego życiu i odszedł za Białą Panią. A Rinnelis... To prawda, była niezwykła, ale... Życie składa się z tysięcy „ale”... Ta dziewczyna przypominała klingę, a w jego życiu i tak było zbyt wiele broni, żeby pasjonowała go jeszcze jedna, niechby nawet doskonała. Nawet jeśli rozumieli się lepiej niż ktokolwiek inny. A może właśnie dlatego.

*Niel-e-nhaar.* Nic więcej.

- Wspaniale wyglądałaby pani w czerni, dijes Rinnelis. Szkoda, że urodziła się pani człowiekiem - wyznał.

Dumna, uparta, ambitna, pamiętliwa - a przy tym wierna, spokojna, bystra, rozumiejąca. Jakaż byłaby z niej wspaniała kahe. I jak wspaniale pasowałaby do rodu Aenów.

- Czemu, laro? - zaśmiała się niespodziewanie wesoło. - Jestem człowiekiem i to w pełni urzędują nas oboje, nieprawdaż?

Zapewne nic już nie zostało w niej z tej dziewczynki, która, jak twierdziła jej matka, miała fioła na punkcie kahe.



Dorośla i od dawna nie czeka na minstrela, który zjawi się pod jej oknami. Dijes śledcza w ogóle na nikogo i na nic nie czeka. Wszystko, czego potrzebuje, przywykła brać sama, w walce. Cynizm to dobry pancerz, a naiwność szybko znika pod bezlitosnymi ciosami realności. I nawet ta baśniowa noc nie zdoła przemienić zbroi w jedwabną suknię.

- To prawda - skinął głową Riencharn. To, co przemilczeli, zrozumieli lepiej niż to, co zostało powiedziane. Oboje pojmowali, co jej zaproponował, choć wiedział, że oboje tego nie potrzebują.

- Pozwoli pani, że zadam jedno pytanie?

- Jakie? - Dijes Rinnelis uniosła cienkie brwi. Czy nie omówili już wszystkich ważnych rzeczy? Czego jeszcze od niej chciał?

- Czemu zrobiła pani to wszystko, dijes? W imię czego warto było tak ryzykować?

Jeśli teraz nie pozna jej motywów, nie będzie mógł spokojnie spać przez następne kilkaset lat. Jego wątpliwości przeżyją kobietę, która wzbudziła je samym faktem swojego istnienia.

Dijes Tyen uśmiechnęła się zagadkowo.

- Mężczyźni mają setki powodów na uzasadnienie swoich czynów. Kobiety robią wszystko z powodu miłości.

- Miłości? - Aen zdumiał się i stropił. Czyżby aż tak źle ją rozumiał?

Rinnelis przyglądała się jego rozterce z narastającą wesołością.

- Miłość może być różna, laro - oświadczyła pouczającym tonem. - Miłość do mężczyzny, do siebie, do ojczyzny, do swoich dzieci, swojej pracy...

- A jaka miłość powodowała panią?

- Ja postępuję w ten lub inny sposób wyłącznie z powodu miłości do prawdy, laro Riencharnie - odpowiedziała dziewczyna z dziwnym triumfem w głosie. - Miłości do prawdy, która wcale nie jest gorsza od innych.

- Ma pani rację. Ale na ołtarzu tej miłości trzeba czasem składać krwawe ofiary.

- To prawda. Jednak taka właśnie jest moja decyzja. - Wzruszyła ramionami, uśmiechając się nikle.

- Żegnaj, dijes. Jestem szczęśliwy, że mogłem panią poznać.

- Ale byłby pan jeszcze bardziej szczęśliwy, gdybyśmy nie spotkali się nigdy - dokończyła człowieczka bez śladu niezadowolenia.

- Zapewne.

Nie, nie byłby bardziej szczęśliwy.

- Żegnaj, laro. I niech się pan postara uniknąć nowych powodów do naszych spotkań.

- Dołożę wszelkich starań, dijes - odpowiedział Riencharn, zastanowił się i dodał: - Wszystkiego dobrego.

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek usłyszę to od pana. Panu również wszystkiego dobrego, laro.

Tael ożywił się błyskawicznie, rozumiejąc, że to męczące i niezrozumiałe dla niego przedstawienie wreszcie dobiegło końca. Skinął głową dziewczynie, nawet nie zatrzymując wzroku na jej twarzy. Riencharnowi drgnął kącik warg, wyraźnie nie pochwalał tak wzdurliwego stosunku wobec dijes, która zrobiła dla nich obu tak wiele, choć pomoc kahe bynajmniej nie była jej celem. Riencharn chciał zatrzymać siostrzeńca, zmusić go, żeby pożegnał się jak należy, ale napotkał spojrzenie dijes Tyen, które powstrzymało go jak okrzyk. Dziewczyna pokręciła głową: nie. Riencharn sam to rozumiał. Co komu po wymuszonej wdzięczności? Ale mimo wszystko zachowanie siostrzeńca

sprawiło mu przykrość. A dijes oczywiście wszystko rozumiała i uśmiechała się, jak zawsze uprzejmie i życzliwie, ale tym razem ciepło.

- Żegnaj, dijes Rinnelis Tyen. Nigdy pani nie zapomnę.

- Żegnaj, laro Riencharnie Aenie. Będę pana często wspominać.

Kahe żyją długo, jeśli im się na to pozwoli. Przez całe swoje życie będzie pamiętał te kilka godzin, które spędzili razem; że ludzie mogą zrozumieć kahe, a kahe - ludzi. Może nawet ułoży pieśń o dijes Rinnelis Tyen, w której twardość granicząca z okrucieństwem splatała się z subtelnością i szczerością. Trzeba to tylko umieć zauważyć...



Noc minęła, jakby jej wcale nie było. Tylko gitara leżała samotnie w kuchni. Poczułam, jak w środku mnie unosi się coś dawno zapomnianego, na zawsze zasłoniętego fioletową tkaniną.

Laro Riencharn i laro Taellon pożegnali się i nadeszła ulga. Nic więcej nie naruszy porządku panującego w moim życiu. Cóż, spokój był tego wart.

Przełknęłam trzecią filiżankę kawy przygotowaną przez mamę, wygładziłam strój śledczego i poszłam do pracy. Czułam, że przygniata mnie straszliwe zmęczenie, w dziwny sposób łączące się z lekkością, ale nie chciałam opuszczać dnia pracy. I tak wielokrotnie naruszyłam zasady regulaminu wewnętrznego. Jednak w czasie śledztwa mogłam sobie na to pozwolić, a teraz groziło to naganą. Chociaż z drugiej strony kto niby miałby mi jej udzielić? Naczelnik wydziału nie żyje, laro Rou został zatrzymany... Oprócz

moich starganych nerwów to śledztwo pociągnęło za sobą masowe straty w pracownikach wydziału - spisek zawsze jest przedsięwzięciem globalnym. Mama próbowała mnie zatrzymać w domu, ale ja się uparłam. Nic nie powiedziała, patrzyła tylko z dezaprobatą, Kerri również.

Połknęłam kanapkę i teleportowałam się do wydziału. Ten sposób podróżowania wymaga dużo siły magicznej, ale nie miałam najmniejszej ochoty iść do centrum stolicy spod miasta. Muszę zacząć przywykać do tego, że w pracy muszę się zjawiać codziennie, a nie gdy mam na to ochotę.

Każde śledztwo to jakby małe życie, a gdy dobiega końca, pozostawia po sobie lekkość, pustkę i nadzieję na nowe narodziny. Wegetacja pomiędzy dochodzeniami wydaje się tak bezsensowna, że powoduje depresję. Musiałam się dowiedzieć, kto jest teraz w wydziale najważniejszy, i poprosić o jakąś nową sprawę. Do demonów z urlopem, teraz właśnie powinnam zatopić się w pracy, żeby moje życie znów popłynęło starym korytem i bym nie miała czasu na myślenie o głupstwach, z których wyrosłam dawno temu.

Za końcowy punkt teleportacji wybrałam swój gabinet, żeby unikać niechcianych spotkań ze współpracownikami. Nie byłam gotowa na rozmowę o tym, co się stało, ani na wysłuchiwanie wyrzutów. Dzisiaj zupełnie nie miałam sił do odpierania możliwych ataków.

Moja skromna siedziba wyglądała dokładnie tak samo jak w czasie mojej ostatniej bytności tutaj. Podłoga oczywiście nadal nienaprawiona. No tak, niewielu ludzi potrafiłoby zdjąć ochronę, którą otoczyłam swoje miejsce pracy, a więc to ja musiałabym wpuścić brygadę remontową, a do tej pory nie miałam czasu na remont we własnym gabinecie.

Ciągle te sam zapach spalenizny, zwęglone deski i zniszczony zakłębieniem sejf. Przynajmniej żadnych niespodzianek.

Usiadłam przy biurku i zaczęłam pisać raport o śmierci laro Veylina, niech mu ziemia lekka nie będzie. Szło mi opornie, nie potrafiłam logicznie wyjaśnić, jakim cudem na miejscu przestępstwa zjawił się laro Riencharn, a przecież nie mogłam napisać prawdy. No przecież nie powiem, że kahe przyszedł zabić księcia w ramach zemsty i przy okazji uratował mnie przed tymże księciem. Wtedy wychodziłoby na to, że laro Riencharn popełnił morderstwo z premedytacją, zaś uratowanie mnie stanowiłoby najwyższej okoliczności łagodzące. Tak, nie wygląda to na zabójstwo w obronie własnej... Cudownie, naprawdę cudownie.

Straciłam prawie godzinę na spreparowanie takiego raportu, który uratowałby mnie przed odsiadką, a kahe przed listem gończym. W końcu udało mi się napisać mniej więcej neutralny dokument i wtedy pojawiło się nowe pytanie: komu mam przekazać to arcydzieło?

Laro Stefana jeszcze nie wypuszczono, nowego pełniącego obowiązki naczelnika nie ma i nie należy się go spodziewać zbyt szybko, a stary został pochowany i po ceremonii nawet nekromanta nie zmusi go do pełnienia obowiązków służbowych. Demony wiedzą jak długo wydział będzie działał bez żadnego kierownictwa.

Choć możliwe, że coś przegapiłam.

Już miałam pójść dowiedzieć się czegoś o ostatnich przesunięciach personalnych w naszym wydziale, gdy do moich drzwi ktoś zastukał.

- Tak...? - powiedziałam, nie wpuszczając na razie nieproszonego gościa. Człowiek uczy się na własnych błędach.

- Tu Raen kae Oron - rozległo się za drzwiami.

Wspaniale. Przemieniec, który przyszedł po twoją duszę, to zły znak.

- Niech pan wejdzie - zezwoliłam.

Kae Oron był zdenerwowany. Świadczyły o tym pionowe źrenice, którym nie zdołał nadać normalnego wyglądu, oraz nerwowe ruchy rąk.

- Coś się stało, laro Raenie? - spytałam czujnie. Po co tu przyszedł...?

- Jeszcze nie, lare. Dlatego tu jestem.

Ciągle jeszcze nie rozumiałam, a jego spojrzenie było tak wieloznaczne, że poczułam się jak idiotka.

- Może pan mówić jaśniej? - zażądałam. Otumanienie wywołane bezsennością zniknęło bez śladu.

- Sekretarka mówiła prawdę. Rzeczywiście uważnie przyglądano się pani z góry.

- Dlaczego mówi to pan w czasie przeszłym?

- Dlatego, że teraz pani los jest już przesądzony - oznajmił sucho przemieniec, przymykając oczy. - Przejawiła pani swoją nieprawomyślność w całej pełni, a pani zdolności nie pozwalają pani zignorować. Przyjdą po panią.

Westchnęłam.

- Mogę wziąć urlop - powiedziałam niepewnie.

- To nie rozwiąże problemu, lare Rinnelis. Nawet jeśli na jakiś czas dobrowolnie odsunie się pani od pracy, stosunek wysoko postawionych osób nie zmieni się. Musi pani zniknąć.

Po kręgosłupie przebiegł mi dreszcz, ale szybko wzięłam się w garść. Niepotrzebne mi emocje, jedynie przeszkadzają.

- A pan chciał mi coś oznajmić, czy tak, laro Raenie?

- Proponuję, żeby wyjechała pani razem ze mną - rzekł, uważnie wpatrując się w moją twarz.

Byłam oszołomiona. Świat stanął na głowie, a ja nawet tego nie zauważyłam. No dobrze, przemieniec uprzedził mnie o niebezpieczeństwie, ale żeby od razu z nim uciekać? Po jakie лихо jestem mu potrzebna?

A potem nadeszło spokojne zrozumienie: nigdzie nie pojedę, zwłaszcza z przemieńcem. Oznaczałoby to całkowitą zależność od kae Orona. Taki ratunek nie urządzał mnie w najmniejszym stopniu. Tym bardziej że za usługi będę musiała zapłacić, i to zapewne pracą dla klanu Rysiów. Jeszcze nie zwariowałam, żeby dobrowolnie zgadzać się na niewolnictwo.

- Zrezygnowałam ze swojego stanowiska i wracam do domu, na ziemię klanu. Tam nikt pani nie będzie szukać, lare Rinnelis. A jeśli nawet ktoś się domyśli, że jest pani u nas, i tak nie zdoła do pani dotrzeć.

- Nie - odparłam sucho. - Proszę przyjąć moją szczerą wdzięczność, laro Raenie, ale jestem zmuszona odmówić przyjęcia pańskiej pomocy.

Kae Oron był wstrząśnięty.

- Lare, to jedyna szansa! Musi pani pojechać ze mną!

- Nic nie muszę, laro. Odmawiam.

- To pani ostatnie słowo?

- Tak - odparłam, czując narastające rozdrażnienie.

Kim on jest, żeby mi rozkazywać i jeszcze grozić? Czy nie za bardzo się pan zapędził, Raenie kae Oronie?

Zakłęcie, które poleciało we mnie, odbiłam w ostatniej chwili. Nie spodziewałam się ataku ze strony lojalnego do tej pory przemienca. A raczej: nie spodziewałam się, że zaatakuje mnie tutaj, w wydziale pełnym strażników.

- Jak mam to rozumieć, laro kae Oronie? - zapytałam z oburzeniem, wystawiając przed siebie „tarczę”. Nadal

siedziałam, w pojedynku magicznym niepotrzebny ruch może grozić przegraną.

- Jako próbę namowy, lare Rinnelis - odparł z krzywym uśmiechem, robiąc prawą ręką jakieś skomplikowane gesty.

Do demonów z takimi namowami, pomyślałam ponuro, usiłując zrozumieć, czym rzuci we mnie teraz.

- Lepiej będzie, jak pan stąd wyjdzie - próbowałam powiedzieć to spokojnie, ale Raen uśmiechnął się tak ohydnie, że wiedziałam: nie zdołałam zapanować nad wyrazem twarzy.

„Sieć”. Demonicznie chwytliwe zaklęcie. Odbicie zajęło mi tylko chwilę, choć nie mam pojęcia, jak to zrobiłam.

- Tylko razem z panią. - Pokręcił głową.

- Klan Rysiów obejdzie się beze mnie - prychnęłam, aktywując „pióro Feniksa”. Bolesne, nieprzyjemne, ale nie zabójcze. Nie miałam zamiaru zabijać kae Orona, to tylko dowaliłoby mi papierkowej roboty. Poza tym nie miałam zamiaru stać się ofiarą zemsty łaknących krwi przemieńców.

- Nieźle, lare - zaśmiał się laro Raen, odbijając mój cios i odpowiadając „błyskawicą”.

Pudło. Przemieńcowi nie brakowało ani umiejętności, ani mocy. I czemu tak bardzo chce mnie uratować, nie zwracając uwagi na mój opór? Przecież mogłabym go okaleczyć.

- Panu również nie brakuje talentu - odpowiedziałam komplementem, przygotowując się na najgorsze. Nie mogłam się spodziewać pomocy, ochrona gabinetu między innymi nie pozwalała dostrzec stosowanej wewnątrz magii, więc z samozwańczym ratownikiem będę musiała poradzić sobie sama.



- Może jednak zmieni pani zdanie, lare Rinnelis? - zapytał, szykując się do nowego ataku.

- Nie zwykłam zmieniać swoich decyzji.

Pod względem umiejętności byliśmy sobie równi, ale przemieniec na pewno był silniejszy i bardziej wytrzymały, a to znaczyło, że może mnie po prostu zmęczyć, a potem porwać. Ale ja jestem w swoim gabinecie, który osobiście zaczarowałam, i to duży plus na moją korzyść. Mogę wyrzucić nieludzia poza mój teren, a drugi raz już tu nie wejdzie.

Laro Raen popatrzył na mnie ze złością. Mój opór chyba go zdumiał i oburzył. Naprawdę liczył na wdzięczność i gotowość pojechania z nim na koniec świata? A może mnie z kimś pomylił?

- Sądziłem, że jest pani mądrzejsza, lare Rinnelis - rzekł niezadowolony. - Wie pani zbyt wiele, a ja nie mogę pozwolić pani podzielić się swoimi domysłami i sugestiami ze zwierchnictwem.

- Mogę dać panu słowo honoru, że zachowam dla siebie całą moją wiedzę na temat pana i pańskiego klanu - zaproponowałam.

- To nie wystarczy. Oboje wiemy, jak wspaniale królewscy kaci potrafią rozwiązywać język przesłuchiwanemu - wyszczerzył się Raen, pokazując kły.

- To znaczy albo pojedę z panem, albo mnie pan zabije? - prychnęłam, przyciągając do siebie kilka nici z ochrony gabinetu.

- Dokładnie tak, lare Tyen. Który z tych dwóch wariantów pani wybiera?

Stawiał mi ultimatum! To już nawet nie jest zabawne...

- Trzeci - odparłam złośliwie, z przyjemnością

wyrzucając przemienca poza teren wydziału, na pełnowartościową teleportację szkoda mi było sił. Zresztą im bardziej laro Raena wytrzęsie w czasie przemieszczenia, tym lepiej. To będzie kara za bezczelność.



Przemieniec wylądował w jakiejś podrzędnej dzielnicy. Wyrzucono go tak brutalnie, że wyłącznie obecność drugiej postaci pozwoliła mu niczego sobie nie złamać.

- Suka! - warknął.

Sprytna, zarozumiała suka, choć wyjątkowo głupia... Czemu się nie zgodziła? Wariant, który jej zaproponował, był idealnym rozwiązaniem zarówno dla niego, jak i dla niej. No dlaczego? Przecież pozostanie w Erołu oznacza dla niej śmierć. Uparta, zarozumiała, wyniosła idiotka! A jednak było mu jej żal.

„No cóż, lare, dokonała pani swojego wyboru, a ja muszę brać nogi za pas, dopóki nie przetrzepali mi skóry” - pomyślał z goryczą Raen kae Oron, krzywiąc się. Życie człowieka to jak żywot motyla, przez te żałosne siedemdziesiąt - osiemdziesiąt lat ciężko zostawić po sobie jakikolwiek ślad, a jednak szkoda, gdy ktoś z własnej woli skraca swoje życie trzykrotnie.

Nie udało mu się przekonać lare śledczej ani namowami, ani siłą. Cóż, każdy sam wybiera porę swojej śmierci.

Ryś spojrział tam, gdzie za szeregami domów krył się wydział lare Rinnelis. Uśmiechnął się krzywo. Teraz nie będzie już o czym opowiadać kuzynowi... Ale on, Raen kae Oron, nie podda się tak łatwo! Ta cholerna człowieczka nie wie, co to znaczy upór przemienców. Ale jeszcze się dowie.



Wizyta Iaro Raena zostawiła po sobie uczucie niepokoju, sunące po skórze niczym krople lodowatej wody. Czyli co, przyjdą po mnie? Skoro przemieniec aż tak się denerwował, to znaczy, że nie będę musiała długo czekać. Niepotrzebnie ślęczałam nad raportem - już mi nie będzie potrzebny. W jednym kae Oron miał rację: powinnam zniknąć jak najszybciej. Ziemie przemieńców byłyby świetnym wyjściem, gdyby nie natrętna opieka Rysiów, którą zapewniliby mi przedstawiciele rodu panującego. Może uciec do elfów? W zasadzie, jeśli tylko będę się spokojnie zachowywać, to jest szansa, że nie zarzną mnie na granicy. Z Pierworodzonymi dogadam się szybciej niż ze zwierzchnikami łąkącymi mojej krwi...

Mogłabym też pojechać do kahe, Iaro Riencharn osłoniłby mnie. Ale żegnając się, zdjęłam z niego swój znacznik i pewnie nie zdołałabym go odnaleźć, a patrole na granicy stepów południowych nie będą się patyczkować z człowiekiem, który pojawił się na ich terytorium. Kahe zabijają ludzi bez uprzedzenia.

Wstałam i zaczęłam chodzić po gabinecie, próbując narysować plan ucieczki. Nadwęglone deski jęczały żałośnie pod moim ciężarem, zapach spalenizny nasilił się. A już myślałam, że jednak wywietrzeje.

Mogłabym odwiedzić sąsiedni Inszaar - tam bardzo cenią uciekinierów z Erolu, zwłaszcza takich, którzy służyli w Straży lub wojsku. I ponoć płacą tam znacznie więcej... Za każdym razem, gdy śledzimy z jakiegoś powodu obcinano zarobki, w wydziale zaczynało się dyskutować nad sposobami ucieczki do pobliskiego królestwa. Biorąc pod uwagę, że pensje obcinano nam oburzająco często, to sposoby dotarcia do nieszczonego Inszaaru znałam prawie tak dobrze jak kodeks karny.

Za to orków można z góry odrzucić. To raj dla faceta świetnie posługującego się bronią. Ciągła harówka i stanowisko piętnastej żony jakiegoś tubylca zupełnie mnie nie urządzały.

A więc albo Inszaar, albo elfy. W Inszaarze mimo wszystko mieszkają ludzie, ale do elfów można szybciej dotrzeć. Korzystanie z magii w podróży równałoby się samobójstwu, a nie starczy mi sił, żeby za jednym zamachem przenieść się do punktu docelowego. Zresztą moi przeciwnicy bez trudu zdołają wyliczyć trasę długiej teleportacji i pojąć mnie na tamtym końcu. Co wybrać?

Machnęłam ręką na logikę, wyjęłam monetę z sakiewki wiszącej na pasie i podrzuciłam. Gryf - elfy, reszka - ludzie. Srebrzysta moneta pomknęła w górę. Awers i rewers, wytarte przez setki rąk, połyskiwały w promieniach słońca. Od nich zależał mój los.

Ale nie dowiedziałam się, co mnie czekało: ktoś zastukał do drzwi i zdekoncentrował mnie. Moneta upadła na podłogę z żalosnym brzękiem.

Z mojej piersi wyrwało się westchnienie. Co za brak taktu, żeby przeszkadzać mi w czasie podejmowania ważnych decyzji! Stukania laro Stauta nie dało się z niczym pomylić.

- Czego pan sobie życzy, laro Daenie? - spytałam, otwierając drzwi.

Mój kolega nie znosił mnie z całego serca, usiłując to przede mną ukryć bez większych sukcesów.

- Chciałbym porozmawiać o pewnej sprawie związanej z tymi informacjami, o które niedawno mnie pani prosiła, lare Tyen - odpowiedział śledczy nieco ochryplym głosem.

Jak udało mu się przeziębic przy tak pięknej pogodzie?

Otworzyłam szerzej drzwi i osłupiałam na widok gości. Głos laro Stauta był schrypnięty nie z powodu choroby, lecz zdenerwowania. No tak, niełatwo zachować spokój, gdy za tobą stoi siedmiu przedstawicieli tajnej kancelarii.

Pracowników tajnej kancelarii nie sposób nie rozpoznać. I chodziło nie tylko o brudnoszare kolety, których nie zdejmowali chyba nawet do snu, ale dziwnie identyczny wyraz oczu. Wyblakły strój i ulizane włosy, a do tego niewyraźne plamy zamiast twarzy.

- Czym mogę służyć? - spytałam, przytrzymując drzwi. Laro Raen mówił, że wkrótce po mnie przyjdą, ale żeby tak szybko...?

- Chcielibyśmy z panią porozmawiać, lare Tyen - oznajmił jeden z przybyłych tonem niewróżącym niczego dobrego.

- No cóż, w takim razie wejdźcie - zaproponowałam, nie ruszając się z miejsca. Postanowiłam grać na zwłokę, najważniejsze to zyskać możliwość zatrzaśnięcia drzwi. Może będę miała szczęście i między nimi nie ma silnych magów?

Staut promieniał złośliwą radością.

Dokąd chcą mnie stąd zabrać? Do jakiegoś więzienia na granicy, bez prawa do korespondencji, czy może od razu na dno rzeki, co załatwiłoby sprawę raz na zawsze?

- Sądzę, że wygodniej będzie porozmawiać u nas - padła odpowiedź.

Miałam nadzieję, że nie zbladłam. Z rezydencji tajnej kancelarii Jego Wysokości wychodziło się rzadko - na tyle rzadko, że szczęśliwców, którzy przeżyli podobne rozmowy,

można policzyć na palcach obu rąk. A połowa z nich ma nie po kolei w głowie.

- Jestem o coś oskarżona? Bądźcie uprzejmi podać mi powód, dla którego miałabym podporządkować się waszym żądaniom? - spytałam zdecydowanie, szykując zakłęcie teleportacji. Dokądkolwiek, byle jak najdalej stąd.

- Nie zdoła pani użyć magii, lare Rinnelis - poinformował mnie najstarszy z przybyłych. - Lepiej będzie, jak pójdzie pani z nami dobrowolnie, nie pogarszając swojej sytuacji.

Żeby tak głupio dać się złapać na to samo! Wszystko jasne, słabi powinni ginąć, a ja, jak się okazuje, jestem słaba.

Nie mogłam już zamknąć drzwi: jeden z szarych typów przezornie wcisnął stopę w szczelinę. Mimo ostrzeżenia próbowałam czarować, ale moc nie odpowiedziała. Co za draństwo tu przynieśli, że odcięli mnie od magii?

Ale nie miałam zamiaru poddać się bez walki. Sztylet, ta żałosna zabawka, którą nosiłam na pasie wyłącznie z powodów wymogu regulaminu, sam skoczył mi do ręki - z całej siły wbiłam go w ramię tego, który nie pozwalał mi zamknąć drzwi. Mężczyzna wrzasnął z bólu, na szarym kolecie pojawiła się plama krwi. Pchnęłam drzwi - tylko po to, żeby sekundę później znaleźć się na podłodze - uderzyła mnie fala mocy. A więc oni mogą używać zaklęć?

Uderzenie o deski wybiło mi powietrze z płuc. Zaszumiało mi w głowie, próbowałam wstać, ale przeciwnicy okazali się szybsi i silniejsi. No i mieli przewagę liczebną.

Minutę później miałam już związane ręce. Owinęli mnie w ciemny płaszcz, pewnie po to, żeby nie było widać, kogo

prowadzą. Albo żeby nie pozwolić mi wołać pomocy - chociaż czy ktoś by zaryzykował? I tak to się właśnie kończy...



- Wasza Wysokość! Rozkaz został wykonany. Ta osoba już nigdy więcej nie sprawi żadnych kłopotów. - Naczelnik kancelarii skłonił się nisko.

- Cieszymy się.

copyright © by Karina Pjankowa  
copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o" lublin 201 i  
copyright © for translation by Ewa Skórska, 2011  
tytuł oryginału: Iz liubwi k istinie

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-294-7

Wszelkie prawa zastrzeżone All rights reserved

projekt 1 adiustacja autorska wydania

Eryk Górski, Robert Łakuta

grafika na okładce

Arya Poenya

projekt okładki

Paweł Zaręba

redakcja

Ewa Białołęcka

korekta

Magdalena Grela-Tokarczyk, Bogusław Byrski

skład „Grafficon” Konrad Kućmiński

sprzedaż internetowa

[amazonka.pl](http://amazonka.pl)

[gandalf.com.pl](http://gandalf.com.pl)

zamówienia hurtowe

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk sp. z o.o.

05-850 Ożarów Mazowiecki,

ul. Poznańska 91 tel./faks 22 721 30 00

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl),

e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)

WYDAWCA Fabryka Słów sp. z o.o.

20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c

tel. 81 524 08 88, faks 81 524 08 91

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

druk 1 oprawa OPOLGRAF s.A.

[www.opolgraf.com.pl](http://www.opolgraf.com.pl)